

Lynda Chater  
Mefisto i ja  
Przełożyła Barbara Korzon

*Podziękowania za pomoc,  
zachętę i dobre rady  
niechaj przypnie  
Luigi Bonomi*

## ROZDZIAŁ 1

Zawarłam znajomość z diabłem w dniu, gdy wylano mnie z pracy. Wtedy ukazał mi się po raz pierwszy. Przedstawił się jako „Mefisto”, więc tak go będę nazywać, zwłaszcza że jesteśmy już teraz na „ty”. Czy to naprawdę diabeł? On twierdzi, że tak. Nie jest wprawdzie Wielkim Szatanem, ale w piekielnej hierarchii zajmuje nie najgorsze miejsce. Tak powiedział. Czy mu wierzę? Sama nie wiem, bo czy diabeł może mówić prawdę? Zobaczmy. Już wkrótce się tego dowiem.

Jak się to wszystko zaczęło? Był piątek, mokre grudniowe popołudnie. Zgodnie z harmonogramem pracy zasiadłam akurat przy biurku w wypożyczalni, kiedy służbowy komputer dostał ataku hysterii i postanowił udawać, że nie ma pojęcia, o co mi chodzi.

Kolejka czytelników zaczynała się niecierpliwie, zmuszona w dodatku walczyć o miejsce z tłumem powracających z zakupów, przemokniętych ludzi, którzy przyszedli tu tylko w tym celu, aby się schronić przed deszczem.

Beztrosko otrząsając mokre parasolki, przez ciżbę przepchnęła się grupka kosztownie ubranych kobiet; wszystkie rozglądały się wokół tak cielęcym wzrokiem, jakby żadnej z nich dotąd nie zdarzyło się widzieć biblioteki. I pewnie tak było. W wyobraźni tych osób na mapie Guildfordu musiała w tym miejscu widnieć biała plama, dzieląca magazyn Jaegera od salonu Laury Ashley. Dla nich był to tylko jeden z martwych punktów rozsianych po trasie codziennych zakupów. Irytujące utrudnienie.

Zgromadziwszy się w pobliżu mego biurka, całe to eleganckie towarzystwo zajęło się oceną efektów swoich żmudnych wielodniowych łowów – sprawdzaniem spisów świątecznych sprawunków oraz oglądaniem ostatnich nabytków. Przed oczami przesuwały mi się eleganckie markowe etykiety: Gucci. Armani. Chanel. Lapinique – „dla kobiety, która chce czegoś więcej”.

Śledziłam je z jawną zazdrością. Ja też chciałam „czegoś więcej”, i to nawet bardzo, tylko że nie miałam nikogo, kto by mi kupił na gwiazdkę buteleczkę perfum Lapinique. Andrew jak zwykle podaruje mi jakąś książkę, ja zaś jak zwykle będę się starała nie okazać rozczarowania, że nie zobaczę go w święta. Och, gdybym miała odwagę zaprosić Andrew na świąteczny lunch! Może byłby to wreszcie ten niezbędny impuls, który zmieniłby nasze stosunki, kładąc kres platonicznej stagnacji trwającej już tyle lat. Cóż, kiedy znów stchórzyłam.

Nakazałam sobie nie patrzeć w stronę tych panieś. I co by mi przyszło

z flakonika perfum Lapinique? Mężczyźni nie wystarczy ładny zapach, aby niemoralna oferta zgorzkniałej pięćdziesięcioletniej baby wydała mu się atrakcyjna. Do tego trzeba znacznie więcej.

– A poza tym te perfumy pachną pewnie jak kocie siuśki – mruknęłam pod nosem, waląc wściekle w klawisz komputera. Znałam te jego napady; zazwyczaj mijały po paru minutach, ale dziś był szczególnie uparty.

– Słucham? Co takiego? – zdziwiła się zadbana czytelniczka, wręczając mi wybraną książkę.

– Nic. – Spojrzałam na okładkę. „Ślub w raju”, głosiły złote litery tytułu. Poniżej widniała tropikalna plaża, na której nieprawdopodobnie przystojny brunet o płomiennych oczach obejmował omdlewającą – pewnie ze szczęścia – blondynkę. Jak można czytać taki chłam? Z ciekawości zerknęłam na stojącą przed biurkiem kobietę.

– To kontynuacja „Wymarzonego romansu” – pospieszyła wyjaśnić, uznając widocznie mój wyraz twarzy za oznakę zainteresowania książką. – Bohaterowie przy końcu mieli się już pobrać, ale ją porwali bandyci, a Brett, ten na okładce, poprzysiągł, że ją odnajdzie. Nawet na końcu świata!

– Wygląda na to, że mu się udało – zakpiłam, patrząc na obrazek.

– Uhm – westchnęła z przejęciem. – Umieram z ciekawości, jak do tego doszło. – Poglądziła postać na obrazku czubkiem palca w eleganckiej rękawiczce i posłała mi płochliwy uśmiech. – Fantastyczny mężczyzna, prawda?

Uśmiechnęłam się całą gębą.

– Niezły – przytaknęłam – pod warunkiem że lubi się mężczyzn, którym z uszu wyrastają palmy. Temu akurat z lewego.

– Zupełnie tego nie zauważyłam! – wykrzyknęła z lekką konsternacją. – Może warto byłoby napisać do wydawnictwa i wytknąć im ten śmieszny błąd – orzekła po chwili, przyjrzawszy się ilustracji. – Chyba tak zrobię. – Umieściła Brettta w torbie z zakupami i poklepała go czule. – Czasami za taki list można otrzymać nagrodę.

Głupia krowa. Zwróciłam się do następnej osoby w kolejce. Był to łagodny z wyglądu człowiek z całym naręczem książek. Gdy zobaczyłam jednak, co wybrał, uśmiech mi zamarł na ustach. „Pisane krwią: Antologia autentycznych zbrodni”, „Zabójcza arytmetyka – wstrząsająca relacja niedoszłej denatki”, „Poślubiłam mordercę”, „Dziesięciu największych seryjnych morderców naszych czasów”.

O Jezu, czyżby nikt już nie czytał prawdziwych książek? Książek z normalną akcją, pisanych przez normalnych, prawdziwych autorów? Swoją drogą trudno je

dziś znaleźć. Jeśli ktokolwiek ma jeszcze ochotę sięgnąć po jakąś klasyczną pozycję, musi godzinami przedzierać się przez półki zastawione sagami o seksie i zakupach, tajemniczymi morderstwami tudzież mnóstwem głupawych romansów historycznych, że nie wspomnę już o całej sekcji poświęconej takim osobnikom jak Mills i Boon.

Każdy od czasu do czasu lubi przeczytać sobie coś lekkiego. Sama kładę się nieraz do łóżka z jakimś romansidłem Jilly Cooper lub biorę kąpiel w towarzystwie pięknej bohaterki najnowszej powieści Jackie Collins, ale żeby na tym poprzestawać? Najgorsze, że zawartość naszej biblioteki staje się odbiciem tych żalonych gustów. Nie mamy tu nawet wszystkich dzieł Dickensa. Z Jane Austen jest jeszcze gorzej, tak więc nagła popularność telewizyjnej wersji „Dumy i uprzedzenia” zastała nas kompletnie nieprzygotowanych, a jedyny zaczytany egzemplarz tej książki zaginął wkrótce bez śladu w skomplikowanym łańcuchu – czytaj: bałaganie – wypożyczeń międzybibliotecznych.

Komputer, który w końcu pogodził się z losem, zameldował ostrym piśnięciem, że kolejny czytelnik przetrzymuje egzemplarz „Anatomii dla początkujących”. Zaczęłam przypominać winowajcy, co o tym mówi regulamin, gdy poczułam na ramieniu czyjąś rękę. Był to nasz kierownik.

– Harriet, byłabyś uprzejma wpaść na chwilkę do mojego biura? Chciałbym zamienić z tobą parę słów.

Zmuszona zaniechać prawienia reprimendy młodemu entuzjaście doktora Crippena, ruszyłam za szefem na pierwsze piętro, do jego obskurnej dziupli, szumnie zwanej gabinetem.

– Stoimy w obliczu kolejnej, bardzo poważnej obniżki funduszy – oświadczył, zamknąwszy drzwi. – Konieczna będzie pewna... hm... reorganizacja. W tej sytuacji postanowiliśmy zredukować księgozbiory kilku mniej popularnych działów, a uzyskaną powierzchnię przeznaczyć na rozbudowę sekcji „Życie i nauka”, ze szczególnym uwzględnieniem materiałów audiowizualnych. Musimy się unowocześnić, dostosować profil do dzisiejszych wymagań. Trzeba pozbyć się części tych starych, zakurzonych „cegieł” i ustawić frontem do młodzieży.

– Tylko części? Może lepiej wszystkich? – mruknęłam szyderczo. – Puść przez głośnik muzykę pop, załatw zezwolenie na wyszynk i całonocną działalność, wprowadź opłatę za wstęp, i kłopoty z forszą masz z głowy!

Nie komentując mojej złośliwości, popatrzył na mnie z pewnym zakłopotaniem.

– Annette Baker bardzo chętnie poprowadzi nowy dział...

– To świetnie – weszłam mu w słowo. – Zupełnie nie widzę siebie w tej roli. Miałabym doradzać piętnastoletnim lębkom, w którym poradniku znajdują najlepsze wskazówki, jak w miarę bezboleśnie popełnić samobójstwo? O nie, wolałabym raczej... – Zamilkłam, gdyż nagle zaczęło mi świtać, co jest prawdziwym celem tej rozmowy.

W odpowiedzi na moje milczenie wyłożył mi ów cel bez ogródek – w prostych żołnierskich słowach. Pewnie! Jak najszybciej załatwić nieprzyjemną sprawę – i spokój! Zbliżał się przecież weekend, a on chciał spędzić te dni w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

– Bardzo mi przykro – bąknął na koniec, wyciągając rękę, by pocieszająco poklepać mnie po ramieniu.

Uchyliłam się przed jego fałszywym współczuciem i ślepa od łez niezdarnie wybiegłam z pokoju. Przekonana, że gapi się na mnie kto żywy, z pochyloną głową przepchnęłam się przez stojącą na podeście grupę i czym prędzej pognałam na górę. Pozwoliłam sobie odetchnąć dopiero na drugim piętrze, gdzie na szczęście nie było gapiów.

– Podli Filistyni – sapnęłam, chwytając się metalowej poręczy balkonu. Nowy atak gniewnych łez sprawił, że zwisające na długim łańcuszku moje okulary do czytania zaczęły z głośnym grzechotem obijać się o tę poręcz. Parę osób popatrzyło w górę. No tak, podstarzała jejmość łkająca jak dziecko – jakież to zabawny widok!

Odetchnęłam głęboko, otarłam oczy i po raz ostatni ogarnęłam spojrzeniem swe utracone królestwo. Moi wierni poddani karnie tkwili na półkach, nieświadomi, że ich królowa została zdetronizowana i że pod rządami nowego reżimu czeka ich srogi ucisk. Moje ukochane książki – jedyni prawdziwi przyjaciele. Ileż samotnych nocy spędziłam w ich towarzystwie! Pozwalały mi uciekać do innego świata, gdzie nadal istnieją prawdziwe wartości, gdzie zawsze nagradza się cnotę, a szlachetna, choć nieładna heroina nieodmiennie zwycięża frywolne piękności, zdobywając serce mężczyzny dzięki swoim duchowym przymiotom.

O, gdybyż tak było w rzeczywistym świecie! Niestety, dzisiaj to już niemożliwe. Bo jakież ukryte walory mogłyby dziś zrównoważyć coś tak okropnego jak zmarszczki czy choćby siwiejące włosy? W naszym świecie starzenie się jest zbrodnią. Ja byłam winna tej zbrodni, postanowiono więc wyrzucić mnie na śmietnik razem z kupą moich „zakurzonych cegieł”. Trzeba jednak zrobić miejsce nowiutkim, lśniącym bestsellerom. Niechaj dumnie głoszą

wszem wobec, że i tutaj, w te stare mury zwycięsko wkroczyła młodość. Och, ten kult młodości! A inni niech umierają. Zakręciło mi się w głowie, oparłam się więc o barierę, spoglądając zamglonym wzrokiem w dół. Między półkami snuły się jakieś figurki. Gdyby ten balkonik znajdował się trochę wyżej, sprawa byłaby prosta – mały ruch do przodu, i koniec z moim niepotrzebnym życiem.

W tym momencie zobaczyłam ją. Wychodziła właśnie z archiwum z plikiem czasopism pod pachą. Ubrana jak zwykle w wyzywająco obcisły kostiumik, kręciła biodrami z bezczelną pewnością siebie, właściwą ludziom, którym zawsze i wszędzie wszystko przychodzi bez trudu. Panna Annette Baker. Wschodząca gwiazda. Nadzieja całej Służby Bibliotecznej hrabstwa Surrey, z listą kwalifikacji długą na pół metra. Dodajmy do tego urodę i co najgorsze – jawną admirację całej męskiej części personelu. Fama niosła, że sypia z szefem, co najprawdopodobniej stanowiło jedyny jej pomysł na „Życie i naukę”. Mogłabym i ja nauczyć cię paru rzeczy, ty mała zdziro. Umiesz tylko dobrze kręcić tyłkiem.

Położywszy gazety na biurku, zawróciła znów do archiwum. Wiedziałam, że za chwilę musi znaleźć się tuż pod balkonem, pochwytałam więc pierwszy opasły tom encyklopedii z leżącej na stole sterty – aha, „A do D” – i na próbę zważyłam go w rękę. Ciężki, ale dla pewności warto by dołożyć jeszcze „E do H”. Pokażę tym draniom, do czego można użyć starych, niechcianych cegieł. Ha, wyobraziłam już sobie te wrzaski, kiedy ich słodka pieśzcotka rozpląszczy się na podłodze, przywalona tym samym balastem, którego tak chciała się pozbyć!

Nie. Powoli odłożyłam książkę. Od razu byłoby wiadomo, że to ja. Skazano by mnie za morderstwo. A mnie nagle zachciało się żyć. Samobójstwo? O nie, teraz już nie zamierzałam schodzić z tego świata. Ani wracać do swojego biurka.

W drodze ku schodom przystanęłam na chwilę przy szafie z materiałami biurowymi, skąd wyjęłam spory słoik kleju, by w pokoju dla personelu opróżnić całą jego lepłą zawartość do wytwornej skórzanej torebki panny Baker. I zaraz poszłam do domu.

Całe moje mieszkanie mówiło o samotności. Na wycieraczce przed drzwiami leżał rachunek za gaz i jakieś dwie reklamy, w holu wór pełen śmieci – zapomniałam je rano wystawić. Na automatycznej sekretarce żadnych wiadomości. Bezrobotna maszyna patrzyła na mnie z niemym wyrzutem. Stół w salonie wyglądał jak zwykle: przypominał wystawę księgarską po eksplozji lub trzęsieniu ziemi. Z rachunkiem za gaz rozprawiłam się szybko, wpuszczając go w wąski prześwit pomiędzy Trollope’em a Thackerayem, i zaczęłam szukać filizanki niezupełnie zarośniętej pleśnią.

Zdając się na ekspres do parzenia kawy, przymknęłam oczy, by uniknąć dalszych niemiłych widoków: sterty brudnych talerzy w zlewie, wystrzępionego przewodu przy czajniku elektrycznym (znów nie chciało mi się go naprawić), a przede wszystkim nigdy nie używanego kompletu do fondue, niechcianego prezentu, który najlepiej byłoby wyrzucić, ale jakoś nie mogłam się na to zdobyć. Był symbolem tego stylu życia, który budził we mnie pogardę i zarazem głęboką tęsknotę.

Ochrzciałam kawę sporą dozą whisky i sztywno jak kołek usiadłam w wykuszowym oknie – trudno o relaks w tak cholernym zimnie. Ale dziś przynajmniej gładko wzięłam pierwszą przeszkodę: udało mi się zmanifestować swoją tu obecność i prawa do tego lokum. Bywały bowiem dni, gdy po prostu siedziałam bez ruchu przy stole w płaszczu, szaliku i czapce, czując się jak złodziej we własnym domu, jak intruz dokonujący przeglądu żalonych dowodów czyjejś całkiem bezsensownej egzystencji. Trwało to zwykle dopóty, dopóki nie nakazałam sobie wziąć do ręki pierwszej lepszej książki. Otwierałam ją na chybił trafił i po kilku minutach odrętwienie zaczynało ustępować.

Tym razem jednak nie mogłam nawet patrzeć na książki. Potrafiłam tylko gapić się tępym wzrokiem na widoczne za oknem światła Guildfordu. Podobno właśnie za ten widok płacę tak horrendalnie wysoki czynsz. Podobno. Przy zawieraniu umowy nie chciało mi się słuchać wyliczeń; nudzą mnie takie detale. Ale teraz... Jak długo zdołam tu wytrzymać?

Nie chodziło tylko o pieniądze. Najgorsze ze wszystkiego było to, że straciłam pracę, którą tak kochałam i którą miałabym nadal, gdyby nie zjawiała się ta pannica. Dotrwałabym w bibliotece do emerytury, gdyby mój przełożony zechciał myśleć głową, a nie fiutem.

Ten diabelny seks! On decyduje o wszystkim. Cała rzecz w tym, czy włąda się tą tajną bronią w walce o posiadanie i wpływy. Od tego zależy, kto wygra swe życie, a kto je z kretesem przegra. A jakie szanse na awans do grona zwycięzców pozostają brzydkiej pięćdziesięcioletniej kobiecie, cierpiącej na bóle w stawach i żyłaki? Żadne. Nie dość że ostatecznie i nieodwołalnie wykluczono mnie już z tej rozgrywki, to jeszcze kazano stać z boku i przyglądać się temu, co straciłam. Nie było od tego ucieczki. Z książek, z filmów, z telewizji, z ulicznych tablic reklamowych, nawet z tych wsuwanych mi pod drzwi ulotek wiało seksem, zewsząd atakowała mnie myśl: Wszyscy to robią. Wszyscy, tylko nie ja. Z czego wynikało jasno, że jako kobieta, a nawet jednostka ludzka stanowią kompletnie nietrafiony produkt.

Jak miałam sobie z tym radzić? Zarówno z tą fatalną etykietką, jak i permanentnym brakiem seksu? Zwłaszcza że w powszechnym mniemaniu kobieta pięćdziesięcioletnia nie powinna odczuwać pragnień seksualnych – uwłaczałoby to jej godności. A jeżeli mimo wszystko je odczuwa? Och, jakież to niesmaczny sekret! Jeden z tych okropnie wstydliwych problemów, które można tylko ignorować, zmiatając je skrętnie pod dywan. Co pomyślał sobie listonosz, przynosząc mi w zeszłym tygodniu pewną niedużą paczkę? Ze jakiś daleki krewniak pod wpływem wyrzutów sumienia przysłał mi pudełko czekoladek? Ze to suszarka do włosów? A może domyślił się prawdy? Sądząc po konspiracyjnym uśmiešku, z jakim potrząsnął paczuszką, zanim zdecydował się ją wręczyć, chyba się jednak domyślił, że zawiera najnowszy, szybkoobrotowy model wibratora „King Dong” z udoskonaloną powłoką i nader realistyczną końcówką.

Nikt nie przyznaje się do masturbacji, a już na pewno nie kobieta w moim wieku, ale czy naprawdę jest się czego wstydzić? Lepsze to niż nic. Lepsze w każdym razie od tego, co pamiętam ze swoich młodzińskich doświadczeń. Zdarzyło się to tylko raz. Tak rozpaczliwie chciałam się dowiedzieć, jak to jest, że pewnego wieczoru, po prywatce z okazji ukończenia szóstej klasy, zdecydowałam się pójść na całość z niejakim Barrym Thompsonem na tylnym siedzeniu jego furgonetki. Odbyło się to tak szybko i z mojej przynajmniej strony nie tylko bez oczekiwanej, lecz i jakiegokolwiek satysfakcji, że nie mogłam się wprost nadziwić, czemu ludzie, do licha, robią wokół tego tyle szumu. Po kilku tygodniach trwożnego oczekiwania na miesięczkę poprzysięgam sobie, że nigdy więcej – dopóki nie wyjdę za mąż.

Wyjść za mąż! Dla mnie okazało się to zbyt trudne. Natura niestety poskąpiła mi urody. Boleję nad tym do dziś. Słaba to pociecha, że podobno piękna buzia i kształtne ciało to jeszcze nie wszystko. Akurat! Praktyka bynajmniej tego nie dowodzi, wręcz przeciwnie. Przekonałam się o tym już jako gruba, brzydka nastolatka, zwłaszcza gdy wyszło na jaw, iż Barry Thompson zdeflorował mnie tylko dlatego, żeby wygrać zakład. Powinnam była już wtedy trzeźwo ocenić swe wątpliwe walory Fizyczne, ale ja, zamiast się zająć czym innym – pomyśleć o przyszłej karierze czy popracować nad sobą, by nabrać pewności siebie, co mogłoby odmienić całe moje życie – ja zrejterowałam w świat książek, postanawiając cierpliwie czekać do chwili, aż z poczwarki wyłoni się motyl. Młodzińcza brzydota, taka jak moja, nie trwa przecież wiecznie, powiedziałam sobie. Byłam przekonana, że pewnego dnia zbudzę się jako młode urocze stworzenie i wtedy dopiero zacznie się prawdziwe życie.



Moje koleżanki szkolne znikają gdzieś jedna po drugiej – im pilno było wejść w życie, wziąć z niego co można, zakosztować wszelkich jego smaków. Wpierw była to wolna miłość, fascynacja hasłami dzieci kwiatów, później małżeństwo, macierzyństwo, wychowywanie potomstwa. Ja tymczasem przyjąłam skromniutką posadę w miejscowej bibliotece, zdecydowana przeczekać tam chude lata, dopóki nie pojawi się mój piękny książę na swoim białym rumaku. Ocknęłam się wreszcie tuż przed trzydziestką i nagle stwierdziłam ze zgrozą, że zmarnowałam młodość w jałowym oczekiwaniu na coś, co nigdy się nie zdarzy. Podstawową przeszkodą był już teraz nie tyle mój wygląd, ile wiek. Wszyscy przyzwoici mężczyźni – zdolni dostrzec ukryte walory duchowe – zostali już rozchwytni.

Ogarnięta ślepą paniką zaczęłam na gwałt szukać męża, obniżając z dnia na dzień swoje wymagania. Księcia na białym koniu zastąpił zwyczajny rycerz, później zwyczajny wieśniak, a gdy i ten się nie zjawił, gotowa byłam przyjąć kogokolwiek. Za późno. Na rynku małżeńskim pozostały już tylko dwie kategorie nieżonatych mężczyzn: życiowi nieudacznicy, tacy sami jak ja, i ambitni karierowicze. Pierwsi nie chcieli wiązać się z osobą, w której jak w lustrze oglądaliby stale własne niedostatki, ci drudzy natomiast po latach zażartych zmagania o karierę, pozycję, pieniądze mieli już teraz na tyle wysokie konta, żeby od przyszłej małżonki wymagać wszelkich możliwych walorów. A cóż miałam ja?

Czemu nikt mnie nie ostrzegł, że tak się to skończy? Czemu sama nie pomyślałam, że siedząc z założonymi rękami, osiadę w końcu na lodzie?

Mijały lata, a z nimi ostatki nadziei. Kiedy wreszcie mój zegar biologiczny zaczął odmierzać końcowe minuty, musiałam pogodzić się z bolesną prawdą: przegrałam. Nigdy już nie wyjdę za mąż. Nie będę miała domu ani dzieci. Na stare lata pozostanę sama jak palec.

Tak jak przedtem bałam się menopauzy – uderzeń krwi do głowy, potów, suchej skóry, wszystkich tych okrutnych objawów świadczących o końcu zdolności rozrodczych – tak teraz zaczynałam pragnąć, żeby stało się to jak najszybciej. Bo i po co mi te resztki kobiecości? Dzisiaj miesięczna przypadłość już tylko przypominała mi o tym, że jako kobieta nie spełniłam swoich naturalnych zadań.

A co osiągnęłam w zamian? Wielkie zero, a teraz na dodatek jeszcze straciłam pracę.

Whisky zaczynała robić swoje. Zapragnęłam nagle urznąć się w trupa – miałam wszak ku temu odpowiedni powód. Czyż wszyscy bezrobotni nie szukają

pociechy w kielichu?

Odrzucając wszelkie preteksty – że to tylko dodatek do kawy – ruszyłam do kuchni po szklankę i właśnie w tej chwili zadzwonił telefon. Automatyczna sekretarka tak gorliwie zerwała się do pracy, że nie miałam sumienia sprawić jej zawodu. Stojąc w drzwiach z butelką w ręku, pozwoliłam przyjąć wiadomość.

– Harriet? Jesteś tam? – odezwał się damski głos.

– Dzwoniłam do biblioteki, ale mi powiedziano, że poszłaś do domu. Czy coś się stało?

Sally. Moja najlepsza i obecnie jedyna przyjaciółka. Kiedyś było ich więcej, ale wszystkie przestały w końcu dzwonić, zrażone pewnie permanentnym brakiem odpowiedzi na ich zaproszenia i inne grzecznościowe gesty. Nie chciałam podtrzymywać tych kontaktów ze strachu przed odrzuceniem, ale jak im to miałam powiedzieć? Ze to samoobrona? Że wolę skończyć znajomość, zanim zrobią to one?

Z Sally jest inaczej. Ona nie rozumie takich subtelności. Nie ma na to czasu. Za bardzo jest zajęta urządzaniem życia bliźnim. Wiedziałam, co oznacza ten telefon: rutynowa kontrola. Nie widziałyśmy się parę dni, a ja w tym czasie mogłam przecież strasznie narozrabiać – wściec się na kogoś albo wyciąć inny głupi numer.

– Harriet?

Głos Sally brzmi zupełnie jak gdakanie kwoki zaganiającej swoje nieposłuszne stadko. Wie, że jestem w domu, i nie popuści. Pewnie swoim zwyczajem zamierza wygłosić długą reprimendę. Zacznie od wiercenia mi dziury w brzuchu, że prowadzę fatalny tryb życia, że się izoluję, że przejawiam nadmierny pociąg do trunków, a skończy oczywiście mnóstwem dobrych rad. Powinnam częściej wychodzić z domu. Poznawać nowych ludzi. Zostać członkinią jakiegoś klubu towarzyskiego.

Ja i klub towarzyski! Zakrawa to wprost na kpiny. Perory mojej przyjaciółki irytują mnie do tego stopnia, że chwilami zaczynam prawie lubić samotność – chociażby na przekór Sally.

– Odezwiąj się, Harriet. Dzwonię, żeby się upewnić, czy pamiętasz o moim dzisiejszym przyjęciu.

Zapomniałam. Ale przecież już jej mówiłam, że nie przyjdę. Dobrze wie, jak nie cierpię takich imprez – tych układnych wieloletnich małżeństw i zepsutych młodych arogantów. Samotna kobieta w średnim wieku to dla nich mniej więcej to samo co grzechotnik w koszu fortuny. Sally nie ma pojęcia, jak to jest być

towarem, co wyszedł z obiegu. Od lat jest mężatką, a jej Duncan to istny ideał.

Postanowiłam milczeć, potem jednak przyszło mi na myśl, że takie przyjęcie to chyba najlepsze lekarstwo na mój dzisiejszy nastrój. Lepiej upić się w towarzystwie niż tak po chamsku do lustra. No i może będzie tam Andrew. Z tą myślą podniosłam słuchawkę.

– Sally?

– Nareszcie! Co się stało?

– Nic. – Natychmiast zajęłam pozycje obronne. Do diabła, jakim cudem ona zawsze umie wyczuć każdy mój niefart? – To znaczy nic nadzwyczajnego – sprostowałam po sekundzie. – Moi szefowie uznali, że stałam się zbędna, i tyle. Oni to nazywają wcześniejszą emeryturą.

– Och, Harriet... – Wyobraziłam sobie wyraz jej twarzy: kwintesencja pełnego udręki współczucia. Przychodziło jej to bez trudu. – I co teraz zamierzasz robić?

Przewidując, że za chwilę ona mi to powie, położyłam słuchawkę na stole i poszłam do kuchni po szklankę. Gdy wróciłam, Sally była dopiero na etapie kursów przygotowawczych i rubryk z ofertami pracy. Nalałam sobie pół szklanki i zaczęłam liczyć żyłki w fornirze półek na książki. Pozwoliłam jej mówić przez kwadrans, ignorując dokładnie wszystkie dobre rady z wyjątkiem końcowej sugestii:

– Strzel sobie mocnego drinka i przyjeżdżaj do mnie na drugiego.

## ROZDZIAŁ 2

Mieszanka towarzyska na przyjęciu Sally okazała się taka, jak przewidywałam – grono jej modnych przyjaciół ze studia aranżacji wnętrz oraz koleżdy Duncana, pracownicy uniwersytetu. Wszyscy ze swoimi „partnerami”. Żywiłowo nienawidzę tego słowa! To taki kołtuński zamiennik, wymyślony specjalnie po to, żeby ludziom w mojej sytuacji nie wykluwać oczu swoim wyższym statusem rodzinnym. Jeśli chodzi o mnie, skutek jest wręcz odwrotny. Była też garstka studentów Duncana, co miało dowodzić jego więzi z młodszą generacją. Andrew? Nie dostrzegłam go w tłumie, Sally jednak poinformowała mnie zaraz, znacząco mrużąc przy tym oko, że jeszcze go nie ma, ale przyjdzie na pewno. Został zaproszony. Oddałam jej płaszcz oblana krwistym rumieńcem. Czyżby i to wiedziała? Domyśliła się w końcu, co do niego czuję?

Andrew to jedyny znany mi wyjątek od reguły, która mówi, że samotny mężczyzna w pewnym wieku absolutnie nie nadaje się na męża: skoro dotąd uchował się w stanie bezzennym, to musi mieć jakiś feler. Andrew tymczasem jest o parę lat ode mnie starszy, wyklada literaturę angielską i nie ma żadnych widocznych defektów. Pewien drobny feler, którego nie liczę, można łatwo usunąć za pomocą butelki head and shoulders. Nasza kilkuletnia znajomość zaczęła się od kłótni o komplet dzieł George Eliot podczas jakiejś garażowej wyprzedaży u któregoś z klientów Sally. Po tym incydencie pan profesor z nieznanych mi przyczyn postanowił się ze mną zaprzyjaźnić. Nasz związek ma charakter czysto platoniczny – o niczym innym nie było nigdy mowy nawet w formie najlżejszej aluzji – a jednak to głównie ta znajomość trzyma mnie jeszcze przy życiu. Gdyby nie ona, dawno bym popadła w skrajną desperację. Wciąż skrycie marzę o Andrew, w czym zresztą nie jestem odosobniona. Wzdycha do niego większość dojrzałych mieszkanków kampusu – tych, jak to mówią, po ciemnej stronie trzydziestki.

Spłoszona domyślnym uśmiechem Sally, czym prędzej uciekłam do salonu. Pośrodku stały pary małżeńskie pochłonięte ożywioną dyskusją o hipotekach, spłatach za college i ogrodnictwie. W kątach tkwiły grupki studentów, pochłaniając metodycznie darmowe jadlo i trunki. Przyniesione w kieszeniach puszki lagera przeznaczone były na później – kiedy już skończy się wino. Mądre posunięcie. W trosce o własne potrzeby powędrowałam do kuchni i gdy zostałam tam sama, przezornie wsunęłam dwie flaszki pomiędzy lodówkę a stylowy walijski

kredens. Było mało prawdopodobne, aby ktoś tam zajrzał.

Wróciłam do towarzystwa – i wtedy go zobaczyłam. Oparty o ścianę przy drzwiach młody człowiek miał na sobie długi czarny płaszcz, na głowie czarne kędzierzawe włosy, które dawno nie widziały nożyc, a na twarzy parodniowy zarost, ale tym, co przykuło moją uwagę, były oczy. Miał oczy zimnego szydery – który wszystko widzi i wszystkich osądza. Jakiś autsajder? Ktoś nowy? Spojrzał na mnie tak jakoś... że na chwilę znieruchomiałam. Zrobiło mi się zimno. Zaraz potem ktoś przepchnął mi się za plecami, a on się nagle uśmiechnął. Mimo woli rozejrzałam się dookoła; dla kogóż to jest taki łaskaw?

– Nareszcie mnie dostrzegłaś! – rzucił władcym tonem. – W takim razie pora się przedstawić.

Drgnęłam, uświadamiając sobie, że zwraca się do mnie.

– Słucham?

– Mam na imię Mefisto, a moim władcą jest Lucyfer, arcymonarcha i pan wszystkich duchów – wyrecytował nieznajomy.

Aha, to pewnie student Duncana. Jeden z tych, którzy lubią się wygłupiać. Sally opowiadała mi o nich. Podobno godzinami potrafią się bawić w takie gierki. Zamki, smoki, diabły i tak dalej. Nie miałam ochoty na tego rodzaju dyrdymały.

– A ja jestem Jezus Chrystus – odparłam z kamienną twarzą. – Chętnie bym sobie z tobą pogadała, ale chcę się załapać na resztki Ostatniej Wieczerzy, zanim twoi kumple zdążą je znieść ze stołu – wymownie spojrzałam w stronę bufetu. – Zechciej mi więc wybaczyć.

– Poczekaj, Harriet, ty naprawdę nie wiesz, kim jestem? Wybałuszyłam na niego oczy; skąd ten młokos zna moje imię? Wyglądał jak oni wszyscy, ci terazniejsi studenci, ale... było w nim coś dziwnego, coś... Trudno to określić.

– Ha, jednak zauważyłaś, że różnię się czymś od innych. Jakiś świrus czy co? Jedno z tych kulawych kacząt Sally, które wciąż zagarnia pod skrzydła, tak jak kiedyś mnie?

– Przychodzę od samego Wielkiego Szatana, żeby spełnić twoje pragnienia.

Roześmiałam się głośno.

– Źle trafiłeś. Tutaj takie teksty na nikim nie zrobią wrażenia. Nie wiesz, że dzisiaj nikt już nie wierzy w diabła?

– Doprawdy? Więc dlaczego wszyscy się go boją? – Po tych słowach przeszył mnie zimnym spojrzeniem. – Z jakiego powodu ten świat miałby poświęcać tyle wysiłku budowie wszelkich możliwych umocnień, które wy, ludzie, nazywacie cywilizacją, jeśli nie z trwogi przed diabłem? Tak, sztuka, społeczeństwo, religia to

przecież nic innego jak tylko mniej lub bardziej zakamuflowana forma asekuracji przed piekłem. Przed chaosem. To w Boga ludzie nie wierzą, bo choć wolą się do tego nie przyznawać, wszyscy doskonale wiedzą, że sami go wymyślili.

Zrezygnowałam z pójścia do bufetu. Ten student plótł straszne bzdury – pewnie się czegoś naćpał – a jednak mnie sprowokował. Rzucasz mi wyzwanie? pomyślałam. Dobrze, młokosie, zabawimy się po twojemu. Postanowiłam mu pokazać, że trafił na godnego siebie przeciwnika.

– Skoro rzeczywiście jesteś diabłem, to co tu robisz? – spytałam fałszywie żartobliwym tonem. Na początek podbiję ci bębenka, ty mądralo. – Owszem, gdzieś w Trzecim Świecie miałbyś ręce pełne roboty, ale tu, w takim Guildfordzie? Co tu może być ciekawego? To tylko tuzinkowe spotkanie towarzyskie i bardzo przeciętni ludzie. Zwykła klasa średnia.

– Mówisz o Trzecim Świecie? Och tak, pracują tam moi pobratymcy, tylko wiesz co? Tamtych ludzi nie trzeba długo przekonywać, że diabeł istnieje. Miałbym od razu tylu nawróconych, że mógłbym im już tylko wygłaszać kazania, a to dość nudne zajęcie, nie uważasz? O wiele zabawniej jest tutaj, w małym bezpiecznym miasteczku, istnej twierdzy ładu i spokoju. My, diabły, lubimy wybić parę dziurek w takiej szacownej budowli i wpuścić tam trochę dymu...

Dobiegający nas zewsząd gwar rozmów utonął nagle w ogłuszającym ryku bigbitu – pewnie jakiś student dobrał się do stereo. Zaalarmowana Sally przebiegła obok i muzyka zaraz przycichła. Złapałam się na tym, że wybijam takt nogą i co jeszcze dziwniejsze, poczułam się niezwykle pewna siebie. Ni stąd, ni zowąd zaczęłam się dobrze bawić.

– Aha, chcesz nas zniszczyć – rzuciłam z uśmiechem.

– Po cóż więc uprawiać salonowe gierki? Nie lepiej byłoby użyć paru rakiet? Pif-paf, i po wszystkim.

– No cóż, moja moc ma pewne granice – westchnął ów młody dowcipniś. – Musimy się trzymać określonych reguł. I bardzo słusznie. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że to świetny pomysł: rozwalić wszechświat na atomy, rozpocząć wszystko od początku, a kiedy pierwsza ryba wypełźnie z pierwotnego błota, urządzić wielkie barbecue. Pięknie, tylko co mielibyśmy wtedy do roboty? Powiem ci w sekrecie, że bez was, drodzy grzesznicy, my wszyscy, łącznie z Lucyferem, czulibyśmy się trochę osamotnieni. Wyobraź sobie:

– sami potępieńcy! Nie byłoby kogo kusić ani kogo zwodzić. Żadnej rozrywki. Nieciekawa byłaby taka wieczność.

Roześmialiśmy się oboje. Pomyślałam, że teraz zaniecha już pewnie tych

żartów. Zerknąwszy na swoją szklanę, stwierdziłam, że jest pusta. Wiem, że alkohol to licha namiastka szczęścia, ale tego wieczoru tylko on mógł mnie trochę pocieszyć. Rozejrzałam się za butelką – żadnej nie było na widoku – i popadłam w gwałtowną rozterkę: iść do kuchni? Ale jeśli to zrobię, mój rozmówca może mnie opuścić. Znajdzie sobie kogoś innego, i koniec naszej dyskusji, a bardzo tego nie chciałam. Uświadomiłam sobie nagle, że zależy mi na jego towarzystwie. W tym młodym człowieku było coś... dziwnie pociągającego. Zostać? Ale tak desperacko pragnęłam się napić!

– Wiesz co, Harriet? Picie ci nie pomoże – odezwał się nagle. – Tobie do szczęścia trzeba czegoś więcej.

Popatrzyłam na niego podejrzliwie: czyżbym nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęła głośno myśleć?

– O co ci chodzi? – burknęłam. – Niby czego mi trzeba?

– Ty mi to powiedz – odrzekł z szerokim uśmiechem. – Gdybyś mogła otrzymać wszystko, czego pragniesz, co byś wybrała?

Westchnęłam – kolejna salonowa gierka.

– Dosłownie wszystko?

– Dosłownie. Bez żadnych ograniczeń.

– Hm, mogę wymienić parę drobiazków, które dobrze byłoby mieć, zwłaszcza teraz, w mojej sytuacji. Takich na przykład jak praca. Jak trochę forsy na życie. Nieźle też byłoby zrzucić z karku parę latek, powiedzmy, ze dwadzieścia pięć, tak dla równego rachunku. Wy, diabły, macie pod tym względem ładne osiągnięcia, prawda? Ten słynny pakt z Faustem...

Przerwałam, bo w drzwiach ukazał się Andrew w towarzystwie młodej kobiety, pewnie którejś ze swoich studentek. Była szczupła, wysoka i w przeciwieństwie do jego niedbałego stylu – bardzo elegancka. Leciutko kołysząc biodrami w rytm muzyki, szła przed nim o jakieś dwa kroki. Pewnie po to, żeby mógł podziwiać jej nogi w cieniutkich pończoszkach, doskonale widoczne spod krótkiej sukienki. Nogi miała zgrabne... Kiedy Andrew zrównał się z nią przy kominku, odwróciła się do niego z uśmiechem. Jednym rzutem oka oceniłam resztę jej walorów – gęste kasztanowe włosy, ładną twarz, duże błyszczące oczy – i ogarnęła mnie zawiść.

– Skoro już o tym mowa – zwróciłam się znów do Mefista – zażyczyłabym sobie jeszcze kilku poprawek kosmetycznych. To nic przyjemnego urodzić się z twarzą jak tył autobusu. – Czy mówiąc to, miałam nadzieję, że zaprotestuje, powie, że piękno to coś więcej niż tylko ładna powierzchowność? Ale on mnie

nawet nie słuchał. Patrzył na tę dziewczynę, towarzyszkę Andrew.

– „A więc to lice wyгнаło na morze tysiąc okrętów i spaliło Ilium?” – mruknął pod nosem.

Aha, to Marlowe. „Tragiczne dzieje doktora Fausta”. Czyżby stąd wziął się pomysł tego bełkotu o diable?

Odetchnęłam głęboko – ależ ze mnie idiotka. Jak mogłam bodaj przez chwilę pomyśleć, że ktoś tak młody i tak atrakcyjny gustuje w moim towarzystwie! Wystarczyło mu zobaczyć przeciętnie ładną dziewczynę i proszę – moja osoba przestała go interesować.

– Jeśli chcesz uciąć sobie pogawędkę z tą tam Heleną Trojańską, to się nie krępuj – powiedziałam w miarę spokojnie. – I tak właśnie miałam poszukać czegoś do picia.

Żeby mu to unaocznic, podniosłam do góry swoją pustą szklankę i nagle drgnęłam ze zdumienia: na rękę trysnął mi strumyk ciemnoczerwonego wina. Szklanka była pełna po brzegi! Czym prędzej upiłam z niej łyżeczkę, żeby się znów nie przelała, i poczułam na języku cierpki bukiet szlachetnie wytrawnego trunku. Skąd on wytrzasnął to wino? Było znacznie lepsze niż sikacz serwowany zazwyczaj u Sally. I kiedy napełnił mi szklankę? W ogóle tego nie zauważyłam. Jak on to zrobił? Po chwili ochłonęłam: trywialna sztuczka. Musiał przynieść ze sobą butelkę. Pod tym swoim płaszczyskiem mógłby ukryć całą baterię.

Muzyka znów zabrzmiała głośniejsz, przerywając mi te dywagacje. Ktoś śpiewał o miłości. W drugim końcu salonu jakaś młoda, przytulona do siebie para zaczęła tańczyć. Ogarnęła mnie żalosc – a ja? Ach, dość udawania, dość tej głupawej rozmowy. Pójdę sobie. Czas się upić. Mefisto wciąż gapił się na tę dziewczynę.

– On jej nie pieprzy – mruknął po chwili.

– Skąd do diabła ty to mozesz wiedziec? – fuknęłam z irytacją, ciekawosc jednak wzięła we mnie gore nad złością. Zostałam.

– Uwierz mi, a ja ci to udowodnie. Bo dotąd nie uwierzyłaś w ani jedno moje slowo, prawda?

– Jasne że nie – wyrwało mi się. Nieważne, i tak mnie przejrzał.

– Porozglądaj się dookoła – mówił dalej. – Przypatrz się tym ludziom. Wydają się tacy poukładani, tacy przyzwoici! Zawsze grają zgodnie z zasadami, w każdej sytuacji zachowują właściwą postawę, nigdy nie mówią tego, co naprawdę myślą. Ha, zdaje im się, że diabeł nie znajdzie do nich dostępu! Tak dobrze się zabezpieczyli! Murami i fosą. O, na powierzchni ślicznie to wygląda, ale co się dzieje pod spodem? Jak myślisz?



– Jeden Bóg to wie – mruknęłam.

– Bóg? Mylisz się, Harriet. I mylił się ten, kto wymyślił to powiedzonko. A teraz posłuchaj. Nie jesteś tutaj jedyną grzesznicą. Tym ludziom może się wydawać, że są zupełnie bezpieczni w swych malutkich bastionach cywilizacji, ale to nieprawda. Nie wiedzą, głupcy, że chociaż zamknęli bramy i powyrzucali klucze, diabeł siedzi z nimi w środku. W nich samych. Są zepsuci do szpiku kości.

– Czemuż to nazywasz mnie grzesznicą? – warknęłam oburzona. – Nie robię przecież nic złego.

– Mnie nie oszukasz. Diabeł wie wszystko. Czyżbyś zapomniała o tym drobnym dzisiejszym incydencie tam, w bibliotece? To twój morderczy impuls sprawił, że wyszedłem z piekła, aby ci złożyć wizytę. Musisz wiedzieć, że nie mam zwyczaju tracić czasu na jakieś pospolite grzeszki.

– Ja... japrzenież... – W głowie zaczynało mi się kręcić. Skąd on to wie? Pociągnęłam wielki łyk wina i z osłupieniem wlepiłam wzrok w szklankę: wciąż była pełna. Jak to możliwe? Halucynacje czy co? – Przecież nic nie zrobiłam tej... pannicy...

– Nie zrobiłaś, bo cię powstrzymałem. Zabójstwo pokrzyżowałoby mi plany. Ale i bez tego było na co patrzeć! Pięknie nagrzeszyłaś! Za taki pokaz gniewu mogłabyś zdobyć Oscara, nie mówiąc już o pysze i zazdrości, co daje nam w sumie aż trzy spośród siedmiu grzechów głównych.

Otworzyłam usta, ale je prędko zamknęłam, nie ufając własnemu głosowi.

– Cztery pozostałe – kontynuował Mefisto, rozglądając się po salonie – z pewnością znajdziemy tutaj. Popatrz – wskazał głową elegancką damę stojącą na skraju środkowej grupy, jedną z tych wytwornych przyjaciółek Sally.

– Widzę już obżarstwo. Posłuchaj.

Sapnęłam głośno i chwyciłam się jego ramienia; muzyka nagle ucichła, a w głowie odezwał mi się czyjś głos. Co to takiego, na Boga? Telepatia?

*Wziąć jeszcze kawalek kurczaka? Chyba nikt nie zobaczy... Zostały tylko trzy nóżki... Zjadłam wprawdzie już cztery, ale przecież nikt tego nie liczy...*

Rozpoznałam ten głos! To ona, ta wytworna dama! Przypadkiem słyszałam jej rozmowę z Sally. Paplała o swojej ostatniej diecie. Ale jakim cudem słyszę ją teraz? Co się ze mną dzieje?

– Nie bój się – szepnął Mefisto – nie zwariowałaś. To tylko jedna z moich sztuczek. Słuchaj dalej.

*Gdyby mi się udało zgarnąć ten kąsek w serwetkę, mogłabym pójść do łazienki i spokojnie wyssać te kosteczki... mmm... doskonały ten tłuszcz...*

*A może wziąć cały półmisek? Że niby idę poczęstować gości w drugim pokoju? W ten sposób można by zwędzić wszystkie!*

Dama zaczęła zbliżać się chyłkiem do stołu. Teraz już z podziwem popatrzyłam na Mefista. Niezła sztuczka.

– Pokażę ci teraz lenistwo – szepnął mi do ucha, wskazując jakiegoś studenta tkwiącego sennie na sofie. Głos w mojej głowie przeszedł nagle w leniwy baryton.

*No i po cholerę obiecałem Sandrze, że wpadnę do niej po przyjęciu? Mam się drapać po nocy na to piekielne wzgórze? Nie, nie chce mi się... Zadzwoń, że nie przyjdę? Lepiej nie... gotowa jeszcze przylecieć i zwalić mi się na głowę. Najlepiej będzie udać, że zapomniałem. Wolno mi zapomnieć, prawda? O rany, cholernie chce mi się siusiu... trzeba by pójść do łazienki... ale tak mi tutaj wygodnie... Nie, nie będę się ruszał... Gdzież ja podziałem to piwo?*

Przed sofą przeszedł Duncan – głos ucichł. Pan domu zmienił taśmę z muzyką i zwrócił się do kogoś stojącego obok.

– No i jak leci, George? Masz ochotę na trochę disco? – Wykonał parodię dyskotekowego tańca i obaj panowie wybuchnęli śmiechem.

– Kolej na chciwość – wymamrotał półgłosem Mefisto.

*Nie uśmiechaj się tak głupio, George, dobiegł mnie głos Duncana. Takiś zadowolony ze swojego nowego citroena? Miej go sobie... Ciekawe, jaką zrobisz minę, gdy zobaczysz mnie w bmw. Już niedługo... Niech no tylko dostanę awans, a Sally dobije targu z tym nowym klientem... Gdyby nie te piekielne opłaty za szkołę, już bym pokazał ci tyły... I pokażę. Jak tylko matka Sally nareszcie kopnie w kalendarz, spłacimy hipotekę, i będę dobry... Ten stary nietoperz długo już nie pociągnie...*

– Jak ty to robisz, do licha? – spytałam Mefista, starając się nie parsknąć śmiechem. Wiec taki jest prawdziwy Duncan, płomienny rzecznik socjalizmu! – Czy ty mnie hipnotyzujesz?

– Sza! – przyłożył palec do ust. – Poczekaj, to jeszcze nie wszystko. Najlepsze zostawiłem na koniec. – Ujął mnie pod łokieć i obrócił, tak że w polu widzenia miałam teraz kominek, a przed nim Andrew i tę jego flame, pogrążonych w żywej konwersacji.

*Co też ona sobie o mnie myśli? Wzdrygnęłam się mimo woli, bo był to prawdziwy szok usłyszeć z tak bliska znajomy głos. Głos Andrew. Czy to tylko zbieg okoliczności, że przyszliśmy tutaj o tym samym czasie? Pewnie tak. Jednakże... stoi tak blisko... że czuję ciepło jej ciała.*

– Rozpusta – zachichotał Mefisto.

*Przez tę sukienkę wyraźnie widać jej sutki. Co by zrobiła, gdybym tak ich dotknął? Na Boga, o czym ja myślę? Pewnie dałaby mi w pysk, gdybym choć tylko spróbował pocałować ją na dobranoc. Muszę wziąć się w garść. Nie wolno robić z siebie durnia. Jej chodzi o stopnie za ostatni semestr... i tylko dlatego ze mną rozmawia... ale... czy nie wolno mi trochę pomarzyć? Wyobrazić sobie, że trzymam w dłoniach te piersi, że przykładam do nich policzki, czuję jedwabistą gładkość młodej skóry...*

Zacisnęłam powieki, by stłumić łyzy zazdrości i gniewnej urazy: o mnie z pewnością nigdy tak nie myślał. Mężczyźni. Wszyscy oni tacy sami. Dla nich liczy się tylko to, co sprawia przyjemność zmysłom. Żaden nie potrafi spojrzeć głębiej.

Poczułam na ramieniu rękę Mefista.

– Dużo byś dała, żeby się znaleźć w jej skórze, co, Harriet?

Gwałtownie obróciłam się w jego stronę. Zirytowała mnie nagła świadomość, że on i we mnie czyta jak w otwartej księdze. Zna wszystkie moje myśli dzięki swoim niegodziwym sztuczkom!

– Wcale bym nie chciała być taka jak ona! Gdybym była młoda i piękna, miałabym coś lepszego do roboty niż wdzięczenie się do mężczyzny, który mógłby być moim ojcem! Spróbowałabym żyć przyzwoicie... znaleźć choć trochę szczęścia w tym cholernym świecie!

Nic na to nie odrzekł, uśmiechnął się tylko z wyższością. Wypiłam potężny łyk wina – i zatkało mnie ze zdumienia: szklanka natychmiast wypełniła się znowu ciemnoczerwonym trunkiem. Sama z siebie! To niemożliwe! Musiał mnie czymś odurzyć. Wsypał mi do szklanki jakieś prochy.

– Skoro jesteś diabłem i wszystko możesz – syknęłam, wpatrując się w niego z wściekłością – to okaż tę swoją moc i spełnij moje pragnienia! – Czulałam, że wzbiera we mnie histeria, ale co tam! – Czego chcesz w zamian? Mojej duszy? A bierz ją sobie! Po co mi ona potrzebna? Moja dusza! Pies z kulawą nogą jej nie chce!

– Harriet! Co się dzieje?

Ktoś chwycił mnie za ramiona – Sally. Patrzyła na mnie z zatroskaną miną.

– Daj mi spokój! – Wyrwałam się z jej objęć i poszukałam wzrokiem Mefista. Nie było go. Zniknął.

– Chodź, Harriet, usiądź. – Sally znowu otoczyła mnie ramieniem. – Wiem, że przeżyłaś dziś okropny stres – powiedziała uspokajająco, prowadząc mnie w stronę sofy – ale nie martw się, moja droga, wszystko się ułoży. Już dobrze...

Wszyscy gapili się na mnie, jakby było na co. Chwiejnie klapnęłam na sofę. Strasznie kręciło mi się w głowie.

– Ten mężczyzna...

– Jaki mężczyzna? – Sally rozejrzała się dookoła. – Czyżby Andrew znów ci czymś dokuczył?

Zaczęłam opisywać jej Mefista – musiała go przecież widzieć. Słuchała w milczeniu, obracając w palcach naszyjnik – błyszczącą starość, nabytą ostatnio gdzieś na targowisku. Z kunsztownego łańcuszka zwisał pęczek jakichś amuletów. Przyjrzawszy im się bliżej, stwierdziłam, że wszystkie mają kształt pięciokątów.

– Nie, Harriet – odezwała się wreszcie. Jej głos dochodził do mnie jak gdyby z wielkiej odległości. – Nikogo takiego tu dzisiaj nie było. Musiałaś go chyba sobie uroić.

### ROZDZIAŁ 3

Fatalnie bolał mnie kark. Co z tą poduszką? Czemu taka twarda? Jakby ktoś zamienił ją na worek z piaskiem i przykleił go czymś do łóżka. Dlaczego to draństwo nawet nie drgnie? Z trudem zmieniłam pozycję i napotkałam jakąś miękką pionową powierzchnię, którą po dłuższej chwili udało mi się zidentyfikować jako oparcie sofy. Gdzie ja jestem?

Spróbowałam usiąść i świeceki stanęły mi w oczach, taki ból dźgnął mnie w prawe ramię. Cholera. Powoli otworzyłam oczy. Byłam w salonie – u Sally. W sączącym się przez kotary zimnym świetle ranka pokój wyglądał inaczej niż wczoraj – szaro i nieprzyjaźnie. Na stoliku przy sofie stały puste kieliszki po winie, w powietrzu wisiała ciężka woń skwaśniałego jadła i trunków. Od tych niemiłych wyziewów pod moją odrętwiałą czaszką jął odzywać się tępy ból. Dostałam dreszczy, więc szczerzej przykryłam się kołdrą – jakaś litościwa dusza musiała ją na mnie narzucić, ale kto i kiedy? Teraz dla odmiany oblały mnie zimne poty. Boże, co za okropność... Zebrało mi się na torsje.

– Nie śpisz już, Harriet? Przyniosłam ci kawę.

O Chryste! Błagam, zabierz stąd Sally! Spraw, aby to, co się dzieje, nie było prawdą, myślałam z rozpaczą, chowając głowę pod kołdrę. Pozwól mi zamknąć oczy i obudzić się we własnym łóżku. Przyrzekam, że się poprawię – ograniczę picie, przestanę źle myśleć o ludziach, przyłożę się bardziej do pracy...

Ach, przecież nie mam już pracy, a Bóg nie istnieje. Przepelniona nieznośnym żalem nad sobą, z rezygnacją usiadłam na sofie i trzęsącą się ręką sięgnęłam po filiżankę.

– Jak się czujesz? – zapytała Sally. – Spałaś wczoraj tak mocno, że nie mieliśmy serca cię budzić.

– Kochanie, nie widziałaś przypadkiem kluczyków od wozu? – Zapinając po drodze kołnierzyk koszuli, do pokoju wpakował się Duncan. Na mój widok gwałtownie przystanął. – Uch, przepraszam cię, Harriet. Na śmierć zapomniałem, że tu jesteś – oznajmił z szerokim uśmiechem. – Lepiej się dziś czujesz?

Spojrzałam na niego i nagle... zaczęłam coś sobie mętnie przypominać... Że wczoraj jakimś sposobem potrafiłam czytać w cudzych myślach i... tak! Że Duncan chciał mieć bmw, Andrew przelecieć tę dziewczynę, a ja... Ja chciałam znowu być młoda. Ale przecież to nonsens. Musiało mi się to przyśnić. Miałam po prostu zły sen.

Wymamrotałam jakieś przeprosiny i wymknęłam się do łazienki, gdzie od razu podbiegłam do lustra. Zobaczyłam w nim to co zwykle – twarz okrągłą jak księżyc w pełni, poznaczoną dziś na dodatek czerwonymi pręgami od twardej poręczy sofy, i lekko nabiegłe krwią oczy o niezbyt przytomnym spojrzeniu, otoczone suchą, pomarszczoną skórą. Policzki z całą siatką popękanych żyłek. Obwisły podbródek. Cienkie brunatne włosy, obcięte krótko, w stylu „bez żadnych dziwactw”. Jednym słowem, brzydką starą babę. Niepotrzebny rupieć.

Na domiar złego czułam się jak zżuta i wypluta – marzyłam wprost o kąpieli. Wielka biała wanna, obwieszona półeczkami z mnóstwem kolorowych flakoników i malutkich uroczych koszyczków z pięknie pachnącym mydłem, lśniła jak fałszywa obietnica... Cóż by to była za rozkosz zanurzyć się w gorącej aromatycznej wodzie... Musiałam niestety przewyciężyć tę pokusę. Nie wolno nadużywać cudzej gościnności. A zresztą czy jest sens się kąpać, kiedy człowiek nie ma się w co przebrać? Mam włożyć na siebie to samo ubranie, w którym spałam? Odrzuciwszy tę myśl, wyobraziłam sobie Sally, jak pławi się w morzu wonnej piany, jak wyłania się z niego wyświeżona, pachnąca i piękna, a potem owinięta białym mięciutkim ręcznikiem idzie do sypialni, gdzie ręcznik bezszelestnie opada na dywan, kiedy Duncan bierze ją w ramiona...

Musiałam poprzestać na pobieżnym myciu. Ochlapałam twarz zimną wodą, która oczywiście spłynęła mi zaraz po rękach, mocząc rękawy bluzki aż do łokci. Ręcznik pachniał wodą po goleniu. Przyjrzawszy mu się z bliska, znalazłam przyczepiony do tkaniny ciemny kędzierzawy włos. Czyżby tego właśnie ręcznika używał dziś Duncan? Zaczęłam powoli wycierać twarz, wyobrażając sobie to wszystko, co oglądał ów kawałek materiału, wędrując po męskim ciele. Widziałam, jak zsuwa się z brzucha ku intymnym częściom Duncana... tym sekretnym częściom dozwolonym jedynie dla Sally. Jak to jest być mężatką? Znać cudze ciało jak własne?

Z poczuciem, że nie powinnam o tym myśleć, chwyciłam z półki nad wanną jakiś bladoniebieski słoiczek. „Lapinique – głosił napis. – Krem do wszechstronnej pielęgnacji skóry. Nawilża, odżywia, odmładza.”

Czyżby w tym krył się sekret świetnego wyglądu Sally? Zaczerpnęłam palcem sporą ilość tej czarodziejskiej substancji i nałożyłam ją sobie na twarz. Przez następnych parę minut próbowałam wklepać to wszystko w skórę. Bez powodzenia. Zdecydowałam się zatem wytrzeć pozostałość ręcznikiem Duncana i z nadzieją zerknęłam w lustro: będą jakieś dobroczynne zmiany? Delikatnie, samymi opuszkami palców dotknęłam miejsc pod oczami. Hm... Skóra wydawała

się jakby mniej sucha, ale czy młodsza? Bóg raczy wiedzieć...

Ktoś poruszył klamką u drzwi. Drgnąłam z przestachu i chwyciwszy na chybił trafił jakąś szczoteczkę z wieszaka nad umywalką, szybko wyszorowałam zęby, szczoteczkę zaś osuszyłam wilgotnym już teraz i nieco lepkiem ręcznikiem. Grzebień! Nie znalazłam żadnego, zdecydowałam się więc przyczesać szczotką do mycia pleców, wiszącą na kołku przy drzwiach. Bez żadnej uchwytnej przyczyny spuściłam wodę w toalecie, wzięłam głęboki oddech i wyszłam do holu.

W połowie schodów dobiegły mnie z kuchni głosy Duncana i Sally.

– Właśnie że znacznie sensowniej jest sprzedać go teraz, przed końcem gwarancji.

– No wiesz! Po to mieć gwarancję, żeby z niej nie korzystać?

– O Boże! Nie będę ci teraz tłumaczył wszystkiego od początku. Poza tym te jazdy do twojej matki strasznie nabijają licznik. Jak będziemy czekać do wiosny, nie dostanę już takiej ceny.

– Ale ja lubię nasz wóz. Nie rozumiem, dlaczego chcesz wpakować tyle pieniędzy w coś takiego jak bmw.

Kaszlnęłam głośno, aby zasygnalizować, że wchodzę, nim jednak sięgnęłam do klamki, z kuchni wypadł Duncan, podzwaniając pękiem kluczyków.

– Widziałaś może Jenny? – zapytał. – Spóźni się na lekcję konnej jazdy. – Nie czekając na odpowiedź, posłał mi protekcyjny uśmiech i zniknął w drzwiach do garażu.

A więc Duncan naprawdę chce mieć bmw. Wszłam do kuchni, gdzie zastałam Sally zajętą układaniem naczyń w zmywarce.

– Zjesz coś, Harriet?

Pragnęłam stąd wyjść jak najprędzej, zgodziłam się jednak zjeść grzanek i wypić kawę. Siedząc przy wyszorowanym do białości stole – w tym samym walijskim stylu co kredens – przyglądałam się Sally zręcznie uwijającej się po kuchni.

Ma czterdzieści pięć lat, ale nikt by jej tyle nie dał. I zawsze taka elegancka! Dziś też wyglądała jak z żurnala: zgrabny ciemnozielony kostium, sięgające ramion blond włosy schludnie wymodelowane, na twarzy mistrzowski makijaż. Umie używać kosmetyków!

– Mam dziś spotkanie z klientem – wyjaśniła, patrząc na zegarek – ale nie musisz się spieszyć, dopiero o jedenastej. A poza tym nie mogę wyjść z domu, dopóki Duncan nie wróci z tej swojej szkółki jeździeckiej. – Umieściwszy kilka kromek chleba w chromowanym tosterze, podjęła przerwany wątek: – Jak wiesz,

w soboty raczej nie pracuję, ale dziś to szczególna sprawa. Duncan uważa, że powinnam przycisnąć klienta o parę prywatnych zleceń. Twierdzi, że zarabiałabym o wiele lepiej, gdybym odeszła z pracowni i zaczęła działać na własną rękę. Ja nie jestem tego taka pewna, trzeba jednak próbować swych sił, nie uważasz? W przeciwnym razie można utknąć na zawsze w jakiejś nieciekawej pracy.

Urwała nagle. Pewnie przyszła jej na myśl moja nudna praca i to, co mnie właśnie spotkało. Praca Sally wcale nie jest nudna. Projektowanie wnętrz to twórczość, sztuka budowania marzeń. Sally wyczarowuje tła, na których bogaci próżniacy mogą później przeżywać swe fantazje. Raz jest to sypialnia a la „Baśnie z tysiąca i jednej nocy” dla rozpieszczonej jedynaczki miejscowego przemysłowca, kiedy indziej gotycka jadalnia dla amerykańskiego bankiera czy rzymskie termy dla ekskluzywnego klubu zdrowia, z całym antycznym sztafażem, nie wyłączając posągów, marmurowych posadzek i mozaik.

Przed nosem wykwitła mi kawa i gorąca grzanka obficie posmarowana masłem.

– Wsuwaj – zakomenderowała Sally. – Dobrze ci zrobi – dodała, opadając na stojące naprzeciw mnie krzesło. W jej spojrzeniu dostrzegłam ciekawość. – Nie najświetniej dzisiaj wyglądasz.

Zaczęłam żałośnie żuć grzankę. Pewnie że nie najświetniej, zwłaszcza w porównaniu z tobą... Sally ma wszystko:

– ciekawą i dobrze płatną pracę, do tego męża, dzieci, piękny dom... Nic jej nie grozi. Do czego ja w ogóle jestem jej potrzebna? Czemu taka kobieta chce się ze mną przyjaźnić? Już nieraz zadawałam sobie to pytanie. Czyżbym miała jej służyć za odstraszący przykład, taki, jakimi posługują się dietetycy, polecając pacjentkom przylepić do drzwi lodówki obrazek z otyłą kobietą? „Uważaj, jeden fałszywy krok i będziesz wyglądać tak samo.”

Coś błysnęło przy ścianie kredensu, a ja z nagłym poczuciem winy przypomniałam sobie ukryte tam wczoraj butelki.

– Sally – spytałam z wahaniem – co tu się działo? Mam na myśli wczorajszy wieczór. Bardzo narozrabiałam?

Parsknęła śmiechem.

– Och nie, skądże! Świetnie się bawiłaś. Jeszcze nigdy nie widziałam cię w takim nastroju. Rozpuściłaś włosy i w ogóle... Pełny luz. No i bardzo dobrze. Musiało ci to być potrzebne.

Popatrzyłam na nią ze zdumieniem. Pełny luz? Dlaczego nic nie pamiętam?



– Sally, co znaczy to „w ogóle”? Co ja takiego robiłam?

– Zaraz... Niech sobie przypomnę, jak to było... No więc tak: w pewnej chwili zaczęłaś zachowywać się trochę dziwnie. Szukałaś jakiegoś studenta, który rzekomo miał cię czymś odurzyć. Wypytywałaś wszystkich po kolei, czy nie zauważyli, że dosypuje ci czegoś do szklanki. Później – Sally uśmiechnęła się z rozbawieniem – później Duncan podkręcił muzykę i poprosił cię do tańca. Och, Harriet, ależ z ciebie cicha woda! Nie miałam pojęcia, że potrafisz się tak poruszać.

Wzdrygnęłam się w duchu: co pomyślał sobie o mnie Andrew?

– A potem tańczyłaś z Andrew...

– Niemożliwe!

– Ależ tak! Przetańczyliście razem cały album Dire Straits. Nie wyobrażałam sobie, że i Andrew potrafi tak hasać. Może oboje piliście to samo. – Pochyliła się ku mnie przez stół i spytała konfidencjonalnie: – Nie powiesz mi chyba, że zapomniałaś o dzisiejszej randce?

– O randce?

– No tak. Popołudniowa herbatka czy coś w tym rodzaju. Mniejsza o nazwę. Kiedy już przestaliście szaleć na parkiecie, co trwało dłuższą chwilę, prawdę mówiąc więcej niż godzinę, wszczęliście wielką debatę na temat dobra i zła. Bardzo intelektualną. Nie będę udawać, że cokolwiek z niej zrozumiałam, dla mnie to za mądre. Pamiętam tylko, co powiedział Andrew: że o tym wszystkim napisał już Marł owe w swoim „Fauście” i że chętnie ci to pokaże, jeśli go odwiedzisz dzisiaj po południu. Obiecał ci także pieczone placuszki.

– Nie pamiętasz przypadkiem, o której to miało być? – bąknęłam z głupią miną. W głowie miałam białą plamę. Żeby tak kompletnie zapomnieć! Co ja nagadałam temu Andrew?

– O czwartej – uśmiechnęła się Sally. – Coś mi się zdaje, że on czuje do ciebie miętę.

Do mnie? Wierutne bzdury! Nie widziała, jak flirtował z tą studentką? A jednak jej słowa odniosły isticie czarodziejski skutek – wzbudziły we mnie szaleńczą nadzieję, że może mimo wszystko myślę się co do Andrew, może jednak mu na mnie zależy. Zerknęłam na zegarek: jedenasta. Jeszcze tylko pięć godzin...

Wybiegłam od Sally takim pędem, że na ścieżce przed domem zderzyłam się z powracającym akurat Duncanem. Kilkanaście broszur reklamowych firmy BMW wylądowało na klombie.

Zaraz po przyjsciu do domu zaaplikowałam sobie długą kąpiel połączoną

z myciem głowy, postanowiłam bowiem oczyścić ciało i umysł z wszelkich nieprzyjemnych śladów swoich wczorajszych ekscesów. Popołudnie wlokło się jak ślimak. Próbowałam czytać – nic z tego, w żaden sposób nie mogłam się skupić. Ten wczorajszy wieczór... Co u licha we mnie wstąpiło? Że też pozwoliłam sobie aż tak się upić! I po tym wszystkim Andrew postanowił mnie zaprosić? To właśnie było najbardziej zastanawiające.

Już za pięć czwarta stanęłam pod jego drzwiami, stremowana jak nastolatka przed pierwszą randką. Uśmiechnął się na mój widok.

– Czujesz się dziś lepiej?

Poprowadził mnie do salonu, gdzie zajęłam swoje zwykłe miejsce – w fotelu obok kominka. Czy padnie mi teraz do stóp, by wyznać dozgonną, tak długo tajoną miłość?

– Zdaje się, że wczoraj wszyscy wypiliśmy trochę za dużo – stwierdził z lekkim westchnieniem, przeczesując palcami brodę. – Strasznie trudno mi było zabrać się dziś do pracy. Widzisz tę stertę? – wykonał nieokreślony gest w stronę biurka. – Eseje moich studentów. Do wtorku muszę je ocenić, a cały poniedziałek mam dosłownie wypchany spotkaniami, na jutro natomiast jedna z mych studentek zamówiła sobie ekstrakonsultację. Będę musiał wieczorem uporać się jakoś z tą górą – rzucił smętnie już w drodze do kuchni. – Nie wypada zawalać roboty z powodu dzikiej hulanki, prawda? – zakończył, przystając w otwartych drzwiach.

– Cóż, Andrew – bąknęłam – bierzesz na siebie tyle obowiązków... – Nadzieje, że ta wizyta przekształci się wreszcie w romantyczny wieczór, prysły jak bańka mydlana. Sally swoim zwyczajem grubo przesadziła.

– To prawda – mruknął. – Wciąż tylko praca i żadnej rozrywki. – Wrócił właśnie z papierową torbą, z której wydobył opakowane w celofan zawiniątko. Placuszki. – Masz ochotę?

Wiem, na co ty masz ochotę! Musiałam ugryźć się w język, żeby nie powiedzieć tego głośno. Nie zapomniałam, jakim wzrokiem pożerał wczoraj tę studentkę. Mogłabym założyć się o każdą sumę, że wiem, kto przychodzi na tę niedzielną „ekstrakonsultację”. Tak ważną, że poświęcasz na to cały dzień. Wetknął mi w rękę widelec, więc czekałam cierpliwie, aż upora się z opakowaniem. Robił to w taki sposób, że cała zawartość paczuszki wylądowała w końcu na leżącym przed kominkiem dywaniku.

– Całkiem jak w studenckich czasach, co? – zauważył beztrosko. Podniósł upuszczony placuszek, nabił na widelec smętnie zwisający mi z ręki i nakierował ją w stronę skwierczącego ognia. Nie lepiej byłoby przypiec to na ruszcie?

pomyślałam. Każdy by tak zrobił, ale nie Andrew. Tylko że to właśnie stanowiło jego zaletę. Był inny niż wszyscy i za to go kochałam.

Cenił tradycyjne wartości. Podobnie jak ja lubił wiktoriańskie powieści i szczęśliwe zakończenia. I wierzył w zwycięstwo dobra – jeśli już nie w życiu, to przynajmniej w literaturze. W życiu zresztą także trzymał się własnych, niemodnych już zasad. Na przykład gdy uczelni obcięto fundusze, on jeden odmówił okrojenia wykładów; nie obniżył też wymagań wobec swych studentów, choć działa się tak wszędzie dookoła. Uważano go za ekscentryka, zarzucano mu staroświeckość, dla mnie jednak była to uczciwość. Uważałam Andrew za człowieka honoru, to znaczy... najczęściej tak było.

– Pójdę nastawić czajnik – oznajmił, kierując się do kuchni. Patrzyłam na niego ukradkiem, starając się pogodzić swój romantyczny obraz jego osoby z tymi jakże przyziemnymi realiami. Czy wszyscy rycerze zamieniają z czasem swe białe rumaki na miękkie bambosze, zastawę do herbaty i kominek? Mój rycerz zamiast lśniącej zbroi miał na sobie sztruksowe workowate spodnie w kolorze ciemnobrązowym i wymiętą sportową marynarkę z łatami na łokciach i wystrzępionymi rękawami. Czarne trykotowe polo nadawało mu z lekka artystyczny wygląd, stanowiąc zarazem doskonale tło dla jego siwiejących włosów – był niezbyt ciemnym szatynem – aczkolwiek i dla łupieżu, obficie sypiącego mu się z głowy, ilekroć przeganiał sobie włosy. Sięgały mu prawie do ramion. Choć jego fryzurze brakowało wszelkiego stylu, ja ją uwielbiałam; cierpiałam też skrycie za każdym razem, kiedy fryzjer skrócił mu ją bodaj o centymetr.

Czajnik wykonał już swoją powinność i Andrew mógł wreszcie zasiąść obok mnie przy kominku, tylko że teraz zajął się dla odmiany swym wytwornym sprzętem do herbaty, poświęcając mu więcej uwagi niż mnie. Czegóż tam nie było! Dzbanek z szydełkowym kapturkiem, malutkie delikatne filiżanki i także spodeczki, miseczka na cukier i srebrne szczypczyki, miniaturowe siteczko, łyżeczki, kilka srebrnych tacek i piękny dzbanuszek do mleka. Nabiwszy na widelec trzeci już placuszek, zbliżyłam go do ognia, delektując się mimo wszystko swojską atmosferą tego rytuału. Gdy Andrew zaczął nalewać herbatę, zagapiłam się w jego profil: fascynujące, jak potrafi zmieniać się ta twarz zależnie od punktu widzenia! W tym „kadrze” jego orli nos oświetlony blaskiem kominka stał się jeszcze bardziej wydatny, a gładkie normalnie policzki, obciągnięte papierowo suchą skórą, wyglądały jak płaskorzeźba. Każda wyryta tu linia wydawała mi się hieroglifem brzemienym w ukryte znaczenia.

– Nad czym tak dumasz, Harriet? – zapytał, unosząc brew. – Czy coś się

stało?

Zawahałam się lekko. Czyżby Sally nic mu nie mówiła?

Okazało się, że jednak nie. Gdy poinformowałam go krótko, że zwolniono mnie z pracy, dodając, w jaki sposób, wydawał się wstrząśnięty i zatroskany. Pochylił się naprzód i dotknął mej dłoni, mamrocząc ze szczerym współczuciem:

– Jeśli mógłbym coś dla ciebie zrobić...

Obejmij mnie, ty idioto! krzyknęłam bezgłośnie. Przynajmniej usiądź trochę bliżej.

Mój placuszek zajął się ogniem. Przerazona rzuciłam widelec, który upadł na palenisko, wzniecając deszcz iskier. Na dywanik sfrunęły płonące okruchy ciasta.

– O psiakrew! – mruknął Andrew. Poderwał się z miejsca i zaczął zadeptywać małe ogniska rozsiane po dywaniku. – A mówiłem sobie, żeby kupić więcej tych placuszków! I co teraz będzie? – Odwrócił się do mnie i wyszczerzył zęby. – O ten ostatni będziesz pewnie musiała stoczyć ze mną walkę!

Szansa na romans wyraźnie przepadła. Już prawie się z tym pogodziłam, ale jak on może w takiej chwili pozwalać sobie na żarty? Zapomniał, że straciłam pracę? Nie rozumie, że cały mój świat runął w gruzy? On tymczasem kucnął przy kominku i sam już się zajął kolejnym placuszkami, bojąc się najwidoczniej, że mogą spalić na popiół całą resztę jego poczęstunku.

– Wiesz, Harriet – odezwał się z wolna – takie rzeczy okazują się czasem zbawienne, choć z początku na to nie wygląda.

O czym on mówi, do diabła? Pociągnąwszy nosem z żalości nad sobą, wlepiłam oczy w tłące się jeszcze fragmenty mocno steranego dywanika.

– Chcesz powiedzieć – spytałam z wątlym uśmiechem – że stworzyłam ci pretekst do kupna nowego dywanu?

– A po cóż mi nowy dywan? – rzucił ze szczerym zdziwieniem. – Mówiłem o wcześniejszej emeryturze. Że dla ciebie może to oznaczać początek nowego życia. Będziesz miała teraz dość czasu na własne zainteresowania, no w ogóle na wszystko, co może ci sprawić przyjemność. Prawdę mówiąc, nawet ci trochę zazdroszczę.

O, nie były to słowa, które pragnęłam usłyszeć! Łaknęłam współczucia – całego morza współczucia. Żebym mogła godzinami wylewać swe żale – narzekać na niesprawiedliwość zwierzchników, ubolewać nad upadkiem mojej biblioteki, a nade wszystko usłyszeć od Andrew, że równie surowo jak ja ocenia osobę panny Annette Baker: ona i jej podobni stanowią zagrożenie dla cywilizacji; przez nich ludzie oduczą się czytać i pisać!

– Gdyby to mnie dano tego rodzaju szansę – ciągnął Andrew – skorzystałbym z niej bez namysłu, niestety, wiele jeszcze wody upłynie, nim będę miał taką możliwość. Cięży na mnie zbyt dużo długoterminowych zobowiązań... Poza tym – uzupełnił, odwracając ostrożnie widelec – na wydziale panuje taki bałagan, że gdyby mnie tam zabrakło, to koniec. Wszystko by poszło w rozsypkę. Ktoś musi to trzymać w garści.

Ci mężczyźni! Każdemu się zdaje, że jest jedyny i niezastąpiony. I liczy się wyłącznie jego praca. No bo co robi Andrew? Mówi o sobie. O moim nieszczęściu zdążył już zapomnieć. Tylko patrzeć, jak napomknie o tej swojej książce... Postanowiłam go ubiec.

– Jak ci idzie pisanie? – wpadłam mu w słowo, starannie ukrywając swój zawód. Jeszcze tego brakuje, aby mi zarzucił, że się nad sobą rozczulam.

– Ach, z tym jest największy kłopot. – Wrzucił na talerz czwarty placuszek i sięgnął po masło. Ostatni, pomyślałam, przeznaczony jest pewnie na później. Skonsumuje go po moim wyjściu. – Rzec w tym, że wciąż brak mi czasu.

Ta książka! Pracował nad nią już chyba pięć lat. Jak zdołałam wywnioskować z jego bardzo powściągliwych uwag, miało to być studium jakichś mitów i legend. Nie widziałam jak dotąd ani jednej strony owego dzieła, toteż czasem przychodziło mi na myśl, że może samo jest mitem? Doskonałą wymówką pozwalającą Andrew wykręcić się od kłopotliwych spotkań towarzyskich albo skrócić zbyt nudną wizytę.

– Tak więc – mówił dalej – powinnaś dostrzegać jasne strony swojej sytuacji. Mogłabyś... mm... – wgrzył się łakomie w ociekający masłem placuszek, zachęcając mnie gestem, abym poszła za jego przykładem – ...mogłabyś i ty coś pisać. Jestem pewien, że cię na to stać. Powinnaś pójść na jakiś kurs literacki. Nasz uniwersytet prowadzi wiele takich kursów. Masz teraz czas, więc to idealny moment.

On nic nie rozumie. Kompletnie. Czasu to ja zawsze miałam dosyć. Znacznie więcej, niż było mi trzeba. Stały mi przed oczyma wszystkie samotne wieczory, weekendy długie jak wieczność, cała żaloszna szarzyzna mojej egzystencji, wśród której z rzadka tylko błyskał promyk słońca – a były nim nasze spotkania. Czy choć raz przyszło mu na myśl, że nie z miłości do literatury tak żarłocznie pożeram książki, ale z chęci ucieczki od pustki swojego życia?

– Wypowiedziałaś wczoraj tyle fascynujących uwag o „Fauście” i jego legendzie. Studiujesz to zagadnienie?

– Nie. – Byłam mu wdzięczna, że przestał mówić o kursach. – Widziałam raz

sztukę Marlowe'a na scenie, niewiele z niej jednak pamiętam. Masz może coś na ten temat?

– Zobaczmy... – Podszedł do półki i wyjął z niej kilka tomów. – Mam Marlowe'a, Goethego i trochę komentarzy... Mogę ci je pożyczyć.

Zaczęłam przeglądać te książki, zerkając ukradkiem na Andrew, który wchłonął tymczasem trzy pozostałe placuszki i aż cztery filiżanki herbaty. I nagle wpadła mi w oko dziwnie znajoma fraza: „Arcymonarcha i pan wszystkich duchów”. Niedawno gdzieś ją słyszałam, ale gdzie?

– Wielu pisarzy próbowało się zmierzyć z legendą Fausta – stwierdził Andrew. Wyjął mi z ręki książkę, nasadził na nos okulary i w zadumie ją przewracać strony. – Marlowe zrobił z tego zwykły moralitet. Jego Faust zawiera pakt z diabłem, który w zamian za duszę ofiarowuje mu ekstra dwadzieścia cztery lata życia. Bohater dramatu trwoni jednak te lata na ziemskie uciechy, by dojść na koniec do wniosku, że wszystko to była marność. Pełen skruchy pragnie odpokutować za swoje występki, cóż, kiedy jest już za późno. O północy zjawia się Mefisto, porywa grzesznika i zabiera do piekła. – Przybliżywszy książkę do ognia, Andrew odczytał stosowny fragment: – „Z wolna się toczą gwiazdy, czas ucieka, Zegar uderzy, szatan się pojawi i Faust potępion”.

Okulary i odbijający się w nich blask płomieni nadały jego twarzy całkiem inny wyraz. Łakomy uczeń ustąpił miejsca wyrafinowanemu intelektualistcie. Było w nim teraz coś tajemniczego. Ten Andrew wydał mi się jeszcze bardziej pociągający, lecz zarazem daleki i tak nieprzystępny...

– Goethe natomiast – mówił dalej – jako człowiek Oświecenia, wierzył w odpuszczenie grzechów. Uważał, że naturalnym prawem jednostki jest dążenie do prawdy, więc chociaż na drodze ku jej poznaniu człowiek popełnia błędy, Bóg może mu to wybaczyć. – Przerwawszy na moment swój wywód, tak energicznie zaatakował ostatni kawałek placuszka, że z ust trysnął mu strumyk stopionego masła, spłynął po podbródku i zatłuścił brodę.

Miałam wielką ochotę chwycić chusteczkę i wytrzeć mu tę tłustą plamę, byłaby to jednak zbyt daleko idąca poufałość. Aby przewyciężyć ów niewczesny impuls, wetknęłam nos w drugą książkę. I znowu pewne jej frazy wydały mi się znajome. Zaczęła powracać mi pamięć wydarzeń ostatniej nocy.

– Tak więc w interpretacji Goethego Faust nie zostaje potępiony. W ostatniej chwili jakaś siła wyrывa go diabłu i unosi w niebiosa. Goethe wzbogacił też motyw Fausta o nowy wątek. *Das ewig Weibliche*.

– Das co?

– To znaczy „wieczna kobiecość” – odrzekł marzycielskim tonem i roześmiał się cicho. – Tym, co ratuje Fausta od piekła, jest miłość dobrej kobiety.

Poczułam ostre ukłucie zazdrości: o kim on teraz myśli? Sięgnął po książkę, którą miałam w ręku – był to „Faust” Goethego – więc czym prędzej przybliżyłam ją do oczu, udając, że czytam. Spójrz na mnie, Andrew, prosiłam bezgłośnie, to ja jestem dobrą kobietą, a nie ta twoja studentka. Wiesz, co ona robi? Przeżuje cię i wypluje, a ja... ja uratuję cię przed wszystkim. Wierz mi, nie wezmę ci za złe nawet tego masła na brodzie.

– W późniejszych interpretacjach tej legendy pojawiło się oczywiście wiele nowych wątków...

Przestałam słuchać, gapiąc się szeroko otwartymi oczyma w kolejną stronicę książki, gdzie widniał taki oto fragment:

*Mefistofeles: – Wyznać ci muszę! Dla mnie zamknięta jest droga przez ten maleńki znaczek u twojego proga.*

*Faust: – Pentagram broni?*

Moja pamięć gwałtownie ożyła – teraz przypomniałam sobie wszystko. Pięciokąt w naszyjniku Sally, studenta, który twierdził, że ma na imię Mefisto, jego bezczelne przechwałki, a potem kuglarskie sztuczki. I to, że nikt go nie znalazł ani nawet nie pamiętał, by ktoś taki był na przyjęciu. Ale ja pamiętałam. Pamiętałam też jego nagłe zniknięcie, gdy zbliżyła się do nas Sally. Dotknęłam ramienia Andrew i pokazałam mu to miejsce w tekście.

– O co chodzi z tym pentagramem?

Poprawił okulary i przebiegł spojrzeniem wskazany fragment.

– Och, to taki żarcik Goethego. Mefistofeles nie może wyjść z pracowni Fausta, gdyż nad drzwiami wisi amulet.

Foremny pięciokąt w kształcie gwiazdy, czyli pentagram, to tradycyjny talizman chroniący przed demonami.

Czy to możliwe? zadałam sobie pytanie. Czy istnieje jakiegokolwiek prawdopodobieństwo, że zeszłego wieczoru rzeczywiście objawił mi się diabeł? No dobrze, założmy, że to był diabeł. Z jakiego powodu miałby się wdawać w rozmowy akurat ze mną? Na przyjęciu było tyle osób, wśród których mógł bez trudu znaleźć sobie kogoś ciekawszego. Nie, to czysty nonsens.

– Powiedz mi, Andrew, dlaczego w tych wszystkich utworach osobą paktującą z diabłem jest zawsze mężczyzna?

Wyraźnie zaskoczyłam go tym pytaniem, szybko jednak odzyskał kontenans.

– Dlaczego? – powtórzył z uśmiechem. – Myślę, że feministki musiały

przeoczyć ten temat. Możesz być jednak pewna, że wkrótce się za to wezmą. Ha, Faust w spódnicy!

– zachichotał. – Dałby on diabłu popalić!

– Kobieta może nie byłaby tak łasa na te doczesne uciechy – odparłam uszczypliwym tonem. – Mam w sobie zbyt dużo godności, żeby się rzucać na oślep na każdą napotkaną nowość. Nic nie mam przeciwko poznawaniu prawdy, nie za każde jednak doświadczenie warto płacić duszą. – Na chwilę zamilkłam, bo nagle nie wiadomo czemu zebrało mi się na płacz. Cóż ze mnie za hipokrytka! zachnęłam się w duchu. Przecież gdyby ktokolwiek zaproponował mi choć trochę tych doczesnych uciech, rzuciłabym się na nie jak wilk, nie bacząc na żadną godność.

– Muszę już iść – powiedziałam głośno, podnosząc się z miejsca. – Mam do zrobienia jeszcze parę rzeczy, a później wychodzę, jestem umówiona. – Bezsensowne kłamstwa, nie zamierzałam jednak czekać do momentu, aż Andrew zacznie mówić o swoich esejach, dając mi do zrozumienia, że powinnam się wynieść. Ambicja. Czemu ta piekielna ambicja każe nam wciąż postępować wbrew naszym prawdziwym pragnieniom?

– Och, musisz już iść? – Z widocznym rozczarowaniem zerknął na zegarek. – A ja cię chciałem zaprosić do pubu...

– A ja myślałam... – Zagapiłam się w niego z poczuciem totalnej klęski. Psiakrew! Tak zmarnować szansę! Trzeba było poczekać jeszcze parę minut, zamiast otwierać tę głupią gębę!

Wstał również i poklepał mnie po ramieniu.

– Masz rację, Harriet. Jak zwykle. Powinienem przeczytać dziś te eseje. Co ja bym bez ciebie zrobił? Nikt tak jak ty nie potrafi mnie przywołać do porządku.

– Ja... hm... mogłabym zmienić plany...

– Nonsens, moja droga – zaprotestował z uśmiechem. – Nie śmiałybym psuć twoich planów. Zachowałem się przed chwilą jak skończony egoista, nie biorąc ich pod uwagę. Należało wcześniej złożyć ci tę propozycję.

– Zatem innym razem? – spytałam rozmyślnie niedbałym tonem. Nawet mi to nieźle wyszło. – Może w przyszłym tygodniu?

– Och tak, oczywiście. – Po tych słowach nagle się zasepił. – Tylko wiesz, fatalnie się składa... prawie wszystkie najbliższe wieczory mam zajęte. Jest koniec semestru i z tej okazji każdy wydział czuje się w obowiązku urządzić jakąś nudną fetę. Wcale mnie to nie bawi, ale cóż... trzeba robić dobrą minę do złej gry w imię poprawnych stosunków międzywydziałowych. – Zaśmiał się głośno, więc



musiałam zrobić to i ja, choć w tym, co powiedział, nie było nic zabawnego. – Zadzwoń do ciebie – obiecał, odprowadzając mnie do wyjścia.

Byłam już prawie na schodach, kiedy usłyszałam:

– Harriet? Zawróciłam w te pędy.

– Tak?

– Bardzo ci współczuję z powodu utraty pracy, nie wolno ci się jednak załamywać. Wierz mi, takie rzeczy najczęściej wychodzą nam na dobre – powiedział już z ręką na klawiszach. – Życzę ci wesołych świąt na wypadek, gdybyśmy się już nie spotkali.

Pomaszerowałam do domu przez ciemne i zimne ulice. Lodowaty wicher chłostał mnie wściekle po twarzy, ale co tam! Sprawiało mi to nawet masochistyczną przyjemność.

Mogłam też udawać, że to tylko ten wiatr wyciska mi z oczu piekące strumienie łez. Byłam pewna, że Andrew nie odezwie się już przed świętami. I co teraz mam z sobą począć? Jak pokonać tę straszną samotność, skoro nie mam już nawet pracy? Moja przyszłość wyglądała beznadziejnie. Była czarna jak bezdenna otchłań. A na skraju tej strasznej przepaści migotały jak na ironię wesolutkie świąteczne lampki.

## ROZDZIAŁ 4

Już wchodząc do domu, otwierałam w myślach butelkę. Po ciemku, nawet nie zdejmując płaszcza, skierowałam się wprost do salonu, gdzie na siedzisku pod oknem zostawiłam napoczętą whisky. Nie było jej tam. Jak to możliwe? Nie wypilałam przecież wszystkiego!

Coś uderzyło mnie w nozdrza. Dym? Co u diabła...

– Twoja whisky jest tutaj – przemówił czyjś głos. Wrzasnęłam z przerażenia i rzuciłam się do ucieczki.

Byłam już w połowie drogi do drzwi, gdy światło zapaliło się samo. Obróciwszy się na pięcie, zobaczyłam jakąś postać wyciągniętą leniwie na sofie i w następnej sekundzie dotarło do mnie, że to ten student z przyjęcia, rzekomy Mefisto. W jednej ręce trzymał szklanekę whisky, w drugiej papierosa.

– Pijesz bez wody, prawda? Nalałem ci podwójną – oznajmił rzeczowo, wskazując stojącą na stoliku szklanekę.

– Jak się tu dostałeś? – wykrztusiłam chrapliwym głosem; nie mogłam wprost uwierzyć własnym oczom.

– Długo siedziałaś u tego Andrew. I po co? – wycedził szyderczo. – Liczyłaś na świąteczny pocałunek?

– Wynoś się stąd! – pisnęłam histerycznie. – Wynoś się, i to już, bo zadzwonię na policję!

Dmuchnął w górę zgrabnym kółkiem dymu.

– Oj, Harriet, spodziewałem się po tobie czegoś bardziej oryginalnego. Darujmy sobie te wrzaski i napijmy się razem, co? W moim towarzystwie butelka wystarcza na dłużej, pamiętasz?

Staralam się wymyślić jakąś ciętą replikę, lecz bardziej niż czegokolwiek pragnęłam się teraz napić. Wychyliwszy jednym haustem czekającą na stole hojną porcję whisky, od razu nalałam sobie drugą. Natychmiast też poczułam, jak po całym ciele rozchodzi mi się błogie ciepło, likwidując resztki porannego kaca.

– Najwyższa pora, abyś wreszcie się wytłumaczył – oznajmiłam nieproszonemu gościowi, gromiąc go ostrym spojrzeniem. Takie przynajmniej miało być w moich intencjach. – I mógłbyś zdjąć z mojej sofy te zabłocone buciska.

W taki sposób zerknął na buty, jakby widział je po raz pierwszy.

– Z twojej sofy? Ach tak... rozumiem. – Wzruszył ramionami i bez pośpiechu

opuścił nogi na dywan. Buty miał z czarnej skóry, a nosił je po kowbojsku – naciągnięte na spodnie. Na resztę jego ubioru składały się wąskie niebieskie dżinsy i czarny sweter. Niedbałym ruchem podciągnął rękawy do łokci, ukazując muskularne przedramiona, porośnięte gęstym czarnym włosiem.

– No wiec? Czekam na wyjaśnienia.

– „Czasami rzeczą najcenniejszą są nasze nierozważne czyny” – wyrecytował.

Do licha, znów te pozerskie popisy. I któż to tym razem, Marlowe czy Goethe?

– Słuchaj – powiedziałam tonem guwernantki karcącej krnąbrnego ucznia – nie wydaje ci się, że trochę za bardzo mieszasz rzeczywistość z fikcją? Mam wrażenie, że przestałeś je rozróżniać. To nawet dosyć zabawne, proponuję ci jednak zejść teraz na ziemię. Może powiesz mi w końcu, co tu robisz?

– Nie, Harriet, to ty nie odróżniasz rzeczywistości od fikcji. Co mam zrobić, żebyś wreszcie mi uwierzyła?

– W to, że jesteś diabłem? – spytałam ze śmiechem.

– Oczywiście coś diabelnie przekonującego. Chyba nie myślisz, że dałam się nabrać na te twoje salonowe sztuczki?

Zamiast odpowiedzieć, wlepił we mnie oczy. Patrzył tak długą chwilę, a ja... ja poczułam dziwne łaskotanie w brzuchu. Nie miało to nic wspólnego z pochłoniętą whisky. To moje ciało, moje biedne ogłupiałe ciało zaczęło nagle wysyłać słabe, acz całkiem wyraźne sygnały pożądania. Mefisto tymczasem, nadal paralizując mnie wzrokiem, podsunął się bliżej i znienacka pogładził po łydce.

– Podobam ci się, co, Harriet? Odskokczyłam jak oparzona.

– Nic podobnego! – Też coś! Wstyd było nawet o tym myśleć. Kobieta w moim wieku! Jakież to niesmaczne!

Cóż, kiedy była to prawda. Rzeczywiście budził we mnie dziwaczne emocje – mieszanię odrazy i żądy. Odsunęłam się aż pod okno i z tej odległości spróbowałam przyjrzeć mu się bardziej obiektywnie. Prezentował się dość niechlujnie – to ubranie, te zmierzwione włosy – a jednak na swój sposób był bardzo przystojny. Miał w sobie coś z Cygana – pewnie przez tę smagłą skórę – czy raczej awanturnika, a jego twarz należała do tych, których nie sposób przeoczyć nawet w największym tłumie. Takie twarze mają buntownicy. Wokół ust czaił mu się wyraz okrucieństwa i zarazem coś jakby grzeszna obietnica... Kobietom czułym na jego urok musiał się przez to wydawać jeszcze bardziej pociągający... Doszłam do wniosku, że to zimny cynik, pozbawiony emocji i wszelkich skrupułów. Niebezpieczny. Mężczyzna, któremu nie należy ufać.

– Pragnę cię, Harriet...

– Co takiego? – W głowie miałam jeden wielki zamęt.

– Mogłabym być twoją...

– Och nie! – przerwał mi ze śmiechem. – Nie mówię o takich pragnieniach. Te mogą sobie poczekać.

– Ale powiedziałaś... – Na policzki wybił mi rumieniec. Cóż za głupota! Czyż taka stara i brzydka baba mogłaby mu się spodobać?

Mrugnął do mnie kpiąco.

– Że cię pragnę? Tak. Pragnę twojej duszy, Harriet, i chcę, byś ofiarowała mi ją dobrowolnie. Dlaczego? Ponieważ jestem diabłem i zaraz ci to udowodnię. Chodź tutaj.

Co on zamierza zrobić? Wydałam z siebie słaby jęk protestu, czułam jednak, że opuszcza mnie cała wola, że ten człowiek czy diabeł ma nade mną absolutną władzę. Przestało mnie nagle obchodzić, co się ze mną stanie. Wielkie rzeczy. Nikt nie troszczy się o mój los, więc i ja nie muszę się tym przejmować. Zrobiłam kilka chwiejnych kroków i stanęłam przed nim.

– Usiądź – powiedział – chcę ci coś pokazać.

*Niedziela, 14 grudnia* Niewiarygodne, że to wszystko dzieje się naprawdę. Opisując te wydarzenia, próbuję udowodnić samej sobie, że nie zwariowałam. Może gdy to przeczytam – za parę dni czy nawet lat – będę śmiać się z własnej głupoty, obłąkanych mrzonek zrozpaczonej starej kobiety, teraz jednak, w chwili gdy to piszę, jestem przekonana, że nie są to urojenia, ale rzeczywistość. Wierzę, iż nadszedł ten moment, na który czekałam przez całe życie.

Obudził mnie rankiem dźwięk dzwonów. Słyszę je w każdą niedzielę – i zawsze szarpia mi nerwy – ale to dziś po raz pierwszy zrozumiałam ich mowę: Bóg wzywa zbłąkane dusze do pokuty. Ciekawe, jaką szansę odpuszczenia grzechów mogłaby mieć dusza tak zagubiona jak moja?

Byłam wczoraj bliska popełnienia tego, co ludzie nazywają grzechem. Dla mnie to nie jest grzech. Prawda, że ten Mefisto mógłby być moim synem, ale czy to taka zbrodnia? Czemu miałabym odmawiać sobie przyjemności, skoro ktoś mi ją ofiarowuje? Zwłaszcza że byłby to pierwszy raz od niemal trzydziestu lat. Prawie do końca jego wizyty byłam przekonana, że ten młody człowiek prowadzi ze mną wiadomą grę, a jego „diabelskie” gadki to zwyczajny kamuflaż maskujący drobną aberrację seksualną – pociąg do starszych kobiet. Jeśli mam być szczerą, to muszę wyznać, że byłam tym mocno podekscytowana i bardzo skora do „grzechu” – ostatecznie ile jeszcze razy może mi się trafić taka gratka?

Pomyliłam się jednak kompletnie i co do Mefista, i co do jego intencji. Bo nie

była to gra, a on wcale nie pragnął mego ciała. Grzech jednak popełniłam, i to największy ze wszystkich – zaprzedałam diabłu duszę. Jak mogę w to wierzyć, zwłaszcza że nie wierzę w Boga? Czyżby diabeł był dla mnie bardziej wiarygodny? Powiedział, że mnie przekona, i tak się też stało.

Spodziewałam się, że znowu będzie to jakaś sztuczka, no i była. Tyle że w żaden racjonalny sposób nie potrafię jej wytłumaczyć. Nie mógł to być również zwyczajny zbieg okoliczności. Znam prawdopodobieństwo takiego przypadku – wynosi ono jeden do czterestu milionów. Wiedzą o tym wszyscy uczestnicy Narodowej Loterii Pieniężnej. Mefisto tymczasem przewidział zwycięski numer już na pół godziny przed losowaniem. Zapisał te liczby na jakimś kwicie ze sklepu i wcisnął mi go do ręki. Pół godziny! Gdybym tak jak mi radził, pobiegła do kolektury – była jeszcze czynna – obudziłabym się dzisiaj jako milionerka. Teraz już nie wątpię, że tak by się stało, że mój los miałby właśnie taki numer, ale wtedy po prostu go wyśmiałam. Śmiałam się zresztą i później, oglądając w telewizji cały ten głupi cyrk poprzedzający losowanie liczb – Cyganki, jasnowidzów, wirujące kulki... Odechciało mi się śmiać dopiero wtedy, kiedy porównałam zwycięski numer z tym zapisanym na kwicie. W tym momencie żarty się skończyły. Przestałam pokpiwać sobie z Mefista i zaczęłam bardzo uważnie słuchać wszystkiego, co mówił. Uwierzyłam, że naprawdę włada jakąś magiczną mocą. A on zaferował mi coś takiego, czego nie da się kupić za żadne pieniądze. Młodość. I wielką urodę. Szansę odzyskania wszystkich zmarnowanych lat.

Warunki kontraktu wydawały się z początku proste. Dodatkowe dwadzieścia pięć lat życia plus młodość i uroda w zamian za duszę. Spytałam Mefista, w jaki sposób ją sobie zabierze i kiedy właściwie ma się to stać?

Odrzekł, iż gwarantuje mi te ćwierć wieku, pod warunkiem że nie zechcę wleźć pod autobus lub popełnić jakiegoś innego głupstwa. Tyle w ramach gwarancji, reszta na moje ryzyko. Przyjdzie po mnie, gdy zechce – kiedy mu się spodoba. Wtedy po prostu umrę i pójdę do piekła jak wszyscy inni grzesznicy.

Czy boję się śmierci? I tak pewnego dnia mnie to czeka, czy zawarłabym ten pakt, czy nie, a dodatkowe dwadzieścia pięć lat plus obecne pięćdziesiąt daje w sumie siedemdziesiąt pięć, czyli całkiem niezłą długość życia. A to, że grozi mi piekło? Zakładając, że w ogóle istnieje, wylądowałabym tam pewnie i bez cyrografu. Nie zamierzam latać do kościoła – zwłaszcza tego, co stoi przy końcu ulicy i ma te cholerne dzwony – bo nie jestem taką hipokrytką jak ci wszyscy asekuranci, którzy na wszelki wypadek udają nabożność, bo a nuż Bóg jednak istnieje? Może siedzi w tym baśniowym niebie pełnym cherubinów i tłustych

aniołków fruujących z chmurki na chmurkę? Jeśli tak ma wyglądać niebo, to cóż ja bym tam robiła? Już piekło wydaje się lepsze od wieczności w takim Disneylandzie.

Zapytałam Mefista, w jaki sposób zamierza mnie odmłodzić? Sprawi, że powrócę w przeszłość, do czasów mojej młodości? Powiedział, że nie. Z tego, co mówił, wynika, że w diabelskich kręgach podróże w czasie nie cieszą się popularnością. Zaczął mi tłumaczyć, iż może się zdarzyć, że człowiek wysłany w przeszłość strasznie tam namiesza – zrobi coś, co pociągnie za sobą niewyobrażalne skutki, lub pojawi się w tym samym miejscu co jego wcześniejsza wersja. Przypomniał mi pewne opowiadanie science fiction, w którym taki podróżnik przypadkiem zabija motylka, a po powrocie do teraźniejszości widzi ze zgrozą, że wszystko tu się zmieniło. Cały bieg historii uległ wypaczeniu w rezultacie tak błahego incydentu. Skąd ten Mefisto mógł wiedzieć, że czytałam to opowiadanie?

Ha, mniejsza o to. Co do metody – miał rację, nie byłaby dobra. Wracając do swojej młodości, niewiele bym zyskała na urodzie. Zbyt dobrze pamiętam swe ówczesne walory fizyczne (czy raczej kompletny ich brak), abym chciała je odzyskiwać. I po co? Żeby znaleźć się po raz drugi w równie beznadziejnej sytuacji?

Sposób, którego zamierza użyć Mefisto, jest, co tu mówić, trochę przerażający: mam dostać ciało innej kobiety. Już niepotrzebne. Spytałam, co to znaczy „niepotrzebne”, chociaż odpowiedzi nietrudno się było domyślić. Będzie to ciało osoby zmarłej w wymaganym wieku – dwudziestopięciolatki. Co to za osoba? Powiedział, że jeszcze tego nie wie. We właściwym momencie będzie musiał rozejrzeć się po świecie i zobaczyć, co jest do wzięcia. No a jeśli to będzie osoba jeszcze szpetniejsza ode mnie? Albo jakaś kaleka po wypadku? Muszę mu zaufać, oświadczył. Zapewnił, że uczciwie dopełni warunków umowy.

Tylko czy mogę mu wierzyć? Może przecież kłamać. Czy aby ta cała impreza nie skończy się moją śmiercią? Przyszło mi jednak na myśl, że gdyby chciał mnie uśmiercić, po cóż by miał sobie zadawać aż tyle trudu? Zabiłby mnie, i koniec, bez żadnych paktów, przy jego mocy to pestka. Musiałam mu więc zaufać – innego wyjścia nie było.

Następne pytanie brzmiało: czy wzorem doktora Fausta mam podpisać cyrograf własną krwią? Wybuchnął śmiechem. „Nie mieszaj rzeczywistości z fikcją.” Piekło, powiedział, już dawno darowało sobie takie głupstwa, jak pisemne umowy, pieczęcie i tak dalej. Mam po prostu położyć się spać, a gdy się

obudzę, sprawa będzie załatwiona.

Ale mnie w tym momencie ogarnęły nowe wątpliwości: żadnego papierka? A gdybym na przykład teraz chciała się wycofać, jak bym go mogła powstrzymać od podjęcia planowanych działań, skoro nie podpisał żadnych zobowiązań w tej materii? Spojrzał na mnie kpiąco: ty, Harriet? Ty byś się miała wycofać? Ty już powzięłaś decyzję!

To prawda, powzięłam. Bo czy miałam coś do stracenia? Szczerze mówiąc, jeśli czegoś się bałam, to tylko tego, że on może zmienić zdanie. Trudno mi już było wyobrazić sobie, co bym zrobiła, gdyby nagle powiedział: „Oferta jest nieaktualna”. I to był koniec dyskusji. Umowa została zawarta.

Zrobię to, co nie znaczy, że pozbyłam się już wątpliwości. Mam ich mnóstwo. Tylu spraw mi nie wyjaśnił... Na przykład co stanie się z moim ciałem? Jeżeli po prostu zniknie, ludzie zaczną się dziwić, gdzie się tak nagle podziałam. Nie mam zbyt wielu znajomych, jest jednak listonosz, jest mleczarz i ta starsza pani z dołu, którzy będą się o mnie martwić. Jest też właściciel domu, który wpada tu nieraz zniechceni, pewnie chcąc się przekonać, czy nie pomalowałam salonu na purpurowo lub nie podnajęłam komórki nielegalnym imigrantom. Jeśli w tym nowym ciele obudzę się jutro we własnym łóżku, jak mam wytłumaczyć ludziom, skąd się tu wzięłam? Udawać krewną czy przyjaciółkę składającą wizytę starej Harriet, w dodatku pod jej nieobecność? Właścicielowi się to nie spodoba; będzie jeszcze gorzej, jeśli nikt nie uwierzy w tę bajeczkę. Ktoś może pomyśleć, że Harriet została zamordowana i to ja popełniłam tę zbrodnię. Mogą mnie o to oskarżyć, a ostatnią rzeczą, którą chciałabym przeżyć, byłoby śledztwo, pytania, kim jestem i tak dalej. Skończyłabym pewnie w więzieniu. A może tak właśnie zaplanował to sobie Mefisto? Może uknuł taką intrygę. W tej jego pozornie uczciwej ofercie musi przecież tkwić jakiś haczyk.

Teraz widać, że to wszystko nie jest takie proste, jak z początku mogło się wydawać. Powinnam to sobie porządnie przemyśleć, cóż, kiedy nie mam czasu. Jest już popołudnie, a transfer ma nastąpić w nocy, kiedy położę się spać, pozostaje mi zatem tylko tyle czasu, ile zdołam wytrzymać bez snu. Co zrobić, żeby moje zniknięcie nie wyszło od razu na jaw? Im później pojawią się podejrzenia, tym lepiej... Upozorować wyjazd na urlop? Skoro tak, to trzeba zapłacić czynsz. Trzeba się też zastanowić, w jaki sposób osoba, która nie istnieje, może odebrać odprawę emerytalną... Na początek muszę mieć trochę pieniędzy. Wtedy będę mogła wyjechać z Guildfordu i rozpocząć nowe życie gdzieś daleko, zanim ktokolwiek tutaj zacznie podejrzewać, że stało się ze mną coś złego.

O tym, by komukolwiek powiedzieć prawdę, nie ma nawet co myśleć. Czy ludzie tacy jak Sally lub Andrew uwierzyliby w Mefista? Nigdy. Śmialiby się ze mnie. Dla nich byłby to kiepski dowcip. Oni żyją swoimi małymi sprawami i to im wystarcza. Nie myślą o tym, co ich ominęło. Ja jestem inna. Wierzę w magię i czary. Jako dziecko przeczytałam wszystkie możliwe baśnie i już wtedy karmiłam się nadzieją, ha, byłam pewna, że któregoś dnia pojawi się dobra wróżka, moja chrestna matka, i jednym machnięciem czarodziejskiej różdżki odmieni me życie. Nie wyobrażałam sobie, że przyjdzie mi tak długo na to czekać, ale w końcu się doczekałam, no i mam swoją drugą szansę – nareszcie szansę na szczęście.

Co zamierzam robić w tym drugim życiu? Och, młodość i uroda w połączeniu z mą dzisiejszą wiedzą pozwolą mi osiągnąć wszystko. Mogę wybrać dowolną karierę, zdobyć pieniądze i sławę, usunąć w cień osoby pokroju Annette Baker. Potrafię być równie bezwzględna jak ona, a gdy wędruję już na sam szczyt, wezmę odwet na wszystkich, którzy wyrzucili mnie na śmietnik jak stary niepotrzebny rupieć. Ach, sprawi mi to wielką satysfakcję, trudną do opisania, ale mam jeszcze jedno pragnienie, z którego nie zwierzyłam się mojemu diabłu: chcę znaleźć miłość. Pragnę się wreszcie dowiedzieć, jak to jest mieć przy sobie kogoś, kto się o nas troszczy. Chcę mieć dom, dzieci, bezpieczne życie rodzinne, nade wszystko zaś pragnę jednego: aby ktoś mi powiedział, że mnie kocha. Chcę nareszcie usłyszeć te słowa! Na samą tę myśl pióro drży mi w ręku.

Robi mi się gorąco, czuję zawrót głowy, a na całym ciele wielkie krople potu. Wiem, co to jest – początek menopauzy, ale już mnie nie dopadnie to świństwo! Jutro będę młoda i piękna, tak piękna, że żaden mężczyzna nie potrafi mi się oprzeć. Wiem, że gdzieś w świecie żyje ten jedyny – i będę go szukać, aż znajdę.

Czas kończyć tutejsze sprawy. Zapłacić czynsz, odwołać dostawę mleka, napisać listy do Sally i Andrew. Napiszę, że za pieniądze z odprawy wybieram się w podróż dookoła świata. Pewnie nigdy ich już nie zobaczę, ale to bez znaczenia. Może nawet tak będzie lepiej – chcę zapomnieć o wszystkim, co było. To życie nie dało mi nic oprócz smutku.

Potem pójdę do łóżka i będę już tylko czekać na Mefista. Boję się okropnie. Zupełnie jakbym stała na wysokiej skale, szykując się do skoku w przepaść.

Boję się, ale skoczę. Tak postanowiłam i niech się dzieje, co chce.



## ROZDZIAŁ 5

Zaczynałam coś słyszeć... Jakieś monotonne pikanie, brzęk metalu, jak gdyby gdzieś dalej ktoś szczękał łyżkami, szmer przyciszonych głosów... Czułam wstrętny smak w ustach, za każdym oddechem uderzał mnie w nozdrza przenikliwy odór środków dezynfekcyjnych... Zaczęłam powoli, samymi koniuszkami palców badać otoczenie. Wynik był zaskakujący: dlaczego, u diabła, leżę plackiem w jakimś twardym nieznanym łóżku? Gdzie ja jestem?

Otworzyłam oczy – i poraziło mnie białe, strasznie ostre światło. Na tle tej oślepiającej bieli rysował się jakiś rozmazany kontur. Przestraszona, spróbowałam się odwrócić – nic z tego. Z niewiadomych powodów nie mogłam wykonać najlżejszego ruchu. Co ten Mefisto mi zrobił?

Niewyraźny kontur raptownie nabrał ostrości i stał się kobiecą twarzą. Czyja to twarz? Nigdy jej nie widziałam.

– Indy? Słyszysz mnie, złotko? Czy ta kobieta mówi do mnie?

– Budzi się – dobiegł mnie donośny szept, a po nim drugi głos, też kobiecy:

– Ostrożnie. Jest jeszcze bardzo słaba.

– Cindy? – To znów ta pierwsza. Pochyliła się teraz tak nisko, że jej oddech musnął mi policzek. – Wszystko będzie dobrze, złotko. Doktor jest z ciebie zadowolony, mówi, że dobrze się sprawiasz. Wyzdrowiejesz.

Cindy? Co za Cindy? To pomyłka! Na miłość boską, przecież „Cindy” to imię jakiejś durnej lalki. Coś poszło nie tak. Musiało stać się coś okropnego. Skąd się tu wzięły te obce kobiety?

– Tylko tak dalej, kochanie, a raz-dwa cię stąd zabierzemy – kontynuowała nieznajoma dziwnie płaskim, nosowym głosem. – Ani się obejrzysz.

Spróbowałam usiąść, ale tak mnie zmęczył ten wysiłek, że bezwładnie opadłam na łóżko.

– Niech ją pani podtrzyma, tylko delikatnie – przemówił ten drugi głos. Czyjeś niewidzialne ręce uniosły mi głowę; ktoś wyklepał poduszki i troskliwie podłożył mi pod plecy. Podciągnięto mnie ostrożnie do pozycji półsiedzącej.

– No, teraz lepiej, prawda?

Rzeczywiście zrobiło mi się wygodniej. Zamglone otoczenie powoli nabierało kształtów. Byłam w szpitalu. Z nosa sterczały mi jakieś rurki, trzecia, zakończona igłą, przyczepiona była taśmą do nadgarstka. Na stojącym obok monitorze rytmicznie pulsowały zielone zygzaki, wywołując to ciche natrętne pikanie, które

słyszałam przez sen.

– Co... co się stało? – wykrztusiłam z trudem. Zabrzmiało to jak kwaknięcie. Głos też nie był mój. – Gdzie ja jestem?

– Miałaś poważny wypadek – powiedziała kobieta w pielęgniarskim fartuchu i czepku, kładąc mi na czole chłodną rękę. – Ale najgorsze masz już, dzięki Bogu, za sobą – dodała uspokajająco, odgarniając mi z czoła kosmyk włosów. – Robisz tak szybkie postępy, że niedługo całkiem wyzdrowiejesz.

Ta druga poklepała mnie po rękę.

– Wyzdrowiejesz – powtórzyła jak echo. – Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Zaczęłam się jej przyglądać. Była młoda i ładna. Wyglądała na trzydzieści, może trzydzieści dwa lata. Jasna blondynka. Przyjrzawszy się jednak uważniej jej twarzy, dostrzegłam wokół oczu całą siatkę drobniutkich zmarszczek, a we włosach ciemniejsze odrosty. Pogładziła znów moją rękę, i to tak poufałym gestem, jakby mnie dobrze знаła.

– Kim jest ta pani? – zwróciłam się do pielęgniarki. Na twarzy pochylonej nade mną kobiety odbiło się niedowierzanie.

– Co się z nią dzieje? – wykrzyknęła. – Jak można nie poznawać własnej siostry! O Jezusie, niech mi tylko pani nie mówi, że to uszkodzenie mózgu!

Siostra? Nigdy nie miałam siostry. To jakaś oszustka. Czego ona chce?

– Cindy, to przecież ja, Babs, twoja rodzona siostra!

– zaczęła gorączkowo powtarzać kobieta, pochylając się znów nad łóżkiem. – Naprawdę mnie nie poznajesz?

– Po tym uderzeniu w głowę musiała doznać częściowej utraty pamięci – powiedziała pielęgniarka, zajęta poprawianiem czegoś w nogach łóżka. – Proszę się jednak nie martwić, za parę tygodni będzie zdrowa jak placek z jabłkami. Gdy tylko znajdzie się w domu i zobaczy znajome rzeczy, pamięć od razu jej wróci.

W domu? To znaczy gdzie? Gdzie jest ten dom, na litość boską? Zdrowa jak placek z jabłkami? Kto tak mówi? Powinno być „zdrowa jak ryba”. W tym momencie nagle mnie olśniło: to Amerykanka. Oni tak mówią. Wyciągając szyję jak żuraw, ukradkiem zerknęłam w okno. Kołysały się za nim Uście wielkiej palmy. Odkąd to w Guildfordzie rosną tropikalne drzewa? Nie, nie wyglądało mi to na Guildford... ani na żadne ze znanych mi miejsc.

– Gdzie ja jestem? – powtórzyłam z irytacją i tak donośnie, jak tylko mogłam. Ten głos... To na pewno nie był mój głos. Przyszło mi na myśl, że mógł zmienić brzmienie przez te rurki w nosie, ale akcent? Czy to możliwe, żebym nagle ni z tego, ni z owego nabrała innego akcentu?

– A gdzie byś miała być, kochanie? Jasne, że jesteś w LA – odrzekła moja rzekoma siostra.

– W LA? – Dla mnie nie było to wcale takie jasne.

– To znaczy w Los Angeles?

– A tobie się zdaje, że gdzie? W Acapulco? – roześmiała się nerwowo Babs. – Cała moja siostrzyczka – poinformowała pielęgniarkę. – Zawsze była taka. Bez mapy toby chyba nie umiała odróżnić własnego tyłka od łokcia. Ale do Los Angeles wybierała się już od dzieciństwa, ledwo od ziemi odrosła – stwierdziła z ciężkim westchnieniem. – Miasto Aniołów! Pojedzie tam, mówiła, i zostanie gwiazdą. – Głośno pociągnęła nosem, wyjęła chusteczkę higieniczną i osuszyła nią oczy.

Ja miałam w głowie coraz większy zamęt.

– Złamała serce naszej matce – podjęła Babs po krótkiej pauzie. – Jak tylko skończyła osiemnaście lat, od razu prysnęła z domu. Bo Sioux Falls to straszna dziura, a ona nie zamierza tu siedzieć. Stworzona jest do lepszych rzeczy. No i proszę, gdzie wylądowała!

– Ale ja nie jestem... – Chciałam jej powiedzieć, że nie jestem Cindy, ale gdzie tam! Nie zwracała na mnie uwagi. Gadala dalej, jakby mnie w ogóle nie było. Na chwilę przestałam jej słuchać. A więc jestem w Los Angeles! Dlaczego się tu znalazłam? W kontrakcie nie było o tym mowy! I kim do pioruna jest ta cała Cindy? – Piękne dzięki, Mefisto – mruknęłam przez zęby – wpakowałeś mnie w niezłą kabałę!

– No i kto się nią teraz zajmie? – wyrwał mnie z zamyślenia płaczliwy głos „siostry”. – Ja nie dam rady... dość mam roboty przy dzieciakach i Dale’u. Już nie mówię o kosztach... Żebyśmy chociaż mieli to specjalne ubezpieczenie od wypadków... A mówiłam Dale’owi, że to głupota nie kupić takiej polisy. Złe nie śpi. Nigdy nie wiadomo, kiedy nas dopadnie.

– Święta prawda – przytaknęła pielęgniarka.

– Ale jak tylko zadzwonili do mnie ze szpitala, zrobiłam wszystko co trzeba – kontynuowała Babs. – Nikt nie może mi powiedzieć złego słowa. Od razu wsiadłam w samolot, chociaż w tak krótkim czasie nie dało się załatwić ani żadnej zniżki, ani płatnego urlopu. I dlatego pojutrze muszę być już w pracy. Dziećmi też się muszę zająć. Są teraz na garnuszku u mamy Dale’a, ale przecież nie mogę wymagać, żeby je żywiła przez miesiąc. Jak człowiek ma rodzinę, to musi się o nią troszczyć... Sama pani wie, jak to jest...

– No, no, proszę się nie denerwować – wtrąciła się pielęgniarka. – Nikt od

pani niczego nie wymaga.

– A poza tym... – Babs wydała z siebie zduszony szloch. – Czy Cindy coś dla mnie zrobiła? Choćby raz? Nigdy. Nawet tyle co brudu za paznokciem. To ja zostałam w domu, żeby opiekować się mamą, a ona...

– No, no, na dziś dosyć wzruszeń – zdecydowała pielęgniarka, prowadząc do wyjścia moją rozżaloną „siostrę”. – Chora potrzebuje wypoczynku.

Wypoczynek? O nie! Nie teraz. Najpierw chciałam zobaczyć, jak wyglądam. Gdy tylko zostałam sama, zaczęłam mocować się z sobą, żeby usiąść prosto i nie powyrywać tych rurek. Nie było to łatwe, ale się udało.

Sytuacja, w której się znalazłam, wzbudziła znów we mnie poważną wątpliwość co do rzetelności Mefista. Miałam przecież prawo oczekiwać, że obudzę się w swoim mieszkaniu, a nie na drugim końcu świata pomiędzy obcymi ludźmi. A jeśli tak samo przewrotnie zrealizował też główny punkt umowy?

Pełna obaw, ostrożnie zerknęłam na ręce. Skóra na dłoniach była gładka i elastyczna, bez żadnych starczych przebarwień. Paznokcie – zawsze dotąd tak poobgryzane, że bardziej się już nie dało, usiane w dodatku mnóstwem białych kropek – wyglądały teraz zupełnie inaczej. Były długie i kształtne, starannie pomalowane bladoróżową emalią. Dalsze fragmenty moich górnych kończyn – szczupłe i lekko opalone – też nie budziły zastrzeżeń. Trochę już śmielej przesunęłam ręką po twarzy. Skóra i tutaj sprawiała wrażenie gładkiej i doskonale napiętej. Ani śladu drugiego podbródka. Włosy, luźno związane wstążką na karku, wydawały się miękkie i jedwabiste. Kiedy wyciągnęłam z węzła jedno pasmo, by poddać je bliższej inspekcji, okazało się, że są długie, połyskliwe i bardzo jasne.

Reszta mojego nowego ciała tonęła w obszernej koszuli nocnej, obszytej mnóstwem falbanek. Spróbowałam – wciąż bardzo niemrawo – odrzucić przykrycie, aby podjąć dalsze oględziny, przeszkodziła mi w tym jednak pielęgniarka.

– Mam dobrą wiadomość – oznajmiła z zawodowym optymizmem. – Lekarz pozwolił to już usunąć – wyjaśniła, wyjmując mi rurki z nosa. Ukończywszy tę czynność, podeszła do stojącej pod ścianą aparatury i wcisnęła kilka wyłączników. Poprawiła następnie rozrzuconą pościel, a mnie ułożyła znowu na poduszkach. – Będziemy sobie teraz grzecznie odpoczywać, prawda, kochanie? Nie martw się, wkrótce stąd wyjdiesz. Aż nie chce się wierzyć, że tak szybko nabierasz sił.

– Czy mogłabym dostać lusterko? Bardzo panią proszę!

– Och, kochanie, i po co ci ono? – Pielęgniarka na moment zamilkła. – Nie wiem, czy doktor na to pozwoli – dodała z powątpiewaniem. – Będę musiała go

spytać.

Niecierpliwie czekałam na jej powrót. Skoro nie chciała mi dać lusterka, mogło to oznaczać tylko jedno: z moją twarzą nie jest dobrze. Czyżby ten łajdak Mefisto zrobił mi takie świństwo? Co to może być, na miłość boską? Trwałe blizny? Jakieś odrażające zniekształcenia?

Kiedy po kilku minutach pojawiła się znów pielęgniarka, towarzyszył jej dyżurny lekarz, ale zamiast podejść do łóżka, przystanęli w najdalszym kącie separatki i zaczęli coś do siebie szeptać. Wyglądało to dość niepokojąco. W końcu jednak siostrzyczka przyniosła mi małe prostokątne lusterko z plastikową rączką.

– Muszę cię uprzedzić, moja droga, że zobaczysz drobne skaleczenia – powiedziała zatroskanym tonem. – Bądź na to przygotowana.

Czym prędzej zerknęłam w lusterko – i aż głośno sapnęłam ze zdumienia.

– Nie ma powodów do obaw! – zawołał lekarz, podchodząc z pośpiechem do łóżka. – To tylko powierzchowne obrażenia. Nic złego się nie stanie tej ładnej buzi – dodał z szerokim uśmiechem. – Wkrótce już wróci do normy.

Obrażenia? O czym on mówi? O tej lekkiej opuchliznie i siniaku na policzku? Ach, było jeszcze niewielkie rozcięcie na czole, na które w pierwszej chwili nie zwróciłam nawet uwagi.

To, co zobaczyłam w lustrze, podniosło mnie mocno na duchu: Mefisto wywiązał się ze swych obietnic, i to jak! Byłam młoda, młodsza, niż się spodziewałam. Mogłam mieć dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat, a co jeszcze ważniejsze, podarował mi twarz jak z obrazka, podobną do buzi Barbie. Kiedy rozwiązałam wstążkę, otoczyła ją masa przepięknych złocistych loków. A oczy! W tych wielkich błękitnych oczach okolonych gęstymi rzęsami malowało się tyle młodzieńczej ufności! Usta miałam pełne i wilgotne, a gdy uśmiechnęłam się do swego odbicia, zobaczyłam wspaniałe komplety idealnie równych zębów. Dobra robota, mój diable, pomyślałam z cichą satysfakcją. Mylił się ten lekarz, mówiąc, że jestem ładna. Byłam piękna, oszalamiająco piękna.

Przez kilka następnych dni starałam się wszelkimi sposobami zebrać jak najwięcej informacji o Cindy. Musiałam wpasować się w nową tożsamość. Gdyby ktokolwiek zaczął podejrzewać, że nie jestem osobą, za którą pragnę uchodzić, wywołałoby to mnóstwo kłopotliwych pytań. Pytań, na które nie byłabym w stanie odpowiedzieć.

Dobijając targu z Mefistem, postawiłam mu jeden warunek: muszę zachować swój umysł i osobowość. Była to dla mnie sprawa podstawowa. Jeśli w młotku wymienić główkę, a następnie trzonek, to czy będzie to wciąż ten sam młotek? Cóż

by mi przyszło z nowego życia, gdybym przestała być sobą?

Mój kontrahent przyjął ten warunek i wypełnił go co do litery, nie uznał jednak za stosowne zwrócić mi uwagi, że przeoczyłam coś bardzo ważnego: to, że razem z cudzym ciałem przejmę cały bagaż życiowy jego pierwszej właścicielki. Zakładałam naiwnie, że wystartuję od zera, będę więc miała prawo przybrać dowolną tożsamość. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że zostanę wrzucona w sam środek cudzego życia i będę musiała wziąć na siebie wszelkie zobowiązania swojej poprzedniczki, jej związki rodzinne, towarzyskie i zawodowe.

Nie odpowiadała mi ta sytuacja, teraz jednak nie mogłam jej zmienić. Po krótkim namyśle uznałam, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko udawać Cindy – przynajmniej dopóki nie wypuszczą mnie ze szpitala. Później – zobaczymy. Żeby jednak stąd wyjść, trzeba było przekonać lekarzy, że „powróciła mi pamięć”, w przeciwnym razie mogliby mnie oddać w ręce mózgotłuków, jak tu nazywają psychiatrów – a to już groziło katastrofą. „Mózgotłuki”! Niezłe skojarzenia mają ci Amerykanie!

Pierwszym źródłem informacji o Cindy stała się jej torebka leżąca, jak się okazało, w szafce obok łóżka. Czując się jak detektyw z powieści sensacyjnej, przy pierwszej nadarzającej się okazji poddałam jej zawartość szczegółowym badaniom. Tego, co znalazłam w środku, starczyłoby na otwarcie niewielkiej drogerii – podkład, perfumy, mleczko kosmetyczne, toniki, kremy, kilka szczotek do włosów, ha, była nawet malutka suszarka na baterie!

W bocznej kieszeni znalazłam też prawo jazdy oraz portmonetkę, a w niej kilka kart kredytowych, dwa banknoty pięciodolarowe i trochę drobnych. Z prawa jazdy wynikało, że nazywam się teraz Cindy Louise Mary Brown i że mam dwadzieścia jeden lat! Dwadzieścia jeden, a mowa była przecież o dwudziestu pięciu! Taki z ciebie mądrała, Mefisto, a nie umiesz nawet dobrze liczyć. Świetnie! Dzięki temu zyskałam cztery lata ekstra!

Dalsze znaleziska – paczuszka tamponów oraz trzy prezerwatywy – jeszcze bardziej poprawiły mi humor, oznaczały bowiem, że nareszcie zyskałam dostęp do świata ludzi seksualnie aktywnych, zaraz jednak przyszło mi też na myśl, że taka dziewczyna jak Cindy ma pewnie stałego kochanka. Co zrobię, gdy po powrocie do domu powita mnie jakiś tępy osiłek i zacznie się domagać swych praw? Czy zdołam go przekonać, że jestem prawdziwą Cindy? Przelotnie nawiedziła mnie ciekawość: jak bym się czuła, kochając się z nieznanym? Nie, coś takiego absolutnie nie wchodzi w rachubę. Natychmiast odeślę go na wolny rynek. Jeśli mam pójść do łóżka, to tylko z mężczyzną, którego sama wybiorę, a moje

wymagania sięgną tym razem grubo powyżej Barry'ego Thompsona i zdezelowanej furgonetki.

Na samym dnie torby znalazłam reklamowe zapalczki z nadrukiem „U Marty'ego”, co kompletnie nic mi nie mówiło, oraz oprawną w laminat tabelę kalorii, którą bez namysłu wrzuciłam do kosza.

Gdy tylko pozwolono mi chodzić, spędziłam parę godzin w szpitalnej łazience, studiując swoje nowe ciało. O kalorie nie musiałam się martwić. Byłam wysoka i szczupła, nogi miałam do samej szyi, a brzuch tak płaski, że można by na nim wałkować ciasto. Stojąc bokiem przed lustrem, mogłam podziwiać zawadiacki tyłeczek bez grama zbędnego tłuszczu – całkowite przeciwieństwo tych obwisłych poduch pokrytych celulitem, których tak się wstydziłam w poprzednim wcieleniu. Piersi także były bez zarzutu – jędrne, wysokie, idealnie symetryczne, o zuchwale sterzających sutkach. Stwierdziłam, że twardnieją nawet przy lekkim dotknięciu.

Nie spodziewałam się jednak, że to piękne ciało będzie mi sprawiać kłopoty. Pierwszy polegał na tym, że byłam teraz o wiele wyższa, przez co środek ciężkości powędrował w inne regiony, to zaś powodowało z kolei, że źle oceniałam odległość i bez przerwy obijałam się o sprzęty. Nie mogłam się też przyzwyczaić do własnego głosu, a zwłaszcza akcentu. Ilekroć otworzyłam usta, mimo woli nerwowo mrugałam oczami: te płaskie, nosowe dźwięki brzmiały tak prostacko! Jakby i tego było mało, ogromną trudność sprawiała mi wymowa wielu doskonale znanych słów. Dobrze znanych Harriet, lecz najwidoczniej zupełnie nie znanych Cindy, której wykształcenie musiało być mniej niż skromne. Fatalnie, bo czy dziewczynę z taką wymową i słownictwem można traktować serio? Naszła mnie nagle obawa, czy aby moja osobowość nie uwięzła w tym pięknym ciele jak w pułapce. A jeśli już nigdy nie będę umiała przemawiać własnym językiem? Nie, tak się nie stanie, obiecałam sobie. Postaram się trochę ogłodzić tę Cindy.

Kolejną przykrą niespodzianką okazało się pismo. Zmuszona wypełnić jakiś formularz, przez kilka minut bezskutecznie zmagając się z piórem, zanim mnie wreszcie olśniło, że Cindy była mańkutem. Kiedy spróbowałam pisać lewą ręką, udało mi się to, owszem, ale charakter pisma w niczym nie przypominał mojego. Tak piszą dzieci. Szło mi to w dodatku przeraźliwie wolno. Zniecierpliwiona, spróbowałam przyspieszyć ten proces, narzucić dłoni swoje dawne tempo, okazało się jednak, że wraz z ciałem Harriet pozbyłam się również jej koordynacji ruchów. Do licha! Tego też nie przewidziałam, ale kto by przypuszczał, że tak się stanie? Patrząc na nieczytelne gryzmoły, które wyszły spod mego pióra, zaczęłam się zastanawiać, gdzie leży granica pomiędzy ciałem a umysłem? Czy ona w ogóle

istnieje?...

Moja rzekoma siostra, ujrawszy mnie znowu następnego ranka, wydawała się ogromnie zadowolona z mego szybkiego powrotu do zdrowia.

– Nie masz pojęcia, jak dziękuję Bogu, żeś się zbudziła z tej śpiączki – mówiąc to, westchnęła dramatycznie.

– Kiedy zadzwonili ze szpitala, nie wiedziałam, co myśleć. Przez całą drogę widziałam cię przypiętą do tych maszyn za setki dolarów dziennie. Bałam się, że będziesz tak leżeć aż do końca życia. Wyobrażasz sobie? Do końca życia nieprzytomna, zależna od rodziny... A ja, no wiesz, mam przecież na głowie dzieciaki i Dale'a...

Ja też dziękowałam losowi za szybkie wyjście ze śpiączki. Ciekawe, po jakim czasie ta „kochająca siostra” kazałaby mnie odłączyć od aparatury? Może dziś jeszcze nie, ale dłużej niż tydzień chyba bym nie przetrwała.

– Powiedz mi – wymamrotałam – co to był za wypadek? Kompletnie nic nie pamiętam.

Babs ochoczo wdała się w długą opowieść, gęsto utkaną wykrzyknikami, „a mówiłam ci przecież” i „powinnaś była”, z której udało mi się wywnioskować, że uległam wypadkowi samochodowemu czy mówiąc ściślej, uległa mu Cindy. Skręciła z autostrady w niewłaściwy zjazd i próbując powrócić tyłem na trasę, zderzyła się z nadjeżdżającym wozem. Miałaś piekielne szczęście, oświadczyła Babs, żeś wyszła z tej kraksy w całości i nawet bez większych obrażeń. Ja tak, pomyślałam, ale o biednej Cindy raczej nie da się tego powiedzieć. Ona zyskała tylko tyle, że nie trzeba jej było zbierać po kawałku, do czego pewnie by doszło, gdyby Mefisto akurat nie szukał „zbędnego” ciała. Swoją drogą kostucha musiała mieć wtedy dosyć kiepskie żniwo, skoro znalazł je dopiero w Los Angeles.

Samochodem, z którym zderzyła się Cindy, był „oczywiście rolls-royce”, jak kwaśno zauważyła Babs.

– Pewnie! – pisnęła szyderczo. – Bo czy moja elegancka siostrzyczka mogłaby się zderzyć ze zwyczajnym autem? Miejmy nadzieję, że twoje ubezpieczenie jest w porządku, tyle ci mogę powiedzieć! – W jej głosie pojawiła się nuta hysterii. – Ten facet to podobno bardzo gruba ryba. Harvey jakiś tam... Pielęgniarka mówiła, ale zapomniałam. Ma coś wspólnego z tą firmą od perfum. Cud boski, że mu tylko krew poszła z nosa. Strach pomyśleć, co by to było, gdybyś go zabiła! Ładnie byśmy wszyscy wyglądali, gdyby cię pozwał do sądu!

Chciałam ją spytać, jak mógłby mnie pozwać, skoro byłby trupem, ale coś mi mówiło, że lepiej zmilczeć. Niech sobie gada. Przynajmniej dowiem się czegoś



o Cindy i jej rodzinie.

– Ja zupełnie cię nie rozumiem! – zaczęła zawodzić.

– Po coś ty przyjechała do tego diabelnego miasta? Trzy lata tu jesteś i co? Niczego się nie dorobiłaś. Co tu masz lepszego, niż mogłaś mieć w domu, w Sioux Falls?

Urwała na chwilę, żeby nabrać tchu. Widziałam w jej oczach niechęć, a może nawet nienawiść.

– Nic! – syknęła wściekle. – Kompletnie nic! Pamiętasz, co mówili o nas ludzie? Z nas dwóch ty zawsze byłaś tą ładną, tą, która zrobi karierę, a ja zwyczajną szarą myszą. Bez urody i ambicji. I co? Mam dzisiaj więcej niż ty! Mój Dale może i nie wygląda jak gwiazdor filmowy, ale to dobry człowiek i umie ciężko pracować. Mam dom, udane małżeństwo i dwoje wspaniałych dzieci, a ty?... Gdzie byłaś, kiedy umierała mama? To ja musiałam się nią opiekować! Może mi powiesz, co tak ważnego miałaś do roboty?

Milczałam. Wolałam poczekać, aż sama mi powie.

– Podawałaś do stołu w tej waszej garkuchni, oto co robiłaś! – prawie wypluła te słowa. I z jakim triumfem!

– A tyle było gadania, jaką to będziesz wspaniałą modelką! Więc jestem kelnerką? Ależ z ciebie numer, Mefisto.

Liczyłam na trochę ciekawszą karierę.

– A ta twoja przyjaciółka...

– Jaka przyjaciółka? – z pośpiechem weszłam jej w słowo. Zastanawiałam się właśnie, czy Cindy ma jakichś znajomych. Do tej pory nikt mnie nie odwiedził.

– Wkrótce się sama przekonasz. Ma tu przyjść po południu – mruknęła Babs, wstając. – Dlatego już się stąd zmywam. – Przy drzwiach przystanęła i rzuciła z najwyższą pogardą: – Amnezja, rzeczywiście! Wmawiaj to swojej głupiej przyjaciółce, ale nie mnie!

Dzięki za wsparcie, siostrzyczko, pomyślałam cierpko, zanim jeszcze z hukiem zatrzasnęła drzwi. Jeśli tak wyglądały wasze rodzinne stosunki, trudno dziwić się Cindy, że uciekła z domu. Sama bym tak zrobiła.

Pielęgniarka potwierdziła informację Babs o wizycie mojej „przyjaciółki”. Miała na imię Trish. Nie mogłam się jej doczekać. Moja wiedza o życiu Cindy Brown była nadal zbyt fragmentaryczna, abym mogła bezbłędnie odgrywać jej rolę. Miałam nadzieję, że owa Trish pomoże mi wypełnić luki.

Wpadła do sali z okrzykiem „niespodzianka!”, głośno klekocząc obcasami, które na moje oko miały ze dwanaście centymetrów. Ubrana była w czarną

minispódniczkę z błyszczącej skóry i czarny skórzany żakiecik, przy którym jej płomiennie rude włosy, kunsztownie spiętrzone na czubku głowy, wydawały się jeszcze czerwiejsze.

– A żeby cię, Cin! – sapnęła, opadając na krzesło przy łóżku. – Napędziłaś mi takiego stracha, że o mało nie zgubiłam majątek! Już myślałam, że z tobą koniec. – Nie przestając trąkotać, zrzuciła żakiet, spod którego wyjrzała jasnoczerwona koszulka ze złotym napisem na piersi: „Nie dotykać! Grozi poparzeniem!” – Wyglądało na to, że będę musiała szukać nowej współlokatorki, a wiesz, co to za przyjemność. Na każde ogłoszenie zlatuje się zawsze cała chmara dziwaków i świrów.

Uśmiechnęłam się niewyraźnie: miałam nadzieję, że Cindy mieszka sama. Trochę trudno mi było wyobrazić sobie życie pod jednym dachem z taką osobą jak Trish.

– Skoro mowa o nieprzyjemnościach – dodała przyciszonym głosem, rozglądając się dookoła – chyba nie ma tu tej twojej siostry? Straszna z niej trucizna. Bez urazy, Cin, ale przecież wiesz, co o niej myślę. – Wymownie pokręciła głową, wzmacniając tym efekt swojej wypowiedzi. – No ale niech ci się przyjrzę! – Odrzuciwszy z policzka luźne pasmo włosów, zaczęła mnie oglądać z taką ciekawością, jakby miała przed sobą dziwaczny eksponat. – Pierwszy raz widzę kogoś, kto wyszedł ze śpiączki – oznajmiła tytułem wyjaśnienia. – Powiedz, jak się czujesz?

– Lepiej niż rano. – Ja również zerkałam na nią z ciekawością. Nieczęsto widuje się takie zjawisko. Jaskrawoczerwona szminka, w tym samym odcieniu co koszulka, gruba warstwa podkładu, kolorowe powieki obwiedzione grubą czarną kreską, wszystko to sprawiało, że wyglądała jak panda.

– Słyszałam, że ta twoja kraksa to szczęście w nieszczęściu. Trafiłaś, nie celując – rzuciła z szerokim uśmiechem. – A może – spytała chytrze – może ty wiedziałaś, że tym samochodem jedzie Harley Brightman?

Kto?

– Mówiła mi pielęgniarzka, że wywinął się z tego tylko z rozbitym nosem. – Urwała gwałtownie i wlepila we mnie szeroko otwarte oczy. – Czy ja dobrze słyszę? Pytałaś, kim jest Harley Brightman?

Skinęłam głową.

– O Jezu, Cin! Myślałam, że ta twoja utrata pamięci to jakiś wyglup! – Teraz już oczy zrobiły jej się okrągłe. – To on cię tu przywiózł, rozumiesz? Jechał z tobą karetką i w ogóle. Podobno uratował ci życie.

– Tak? Czy to któryś z moich przyjaciół?

– Przyjaciół? Musiałabyś mieć dużo szczęścia. Harley Brightman to najlepsza partia w Los Angeles, kapujesz? Marzenie wszystkich dziewczyn! – Trish po tych słowach wydała głębokie westchnienie. – Ten facet ma forsy jak lodu, odkąd odziedziczył Lapinique. Wiesz, co to jest Lapinique? To ta wielka firma kosmetyczna.

Ponownie skinęłam głową, tym razem jednak z uśmiechem. Tę nazwę znałam nawet ja. Trish zadumała się nagle.

– Tak sobie myślę, że chybabyś go mogła poznać. Wycofywałaś się przecież, więc to on musiał na ciebie najechać. Mogłabyś zeznać, że to jego wina.

– Powinam chyba raczej poczytywać sobie za szczęście to, że on mnie nie pozwał.

– Powinam chyba raczej poczytywać sobie... – powtórzyła Trish ze zdumieniem, a potem zaczęła chichotać. – Hej, Cind, co z tobą? Nigdy tak nie mówiłaś. Tak... górnolotnie. Odbiło ci czy co?

– Ja... ee... sama nie wiem – wymamrotałam, notując sobie zarazem w pamięci, że przy tej dziewczynie powinienam bardzo uważać na swoje słownictwo i akcent. Dla mnie jej przyjaźń z Cindy była chyba trochę za bliska.

Miało to jednak swoje dobre strony. Już po kilku godzinach spędzonych w towarzystwie Trish zebrałam znacznie więcej informacji o Cindy, niżby mi mogła udzielić jakakolwiek inna osoba. Dowiedziałam się z prawdziwą ulgą, że oprócz znanej mi już Babs poprzednia właścicielka mojej cielesnej powłoki nie miała bliskich krewnych, nie grożą mi zatem niespodziewane wizyty stęsknionych członków rodziny. Matka, o której tak rzewnie wspominała Babs, zmarła wkrótce po ucieczce Cindy, zdaniem Trish wszakże przyczyniła się do tego nie tyle tęsknota za córką, ile nadmierna skłonność do butelki. O ojcu wiadomo było tylko jedno: że zniknął gdzieś wiele lat temu.

Uwiedziona fałszywym blaskiem Los Angeles, Cindy przyjechała tu w nadziei zrobienia wielkiej kariery w świecie mody, skończyło się jednak na kelnerowaniu w dość ponurym lokalu Marty'ego, usytuowanym na mało wytwornym odcinku słynnego Bulwaru Zachodzącego Słońca. Tutaj poznała Trish, która żywiła podobne ambicje – pragnęła zostać aktorką. Traf chciał, że przyszła gwiazda ekranu dysponowała akurat wolnym pokojem, zamieszkały więc razem, i tak się zaczęła ich przyjaźń.

Jedynym jak dotąd osiągnięciem Cindy na drodze do wielkiej sławy był udział w reklamie prażonej kukurydzy, co nie mogło się równać ze znacznie bogatszym

dorobkiem artystycznym Trish, która miała już na koncie trzysekundowe ujęcie w scenie zbiorowej w „Melrose Place”, jak również migawkę w wiadomościach CNN. Przypadkiem znalazła się w kadrze podczas filmowania jakiegoś napadu na bank.

Po wysłuchaniu owych rewelacji musiałam mieć nietęgą minę, Trish bowiem uznała za swój obowiązek podnieść mnie na duchu.

– Nie możesz się poddawać, Cin – powtórzyła kilkakrotnie. – Nigdy nie wiadomo, kiedy los się do ciebie uśmiechnie. Ale musisz w to wierzyć.

Gdy spytałam ją o związki Cindy z mężczyznami, okazała się niezbyt pomocna.

– A skąd mam to wiedzieć? – sarknęła, wzruszając ramionami. – Ty przecież nic mi nie mówisz. Wciąż ci powtarzam, że powinnaś być mniej tajemnicza. Taka skrytość to nic dobrego.

– Ale chyba byś zauważyła, gdybym miała stałego chłopaka?

– Daj spokój, Cin – prychnęła z irytacją. – Gdybym coś wiedziała o twoich sprawach, miałabyś pretensję, że cię szpieguję, a teraz uważasz, że powinnam to robić? Miałam może prowadzić o tobie notatki, boa nuż dostaniesz w głowę i stracisz pamięć? Bądź poważna. A najlepiej by było, żebyś wreszcie przestała odgrywać cnotkę. Mnie nie oszukasz. Założę się, że robisz to z każdym, kto tylko ci się nawinie. Wszystkie to robimy. Może mi powiesz, że z Howardem Weinburgerem też nic nie było! Akurat! Spędziłaś z nim całą noc.

– Kto to taki?

– No wiesz, Cin! Nie udawaj, że nie pamiętasz Howarda! Wypadek wypadkiem, ale bądź uczciwa, chodziłaś z nim całe trzy tygodnie!

Czyżby te trzy tygodnie stanowiły swoisty rekord? Tak czy inaczej jedno wydawało się pewne: Cindy nie miała długoterminowych zobowiązań uczuciowych. Nie znaczyło to jednak, że nie miewała romansów.

– Dogadzałaś mu pewnie tak, jak on lubi – dodała Trish z lekką zadumą. – Inaczej by nie był taki przegrany, kiedy go rzuciłaś.

W przeciwieństwie do Trish, która po tej pierwszej wizycie odwiedzała mnie już regularnie, Babs jeszcze tylko raz wpadła do szpitala – w drodze na lotnisko. Bardzo jasno dała mi do zrozumienia, że nie przyjedzie już do Kalifornii, nie powiedziała też nic takiego, co by mogło sugerować, że spodziewa się moich odwiedzin, gdybym kiedyś przypadkiem znalazła się w Sioux Falls.

– Wredna suka – mruknęła Trish, kiedy zdałam jej relację z tej wizyty. – Niech sobie jedzie do diabła. Wierz mi, Cin, lepiej ci będzie bez niej. Sama wiesz, jakie to pazerne babsko. Nawet gdyby cię nie oskubała z tych pieniędzy, co miałaś

dostać po mamie, to i tak...

– Z jakich pieniędzy?

– Och... no... – Trish zrobiła niewyraźną minę. – Kiedyś mi o tym wspominałaś... tak tylko. Nie wydaje mi się, żebyś miała na to jakiś dowód.

Przez chwilę bardzo starannie studiowała swoje paznokcie.

– Skoro już mówimy o pieniądzach – podjęła z pewnym zażenowaniem – to... hm... Pamiętasz, że do końca tygodnia musimy zapłacić czynsz? Marty powiedział, że trzyma dla ciebie miejsce i że jak będziesz chciała, to może ci przydzielić dodatkowe zmiany.

Do tej pory nie myślałam o pieniądzach, teraz jednak wyłonił się nagle dość niepokojący problem: z czego mam żyć jako Cindy? Następnego dnia zjechałam szpitalnym wózkiem na parter, aby wypróbować jej karty płatnicze w którymś z dziarsko błyskających bankomatów zainstalowanych w głównym holu. Wystukałam numer kodu – znalazłam go w bocznej kieszeni torebki – i za trzecim podejściem uzyskałam dostęp do jej konta.

Lepiej byłoby tego nie robić. Finanse mojej poprzedniczki znajdowały się niestety w opłakanym stanie; mówiąc konkretnie, cały jej majątek wynosił kilka dolarów. Jako że już wcześniej postanowiłam raczej zgnić w piekle, niż poprosić Babs o jałmużnę, uznałam, że w tej chwili nie mam innego wyjścia, jak tylko czym prędzej stawić się do pracy u Marty'ego.

A co tam, powiedziałam sobie, mogło być gorzej. Przynajmniej mam pracę, a to już duży plus w porównaniu z sytuacją Harriet. No i nie jestem bezdomna. Spodziewałam się wprawdzie czegoś więcej, i tu Mefisto wystawił mnie do wiatru, jednak z tego, co najważniejsze, wywiązał się bardzo rzetelnie. Młodości i urody dał mi ponad normę. Biorąc to pod uwagę, skłonna mu byłam odpuścić nawet przeflancowanie mnie na obcy grunt, zwłaszcza że nie uwikłał mnie tutaj w zbyt liczne związki rodzinne. Byłam wolna, mogłam robić, co mi się podoba, pod warunkiem że zdołam na to zapracować. Musiałam uczciwie przyznać, że nie ma na co narzekać.

Co do Guildfordu... Zamierzałam tam kiedyś wrócić, choćby tylko po to, żeby pokazać tej Baker, jak wygląda prawdziwa piękność, ale z tym trzeba się było wstrzymać – dopóki nie odłożę pieniędzy na podróż. A na razie, powiedziałam sobie, bądźmy dobrej myśli. Czyż Ameryka nie jest krajem nieograniczonych możliwości, miejscem, gdzie ludzie wymyślają na nowo samych siebie?

Dano mi drugą szansę – i tej już na pewno nie zmarnuję.

## ROZDZIAŁ 6

Opuściłam szpital tuż przed świętami. Wóz Cindy poszedł do kasacji, Trish uznała więc za stosowne zabrać mnie do domu swoim. Czekala na parkingu w czerwonym, dość sfatygowanym kabrioletcie. Wyglądał biedak, jakby i on miał za sobą niejedną kolizję.

– No, co tak stoisz? – spytała na mój widok, zgarniając z przedniego siedzenia całą górę śmieci – starych tygodników, opakowań po słodyczach, puszek po coca-coli – i beztrzesko przerzucając je do tyłu. Nałożywszy ciemne okulary, włączyła stereo i zaczęła pstrykać klawiszami. – No prędzej, wsiadaj!

Przy akompaniamencie ogłuszającej muzyki ostro ruszyła z parkingu, śpiewając razem z solistką: „Szalo-o-ona! Ta-a-ka już przyszedłam na świa-a-t!”, po czym nie zdejmując nogi z gazu, wjechała w ruchliwą ulicę. Jakiś pikap z przeraźliwym piskiem opon ledwie zdążył nam umknąć spod kół, gwałtownie skręcając w prawo.

– Zjeżdżaj, palancie! – ryknęła Trish, wystawiając do góry palec. Pikap tymczasem wspiął się na chodnik po drugiej stronie ulicy, przetoczył przez całą jego szerokość i z trzaskiem osiadł na palmie. Ze skrzyni zeskoczył wielki owczarek alzacki i pognął za nami z wściekłym ujadaniem.

Trzymając się jedną ręką krawędzi fotela, tak że zbiegły mi kostki, drugą próbowałam – bezskutecznie – namacać pas bezpieczeństwa.

– Trish... – wykrztusiłam – czy nie mogłabyś...

– Wybacz, Cin – burknęła, pstrykając w klawisze. Muzyka ucichła, ustępując miejsca jakiejś radiowej dyskusji.

– Zapomniałam, że z ciebie dziewczyna wychowana na *country and western*.

Na autostradzie musiała zwolnić – tłok był tu taki, że wszyscy pełzli z prędkością kilkunastu centymetrów na minutę. Mnie to nie przeszkadzało, przeciwnie, byłam nawet zadowolona, że mogę się wreszcie rozejrzeć, zobaczyć, gdzie mnie przyniosło. Wszystko tu było zupełnie inne niż w Anglii, szczególnie pogoda: w trzeciej dekadzie grudnia słońce prażyło jak w czerwcu. Jakież to dziwne! Nigdy nie odbywałam dalekich podróży, Amerykę zaś znałam tylko z filmów i zawsze po cichu wątpiłam, czy ten kraj rzeczywiście istnieje.

Nawet teraz nie byłam tego całkiem pewna. Patrząc na drogowskazy z egzotycznie brzmiącymi nazwami – Santa Monica, Malibu, Beverly Hills – co chwila zadawałam sobie pytanie, czyja naprawdę tu jestem? Może to wszystko

tylko mi się śni? Jeśli ktoś mieszkający w Anglii chce dostać się do Los Angeles, musi spędzić dwanaście godzin w samolocie i zazwyczaj wie, dokąd leci. Zaplanował to sobie, wie, czego ma się spodziewać. Ale obudzić się rankiem w odległości pięciu tysięcy mil od miejsca, w którym człowiek położył się spać, o, to zupełnie inna sprawa! Od tego można dostać kręćka.

– Hej, dziecinko! – usłyszałam basowy głos. Wyrwana nagle z zadumy, drgnęłam gwałtownie: to do mnie? Zobaczyłam, że z okna jadącego obok nas wozu wychyla się jakiś niemłody grubas, pożądliwie łypiąc na mnie okiem.

– Chcesz zobaczyć mojego fiuta? – zarechotał rubasznie, chwytając się za rozporek. – Mogę ci go zaraz pokazać, chcesz?

W następnym momencie oba nasze wozy znalazły się tak blisko siebie, że w polu widzenia mignęło mi coś różowego.

– Trish – jęknęłam błagalnie – możesz jechać szybciej?

– Ja się tym zajmę – rzuciła półgębkiem, przechylając się w prawo, by zilustrować wspomniany obiekt. – To? – ryknęła śmiechem. – To nazywasz fiutem, zasrańcu? A masz przy sobie mikroskop?

– Ty cholerna suko! – Rozwścieczony grubas wychylił się z okna do połowy ciała, wywijając nam pięścią przed nosem.

Nie czekając na dalszy rozwój wypadków, Trish gwałtownie skrzyła kierownicę i bez sygnalizowania planowanego manewru przejechała na sąsiedni pas. Teraz dopiero rozpętało się prawdziwe piekło! Omal nie ogłuchłam od ryku klaksonów. Na wszelki wypadek skuliłam się na fotelu, niepewna, czy aby Trish nie zamierza znów podjąć jakiejś ryzykanckiej akcji. Nie byłoby dobrze, gdybym po raz drugi wylądowała w szpitalu, i to jeszcze nim dotrę do nowego domu. Do Ucha, chciałabym przynajmniej zobaczyć, gdzie mieszkam.

Na szczęście korek drgnął i nareszcie ruszyliśmy naprzód w mniej więcej normalnym tempie. Właściciel spostonowanego organu pozostał daleko w tyle: sytuacja na jego pasie nie uległa zmianie.

Dotarcie do Hollywoodu, gdzie mieszkała Trish, zajęło nam prawie godzinę. Hollywood! Już samo brzmienie tego słowa przyprawiało mnie o dreszcz emocji, tym większy więc był mój zawód, gdy po zjeździe z autostrady zaczęłyśmy mijać jakieś nędzne, zrujnowane osiedla. Widać było wyraźnie, że nie jest to słynna aleja gwiazd. Na skrzyżowaniu przy Bulwarze Zachodzącego Słońca zobaczyłam starą kobietę trzymającą przed sobą tablicę z napisem: „Pracuję za jedzenie”. Było w niej coś takiego, co przywiodło mi na myśl Harriet. Może sprawił to jej wyraz twarzy, ten sam wiek, a może workowata kiecka, sama nie wiem... Nad jej głową

widniał ogromny billboard z reklamą kosmetyków Lapinique. „Dla kobiety, która chce czegoś więcej”...

Zrobiło mi się nieswojo. Gdybym nie spotkała Mefista, tak właśnie mogłabym skończyć... W porównaniu z sytuacją tej kobiety własne problemy finansowe wydały mi się nagle już nie tylko mniej groźne, ale wręcz nieistotne. Byłam młoda, miałam przed sobą długie życie, a ona? Jej czas dobiegał końca...

– No to jesteśmy w domu – wesoło oznajmiła Trish, zatrzymując samochód przed jednym z obskurnych bloków przy równie obskurnej ulicy. Wyglądała jak wielki śmietnik.

Schody również. Wspinając się na górę, musiałyśmy co krok omijać jakieś podejrzaną kałużę i podarte plastikowe worki pełne wszelkiego paskudztwa. I ten odrażający smród! Najbardziej dawał się we znaki na ostatnim piętrze, tam gdzie mieszkała Trish. Żeby wejść do jej mieszkania, trzeba było sforsować niezmiernie skomplikowany system zamków, zasuwek i rygli. Pomyślałam, że będę musiała szybko się tego nauczyć.

Udając, że dobrze znam drogę, pewnie wkroczyłam do wąskiego holu, otworzyłam pierwsze z brzegu drzwi... i znalazłam się w schowku na szczotki.

– Tędy, głuptasie! – Trish chwyciła mnie za ramiona i z przesadnie głębokim westchnieniem skierowała w następne drzwi. – Jak Boga kocham, Cin! Ty byś chyba nie umiała nawet wyskoczyć z okna, gdyby ci ktoś nie pokazał, gdzie jest dół!

Nie komentując tej mało pochlebnej uwagi, pozwoliłam się wprowadzić do zagraconego saloniku, a stamtąd do znacznie większego, całkiem przyjemnego pokoju z wygodnym podwójnym łóżkiem. Byłam tak wyczerpana po długiej podróży, że na widok tego królewskiego łoża rzuciłam torby na podłogę i z uczuciem bezbrzeżnej ulgi rozsiadłam się na miękkiej pikowanej kołdrze.

– Ależ jestem wykończona! – jęknęłam. – Muszę się teraz położyć i chociaż trochę odsapnąć.

Trish zagapiła się na mnie ze skrajnym niedowierzaniem. I chyba odjęło jej mowę, bo dopiero po paru sekundach zdołała wydobyć z siebie głos.

– Przestań się wygłupiać, Cin! Dobrze wiesz, że to mój pokój! – Z niesmakiem pokręciła głową. – Wygodna rzecz ta twoja utrata pamięci!

– Ale ja tylko...

– Twój pokój jest tam – powiedziała twardo, otwierając następne drzwi. – Mówię to tak na wszelki wypadek... gdyby ci się znowu zdarzyło „zapomnieć” – dorzuciła z dość kwaśnym uśmiechem.



Chwyciwszy swoje torby, wciągnęłam je do ciemnej klitki, niewiele większej od schowka na szczotki. Poza wąskim łóżkiem mieściły się tu tylko szafa i komoda, a jedynym źródłem światła było malutkie okienko, usytuowane w dodatku tak wysoko, że właściwiej byłoby nazwać je świetlikiem.

Na łóżku siedział różowy niedźwiadek, troskliwie otulony kapą. Kto do licha wymyśla te straszne kolory, od których człowiekowi cierpną zęby? Miałam wrażenie, że to małe brzydactwo ironicznie mruga do mnie okiem, ale może to wyobraźnia spletała mi takiego figla.

– Cześć, mały – mruknąłam, myśląc tęsknie już tylko o tym, żeby ta Trish sobie poszła! Nic z tego.

– Na wypadek gdybyś rzeczywiście straciła pamięć, muszę ci przypomnieć o paru sprawach – rzuciła wyraźnie ostrzegawczym tonem. – W łazience moje rzeczy są po lewej stronie, a w lodówce to, co podpisane. Czytać chyba nie zapomniałaś. – Widząc, że z ręką na biodrze oparła się o framugę, doszłam ze smutkiem do wniosku, że to nie koniec przemowy. I rzeczywiście. – O czynszu już ci mówiłam – stwierdziła sucho – a teraz przyszedł jeszcze rachunek za prąd, za który jesteś mi winna trzydzieści sześć pięćdziesiąt. I siedemdziesiąt pięć za odholowanie tego, co zostało z twojego wozu. Przykro mi, Cin. – W jej głosie zabrzmiało coś na kształt współczucia. – Że też musiało się to zdarzyć akurat teraz, gdy nareszcie skończyłaś go spłacać! No ale masz przecież mnie. Jak będziesz chciała gdzieś jechać, to powiedz. Od czego są przyjaciele, prawda? – dodała z lekkim uśmiechem. – Zawsze cię chętnie podrzucę, póki oczywiście będziesz mi płacić za paliwo.

– Dzięki, Trish – mruknąłam, gdy w końcu zniknęła za drzwiami. Zdaje się, że ludzie w tym mieście słono sobie liczą za przyjaźń, pomyślałam cierpko. Ciekawe, czy przyślesz mi rachunek za odwiedziny w szpitalu? A może mam ci zapłacić za dzisiejszą jazdę?

No ale wreszcie zostałam sama – po raz pierwszy od swego „wypadku”. W szpitalu kręcili się wciąż jacyś ludzie, więc bez przerwy musiałam się mieć na baczności. Niełatwo jest udawać kogoś, kim się nie jest. Zmęczyło mnie to okropnie.

– Wybacz, misiu – ziewnęłam głośno, zrzucając z łóżka różową szkaradę – ale mnie wypoczynek należy się bardziej niż tobie. – Wpełzłam pod kołdrę i natychmiast zasnęłam jak kamień.

Nazajutrz, w wigilię Bożego Narodzenia, Trish powiadomiła mnie krótko, że zamierza spędzić święta u rodziny i za chwilę wyjeżdża do Bakersfield. Kończyła

właśnie montować okazała kłódkę na drzwiach swojego pokoju.

– Zobaczymy się za dwa dni – rzuciła już na wychodnym i nagle znów przystanęła.

– Jesteś pewna, że dasz sobie radę? – spytała, przyglądając mi się badawczo.

– No bo wiesz... sama w święta... Nie będzie ci smutno?

Pokręciłam głową; miałam nadzieję, że nie zauważy, jak bardzo już chcę się jej pozbyć.

– Powinnam cię była zaprosić – mruknęła z odcieniem skruchy – ale...

– Naprawdę dam sobie radę – czym prędzej weszłam jej w słowo.

– Cóż, może to i lepiej – odrzekła z wyraźną ulgą. – Moi starzy zawsze robią tyle szumu, gdy przywożę kogoś do domu. Wydawało mi się, że to by ci mogło zaszkodzić. Po takim wypadku najlepiej unikać wzruszeń. Odpocznij tu sobie porządnie; musisz nabrać siły do pracy.

– No to bywaj, Trish. – Zrobiło mi się niewyraźnie, gdy pomyślałam o tym, co czeka mnie zaraz po świętach.

– W drodze powrotnej kupię coś do jedzenia – obiecała. – I możesz użyć mojego lapinique do kąpieli – dodała wspaniałomyślnie.

Dziwna jest natura ludzka. Choć tak pragnęłam pozbyć się Trish, natychmiast po jej wyjeździe ogarnęła mnie melancholia. Uświadomiłam sobie, że bardziej niż cegokolwiek pragnę właśnie domowego szumu czy nawet jego namiastki, a tymczasem jestem beznadziejnie sama, w dodatku w zupełnie obcym mieście, bez pieniędzy i środka transportu. Nie znam tu ani żywej duszy, a to przecież Boże Narodzenie. W tych szczególnych dniach każdy chce być z rodziną, upewnić się, że zawsze, bez względu na wszystko, może liczyć na miłość swych bliskich. Każdy ma na tym świecie kogoś, kto go kocha, a ja?...

Jako Harriet też z konieczności spędzałam święta samotnie, mogłam jednak przynajmniej zadzwonić do Sally czy Andrew. Teraz nie miałam nawet tego. Gdyby mierzyć samotność w stopniach, mogłabym powiedzieć, że osiągnęłam najwyższy. Była to samotność tak całkowita, tak wszechogarniająca, że napawała mnie grozą. I po to sprzedalam duszę diabłu?

Musiałam spojrzeć w lustro, aby sobie przypomnieć, że coś przecież jednak zyskałam. Co by powiedzieli Sally czy Andrew, gdyby mogli mnie teraz zobaczyć? Co by pomyślał Andrew o moim nowym i tak pięknym ciele? Cóż... pewnie nawet nie zauważyli, że mnie nie ma. Poczułam nagły przypływ nostalgii: zatęskniłam za Guildfordem, tym nudnym i gnuśnym miastem, które dotąd darzyłam jedynie pogardą. Zrozumiałam, że jednak jest mi bliskie, a teraz dzieli mnie od niego pół

świata. Dużo wody upłynie, nim stać mnie będzie na podróż... I pewnie się wtedy przekonam, że nikt tam za mną nie tęskni...

Na razie trzeba było urządzić sobie życie tutaj, w Los Angeles. Zaczęłam myszkować w malutkiej sypialni Cindy, aby poznać tę dziewczynę bliżej, dowiedzieć się, o czym myślała, co lubiła, jakie miała pragnienia. Cały jej ruchomy dobytek składał się z ubrań, kosmetyków oraz kupki taniej biżuterii, co niewiele mówiło o niej samej. Znaleziony pod łóżkiem zaczytany egzemplarz „Żon Hollywoodu” otwierał już pewne pole dla domysłów. Czyżby Cindy dzieliła moją skrytą słabość do tego rodzaju lektury? Czy i ona miała zwyczaj uciekać w krainę fantazji, tak jak zdarzało się to mnie, gdy razem z bohaterką Jackie Collins tonęłam w obłokach pary w łazience Harriet, tam w Anglii?

Dla mnie była to tylko rozrywka – rodzaj psychicznej odskoczni od szarej rzeczywistości, od monotonnej pracy w bibliotece. Z Cindy było chyba inaczej. Ona mieszkała w sąsiedztwie ekscentrycznych rezydencji bogatych i sławnych. Dla niej ten świat był realny. Przyjechała tu w nadziei, że zdobędzie do niego klucze. Ciekawe, czy wciąż w to wierzyła?... Patrząc na nędzne meble i łuszczące się ściany, skłonna byłam przyznać rację Babs: w Sioux Falls miałyby się pewnie lepiej.

Dokładnie spenetrowałam wszystkie szuflady i schowki w poszukiwaniu jakiegoś pamiątnika, notatek, listów, czegokolwiek, co pozwoliłoby mi wejrzeć trochę głębiej w osobowość mojej poprzedniczki. Nic takiego nie znalazłam. Zaczynałam dochodzić do wniosku, że Cindy po prostu nie miała osobowości; miała tylko to, co było widać.

Bez Trish i jej paplaniny czas mijał mi strasznie wolno. W dzień Bożego Narodzenia zaczął na dodatek doskwierać mi głód, postanowiłam więc zaryzykować wyprawę do miasta. Widziałam z okna jakiś sklep spożywczy i zdawało mi się, że jest czynny. Znalazłam trampki i stary dres Cindy i tak ubrana wyszłam na ulicę, licząc, że w tym stroju będę mniej widoczna.

Zaraz po wyjściu z budynku zobaczyłam w pobliżu grupkę młodych kobiet; na mój widok wszystkie stanęły rzędem i zaczęły wytykać mnie palcami.

– Hej, patrzcie na tę „pretty woman”! – dobiegł mnie gromki okrzyk.

Zbliżając się do nich, wiedziałam już, kim są te panie – wystarczyło spojrzeć na ich stroje i strasznie jaskrawy makijaż.

– No i co, kochaneczko? Szukasz tu tego jedynego?

– krzyknęła pulchna brunetka. – Hej, dziewczyny, załóżę się, że to dupodajka!

Z tych, co nie ciągną fiuta, bo mają się za coś lepszego!

Czerwona ze wstydu przyspieszyła kroku, ale zastąpiły mi drogę i zaczęły poszturchiwać.

– Spływaj, dziwko! – Któraś z nich mocnym kuksańcem zepchnęła mnie do rynsztoka. – I lepiej się tu nie pokazuj! Jak usłyszę, że podbierasz dziewczynom klientów, to tak cię urządzę, że nie pozna cię nawet twój alfons!

Resztę drogi przebyłam sprintem, ścigana stekiem obrzydliwych wyzwisk. Sklep był otwarty, więc za ostatnie pieniądze kupiłam trochę prowiantu: mleko, chleb, jajka i ser. I tu jednak nie obyło się bez przygód.

– Jesteś sama, kochanie? – mruknął przysadzisty osobnik przy kasie. Zgarnawszy lepkimi paluchami moje ostatnie centy, znienacka chwycił mnie za rękę i brutalnie przygwoździł ją do lady. – Pójdiesz ze mną, dziecinko?

– wydyszał mi prawie w sam nos. – Chodź, urządzę ci takie święta, że ich do końca życia nie zapomnisz! – Fuj! Jego oddech cuchnął jak stary, nie czyszczony rynsztok.

– Nie, dziękuję! – Wyrwałam mu rękę i pędem wybiegłam ze sklepu.

Zaledwie znalazłam się na ulicy, gdzieś w pobliżu zawyła syrena policyjna, a po chwili zza rogu wybiegł jakiś człowiek. Oglądając się chyłkiem za siebie, sadził środkiem jezdni jak ścigany zając. Kiedy prawie już zrównał się ze mną, zza rogu z piskiem opon wypadł wóz policyjny i popędził za uciekinierem. Spłoszone prostytutki momentalnie gdzieś znikły. Wóz przyhamował ostro tuż za plecami uciekającego, wypluwając z siebie czterech uzbrojonych policjantów.

– Stój! Ani kroku dalej!

Jeden z funkcjonariuszy sterroryzował zbiega, celując mu w głowę trzymaną oburącz bronią, pozostali otoczyli ciasno nieszczęśnika i z widoczną wprawą wzięli się do bicia.

Przerażona ich brutalnością uciekłam do domu, gdzie zaraz za bramą wpadłam na młodego oberwańca skulonego pod ścianą holu. Odskoczyłam jak oparzona, ale on nawet na mnie nie spojrzał. W świetle mętnej żarówki spostrzegłam – okropność! – że wbija sobie w ramię igłę, trzęsąc się przy tym jak w febrze.

Po tych przeżyciach poprzysięgam sobie nie odbywać już więcej samotnych wycieczek na ulice Los Angeles. Włączyłam telewizję, uznając, że i ona stanowi przecież jakieś źródło wiedzy o tym mieście i jego ludziach. Niestety. Dowiedziałam się tylko tyle, że przeciętny mieszkaniec Los Angeles dysponuje mniejszą zdolnością koncentrowania uwagi niż owad i że nie jest w stanie zainteresować się niczym, co nie jest poparte szczegółową demonstracją – dotyczy

to wszystkiego, co można kupić w tym kraju. Mimo trzystu dostępnych kanałów nie udało mi się znaleźć ani jednego programu, który byłby wart oglądania. Rozpaczliwie tęskniłam za jakąś przyzwoitą książką.

Z czystej desperacji – do „Zon Hollywoodu” nie potrafiłam się zmusić – wzięłam się do wertowania starych tygodników, których całe sterty leżały w salonie we wszystkich możliwych miejscach. Z początku ich zawartość wydawała mi się dziwaczna, a chwilami nawet bardzo śmieszna: „Zwyciężaj dzięki swojej szafie”, „Jak zdobyć i utrzymać mężczyznę”, „Chcesz stać się kimś innym – zadzwoń” i tak dalej. Kto do licha czyta takie bzdury, kogo to interesuje? I nagle uświadomiłam sobie, że to wszystko adresowane jest do młodych niezamężnych dziewczyn, dokładnie takich jak ja. Że mam teraz zaledwie dwadzieścia jeden lat i powinnam zmienić swój sposób myślenia. Nie mogę wciąż patrzeć na wszystko oczami Harriet i oceniać ludzi tak jak ona.

Z innym nastawieniem przystąpiłam teraz do lektury. Po przestudiowaniu mnóstwa rozmaitych porad postanowiłam wypróbować garderobę Cindy. Aby lapidarnie określić jej gusty, wypada powiedzieć, że można by im było zarzucić chyba wszystko z wyjątkiem konserwatyzmu. Lubiała jaskrawe kolory, a krój jej ubrań niewiele pozostawiał wyobraźni widza. Odniosłam wrażenie, że musiało ją to chyba bawić.

Przymierzyłam kolejno kilkanaście głęboko wyciętych topów i tak mikroskopijnych spódniczek, że przy siadaniu podnosiły się niemal do pępka. Przyodziana w te skąpe szmatki, spędziłam ponad godzinę przed lustrem – zainstalowanym z braku miejsca na drzwiach pokoiku mojej poprzedniczki – starając się przybierać efektowne pozy, a zwłaszcza poruszać w zalecany sposób, na ile oczywiście pozwalał mi na to wąziutki skrawek podłogi pomiędzy ścianą a łóżkiem. Z początku czułam się trochę głupio, krygując się przed lustrem jak szympans, który dorwał się do ubrań, jednakże w miarę osvajania się z własnym widokiem przestałam się na to zżymać. I nagle po którejś z kolei próbie po raz pierwszy poczułam, że mój umysł nawiązał w końcu prawidłową łączność z nowym ciałem. Zaakceptował też chyba te stroje, one zaś sprawiły, że zaczęłam poruszać się całkiem inaczej niż dotąd. To już nie była skrępowana i niezdarna Harriet. Gdy kołysząc zmysłowo biodrami, powoli podeszłam do lustra i stanęłam przed nim w kusicielskiej pozie, poczułam dreszcz podniecenia. Oddychając coraz szybciej, dotknęłam wargami chłodnej lustrzanej tafli... A gdyby tu stał mężczyzna? Jakie by wywarło to na nim wrażenie? Co by teraz zrobił? Poczułam, że na usta wypływa mi uśmiech: może niedługo się dowiem.

Z duszą na ramieniu myślałam o pracy: będę musiała obcować z ludźmi, którzy znali Cindy, może nawet byli jej przyjaciółmi. Bałam się, że prędzej czy później ktoś zdemaskuje mnie jako oszustkę. To, że o samej pracy nie miałam bladego pojęcia, również groziło wpadką. Tak strasznie mnie jednak znudziło siedzenie w pustym mieszkaniu, że z dwojga złego wolałam już iść do pracy. W dodatku rozpaczliwie potrzebne mi były pieniądze. Pod nieobecność Trish zjadłam już prawie wszystko, co było w domu, z wyjątkiem naleśników w proszku i keczupu, a jak długo można wytrzymać na takiej diecie? Trish powróciła wieczorem z Bakersfield, ale jeśli nawet przywiozła jakieś jedzenie, nie zamierzała się pewnie nim dzielić.

Nazajutrz już o świcie zerwała mnie z łóżka. Z tego, co mówiła wcześniej, można było sądzić, że pójdziemy do pracy spacerkiem, bo to „tylko kawalek, ledwie parę przecnic”, okazało się jednak, że pokonanie tego „kawalka” wymaga dwudziestu minut jazdy. Zatrzymałyśmy się na wielkim parkingu, przyległym z jednej strony do stacji paliw, z drugiej do niskiego, długiego budynku, na którego dachu widniał wielki neonowy szyld: „U Marty’ego. Polecamy wyborne firmowe śniadania”. Trish wyłączyła silnik i skrętnie zapisała coś w kalendarzyku.

– Za paliwo dolar pięćdziesiąt – mruknęła, chowając go do torebki. – No i na co czekasz, Cin? Wyskakuj! Chyba nie chcesz się spóźnić już pierwszego dnia po powrocie?

Po wejściu bocznymi drzwiami do budynku wpadłyśmy od razu w istne pandemonium! Znad rzędu głębokich patelni unosiły się kłęby syczących oparów, wśród których uwijali się ludzie z talerzami skwierczącego jadła. Wszystko, a zwłaszcza powietrze, przenikała ciężka woń tłuszczu. Przy grillu stał pulchny mężczyzna w obszernym białym fartuchu, wymachując długą drewnianą łopatką nad rzędem smażących się jajek. Widząc, jak idealnie zgrany jest ruch tej łopatki z rytmem rzucanych i wykonywanych komend, można było pomyśleć, że to wielki dyrygent, a ci uwijający się ludzie to jego orkiestra.

– Hej, Marty! – Trish dotknęła jego ramienia. – Popatrz, kto przyszedł.

Okręcił się błyskawicznie wokół własnej osi i posłał mi szeroki uśmiech.

– Cześć, Cindy! No i jakże się miewa moja ulubienica?

– Zręcznie wrzucił dwa jajka na talerz podsunięty przez którąś z kelnerek, po czym przygarnął mnie mocno do swojej obfitej piersi. Odór jego ciała był tak intensywny, że przytłumił nawet te kuchenne wonie. Zebrało mi się na mdłości. Na litość boską, czy ci ludzie muszą mnie wciąż macać?

– No, no, tylko mi tak nie stój, dziewczyno – z tymi słowy uszczypnął mnie w ramię, mrugając jednocześnie okiem z takim wyrazem twarzy, jakby chciał mnie połknąć na surowo. – Wkładaj fartuszek, goście czekają!

Poszłam za Trish na zaplecze, gdzie przebrałyśmy się w firmowe mundurki uszyte z szaroburego sztucznego tworzywa i takie krótkie, że nawet spódniczki Cindy mogły przy nich uchodzić za skromne. Trish, widząc, że się ociągam, popchnęła mnie w plecy – i wkroczyłyśmy do wielkiej sali. Nie zdążyłam się dobrze rozejrzeć, gdy ktoś bez słowa wetknął mi do ręki dzban kawy. Zdjęta paniką – co mam z tym zrobić? – stanęłam u końca długiego kontuaru, rozglądając się bezradnie za Trish.

– Hej, panienko, proszę o dolewkę! – krzyknął jakiś starszawy jegomość, podnosząc do góry kubek.

Ha, tyle potrafiłam zrobić; widząc, że inni też żądają kawy, rozpoczęłam powolną wędrówkę po sali. Mogłam teraz przyjrzeć się wnętrzu.

Sprawiało wrażenie dekoracji do starego filmu, mniej więcej z lat pięćdziesiątych. Całą jedną ścianę zajmowały panoramiczne okna ze szlifowanego szkła, za którymi rozpościerał się ten wielki parking i wspomniana już stacja paliw. Przy stolikach z plastikowej imitacji drewna stały staroświeckie, kryte sztuczną skórą kanapy. Chromowane podstawki pod karty dań, wykonane niezwykle kunsztownie w formie miniatuerek starej szafy grającej, musiały pewnie budzić zbyt duże zainteresowanie amatorów takich bibelotów, bo przymocowano je do blatów za pomocą stalowych łańcuszków. Prawdziwa szafa grająca stała w przeciwnym końcu sali, trudno było jednak powiedzieć, czy działa, bo wszystko zagłuszał gwar rozmów, szcęk talerzy i sztućców. Przy ścianie na wprost okien ciągnęła się długa lada, gdzie na plastikowych stołkach z chromowanymi nogami siedzieli rzędem bywalcy, i to tak gęsto, że podczas jedzenia jeden trącał drugiego łokciem.

– Hej, obsługa! Tutaj!

Ostrożnie podeszłam do stołu zajętego przez dwóch osobników w jednakowo brudnych owerolach.

– Dla mnie dwa jajka, tylko ich za bardzo nie wysmażcie, zapiekanka i jak mu tam?... Aha, deser francuski z podwójnym syropem – zadysponował ten siedzący bliżej. – Bez bitej śmietany.

– Dla mnie jajecznicza na bekonie, do tego naleśniki z jagodami i podwójną bitą śmietaną. Bez syropu – z naciskiem podkreślił jego towarzysz.

Znów bezradnie rozejrzałam się po sali. Teraz dopiero przyszło mi na myśl, że

powinnam mieć jakiś notes i że nikt mi go nie dał. Gdzie Trish? Była w drugim końcu pomieszczenia. Za daleko.

– A poza tym – odezwał się znów ten pierwszy – widzę, że coś leży o tam, pod kanapą. Pewnie jakiś gość zgubił portfel.

– Powinnaś chyba sprawdzić, czyj to portfel – poparł go kolega.

Zmyłona ich niewinnym tonem, zajrzałam we wskazane miejsce, przy czym naturalnie musiałam się schylić. Pod kanapą nic nie leżało. Prostując się, poczułam, że czyjaś ręka wśliznęła mi się pod majtki. Co za obrzydliwi dranie! Obaj oczywiście ryknęli śmiechem.

O nie! Tego im nie daruję!

– Zabieraj to łapsko! – warknęłam, wybuchając płaczem. Błyskawicznie przechyliłam dzbanek dzióbkiem na dół, tak że cała gorąca kawa wylała się na kolana temu siedzącemu bliżej. Zaczął wyć jak potępieniec, co musieli usłyszeć nawet ludzie w kuchni, bo natychmiast pojawił się Marty z nieodłączną łopatką w ręku.

– Do jasnej cholery, co ty sobie myślisz, głupia dziwko!

– wrzasnął, aż zadrżały ściany. – Będziesz mi tu napadać na gości? Nie masz nic lepszego do roboty?

– Ale on wepchnął mi łapę...

Chwycił mnie za ramię i odciągnął na bok.

– Pluję na to, gdzie moi goście pchają swoje cholerne łapska – syknął z furią – dopóki przed wyjściem sięgają nimi do portfeli! A ci dwaj już tego nie zrobią, bo ty nie miałaś nawet tyle oleju we łbie, żeby przyjąć od nich to cholerne zamówienie! Och, za chwilę krew mnie zaleje! Zejdź mi z oczu, kretynko, nim wywalę cię na zbity pysk!

Uciekłam na zaplecze, gdzie po paru minutach odnalazła mnie wstrząśnięta Trish.

– Jezu, co ty wyprawiasz, Cin? Przez ciebie wywali nas obie.

Kiedy jednak opisałam jej całe zajście, pokiwała głową ze współczuciem.

– Mnie się to też zdarzało. A wiesz, co zrobiłam ostatnim razem? Nic nie powiedziałam temu gnojkiowi, tylko przeszłam się z jego jajecznicą po kuchni i kazałam wszystkim napluć w talerz. Nawet pies Marty’ego nieźle się obślinił – zakończyła ze śmiechem.

– Nic nie umiem zrobić, nawet przyjąć zamówienia – wyznałam wątlym głosem. – Wszystko pozapominałam. To pewnie przez ten wypadek.

– Nic się nie martw – Trish posłała mi krzepiący uśmiech. – Pomogę ci, Cin,



pod warunkiem...

– Że zapłacę ci więcej za paliwo? – spytałam kwaśno.

– No wiesz! Nie myśl, że aż taki ze mnie chytrus. Chciałam powiedzieć, że ci pomogę, jeżeli w tę sobotę weźmiesz za mnie wieczorną zmianę. Wyjdzie ci to nawet na dobre, bo szybciej nabierzesz wprawy. Mam bardzo ważną randkę. Ten facet może załatwić mi rolę. W „Słonecznym patrolu”, rozumiesz?

## ROZDZIAŁ 7

Byłam mocno załamana sromotną klęską, jaką stał się dla mnie pierwszy dzień pracy w lokalu Marty'ego, jednakże po błyskawicznym kursie kelnerskim u Trish zgłębiłam podstawowe arkana tej sztuki, toteż z wolna zaczynało mi wracać poczucie własnej wartości. Po paru dniach już wiedziałam, czego żądają klienci, jakkolwiek używane przez nich określenia różniły się znacznie od tego, co widniało w karcie, nauczyłam się również przecinać ich mało wytworne zaloty za pomocą tak skutecznych replik, że mijała im ochota na amory. Po dwóch tygodniach tak już recytowałam listę specjalności dnia, jakbym to robiła całe życie, a pytaniu „zupa czy sałatka?” potrafiłam nadać to szczególne, lekko nonszalanckie brzmienie, właściwe jedynie prawdziwym profesjonalistom.

Po incydencie z kawą męska część personelu łącznie z Martym trzymała ręce przy sobie, czułam jednak, że cały zespół traktuje mnie z dużą rezerwą. Mimo usilnych starań nie zdobyłam tu sobie przyjaciół. Zrozumiałam, dlaczego tak się dzieje, gdy pewnego dnia w damskiej szatni zdarzyło mi się usłyszeć, zupełnym zresztą przypadkiem, rozmowę dwóch koleżanek. Winien był temu mój wygląd. Kobiety trawiła zazdrość, a mężczyźni myśleli tylko o tym, jak mi się dostać do majtek. Okazało się, że nawet w Hollywoodzie, tym największym w świecie skupisku pięknych ludzi, uroda Cindy przewyższa wszystkie możliwe standardy. Ale co mi z tego, wzdychałam w duchu. Gdybym jeszcze wiedziała, jak to wykorzystać! Miałam serdecznie dość nędzy i tej okropnej harówki. Nie po to sprzedałam duszę, żeby do końca życia być kelnerką.

Nikt spośród zatrudnionych w lokalu Marty'ego nie uważał swojego zajęcia za stałe. Każdy zamierzał zostać supergwiazdą. Słyszałam dziesiątki opowieści, w których jak refren powtarzało się słowo „pech”. Kelnerki przytaczały niezliczone przykłady fatalnych zbiegów okoliczności, które w pewnym momencie podcięły im skrzydła – każda była wtedy wschodzącą gwiazdką – kucharze tyle opowiadali o swoich talentach aktorskich, że trudno było zrozumieć, dlaczego nie zostali jeszcze odkryci. Ich zdaniem miało to nastąpić lada dzień. Wszyscy albo „pauzowali”, albo chwilowo mieli „złą passę”. Marty'emu stale brakowało personelu. Bywały dni, gdy do pracy zgłaszała się połowa zmiany; druga albo brała udział w castingach, albo zamknięta gdzieś na cztery spusty starała się odreagować gorycz kolejnej porażki, tym dotkliwszej, im było ich więcej. Nazajutrz zaczynały się opowieści, jakim to sposobem upragniona rola, którą

miało się w zasięgu ręki, dostała się komu innemu.

Wiele tych przyszłych sław wypróbowało swój talent na gościach. Zazwyczaj ograniczało się to tylko do „artystycznej” recytacji karty dań, zdarzały się wszakże momenty natchnionej improwizacji. Wybuchala na przykład dramatyczna sprzeczka, na tyle bulwersująca, by przyciągnąć uwagę gościa podejrzanego o takie czy inne powiązania z filmem. Wszystkie kelnerki, łącznie z Trish, spędzały ustawowe przerwy na gorączkowym studiowaniu zdjęć zamieszczanych w „Variety”, by mieć pewność, że rozpoznają każdego potentata filmowego, gdyby taki przypadkiem pojawił się w naszym lokalu. W razie wątpliwości wołały raczej przeinwestować, niż później pluć sobie w brodę, wskutek czego jeden czy drugi kierowca ciężarówki dowiadywał się ze zdumieniem, że posiłek funduje mu firma, a zdumienie to sięgało szczytu, kiedy na pożegnanie wręczano mu stos wizytówek z nazwiskami i telefonami jakichś nieznanym polecających się jego łaskawej pamięci.

Trish każdego wieczoru szła na randkę z kim innym, zawsze był to jednak ktoś, kto mógł ją przedstawić bliskiemu przyjacielowi Michaela Douglasa albo Sylvestra Stallone’a. Zgodnie z jej koncepcją kreowania wielkich gwiazd ekranu mechanizm tego zjawiska był niezwykle prosty. Aby zostać kimś takim, niepotrzebne były ani zdolności aktorskie, ani uprawianie tego zawodu. Wystarczyło mieć w sobie to „coś”, co można by nazwać wewnętrznym „potencjałem” albo „duszą” gwiazdy, i postarać się o kogoś, kto się na tym pozna.

– Albo to masz, albo nie – powtarzała mi dziesiątki razy. – Nieważne, kim jesteś ani skąd pochodzisz. Każdy może zdobyć sławę, jeśli tylko ma w sobie te właściwe cechy i postara się pokazać je właściwym ludziom. Po prostu trzeba wciąż próbować. Nie uda się za pierwszym razem, to uda się za dziesiątym. Najważniejsze to się nie poddawać.

Próbowałam jej tłumaczyć, że ludzie zazwyczaj zdobywają sławę dzięki temu, co robią; w przypadku aktorów są to wielkie role, w które włożyli mnóstwo ciężkiej pracy, argumentacja ta jednak nie trafiała Trish do przekonania. Praca? A po co? Aktorstwo było dla niej jedynie sposobem zdobycia sobie tego miejsca w świecie, które słusznie jej się należało. Los spletał jej po prostu okrutnego figła, każąc komuś takiemu jak ona urodzić się poza Beverly Hills. Była święcie przekonana, że ma w sobie wszystko, co mają członkowie tamtejszej elity, starała się zatem wszelkimi siłami nawiązać z nimi kontakty. Wierzyła, że gdy to nastąpi, ci wielcy natychmiast rozpoznają w niej „swoją” – i w ten oto sposób znajdzie się tam, gdzie powinna.

Ja wieczorami siedziałam w domu. Niech Trish szuka sobie bogactwa i sławy – mnie ze zmęczenia nie chciało się nawet zwlec z sofy. Bolały mnie stopy, nogi odmawiały posłuszeństwa, a mózg zwijał się kłębek i błagał o litość. Szok kulturowy był tak potężny, że biedak nie umiał sobie z nim poradzić. Przyczyniała się do tego zwłaszcza radykalna zmiana trybu życia – nigdy nie pracowałam tak ciężko, w dodatku tyle godzin dziennie!

Pewnego wieczoru, w drugim tygodniu mojego pobytu w Los Angeles, zdążyłam właśnie usadowić się na sofie, by obejrzeć lokalne wiadomości, kiedy w drzwiach stanęła Trish. Jej mina i ręce na biodrach nie wróżyły nic dobrego.

– No, Cindy, podnieś tyłek. Jest środa.

– No to co?

– A to, że w środę ćwiczymy.

– Ćwiczymy? – powtórzyłam słabym głosem.

– Znowu udajesz, że nie pamiętasz? Skończ wreszcie z tym cyrkiem. Darowałam ci ostatnim razem, bo dopiero wyszłaś ze szpitala, ale teraz koniec z lenistwem! Na odpoczynek miałaś cały tydzień. – Podeszła bliżej, spoglądając wymownie i nie bez zawiści na moją odsłoniętą talię. – Niech ci się nie zdaje, że utrzymasz taką figurę, jak będziesz wciąż siedzieć na tyłku.

Już chciałam warknąć: „Odczep się od mojej figury! Martw się o swoją! Masz ku temu więcej powodów niż ja!”, ale raptem ogarnął mnie niepokój: a może ona ma rację? Może zawdzięczam to piękne ciało nieustannej morderczej diecie i tysiącom godzin w sali gimnastycznej? Pomyślałam, że jeśli tak było, nie wolno mi zaprzepaszczać pracy i potu Cindy. Jako beneficjentka tak wspaniałego dziedzictwa mam obowiązek utrzymać je w dobrej formie. W dodatku na samą myśl o tym, że mogłabym znowu wyglądać jak Harriet – i to przez własne lenistwo – ogarnęła mnie zgroza. Nie daj Boże! Gardziłabym sobą jeszcze bardziej niż przedtem.

Trish zresztą ani myślała ustąpić, tyle że teraz sięgnęła po inny argument.

– Nie chcesz poznać nowego instruktora? Przyszedł w zeszłym tygodniu, kiedy cię nie było. Mówię ci, żałuj, żeś go nie widziała! W życiu nie oglądałam takiego tyłeczka! A ta wypukłość z przodu! Coś niesamowitego! Zobaczysz! Będziesz miała ochotę ściągnąć mu te ciasne szorty!

– No dobrze. – Zwlokłam się jakoś z sofy. Przyszło mi na myśl, że ów instruktor to pewnie jej nowe trofeum, którym najwidoczniej tak się chce pochwalić, że mój opór na nic się nie zda. Trudno, niech ci będzie. – Za chwilę będę gotowa – powiedziałam głośno, człapiąc do swego pokoju, i nagle stanęłam

w miejscu. – Ale... co ja mam na siebie włożyć?

Przez całą drogę do klubu myślałam tylko o tym, że w tych idiotycznych ciuchach, które wybrała mi Trish, zrobię z siebie straszne pośmiewisko. Przekonałam się jednak ku swej wielkiej uldze, że wszystkie uczestniczki kursu ubrane są tak samo lub bardzo podobnie. Miałam na sobie czarne legginsy i obcisły czerwony trykot typu body tak wykrojony, że nogi zaczynały mi się pod pachami, do tego wielkie treningowe buty, a wokół nadgarstków i czoła całe kilometry jaskrawych opasek, które miały jakoby wchłaniać nadmiar potu. Obie z Trish wyposażone byłyśmy ponadto w różne dodatkowe akcesoria, takie jak ciężarki, butelki z wodą, ręczniki, bandaże elastyczne oraz spray do spryskiwania mięśni.

W wielkim, wyłożonym lustrami studiu zastałyśmy już mnóstwo kobiet; niektóre przechadzały się po sali, prezentując dumnie swą muskulaturę, inne stały w malowniczych pozach przed niskimi prostokątnymi platformami, zainstalowanymi w równych odstępach w całym pomieszczeniu.

– Szybko! Zajmijmy sobie miejsca! – syknęła Trish, ciągnąc mnie w stronę dwóch sąsiadujących z sobą platform.

Usiadłam na swojej, jak mi kazała. Przez chwilę nic się nie działo, tyle że kilka kobiet zaczęło mi się przyglądać. Nie były to miłe spojrzenia, powiedziałabym nawet, że biła z nich wrogość.

Instruktor wyglądał tak, jak opisała go Trish. Zaraz po wejściu na salę obrzucił mnie długim spojrzeniem zakończonym frywolnym mrugnięciem, po czym klasnął w dłonie i zaczął rytmicznie potrząsać stopami; zupełnie jakby wdepnął w błoto czy jakieś inne paskudztwo.

– Uwaga, dziewczęta, zaczynamy! – zahuczał. Na głowie miał pałąk z mikrofonem, w którym natychmiast powstało sprzężenie, a zaraz potem zalała nas fala ogłuszającej muzyki, wśród której padła komenda: – Proszę rozluźnić mięśnie!

Zaczął teraz maszerować w miejscu, podnosząc i opuszczając stopy w rytm muzyki, wszystkie kursantki zaś karnie powtarzały jego ruchy. Po krótkim wahaniu zdecydowałam się do nich przyłączyć. Z początku wydawało się to dosyć łatwe, później jednak tempo muzyki wzrosło, a ruchy ćwiczących kobiet stały się tak szybkie i skomplikowane, że w żaden sposób nie mogłam dotrzymać im kroku. Z desperacją poszukałam wzrokiem Trish, ale ona wpadła w jakiś trans: oczy miała szkliste, a jej nogi i ręce poruszały się jakby same z siebie – z mechaniczną regularnością.

Kończyny instruktora zaczynały migać mi w oczach jak na przyspieszonym filmie, a tempo ćwiczeń wciąż rosło. Jego słynna wypukłość, rysująca się całkiem wyraźnie poprzez cienki elastik szortów, coraz szybciej podskakiwała w rytm muzyki. W pewnej chwili poczułam na sobie jego wzrok.

– No dalej, dziecinko! – zahuczał, uśmiechając się zachęcająco. – Spokojnie, spróbuj się rozluźnić!

Coś kliknęło mi w głowie – i nagle zrozumiałam, że o to właśnie chodzi. Że jeśli przestanę się tak strasznie starać, moje ciało – ciało Cindy – samo wpadnie we właściwy rytm.

– ...i lewa, prawa, lewa, prawa, dwa kroki w bok i ręce do góry, dłonie razem! Krążymy, krążymy, szeroko, szerzej, jeszcze szerzej... – O rany, złapałam! Cindy musiała to robić tyle razy, że każdy ruch został zakodowany w jej nerwach i mięśniach jak na twardym dysku komputera. Wystarczyło po prostu pozostawić swobodę jej ciału, aby program sam się uruchomił.

Poczułam gwałtowny przyływ adrenaliny. Ależ to świetna zabawa! Widząc, że instruktor nie odrywa ode mnie oczu, dostosowałam się gładko do tempa całego kursu. Rytm ćwiczeń narastał, zbliżał się do kulminacji.

– ...i do góry! Krążymy! Zataczamy kółeczko... i drugie... i jeszcze raz... Dobrze, dziecinko! Świetnie... doskonale... – Liczba decybeli osiągnęła apogeum, muzyka przeszła w serię urywanych dysonansów, w rytm których instruktor wykonał kilka dziwnie konwulsyjnych ruchów mocno wypiętą miednicą. – Bardzo dobrze, skarbie!... Zrób to jeszcze raz... Daj z siebie wszystko... – wydyszał. Cały kurs z widocznym napięciem śledził jego ruchy; wydawało się, że jeszcze chwila i legendarna wypukłość wyskoczy z opiętych szortów.

Mnie serce waliło jak młotem, z ust wydobywał się płytki, urywany oddech. Czulałam, że całe moje ciało pulsuje energią – i było mi z tym tak dobrze! Och, jako Harriet nigdy nie doznałam takich wrażeń!

– Fantastyczna jesteś, dziecinko... – usłyszałam głos instruktora. Spojrzał mi prosto w oczy, wykonał pełny obrót i zmienił taśmę z muzyką. Przystępując rytmicznie z nogi na nogę, ogłosił: – Teraz wolniej, wolniej, dziewczyny, wolniutko... – Muzyka powoli cichła; zaczęłyśmy stawać i sięgać po butelki z wodą.

– O Jezu! – sapnęła Trish. – Udało ci się to wytrzymać?

Po krótkiej chwili wyrósł obok mnie instruktor z czołem usianym kropelkami potu.

– W zeszłym tygodniu nie widziałem cię tutaj, złotko – gromko poinformował

całą salę, a widząc zwrócone na nas wszystkie oczy, z irytacją potrząsnął głową. – Wciąż zapominam wyłączyć to draństwo – wymamrotał, zdejmując mikrofon. – Nazywam się Chuck Woodcock – powiedział zdumiewająco zwykłym głosem. – Mów mi Chuck.

Wypadało i mnie się przedstawić, co też uczyniłam. Ujmując jego wyciągniętą rękę, widziałam, że lustruje mnie od stóp do głów.

– Cześć, Chuck! – wylewnie zawołała Trish. – Poznaliśmy się tydzień temu, pamiętasz?

– Świetnie ćwiczyłaś, Cindy – stwierdził, nie zwracając na nią uwagi – naprawdę doskonale. Wiesz, prowadzę także inne kursy. Jeśli cię to interesuje, chętnie ci wszystko opowiem. Może pogadamy o tym przy drinku? Chyba ci się specjalnie nie spieszy?

– Świetny pomysł! – z entuzjazmem podchwyciła Trish. – Myślałam właśnie o jakichś dodatkowych kursach.

Rzuciwszy jej wściekłe spojrzenie, zwrócił się znowu do mnie.

– Mógłbym cię później odwiedzić – zaproponował z wyraźną nadzieją w głosie – jeśli twoja przyjaciółka chce już iść do domu.

– Nie, nie! – zapewniła go spiesznie. – Mogę poczekać na Cindy. Od tego są przyjaciele, prawda?

Pod prysznicem zauważyłam, że wszystkie kobiety się na mnie gapią. Kiedy zdjęłam przepocony trykot, na moment zapadła cisza, a potem rozległ się szmer – zaczęto dokonywać porównań: obwodu talii, długości ud, kształtu piersi. Zaczęłam i ja obserwować swoje towarzyszki. Kiedy zobaczyłam je w sali, wszystkie wydawały mi się bez skazy, teraz jednak, gdy pozdejnowały z siebie liczne warstwy obcisłych elastików, okazało się, że wcale nie jest tak dobrze. Niektóre były nawet dość mocno sflaczałe. Utwierdziło mnie to w przekonaniu, że ciało Cindy stanowi naprawdę rzadki wyjątek – nawet według kryteriów hollywoodzkiej sali gimnastycznej. Muszę dodać, że doznałam małostkowej satysfakcji, uświadomiwszy sobie, jak piekielną zazdrość budzę u wszystkich uczestniczek kursu.

Chuck czekał na nas na zewnątrz. Trish oczywiście uznała się za zaproszoną, tak więc całą trójką wylądowaliśmy po chwili w najbliższym barze. Chuck najwyraźniej nie był z tego zadowolony, bo zajmując miejsce na wysokim stołku, demonstracyjnie odwrócił się do Trish plecami.

– Czego się napijesz, złotko? – zapytał, patrząc mi w oczy.

– Proszę o podwójną whisky z lodem – odparłam zdecydowanie. Od swych

powtórnych narodzin nie miałam w ustach nic porządnego.

– Dla mnie pojedyncza – włączyła się Trish, a gdy nasz fundator udał, że nie słyszy, poklepała go po ramieniu. – Ja też napiję się whisky!

Zamówił podwójny sok pomarańczowy – dla siebie.

– Próbowalaś kiedyś ćwiczeń stymulujących, Cindy? – zapytał. Pokręciłam głową, stwierdzając z ulgą, że whisky smakuje mi całkiem tak samo jak za czasów Harriet. Jak to dobrze! Bałam się, że w nowym ciele może być inaczej.

– Nie prosiłam o sok pomarańczowy! – pisnęła oburzona Trish. Wychyliwszy się zza pleców Chucka, spojrzała na mnie z wściekłym błyskiem w oku. – Chcę mieć to samo co ona!

– Tak? – prowokacyjnie podchwycił siedzący obok niej mężczyzna. – To zafunduj sobie implanty – zachichotał ze wzrokiem utkwionym w mój biust.

– A cóż to ma znaczyć, do cholery? – fuknęła Trish, odwracając się w stronę intruza. – Coś ty za jeden?

Nie widziałam, co było dalej, bo Chuck w taki sposób przesunął się razem ze stołkiem, że całkiem przesłonił mi widok.

– Wiesz co, Cindy? Polecam ci mój program wytrzymałościowy. Chciałabyś spróbować? – zapytał, pochylając się ku mnie i z taką uwagą patrząc mi w oczy, jakby od mojej reakcji zależał cały jego los. Och, przeszedł mnie dreszcz. Harriet niezwykle rzadko zdarzało się być obiektem męskiego zainteresowania, a tak intensywnego – nigdy.

– Może kiedyś wpadnę spróbować – odrzekłam z miłym uśmiechem. Whisky tak rozkosznie grzała mnie w żołądek! Chuck wdał się w dłuższy wywód, o poziomie adrenaliny, o wytrzymałości na ból, wszystko to jednak przepływało mi koło ucha. Dotyk jego ręki wywoływał we mnie coraz gwałtowniejsze fale podniecenia – i to pochłaniało całą mą uwagę.

– Trening wytrzymałościowy jest niezwykle korzystny dla mięśni – powiedział tonem konkluzji. Zdjął rękę z mego ramienia i położył mi ją na kolanie – ale pod koniec dnia człowiek zaczyna myśleć o czym innym. Mam rację?

Rozum Harriet mi mówił, że powinnam strząsnąć tę rękę z kolana i że z takim prostakiem jak ten Chuck Woodcock nie wolno się spoufalać, ale ciało Cindy było najwyraźniej zupełnie innego zdania.

– O tak! – potwierdziłam z przekonaniem, starając się zarazem stłumić swe niskie instynkty. – Doskonale rozumiem, co masz na myśli!

– Może byśmy stąd wyszli? Co powiesz na małą przejażdżkę? – Znacząco popatrzył mi w oczy.



– Ale... moja przyjaciółka... – Zerknęłam, co robi Trish. Pograżona była w żywej konwersacji ze swoim sąsiadem, tym, który ją zaczepił, a teraz trzymał rękę gdzieś pod jej spódnicą.

– Daj mi spokój! – syknęła niecierpliwie, gdy odciągnęłam ją na bok. – Nie widzisz, że jestem zajęta? Ten gość powiada, że może mnie przedstawić takiemu jednemu, co zna Stevena Spielberga.

– Ale ja chcę już jechać do domu.

– Trzeba było zdecydować się wcześniej, zamiast podstawiać tyłek Chuckowi – odrzekła ostro. – Och, nie rób takiej miny! Przecież cię nie zje!

W samochodzie zapadła niezręczna cisza. Po wyjściu z baru powiedziałam Chuckowi, gdzie mieszkam i z grubsza, jak tam dojechać, jednakże po kilku zakrętach widać już było wyraźnie, że albo zapomniał o moich wskazówkach, albo – co bardziej prawdopodobne – postanowił je zignorować.

– Pomyślałam, że zawiozę cię na Mulholland – mruknął półgłosem, ryzykownie biorąc ostry zakręt. Droga zrobiła się kręta i powoli wznosiła się w górę. – Byłaś tu kiedyś, Cindy?

– Nie – powiedziałam zgodnie z prawdą, nie bardzo wiedząc, czy to dobrze czy źle.

– Doprawdy? – Uniósł brwi i parsknął zduszonym śmiechem. – No cóż, kiedyś trzeba zacząć.

Zjechał na pobocze i zatrzymał wóz pod jakimś drzewem. W dole widać było rozjarzoną tysiącami świateł panoramę Los Angeles. Wyglądała zupełnie jak kadr filmowy, po którym zazwyczaj następuje scena miłosna między dwojgiem młodych bohaterów. Oj! Usłyszałam w głowie sygnał ostrzegawczy.

– Chodź tu, dziecinko! – Chuck błyskawicznie obrócił się w moją stronę, gwałtownym szczupakiem przygwoździł mnie do fotela i zaczął namiętnie całować. Wiedziałam, że nie powinnam tego robić, a jednak, no cóż... oddawałam mu pocałunki. Do licha! Od trzydziestu lat nikt mnie nie całował! Czy można się dziwić, że krew zawrzała mi w żyłach?

– Nie, przestań – wyszeptalam słabo. Próbowałam wyzwolić się z jego objęć, ale w duchu prosiłam o jeszcze. Ach, jakże upajały mnie te pocałunki! Pozwoliłam, by wsunął mi język do ust, i och! było to takie przyjemne!

– Aleś ty gorąca, dziecinko – sapnął mi koło ucha, majstrując przy czymś na dole. Rozległ się trzask, fotel opadł wraz ze mną do pozycji horyzontalnej, a na mnie zwałił się Chuck. Poczułam, że słynna wypukłość wciska mi się między uda, a ręka jej właściciela brutalnie pcha się pod spódnicę i zaczyna ściągać mi majtki.

O nie!

– Przestań! – wrzasnęłam, chwytając go za tę rękę. Tego absolutnie nie miałam w planie! Sprawy stanowczo zaszły za daleko.

– Ty przestań się drożyć, napalona suczko! – Usłyszałam, że coś pęka, i moje majtki zniknęły za oknem. Przytrzymując mnie jedną ręką, zaczął drugą rozpinąć spodnie.

– Ratunku! – Rozpaczliwie wijąc się pod nim, próbowałam dosięgnąć klamki.  
– Zejdź ze mnie! Puszczaj!

– Będziesz mi tu rozkazywać, ty głupia cipo? – syknął, wymierzając mi ostry policzek. Usiadł na mnie okrakiem i przyszpilił mi ręce nad głową.

Z gniewu i upokorzenia po policzkach pocięły mi łzy. Więc tak ma wyglądać moje pierwsze doświadczenie miłosne w tym nowym życiu? Z takim brutalem?

Suwak w jego spodniach puścił z cichym trzaskiem i jak diabeł z pudełka wyskoczył z nich sprawca osławionej wypukłości.

– Wystarczy ci taki? – Podsunęto mi go pod nos. – Nie za mały? – O nieba! Otworzyłam usta ze zdumienia. Nie wyobrażałam sobie, że coś takiego może w ogóle istnieć. Organ Chucka w tym samym chyba stopniu przewyższał przeciętne męskie przyrodzenie, co stuletnia sekwoja młode brzoźki. Właściciel tego fenomenu zwolnił paraliżujący mnie uchwyt, odchylił się do tyłu i zaczął go głaskać jak pieska.

Nie znałam się ani trochę na sztuce samoobrony, rozum podpowiadał mi jednak, że to najlepszy moment na kontratak. Zaczerpnęłam oddechu i z całej siły zadałam mu cios kolanami.

– Aaaach! – wydał z siebie zduszony ryk. – Och, ty cholerna dziwko! – Opadł na plecy, trzymając się za podbrzusze i jęcząc. Wygramoliłam się jakoś spod niego i czym prędzej wyskoczyłam z wozu. Rozejrzałam się za majtkami, ale słysząc rumor w samochodzie, zaniechałam dalszych poszukiwań.

Obciągnąwszy kusą spódniczkę zrzuciłam buty i na oślep popędziłam w ciemność. Chciałam znaleźć się jak najdalej, zanim mój prześladowca dojdzie do siebie po szoku, którego doznała jego męskość. Tak cenił te swoje bajeczne klejnoty, że bałam się myśleć, co mi może zrobić, jeśli mnie teraz dopadnie.

Po dwudziestu minutach szaleńczego biegu zwolniłam wreszcie na tyle, żeby przyjrzeć się otoczeniu. Gdzie ja jestem? Nie miałam bladego pojęcia. Nie umiałam nawet określić kierunku, w jakim poniosły mnie nogi. Nie było tu żadnych znaków informacyjnych; mijałam wciąż tylko kępy gęstych krzaków bądź przydrożne bariery ochronne, wśród których od czasu do czasu trafiały się jakieś

bramy. Przy kolejnym takim obiekcie znalazłam się chyba zbyt blisko, gdyż nagle rozbłysło światło: zobaczyłam wycelowany w siebie obiektyw, po czym dała się słyszeć seria suchych trzasków. Zostałam sfotografowana.

Zgodnie z logiką powinnam była uciekać w tę stronę, z której mnie przywieziono, czyli biec w dół, ale panika odbiera człowiekowi rozum. Bezmyślnie pędząc wciąż w górę, natrafiłam na jakieś skrzyżowanie. Droga rozgałęziła się tutaj, tworząc dwie odnogi – obie biegły w dół. Na chybił trafił skręciłam w prawą i zaraz za rogiem wpadłam na trawnik, gdzie w mętym świetle ulicznej latarni mignęła mi duża tablica z napisem: „Uwaga! Teren pod nadzorem prywatnej agencji ochrony. Uzbrojeni strażnicy. Wyszkolone psy”.

Rozległo się wycie syreny, gdzieś niedaleko błysnęły niebieskie światła. Domyślając się, że to pewnie ci strażnicy, rzuciłam się znów do ucieczki, lecz po kilkunastu krokach znalazłam się w ślepych zaułku: zagroziły mi drogę następne stalowe wrota. Spróbowałam je otworzyć – nic z tego. Samochód był już na ścieżce prowadzącej do bramy. Po chwili wynurzył się z niego wysoki, krzepki ochroniarz. W oczy uderzył mnie ostry snop światła.

– Hej, Wayne! – usłyszałam okrzyk. – Chodź no zobaczyć, kogo my tu mamy! Przy tej laluni wysiada nawet Sharon Stone!

Z początku chcieli mnie wieźć na policję. Kiedy w końcu udało mi się ich przekonać, że nie jestem kobietą-kotem i nie miałam zamiaru dokonywać włamań do chronionych przez nich obiektów, zaczęli się domagać, żebym poszła z nimi do dyżurki. Po dłuższej dyskusji dobiliśmy targu: zgodzili się odwieźć mnie do domu za dwa francuskie pocałunki – „z języczkiem”, jak określił to Wayne – trwające, co twardo zastrzegłam, nie dłużej niż sześćdziesiąt sekund. Postawiłam też drugi warunek: pozwolę je wygzekwować dopiero przed swoim domem.

Trish jeszcze nie było. Widząc, że tym razem zapomniała zamknąć swój pokój, splądrowałam jej szafę, gdzie zgodnie z przewidywaniami znalazłam pół butelki whisky. Wystarczy, pomyślałam z ulgą. I rzeczywiście – już po pierwszym głębokim łyku poczułam się troszkę lepiej. Whisky to cudowny napój. Ta wprawdzie nie była moja, ale co tam! Nie zamierzałam się tym przejmować. Ani tym, że to diabelne skąpiradło podające się za moją „przyjaciółkę” ma pewnie zwyczaj skrupulatnie zaznaczać paznokciem, ile jeszcze zostało w butelce. Niech sobie zaznacza. A poza tym ubytek zawsze można zastąpić herbatą.

Siedząc na łóżku z butelką w ręku, starałam się pozbierać po dzisiejszych przejściach, lecz im dłużej myślałam, tym było gorzej. To, co mnie spotkało, uznałam za kolejny dowód, że nic w tym nowym życiu nie dzieje się tak, jak tego

oczekiwałam. Przedtem też spotykały mnie rozczarowania, ale wtedy za powód wszelkich niepowodzeń uważałam swój brak urody, teraz byłam piękną – i co? Czy mam z tego jakiś pożytek? Czy spełniło się choć jedno z moich marzeń? Gdzie ci przyjaciele, kariera, życie na wysokiej stopie? Gdzie romanse i wielka miłość?

Różowy niedźwiadek spojrział na mnie z wyrzutem, gdy przypięłam się znów do butelki.

– No i co się tak gapisz, ty pusty łbie?

Od początku przyproważył mnie o irytację, która teraz przeszła we wściekłość. Chwyciłam za gardło to różowe monstrum, jakbym je chciała udusić. Do diabła, mrugnął do mnie! O nie, miałam tego dosyć!

– No to koniec z tobą! – Zdawałam sobie sprawę, że chyba dostaję bzika, ale furia była silniejsza. Chwyciwszy misia za kark, pomaszerowałam do kuchni, gdzie z rozmachem wrzuciłam go do zlewu. Młyn do odpadków załatwił się z nim w parę sekund. – Dobrze ci tak – mruknęłam, obserwując z mściwą satysfakcją, jak żałosne resztki ulubionej zabawki Cindy wpadają w przepastne podziemia Los Angeles.

Ten zgoła irracjonalny akt wandalizmu nie na długo poprawił mi nastrój. Mój bilans życiowy się przez to nie zmienił: zero gotówki, długi u Trish – cóż za piekielna pułapka! – praca, przy której zajęcie bibliotekarki można było uznać za luksus, i ci koszmarni mężczyźni! Jak oni mnie traktują? Jak obiekt seksualny, który można bezkarnie zgwałcić! I za to sprzedawałam duszę?

– Drań z ciebie, Mefisto! – rzuciłam przez zęby, wygarniając ze zlewu kłaczki różowego futra. – Jak mogłeś wpakować mnie w takie szambo?

*A czy ja mówiłem, że to będzie łatwe?* zabrzmiał mi w głowie jego głos. *Dalem ci to, czego chciałaś, prawda?*

– Gdzie jesteś, kłamliwy zdrajco?

Rozległ się „diabelski” chichot – jak z tandetnego horroru – i nad suszarką do naczyń zaczął z wolna materializować się jakiś kształt, który po krótkiej chwili przybrał postać mego kontrahenta. Ubrany był tak samo niechlujnie jak przedtem, nawet butów nie oczyścił z błota.

– No i co słyhać, dziecińko? – Spłynął na podłogę i skrzyżowawszy ręce na piersiach, oparł się o zlewozmywak. – Ładnie sobie mieszkasz – zauważył z bezczelnym uśmiechem.

Och, gdyby nie był diabłem, a wzrok mógł zabijać, już by nie żył!

– Ty draniu – krzyknęłam z furią – to ty wpakowałeś mnie do tej nory!

I zrobiłeś to z premedytacją! Nie mogłeś zostawić mnie w Anglii, zamiast wlec na drugi koniec świata? I dlaczego nie pisałeś słówkiem, że będę musiała żyć cudzym życiem?

– A pytałaś mnie o to? Jeśli chcesz układać się z diabłem, powinnaś umieć czytać między wierszami – oświadczył z uśmiechem wyższości.

No cóż, w tym akurat miał rację. Widząc, że złością chyba nic nie wskóram, postanowiłam zmienić taktykę.

– Zabierz mnie stąd, tyle chyba możesz zrobić. Nie proszę o wiele. Chcę być szczęśliwa, żyć w przyzwoitych warunkach, a w mojej sytuacji nie ma na to żadnych perspektyw. Po prostu daj mi szansę.

– Tego samego pragną wszyscy ludzie, pomijając nieliczne wyjątki, tylko że oni muszą sami na to zapracować. Dlaczego z tobą miałyby być inaczej?

– Ja... no nie wiem... – wyznałam bezradnie. – Powiedz mi w takim razie, dlaczego postanowiłeś oszukać akurat mnie?

– Oszukać? Czyż nie dałem ci młodości i urody? Rozum podobno miałaś zawsze. Czego jeszcze chcesz? Reszta zależy od ciebie! Mam nadzieję, Harriet, że mnie nie zawiedziesz. Nie wyobrażasz sobie nawet, ile wysiłku kosztowała mnie cała ta sprawa ani jak ogromny uczyniono wyjątek, proponując ci taki pakt!

– Twierdzisz, że to coś szczególnego? Jakiś rzadki przywilej?

Westchnął ciężko.

– Gdybym był na twoim miejscu, już dawno bym sięgnął do źródeł, ale ty... Ach, mniejsza o to! Naprawdę nie wiesz, że pakt zwany faustowskim nie był stosowany od... chwileczkę... – zaczął liczyć na palcach – ...od ponad stu pięćdziesięciu lat? – W jego spojrzeniu i głosie pojawiło się rozdrażnienie. – Żle się dzieje w piekle – mruknął, sięgając po whisky – ze stulecia na stulecie coraz gorzej. Aby odwrócić ten fatalny proces, trzeba ożywić najlepsze tradycje, dostosowując je rzecz jasna do dzisiejszych potrzeb. Pakt, o którym mowa, to właśnie jedna z tych wielkich tradycji, a jest on szczególnie godny przywrócenia ze względu na ogromny potencjał zła, cóż, kiedy nasi biurokraci nie umieją tego dostrzec. Albo nie chcą.

– Skoro ten pakt przynosi piekłu tyle korzyści, dlaczego tak długo nie był stosowany?

– Ach, bo doprowadzenie go do końca wymaga żmudnej pracy, której dzisiaj nikt nie docenia – rzucił cierpko.

– Pilnujesz sprawy przez lata i jaka z tego satysfakcja? Dziś liczą się tylko doraźne efekty. Wszystko inne to zdaniem naszej rady jedynie strata energii.

– Ale co tu jest do pilnowania? Ktoś sprzedaje ci duszę i na tym koniec. Czego jeszcze możesz się po nim spodziewać?

– Mylisz się – odrzekł, pociągając wielki łyk z butelki.

– Zawarcie umowy to nie wszystko. Regulamin przewiduje coś jeszcze. Przez cały czas trwania kontraktu musimy mieć pewność, że kontrahent jest po naszej stronie i że swoim działaniem powiększa zło tego świata. Trzeba sprawić, by roztrwonil życie, mówię o tych darowanych latach, w prawdziwie Faustowskim stylu, co wcale nie jest takie łatwe, jak by się mogło wydawać. – Postawił na suszarce opróżnioną butelkę, która momentalnie zaczęła wypełniać się trunkiem. Chyba już po sekundzie znajdowało się w niej znów tyle whisky, ile wyjęłam z szafy. Ha, wyglądało na to, że mój skromny zapas herbaty pozostanie nienaruszony.

– Ty na przykład – podjął po pauzie Mefisto, uśmiechając się konspiracyjnie – pierwszy etap przeszłaś śpiewająco. Nie musiałem cię długo namawiać na przyjęcie mojej oferty! Ale co będzie dalej? Jaką mam gwarancję, że nie przejdiesz do opozycji? Że nie zaczniesz poświęcać się dobrym uczynom czy innej absurdalnej działalności? Dlatego muszę mieć cię na oku. Muszę być pewien, że nadal jesteś zepsuta, i to w takim stopniu, jakiego wymaga regulamin.

– Nie jestem zepsuta! – zaprotestowałam z oburzeniem. – I nie stawiaj mi warunków, których nie było w umowie! Dla mnie sprawa jest zakończona. Kiedy przyjdzie pora, zabierzesz sobie moją duszę, ale teraz wara ci ode mnie! Teraz chcę żyć! Szczęśliwie.

Chrząknął ironicznie i potoczył wzrokiem po szarych ścianach.

– Skoro to nazywasz szczęściem... Kiepsko ci się wiedzie, co?

– To nie jest najważniejsze... – Urwałam nagle, widząc, że gapi się nachalnie w jakiś punkt na moim ciele, tak trochę poniżej pasa. Zobaczyłam, że kusa spódniczka Cindy znów podjechała mi w górę i och! przypomniałam sobie, że moje majtki pozostały w Hollywood Hills! Czym prędzej przybrałam przyzwoitszą pozę.

Mefisto wydał ciche westchnienie.

– Wciąż jeszcze nie uświadamiasz sobie, jaka jesteś pociągająca, co, Harriet? A powinnaś. – Podsunął się do mnie tak blisko, że poczułam na skórze jego oddech. – Jak możesz winić tego nieszczęśnika? Najpierw tak mu podgrzewasz hormony, że facet dostaje szału, a potem masz pretensję, że się na ciebie rzuca! – Dotknął mojego policzka i powoli obwiódł go palcem. – A kto by się oparł takiej pokusie? Nawet święty by tego nie wytrzymał.

Poczułam, że ciało Cindy bezwstydnie rwie się do niego. O nie! Uchyliłam się szorstko, w chwili gdy już miał mnie musnąć ustami.

– Odejdź! – Gwałtownie odtrąciłam jego rękę. – Ten „nieszczęśnik”, jak go nazywasz, omal mnie nie zgwałcił! Zachował się w sposób niewybaczalny, więc nie próbuj go usprawiedliwiać! I nie waż się mnie dotykać!

– Ho, ho, widzę, że nagle dorobiliśmy się szczytnych zasad – powiedział szyderczo, cofając się jednak o krok. – Pamiętam – dodał złośliwie – że jeszcze niedawno nie byłaś mi tak niechętna.

– Jeżeli spróbujesz jeszcze raz mnie dotknąć, czeka cię to samo co tego bydlaka – zagroziłam, choć tak naprawdę nie miałam pojęcia, czy skutek byłby ten sam. Diabli wiedzą, jak to jest z tą diabelską anatomią. Ciekawe, czy jej strategiczny szczegół znajduje się w tym samym miejscu co u zwyczajnego śmiertelnika? I jak by wypadło porównanie z takim na przykład Chuckiem Woodcockiem?

– Nie zamierzam zmuszać do niczego ani ciebie, ani kogokolwiek – obruszył się Mefisto. – Wystarczą mi te, którym się podobam – oświadczył arogancko, krzyżując ręce na piersiach. – A ty będziesz mnie jeszcze błagać, wiesz o co, zanim z tobą skończę!

– Nigdy! – rzuciłam porywczo. – Za nic w świecie! Ciało Cindy nadal sygnalizowało zupełnie odwrotne pragnienia, postanowiłam jednak nie zwracać na to uwagi. Dziś i tak już narobiło mi dosyć kłopotów.

– Zobaczymy – wycedził Mefisto. – Ja umiem czekać. – Podniósł do ust butelkę i pociągnął potężny łyk whisky. – Każdy prędzej czy później ulega pokusie.

Na chwilę zapadła cisza.

– Poza tym – dodał po pauzie, popatrując na mnie w zamyśleniu – mam inne sposoby, żeby wygrać zakład.

– Jaki znowu zakład?

– Ach, to taki nasz zwyczaj. Dodatkowa atrakcja. Dwadzieścia pięć lat czekania na efekty to dość długi okres; trzeba jakoś go urozmaicić.

– Dwadzieścia dziewięć – sprostowałam. – Źle policzyłeś.

– Drobiazg! – Niecierpliwie machnął butelką. – Nieważne! Wiedz, że zamierzam odnowić nasze królestwo, obalić ten zmurszały, staroświecki system. Po to zawarłem z tobą ten kontrakt. Chce pokazać swoim pobratymcom, kim jestem i na co mnie stać. Dla większego efektu założyłem się o to, że przed upływem roku przedstawię zgromadzeniu niezbitą dowód twojej demoralizacji.

Pełnej i nieodwracalnej. Widzę już miny moich przeciwników! – parsknął szyderczo. – Liczą na moją porażkę, ale ja im pokażę! Przekonają się, co potrafię! Nie jestem jakimś pospolitym diablem! Jestem Mefisto...

– Arcymonarcha i pan wszystkich duchów! – wpadłam mu w słowo, nie kryjąc ironii.

Nie zwrócił na to uwagi.

– Mówiłem już – kontynuował – że pakt faustowski to trudne zadanie, ale nie dla mnie. Cała sztuka polega na tym, żeby wybrać odpowiedni obiekt. Mnie się to udało. Nikt dotąd nie wpadł na pomysł takiej umowy z kobietą, a przecież to o wiele zabawniejsze aniżeli kontrakt z mężczyzną, nie uważasz, Harriet? I jakie zgodne z duchem czasu! Równe prawa i tak dalej... Musisz przyznać, że znam się na rzeczy.

– Znów hałaśliwie napił się whisky. – Teraz rozumiesz motywy mojego wyboru. A dlaczego przeniosłem cię tu, do Los Angeles? O ileż łatwiej i skuteczniej możesz wykorzystać tu swoje walory aniżeli w tak nudnym mieście jak Guildford! To samo dotyczy twych pragnień. Szanse na ich spełnienie są tu niepomierne większe.

Zapalając się coraz bardziej, rozłożył ręce szerokim gestem ofiarodawcy:

– Pragniesz osiągnąć sukces, prawda? Zdobyć pieniądze, sławę, pozycję! Proszę bardzo! Tu wszystko to jest do wzięcia. I wszystko to może być twoje, pod warunkiem że podejdziesz do rzeczy we właściwy sposób. Ha! – wydał z siebie zduszony chichot przerywany dyskretną czkawką – czy raczej w bardzo niewłaściwy z twojego punktu widzenia. Czyż nie mówi się o urodzie, że jest warta grzechu?

– Przepraszam, że sprawiam ci zawód – rzuciłam cierpko – ale te możliwości, o których mówisz, to dla mnie mrzonki. Nie mam czasu na snucie jałowych fantazji. Za bardzo jestem zajęta zwyczajną walką o byt.

– Piękno i grzech idą w parze – mówił dalej, nie zważając na moją replikę. – Nie doceniasz zła, które tkwi w urodzie, a to bardzo potężna siła. Każdego potrafi zdemoralizować. Ciebie również. – Przerwał na chwilę, aby słowa te dobrze zapadły mi w pamięć. Zrobiło mi się trochę nieswojo. – Ty oczywiście uważasz, że ciebie to nie dotyczy, ty jesteś inna. Ha, zobaczymy, jak to będzie, gdy zakosztujesz lepszego życia! Wystarczy, że poznasz słodki smak luksusu, a od razu zapomnisz o swoich szczytnych zasadach. Zapagniesz mieć więcej, zaczniesz walczyć zębami i pazurami o swój kawałeczek tortu, tak jak robicie to wszyscy.

– Lepsze życie? Smak luksusu? – prychnęłam z oburzeniem. – Chyba kpisz



sobie ze mnie! Nic takiego nie widziałam tu nawet z daleka.

– Zobaczysz, ja ci to mówię! – Roześmiał się nagle tak głośno, że zahuczało mi w głowie. Spojrzałam na niego i przetarłam oczy: jego postać zaczęła się z wolna rozplýwać.

– Co zobaczę? Co to ma znaczyć?

– Źe musisz trochę poczekać. – Znów parsknął zgrzytliwym śmiechem. Teraz już stał się półprzezroczysty. – I pamiętaj, że mam cię na oku. – Po tych słowach zniknął. Pozostała tylko butelka, która raptem zaczęła miarowo krążyć w powietrzu.

– Wróć! Powiedz, co będzie dalej! *Wy-bacz-Harr-iet*, wyskandował irytująco monotonnym głosem. *To-nie-moż-li-we*. Butelka znienacka spadła mi na kolana. Głos ucichł.

## ROZDZIAŁ 8

Dwa dni później, kiedy piłam kawę na zapleczu, do pokoju wpadła nagle Trish.

– Prędko, Cin! Chodź zobaczyć! Nie zgadniesz, kto do nas przyszedł! Harley Brightman! – wykrzyknęła, ciągnąc mnie do kuchni.

– Kto?

Spojrzała na mnie z takim niedowierzaniem, że oczy zrobiły jej się okrągłe.

– Przestań pleść głupstwa! Nie pamiętasz faceta, który na ciebie najechał? Przecież to właściciel Lapinique! Ciekawe, po co tu przyszedł? Jak myślisz, zażąda odszkodowania?

– Który to? – zapytałam, przyciskając nos do szyby w drzwiach.

– Daj spokój! – Trish potoczyła wzrokiem po suficie, jakby wzywała niebo na świadka moich niebywałych dziwactw. – Przecież wiesz! Widzieliśmy go w telewizji! Larry King prowadził z nim wywiad. Nie – westchnęła niecierpliwie – to nie ten brodaty grubas! Ani nie ten świrus w bejsbolówce.

Śledząc kierunek jej wzroku, zlokalizowałam poszukiwanego przy stoliku tuż obok drzwi. Studiował jadłospis. Zdążyłam zarejestrować zaledwie parę szczegółów – że jest chłopięco przystojny, choć ma pewnie ze trzydzieści parę lat, że ubrany jest bardzo wytwornie – a już pojawiło się kilka kelnerek i zaczęło go obskakiwać, zasłaniając mi widok.

– Co za głupie baby! – zachnęła się Trish. – Znów się pomyliły. No powiedz sama, czy to nie kretynki? Jakby właściciel firmy kosmetycznej mógł im załatwić role!

– Co tu się dzieje? – Do drzwi podszedł Marty ze swą nieodłączną łopatką, na której leżało sadzone jajko. – Jasna cholera! – westchnął z głębi piersi. – Harley Brightman w moim lokalu! Idę! – zdecydował, otwierając drzwi. – Stara by do śmierci mi nie darowała, gdybym jej nie przyniósł autografu. Trzymaj! – wcisnął mi do ręki łopatkę z jajkiem, sam zaś pospieszył do sali.

Po paru minutach wrócił z dziwną miną.

– Cindy, słoneczko, nie wiem, czym sobie na to zasłużyłaś, ale on chce z tobą porozmawiać! No idź! – poprawił mi czepek i pchnął w stronę drzwi. – I bądź miła dla tego pana. Nie zrób mi wstydu!

Gdy podeszłam do stolika, babskie stadko ulotniło się wśród chichotów i pożegnalnych uśmiechów, a najbardziej pożądanym kawalerem w Los Angeles wstał

i wyciągnął do mnie rękę.

– Cindy?

Spodobał mi się jego głos – był miły. Już chciałam uścisnąć mu dłoń, gdy uświadomiłam sobie, że mam w ręku tę łopatkę z jajkiem. Czym prędzej schowałam ją za plecy.

– Dzień dobry – bąknęłam nerwowo.

– Ty pewnie mnie nie pamiętasz – powiedział z uśmiechem – byłaś wtedy nieprzytomna. Niedobrze to wyglądało, przyszedłem więc zobaczyć, czy teraz już wszystko w porządku.

Rozejrzałam się dookoła, szukając jakiegoś miejsca, gdzie bym mogła położyć to jajko, żadne jednak nie wydało mi się odpowiednie.

– Zwykle nie prowadzę sam rollsa – dodał tonem wyjaśnienia. – Byłem trochę zszokowany, kiedy tak na ciebie wpadłem... Czuję się... hm... odpowiedzialny za ten wypadek. To wielka ulga, że jesteś cała i zdrowa.

Miał czyste, regularne rysy i ciemnoblonde włosy, zaczesane gładko do tyłu. Widząc, że mu się przyglądam, uniósł brwi i uśmiechnął się do mnie nieśmiało.

– Zastanawiałem się także – podjął niepewnie, przeczesując palcami włosy – czy... – urwał w pół zdania i zaczął nerwowo obskubywać kołnierz marynarki – ...czy nie poszłabyś ze mną na kolację? Powiedzmy, dzisiaj wieczorem?

Kątem oka uchwyciłam jakiś ruch za oknem. Na parkingu stała Trish, gorączkowo gestykułując, aby zwrócić moją uwagę. „Zgódź się!” – odczytałam z ruchu jej warg. „Zapytaj, co by chciał zjeść!” – zasygnalizował mimicznie stojący obok niej Marty.

– Dziękuję, panie Brightman – uśmiechnęłam się do swego gościa. – Bardzo chętnie pójdę na kolację. A na razie – z lekkim wzruszeniem ramion podsunęłam mu łopatkę z trochę już skrzepniętym jajkiem – może zjadłby pan jajko?

\*

Trish najpierw kazała opowiedzieć sobie wszystko z detalami, a potem zbladła z zazdrości.

– Ty szczęściar! – jęknęła markotnie. – Też bym chciała mieć taki wypadek. A nie poprosił cię czasem – spytała z nadzieją w głosie – żebyś wzięła z sobą przyjaciółkę na tę dzisiejszą kolację? Nie? Jesteś pewna?

Po powrocie do domu szczegółowo przejrzała całą garderobę Cindy, żeby mnie stosownie ubrać. Skoro już nie było jej dane zasiąść do stołu z Harleyem Brightmanem, chciała przynajmniej pośrednio – przez swój udział w przygotowaniach – stać się współuczestniczką tego jakże obiecującego

wydarzenia.

– Pomyśl, Cindy – westchnęła, przykładając mi do piersi kolejną sukienkę – jeden z najbogatszych ludzi w mieście i wciąż nieżonaty! Może się w tobie zakochał.

– Wątpię. – Roześmiałam się lekceważąco, bo było mi głupio przyznać się nawet przed sobą, jak bardzo jestem podekscytowana. Wyglądało na to, że Harley Brightman interesuje się moją osobą. Musiał przecież zadać sobie trochę trudu, żeby mnie odnaleźć... Co go do tego skłoniło? Czyżby jego wizyta miała jakiś związek z tym, co powiedział Mefisto o „słodkim smaku luksusu”?

Po kilkunastu przymiarkach zdecydowałyśmy się w końcu na czarną obcisłą sukienkę z bardzo głębokim dekoltem. Trish obciągnęła go do granic możliwości, to znaczy mniej więcej do połowy biustu.

– Po to dał ci Pan Bóg dobre przedsięwzięcie, żebyś mogła je pokazywać! – oświadczyła w odpowiedzi na moje protesty.

Gorliwie zajęła się każdym detalem – poczynając od koloru i faktury pończoch, a kończąc na odcieniu szminki – po czym stanęła obok mnie przed lustrem, aby napaść oczy swoim dziełem.

– Jeżeli nie zaprosi cię po raz drugi, to na pewno nie z powodu twojego wyglądu – stwierdziła autorytatywnie.

Kiedy punktualnie o ósmej rozległ się dzwonek u drzwi, trzęsłam się cała – tyleż z podniecenia, ile z nerwów. Od ponad trzydziestu lat nie byłam przecież na randce. Co mam robić? Jak się zachowywać w takiej sytuacji?

– Tylko nie nawal – szepnęła mi Trish. – Jak nie będziesz wiedziała, co powiedzieć, mów „tak”.

Mimo że w ciasnym holu panował półmrok, Harley Brightman nie zdjął ciemnych okularów.

– Cześć, Cindy. – Zsunąwszy je na czubek nosa, zatrzepotał rzęsami znad oprawki niczym gwiazda jakiejś reklamówki. Ciekawe, jak długo ćwiczył to „ujecie”, pomyślałam z lekką złośliwością.

– Jestem Trish – oznajmiła moja „przyjaciółka”, wpychając się między nas dwoje z wyciągniętą ręką. – No i jak podoba ci się Cindy? To ja pomagałam jej się ubierać.

– Wyglądasz fantastycznie – mruknął, ujmując mnie pod ramię. – Możemy już iść? – Wcisnąwszy pięciodolarowy banknot w wyciągniętą rękę mej współlokatorki, z pośpiechem wyprowadził mnie z mieszkania. Schody pokonaliśmy także w ekspresowym tempie. – Trochę martwię się o samochód –

rzucił już na dole.

Samochodem tym okazało się piękne jasnobłękitne ferrari o lekko przyciemnionych szybach. Na nasz widok błyskawicznie rozpięzła się grupka wyrostków zajętych odkręcaniem wycieraczek. Na szczęście zdążyliśmy w porę.

Harley szarmancko otworzył przede mną drzwi.

– Rolls stoi jeszcze w warsztacie, a mój szofer ma dzisiaj wychodne, będziesz więc musiała zaryzykować, gdyż ja... no cóż, nie jestem dobrym kierowcą. – Z marsmem na czole przyjrzał się ciemnej tablicy rozdzielczej. – Żeby to ja wiedział, który z tych przycisków jest od świateł... Aha, to ten! – wykrzyknął z triumfem po kilku chybionych próbach. Teraz dopiero zdjął okulary i obrócił się do mnie, mrugając mocno oczami. – Spróbuję tym razem w nic nie uderzyć – powiedział zupełnie serio. Miejmy nadzieję, pomyślałam.

Restauracja nosiła nazwę „U Wagnera”, a sądząc po znanych twarzach widocznych w Sali Walkirii, musiała być szalenie modna. Na spotkanie wybiegł nam wysoki kelner w świetnie skrojonym smokingu.

– Witamy, panie Brightman! – zawołał z wyraźnie niemieckim akcentem. – Cóż za miła niespodzianka! – Obrzuciwszy mnie szybkim taksującym spojrzeniem – nie zyskałam jego aprobaty! – zwrócił się znów do Harleya. – Dziś tylko stolik dla dwojga? Ten co zwykle?

– Dzięki, Heinrich. – Mój towarzysz wsunął mu w dłoń jakiś banknot. – Lubię ten lokal – poinformował mnie szeptem, kiedy kelner poszedł przygotować dla nas stolik, to znaczy wyprosić siedzących tam ludzi: jakąś elegancką parę w średnim wieku. – Znacznie tu przytulniej niż „U Mortona” czy w „Spago” i do tego Heinrich! Cóż to za niezwykła indywidualność!

Przytulniej? Panował tu ruch jak w ulu. Co chwila ktoś z głośnym okrzykiem zrywał się od stołu, by przywitać się ze znajomymi. Hałaśliwie wymieniano pocałunki, raz po raz wybuchały gromkie salwy śmiechu, a wszystkiemu towarzyszył tak głośny gwar rozmów, że tonęła w nim nawet puszczana z taśmy muzyka.

– Co będzie z nimi? – Zobaczyłam, że kelner wyprowadza gdzieś parę zajmującą dotąd „nasz” stolik.

– Pójdą do Piwnicy Nibelunga – uśmiechnął się Harley. – Heinrich rezerwuje ją dla turystów i... różnych kłopotliwych gości. Ci dwoje to widocznie ludzie bez znaczenia.

Heinrich wrócił po chwili z dwoma egzemplarzami niesłychanie wytwornej karty dań. Harley zamówił „przysmak Brunhildy”.

– Co oznaczają te liczby przy potrawach? – zapytałam szeptem. Miałam nadzieję, że to nie ceny.

– Och, to kalorie! Doskonały pomysł! – roześmiał się Harley, klepiąc po brzuchu. – Pomaga utrzymać linię!

Nigdy nie zwracałam sobie głowy liczeniem kalorii, ale nawet dla takiego jak ja barbarzyńcy było rzeczą jasną, że dwieście jednostek w głównym daniu to śmiesznie mało; kot by się tym nie najadł. Zaczęłam szukać czegoś treściwszego. Po spłaceniu długów, które miałam u Trish, zostały mi tak nędzne grosze, że przez cały miniony tydzień żyłam na resztkach z kuchni Marty’ego.

– Czy mogłabym prosić o stek? – spytałam z wahaniem.

Och, większego szoku nie wywołałby pewnie nawet piorun, gdyby nagle strzelił w środek sali! Heinrich otworzył usta; przy sąsiednich stolikach zapadła śmiertelna cisza. Wszystkie głowy obróciły się w naszą stronę. Ktoś upuścił szklanę, która w tej nagłej ciszy rozbila się ze strasznym trzaskiem, ktoś zaczął kaszleć. „Słyszałeś? Czerwone mięso!” – dobiegł mnie pełen zgrozy kobiecy szept, a po nim czyjś cichy gwizd. O rany! Miałam ochotę zapaść się pod ziemię, na szczęście po chwili szok minął.

– Czy zamiast steku mógłbym zaproponować pani jedną z naszych specjalności? – zapytał Heinrich. Jego ton mówił wyraźnie, że to propozycja nie do odrzucenia. – Polecam „danie Zygfryda”. Zawiera dużo protein, pozbawione jest natomiast szkodliwego cholesterolu.

– Spróbuj – z pośpiechem włączył się Harley. – Słyszałem, że to wyśmienite.

Skinęłam głową, cóż miałam zrobić? Harley, nie pytając mnie o zdanie, zamówił wodę mineralną, z czego łatwo było wywnioskować, że alkohol pod żadną postacią również nie wchodzi w rachubę.

– Spod jakiego jesteś znaku, Cindy? – zagaił rozmowę, zwracając Heinrichowi kartę. O, do licha, zaskoczył mnie tym pytaniem! Kiedy urodziła się Cindy? Chyba w czerwcu, ale jaki to znak? – Założę się, że spod Bliźniąt – dodał, nim zdążyłam otworzyć usta.

– Skąd wiedziałeś? – spytałam z udanym podziwem. Mam nadzieję, że się nie mylisz, dokończyłam w duchu.

– Och, mam po prostu do tego smykałkę – odrzekł z zadowoleniem. – Ja jestem Strzelcem – oznajmił, co powiedziawszy, zaczął mi referować swój zodiakalny horoskop, objaśniając zarazem szczegółowo, jaki wpływ na jego losy wywiera dominująca obecnie konfiguracja gwiazd. Trwało to tak długo, że mogłam spokojnie zlustrować salę. Przy sąsiednim stoliku siedział Clint

Eastwood, a przy barze pojawił się akurat Richard Gere. Dwie supergwiazdy obok siebie! Czyż mogłam przypuszczać, że kiedykolwiek zobaczę je na żywo, i to w takiej konfiguracji?

Kiedy podano jedzenie, okazało się, że Brunhilda uwielbiała makaron z grzybami – makaron był z grubo mielonej mąki, a grzyby z lasu – Zygfried natomiast upodobał sobie łososia. Oczywiście piezonego na ruszcie i bez odrobiny tłuszczu. Obie potrawy ozdobiono częścią pomarańczy.

– Chcesz trochę? – zapytał Harley. Jedną ręką podsunął mi widelec z ociekającą sosem wiązką makaronu, drugą sięgnął po kawałek mojej ryby. – Mój bioterapeuta twierdzi, że dzielenie się pokarmem to akt o niezwykle doniosłym znaczeniu psychologicznym. Między dwiema takimi osobami powstaje podobno coś w rodzaju prymitywnej więzi.

Kiedy po wessaniu spaghetti doznałam tu i ówdzie dziwnego mrowienia, stało się dla mnie jasne, iż ciało mojej poprzedniczki jest wyraźnie zainteresowane nawiązaniem innej, równie prymitywnej więzi. Czyżby wreszcie nadeszła moja wielka szansa?

Zerknąwszy ukradkiem na swe jakże przystojne vis-a-vis, poczułam dreszcz podniecenia, więc oblana rumieńcem, odwróciłam oczy. Co mam teraz zrobić? myślałam gorączkowo. Jak się zachować? Po trzydziestu latach oczekiwania na taką chwilę nie mogłam sobie pozwolić na żadną głupią pomyłkę. Jakie mu wysłać sygnały, aby nie pomyślał, że jestem zbyt łatwa? Nie chciałam powtórzyć błędów popełnionych na Mulholland Drive. Chuck Woodcock dał mi nauczkę.

Czując, że ogarnia mnie zdenerwowanie, nakazałam sobie wziąć się w garść. Może i jestem nikim dla kogoś takiego jak Heinrich, dysponuję jednak przecież niezwykle potężną bronią: ciałem Cindy i rozumem Harriet. Trzeba tylko mądrze to rozegrać. Myśl ta sprawiła, że poczułam się trochę pewniej. Po raz pierwszy od chwili, gdy obudziłam się jako Cindy, zaczęłam mówić o sobie. Była to skomplikowana mieszanina prawdy i fikcji, ale co za różnica? Harley nie znał mnie przecież ani jako Harriet, ani jako Cindy. Mogę być dla niego kimkolwiek zechcę. Tak, powiedziałam sobie, to jest dopiero prawdziwy początek mojego nowego życia! W miarę jak rosła moja pewność siebie, czułam się coraz swobodniej, do tego stopnia, że w pewnym momencie zaczęłam rozprawiać o książkach. Harley patrzył na mnie z coraz to większym zdumieniem.

– Czytałaś Dickensa? – westchnął z nabożnym podziwem. – Mam gdzieś w domu komplet jego dzieł, pokażę ci przy okazji.

To, że tak łatwo potrafiłam mu zaimponować, było dla mnie czymś

zaskakującym. W moim poprzednim wcieleniu przywykłam do tego, że ludzie lekceważą moje opinie, jeśli już nie próbują ich zdyskredytować. Teraz było inaczej! Kiedy poinformowałam Harleya, że oprócz Dickensa przeczytałam też prawie całego Szekspira, przyjął to z takim wyrazem twarzy, jakbym dokonała niebywałego wyczynu, porównywalnego chyba tylko z rozbiciem atomu czy lotem na Księżyc.

– Zdumiewające – wyszeptał, patrząc mi w oczy. – Jesteś tak młoda i piękna, tak świeża i niezepsuta, a jednocześnie... – rozpostarł ręce gestem skrajnego oszołomienia – ...masz taką wiedzę o świecie!

Na deser podano nam „ciastko Götterdämmerung”, które w praktyce okazało się mikroskopijnym plasterkiem niskokalorycznej pianki skąpo zaprawionej czekoladą. Mityczna Walhalla najwidoczniej nie była miejscem, gdzie potężni germańscy herosi mogliby się solidnie pokrzepić. Zastanawiałam się właśnie, czy nie zażartować, że przyczyną zmięzchu bogów było najprawdopodobniej permanentne niedożywienie, kiedy Harley pogładził mnie po rękę.

– Cindy – powiedział z uczuciem – naprawdę ogromnie się cieszę, że cię odnalazłem.

– Ja również. – Przysunęłam się z krzesłem trochę bliżej, uśmiechając się uwodzicielsko.

– Wiem, że nie powinienem tego mówić... – przeganiał palcami włosy, rujnując kompletnie swą nienaganną fryzurę – ...ale nie potrafię się powstrzymać... nie przestaję o tobie myśleć – wyznał z głębokim zażenowaniem. – Kiedy zobaczyłem cię wtedy... no wiesz, po wypadku, leżącą w tym wraku... – głośno przełknął ślinę – zakochałem się w tobie.

Miłość? Trudno opisać uniesienie, które ogarnęło mnie po tych czarodziejskich słowach! Tak długo na nie czekałam! Ale czy to możliwe? Ludzie nie zakochują się przecież w taki sposób... przynajmniej nie w realnym świecie. A może jednak? Czyż mogłam powiedzieć o sobie, że jestem w tych sprawach ekspertem?

– Ale jak... – wyjąkałam – to znaczy... ty przecież prawie mnie nie znasz...

– Nie muszę cię znać, moja droga – odrzekł zdecydowanie. – Wystarczy mi spojrzeć ci w oczy. – Ujął moją dłoń i zaczął unosić się nad ich pięknem. – A czyż oczy nie są zwierciadłami duszy?

Pomyślałam, że jeśli nawet są, on najwidoczniej nie patrzy w nie zbyt uważnie. Ciekawe, co by zrobił, gdyby udało mu się przebić przez cienką zasłonę kłamstwa i zobaczyć tę prawdziwą, pięćdziesięcioletnią duszę, bezwstydnie



zaprzedaną diabłu? Takie myśli podsuwał mi rozum Harriet, ale ciało Cindy, ta istna bomba wzburzonych hormonów, żyło własnym życiem. Od pragnień, jakie budził w nim Harley, krew tętniła mi w żyłach, a przez wszystkie nerwy przelatowały iskry jak od porażenia prądem.

– Robi się późno – zauważył nagle, patrząc na zegarek. – Powiniennem odwiedzić cię do domu.

Do domu? Jak to? W takiej chwili? Gdy nie bacząc na reputację, zdecydowałam się już pójść na całość, on chce mnie odwiedzić do domu, gdzie Trish ani chybi urządzi mi przesłuchanie trzeciego stopnia? Musiałam popełnić jakiś błąd, ale jaki?

– Nie bój się – rzucił uspokajająco – nie miałem wobec ciebie niegodziwych planów.

– Ale ja... – zaczęłam pleść coś nieskładnie, lecz po paru słowach zamilkłam. Mych ukrytych pragnień nie dało się wyrazić w żaden elegancki sposób.

Po wyjściu z restauracji doznałam czegoś w rodzaju olśnienia: jakże się myliłam sądząc, że uroda i młodość ułatwiają życie! Jest wprost przeciwnie! Wszystko wydawało mi się teraz o wiele trudniejsze niż przedtem; niektóre sprawy były nawet bardziej frustrujące. Jak długo na przykład mam jeszcze czekać, nim uda mi się wreszcie pójść z kimś do łóżka?

Po cichutku weszłam do mieszkania, łudząc się nadzieją, że zdołam niepostrzeżenie wśliznąć się pod kołdrę, niestety... Trish warowała w drzwiach swego pokoju, gotowa natychmiast wyciągnąć ze mnie szczegółową relację z mojej pierwszej randki.

– Zaliczyłaś go? – wykrzyknęła z podnieceniem na mój widok. – Jak było? Kochałaś się już kiedyś w ferrari, boja nigdy! – Dolała sobie whisky z tej tajnej butelki i po sekundzie wahania zdecydowała się nalać i mnie. – Będziesz się z nim spotykać?

Z uczuciem lekkiego upokorzenia opisałam jej jeden, i to bardzo pospieszny pocałunek na dobranoc. Bardziej cmoknięcie niż pocałunek. Po tak wzruszającej deklaracji uczuć pozostawiono mnie przed domem już nie tylko bez słowa o wspólnej przyszłości, ale nawet bez wzmianki o następnej randce.

Trish była mocno rozczarowana, ożywiła się jednak, kiedy wymieniłam nazwę restauracji.

– Zaprosił cię do „Wagnera”? – wytchnęła z takim podziwem, jakby był to co najmniej pałac Buckingham. – Och, Cin, tam chodzą wszyscy sławni ludzie! Opowiadaj, kogo widziałaś!

Sądziłam naiwnie, że Richard Gere i Clint Eastwood powinni ją zadowolić – akurat! Trzymała mnie na nogach pół nocy, każąc po kolei opisywać wszystkich obecnych na sali.

– Jesteś pewna, że Brightman nie zaproponował ci następnej randki? – spytała na koniec, wytrząsając ostatnie kropelki do szklanki. – Hm... Może po prostu nie jesteś w jego typie. – Na chwilę popadła w zadumę. – Może w takim razie – podjęła z tęsknym wyrazem oczu – zechce umówić się ze mną?

\*

Następnego ranka ubierałyśmy się właśnie do wyjścia, kiedy zadzwonił telefon, – To on! – zapięła Trish, zakrywając ręką słuchawkę.

– Prędko! Doprowadź się do porządku! – Cześć, Harley – rzuciła z seksownym przydechem. – Tu Trish... Kiedy wreszcie wydarłam jej słuchawkę, Harley był z lekka oszołomiony.

– Wiesz, Cindy, powinnaś mieć osobną linię. Ta pani, z którą rozmawiałem, to strasznie dziwaczna osoba. Słuchaj, podjadę po ciebie za pół godziny. Popływamy sobie przed śniadaniem, później pokażę ci dom i...

– Przykro mi – przerwałam – ale dziś jest środa. Muszę iść do pracy.

– Nie możesz się zwolnić? – wydawał się szczerze zdziwiony.

– Ja...

– Oczywiście że może! – Trish błyskawicznie wyrwała mi z ręki słuchawkę. – Nie martw się, Harl, ja to załatwię!

– Co ty wyprawiasz? – fuknęłam ze złością, kiedy wreszcie się rozłączyła.

– Chcesz iść do pracy w takim momencie? Na głowę upadłaś czy co? Przestań się martwić, biorę to na siebie. Powiem Marty'emu, że poszłaś na casting do nowego filmu Mela Gibsona.

– Ale...

– Ubieraj się, mówię, i przestań się sprzeczać. O której on ma przyjechać?

Ku mojej uldze musiała wyjść z domu, zanim pojawił się Harley.

Schodząc z nim na dół, po raz pierwszy poczułam się zażenowana wyglądem tego budynku. Łatwo było sobie wyobrazić, jakie wrażenie musi na nim robić ta straszna klatka schodowa. Dzisiaj przy świetle dziennym wyglądała dziesięć razy gorzej niż wczoraj, kiedy różne rzeczy skrywał litościwy półmrok.

– Powinniście zainstalować tu sobie kamery – zauważył, marszcząc z niesmakiem nos, jako że zmuszony był właśnie przekroczyć jeszcze ciepłą kałużę moczu. – Są bardzo skuteczne. Tam gdzie się je wprowadza, znacznie spada liczba przestępstw i bezmyślnych aktów wandalizmu. Uzbrojona grupa ochroniarzy też

redukuje przestępczość, tak przynajmniej stało się w mojej dzielnicy.

Bardzo pięknie, tylko kto by miał za to płacić? Ledwie wyszliśmy z budynku, otarła się o nas grupka młodych ludzi niosących pod pachami nowiutkie, lśniące kołpaki, najwidoczniej dopiero co zdjęte z kół stojącego przed domem bentleya. Miał ten sam jasnoblękitny odcień co wczorajsze ferrari.

– Chciałem wziąć dziś porsche'a – poinformował mnie Harley, wciskając z roztargnieniem jakiś zmięty banknot w rękę wyrostka, który w tej właśnie chwili wyciągnął lewarek spod jego pięknego wozu – ale ta moja służba... Nigdy nie podstawia tego, o co proszę. Jose od pół roku uczy się angielskiego i wciąż nie odróżnia bentleya od porsche'a.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłam po wjeździe do Beverly Hills, był znany mi już wóz patrolowy. Gdy zatrzymał się przed dyżurką i z kabiny wyłonił się Wayne, wolałam się schylić – przypomniały mi się te francuskie pocałunki. W świetle dziennym zarówno to miejsce, jak i cała okolica wyglądały o wiele przyjemniej. Obserwując mijane rezydencje, nie mogłam się nadziwić ich olbrzymim frontowym drzwiom – po co ludziom takie wrota? Poza tym jednak każda z tych budowli była inna. Obok rezydencji żywo przypominającej piernikowy domek Baby Jagi, tyle że powiększony kilkadziesiąt razy, stało ponure dworzyszcze, w którym z powodzeniem mogłaby zamieszkać rodzina Addamsów.

Zatrzymaliśmy się u końca jakiejś ślepej uliczki; wyglądała zupełnie jak tamta, w której mnie przyłapano. Może była to nawet ta sama uliczka.

– Psiakrew – wycedził Harley, gorączkowo kręcąc kierownicą, aby zawrócić samochód – to nie tutaj! Musiałem źle skręcić.

Jeszcze dwukrotnie przejechaliśmy obok domu Baby Jagi, zanim wreszcie odnalazł właściwą drogę.

– To dlatego że zwykle przyjeżdżam z innego kierunku – mruknął przepaszająco. – Poza tym zazwyczaj prowadzi Jose.

Na widok jego posiadłości na chwilę zaniemówiłam. Już kolosalna brama wjazdowa z siedzącymi na słupach dwoma kamiennymi lwami mogła przyprawić o obłęd. Po krótkiej utarczce z elektronicznym odźwiernym, domagającym się podania właściwego kodu, wrota rozsunęły się bezszelestnie, my zaś wjechaliśmy na ścieżkę prowadzącą do wiernej, aczkolwiek nieco mniejszej od oryginału repliki pałacu w Wersalu. Jediną wskazówką, że jakimś cudownym sposobem nie przeniesiono nas nagle pod Paryż, była flaga amerykańska dumnie powiewająca nad drzwiami.

Hol tego domu był chyba sześć razy większy od mojego mieszkania w Anglii.

– Dzień dobry, sir. Przygotowałem wszystko, jak pan sobie życzył – dobiegł mnie zza pleców czyjś mocno afektowany głos z jakże znajomym akcentem! Obróciwszy się żywo, zobaczyłam dostojnego, ciemno ubranego dżentelmena w średnim wieku. W rękę trzymał srebrną tacę.

– Witaj, George – pozdrowił go Harley. – Pozwól, Cindy, że przedstawię ci George’a, mojego angielskiego kamerdynera. Przypuszczam, że jego akcent musiał wydać ci się trochę dziwny.

– Dzień dobry, George – bąknęłam niepewnie. Nie miałam pojęcia, jak zwracać się do lokaja. Jaką formę nakazuje etykieta?

– Były jakieś wiadomości? – zapytał Harley.

– Tak, sir. – Kamerdyner wyjął z kieszeni notatnik.

– Dzwonił pan Armani w sprawie nowego garnituru, sir. Zamówiłem przymiarkę na następny tydzień. Dzień i godzinę znajdzie pan w swoim terminarzu. Zauważy pan również, że umówiłem pana z dentystą. Na dwunastego. W tym dniu mija właśnie miesiąc od ostatniego zabiegu polerowania zębów. – Przewróciwszy stronę, chmurnie zmarszczył czoło.

– Dzwonił jakiś dziennikarz z prośbą o wywiad, odniosłem jednak wrażenie, że to ktoś, z kim nie należy rozmawiać. Powiedziałem, że wyjechał pan za granicę. Nadeszło też zaproszenie na kolację u państwa Stallone’ów. W przyszły piątek. Odpowiedziałem wstępnie, że przyjdzie pan z przyjemnością. – Kaszlnął dyskretnie i obrzucił mnie szybkim spojrzeniem. – Jednakowoż, sir, będę musiał zawiadomić gospodarzy, czy przybędzie pan sam czy z osobą towarzyszącą.

– Hm... ustalimy to później, George – rzucił niedbale Harley. – To wszystko?

– Tak, sir. Będę teraz w spiżarni. Gdybym był potrzebny, proszę dzwonić. – Po tych słowach niespiesznie oddalił się w głąb domu.

Harley z pobłażliwym uśmiechem na ustach patrzył za swoim wytwornym lokajem, póki ten nie zniknął mu z pola widzenia.

– Nie wiem, co bym zrobił bez George’a – stwierdził z lekkim westchnieniem.  
– Jest niezawodny. W domu wszystko działa jak w zegarku. Czasami mam wrażenie, że mu wręcz przeszkadam. – Powoli pokręcił głową i znanym mi już ruchem zmierzwił sobie włosy. – No ale chodźmy popływać! – zawołał z chłopcym zapalem.

Do otwartego basenu doprowadził nas cały skomplikowany system imponująco wielkich korytarzy. Sam basen też był ogromny, a jego otoczenie przypominało rzymskie termy. Zzieleniałabyś z zazdrości, Sally, pomyślałam. Jej bardzo podobny projekt dla guildfordzkiego klubu zdrowia był nieporównanie

skromniejszy.

Co ona teraz robi? Z nagłym skurczem serca uświadomiłam sobie, że nigdy nie będę mogła opowiedzieć jej o tym, co tu widziałam...

– Tedy, Cindy – wyrwał mnie z zadumy głos Harleya.

Zaprowadził mnie do przebieralni, gdzie znalazłam kilkanaście kostiumów bikini wszelkich możliwych rozmiarów oraz piękny jedwabny szlafrok. Na toalecie leżał pełny zestaw kosmetyków Lapinique, a na eleganckim szezlongu sterta jasnobłękitnych ręczników z wyhaftowanym firmowym logo.

Wynurzyłam się stamtąd z dosyć krępującą świadomością, że z wyjątkiem jakichś dwóch procent osłoniętych malutkim kostiumem cała reszta mego ciała znajduje się na widoku. Harley na szczęście był w wodzie. Pływał jak maszyna, pokonując dystans w idealnie tym samym czasie za każdym kolejnym nawrotem.

Z uśmiechem dałam nurka w wodę – pokażę ci, co potrafię! W młodości nie najgorzej pływałam kraulem. Dopiero w chwili, gdy po wypłynięciu na powierzchnię zniecka poszłam znów na dno, nawiedziła mnie straszna myśl: czyżby Cindy nie umiała pływać? Potem straciłam przytomność.

Ocknęłam się na brzegu, krztusząc się strumieniami wypluwanej wody. Harley miarowym ruchem uciskał mi klatkę piersiową, przygotowując się widocznie do zabiegu usta-usta. Mało brakowało, Mefisto, abyś wygrał swój zakład przed czasem, pomyślałam smętnie. Moment nieuwagi – i koniec. Straciłabym wszystkie darowane lata. Powolutku uniosłam powieki i zobaczyłam nad sobą przerażoną twarz Harleya.

– Cindy? Jak się czujesz? Nic ci się nie stało? Powinienem był wiedzieć, że to jeszcze za wcześnie... że nie doszłaś do siebie po wypadku... – Bezradnie rozłożył rękę. – Co ja narobiłem! Pewnie myślisz – dodał dramatycznym tonem – że dybię na twoje życie! Najpierw ta kraksa, a teraz to!

Usiadłam – i chwycił mnie kaszel.

– Nic mi nie będzie – wychrypiałam zduszonym głosem. – Masz może trochę brandy na przepłukanie gardła?

Kiedy udało mi się wreszcie przekonać Harleya, że czuję się już doskonale, poszliśmy zwiedzić rezydencję. Była ogromna. Liczbie pomieszczeń dorównywała chyba tylko mnogość stylów i epok historycznych widocznych w wystroju tego domu. Z rzymskiej łaźni przenieśliśmy się prosto w wytworność późnej regencji, stamtąd zaś do sali o bielonych wapnem chropowatych ścianach, obwieszonych od sufitu do podłogi dziełami prymitywnej sztuki afrykańskiej.

– Podczas budowy domu konsultowałem się z ekspertem od feng shui –

wyjaśnił Harley, demonstrując mi kolejną salę, urządzonej dla odmiany w stylu japońskim.

– Stąd te lwy na bramie. Neutralizują podobno negatywną energię płynącą z zachodu.

W pokoju wyłożonym dębową boazerią, zwanym przez niego biblioteką, pokazał mi z dumą kilka oszklonych regałów wypełnionych rzędami książek w jednakowych skórzanych oprawach. Wyglądało to tak, jakby wszystkie kupował na wagę i nigdy ich nie otwierał.

– O, tu mam ten komplet Dickensa! – Ostrożnie zdjął z półki któryś z tomów.  
– Wart jest sporo pieniędzy, sama zobacz. Dotknij tej skóry.

Posłusznie wzięłam do ręki egzemplarz „Domu na pustkowiu” – niektóre strony nie były nawet rozcięte. Już miałam na końcu języka złośliwą uwagę o snobach kolekcjonujących książki na pokaz, kiedy jednak spojrzałam na Harleya, rozbroił mnie wyraz jego twarzy. Wyglądał jak mały rozpieszczony chłopiec, który tak szczerze i tak naiwnie chce się pochwalić swoimi skarbami! Kiedy znów tym wzruszająco nieporadnym ruchem zmierzwił sobie włosy, załala mnie fala sympatii. Pomyślałam z wdzięcznością, że tylko on spośród wszystkich tutejszych mężczyzn potraktował mnie jak człowieka, a nie jak obiekt seksualny. Żaden z tych innych z pewnością by nie poprzestał na jedynym delikatnym pocałunku.

Zwróciłam mu książkę z pomrukiem wyrażającym najgłębsze uznanie. Ostatecznie czy to takie ważne, że ktoś nie czytał Dickensa?

Wyprowadził mnie potem na taras, skąd mogliśmy podziwiać ogród. Wyglądał jak salon wystawowy sztuki ogrodniczej. Ogromny centralny trawnik otoczony był wysokim żywopłotem, częściowo wystrzyżonym w niezwykle kunsztowne wzory – pawie, spirale, obronne mury z blankami – zobaczyłam też jednak kilka dziwnie amorficznych kompozycji, z grubsza przypominających ogromne serdelki.

– Jose dopiero się uczy ozdobnego strzyżenia krzewów. Chodzi na kursy wieczorowe – poinformował mnie Harley.

– Te balony to chyba jego dzieło. Widzę, że właśnie pracuje.

– Rzeczywiście przy jednej z „kielbasek” stała drabina, na której czubku dostrzegłam czyjaś drobną ciemnowłosą postać.

Do ogrodu przylegała luksusowa sala ćwiczeń z mnóstwem dziwaczych urządzeń. Harley najwidoczniej uznał za swój obowiązek objaśnić mi ich działanie.

– Te zostały zaprojektowane specjalnie na mój użytek, a służą do kształtowania poszczególnych mięśni – powiedział z dumą, prowadząc mnie wzdłuż rzędu lśniących metalowych aparatów. – Ten rozwija bicepsy, następny mięśnie trójgłowe i tak dalej. A ten przy końcu to moje ulubione urządzenie. Maszyna pływacka! – Zawinawszy rękawy, uruchomił maszynę – wyglądała dość przerażająco – i wgramolił się między jej ruchome „macki”. – Chodź, pokażę ci, jak działa! – zawołał, zapinając pasy.

Zupełnie nie mogłam zrozumieć, po co ktoś, kto ma taki basen, potrzebuje maszyny do pływania, lecz dyskretnie przemilczałam tę wątpliwość. Dziwaczne urządzenie zaczęło tymczasem wydawać rytmiczne dźwięki podobne do szczerku nożyc. Miały one chyba dyktować tempo Harleyowi pracowicie „płynącemu” żabką.

– Nastawiłem na dwie długości – sapnął z wysiłkiem.

– Jak skończę, pokażę ci wydruk z komputera rejestrującego moje ruchy.

Czekając, aż pokona swoje dwie długości, zaczęłam wyglądać przez okno. Środkiem trawnika kroczył właśnie George z tą samą srebrną tacą w ręku. Przechodząc obok drabiny, na której siedział Jose zajęty modelowaniem kolejnej kielbasianej rzeźby, rozejrzał się ukradkiem dookoła, po czym z jawną premedytacją kopnął z całej siły w podstawę drabiny. Dał się słyszeć okrzyk oburzenia i ogrodowy artysta zniknął w krzakach, które natychmiast zamknęły mu się nad głową. Drabina z trzaskiem runęła na trawnik. Wytworny kamerdyner z zastygłym na ustach uśmiechem nadal spokojnie kroczył w stronę domu. „Angielski dupek!”

– dobiegł mnie jękliwy okrzyk z głębi krzaków. – „Poczekaj, odpłacę ci za to!”

– Co takiego? – odezwał się Harley z czeluści swojej maszyny. – Mówiłaś coś, Cindy?

Fragment krzaków odgiął się nagle do ziemi, wypluwając na trawnik niewysoką postać, która po krótkiej chwili zniknęła mi z pola widzenia. W tym samym momencie drzwi otworzyły się bezszelestnie i obok maszyny Harleya zmaterializował się jego lokaj.

– Sir, za pięć minut lunch w oranżerii – zameldował bez cienia emocji.

Podchwytując kierunek mego wzroku, posłał mi spojrzenie mówiące wyraźnie, że to, co widziałam, powinnam zachować dla siebie.

– Ci Hiszpanie! – mruknął z niesmakiem, podchodząc do okna. – Cóż za brak poczucia odpowiedzialności i to kompletne lekceważenie podstawowych zasad bezpieczeństwa! Dziwię się doprawdy, że ten Jose jeszcze się nie zabił!

Lunch składał się z zupy, skromniutkiej sałatki i dwóch rogalików z grubo mielonej mąki, a podała go mrukliwa Meksykanka w średnim wieku.

– Dziękuję ci, Mario. – Harley wyjął z kieszeni podręczną tabelę kalorii, najwidoczniej chcąc sprawdzić, czy przypadkiem nie zagraża nam ich nadmiar. – Chwileczkę – rzucił po sekundzie. – A wyciąg z wodorostów? Nie zapomniałaś go dodać?

Urażona gospodyni pokręciła głową z takim wyrazem twarzy, jakby jej chlebobawca nagle stracił rozum.

– To już trzecia gosposia w ciągu sześciu miesięcy – westchnął Harley po jej odejściu. – Nie wyobrażasz sobie, jak trudno nauczyć tych ludzi prawidłowych zasad żywienia.

Podczas całego posiłku nadal opowiadał mi o domu, ja jednak słuchałam półuchem. Coś w tym wszystkim zaczynało mnie niepokoić. Cóż z tego, że pokazał mi mnóstwo swojego dobytku – od basenu po spinki do koszul, oczywiście z emblematem Lapinique! – skoro nie powiedział nic o sobie? Jakim jest człowiekiem? Co go interesuje? Czego nie lubi? Kiedy w końcu sama zadałam mu te pytania, sprawiał wrażenie, jakby nagle zabrakło mu słów.

– W różnych pismach było o mnie wiele artykułów – odrzekł po chwili, kręcąc się nerwowo na krześle zupełnie jak uczeń przyłapany na kradzieży jabłek. – Udzieliłem też wywiadu Larry’emu Kingowi. Był to bardzo obszerny wywiad. Widziałaś?

Pokręciłam głową.

– Chodzi o to, że... że oni, to znaczy dziennikarze, potrafią opisać mnie lepiej niż ja sam – wyznał z zakłopotaniem. – Widzisz, ja... ja jestem bardzo zwyczajnym facetem. Nie mam jakichś szczególnych zainteresowań ani pasji... Tyle że no... że przypadkiem mam dużo pieniędzy.

Wycisnęłam z niego w końcu parę informacji; były wprawdzie dość skąpe, wynikało z nich jednak wyraźnie, że od urodzenia otaczał go luksus. Źródłem rodzinnej fortuny stała się korporacja Lapinique założona przez zmarłą niedawno matkę. Fortuna ta była na tyle duża, że do końca życia nie musiał się o nic troszczyć. Należał do tych wybranych, co nie muszą zarabiać na chleb.

„Lapinique – dla kobiety, która chce czegoś więcej”... Ten slogan reklamowy wywoływał kiedyś we mnie tylko irytację, przypominając mi nieustannie, że przez własną życiową nieudolność nie stać mnie na to, co dla większości kobiet jest po prostu przedmiotem codziennego użytku, i to takim, którego często nawet się nie zauważa.



– ...nie takie to łatwe, jak pewnie ci się wydaje – wyrwał mnie z zadumy głos Harleya. – Chciałem powiedzieć, że niełatwo jest być bogatym. Samo prowadzenie takiego domu wymaga kolosalnej pracy. Nie masz pojęcia, z iloma różnymi ludźmi człowiek mojego pokroju musi utrzymywać kontakt. To cała armia księgowych, prawników, specjalistów od inwestycji! Poza tym bez przerwy trzeba podpisywać jakieś czek, uczestniczyć w imprezach dobroczynnych, a dzień ma przecież tylko tyle godzin, ile ma...

– No a Lapinique? Myślałam, że to swojej firmie poświęcasz najwięcej czasu.

– Lapinique? – powtórzył z błyskiem w oku. – Och tak, oczywiście! – Z ogromnym ożywieniem poderwał się z krzesła. – Chodź, pokażę ci mój gabinet. Czeka tam na ciebie niespodzianka!

Pokój, do którego mnie wprowadził, utrzymany był cały w znanej mi już teraz jasnobłękitnej tonacji. Na ścianach wisały długie rzędy oprawnych w ramy plakatów reklamujących poszczególne firmowe hity. Znałam te plakaty jeszcze z Anglii – z kolorowych dodatków do niedzielnych gazet. Na wszystkich widniały modelki o tym samym typie urody: jasnowłose dziewczyny o delikatnych, lalczynych buziach i szeroko otwartych oczach spoglądających na widza z wyrazem dziecięcej niewinności. Przyjrzawszy im się bliżej, doznałam lekkiego szoku: przecież to ten wyraz twarzy widzę teraz zawsze, kiedy spojrzę w lustro! Tak, i za każdym razem czuję się zaskoczona już nie tylko różnicą między swym obecnym a dawnym wyglądem, lecz także, a może przede wszystkim, absolutnym brakiem korelacji między wyrazem swojej nowej twarzy a tym, co odczuwam. Jakbym nie miała w głowie ani jednej sensownej myśli.

– Witaj w samym sercu imperium Lapinique! – zawołał z szerokim uśmiechem Harley. Stał za ogromnym biurkiem otoczonym wianuszkami mniejszych, zastawionych całą baterią telefonów, komputerów, telefaksów i wszelkich możliwych urządzeń biurowych. Widząc go w tym otoczeniu, poczułam się jak kandydatka na sekretarkę przed obliczem przyszłego szefa.

Któraś z maszyn nagle ożyła i zaczęła wypluwać z siebie gęsto zadrukowane płachty.

– Mam bezpośrednią łączność zarówno z naszą tutejszą siedzibą, jak i wszystkimi filiami Lapinique: w Rzymie, Paryżu, Londynie i tak dalej. Jest tego trochę – oznajmił Harley z nie tajoną dumą. – To – wziął do ręki pierwszy z brzegu arkusz i pobieżnie przebiegł go wzrokiem – przyszło właśnie z Nowego Jorku.

– Co to takiego?

– Sądząc po liczbach, chyba wyniki sprzedaży – powiedział, drapiąc się w głowę. – Mówię „chyba”, ponieważ to nie moja działka. Tym zajmuje się David.  
– Wrzuciwszy wydruk do wielkiego drucianego kosza pełnego podobnych papierów, dodał tonem wyjaśnienia: – Muszę jednak wiedzieć, co się dzieje w firmie. Trzymać, jak to mówią, rękę na pulsie.

– Kto to jest David?

– Mój brat. On prowadzi interesy. Wkrótce go poznasz.

– Wyjął z szuflady jakiś klucz i otworzył dolną część biurka, skąd wydobył duży prostokątny przedmiot owinięty pięknym aksamitem. – No a teraz niespodzianka! – Gestem polecił mi usiąść przy biurku, po czym z wielką rewerencją położył przede mną ów przedmiot.

– To dla ciebie, Cindy. Coś specjalnego. Odwinąwszy ostrożnie aksamit, zobaczyłam dużą jasnoblękitną kasetę z wytłoczonym na wieku emblematem Lapinique.

– Otwórz! – zachęcił mnie Harley.

Odpiełam dwa malutkie mosiężne haczyki i ciekawie uniosłam wieko. Wnętrze kasyty wyglądało jak wielowarstwowa bombonierka wyłożona błękitnym aksamitem, tyle że zamiast czekoladek zobaczyłam w niej rzędy malutkich słoiczków, tubek i buteleczek.

– Masz tu pełny zestaw wytwarzanych przez nas produktów. Spójrz. – Zaczął po kolei zdejmować tacki i układać je na biurku, abym mogła zobaczyć wszystkie.  
– Wykonaliśmy ten komplet w ograniczonej liczbie w ramach specjalnej promocji. Ten jest ostatni. Przechowuję go od dawna. Czekał na odpowiednią kobietę. Tak wyjątkową jak ty. Pozwolisz, że ci opiszę, do czego to wszystko służy?

– zapytał z nieśmiałym uśmiechem. – To jest preparat do wszechstronnej pielęgnacji skóry, działający w trojaki sposób: oczyszczająco, nawilżająco i tonizująco. Tu masz podkład, puder i błyszczyc... A tu szminki. Jak widzisz, produkujemy bogatą gamę kolorów... Tu są cienie do powiek i tusz do rzęs...

Widząc, jak pieszczotliwie dotyka każdego słoiczka, nie miałam serca mu przerwać, choć trwało to trochę przydługo. Kiedy wreszcie skończył ten fachowy wywód, lekkim dotknięciem w policzek obrócił mi twarz do światła.

– Chciałbym ci teraz pokazać, jak działają nasze kosmetyki – powiedział, wyjmując z szuflady spore pudło pełne pędzli, płatków ligniny i gąbek. – Pozwolisz?

Skinęłam głową.

Ustawiwszy przede mną lustro wydobyte z innej szuflady, delikatnie usunął

resztki mego pospiesznego makijażu – niewiele go zresztą zostało po niefortunnej kąpieli – po czym przystąpił do pracy. Widać było, że pochłania go ona bez reszty. Wyglądał teraz jak chłopiec zafascynowany wypróbowywaniem swoich nowych farb. Siedziałam bez ruchu, bo co tu mówić, dotyk jego palców sprawiał mi wielką przyjemność. Były tak delikatne!

– Gotowe! – powiedział po kilku minutach, cofając się o parę kroków, aby przyjrzeć się swojemu dziełu. – Oto prawdziwie naturalny wygląd!

– Ale po co mi makijaż, skoro mam wyglądać naturalnie?

– Naturalny wygląd też wymaga pracy – odrzekł tonem znawcy. – W każdej twarzy, nawet najpiękniejszej, zawsze jest coś, co należy wyeksponować. Bez makijażu twarz wydaje się... nie wykończona. Jest jak obraz bez ramy. Popatrz w lustro, a zobaczysz różnicę.

Miał rację. Makijaż był ledwo widoczny, a mimo to moja twarz nabrała jakiegoś szczególnego blasku, stała się tak wyrafinowanie subtelna! Mnie nigdy się nie udało uzyskać takiego efektu za pomocą jaskrawych kosmetyków Cindy. Spodobała mi się ta twarz. Sprawiała, że przybyło mi pewności siebie.

– Nigdy nie widziałem tak pięknej kobiety jak ty – usłyszałam miękki głos Harleya. – A znam się na tym, możesz mi wierzyć. Jestem przecież ekspertem od piękna. Twoja uroda, Cindy, ma w sobie coś szczególnego. To nie tylko piękna skóra i rysy, to coś, co płynie z twego wnętrza.

Och, czyżby wreszcie nadszedł wielki moment? Czy weźmie mnie teraz w ramiona i zacznie całować? Tak długo na to czekałam! Wziął mnie za rękę i pomógł się podnieść, ale zamiast pocałować, pociągnął mnie w stronę drzwi w przeciwnym końcu gabinetu. Czyżby do sypialni? Przebiegł mnie dreszcz – nareszcie! Nareszcie dam upust tak długo tłumionym namiętnościom.

On tymczasem otworzył drzwi, za którymi zobaczyłam... studio fotograficzne. Wisiały tu różne kotary służące za tło do zdjęć, pod ścianami stało kilka reflektorów, a na trójnogu kosztowny aparat fotograficzny z długim obiektywem.

– Podoba ci się moja pracownia? Zaprojektował ją dla mnie przyjaciel samego Davida Baileya.

Starając się nie okazać ciężkiego zawodu, wydałam znów kilka pochwalnych pomruków.

– Chciałbym ci zrobić parę zdjęć – powiedział nieśmiało. – Mogę?

Zawahałam się lekko – przypomniły mi się prymitywne wierzenia, według których fotografia odbiera duszę. Moja znajdowała się w rękach Mefista, była więc chyba bezpieczna, nawiedziła mnie jednak inna wątpliwość: a jeśli na zdjęciach

ukáže się moje prawdziwe, ja” i zamiast podobizny pięknej Cindy Harley Brightman zobaczy starą Harriet? Irracjonalne obawy? Nie w mojej sytuacji.

Biorąc moje milczenie za zgodę, Harley ustawił mnie pośrodku studia i poszedł włączyć reflektory. Zaslaniając się dłonią przed nagłym potokiem światła, cofnęłam się odruchowo – i straciłam równowagę, więc aby nie upaść, wykonałam gwałtowny ruch ręką. W następnym momencie oślepił mnie ostry błysk flesza.

– Doskonale, Cindy! – krzyknął z entuzjazmem Harley. Usłyszałam odgłos silnika i urywany klekot automatycznej migawki. – Tak! Odchyl się troszkę do tyłu! Wspaniale! Mogę zrobić jeszcze jedno?

Po chwili stwierdziłam – ku swemu zdumieniu! – że moje ciało reaguje na jego komendy jak świetnie wyszkolony żołnierz. Czyżby Cindy umiała pozować?

– Zdumiewające! Jesteś fenomenalna! – entuzjasmował się Harley z okiem przy wizjerze. – Nie przerywaj, rób to, co robisz!

Zmysłowe ruchy, kusicielskie pozy, odurzająco ciepłe światła reflektorów, wszystko to podziałało na mnie jak wino. Czułam się młoda, piękna i bardzo seksowna! I tak bardzo pragnęłam Harleya! Chciałam znowu poczuć na twarzy pieśczośliwy dotyk jego palców. Och, i nie tylko! Marzyłam, by zerwał ze mnie ubranie i kochał się ze mną tu, na podłodze – tak jak to dzieje się w filmach.

– Harleyu... – szepnęłam tęsknie, patrząc w obiektyw półprzymkniętymi oczyma. Odpowiedział ostrą kanonadą błysków, którą przerwał nagle głośny huk. Z kamery uleciała ciemna smużka dymu. Brutalnie wyrwana z transu rozejrzałam się dookoła. – Co się stało?

– Cholera! Silnik wysiadł!

Stałam jak głupia pośrodku pokoju, podczas gdy on, nie zwracając na mnie uwagi, próbował ratować swój bezcenny film. Gdy w końcu za pomocą wielkiego śrubokrętu zdołał go wyjąć z aparatu, zerknął na zegarek i oznajmił:

– Odwiozę cię teraz do domu. Chcę jeszcze dzisiaj oddać te zdjęcia do wywołania, a nasze laboratorium wkrótce kończy pracę.

– Dobrze – mruknęłam niechętnie. Zaczęłam poprawiać ubranie, zastanawiając się z głębokim przygnębieniem, dlaczego mnie to spotyka. Dlaczego zawsze tak się dzieje, że gdy tylko okazemy ludziom, jakie w nas budzą uczucia, stają się natychmiast dziwnie nieprzystępni i robią wszystko, żeby nam się wymknąć?

– Och, nie pamiętam, czy ci wspominałem o tym jutrzejszym przyjęciu – rzucił niedbałym tonem. – Podjadę po ciebie po południu i pójdziemy wpierw na

zakupy. – Z lekką, acz widoczną dezaprobatą prześliznął się wzrokiem po moim ubraniu. – Pomyślałem, że będzie ci pewnie potrzebna nowa suknia.

Odwiózł mnie do domu. Tym razem było to znowu ferrari. Większa część drogi upłynęła nam w głuchym milczeniu. On wydawał się pochłonięty swoimi sprawami, mnie dręczyło pytanie, którego nie śmiałam wypowiedzieć głośno: jaki popełniłam błąd? Dlaczego traktuje mnie tak... powściągliwie? Brałam pod uwagę możliwość, że po prostu mu się nie podobam, wydawało się to jednak nieprawdopodobne. Gdybym mu się nie podobała, nie zachwyciłby się przecież tak moją urodą. Po co miałby zapraszać mnie do domu, zabawiać, podejmować lunchem? I to wczorajsze wyznanie miłości... A dzisiaj nawet o tym nie wspomniał...

Przypomnij sobie, że Harley Brightman to najlepsza partia w całej Kalifornii, szepnęła mi moja rozsądniejsza część. Może po prostu za wysoko mierzysz? A poza tym ty go wcale nie znasz. Może to, co powiedział tobie, mówi każdej ładnej kobiecie? Ale przecież to nie ja zabiegałam o tę znajomość. A czy słowa miłości to dla niego rzecz bez znaczenia?

Nie, powiedziałam sobie, Harley, którego poznałam, wcale nie przypomina postaci opisywanej przez prasę – bogatego playboya, któremu życie upływa na przyjęciach i pogoni za kobietami, człowieka pozbawionego wyższych uczuć, a już na pewno głębszej refleksji. Mój Harley jest inny – łagodny, wrażliwy i opiekuńczy. Wciąż miałam przed oczami jego obraz sprzed paru godzin: gdy z pędzelkiem w kąciku ust i zmarszczonym czołem dumiał nad doborem właściwego cienia do powiek. Czy tak wygląda lekkomyślny, rozpustny światowiec?

Nie! Taką twarz ma artysta pochłonięty bez reszty swą pracą i dziełem. A może... może przez krótki moment dane mi było ujrzeć prawdziwego Harleya Brightmana? Może chciał mi pokazać swą jaśniejszą stronę – tę, której nie zna nikt inny? Czy to możliwe, pomyślałam z radosnym dreszczem, że on jeden wyczuwa me prawdziwe, ja”? Że to moja osobowość przemawia do niego bardziej niż piękna twarz Cindy i jej długie nogi? Może to Harley jest owym rycerzem w lśniącej zbroi, o którym marzyłam jako Harriet, tyle że jego rumak zmienił barwę – z białej na jasnoblękitną?

Ocknęłam się z tych rojeń dopiero przed domem.

– Do jutra, kochanie. – Otworzył drzwi i niedbale cmoknął mnie w policzek. Ociągałam się jeszcze przez moment, łudząc się nadzieją, że może zechce pożegnać mnie trochę czulej, niestety, nic takiego nie nastąpiło.

– Do zobaczenia – odrzekłam obojętnym tonem, chociaż ogarnął mnie smutek. Ktoś taki jak Harley Brightman ma pewnie kobiet na pęczki. Jak mogłam sobie uroić, że zakocha się akurat we mnie? Znowu pozwoliłam się ponieść swojej wybujałej wyobraźni. Wchodząc do budynku, obiecałam sobie, że więcej się to nie powtórzy. Dostyc rozczarowań.

## ROZDZIAŁ 9

Następnego dnia znowu nie poszłam do pracy; Trish powiedziała Marty'emu, że mam zdjęcia próbne do jakiegoś innego filmu. Harley przyjechał około pierwszej jasnoblękitnym mercedesem, tym razem jednak za kierownicą siedział Jose. Idąc do samochodu, spostrzegłam pod latarnią grupkę miejscowych chuliganów; obserwowali nas z żywym zainteresowaniem.

– Zazwyczaj to George wozi mnie na zakupy – powiedział Harley, sadowiąc się przy mnie na tylnym siedzeniu – ale dziś jest trochę niedysponowany. Miał w nocy dziwną przygodę: podobno zatrzęsął się w piwnicy z winem, wyobrażasz sobie? Zupełnie tego nie rozumiem. Jak takie drzwi mogły się same zatrzęsnąć?

Lekkie parsknięcie, które dało się słyszeć po tych słowach, pozwalało się domyślić, że Jose mógłby mu to wyjaśnić, temat nie został jednak podjęty. Ruszyliśmy akurat z miejsca i w tej samej chwili spod latarni dobiegły nas gromkie wiwaty. Zerknąwszy przez tylną szybę, zobaczyłam, że z jezdni podnosi się czarny od brudu młodzieniec i składa głęboki ukłon swej uradowanej publiczności. W jednej ręce trzymał śrubokręt, w drugiej tablicę rejestracyjną z napisem HARL 3.

Wysiedliśmy przy słynnej Rodeo Drive, gdzie po obu stronach ciągnęły się rzędy niezwykle eleganckich sklepów. Nad wieloma widniały szyldy z nazwiskami znanych projektantów – Gucci, Armani, Chanel – nazwiskami, które w czasach Harriet zawsze wywoływały we mnie odruch zazdrosnej niechęci, były bowiem symbolem takiego poziomu życia, o jakim nie mogłam nawet marzyć. Przy drzwiach tych salonów stali onieśmielająco wytworni sprzedawcy, a wśród rozstawionych na chodniku roślin widać było krzepkich ochroniarzy, demonstracyjnie przechadzających się tam i z powrotem z bronią gotową do strzału. Ciekawe, co by się stało, gdyby którykolwiek z kupujących spróbował podejść do drzwi z oglądanym towarem w ręku – chcąc na przykład sprawdzić jego kolor? Ja w każdym razie wolałabym nie ryzykować.

– Wejźmy tutaj.

Prowadzona pod rękę przez Harleya, wkroczyłam do przestronnego, prawie pustego salonu. Nie było tu ani stojaków z konfekcją, ani koszyków na zakupy, a o charakterze prowadzonej działalności świadczyło jedynie kilka manekinów ustawionych w tak dyskretny sposób, że nie rzucały się w oczy. Parkiet lśnił jak lustro, zatrzymałam się więc tuż za progiem z obawy, że moje wysokie obcasy

mogłyby go porysować. Sprzedawczyni zresztą i bez tego unicestwiła mnie jednym spojrzeniem.

– Czym mogę panu służyć? – zwróciła się do Harleya.

– Może byś przymierzyła parę rzeczy? – zapytał wyczekująco. – Nie wstydź się, Cindy. Zobacz po prostu, czy coś ci się tutaj spodoba.

– Pokażę pani naszą wiosenną kolekcję – zdecydowała ekspedientka. – Proszę za mną – rzuciła, kierując się na zaplecze.

Zdawałam sobie sprawę, że komuś takiemu jak Harley garderoba Cindy może się wydawać zbyt wyzywająca, toteż tego ranka starałam się ubrać tak skromnie i elegancko, jak tylko to było możliwe, teraz jednak już pierwsze spojrzenie w lustro pozbawiło mnie wszelkich złudzeń. Na tle tego ascetycznego wnętrza wyglądałam po prostu tandetnie. Tak żenująco tandetnie, że postanowiłam natychmiast to zmienić. Najwyższa pora oszlifować tę biedną Cindy!

Gdy pokazano mi jednak „wiosenną kolekcję”, ogarnęło mnie rozczarowanie: zbyt daleko odbiegała ona od mych wyobrażeń o tym, co noszą bogate kobiety. Spodziewałam się eleganckich, doskonale skrojonych rzeczy, czasem nawet przesadnie zbytkownych, zobaczyłam tymczasem całą serię wyjątkowych dziwactw w przygnębiająco szaroburych barwach.

– Nie ma pani czegoś jaśniejszego? – Wbiłam się właśnie w kieckę uszytą z jakiejś paskudnej tkaniny, żywo przypominającej worek na kartofle.

– To jest, proszę pani, najmodniejsza gama tej wiosny – pouczone mnie wyniośle.

– A czegoś... hm... bardziej konwencjonalnego niż to?

– spytałam ostrożnie, podnosząc do góry żakiet, który zdawał się mieć czworo ramion.

– To jest butik autorski, proszę pani – powiedziała głośno ekspedientka, po czym rozejrzawszy się chyłkiem, dorzuciła lodowatym szeptem: – Coś ci powiem, mała. Komu się tu nie podoba, niech sobie idzie do Searsa!

Nazwa „Sears” niemi nie mówiła, ogarnęła mnie jednak tęsknota za przytulną swojskością Marksa i Spencera. Czy żeby wyglądać modnie, naprawdę trzeba aż tak się oszpecić?

Ukazałam się w końcu Harleyowi w czymś złotym, co wyglądało jak pozostałość po członkach załogi „Star Treka”. Na mój widok poderwał się z krzesła.

– Och, to bardzo gustowne! – wykrzyknął entuzjastycznie. – Mądrze zrobiłaś, wybierając coś tak oryginalnego!



Zerknąwszy na cenę, miałam ochotę uciec. Byłam pewna, że nawet Harley musi uznać ją za absurdalną, on tymczasem nie tylko wcale się nie spłoszył, ale zaczął usilnie nalegać, żebym przymierzyła coś jeszcze. Liczyłam, że żaden z tych „supermodeli” nie zyska jego uznania – były naprawdę okropne – nie doceniłam jednak zwycięskiej urody Cindy, która nawet w takich warunkach okazała się nie do pobicia. Cokolwiek na siebie włożyłam, we wszystkim wyglądałam dobrze, a ta bezczelna pannica sprzedałaby nawet diabłu różaniec. Podejrzewam, że gdyby przyszło mi na myśl owinać się zwyczajną siatką ogrodową, też by ją wcisnęła Harleyowi za jakąś horrendalną cenę.

– Weźmiemy wszystko – zdecydował, wręczając jej złotą kartę kredytową. – Wiedziałem, gdzie cię przyprowadzić – stwierdził z satysfakcją, gdyśmy już wyszli ze sklepu.

– Ubrania tyle mówią o nas samych, o naszej osobowości! Dlatego właściwy ich dobór jest taki ważny.

Odwiedziliśmy potem kilka innych sklepów, gdzie nakupił mi mnóstwo torebek, bielizny i butów, nie zważając na moje protesty, że to o wiele za dużo i że nie powinien tak szastać pieniędzmi.

– Po to są pieniądze, żeby je wydawać – rzucił niefrasobliwie.

Ostatnim naszym przystankiem był tak ekskluzywny salon, że aby w ogóle tam wejść, należało się wcześniej umówić.

– Nie spytałem cię o zdanie, mam jednak nadzieję, że mi wybaczysz – szepnęła Harley. – Chodzi o to, że mają tu suknię wprost idealną dla ciebie. Kiedy ją zobaczyłem, a było to jakiś czas temu, tak bardzo mi się spodobała, że ją kazałem odłożyć. Dla tej jednej wybranej kobiety... Wiedziałem, że ją kiedyś spotkam.

Była to zwiewna jedwabna kreacja w kolorze błękitnego nieba. Kiedy mnie w niej zobaczył, w oczach zalśniły mu łzy.

– Włóżysz ją na dzisiejsze przyjęcie? – wyszeptał błagalnie. – Będzie tam wielu moich przyjaciół. Chciałbym się tobą pochwalić.

Skinęłam głową, podziwiając swe odbicie w lustrze. Suknia rzeczywiście była piękna, bardzo prosta i bardzo kobieca – i na pewno nie w stylu Cindy. Ona nigdy by nie kupiła sobie takiej rzeczy, gdyby nawet miała dość pieniędzy. Wyglądałam w niej doprawdy jak uosobienie niewinności. Czy na widok takiej istoty komukolwiek przyszłoby na myśl, że zawarła ona pakt z diabłem?

Po powrocie do rezydencji Harley natychmiast rozpoczął trening pływacki. Musi wykonać swą codzienną normę, powiedział tonem usprawiedliwienia. Wynosiła, jak się dowiedziałam, pięćdziesiąt długości basenu. Niezły dystans. Ja

przezornie wolałam pozostać na brzegu. Wyciągnięta wygodnie na leżaku, sączyłam świeżutki sok pomarańczowy z błogim uczuciem słodkiego lenistwa. Pomyślałam sobie nawet, że łatwo bym przywykła do takiego życia, pod warunkiem iż zamiast soku miałabym w tej szklance coś przyzwoitszego. I tak upłynął nam czas do wieczora.

Harley pokonał w końcu wyznaczony dystans; odczytawszy z komputera swoje dzisiejsze wyniki, wprowadził te dane na specjalną kartę i oświadczył, że czas się ubierać. Otrzymałam do dyspozycji jeden z pokoi gościnnych, gdzie Maria rozłożyła już na łóżku moją wieczorową toaletę. Wkładając ją, pomyślałam, że koszt tej ekstrawaganckiej „inwestycji” siedmiokrotnie przewyższa miesięczną kwotę czynszu za moje dawne mieszkanie. Łaszki Cindy, zwinięte w schludną kulkę, pozostawiłam na krześle.

Kiedy po starannym makijażu i upięciu włosów przejrzałam się w lustrze, z przyjemnością stwierdziłam, że wyglądam świetnie; tak jak zgodnie z moim wyobrażeniem powinna wyglądać bogata mieszkanka Beverly Hills. Bił ode mnie blask, wyrafinowanie i nie znane mi dotąd poczucie wewnętrznego komfortu. Ludzie, których sytuacja zmusza do codziennej morderczej harówki, nigdy go nie mają. O, gdyby tak mogło być zawsze! Zapomnieć o Martym i jego lokalu! Ten lokal już nawet teraz zaczynał mi się wydawać czymś dalekim i nierzeczywistym. Z uśmiechem zerknęłam znów w lustro – podobałam się sobie coraz bardziej.

– Mam nadzieję, Mefisto, że mnie teraz widzisz – mruknęłam półgłosem. – Moje akcje wreszcie idą w górę...

*Nie doceniasz zła, które tkwi w urodzie, a to bardzo potężna siła. Każdego potrafi zdemoralizować...* – zabrzmiało mi nagle w uszach.

– Mefisto? – Odpowiedziała mi cisza. Czyżbym to sobie uroiła? – Nie jestem zdemoralizowana – wymamrotałam gniewnie, przypomniały mi się bowiem słowa „cibie również”. Cóż w tym złego, że jestem dziś w dobrym nastroju? Mam chyba prawo trochę się zabawić!

– Cindy?

Podskoczyłam z przestachu. W progu stał Harley, olśniewająco wytworny w smokingu i muszce.

– Przepraszam – powiedział, rozglądając się po pokoju – ale wydawało mi się, że słyszę tu czyjeś głosy.

Pomyślałem, że może mnie wołasz. Cudownie wyglądasz, kochanie.

– Dziękuję. – Zarumieniłam się po same uszy, poczułam bowiem, że na widok tego mężczyzny wzbierają we mnie emocje aż za dobrze mi znane z czasów

Harriet. Takie same uczucia budził we mnie Andrew. Miały one jednak ten skutek, że w jego obecności natychmiast traciłam rezon, myśli zaczynały mi się plątać, a język odmawiał posłuszeństwa.

– Gotowa? – Harley wyciągnął rękę.

Przebiegł mnie dreszcz, kiedy splotły się nasze dłonie. Nie, powiedziałam sobie twardo, tym razem będzie inaczej. Harley w przeciwieństwie do Andrew wyznał mi przecież miłość. Nie mam powodów mu nie wierzyć. Gdyby mnie nie kochał, nie traktowałby mnie z taką rewerencją. Ja też cię kocham, mój drogi! Kilka razy bezgłośnie powtórzyłam sobie te słowa. Może znajdę dzisiaj odpowiedni moment, żeby mu to powiedzieć. Andrew też chciałam wyznać, co do niego czuję, tylko że... no cóż, stehórzyłam. Szkoda. Źle się stało. Ale dzisiaj nie popełnię już takiego błędu. Powzięłam też drugie postanowienie: zamiast martwić się o to, co będzie później, jak to miała w zwyczaju Harriet, zacznę cieszyć się tym, co jest, żyć chwilą. Mefisto obiecał mi przecież, że niedługo poznam smak luksusu. O, byłam więcej niż chętna zakosztować owych słodkości! Po tylu chudych latach należy mi się chyba trochę szczęścia!

George, który wciąż jeszcze nie wydobrzył z kaca, o czym świadczyły mocno przekrwione oczy, czekał już na nas przed bramą obok strasznie długiej limuzyny. Oczywiście jasnoblękitnej. Można by w niej wydać nawet kolację dla kilku osób i nikt by nie narzekał, że mu ciasno.

– Ile właściwie masz tych samochodów? – spytałam Harleya. – Za każdym razem jeździmy innym.

– Hm... z rollsem chyba pięć – powiedział, drapiąc się w głowę. – A może sześć? Chwileczkę... Powiedz mi, George, czyśmy pozbyli się porsche'a? Jakos dawno go nie widziałem.

– Ja też nie, sir. Odkąd go pan pozostawił na North Rodeo Drive z kluczykami w środku. Proszę sobie łaskawie przypomnieć.

Skreśliśmy w czyjś podjazd i po krótkich negocjacjach z tłumem ochroniarzy zajęliśmy miejsce na końcu długiej kolejki wozów przed ogromną białą rezydencją. Sądząc z pokonanego dystansu, musiała ona sąsiadować z posesją Harleya, minęło jednak ponad pół godziny, zanim nasza limuzyna dowiozła nas w końcu przed wejście, gdzie leżał wielki szkarłatny dywan.

Dom tak diametralnie różnił się od znanej mi już rezydencji, jakby jego architekt w proteście przeciwko szaleńczej eksplozji stylów u sąsiada postanowił zademonstrować swój szlachetnie ascetyczny umiar. Wszędzie królowała biel, a poszczególne wnętrza zdawały się nie mieć wyraźnych granic. Jedno tak

niepostrzeżenie przechodziło w drugie, że trudno było ustalić, czy to jeszcze ten pokój czy już następny.

W wielkim pomieszczeniu pełniącym funkcję głównego salonu w całą jedną ścianę wbudowano szklane panele, sięgające od sufitu do podłogi. Wszystkie były teraz otwarte. Wychodziło się tędy na drewniany pomost z wysoką barierą, otaczający wielki basen kąpielowy; płonęły na nim pływające świece w kształcie wodnych lilii, zapalając w wodzie dziesiątki kolorowych iskier. Przy ustawionym w rogu białym koncertowym fortepianie siedział drobny człowieczek, łudzaco podobny do Dudleya Moore'a, leniwie dotykając palcami klawiszy. Widocznie miał „robić nastrój”, tak jak to widywałam w hollywoodzkich filmach.

Muzyce towarzyszył dobiegający z pomostu dyskretny gwar rozmów; stali tam grupkami eleganccy goście, rzucając na wodę długie drżące cienie. Poczulałam się nagle straszliwie onieśmielona. Wszyscy ci ludzie sprawiali wrażenie tak ważnych i pewnych siebie, a ja? Kimże ja jestem? Bałam się tego, co może o mnie pomyśleć całe to wytworne towarzystwo.

– Harley! Witaj, mój drogi! – Zobaczyłam, że od jednej z grupek odrywa się wysoka dama o kanciastych rysach, pewnie pani domu, i galopem pędzi w naszą stronę.

– O, jakże miło cię widzieć!

Nogi wrosły mi w ziemię, gdy uświadomiłam sobie, że to przecież słynna Crystal Kelly, moja ulubiona aktorka! W latach sześćdziesiątych, kiedy była u szczytu sławy, wprost ją uwielbiałam.

– Powinieneś był mnie uprzedzić – szepnęłam do Harleya, który widząc moje zdumienie, z satysfakcją wyszczerzył zęby.

– Przepraszam – odmruknął – nie przypuszczałem jednak, że ją rozpoznasz. Myślałem, że jesteś na to za młoda... – Przerwał, gdyż Crystal Kelly z rozmachem pocałowała go w usta i jakby tego było nie dość, obsypała pocałunkami obydwaj jego policzki.

Wyglądała oczywiście znacznie starzej, niż ją zapamiętałam, co nie przeszkadzało jej jednak nosić zwiewnej, przezroczystej sukni, odsłaniającej o wiele więcej przywiedłego biustu, niżby wypadało takiej damie. Zwróciła się teraz do mnie, by ucałować powietrze obok moich uszu.

– Wiem, moja droga, że taka wymiana bakterii zupełnie wyszła dziś z mody, ale my z Harleykinkiem znamy się naprawdę kawał czasu – oznajmiła, kiwając mu palcem przed nosem. – Przyjaźniłam się z jego matką! – Po tych słowach zaczęła się śmiać, długo i bardzo głośno. Nie miałam pojęcia z czego. Czyżbym

przegapiła jakiś dowcip?

– Chyba jeszcze nie znasz mojej partnerki – włączył się Harley. – Pozwól, że ci ją przedstawię. Na imię ma Cindy.

– Och, miło mi, moja droga! – Pani domu położyła mi rękę na ramieniu i spytała konfidencjonalnie: – Gdzież ten Harleykinek cię chował? Któregoś dnia musimy pogadać sobie od serca, no wiesz, tak między nami dziewczynami, ale teraz powiedz mi, kochanie, jak go poznałaś?

– Hm... to długa historia. – Zerknęłam na Harleya, prosząc go wzrokiem o wsparcie. – Można powiedzieć – zaczęłam – żeśmy na siebie wpadli, i to hm... z dużym impetem. – Mój partner zachęcająco pokiwał głową, gdy jednak spojrziałam na Crystal, zajęta już była czym innym, patrzyła bowiem szklanym wzrokiem w coś ponad moim ramieniem.

– Wprost uwielbiam przyjęcia, a ty? – westchnęła marzycielsko, po czym jakby nagle ożyła. – Patrzcie, przecież to Larry! – Grzecznie, acz stanowczo odsunęła mnie na bok i z rozpostartymi ramionami rzuciła się na przybysza. – Larrykinek! Witaj, mój drogi!

– Kochana jest, prawda? – uśmiechnął się Harley. – I taka naturalna. Trudno się domyślić, że kiedyś była aktorką.

Obserwując napływających wciąż gości, zaczynałam rozumieć powody, dla których projektant tego domu narzucił sobie tak daleko idącą powściągliwość kolorystyczną. Najwidoczniej wyszedł z założenia, że biel z niewielkimi akcentami beżu będzie najlepszym tłem dla podejmowanych tu ludzi, znanych hollywoodzkich osobistości. Cała ta rezydencja miała być czymś w rodzaju dekoracji do filmu, na tyle dyskretnej, by nie konkurować z gwiazdami kolejnych wieczorów.

Mężczyźni wyglądali jak zwykle przy takich okazjach: identyczne, świetnie skrojone smokingi upodobały ich do stada wytwornych pingwinów, za to kobiety! Ha, było na co patrzeć! To one puszyły się jak pawie w swych kosztownych kolorowych sukniach. Smugi błyszczącego różu na policzkach nadawały im wygląd wojowników wkraczających na wojenną ścieżkę. Z prawdziwą fascynacją przyglądałam się tym lśniącym zjawom i ich niebotycznym obcasom, od których mięśnie łydek pękały im niemal z wysiłku. Wszystkie były tak chude, że graniczyło to ze skrajnym wycieńczeniem, i dosłownie obwieszane biżuterią. Jedna z tych dam miała na sobie tyle złota, że pobiłaby nawet mumię Tutanchamona.

Wychodząc na to przyjęcie, czułam się wyrefinowaną światową damą, ale

w porównaniu z tymi osobami mogłam się wydawać dziewczyną westalką. Czyżby właśnie o to chodziło Harleyowi? pomyślałam z lekkim niepokojem. Chce mnie traktować jak świętość? Rozmyślenia te przerwał mi czyjś okrzyk.

– O, Harley! Jak się miewasz, stary? A kimże jest ta młoda dama? – Stojący przed nami dżentelmen błysnął mi w oczy uśmiechem odsłaniającym dwa rzędy olśniewająco białych zębów, stanowczo zbyt doskonałych, aby mogły uchodzić za prawdziwe. Pytanie o moją osobę okazało się czysto retoryczne, gdyż natychmiast odwrócił się do mnie plecami i wdał w ożywioną rozmowę z Harleyem. Interesy. Uznał pewnie, że jego czas jest zbyt cenny, by go tracić na pogawędki z kimś tak mało ważnym jak ja.

Żona tego pana stała obok, lustrując mnie z góry na dół niezbyt życzliwym spojrzeniem.

– Domyślam się, że jest pani jedną z modelek Harleya – wycodziła po chwili z wyraźną nutą niesmaku. – Od dawna go pani zna?

– Odpowiedź na oba pytania brzmi „nie”. – Po tych słowach zaryzykowałam uśmiech.

– Doprawdy? – Dama pytająco uniosła brwi. – Cóż więc pani robi?

– Jestem kelnerką – odparłam, patrząc jej prosto w oczy – a pani?

Przez umalowane oblicze mojej rozmówczynie przemknął wyraz nagłej irytacji.

– Ja nie muszę nic robić, moja droga. Wie pani chyba, kim jest mój mąż.

Z wolna pokręciłam głową.

– Obawiam się, że nie. Nie był łaskaw mi się przedstawić.

Posłała mi spojrzenie, od którego usechłby kaktus, straciwszy wpięrw wszystkie kolce.

– No tak – syknęła – przyjechałaś tu pewnie z jakiegoś Hicksville czy innego Greyhoundu, powinnaś się więc dowiedzieć paru rzeczy. Po pierwsze, Aaron, mój mąż, to jeden z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi Hollywoodu, po drugie, przyjmij do wiadomości, że nasza córka Jessica jest zaręczona z Harleyem. – Wygłosiwszy ten komunikat, wskazała mi gestem stojącą nieopodal młodszą replikę własnej osoby. – Na twoim miejscu nie traciłabym czasu na uwodzenie Harleya Brightmana. – Po tych słowach ostentacyjnie pokazała mi plecy, by po chwili zniknąć w tłumie gości.

Gdzie jest Harley? Spostrzegłam, że znów ktoś go dopadł. No tak, kolejna prezentacja. Każdy chce uścisnąć rękę słynnego Harleya Brightmana. Chciałam do niego dołączyć, ale fala spóźnionych gości odcięła mi drogę. Rozejrzawszy się wokół, zobaczyłam same nieznanym twarze.

Stałam w tym tłumie jak głupia – bo co miałam z sobą zrobić? – słuchając fragmentów trzech różnych rozmów. W jednej z grupek plotkowano o operacji plastycznej, której miała jakoby poddać się ostatnio Crystal Kelly, w drugiej trwała dyskusja nad najnowszymi metodami przepłukiwania okrężnicy, w trzeciej wyznawcy New Age’u dzielili się doświadczeniami z „podróży w głąb siebie”, służącej podobno nawiązaniu kontaktu z własnym dziecięcym „ja”.

Poczułam, że muszę się napić, chwyciłam więc szklankę z tacy przechodzącego obok kelnera i łąpczywie pociągnęłam wielki łyk. Co to? Woda mineralna? Czy tu nikt nie pije alkoholu? Na samą tę myśl ogarnęło mnie przygnębienie. Czyżby wszyscy już tak zdziecinnieli od tych podróży w głąb siebie?

– Hej, boska istoto, chodź do nas! – Jakiś osobnik z małą, przyciętą w szpic bródką chwycił mnie za rękę.

– Czytamy sobie właśnie chińskie horoskopy. Kiedy się urodziłaś?

– W czterdziestym siódmym... – O, do diabła! – Chciałam powiedzieć... w siedemdziesiątym siódmym... to znaczy w szóstym! W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym.

– Zdecyduj się, moja droga – rzucił kpiąco któryś z członków grupy. – Można by pomyśleć, że chcesz coś ukryć.

– To znaczy, że nasza ślicznotka jest Smokiem – orzekł brodac. – Zobaczmy teraz, czy pasowałbyś do niej – mrugnął do kolegi, po czym spojrzął w kartę horoskopów.

– Urodziłaś się... zaraz... w roku pięćdziesiątym?... to znaczy, że jesteś Świnią... Ho, ho! Świnia ze Smokiem tworzą doskonałą parę! Czyżby zanosilo się na romans?

– W pięćdziesiątym? Co ty pleciesz? – zachnął się ten drugi, niespokojnie zerkając za siebie, czy aby ktoś nie usłyszał, o co go posądzono.

– Jeśli ten pan jest Świnią, nie mógł się urodzić w roku pięćdziesiątym – stwierdziłam autorytatywnie. Spośród wszystkich znaków chińskiego horoskopu znałam tylko ten jeden, ale za to dobrze, był to bowiem znak Harriet. – To musiał być rok tysiąc dziewięćset czterdziesty siódmy.

Kolega brodatego omal nie zabił mnie wzrokiem.

– Niby skąd to wiesz, do cholery?

– Ona ma rację – stwierdził brodac. – Pomyliły mi się kolumny. Wiesz, Johnny, nigdy bym nie zgadł, że z ciebie już taki wiekowy gość.

Ktoś trzeci podsunął się do mnie z obleśnie lubieżnym uśmiechem.

– Cóż za mądra główka na tym pięknym ciele! Czym się zajmujesz, kochanie?

Uczysz matematyki?

– Pomyłka – odrzekłam lodowatym tonem. – Byłam kiedyś bibliotekarką.

– Ha, ha, a to dobre! – zarechotał lubieżny osobnik, bezczelnie klepiąc mnie po tyłku. – Gdybyś miała ochotę coś mi skatalogować, zapraszam o każdej porze!

Nie dałam mu w gębę tylko dlatego, że w pobliżu wybuchła jakaś awantura; tłum zafalował i odepchnął mnie od przeciwnika. Szukając źródła tego zamieszania, przecisnęłam się bliżej pomostu i zobaczyłam przewalającą się brzegiem basenu zbitą grupę mężczyzn, między którymi miotał się jakiś nieszczęśnik, desperacko próbując im uciec.

– Zabierzcie stąd tego plugawca! – krzyknęła jakaś kobieta.

– Co się stało? Co on zrobił? – zawołał ktoś obok mnie.

– To po prostu ohydne! – warknęła rozgniewana dama. – W głowie się nie mieści, do czego niektórzy są zdolni!

– Słyszałeś? – dobiegł mnie czyjś szept. – Ktoś próbował zapalić papierosa!

W następnej chwili wierzgający dziko winowajca przeleciał płaskim łukiem nad barierą i z głośnym szelestem zniknął w krzakach.

– Dobrze mu tak – orzekła delikatna panienka o błękitnych oczach i buzi porcelanowego aniołka. – Kto to w ogóle był?

– Nikt ważny – rzuciła lekceważąco jej towarzyszką, w której rozpoznałam Jessicę, tę narzeczoną Harleya. – Po prostu czyjś mąż. Nie ma go nawet na liście „B”.

Moja bogata rywalka trzymała w ręku talerzyk z wędzonym łososiem oraz szklankę z jakimś alkoholem – chyba że była to woda mineralna, do której ktoś jej nasiusił. Druga jej ręka wędrowała wahadłowym ruchem pomiędzy talerzem a buzią. Napychała się tym łososiem, jakby od tygodnia nic nie jadła.

– No i co powiesz o Teddym? – zagadnęła przyjaciółkę między jednym a drugim kęsem. – Ja uważam, że w łóżku jest rewelacyjny, zwłaszcza jak na dzieciaka, który jeszcze chodzi do college’u. Mama była wściekła, gdy się dowiedziała, że z nim spiam. Zrobiła mi taką scenę, że musiałam trochę przystopować. Spotykam się z nim teraz tylko dwa razy w tygodniu.

– Ja tam wolę Chestera – zachichotał „aniołek”.

– Wielkich perspektyw to on nie ma, ale przy takiej armacie w spodniach można mu to darować. – Z nagłym rumieńcem na słodkiej buzi porwała ostatni kawałek łososa z talerzyka swojej przyjaciółki. – No a jak ci się układa z Harleym? Zaliczyłaś go wreszcie?

– Cholera – mruknęła Jessica, zezując na pusty talerz.



– Lepiej chodźmy po dokładkę, póki jeszcze jest coś do jedzenia.

Ruszyłam za nimi, trzymając się blisko ich pleców. Chciałam się dowiedzieć, co łączy tę pannę z Harleyem – a po tym, co już usłyszałam, można się było spodziewać niezłych ciekawostek – ale jeszcze bardziej chciałam znaleźć jakiś alkohol. Jeśli jest w ogóle w tym domu.

Był. W bufecie po drugiej stronie basenu serwował go na żądanie zabójczo przystojny kelner. Dostałam białe wino i zaczęłam je saczyć z uczuciem mściwej satysfakcji – na złość tym kopniętym snobom. Nadal trzymałam się pleców Jessiki, która z pełnym talerzem łososia ustawiła się teraz na samym brzegu basenu.

– Harley ostatnio ze mną nie rozmawia – zwierzyła się z westchnieniem przyjaciółce. Pochyliwszy się nad uchem tej laluni, rzuciła dramatycznym szeptem: – Nie uwierzysz, co mi powiedziała mama! On podobno przyprowadził tu dziś jakąś pindzię! Sądząc z tego, co mówiła, to jakaś tandetna panienka z prowincji polująca na facetów z forszą. Kelnerka, wyobrażasz sobie?

– Och, ja bym się tym nie martwiła. Przynajmniej nie wyda na nią tyle co na eleganckie dziwki. Wierz mi – zaśmiał się znów „aniołek” – panowie też mają swoje potrzeby. Takie same jak my, droga Jessie!

Jessica potakująco pokiwała głową.

– Uhm, masz rację, ja też uważam, że to nic groźnego – mruknęła z ustami pełnymi łososia. Przeżuwszy go hałaśliwie, dodała: – To pewnie tylko tania kurewka. Z tych, co to cały urok pryska, kiedy tylko otworzą usta.

Och ty! Upewniwszy się, że nikt nie patrzy, zrobiłam krok do przodu i dźgnęłam ją łokciem w plecy. Zachybotła się na tych swoich absurdalnie wysokich szpilach i runęła do wody jak kamień.

– O mój Boże! – wrzasnęła jej matka. – Jessie! Jessie tonie!

Wszyscy ruszyli hurmem do basenu – aby zająć sobie dobre miejsce; nieczęsto się zdarza takie widowisko. Pomna losu sponiewieranego palacza, wołałam wśliznąć się w tłum. Już z bezpiecznej odległości zobaczyłam, że kilku mężczyzn wnosi na pomost ociekający wodą tobołek, większość widzów jednak nie kwapi się do pomocy, poprzestając na śledzeniu – z najwyższym niesmakiem! – pływających pośród sztucznych lilii nie strawionych kawałków łososia.

Harleya nadal nigdzie nie było widać, toteż gdy tumult ucichł, udałam się do bufetu po drugą lampkę wina. Zastałam tam dwie bardzo eleganckie damy, zajęte ładowaniem na talerze całej góry smakołyków.

– O rany, Eleanor, ten serek śmietankowy i te paszteciki to niebo w gębie! –

zauważyła z nerwowym chichotem niższa z dwóch smakoszek. – Po prostu nie mogę się powstrzymać. Spróbuj.

– Dzięki, kochanie, poprzestanę na kawiorze. Te sucharki wodne też są doskonałe – odrzekła Eleanor, z widoczną determinacją wywijając łyżką. – A co tam! Jak już się machnęło ręką na kalorie, warto wziąć na ząb coś smacznego. A propos: jak tam twoja nowa dieta?

– No cóż... wiesz, jak to jest ze mną, jak bardzo muszę uważać. Jedna kaloria ponad normę i od razu katastrofa. Ale te ciągłe przyjęcia! Gdy człowiek widzi tyle pyszności, zaczyna myśleć, że szkoda byłoby, gdyby się to wszystko miało zmarnować, no i ulega pokusie, nie zważając na konsekwencje.

– Zawsze przecież można im zaradzić, co, Sylvie? Mówię o tych konsekwencjach. – Trąciwszy łokciem towarzyszkę, Eleanor dyskretnie wsunęła do ust dwa palce, demonstrując, co można zrobić. – Hulaj dusza, a o skutkach pomyślimy później.

Sylvie spłonęła rumieńcem.

– Nie... Ja nigdy...

– Wiem, że tego nie robisz – uspokajająco mruknęła Eleanor. – Tylko nie rozumiem, jak to się dzieje, że wyglądasz tak wiotko.

– Naprawdę? – rozpromieniła się Sylvie. – Może to zasługa mojej nowej sukni. Podoba ci się? – Miała na sobie jasnopurpurową toaletę z wywatowanymi ramionami, które nadawały jej wygląd futbolisty.

– Wyglądasz w niej o dziesięć lat młodziej – powiedziała Eleanor. Moim zdaniem bez przekonania.

– Kupiłam tę suknię specjalnie na urodziny Warrena – westchnęła Sylvie – i żeby ją włożyć, musiałam zrzucić pięć kilo. A on, wyobrażasz sobie, on w ogóle nie zauważył, jak jestem ubrana! Czasami już myślę, że nie warto się starać.

– Znam to, kochanie. – Eleanor uszczknęła winne grono z leżącej na stole kiści i wrzuciła je sobie do ust.

– Kiedy Arnie niedawno znowu wdał się w romans, też już chciałam się poddać; na szczęście udało mi się opamiętać. No bo powiedz sama: czy można winić męża za zdrady, jeśli żona zaczyna wyglądać jak flądra? Zacisnęłam zęby i wzięłam się w garść: nowa dieta, fryzjer i do tego pełna kuracja odmładzająca kremami regeneracyjnymi Lapinique. Czuję się teraz o niebo lepiej – zakończyła z satysfakcją, dotykając żyłastej szyi długim różowym szponem.

Musiałam bezwiednie przysunąć się do nich zbyt blisko, bo zniecka capnęła mnie za rękę.

– Jeśli tak bardzo interesuje cię nasza rozmowa – warknęła – to lepiej się przedstaw, zamiast podsłuchiwać. A w ogóle coś ty za jedna? – zapytała z bezczelną ciekawością. – Iz czym to mężem masz romans?

– Z niczym! – zachnęłam się z oburzeniem. – Jestem przyjaciółką Harleya.

– Harleya Brightmana? Coś takiego! – Wydawała się zaskoczona. – Musiał cię dobrze ukrywać.

– To twój naturalny kolor włosów? – zainteresowała się Sylvie. – Bardzo ładny.

Skinęłam głową, starając się nie gapić na jej przyklepane kłaczki – rezultat wieloletnich zabiegów chemicznych. Wyglądały naprawdę żałośnie.

– Masz szczęście – westchnęła ich właścicielka. – Jak pomyślę, ile pieniędzy i czasu kosztują mnie ci fryzjerzy...

– Och, kochanie – włączyła się Eleanor – ale efekt jest tego wart. Niektórym natura daje coś za darmo, ale styl to co innego; za styl trzeba płacić. Przekonasz się o tym i ty, moja droga – pouczyła mnie protekcyjnie. – Na razie może ci wystarczyć „naturalny wygląd”, ale w naszym wieku daleko z tym nie zajdziesz.

Zerknąwszy przez ramię, spostrzegłam Harleya zajętego konwersacją z panią domu. Stali po drugiej stronie salonu. On też mnie zobaczył i pomachał ręką. Chciałam do nich podejść, Eleanor jednak nie zamierzała mnie puścić.

– Skoro już się znamy, kochanie, poplotkujmy sobie troszeczkę. Musisz nam opowiedzieć o ostatnich nowościach Lapinique. Czy to prawda, że Harley zamierza wypuścić nową serię kremów? Byłoby to wprost fatalne, bo jestem dopiero przy końcu pierwszej fazy „Dwuletniej wszechstronnej pielęgnacji skóry” i wcale mi się nie uśmiecha zmieniać kurację w pół drogi.

– Niestety, nie potrafię na to odpowiedzieć. Moja znajomość z Harleyem... Po prostu znam go zbyt krótko.

– Rozumiem – rzuciła z politowaniem. – Więc o tym artykule w „LA Weekly” pewnie też nic nie wiesz?

– Jest doprawdy szokujący! – zawołała z oburzeniem Sylvie. – Płaci się dziewięćdziesiąt pięć dolarów za słoiczek kremu Lapinique, a ta koszmarna dziennikarka ma czelność twierdzić, że to zupełnie to samo co zwyczajny *cold cream!*

– Może więc warto byłoby używać *cold creamu* – zasugerowałam nie bez złośliwości. – Zaoszczędziłaby pani przynajmniej trochę pieniędzy.

– Co?! Co ty sobie myślisz? – wybuchnęła Sylvie. – Ja bym się miała smarować jakimś groszowym paskudztwem? Ja nie muszę oszczędzać! Stać mnie

na najlepsze kosmetyki!

Ciekawe, ile byś zapłaciła za taką kurację odmładzającą, jaką stosuje Mefisto, pomyślałam, przyglądając się jej zmarszczkom, dobrze widocznym mimo grubej warstwy makijażu.

– Zwyczajny krem nie zawiera kwasów AHA – dodała już nieco spokojniej. – A co ze złuszczeniem naskórka, jeśli w kremie nie ma eksfoliantów?

– Spójrz, Sylvie, czy to nie Warren? – przerwała jej Eleanor. – Daj spokój, kochanie, szkoda słów – dodała przyciszonym głosem, zerkając na mnie spod oka. – Ona jeszcze nie musi tego robić. Pewnie nawet nic o tym nie wie.

Jako że właśnie w tej chwili podszedł do nas mały pulchniutki dżentelmen w mocno przyciasnym smokingu, obie panie z okrzykiem „Warren!” wymieniły z nim „powietrzne” pocałunki.

– Witam! – uśmiechnął się do mnie z błyskiem w ptasich oczkach. – Do kogóż to należy ta śliczna twarzyczka?

– To przyjaciółka Harleya. – Sylvie ujęła go mocno pod ramię.

– No, no – mruknął, nie ruszając się z miejsca mimo wszelkich wysiłków żony. – Miło mi cię poznać, moja droga. Jesteś modelką Harleya?

Zirytował mnie jego protekcjonalny uśmieszek.

– Nie – odpaliłam ostro – sławnym neurochirurgiem.

Zamilkł na sekundę, a potem zaczął się śmiać.

– Ha, ha, a to dobre! Oczywiście! Ale dziewczynę przygruchał sobie nasz Harley! Cóż za cięty języczek! Lubię takie!

Czemu do diabła nikt nie traktuje mnie serio!

– Zakpiłam sobie z pana – powiedziałam gniewnie – ale jeśli chcecie znać prawdę, proszę bardzo!

Wszyscy troje, wyraźnie zaintrygowani, wlepili we mnie oczy.

– Jestem pięćdziesięcioletnią bibliotekarką, która niedawno zaprzedała duszę diabłu w zamian za urodę i młodość. To znacznie lepsza kuracja od słoiczka kremu, a z tego co słyszę, nie o wiele droższa.

Sylvie kilkakrotnie otworzyła usta, jakby coś chciała powiedzieć, dwoje pozostałych zbaraniało. Widać było, że nie mają pojęcia, co myśleć.

– Tu jesteś, Cindy! – U mego boku pojawił się nagle Harley. – Nareszcie cię odnalazłem. Poznałaś już państwa?

– O tak! – rubaszenie zaśmiał się Warren. – Poznaliśmy się, a jakże! Fajna dziewczyna z tej małej! Cóż za poczucie humoru!

– Pójdiesz ze mną, Warren – powiedziała twardo Eleanor, obrzuciwszy mnie

wrogim spojrzeniem. – Pomożesz mi znaleźć Arniego.

Sylvie już się odwróciła, by ruszyć za mężem, gdy nagle zmieniła zamiar.

– To, co powiedziałaś... – szepnęła z tęsknym wyrazem twarzy – ...to był żart, prawda? Wiem oczywiście, że nie możesz być tak stara, jak mówiłaś, przyszło mi jednak na myśl, że... że może zastosowałaś jakąś nową kurację odmładzającą?... – Po tych słowach zawisła mi wzrokiem na twarzy z tak rozpaczliwą nadzieją, że budziło to śmiech i litość. – To jakiś nowy preparat, prawda? Mogłabyś podać mi nazwę?...

– „Remedium Fausta” – odrzekłam bez mrugnięcia okiem. Omal nie pękłam ze śmiechu, kiedy skrupulatnie zapisała to sobie w notatniku. – Wystarczy wieczorem porządnie natrzeć tym skórę, a rano człowiek budzi się jak nowy!

Opuszczając rezydencję Crystal Kelly, nie byłam już tak radosna jak przed kilkoma godzinami. Obiecywałam sobie przecież, że powiem Harleyowi, co do niego czuję, tymczasem przez cały wieczór zamieniłam z nim może pięć słów. Zostawił mnie samą wśród tego stada szakali – czy tak postępuje zakochany?

– Jestem z ciebie dumny – poinformował mnie już w samochodzie. – Zachowywałaś się tak wytwornie i z taką godnością! Nikt by się nie domyślił, że jesteś tylko kelnerką.

I cóż w tym złego, że jestem kelnerką? pomyślałam zgryźliwie. Czy to zbrodnia?

– Nasłuchałem się mnóstwa komplementów. Wszyscy byli tobą zachwyceni.

Czy on naprawdę nie widzi hipokryzji tych głupich pyszałków, obsesyjnie zajętych wyłącznie pieniędzmi i własnym wyglądem? I to są wielcy tego świata! Budzili we mnie głęboką odrazę, a jednak wiadomość, że zrobiłam na nich wrażenie, mile polechtała moją próżność. Powinnam wyzbyć się wszelkich kompleksów, powiedziałam sobie, bo nie jestem wcale od nich gorsza. Cała różnica polega na tym, że oni są bogaci, a ja nie. Ha, dobrze byłoby mieć takie pieniądze jak oni... wiedziałabym wtedy, co zrobić z sobą i swoim życiem... Przestałam o tym myśleć, widząc, że mijamy bramę z dwoma lwami.

– Dokąd jedziemy? – spytałam Harleya.

– Chciałem cię wziąć na przejażdżkę – odrzekł miękko. – Byłaś kiedyś na Mulholland Drive?

Ku memu zmieszaniu zatrzymaliśmy się w dokładnie tym samym miejscu, gdzie przed tygodniem Chuck Woodcock usiłował mnie zgwałcić. Kto wie, pomyślałam ze wstydem, czy nie leżą tu jeszcze gdzieś moje majtki?

George, chrząknawszy lekko, zerknął na Harleya, a gdy ten dyskretnie skinął

głową, powiedział cokolwiek zbyt głośno:

– Hm... Przejdę się trochę, sir, jeśli nie ma pan nic przeciw temu.

– Nareszcie sami – westchnął Harley, gdy jego lokaj zniknął nam z oczu. – Mam nadzieję, że lubisz szampana? – Po tych słowach wydobył z lodówki do połowy opróżnioną flaszkę i dwa eleganckie kieliszki. – Nie wypilem dzisiaj kropli alkoholu – powiedział z uśmiechem psotnego chłopca – żeby cały dzienny limit zachować na teraz. Chciałem go wypić z tobą.

Wręczywszy mi kieliszek z pieniącym się trunkiem, uruchomił magnetofon. Przez chwilę słychać było tylko szumy i trzaski i nagle ach! popłynęła dobrze mi znana piosenka, „Ten diabeł zwany miłością”, śpiewana przez Teda de Vincy’ego. Kiedyś była to jedna z ulubionych piosenek Harriet. I do tego ta rozjarzona tysiącami świateł panorama Miasta Aniołów! Cóż za romantyczny moment!

– Spójrz na ten widok! – Harley uściśnął mi rękę. Kiedy obrócił się do mnie, wstrzymałam oddech: czy weźmie mnie teraz w objęcia? – Gdybyś zechciała poślubić mnie, Cindy – powiedział cicho – nie musiałabyś już być kelnerką.

Omal nie zachłysnęłam się szampanem. Co takiego? On chce się ze mną ożenić? Owszem, bardzo chciałam pójść z nim do łóżka, myślałam nawet, że chętnie zostałabym jego kochanką, powiedzmy na rok czy dwa, ale nawet w najśmielszych fantazjach nie brałam pod uwagę małżeństwa! Znaliśmy się przecież zaledwie trzy dni! Jeszcze nawet mnie nie pocałował!

– Jesteś pewien, że tego chcesz? – spytałam ostrożnie. Może go źle zrozumiałam? – Nie sądzisz, że to... hmm... trochę za wcześnie? Może powinniśmy się lepiej poznać? Przekonać się, czy... no wiesz... czy dobrze nam z sobą, czy do siebie pasujemy...

– Coś ci powiem, Cindy. – W jego głosie zabrzmiały uroczyste tony. – Może tak nie wyglądam, ale w głębi duszy jestem naprawdę bardzo staroświecki. Widzisz, ja... ja bardzo długo czekałem na tę jedyną kobietę, wierząc, że gdy się pojawi, od razu będę wiedział, że to ona. I tak się stało. Nie interesują mnie błahe, przelotne miłostki. Wszystko albo nic, taki już jestem. – Zamilkł na chwilę, po czym podjął z tym swoim nieśmiałym uśmiechem: – Widziałem kiedyś taki film... zdaje się, że nosił tytuł „Pretty Woman”. Była to historia bogatego biznesmena, który zakochuje się... hm... w prostytutce. Uważa ją za lepszą i szlachetniejszą od swych rzekomych przyjaciół, ludzi powierzchownych i nieszczerych, ludzi, którzy tylko udają przyjaźń. Żeniąc się w końcu z tą kobietą, czyni z niej osobę godną szacunku. Ja zawsze marzyłem o takim romansie – powiedział z głębokim westchnieniem. – Pragnąłem spotkać kobietę, której mógłbym pomóc, tak jak

zrobił to bohater tego filmu. Kobieta, która potrafi docenić to, co mogę jej ofiarować. Bogate kobiety mają wszystko i wcale tego nie cenią. Uważają, że to, co im dajesz, po prostu im się należy.

Pochylił się i pocałował mnie lekko w policzek.

– Jesteś tak świeża i tak niezepsuta, moja droga Cindy, tak inna od wszystkich tych ludzi, którzy byli dziś na przyjęciu... Czy zechcesz być moją „pretty woman”?

Jakaś częśćka mojego jestestwa poczuła się wprawdzie trochę urażona porównaniem z prostytutką, ale machnęłam na to ręką. O wiele silniejsze było uczucie satysfakcji: Harley ceni mnie wyżej od tych oślizłych pochlebców! Jak tylko zostanę jego żoną, zaczną się i do mnie łąsić. A poza tym była to przecież historia z bajki! Z tak szczęśliwym zakończeniem, o jakim zawsze marzyła Harriet. Czyż nie na to czekała przez całe życie?

Zerknęłam na Harleya: włosy opadły mu na czoło, a jego brązowe oczy patrzyły tak zniewalająco... Widząc, z jakim napięciem oczekuje mojej odpowiedzi, nie mogłam się oprzeć wzruszeniu. Tak, to jest to, na co czekałaś, Harriet. Twoja druga szansa. Łap ją, nie zważając na nic. Nie pozwól, by życie po raz drugi upłynęło ci na czekaniu, i to gdzie! Wśród smażonych jajek i pijanych gości.

„...i tak trudno się oprzeć temu diabłu, co zwie się miłością”, dobiegł mnie fragment piosenki.

Słowa te przypomniały mi innego diabła. Pomyślałam, że Harley ma pieniądze, sławę, pozycję, a takie właśnie pragnienia urągliwie wytknął mi Mefisto. Czy to on mi podsunął Harleya? Może to pułapka? No to co? – powiedziałam sobie. I tak już sprzedałam duszę. Nawet diabeł nie może mi zabrać nic więcej. Czego tu się bać?

Zamknęłam oczy. Niech się dzieje, co chce! Bo czyż można było nie ulec urokowi takiej chwili?

– Tak, Harleyu – odrzekłam głośno i wyraźnie – zostanę twoją żoną.

Kiedy delikatnie pocałował mnie w usta, poczułam, że cała drzę. Więc to dziś! Tej nocy nareszcie się dowiem, jak to jest! Oddałam mu pocałunek, przywierając do niego całym ciałem. Pilno mi było rozpocząć tę wielką podróż w nieznaną. Miało to być przecież moje pierwsze doświadczenie miłosne od czasu tej okropnej szarpaniny w furgonetce Barry’ego Thompsona.

Pewna, że i Harley pragnie tego tak samo jak ja, już chciałam dotknąć go w miejscu, gdzie zarysowała się nagle pokaźna wypukłość, gdy ku memu rozczarowaniu odskoczył jak ukłuty i z udanym przestraszonym spojrzeniem na zegarek.

– Mój Boże, już tak późno? Muszę cię odwiedzić do domu! Twoja przyjaciółka zaczyna się pewnie martwić!

– wykrzyknął, otwierając okno. Owionęło nas chłodne powietrze nocy. – George, jesteś tam?

– Jestem, sir. – Z ciemności wyłonił się George z dziwnie zarumienioną twarzą.

Posłałam Harleyowi błagalne spojrzenie.

– Ale ja...

– Nie martw się, kochanie, zaraz będziesz w domu – powiedział, ściskając mnie czule za rękę.

George tymczasem chyłkiem zakręcił piersiówkę i wsunawszy ją do kieszeni, usadowił się za kierownicą.

– Tak będzie lepiej, mój skarbie – wyszeptał Harley, gdy limuzyna ruszyła. – Nie chce cię wykorzystywać. Mówiłem ci, że jestem bardzo staroświecki. Poczekamy z tym do nocy poślubnej – zdecydował z uśmiechem – tak jak to sobie wymarzyłem.



## ROZDZIAŁ 10

Przyjmując ofertę małżeńską Harleya, sądziłam, że do ślubu jeszcze dość daleko. Uznałam te oświadczenia za ogólną deklarację uczuć, której ukonkretnieniem zajmiemy się później, gdy już się lepiej poznamy. On jednak widział to inaczej. Nazajutrz – już o szóstej rano! – obudził mnie jego telefon.

– Och, Cindy, jestem taki podekscytowany! Pobierzmy się zaraz! Nie chcę dłużej czekać!

– Naprawdę? – bąknęłam niepewnie. – Może powinniśmy się wprawdzie zaręczyć... albo... no, czy ja wiem?...

– Przecież się kochamy! Na co tu czekać? – powiedział z lekkim wyrzutem. – Chyba nie zmieniałaś zdania?

Pewnie że nie! Wprost przeciwnie! Pragnęłam jak najszybciej zacząć nowe życie, uwolnić się od Trish i Marty'ego, od całej swojej przeszłości, od Mefista i jego przewrotnych obietnic. Któż by uwierzył, że małżonka Harleya Brightmana mogła zawrzeć pakt z diabłem? Na samo wspomnienie czarownych wydarzeń minionej nocy znów pozwoliłam się ponieść przemożnemu uczuciu satysfakcji. Żegnaj, panie Darcy, zaśmiałam się w duchu, żaden powieściowy kochanek nie będzie mi już potrzebny. Byłeś tylko namiastką, kiepskim substytutem prawdziwej miłości.

– Jesteś tam, Cindy? – zaniepokoił się Harley.

– Wszystko w porządku?

– Ależ tak, oczywiście! – zapewniłam go szybko.

– Możemy się pobrać, kiedy tylko zechcesz.

– Doskonale! Przyjadę po ciebie o zwykłej porze. Mamy mnóstwo spraw do załatwienia. Pomyśl, kogo byś chciała zaprosić na wesele, i przedstaw mi listę. Muszę dać ją swoim ludziom do sprawdzenia.

– Co mam powiedzieć Marty'emu? – Z sypialni wyłoniła się Trish. Tak dobrze udawała Greka, jakby od paru minut nie stała z uchem przy dziurce od klucza.

– Powiedz, że wychodzę za mąż – mruknęłam sennie, kierując się w stronę łóżka.

– Co?! – Oczyomal nie wyszły jej z orbit. – Za mąż? Chyba nie... Chyba nie za Harleya Brightmana? – Na chwilę zamilkła, gapiąc się na mnie z otwartymi ustami. – O Jezu, Cin! Więc to prawda! Będziesz bogata! Nie musisz już pracować u Marty'ego! Nie będziesz musiała... – Opadła nagle na krzesło i zaczęła

rozpaczliwie szlochać.

– Co ci jest? Czemu płaczesz?

– To nie fair – chlipnęła. – Czemu to nie mnie przydarzył się ten wypadek? Co ty masz takiego, czego ja nie mam? Nie jesteś ode mnie lepsza ani taka znów wyjątkowa! I co? Teraz ja muszę iść do pracy, a ty cały boży dzionek możesz sobie leżeć do góry brzuchem!

Ogarnęło mnie lekkie poczucie winy, bo co tu ukrywać, uważałam, że jestem wyjątkowa, a już na pewno bardziej wyjątkowa od niej. Ale czy nie miałam prawa tak myśleć?

– Wiem, co teraz będzie – uzupełniła ponuro. – Zaczyniesz zadzierać nosa i patrzeć na wszystkich z góry. Już to widzę! Wielki świat, sławni ludzie, eleganckie koktajle, a dawni przyjaciele pójdą w odstawkę. Niedługo przestaniesz mnie znać.

– Nic podobnego – zaprzeczyłam bez przekonania. Miała rację. Cóż, nawet jej trochę współczułam. W swym poprzednim życiu mogłam tylko przyglądać się cudzemu szczęściu i dobrze wiedziałam, co się wtedy czuje.

– Zaraz, chwileczkę! – Trish raptem zrobiła się czujna. – A co z czynszem? – spytała podejrzliwie. – Nie możesz się wyprowadzić ot tak, z dnia na dzień, to wbrew umowie. Powinnaś mnie o tym uprzedzić. W przeciwnym razie będziesz musiała wypłacić mi odszkodowanie.

– Nie bój się, Trish, zapłacę. Zwrócę ci wszystkie długi.

– A kłopoty? – mruknęła. – Kto mi je wynagrodzi? Owszem, to bardzo dobrze, że zamierzasz oddać mi długi, ale na tym sprawa się nie kończy. Nie będzie mi łatwo znaleźć nowego sublokatora.

Pewnie że nie, pomyślałam. Chyba że trafi ci się bogaty karzełek, najlepiej z agorafobią. Normalni ludzie nie mieszkają w klitkach wielkości schowka na buty.

– Jest jeszcze jedna sprawa. Przed wypadkiem także mi byłaś coś winna – chytrze dodała Trish. – Tylko że nie chciałam się upominać... straciłaś pamięć i w ogóle... więc machnęłam na to ręką. Ale teraz mamy inną sytuację. Skoro wychodzisz za milionera...

– Ile? – spytałam krótko.

– Pięćset...?

– Zgoda. – Ha, żeby mieć ją z głowy, zapłaciłabym nawet trzy razy tyle.

– Naprawdę? – Oczy jej zabłyśły. – Słuchaj, Cin – zaczęła po chwili namysłu – twój Harley ma chyba jakichś fajnych przyjaciół? Można by zorganizować

podwójną randkę. Co o tym myślisz?

No tak. Uśmiechnęłam się niewyraźnie, wyobrażając sobie Trish w towarzystwie przyjaciół Harleya, takich jak Warren czy Arnie. Ta by im dała łupnia. Byłoby na co popatrzeć.

– Wybraliście już sobie kolor? – spytała z nagłym ożywieniem.

– Kolor...?

– No tak, na wesele. Muszę to wiedzieć – uśmiechnęła się marzycielsko. – Zawsze pragnęłam być druhną.

– Druhną?

– Przecież mi to obiecałaś – powiedziała z wyrzutem.

– Ze zostanę twoją druhną, kiedy będziesz wychodziła za mąż. Tylko nie mów, że nie pamiętasz!

Przyjęłam tę wiadomość z uczuciem, które trudno byłoby nazwać entuzjazmem. Co jeszcze mogła obiecać jej Cindy?

– Muszę wiedzieć – paplała Trish nie zrażona moim milczeniem – jakiego koloru będę miała suknię. Od tego zależy makijaż, bielizna i cała reszta. Muszę nad tym pomyśleć, prawda? Aha, powiedz mi jeszcze, jak będziesz uczesana? Zamierzasz upiąć włosy czy rozpuścić?

– Nie rozmawialiśmy jeszcze o takich szczegółach, ale hm... wcale bym się nie dziwiła, gdyby kolorem przewodnim był jasny błękit. No wiesz, kolor pewnej znanej firmy kosmetycznej – dodałam z uśmiechem.

– Taki jak dla chłopca, co? – zachichotała Trish, trącąc mnie łokciem pod żebro. – Przyznaj się, Cin, może pozwoliłaś coś sobie zmajstrować, no wiesz, gdzieś na boku, i dlatego tak ci teraz pilno do ołtarza?

– Na pewno nie! – Uświadomiłam sobie z nagłą paniką, że w swoich fantazjach seksualnych nie tylko nie uwzględniłam problemu antykoncepcji, ale nawet nie przyszło mi to na myśl. Chwała Bogu i Trish, że mi o tym w porę przypomnieli! Za wcześnie na dzieci. Żeby wziąć odpowiedzialność za czyjeś życie, trzeba wpierw uporządkować własne, a ja mam tu jeszcze sporo do zrobienia.

– Cholera! – jęknęła Trish, rzuciwszy okiem na zegarek. – Zobacz, która godzina! Marty mnie zabije, jak się znowu spóźnię! Wszystko przez ciebie! I co ja mam teraz zrobić?

– Zadzwoń i powiedz, że jesteś chora.

– Nie mogę! Chorobę zaplanowałam na jutro, żeby iść z Sharleen na zakupy, no i już się z nią umówiłam... – Przez chwilę patrzyła na mnie z beznadziejną desperacją. – A gdyby mu powiedzieć, że umarła moja matka? Jak myślisz? Już

raz to mówiłam, ale może zapomniał?

– Daj spokój, Trish, nie wypada.

– Wiem – mruknęła posepnie. – Nie mam pojęcia, co zrobię, jak naprawdę kopnie w kalendarz... Pogrzeby... hm... Uśmierciłam już rodziców i wszystkich dziadków. Chowam teraz ciotki i dalszych kuzynów, ale ilu ich można mieć? Marty się w końcu połapie.

– To może powiedz mu prawdę? Zwał wszystko na mnie.

– Ha, to jest myśl! – Nagle poweselała.

– Co?

– Twój pogrzeb. Będzie jak znalazł! Marty da mi chyba wolne, gdy mu powiem, że umarłaś, prawda? Nie bój się, jeszcze nie teraz!

Nie zdawałam sobie sprawy, że moje króciutkie „tak” uruchomi gigantyczną maszynę, która zacznie się kręcić z wariacką szybkością i której nic już nie zdoła powstrzymać, dopóki uroczystym słowem „ślubuję” nie potwierdzę swojej obietnicy.

Już po przyjęciu u Crystal Kelly w prasie rozgorzały spekulacje – co dalej? Wydawało się, że cała Kalifornia wstrzymuje oddech w oczekiwaniu na następny ruch pana Brightmana. Zanim jeszcze ogłosiliśmy zaręczyny – co stało się dwa dni później – wszyscy już wiedzieli o Cindy Brown, dziewczynie znikąd, której w niepojęty sposób udało się zawładnąć sercem najbardziej pożądanego kawalera. „Bajeczny romans spadkobiercy Lapinique”, „Harley Brightman się żeni!”, „Piękny księżę znajduje swojego Kopciuszkę”, krzyczały wielkie nagłówki.

Rozmaici „krewni” zaczęli nagle zwracać się do mnie z prośbą o pieniądze. Babs, nie wdając się w żadne prośby, przysłała mi rachunek za ostatni lot do Kalifornii. Dostałam listy od trzech różnych mężczyzn, z których każdy utrzymywał, że jest moim zaginionym ojcem („zaginionym” od ponad dwudziestu lat, albowiem według relacji Babs opuścił Sioux Falls, gdy Cindy była oseskiem). W naszej klatce schodowej okopał się spory oddział dziennikarzy i fotoreporterów, czego efektem ubocznym stało się lokalne ożywienie gospodarcze, co bardziej przedsiębiorczy mieszkańcy bloku znaleźli w nich bowiem chętnych nabywców alkoholu, prochów, żywności, jak również używanych części samochodowych. Harley, widząc to, zdecydował – ku wielkiemu strapieniu Trish – że powinnam opuścić tę małą wytworną dzielnicę.

Myślałam, że od razu wprowadzę się do jego domu, okazało się jednak, że wynajął mi apartament w hotelu Beverly Hills.

– Po co ma nas kusić przed ślubem – rzucił z figlarnym uśmiechem. – Tak

długo na to czekamy! Fatalnie by było, gdybyśmy w ostatniej chwili popsuli sobie przyjemność.

Dla ciebie to długo? zaśmiałam się w duchu. O mnie nie musisz się martwić. Po trzydziestu latach czekania na kogoś, kto by wreszcie chciał zatrzeć wspomnienie fuszerki Barry'ego Thompsona, miałabym szaleć z powodu paru tygodni? Na pewno od tego nie umrę, stwierdziłam w duchu, rozglądając się po swoim luksusowym pokoju z dobrze zaopatrzonym barkiem. W tych warunkach mogę sobie spokojnie pocierpieć.

Po ustaleniu daty ślubu wpadłam od razu w tak szaleńczy wir przygotowań i obowiązkowych rytuałów towarzyskich, że na nic innego nie miałam już czasu. Harley obsypał mnie prezentami; jednym z nich była kasetka Lapinique pełna szeleszczących pięćdziesiątek.

– To tylko małe co nieco na pokrycie bieżących wydatków, dopóki nie otrzymasz karty kredytowej – powiedział, opuszczając oczy.

Przyjęłam ten prezent z wdzięcznością – mogłam wreszcie zwrócić długi Trish i nie oglądać już nigdy Marty'ego ani jego knajpy. Nie miałam odwagi się tam pokazać, zwłaszcza gdy usłyszałam, że były pracodawca próbuje spieniężyć moją popularność, sprzedając koszulki i nalepki z napisem „Cindy Brightman” na specjalnym stoisku przed wejściem.

Rodzice Harleya już nie żyli, istniała wszakże cała armia ciotek i kuzynów, których trzeba było odwiedzić, aby mogli mnie sobie obejrzeć. W obecności Harleya traktowali mnie z przesadną rewerencją, lecz zaledwie wyszedł z pokoju, maski spadały im z twarzy. Pozorna uprzejmość rozplywała się w mgnieniu oka, ustępując miejsca źle ukrywanej wrogości.

Jego przyjaciele wydawali się bardziej życzliwi, przekonałam się jednak już po paru dniach, że jestem dla nich swoistym „dodatkiem” do Harleya, liczącym się tylko o tyle, o ile moje wstawiennictwo mogło im wyjednać takie czy inne względy mego przysłego męża. Cóż z tego, że okazywali mi życzliwość, skoro każda konwersacja zmierzała nieuchronnie w tym samym kierunku – ku pieniądзом. Raz chodziło o zainwestowanie kapitału w jakieś ryzykowne, acz „niezwykle intratne” przedsięwzięcie, kiedy indziej o wsparcie wyjątkowo szlachetnej akcji dobroczynnej. Każdy z owych petentów napomykał przy tym „dyskretnie”, ile zyskam w oczach Harleya, podsuwając mu tak świetny pomysł!

Najwięcej względów okazywała mi Eleanor – elegancka dama, poznana u Crystal Kelly. Wyglądało na to, że za wszelką cenę chce pozyskać sobie moją przyjaźń. Na jej usilne nalegania zgodziłam się w końcu pójść z nią na zakupy,

a potem na lunch. To wspólne przedpołudnie na Rodeo Drive stało się nielekką próbą zarówno dla mojej miłości własnej, jak i dla kieszeni. Wszystkie moje poglądy w sprawach mody i gustów zostały kompletnie zdeprecjonowane, a kwota, którą zmuszona byłam wydać, przekraczała granice przyzwoitości, nie mówiąc już o rozsądku. Zaczęło się od tego, że chciałam przymierzyć naprawdę efektowną suknię.

– Chcesz to kupić? Odpada! Nawet o tym nie myśl!

– wykrzyknęła Eleanor, wyrывая mi z ręki suknię. – Jest o wiele za tania. Spójrz na cenę.

– Ale mnie się podoba – bąknęłam.

– To żaden powód, moja droga. Pomyśl o swojej pozycji. Nie jesteś już teraz kelnerką. Ludzi z naszej sfery obowiązuje określony standard. Tu wszyscy będą cię pytać, kto jest projektantem twoich ubrań i ile za nie zapłaciłaś.

Wywlokła mnie ze sklepu i zaczęła uświadamiać, że są dwie kategorie projektantów; rzeczy jednych należy nosić, drugich nie. W żadnych okolicznościach. Następnie jednym tchem wyrecytowała kolejno dwie jednakowo długie listy nazwisk. Z jakichś trudno uchwytnych przyczyn obie te listy podlegały ciągłym fluktuacjom, należało więc bacznie je śledzić, by nie popełniać pomyłek, w dodatku bardzo kosztownych.

– Czy mówisz mi to wszystko na prośbę Harleya?

– zapytałam. – Powiedz, prosił cię o to? – Weszliśmy właśnie do restauracji, gdzie rozpoczął się zaraz obowiązkowy rytuał wyboru odpowiedniego stolika, zmuszona więc byłam przerwać indagację. – Czyżby się obawiał – podjęłam po chwili – że go skompromituję? Pokażę się ludziom w niewłaściwej kiece albo zacznę jeść rybę nożem?

– Spójrzmy prawdzie w oczy, droga Cindy – odrzekła moja towarzyszka, sadowiać się przy stoliku. – Musisz przyznać, że w pewnych sprawach brakuje ci... cóż... finezji. Oto drobny przykład – stwierdziła, zerknawszy na moje stopy. – Do wąskich spodni nie nosi się takich butów.

– Dlaczego? Uważam, że to całkiem dobre zestawienie.

– Tak się po prostu nie robi, moja droga. I nie szukaj tu logicznych uzasadnień. W Tinseltown ich nie znajdziesz. Tu wszystko jest grą. Musisz nauczyć się reguł tej gry, inaczej przestaniesz istnieć. Więc jak, mam mówić dalej?

Skinęłam głową, bo cóż miałam zrobić? Pod wieloma względami byłam wprawdzie mądrzejsza od Cindy – już choćby tylko z racji wieku – prawdą było jednak, że moja wiedza o modzie i konwenansach pozostawia wiele do życzenia.

– Kiedy już się nauczysz odpowiednio dobierać garderobę, zobaczysz, że bardzo podobnymi zasadami można kierować się też wobec ludzi – ciągnęła Eleanor. – Wystarczy zapamiętać, kto figuruje na której liście.

Jako że akurat zjawił się kelner, zamówiła dla nas obu sałatkę z grzybów i do tego wodę mineralną. Siedzące obok towarzystwo piło białe wino, lecz sądząc ze spojrzenia, jakim moja mentorka obrzuciła sąsiedni stolik, wino znajdowało się widocznie na najbardziej zakazanej liście, ci ludzie również.

– Jestem pewna – kontynuowała – że jako żona Harleya będziesz często wydawać przyjęcia, musisz więc wiedzieć bezbłędnie, kogo można zaprosić, a kogo nie, i jakie stosować metody, aby pozbyć się pieczeniarzy i innej miernoty. Najlepiej zrobisz, konsultując się wtedy ze mną, gdyż Harley... no cóż, nie ma w tych sprawach wyczucia. Nie rozumie, że obowiązują go pewne normy, że mówiąc po prostu, są ludzie, których nie powinien wprowadzać do towarzystwa.

– Chodzi ci o mnie? Uważasz, że nie powinien się ze mną żenić? – spytałam bez ogródek, patrząc jej w oczy.

– No cóż, moja droga, sama wiesz przecież, że narobiłaś tu trochę złej krwi – odrzekła bez śladu zakłopotania.

– Zwłaszcza pewne panie nie mają powodu cię kochać. Zjawiasz się znikąd i cap! sprzątasz im przed nosa najsmaczniejszy kąsek. Nigdy by do tego nie doszło, gdyby ludzie tacy jak Harley chcieli ściślej przestrzegać pewnych reguł. No ale skoro już tak się stało, spróbujmy obrócić to w sukces – dodała z lisim uśmieszkiem. – Wiele zależy od ciebie, posłuchaj więc mojej rady. Staraj się przede wszystkim nie narażać na szwank swej pozycji. W tej chwili wydaje ci się, że nic jej nie grozi, a ty sama jesteś niezniszczalna, pamiętaj jednak, że nawet taka uroda jak twoja nie będzie trwać wiecznie, a wtedy... Wtedy się okaże, kto spośród tych wszystkich, którzy dziś ci kadzą, był naprawdę twoim przyjacielem. Możesz mi wierzyć, że będzie ich mniej, niż myślisz.

– A ty? Jesteś moją przyjaciółką?

– Oczywiście, moja droga. – Eleanor poklepała mnie lekko po ręku. – Gdyby było inaczej, nie mówiłabym ci tego wszystkiego.

Dla mnie faktycznie starała się być łaskawa, gdy jednak kelner ostrożnie postawił przed nami talerze, śledziła jego ruchy całkiem jak prokurator poszukujący dowodów przestępstwa.

– Jak to wygląda! – mruknęła, wskazując kropelkę majonezu rozprysniętą na liściu sałaty. – A ten grzybek jest niedopieczony. No, ale ujdzie, nie będziemy robić z tego sprawy. – Odprawiwszy przestraszonego kelnera, nabiła grzybek na

widelec i lustrując go krytycznym okiem, zwróciła się znowu do mnie. – Ustaliłaś już swoją docelową wagę? Powiedziano ci chyba, że tutejsza tradycja nakazuje pannie młodej stracić przynajmniej trzy kilo?

– Ale po co? – Zupełnie mi się to nie uśmiechało. – I tak już jestem chuda jak szczapa.

– Możesz to nazwać pewną formą zobowiązania. Chudnąc przed ślubem, demonstrujesz wolę utrzymania szczupłej sylwetki. Jeśli tego nie zrobisz, wszyscy gotowi pomyśleć, że gdy tylko nałożysz obrączkę, od razu zaczniesz się opychać i po paru miesiącach obrośniesz tłuszczem jak wieloryb.

Wygłosiwszy to zadziwiające wyjaśnienie, tak szybko wrzuciła grzybek do ust, żenię sposób było zauważyć, kiedy właściwie zniknął z widelca, a cóż dopiero pomyśleć, że ma to jakikolwiek związek z czymś tak prymitywnym i nieeleganckim jak jedzenie.

– Sądzę, Cindy – podjęła po krótkiej przerwie – że nie zdajesz sobie sprawy, z czym będziesz zmuszona się zmierzyć. Po pierwsze, małżeństwo z takim człowiekiem jak Harley, mam na myśli jego pozycję, to robota na pełny etat. No ale to już chyba wiesz – dodała, zerknąwszy na mnie z wyraźnym powątpiewaniem, przy czym następny grzybek ulotnił się z jej talerza jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. – Pamiętaj, że ludzie będą cię obserwować, zwłaszcza fotoreporterzy. O, ci potrafią godzinami czekać na okazję! Każdy z nich liczy, że trafi mu się wyjątkowa gratka: przyłapie cię z pełną buzią albo z ręką na tyłku, bo a nuż cię akurat zaswędzi? Dlatego bez przerwy powinnaś uważać. Nie ma mowy o żadnym luzie. O chodzeniu w jakichś starych dżinsach.

Teraz już ogarnął mnie popłoch, starałam się go jednak stłumić: tak źle chyba nie jest, Eleanor przesadza. Bogaci i sławni potrafią przecież zapewnić sobie trochę prywatności. Czyż nie po to są te wszystkie bramy, te elektroniczne zamki i ci uzbrojeni ochroniarze?

Eleanor tymczasem zajęła się liściem sałaty i z godną podziwu maestrią wykonała z niego śliczne origami w kształcie zgrabniutkiej kopertki.

– Jest jeszcze jedna bardzo ważna sprawa: odpowiedni wybór zaproszeń. U pewnych ludzi po prostu nie wolno ci bywać. Przyjmij zaproszenie od kogoś takiego jak choćby to tłuste bezguście tam, przy sąsiednim stoliku, i pożegnasz się z listą „A”. Wylecisz z niej w mgnieniu oka. – Zakleiwszy „kopertkę” odrobiną majonezu, elegancko wsunęła ją do ust. – Jeśli natomiast ktoś ważny nie przyśle ci zaproszenia, nie przyznawaj się do tego nawet pod karą śmierci. Mów, że nie było cię w mieście, że musiałaś pojechać do szpitala z podejrzeniem raka skóry



lub że seryjny morderca porwał ci dziecko. Wszystko będzie lepsze niż prawda!

– Czy dotyczy to również przyjęcia, które w przyszłą sobotę wydaje ten Aaron jakiś-tam? – spytałam niewinnym tonem.

– Kto? – Oczy zwęziły jej się jak kotu. – Niestety o przyszłym weekendzie nic ci nie umiem powiedzieć. Tak się składa, że spędzam go z Arniem w pewnym wytwornym kurorcie. Szkoda, że mnie tu nie będzie.

Stuknąwszy sztućcami o pusty talerz, jakby stawiała kropkę nad „i”, pochyliła się w moją stronę.

– A teraz posłuchaj mnie uważnie, Cindy. Opowiem ci o nowym filmie Arniego. Będzie to ogromne przedsięwzięcie, więc bardzo proszę, przekaż to Harleyowi. Koniecznie! Byłby wściekły, gdyby umknął mu taki interes!

Objąwszy nadzór nad naszym weselem, Eleanor zaczęła działać jak generał przygotowujący wielką kampanię wojenną. Musiałam godzinami wysiadywać u jej boku, podczas gdy ona tworzyła kolejne listy spraw do załatwienia, przeglądała już istniejące bądź nanosiła poprawki. Było tam dosłownie wszystko: od kolejności dań na przyjęciu do szczegółowego planu mojej higieny osobistej – łącznie z depilacją ciała – w tygodniu poprzedzającym dzień zero.

Najwięcej problemów nastroczała lista gości oraz ich rozmieszczenie.

– Co to za ludzie? – spytała z grymasem dezaprobaty, stukając palcem w dolny fragment listy. – Nie znam żadnej z tych osób.

– To moi przyjaciele! – Postarałam się włożyć w tę odpowiedź odpowiednią porcję urazy, co było dość trudne, jako że większości tych osób nie zdarzyło mi się nigdy widzieć. Znała je natomiast Trish, która orzekła bezapelacyjnie, że z całą tą grupą przyjaźnię się przecież od lat i że wobec tego absolutnie nie mogę nikogo pominąć.

– Najlepiej będzie chyba posadzić ich w kącie przy drzwiach – zdecydowała w końcu Eleanor. Kilkoma pociągnięciami pióra posłała podejrzanych na banicję, po czym krótko zamknęła sprawę: – Nieznajomi to zawsze ogromne ryzyko. Im mniej ich będzie widać, tym lepiej.

No cóż, w tym wypadku miała całkowitą rację.

Trish, która jako druhna również uznała za swój obowiązek „pomagać” mi w przygotowaniach, odwiedzała mnie teraz regularnie, przynosząc za każdym razem coraz to nowe sterty tygodników z radami dla panien młodych. Musiałam dokonywać cudów zręczności, by zapobiec jej spotkaniu z Eleanor. Strach pomyśleć, co by to było!

Zdaniem Trish o tym, czy dzień ślubu pozostanie na zawsze w pamięci jako

najszczęśliwszy dzień życia, decydowało mnóstwo niezbędnych akcesoriów, postanowiła zatem uświadomić mi to punkt po punkcie.

– Spójrz na to, Cin – westchnęła z głębokim przejęciem, wskazując jakąś ilustrację. – Posłuchaj, co tutaj piszą: „Zaznacz swoją indywidualność za pomocą serwetek wykonanych na specjalne zamówienie. Wybierz dla nich kolor mocno kontrastujący z twoim kolorem przewodnim. Na każdej serwetce powinny się znaleźć inicjały państwa młodych artystycznie haftowane srebrną nitką.”

Znałam lepsze sposoby wyrażania indywidualności niż poprzez kolor serwetek, pozwalałam Trish jednak paplać ile zechce, licząc, że dzięki temu nie będzie próbowała mieszać się w nic ważniejszego.

– W chwili składania przysięgi można by wypuścić motyle albo białe gołębie... O, albo popatrz! Kapsuła pamięci! Radzą, żeby ją zakopać! To jest coś! – wykrzyknęła z zachwytem, przewróciwszy stronę. – Posłuchaj: „Możesz i ty odegrać rolę w Historii. Utrwal dla przyszłych pokoleń najszczęśliwszy dzień swego życia i inne godne uwagi momenty. Niech ci, co przyjdą po nas, czerpią z nich naukę.”

Po paru dniach karmienia mnie takimi pomysłami zaczynałam już wątpić, czy istnieje na świecie coś na tyle głupiego, by nie spodobać się Trish, jednakże nawet jej bezkrytyczny entuzjazm nie wytrzymał konfrontacji z taką oto propozycją: „Wypowiedz słowa przysięgi pomiędzy niebem a ziemią. Specjalne paczki weselne dla amatorów wolnego spadania”.

– No nie, te spadochrony to już przesada – przyznała niechętnie. – Mogłabyś dostać zawrotu głowy. Chociaż... wyobrażasz sobie, jak fajnie by to wyglądało na wideo? Suknię byś miała nad głową i w ogóle... Ha, ale bukiet! Żle by się stało, gdybyś zgubiła bukiet!

Najbliższego krewnego Harleya poznałam na samym końcu. Jakies dwa tygodnie przed ślubem zabrał mnie do centrali Lapinique, aby przedstawić mi swego młodszego brata Davida.

Jose zostawił nas przed wejściem do błękitnego wieżowca w kształcie gigantycznej oprawki do szminki. Cały jego fronton zajmowało firmowe logo.

– Jedziemy na ostatnie piętro – poinformował mnie Harley, wsiadając do wytwornej szybkobieżnej windy. – Muszę ci powiedzieć, że David wpadł na kapitalny pomysł. Pamiętasz te zdjęcia, które ci zrobiłem na początku naszej znajomości? Pokazał je kilku ekspertom i wiesz co? Doszliśmy wspólnie do wniosku, że można by cię wykorzystać w naszej nowej kampanii reklamowej.

– Wykorzystać? – Nie bardzo rozumiałam, o co mu chodzi.

– Jako modelkę! Twoja twarz idealnie odzwierciedla ducha naszych czasów! Och, kochanie, jestem z ciebie taki dumny! – wykrzyknął, ściskając mnie jak szalony. – Rozumiesz, co to znaczy? Wszędzie na świecie będą twoje zdjęcia! Staniesz się sławna!

Nie zdążyłam nic powiedzieć, gdyż właśnie w tej chwili drzwi rozsunęły się cicho, ukazując wspaniałą panoramę miasta za wielkim widokowym oknem. Stał przy nim młody mężczyzna, skubiąc w zamyśleniu klapę kosztownego garnituru. Usłyszawszy odgłos otwieranych drzwi, odwrócił się żywo, aby nas powitać.

– Ach, jesteście. To musi być Cindy – powiedział z uśmiechem. – Piękniejsza niż na zdjęciach. – Zobaczyłam przed sobą ciemnowłosą i nieco pulchniejszą wersję Harleya.

– Davidzie – uroczyście przemówił mój przyszły małżonek – pozwól, że ci przedstawię nową twarz Lapinique.

– Nareszcie! Ogromnie się cieszę! Nie mogłem się już doczekać! – Młodszy z Brightmanów uścisnął mi dłoń i przez moment przetrzymał w swojej. Była nieprzyjemnie ciepła i wilgotna. Na jego czole również widniały drobniutkie kropelki potu. – Witaj w rodzinie.

Chyłkiem wytarłam rękę o spódnicę. Brat Harleya wzbudził we mnie lekką odrazę. Wyczuwałam w nim coś złego... a jego sposób bycia przypomniiał mi nagle Mefista.

Obaj bracia natychmiast wdali się w dyskusję nad terminarzem jakichś filmów reklamowych i zdjęć. Nie zwracali na mnie uwagi, więc żeby się czymś zająć, zaczęłam rozglądać się po gabinecie. Hm... urządzone było luksusowo. Na ścianie wisiał projekt wielkiego billboardu, do którego wykorzystano jedno ze zdjęć wykonanych przez Harleya. Środek plakatu wypełniała moja twarz, tło stanowiły kobiety w maskach. „Bądź twarzą w tłumie – głosił podpis – dzięki nowemu Lapinique z rewelacyjną formułą B.”

– Myślę, że na razie ograniczymy się do jednej sesji. Trzeba będzie tylko porządnie się spać – dobiegł mnie głos Davida. Przeciągnął się na fotelu, krzyżując ręce na karku. – Do pierwszego etapu kampanii wystarczy, resztę załatwimy później. Wiem, jak jesteście zajęci! Wesele, miesiąc miodowy i tak dalej, nie chcę więc zabierać wam cennego czasu.

Czy tylko mi się zdawało, czy naprawdę w jego głosie uchwyciłam nutę szyderstwa?

Im dłużej trwała ta dyskusja, tym bardziej zżymałam się w duchu: do licha, nie raczą mnie nawet zapytać, co ja o tym wszystkim sądzę! Czy w ogóle chcę być

modelką! Harley po prostu uznał to za pewnik; najwidoczniej był przekonany, że to przecież szczyt marzeń każdej dziewczyny. I wszystko załatwił sam, jakby miał do czynienia z małym dzieckiem albo tresowanym pieskiem.

Po wyjściu z biura – oni dwaj ramię w ramię, ja o dwa kroki z tyłu – udaliśmy się na lunch. David zamówił butelkę szampana.

– No cóż, bracie – zażartował – wypijmy za koniec twego kawalerstwa. Żegnaj, epoko wolnych Brightmanów!

– Nie, ja dziękuję! – Harley czym prędzej zakrył swój kieliszek. – W tym tygodniu ściśle przestrzegam diety. Żadnych pustych kalorii.

– No i dobrze, więcej zostanie dla nas, co, Cindy? – zaśmiał się mój przyszły szwagier. – Wypiję w takim razie zdrowie nowej siostry.

Spełniliśmy toast ku widocznej dezaprobachie Harleya.

– Teraz gdy cię poznałem, będę jeszcze niecierpliwiej czekał na ciąg dalszy – powiedział David. Pochylił się ku mnie i spytał półgłosem: – Czy Harley już cię powiadomił o naszej cichej umowie?

Pokręciłam głową. O jakiej umowie?

– Chodzi o to, siostrzyczko – wyszeptał z niemłym uśmiechem, dotykając pod stołem mojego kolana – że Harley w pewnych sprawach jest trochę nieśmiały, dlatego zawsze najpierw ja wypróbuję każdą z jego dziewczyn.

Kompletnie zszokowana, odtrąciłam jego rękę. Czy to prawda? Co na to Harley? Wydawał się tak pochłonięty studiowaniem tabeli kalorii, jakby niczego nie słyszał. Na chwilę zapadło niezręczne milczenie, po czym David ryknął gromkim śmiechem.

– Teraz rozumiem, braciszku, co miałeś na myśli, mówiąc o tej dziewczynie, że jest „świeża i niezepsuta”! Gdzieś tyją znalazł? – wykrzyknął, jakby mnie tam w ogóle nie było. Zreflektował się nagle, widząc moją minę. – Przepraszam, siostrzyczko, to był tylko żart. Zechcesz mi wybaczyć?

Jakoś udało mi się stłumić gniew. David przez pozostałą część lunchu zachowywał się w miarę poprawnie, starałam się więc być miłą. W końcu to brat Harleya, powiedziałam sobie. Nie ma sensu ryzykować jakiejś głupiej kłótni, która by mi mogła pokrzyżować szyki, i to w chwili gdy jestem już tak blisko celu.

Jadąc na pierwszą sesję zdjęciową, nie pamiętałam już o tym przykrym incydencie. Harley wysadził mnie przed gmachem firmy, obiecując, że przyjedzie później, po wizycie u psychoterapeuty.

– Bardzo chciałbym zostać, ale nie śmiem odwołać tego spotkania – wyznał z zakłopotaniem. – Nie mogę go nawet przełożyć. Mój terapeuta przez najbliższe

pół roku nie ma wolnej chwili.

Wyobrażałam sobie, że zdjęcia do nowej reklamy odbędą się w taki sam sposób jak wtedy w domu Harleya, tymczasem sytuacja była całkiem inna. Tym razem w sesji brało udział kilkanaście modelek – wszystkie bardzo piękne, wysokie i szalenie eleganckie. Całe to towarzystwo krążyło po studiu w malowniczych grupkach, plotkując, chichocząc, pożyczając sobie szminki, tampony, kremy oraz inne babskie utensylia. Ze mną nie rozmawiały, a ilekroć znalazłam się w pobliżu, natychmiast cichły; przyglądały mi się tylko z niezycziwą ciekawością w oczach. Powodu nietrudno się było domyślić. Twarzą nowego plakatu miała stać się jakaś Cindy Brown, dziewczyna znikąd, podczas gdy one, zawodowe modelki, musiały zadowolić się rolą anonimowego tłumu.

Nie miałam czasu się tym martwić, gdyż natychmiast wzięła mnie w obroty cała gromada ludzi – garderobiane, wizażyści, technicy od świateł i w końcu fotograf. Ten dopiero dał mi w kość! Oślepiąca gorącym światłem reflektorów musiałam przez parę godzin wykonywać isticie karkołomne pozy. Nie pozwolił mi nawet odetchnąć.

– Wyobraź sobie, dziecinko, że się ze mną kochasz – zakomenderował w pewnej chwili. Bezczelnie pogłaskał mnie po udzie, po czym szybko uciekł za aparat. – No dalej! Nie wstydz się!

Czułam się bezbronna w przezroczystej sukni, którą kazano mi włożyć. Wszyscy się na mnie gapili. Wykonałam polecenie czerwona z zażenowania. Na co pozwala sobie ten człowiek! Czy w obecności Harleya też by mnie tak traktował?

Kiedy wreszcie było po wszystkim i z sąsiedniego pokoju wyłonił się David, zmieszałam się jeszcze bardziej: czyżby oglądał te zmysłowe scenki?

– Dobra robota, Cindy – powiedział półgłosem, uśmiechając się czarująco. Wziął mnie za rękę i pociągnął do windy. – Zapraszam cię na drinka do mojego gabinetu. Harley już przyjechał i czeka na ciebie.

Więc dlaczego po mnie nie przyszedł? Ledwie to pomyślałam, David przycisnął guzik – i winda stanęła pomiędzy piętrami.

– No dobra – wycedził zupełnie innym tonem – tu nikt nam nie będzie przeszkadzał. Czas porozmawiać serio.

Ogarnął mnie popłoch.

– O co ci chodzi?

– Możesz skończyć z udawaniem niewiniątka – powiedział z zimną pogardą. Cały sztuczny urok wyparował już z niego bez śladu. – Mój brat mógł się na to nabrać, ale nie ja. Dobrze wiem, jaki z ciebie numer. No, no, nie rób takiej miny!

Wiem doskonale, kim jesteś, więc daruj sobie te gierki!

Ciarki mi przeszły po grzbiecie – czyżby naprawdę wiedział...? Był w tej chwili tak bardzo podobny do Mefista... Ale jak... Jakim cudem mógłby dowiedzieć się prawdy?

– Chytry uknułaś sobie planik! Wyczyścić Harleya z pieniążków, a potem szybki rozwód i żegnaj! Nie ty pierwsza próbujesz tej sztuczki!

Zalała mnie fala oburzenia pomieszana z uczuciem ulgi. Na szczęście nic nie wie o moim układzie z diabłem! W ślad za ulgą pojawiła się jednak wątpliwość: a gdyby Harley był biedny? Czy moje zainteresowanie jego osobą byłoby równie silne?

– To nieprawda – bąknęłam niepewnie, bo ogarnęło mnie poczucie winy. – Harley mnie kocha...

– Zawsze był łasy na pochlebstwa. Mego brata nietrudno wykiwać.

– ...a ja kocham jego. Pragnę mu dać szczęście. – Po tych słowach poczułam się lepiej. Wniosły w tę scenę powiew romantyzmu.

– Tak? Więc zacznij to robić od zaraz – warknął pogardliwie David. – Ja również kocham mego brata i chcę, żeby był szczęśliwy. Szczęśliwszy, niż sobie wymarzył, rozumiesz, ty mała spryciaro? Niech no tylko zauważę, że tak nie jest, od razu będę wiedział, czyja to wina!

Poczułam łzy w oczach: dlaczego on wątpi w moją szczerłość?

– Niech no tylko usłyszę najłżejszą uwagę, że zbyt często dobierasz mu się do portfela albo kombinujesz z innymi, załatwię cię tak, że długo mnie popamiętasz! Będiesz przeklinać godzinę, w której przyszło ci na myśl wyciągnąć swoje chciwe łapki po naszą rodzinną forszę.

– Wcisnął guzik i winda ruszyła. – Nie zadzieraj ze mną, Cindy, dobrze ci radzę – dodał złowrogo, wyraźnie rozkoszując się tą chwilą. – Pamiętaj, że mogę cię zniszczyć.

Zabrzmiało to jak kwestia z kiepskiego thrillera.

– Mogę cię zniszczyć jak...

Nie zdążyłam się dowiedzieć, co mi grozi, bo w tym momencie drzwi się otworzyły i zobaczyłam Harleya. Na nasz widok niecierpliwym ruchem odgarnął z czoła rozwichrzone włosy.

– No, jesteście! Już chciałem ruszyć na poszukiwania!

– Urwał nagle, widząc moją minę. – Co ci się stało, kochanie?

Chwiejnie wysiadłam z windy.

– Proszę cię, zawieź mnie do domu – wyszeptalam.

– Jakoś... jakoś źle się czuję.

– Coś ty jej zrobił? – Harley podejrzliwie popatrzył na brata. – Pokłóciliście się? O co?

Milczeliśmy oboje przez całą drogę do hotelu. Za skrzyżowaniem przy Bulwarze Zachodzącego Słońca zobaczyłam znajomą postać drepczącą skrajem chodnika. Była to ta kobieta podobna do Harriet. Napis „Pracuję za jedzenie” leżał na wózku załadowanym jej nędznym dobytkiem; jakby nie miała już siły trzymać go na widoku.

Bałam się powtórzyć Harleyowi to, co zarzucił mi David; nie byłoby dobrze, gdyby zaczął się zastanawiać, czy aby nie ma w tym prawdy. Nadal dręczyło mnie poczucie winy. Z pamięci wypłynęły mi nagle szydercze słowa Mefista: „Wystarczy, że poznasz słodki smak luksusu, a od razu zapomnisz o swoich szczytnych zasadach. Zapragniesz mieć więcej, zaczniesz walczyć zębami i pazurami o swój kawałek tortu, tak jak robicie to wszyscy.”

Szatański kontrahent zaczął coraz natrętniej narzucać się moim myślom. A jeśli się nagle pojawi, i to w najmniej odpowiedniej chwili? Kiedy oboje z Harleyem poszliśmy do pastora omówić szczegóły ceremonii ślubnej, uprzytomniłam sobie z niepokojem, że ślub kościelny w mojej sytuacji to chyba nie najlepszy pomysł. Próbowałam odegnąć te niemiłe myśli, ale nie było to łatwe. Okoliczności również.

Piastując w rękach chyboczące się filiżanki z ziołową herbatą, siedzieliśmy oboje z Harleyem na obwisłej wyplatanej sofie, skąpo ozdobionej poduszkami, wodząc wzrokiem za wielebnym Robertem Jacksonem („Mów mi Bob”), który zatknąwszy kciuki za szlufki swych niebieskich, świeżo odprasowanych dżinsów, przechadzał się miarowo tam i z powrotem przed biurkiem.

– Zazwyczaj wymagamy od przyszłych małżonków o wiele dłuższych przygotowań – oznajmił namaszczonym tonem – w tym zwłaszcza uczestnictwa w nabożeństwach przez okres co najmniej sześciu tygodni, jednakże w szczególnych okolicznościach wolno nam odstąpić od tego warunku. Biorąc pod uwagę niezwykle hojną darowiznę na rzecz naszego programu działalności humanitarnej, myślę, że z czystym sumieniem mogę wam udzielić dyspensy.

Gdy zakończywszy ów wstęp, przeszedł do nauk przedślubnych, zaczęłam gapić się w plakat wiszący nad jego biurkiem. „Ratujmy Ziemię dla ludzkości – głosił napis. – Weź udział w Parafialnym Weekendzie Pikowanek”. Czyżby chodziło o koldry? Ale nawet podziw dla ogólnoświatowych celów tej imprezy nie mógł mnie odwieść od myśli, że z punktu widzenia Mefista znajduję się na

wrogim terytorium.

W swych młodzieńczych marzeniach o ślubie zawsze widziałam siebie jako białą oblubienicę – w welonie i długiej sukni – nigdy jednak nie zaprzętałam sobie głowy religijnym aspektem tej sprawy. Cały kościelny ceremoniał był dla mnie po prostu elementem powszechnej tradycji. Nigdy też tak naprawdę nie pogodziłam się z myślą, że mnie on ominie. Teraz mój sen o szczęściu miał się wreszcie ziścić, tyle że aby tak się stało, musiałam zawrzeć pakt z diabłem. Czy ślub kościelny w tej sytuacji ma jakiegokolwiek znaczenie?

Pastor mówił jednak tak wzniosie, że zrobiło mi się nieswojo. Aby go nie słuchać, całą uwagę poświęciłam nogom, starając się tak je ułożyć, by nasz duchowy przewodnik nie mógł mi zaglądać pod spódnicę, co jak zauważyłam, czynił przy każdej okazji. Mimo to w dalszym ciągu docierały do mnie pojedyncze słowa i zwroty: „święta więź”, „związek w oczach Boga”, „błogosławieństwo Kościoła”... Wielebny dostosowywał tempo przemówienia do rytmu swych kroków, a kiedy robił pauzę, obrzucał mnie długim spojrzeniem. Gdy zatrzymał się w końcu przede mną, jego uśmiech zdawał się mówić, że znalazł sobie wreszcie odpowiedni punkt obserwacyjny.

– Powiedz mi, Cindy – zapytał – czy dobrze rozumiesz wagę zobowiązań, które zamierzasz podjąć?

Skinęłam głową, bezwiednie zmieniając zarazem pozycję, i to tak niefortunnie, że oblałam się herbatą. Harley zerknął na mnie z wyrazem głębokiej troski – od czasu mej rzekomej niedyspozycji zrobił się aż zbyt opiekuńczy.

– Małżeństwo to coś więcej niż tylko związek dwojga ludzi – kontynuował wielebny Robert ze wzrokiem utkwionym w mój biust. – To Bóg aktem swojej świętej woli ustanowił instytucję małżeństwa. Jest ono symbolem Jego wieczystej wierności wobec tych wszystkich, którzy w Niego wierzą i dają tej wierze świadectwo, kierując się w życiu Jego przykazaniami.

Mógłbyś sobie darować to nadęte kaznodziejstwo, pomyślałam z lekką irytacją. Niby z jakiej racji przemawiasz do mnie tym tonem? Bo wydaje ci się, że pikując koldry ratujesz lasy deszczowe? Nigdy nie wierzyłam w ten nabożny bełkot. Aby żyć uczciwie, wystarczyło mi parę nakazów moralnych, takich na przykład jak rada udzielona Laertesowi przez ojca w „Hamlecie”: „Bądź wierny sobie”. Hm... Tak było dawniej, ale teraz...? „Sobie” – to znaczy komu? Czy nadal jestem tą samą osobą co kiedyś, czy też kimś zupełnie innym? Za czasów Harriet traktowano mnie jak powietrze, teraz mój widok wyzwala u wszystkich – szczególnie u mężczyzn – natychmiastowe emocje, a na mnie nie robi to już



nawet żadnego wrażenia... Zmieniłaś się, Harriet, powiedziałam sobie. Może bezwiednie upodobniłaś się do Cindy, i to daleko bardziej, niż byś chciała?

Pod wpływem tych myśli zaczął nagle ogarniać mnie strach. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie w całej pełni możliwe konsekwencje swego paktu z diabłem. Co się ze mną stanie, jeśli Bóg jednak istnieje? Porazi mnie piorunem przy ołtarzu czy też będę musiała żyć ze świadomością nieuchronnej kary, nie znając dnia ni godziny? Może lepiej zrezygnować z tego ślubu?

Wielebny Bob podjął na nowo swój spacer. Musiał zmienić temat, kiedy przestałam go słuchać, bo mówił teraz o wybaczeniu. O tym, że jesteśmy jako owce i że krew Baranka zmyje nasze grzechy. Metafory te wydały mi się trochę mętne, mimo to przyszło mi na myśl, że może jednak tkwi w nich ziarno prawdy. To, że nie wierzę w Boga, nie musi oznaczać, że On nie istnieje. Tylu ludzi w Niego wierzy. Może nawet i sam Mefisto...? Nazwał się przecież sługą Wielkiego Szatana, a skoro istnieje Zły, powinno też istnieć jego przeciwieństwo. Jeśli tak jest, pomyślałam, to może sakrament małżeństwa odstraszy ode mnie diabła?

Zaczęłam się uspokajać. Małżeństwo to coś normalnego, prawdziwego i solidnego. Większość zwyczajnych ludzi uważa je za najlepszą receptę na życie. Przypomniały mi się twarze szczęśliwej rodziny na opakowaniach płatków śniadaniowych. Tak, to jest prawdziwe szczęście. Dlaczego miałabym go sobie odmawiać? Małżeństwo przywróci mi normalność; będę prowadzić zwyczajne życie, bez interwencji bogów czy diabłów. Będę cieszyć się nie tylko miłością Harleya, lecz i mnóstwem drobnych przyjemności. W moim poprzednim wcieleniu każdą taką przyjemność psuła mi gorzka świadomość, że nie mam z kim się nią dzielić. Teraz wszystko się zmieni. Teraz mogę mieć ambitne plany, zrobić karierę, założyć rodzinę, powetować sobie wszystkie dawne klęski. Mam tylko dwadzieścia jeden lat – i mnóstwo czasu przed sobą.

Miałabym się teraz wycofać? Gdy wszystko jest zapięte na ostatni guzik? O nie! Co by na to powiedziała Eleanor?

– Oczekuję was zatem na próbie – podsumował wielebny Robert. Kazanie dobiegło końca. Wręczywszy nam ulotki z programem „pikowanego” weekendu, poklepał Harleya po ramieniu. – Szczęściarz z ciebie – rzucił z tęsknym uśmiechem. – A ty, Cindy, przemyśl sobie wszystko, co wam powiedziałem. Małżeństwo to wielka przygoda i zarazem ryzykowna wyprawa w nieznaną. Niesie z sobą takie niespodzianki, na które nikt z nas nie jest w stanie dobrze się przygotować.

Przy pożegnaniu przetrzymał moją rękę trochę dłużej, niż wypadało;

wydawało mi się nawet, że wykonał dziwny ruch palcem, jakby dawał mi jakiś tajny znak.

– Pamiętaj, że nie zawsze będzie to łatwe. Diabeł nie śpi. On tylko czyha na okazję, żeby nas sprowadzić na manowce.

## ROZDZIAŁ 11

Wyobrażałam sobie, że dni dzielące mnie od ślubu będą mi się wlec w nieskończoność, że wyłonią się dziesiątki różnych przeszkód, tymczasem dwa tygodnie minęły jak z bicza strzelił – i oto stałam przed ołtarzem z niepokojącym uczuciem, że jeszcze nie jestem gotowa na to, co ma nastąpić. W tak doniosłym momencie swego życia powinnam przecież omdlewać ze szczęścia, a ja... ja miałam ochotę krzyknąć:

Zaczekajcie! Tak nie można, to wszystko dzieje się zbyt szybko!

Słyszałam za sobą ciężki oddech Trish, wciśniętej na rozkaz Eleanor w zapiętą po szyję suknię. Malutkie druhny otaczające mnie kręgiem jak stadko kaczątek chwiały się i potykały przy każdym ruchu mej obfitej ślubnej toalety, uszytej z kilometrów białego jedwabiu z leciutkim odcieniem błękitu. Przez mgiełkę białego welonu widziałam poruszające się wargi wielebnego Boba, który na tę okazję zamienił dżinsy na komżę, a jego natchnione oblicze przybrało radośnie uroczysty wyraz. Szczęśliwy jak lis w kurniku, pomyślałam cierpko, trafił mu się przecież ślub roku. Będą z tego niezłe profity. Oczyma duszy widzi już pewnie tę lawinę zgłoszeń od pań spragnionych pikowania kołder.

A potem zapadła cisza, pełna chrząknięć, szelestów i skrzypienia ławek, wśród której usłyszałam słowa przysięgi, powtarzane dziwnie zniekształconym szeptem. To ja...? Ktoś inny też coś wymamrotał. Na palec wśliznęła mi się obrączka, czyjaś ręka uniosła mi welon i zobaczyłam przed sobą ekstatycznie uśmiechniętą twarz mojego męża. Stało się. Niebiosa nie poraziły mnie gromem, nie było też śladu Mefista. Wkroczyłam w nowe życie.

Wiodąc za sobą orszak weselników, uroczyście wyszliśmy z kościoła, poprzedzani przez moje druhny rzucające nam pod stopy wonne różane płatki. Przy drzwiach stali Sunshine Singers wielebnego Boba, śpiewając z całego serca – najwyraźniej w nadziei na pochlebne wzmianki w prasie i telewizji.

Wzdłuż długiej żwirowanej ścieżki trzeba było rozciągnąć liny, aby chronić nas przed entuzjazmem tłumnie zgromadzonych widzów. Było ich tyłu, jakby całe Los Angeles wyległo dziś z domów pożegnać najznakomitszego ze swych kawalerów. Na przykościelnym parkingu robiono błyskawiczne interesy na sprzedaży hot dogów oraz bawełnianych koszulek z napisem „Harley i Cindy”. Natychmiast po wyjściu z kościoła opadła nas horda fotoreporterów; musieliśmy dosłownie przedzierać się do samochodu.

– Spójrz! – Harley nagle przystanął, spoglądając w górę.

Zobaczyłam nad sobą błękitny balon z dwójgiem naszych imion oplatających firmowe godło Lapinique. Kiedy z gondoli posypały się różane płatki – niebieskie róże! – widzowie także ruszyli do akcji, obrzucając nas deszczem konfetti, ziarnami ryżu i karmą dla ptaków.

– Jakież to wspaniałe! – wyszeptał wzruszony Harley. – Nie wyobrażałem sobie nawet, że mamy aż tylu przyjaciół.

Jęknęłam głośno, gdy garść jakichś pestek trafiła mnie prosto w policzek, i to tak boleśnie, że łzy pociekły mi z oczu.

– Co się stało, kochanie? – zaniepokoił się Harley, a widząc moje łzy, poprosił zdławionym głosem: – Och, nie płacz, skarbie, bo i ja się zaraz rozplaczę.

Uczta weselna odbywała się w tak ekskluzywnym hotelu, że nie miał chyba nawet nazwy. Nim udało nam się usiąść do posiłku, zmuszeni byliśmy powitać setki gości i pozować do setek zdjęć. Znałam to wszystko z widzenia, zdarzyło mi się bowiem uczestniczyć w kilku weselach, być jednak widzem tego rodzaju uroczystości, a odgrywać w niej główną rolę to dwie zupełnie różne rzeczy. Strasznie mnie to speszyło – nie przywykłam do takich hołdów.

Nadzór nad kuchnią i serwowaniem potraw sprawował sam Heinrich z „Wagnera”, który w kręgu towarzyskim mego męża uchodził za najwyższą wyrocznieść w tych sprawach. Znalezienie się na liście jego klienteli uważane było za wielki przywilej, równy posiadaniu gwiazdy na chodniku Hollywood Boulevard lub przynajmniej ważnego biletu do rajy. Świadoma, że śledzą mnie setki oczu, zajęłam miejsce u szczytu stołu, ozdobionego kunsztownie zwojami błękitnych wstążek. Autorem wszystkich dekoracji był także niezrównany Heinrich. Przed mym nakryciem piętrzyła się lśniąca lodowa rzeźba w kształcie gigantycznego flakonu perfum. Oczywiście firmy Lapinique. Czy nie za dużo tych reklam? Ciekawe, czy goście otrzymają w prezencie darmowe próbki? A może będą to bony na zakup firmowych hitów?

Prześliznąwszy się wzrokiem po sali, stwierdziłam, że właściwie nikogo tu nie znam, nie licząc niewielkiej grupki. Dlaczego ci ludzie tak się na mnie gapią? Wbrew składanym wcześniej życzeniom w ich spojrzeniach czaiła się wrogość. Zazdroszczą mi szczęścia? Miałam wrażenie, że całe to towarzystwo utopiłoby mnie w łyżce wody.

Panowała dziwnie martwa cisza, której nie przerwało nawet pierwsze danie. Dlaczego wszyscy milczą, dlaczego nikt się nie śmieje? Nie tak wyobrażałam sobie atmosferę mej weselnej uczy. Dopiero gdy eleganccy kelnerzy Heinricha –

wszyscy po cywilnemu – pojawili się w sali z butelkami wina, nastroje zaczęły się z wolna poprawiać, choć było to tylko bardzo anemiczne chardonnay. Pochwyciwszy swój kieliszek, zanim kelner zdążył mi dolać wody, wychyliłam wszystko jednym haustem, nie zważając na minę Eleanor. Mam was w nosie, pomyślałam. Nie będę dziś liczyć kalorii ani wypitych kieliszków.

Zerknąwszy w stronę „Syberii”, zarezerwowanej dla przyjaciół Cindy, zauważyłam tam Babs. A tak się zarzekała, że jej noga nigdy więcej nie postanie w Kalifornii! Zjawiała się, a jakże, i to w towarzystwie! Siedzący obok niej osobnik o nalanej twarzy musiał być jej mężem – pamiętałam, że na imię ma Dale – nie zabrakło też mych „siostrzeńców”, którzy pod względem tuszy wyraźnie wdali się w ojca.

W środku sali wybuchło nagle zamieszanie. Cóż to za sensacja? Ach tak: w osobie podającej się za ciotkę Harleya ktoś rozpoznał reporterkę pewnego tygodnika cieszącego się raczej nie najlepszą sławą. Zajął się nią kilku ochroniarzy – i natychmiast zawrzało od plotek. Najpierw, że w jej torebce odkryto notatnik, później, że do nogi przyczepiony miała mikrofon, który po kilku sekundach zamienił się w miniaturową kamerę, ukrytą sprytnie w kapeluszu. Zanim winowajczyni dotarła do drzwi, oskarżono ją o implant w mózgu, umożliwiający bezpośrednią transmisję satelitarną.

Kiedy w niesławie opuściła bankiet, najgłośniejsze brawa dały się słyszeć z kąta przy drzwiach, gdzie na spółkę z grupką bliskich znajomych Trish urzędował chyba cały personel Marty’ego. Był to najhałaśliwszy stolik w całej sali, co nasunęło mi wniosek, że zgromadzone tam towarzystwo musi dysponować prywatnym źródłem alkoholu. I rzeczywiście tak było. Zauważyłam już po krótkiej chwili, jak jeden z kelnerów Heinricha dyskretnie wślizguje się z butelką wódki, błyskawicznie inkasuje banknot i zaczyna napełniać kieliszki.

Przyjrząwszy się baczniej twarzom biesiadników, z najwyższym zdumieniem rozpoznałam wśród nich Woodcocka. Na miłość boską, jakim cudem ten się tu znalazł?

Siedząca przy naszym stole Trish, podchwyciwszy kierunek mojego spojrzenia, uznała za stosowne mi to wytłumaczyć.

– To ja go wpisałam na listę. Nie masz chyba nic przeciwko temu? No bo skoro wychodzisz za mąż, pewnie ci już na nim nie zależy. A mnie zawsze rajcował. Pomyślałam, że mam teraz szansę wreszcie go zaliczyć.

O, niech to licho! Jak żywe stanęły mi przed oczami zapasy na Mulholland Drive! Tymczasem obiekt westchnień mojej przyjaciółki, nieświadomy widocznie

jej pragnień, wyciągnął się na krześle i z roztargnieniem zaczął się drapać po kroczu. Trish utkwiała w nim tęskne spojrzenie.

– Jak myślisz – spytała – czy to prawda, że wielkość fiuta można rozpoznać po palcach? Im są grubsze, tym... no wiesz...

Wychyliwszy duszkiem drugą lampkę wina, zerknęłam chyłkiem na boki – aby sprawdzić, czy nikt nas nie słyszy – i zobaczyłam, że Harley przygląda się swoim dłoniom.

– W przypadku naszego znajomego – wymamrotałam do Trish, wskazując ruchem głowy niedoszłego gwałciciela – jest trochę inaczej. Wielkość tego, co nosi w spodniach, najbardziej odpowiada rozmiarom jego chamstwa. – Co za typ! pomyślałam. Przychodzi taki na ślub swej ofiary i uważa, że wszystko w porządku!

Gdzieś w połowie deseru – była to dziwna kombinacja czarnych jagód i jasnobłękitnej bezy – sięgnęłam po kieliszek z winem i zaskoczona stwierdziłam, że w niepojęty sposób zmieniło kolor – z białego na czerwony. Nigdzie w pobliżu nie było żadnego kelnera, któż więc mógł dolać mi wina? Z rosnącym niepokojem pociągnęłam spory łyk i odstawiwszy kieliszek, zaczęłam mu się przyglądać. Ciemnoczerwony trunek zawirował – i zaczął się szybko podnosić! Mefisto! Ogarnięta paniką, zerwałam się z krzesła. Gdzie on się schował? Czego chce ode mnie? Czyżby zamierzał mnie ukarać?

Widząc, że kilka osób przygląda mi się z ciekawością, mruknęłam „przepraszam” i galopem ruszyłam do wyjścia. Na samą myśl o tym, że mógłby się tutaj zmaterializować i znienacka zamienić mnie w Harriet, skóra mi ścierpła ze strachu. Co by zrobili ci ludzie, gdyby młoda i piękna małżonka Harleya zmieniła się na ich oczach w zwiędłą starą babę?

W holu zderzyłam się z kelnerem niosącym na tacy butelkę whisky.

– Proszę zapisać to na mój rachunek! – sapnęłam, chwytając ją w locie. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebny był mi teraz solidny alkohol.

Spocona jak mysz wpadłam do toalety, gdzie zamknęłam się w kabinie i zaczęłam gorączkowo zmagać się z fałdami ślubnej sukni, usiłując podnieść ją do góry. Musiałam sprawdzić, czy aby na ciele nie wystąpiły już jakieś oznaki starzenia. Na razie wszystko było w porządku, ale nadal nie mogłam opanować lęku. Drżącymi rękami otworzyłam flaszkę. Tak dawno nie piłam whisky...

– Jak to miło z twojej strony, Harriet, że postanowiłaś i mnie przynieść drinka – rozległ się głos Mefista.

Ach! Drgnęłam gwałtownie. Siedział pod sufitem – na szczycie przegrody pomiędzy dwiema kabinami.

– Idź stąd! – syknęłam. – Daj mi wreszcie spokój!

– To ty daj spokój! Czyżbyś we mnie zwątpiła? Myślałaś, że o tobie zapomnę? Nic z tego, moja droga. – Sięgnął po butelkę, muskając przy okazji moje nagie ramię. – Hm, wyobrażam sobie, z jakim utęsknieniem oczekujesz dzisiejszej nocy! Pilno ci zrobić właściwy użytek z tego pięknego ciała, nieprawdaż? Ma szczęście ten Harley.

Wzdrygnęłam się pod jego dotknięciem i czym prędzej opuściłam suknię.

– Czego chcesz?

– Chciałem po prostu sprawdzić, jak ci idzie. Muszę przyznać, że robisz postępy. Choć wiedz, że mnie trochę zmartwiłaś tą całą kościelną aferą. Święta instytucja małżeństwa! Zaiste! – Z grymasem niesmaku napił się whisky.

– Nie, nie widziałem twoich lawiranckich gestów pod adresem mojej konkurencji, no ale w takim miejscu nie mogłem ci towarzyszyć.

Zamaszyście wytarł butelkę i zwrócił mi ją z uśmiechem. Łapczywie pociągnęłam kilka łyków.

– Jednakże generalnie rzecz biorąc, jestem z ciebie dumny. Nawet bardzo. Tak gładko przyswoiłaś sobie miejscowy kodeks moralny, jakbyś się tu urodziła. Mile mnie tym zaskoczyłaś. Nie spodziewałem się tak szybkich rezultatów.

– O czym ty mówisz? – Odjąwszy flaszkę od ust, spostrzegłam, że znów jest pełna.

– O tym, że nie marnowałaś czasu w walce o swój kawałek tortu. – Przekornie przechylił głowę i zmierzył mnie kpiącym spojrzeniem. – Czyż nie prehandlowałaś swych świeżo nabytych atutów za pieniądze, pozycję i wpływ?

– Ale ja...

– Wiedziałem, Harriet, że takim pokusom nie zdołasz się oprzeć – dodał z uśmiechem wyższości. – Co mówiąc wprost, oznacza, że jesteś tak samo zepsuta jak całe twoje otoczenie. Bardzo mnie to cieszy: już niedługo będę dysponował całym potrzebnym materiałem dowodowym.

– Mylisz się – zaprotestowałam. – Nie jest tak, jak myślisz. Wcale mi nie chodzi o pieniądze Harleya...

– Doprawdy? – Uniósł brwi z przesadnym zdziwieniem. – A wyszłabyś za niego, gdyby ich nie miał?

– Oczywiście że tak! Jestem w nim zakochana.

– Zakochana! – Roześmiał się tak serdecznie, że stracił równowagę i wpadł do sąsiedniej kabiny. – Ty go kochasz?

– zapytał z absolutnym niedowierzaniem, wnikając ponownie do środka przez

wąską szparę pod drzwiami. – Rozczarowujesz mnie, Harriet. Nie spodziewałem się po tobie takiej wpadki.

– A cóż twoim zdaniem jest tak złego w miłości? Wszystkim sprawia ona przyjemność, więc ja także chcę jej zakosztować.

– Miłość, moja droga, to czysta iluzja. Twoi pobratymcy po prostu ją wymyślili, aby zrekompensować sobie brak poczucia własnej wartości. Każdy chce czuć się ważny, a miłość to najłatwiejszy sposób zdobycia przewagi nad innymi. Niedługo sama się o tym przekonasz. Oj, Harriet, Harriet, gdzie podziały się twoje ambicje? Wprost nie mogę uwierzyć, że tak lekką ręką chcesz odrzucić możliwość zdobycia prawdziwej władzy i zastąpić ją nędznym substytutem! Chciałaś przecież wyrównać rachunki z tym światem! Ileż to razy mówiłaś, jak serdecznie go nienawidzisz, a teraz zebrało ci się na miłość!

– To moja sprawa! Nic ci do tego! Odczep się ode mnie! Chcę być szczęśliwa, rozumiesz? – Gniewnie pociągnęłam następny łyk whisky. Gdyby nawet jego słowa były prawdą, chciałam sama się o tym przekonać. Dlaczego przez całe życie mam słuchać cudzych rozkazów? O nie, z tym już koniec. Teraz nikt mi nie będzie mówił, co mam robić!

– I uważasz, że właśnie zdobyłaś to swoje upragnione szczęście? Ha, zobaczymy – westchnął Mefisto, unosząc się znów pod sufit. – Miejmy nadzieję, że nie spotka cię rozczarowanie.

– Posłuchaj, Mefisto, zawarliśmy układ. Po mojej śmierci dostaniesz, co ci się należy, ale teraz zostaw mnie w spokoju!

Wyciągnął rękę iście wężowym ruchem i zaczął mnie głaskać po karku.

– Kiedy się złościsz, jesteś jeszcze piękniejsza. Na pewno wolisz zaczekać do nocy...? – znacząco zawiesił głos.

– Przestań – mruknęłam machinalnie, usiłując przejść do porządku nad faktem, że moje zawiedzione ciało protestuje przeciw tej decyzji. Spróbowałam go odepchnąć, cóż, kiedy moja ręka nie napotkała żadnego oporu. Spostrzegłam, że jego postać staje się przezroczysta.

– Pamiętaj, że cię obserwuję – powiedział jeszcze. – Przekonasz się wkrótce, jak fatalny popełniłaś błąd. Będziesz błagać mnie o ratunek, zobaczysz... – Po tych słowach przestałam go słyszeć. Odszedł?

Wypiłam parę większych łyków i przez chwilę wpatrywałam się w butelkę: tym razem płyn nawet nie drgnął. Czar przestał działać.

Już miałam wyjść z kabiny, kiedy ktoś otworzył drzwi od korytarza. Usłyszałam stukot wysokich obcasów, a w tle odgłosy zabawy.



– O Jezu, wyglądam w tej kiece jak cnotliwa królowa Saby – zabrzmiał nosowy głos Trish. – Chodź tu, Sharleen. Pomóż mi rozpiąć te guziki. Cholera by je wzięła! Muszę pokazać Chuckowi choć kawałek cycka, inaczej nic z nim nie wskóram.

Po cichutku wdrapałam się na sedes – nogi! Absolutnie nie miałam ochoty wdawać się teraz w pogawędkę z Trish.

– To nie w porządku, żeby tak mnie traktować – mówiła dalej z coraz większą pretensją w głosie. – Od trzech lat jestem jej najlepszą przyjaciółką i co? Nie wolno mi było nawet wybrać sobie sukni.

– Cholernie nie w porządku – przytaknęła jej żywo Sharleen. – Ale z niej zawsze była wredna suka. Zawsze dbała tylko o siebie.

– A widziałas, jak to liże tyłki swoim nowym przyjaciółkom? – syknęła Trish. – My się już dla niej nie liczymy. Uważa, że gdzie nam do niej!

– Wyobrażasz sobie, ile ona ma teraz forsy? Sam pierścionek musiał nielicho kosztować.

– Przy takiej forsie mogliby chociaż dać coś lepszego do picia. Próbowalaś tych siusiek, co uchodzą tu za białe wino?

– „Bijałe winou?” – zachichotała Sharleen, parodiując wymowę Eleanor. – Nie wiem, jak to jest przy waszym stole, ale my musieliśmy wsunąć kelnerowi w łapę, żeby dostać coś mocniejszego.

– Każdy bierze co się da, kiedy jest okazja. A z niej zawsze było wstrętne skąpiradło. Ja nigdy nie dostałam od niej nawet prezentu na gwiazdkę. Myślisz, że da nam teraz choć parę darmowych próbek? Akurat!

– Jednego nie mogę zrozumieć: co ten facet w niej widzi? Przecież to kurzy mózdzek. Jakim cudem potrafiła tak go zbajerować?

– Skoro mnie pytasz o zdanie, to ci powiem – pijacko zarechotała Trish. – Jego nie interesuje jej głowa, tylko to, co ma między nogami. Och, odgrywała dziewczę, ale wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że ma na koncie połowę facetów z naszej dzielnicy! Lecą na nią, trzeba jej to przyznać. Pewnie umie wyczyniać niezłe sztuczki tym swoim interesikiem. Ua! Muszę siusiu!

Cienkie przepierzenie zadrzało, szcęknał odsuwany zamek, po czym dało się słyszeć westchnienie i ostry dźwięk kropel rozpryskujących się o porcelanę.

– Ja też się załatwię – oznajmiła Sharleen, zajmując kolejną kabinę.

Po cichu zlazłam z sedesu, zdecydowana umknąć, zanim moje sąsiadki wyłonią się z kabin. Więc to tak, myślałam ze złością i żalem. Ładne przyjaciółki! Ha, dobrze wiedzieć! Skreślę je bez żadnych wyrzutów sumienia. Wolę już

znajomych Harleya. Zebrawszy fałdy swej obszernej sukni, ostrożnie wytknęłam nos na zewnątrz, lecz natychmiast cofnęłam się do środka: z korytarza dobiegł mnie głos Eleanor.

– Cóż, teraz już za późno, prawda? Próbowałam go ostrzec. Mówiłam, że popełnia wielki błąd, nie chciał słuchać.

– Główne drzwi otworzyły się z trzaskiem: Eleanor weszła do środka. Sądząc po stukocie wysokich obcasów, skierowała się w stronę luster. Trzasnęła puderniczka. – Wprost trudno uwierzyć – dodała – że można być aż tak ślepy. Co za porażająca głupota! Słyszałaś, Sylvie, to jej ślubowanie? „W bogactwie i w biedzie!” Akurat! Łatwo się domyślić, na co ona stawia! Skończy się na tym, że go wydoi jak krowę, ale cóż, sam będzie temu winien.

– „Wyrzec się wszystkich innych” – mruknęła Sylvie.

– Mojemu Warrenowi ten fragment przysięgi jakoś nigdy nie krępował ruchów.

– Powinnyśmy mieć na nią oko – orzekła twardo Eleanor. – Prędzej czy później musi się potknąć... można by jej nawet w tym pomóc... Wtedy wyjdzie na jaw, że to zwykła naciągaczka. Miejmy tylko nadzieję, że Harley kazał jej podpisać jakąś intercyzę, bo jeśli nie starczyło mu na to rozumu, to marne jego widoki. Zrzuń je go ta mała pindzia, niech no tylko dojdzie do rozwodu.

– O, niezły z niej numer! Zauważyłaś, jak zadziera nosa? Rozmawia z nami jak równa! Takie nic! Na co ona sobie pozwala!

– A widziałaś jej siostrę? – zachichotała Eleanor. – Okropność. A ta jej przyjaciółeczka! Patentowana dziwka! – W tym momencie z sąsiedniej kabiny doszedł mnie gniewny szelest. – Ma to wypisane na czole.

– Kogo do cholery nazywasz dziwką? – Przegroda zadrżała konwulsyjnie i z kabiny wypadła Trish. – Wredny stary babsztyl! – Po tych słowach dały się słyszeć odgłosy gwałtownej szarpaniny.

– Precz z łapami! Puść mnie w tej chwili! – wrzasnęła Eleanor. – Sylvie, ratunku!

– Zazdrościsz mi, stara kłepo, bo z taką gębą jak twoja można się tylko powiesić!

– Przyłóż porządnie tej suce! – warknęła Sharleen. Sylvie, która widocznie wolała nie mieszać się w konflikt, zawodziła tylko piskliwie: „Boże, o mój Boże!”

– Puść mnie! – chlipnęła Eleanor.

Usłyszałam znów stukot otwieranych drzwi – i na chwilę zapadła cisza.

– Wszyscy szukają Cindy. Powinna pokroić tort – rozległ się gderliwy głos

Babs. – Czy któraś z was ją widziała?

– Coś ty za jedna? – spytała Sharleen po dłuższej chwili milczenia.

– Jedyne żyjąca krewna panny młodej – odparowała urażona Babs. – Zapamiętaj to sobie i nie waz się tak do mnie mówić! Mam większe prawo tu być niż którakolwiek z was! – Głos jej się nagle załamał, po czym przeszedł w jęśliwe zawodzenie. – Cindy to moja młodsza siostra! Mój Boże! Po tym wszystkim, co dla niej zrobiłam, nie chciała mnie nawet zawiadomić, że tak jej się poszczęściło!

Nie wiadomo dlaczego wypowiedź ta wywołała całkowitą zmianę nastroju. Dotychczasowe przeciwniczki zaczęły nagle konwersować w nieledwie salonowym tonie, i to jedna przez drugą: „Cóż za piękne nabożeństwo”... „Och, nie traci pani siostry, lecz zyskuje nową rodzinę”... „No tak, ale mimo wszystko to zawsze bardzo trudny moment”...

– To te przysięgi tak mnie rozkleiły – chlipnęła Babs. „Wyrzec się wszystkich innych”! Wtedy, och, zrozumiałam, że ją tracę... Tracę swą małą siostrzyczkę...

– „W chorobie i zdrowiu” – wyrwało się Sylvie ni w pięć, ni w dziewięć. Pozostałe także nie wiadomo czemu zaczęły powtarzać tekst ślubowania. Jak gęsi.

– „W bogactwie i w biedzie” – Sharleen.

– „Póki nas śmierć nie rozłączy” – Eleanor.

– „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz” – śpiewnie wyrecytowała Trish i nagle parsknęła śmiechem. – Och, przepraszam! To nie to nabożeństwo!

Skulona w ciasnej kabinie, pragnęłam już tylko, żeby sobie poszły. Z oka kapnęła mi łza. Uważałam je za swoje przyjaciółki, a one tak mnie nienawidzą! I choć ich obłuda budziła we mnie pogardę, poczułam się strasznie samotna. To okropne nie mieć przy sobie ani jednej życzliwej duszy. Z nagłym poczuciem winy pomyślałam o Sally i Andrew. Oni zawsze byli mi życzliwi, nie licząc na żaden rewanż, bo i jaki? Nie miałam im nic do zaofiarowania. A teraz nie mogę im za to nawet podziękować.

Teraz pozostał mi już tylko Harley...

– O rany, patrzcie tutaj! – pisnęła histerycznie Trish. – Przecież to suknia Cindy! Więc tutaj się skryła! Musiała chyba... – Urwała w pół zdania, przerażona narzucającym się logicznie wnioskiem. – Sharleen – wytchnęła zduszonym szeptem – myślisz, że wszystko słyszała?

– No i dobrze! Niech nie podsłuchuje! – mściwie rzuciła Sylvie.

– Cin? Jesteś tam?

Zamknęłam oczy i zaczęłam się modlić, aby jakaś życzliwa istota – boska czy diabelska – przysłała mi z pomocą. Najlepszy byłby piorun – załatwiłby je

wszystkie jednym uderzeniem.

– Poczekaście chwilę – usłyszałam znowu głos Trish. – Wdrapię się na tę ściankę i zerknę od góry.

Co robić? W przebłysku natchnienia wcisnęłam do spłuczki nie dopitą butelkę whisky i opadłam na sedes, udając zemdloną. W samą porę! Ledwie zdążyłam przymknąć powieki, a już znad przegrody wyłoniła się głowa Trish.

– O rany boskie, ona się nie rusza! Chodź no tu, Sharl, i popatrz! Chyba zemdląła. Albo... czy ja wiem? Może kipnęła?

Głosy umilkły. Słysząc było tylko sapanie i głucho pomruki Sharleen wdrapującej się mozolnie na przegrodę.

– Żyje – stwierdziła po paru sekundach. – Widzę, że oddycha.

– Wiem, co zrobię! – krzyknęła Trish. – Przeleżę górą! Wyciągniemy ją stamtąd!

Nadal udawałam nieprzytomną. Pozwoliłam wywlec się z kabiny i wziąć na „sioდეłko”. „Oprzytomniałam” dopiero pod drzwiami sali bankietowej, gdzie błyskawicznie odzyskałam siły i galopem popędziłam do Harleya. Wydawał mi się teraz jedynym człowiekiem, dla którego jestem coś warta.

– Cindy, kochanie! Gdzieś ty była? Dobrze się czujesz?

– W jego głosie było tyle czułości!

– Będiesz się o mnie troszczył? – spytałam błagalnym szeptem.

– Oczywiście, skarbie – odszepnął tonem posiadacza.

– Jesteś teraz moja, ciałem i duszą.

Po tym „wypadku” wszyscy zrobili się sympatyczniejsi, jakby do zbiorowej świadomości przeniknął nagle jakiś tajemniczy sygnał, że posunięto się już za daleko w okazywaniu mi wzgardy i innych negatywnych uczuć. Zdawałam sobie sprawę, że to znów tylko pozory, ale dzięki ochronnej warstwie alkoholu było mi to całkiem obojętne. Zabawa tymczasem zdążyła się już rozkręcić.

– Strasznie hałaśliwi są ci twoi znajomi – stwierdził w pewnej chwili Harley; do holu wytaczał się właśnie pijacki korowód taneczny z Martym na czele. Mój były chlebodawca miał na sobie czerwoną aksamitną kamizelkę ściągniętą z któregoś z kelnerów Heinricha, a w rękach dwie łopatki do smażenia jajek. Zataczająca się lekko Trish wciąż jeszcze odpinała guziczki przy sukni, choć jej zaimprovizowany dekolt dawno już osiągnął granicę przyzwoitości. Idący za nią Chuck Woodcock wykonywał biodrami niedwuznacznie seksualne ruchy.

Wspomnienie wydarzeń na Mulholland Drive przyprawiło mnie znów o dreszcze. Nie, powiedziałam sobie, nie będę o tym myśleć! Dziś czeka mnie co

innego. Dziś poznam prawdziwą miłość. Wyobrażałam sobie, że będzie to coś, co odmieni moje życie. Koniec z samotnością, koniec z wymuszonym celibatem.

Z tak wielkim utęsknieniem czekałam tej chwili, a jednak ogarnęła mnie panika, gdy po paru godzinach zostaliśmy sami w hotelowym apartamencie. Stałam naprzeciw Harleya, oddzielona od niego istną przepaścią ogromnego łóżka, z błękitną jak morze pościelą – i nie wiedziałam, co robić, co powiedzieć. Chyba nigdy w życiu nie czułam się tak bezradna i tak skrępowana. Niezręczne milczenie przerwał w końcu Harley.

– Chciałabyś – spytał ochryple – pierwsza skorzystać z łazienki?

O tak, byłam mu za to wdzięczna. W łazience czym prędzej zatrzasnęłam drzwi i po krótkiej szamotaninie z suknią stanęłam nago przed lustrem. Czy aby na pewno dysponuję nadal ciałem Cindy? Widząc, że wszystko wygląda normalnie, owinęłam się skromnie szlafrokiem, dwukrotnie wyczyściłam zęby i z lekkim zdenerwowaniem wróciłam do sypialni, niepewna, co tam zastanę.

Hm... nic się nie zmieniło. Harley całkowicie ubrany stał przy oknie. Słyszając moje kroki, zbliżył się do mnie z uśmiechem, lecz gdy chciałam już paść mu w ramiona, ominął mnie nagle, mrużąc coś o łazience, w której też zaraz zniknął.

Zrozumiałam, że i on jest zdenerwowany – może nawet bardziej niż ja. Uświadomiłam sobie również z wyraźną przykrością, że cała ta sytuacja tak dalece odbiega od moich marzeń, iż mam prawo czuć się zawiedziona. Tam wszystko działo się szybko i płynnie, jak w upajającym romantycznym walcu – i nikt tam nie umykał do łazienki.

Odchyliwszy przypadkiem róg błękitnej kołdry, zbaraniałam na widok godła Lapinique. Do licha! Czyżby mój ukochany cierpiał na manię wielkości? Wozić do hotelu własne prześcieradła to już chyba lekka przesada.

Z irytacją zrzuciłam szlafrok i ułożywszy pościel w ten sposób, żeby zakryć to głupie godło, ostrożnie wpełzłam do łóżka. Z łazienki dochodziło głośne gulgotanie. Jak długo można płukać gardło?

Kiedy w drzwiach pojawił się Harley ubrany jedynie w błękitne bokserki, doznałam kolejnego szoku: wydał mi się mniejszy i jakby mniej rzeczywisty od tego mężczyzny w smokingu, którym był przed kilkoma minutami. Skrępowana własną nagością, podciągnęłam kołdrę pod szyję i uciekłam spojrzeniem gdzieś w bok.

Kiedy odważyłam się podnieść głowę, stał już obok mnie przy łóżku. Pod błękitną tkaniną jego szortów spostrzegłam sporą wypukłość, a na niej coś, co w pierwszej chwili wzięłam za kolejne firmowe logo, okazało się jednak, że to

tylko plama od wody. Pozornie niedbałym ruchem wetknął kciuki za gumkę bokserek i powoli zsunął je z bioder.

Tuż obok nosa wykwitł mi duży różowy penis. Z nagłego zażenowania odruchowo zamknęłam oczy, ale zaraz je otworzyłam, chcąc dokładniej ocenić walory mojego męża. Za późno – zdążył już wskoczyć do łóżka. Poczułam na sobie jego niecierpliwe ręce.

– Cindy, kochanie – jęknął zdławionym głosem – nareszcie jesteś moja, cała moja...

No właśnie. Zarzuciłam mu ręce na szyję, starając się stłumić strach (będzie bolało?), jak również pewne wątpliwości. Wydawał się dobrze wyposażony, ale jak to jest ze mną? Trish coś tam plotła o moich zdolnościach seksualnych, ale skąd mogłam wiedzieć, czy jest w tym bodaj odrobina prawdy. A jeżeli mu się nie spodobam?

– Przyjemnie ci, skarbie? – Poczułam, że coś mnie łechce pomiędzy nogami.

– Mhm... – mruknęłam niewyraźnie. Niechby już zaczął! Ciało Cindy domagało się tego niczym stado antylop w rui, a i reszta mojego jestestwa nie mogła się doczekać upragnionej satysfakcji uczuciowej. Łechtanie trwało nadal, przyprowadzając mnie o coraz silniejszą frustrację. Kiedyż do licha on przejdzie do rzeczy?

Powiedzieć, żeby się pospieszył? Zaczęłam na gwałt przypominać sobie, co robiły w takich momentach różne powieściowe bohaterki. Zawołać „weź mnie, Harleyu”? Nie, to za bardzo sentymentalne, dziś już nikt tak nie mówi. „Dmuchnij mnie wreszcie, na litość boską”? Zbyt wulgarne. Bałam się go urazić.

W końcu nie widząc innego wyjścia, chwyciłam go za ramiona i przyciągnęłam do siebie. Teraz już wszystko potoczyło się jak trzeba. Przestałam myśleć o Harleyu, a mówiąc ściślej, kompletnie o nim zapomniałam. Z uczuciem dzikiego triumfu myślałam tylko o jednym: że staję się wreszcie prawdziwą kobietą, pełnowartościową jednostką ludzką, korzystającą ze wszystkich należnych jej praw! Po tylu jałowych latach nareszcie i ja to robię!

Gdy po pewnym czasie zerknęłam na Harleya, przekonałam się, że on również zupełnie o mnie zapomniał. Zacisnąwszy zęby, poruszał się jak maszyna – w przód i w tył, w przód i w tył; oczy miał szczelnie zamknięte, a na czole kropelki potu. Wszystko to było nawet dość przyjemne, po chwili jednak zaczęło mnie nudzić.

Machinalnie zaczęłam liczyć kryształowe paciorki wiszącego nad głową żyrandola – kołysały się lekko w rytm poruszeń łóżka, wydając cichutkie dźwięki.

I nagle przyszło mi na myśl, że trochę to dziwne: w jaki sposób te drgania mogą się przenosić na sufit? Przed oczami stanął mi Mefisto, a w uszach zabrzmiały jego pogardliwe słowa: „Wiec uważasz, że właśnie zdobyłaś to swoje upragnione szczęście? Ha, zobaczymy. Miejmy nadzieję, że nie spotka cię rozczarowanie.”

Nie wyglądało to na wytwór mojej wyobraźni. W uszach coraz donośniej dudnił mi diabelski chichot, a żyrandol chygotał się coraz gwałtowniej. Daj mi spokój! krzyknęłam bezgłośnie. Wynoś się stąd!

– Dochodzę! – sapnął Harley.

Wykonał ostatnie pchniecie, któremu towarzyszył przeciągły jęk, po czym padł obok mnie jak kłoda.

Czekałam na jakiś ciąg dalszy, nic się jednak nie działo. Gdy po paru minutach pochyliłam się nad nim, już spał.

## ROZDZIAŁ 12

W okresie przedślubnej gorączki często myślałam o Anglii – czy nadarzy się kiedyś okazja, żeby tam pojechać, zobaczyć, co stało się w mieszkaniu Harriet owej pamiętnej nocy – toteż od chwili gdy Harley wspomniał o naszym miodowym miesiącu, zaczęłam dyskretnie napomykać, że zawsze pragnęłam zwiedzić Europę, a zwłaszcza południe Anglii.

Krótko przed ślubem Harley oznajmił mi jednak, że podjął inną decyzję: jedziemy na Barbados.

– Zobacysz, będziesz zadowolona – zaczął mnie przekonywać. – To znacznie ciekawsze niż Anglia. Poza tym Anglia ma koszmarny klimat, a o tej porze roku pogoda jest tam najgorsza.

No cóż, pobyt na Karaibach to nie powód do narzekań, starałam się więc usilnie nie okazać rozczarowania. Powiedziałam sobie, że wkrótce z pewnością nadarzy się inna okazja, a na razie trzeba cieszyć się tym, co jest. Będę pławić się w słońcu na złocistej plaży, pływać w ciepłym morzu, poznawać miejscowe obyczaje.

Nie były to wygórowane oczekiwania, ale Harley myślał pewnie inaczej, bo unicestwił je zaraz pierwszego dnia.

– Wielkie nieba! Chyba nie zamierzasz pokazywać się w tym publicznie?! – wykrzyknął ze zgrozą na widok mojego nowego bikini.

– Wydawało mi się hm... że do opalania takie będzie najlepsze... – wyjąkałam, zastanawiając się gorączkowo, czy kupując tę szmatkę, nie popełniłam przypadkiem jakiegoś błędu, z tych, przed którymi tak mnie przestrzegala Eleanor. Nie ten projektant?

– Do opalania? – Popatrzył na mnie takim wzrokiem, jakbym była niespełna rozumu. – Czy ty masz pojęcie, jak szkodliwe dla skóry jest słońce?

– A pływanie? – spytałam z nadzieją. Z wolna pokręcił głową.

– Na twoim miejscu tego też bym nie ryzykował. Ocean oczywiście odpada, Bóg raczy wiedzieć, co tam może być, a basen... No cóż, zobaczymy. Muszę spytać kierownika hotelu, jakich używają chemikaliów. Jeśli się okaże, że ich rodzaj i dawka są w miarę bezpieczne, to niewykluczone, że przy użyciu podwójnej warstwy naszego kremu numer dwanaście mogłabyś raz się zanurzyć. – Przeciągnął palcami po włosach i dodał chmurnie: – Ale chyba nie w tym kostiumie.



– Dlaczego? Westchnął ciężko.

– Nie mogę znieść myśli, że inni mężczyźni będą oglądać twoje piękne ciało. Nie masz czegoś bardziej... zabudowanego?

Z lekka oszołomiona tym wyznaniem, włożyłam sukienkę.

– Więc może pójdziemy na spacer? – zaproponowałam ostrożnie. To również mogło się okazać niebezpieczne. – Będziemy trzymać się cienia.

– Świetny pomysł! – Nareszcie się rozchmurzył. – Możemy zwiedzić tereny hotelu.

Barbados? Czy można powiedzieć, że tam byłam? Przez całe dwa tygodnie nie wytknęłam prawie nosa poza ogrodzenie. Co za sens jechać taki kawał drogi, zżymałam się w duchu, a potem wcióż siedzieć w hotelu? Takie „atrakcje” można mieć wszędzie. Harleyowi wystarczyło do szczęścia wyłożyć się w cienistym miejscu przy basenie, popijać wyciąg z perzu – podobno bardzo zdrowy – i wertować kolorowe tygodniki, których zresztą wcale nie czytał. Interesowało go tylko jedno: czy są w nich reklamy Lapinique. Każda moja „wyjściowa” propozycja natrafiała na jakąś obiekcję.

– Doprawdy nie rozumiem, z jakiego powodu chcesz się narażać na takie ryzyko. Masz tu wszystko, czego potrzebujesz – perorował, wymachując mi przed nosem hotelowym folderem. – Bądź rozsądna, Cindy. Masz tu ogrodzenie, które chroni nas przed ludzkim wścibstwem, masz piękne tereny spacerowe, wolne od owadów i bakterii, nie grożą nam więc infekcje. Wiesz, że każdej nocy spryskuje się cały ten obszar środkami dezynfekcyjnymi? Pomyśl! Masz tu wszystkie korzyści płynące z pobytu za granicą i żadnych zagrożeń! I za to przecież płacimy!

– Może jednak warto byłoby zwiedzić kawałek tej wyspy? – spytałam niezobowiązująco. – Spróbować miejscowej kuchni, zobaczyć trochę folkloru...

– Nie sądzę, aby jedzenie z dodatkiem wszelkiego rodzaju trucizn mogło smakować ci lepiej niż tutejsze – odrzekł z lekkim zniecierpliwieniem. – W naszej restauracji znajdziesz dania z dwunastu różnych krajów. Kierownictwo hotelu bardzo się stara. Organizuje nawet wieczory regionalne, podczas których możesz skosztować miejscowych specjałów, oglądając występy egzotycznych tancerzy. Czego ty jeszcze chcesz?

Drinka. Mocnego, solidnego drinka. Liczyłam na to, że przynajmniej w okresie miodowego miesiąca reżim zdrowotny zostanie trochę złagodzony, ale były to płonne nadzieje. Konsumpcja alkoholu nadal zajmowała wysoką pozycję na liście największych niebezpieczeństw zagrażających naszemu zdrowiu i życiu.

– Kiedy jest się daleko od domu, należy dbać o siebie jeszcze bardziej niż

zwykle – brzmiała odpowiedź Harleya na moją nieśmiałą sugestię, że można by napić się wina. – Ta podróż przewróciła do góry nogami cały mój program irygacji jelit, muszę więc jeszcze staranniejsz unikać wchłaniania toksyn. Tobie też to radzę.

W tych okolicznościach jedynym wyjściem była konspiracja. W hotelowym sklepie wypatrzyłam małe buteleczki wódki, które świetnie mieściły się w torebce, i kiedy Harley nie patrzył, wzmacniałam sobie trochę sok pomarańczowy. Kiedy się lepiej poznamy, myślałam, zacznę mu się przeciwstawiać, a na razie, no cóż... Nie dzieje mi się zresztą żadna krzywda; on to robi wyłącznie dla mojego dobra.

Jak on śmie decydować, co jest dla ciebie najlepsze? I dlaczego mu na to pozwalasz? szepnęła buntowniczo jakaś część mojego jestestwa. Udałam, że tego nie słyszę.

Jedyną czynnością nie zagrażającą życiu ani zdrowiu był dla niego seks, a jego wiedza teoretyczna dotycząca pozycji miłosnych, miejsc erogennych, gry wstępnej mogła iść w zawody z „Kamasutrą”. Zbrojny w imponujący zbiór owych technik, włókł mnie do pokoju trzy razy dziennie, a wieczorem zaledwie skończył jeść kolację, już gotów był biec na górę. Każda moja sugestia, żeby może wziąć udział w takiej czy innej formie nocnego życia hotelu, spotykała się z protestem. Na dodatek stał się podejrzliwy.

– Na tego rodzaju rozrywki będziemy mieć mnóstwo czasu, kiedy wrócimy do domu. Chyba ci się jeszcze nie znudziłem?

Czy miałam prawo narzekać? Po tak długiej abstynencji seksualnej przyspieszone odrabianie zaległości byłoby nawet dość miłą odmianą, gdyby nie różniło się tak diametralnie od moich wyobrażeń o tym, jak powinny wyglądać te sprawy między dwojgiem zakochanych ludzi. Podczas naszych łóżkowych sesji czułam się nie jak kochanka, lecz jak juror wielkiego konkursu męskiej sprawności fizycznej. Główny bohater tej imprezy przystępował do rzeczy z determinacją atlety gotowego zwyciężyć lub umrzeć. Na moje reakcje nie zwracał uwagi. Czułam nawet, że woli, aby ich nie było – wybijałyby go tylko z rytmu.

Dopiero po fakcie zaczynały się pytania.

– Byłem dobry? Podobało ci się? Było lepiej niż ostatnim razem?

Do diabła! Prowadzi punktację czy co? Zaczynałam czuć się jak przedmiot, jak wyeksploatowany przyrząd gimnastyczny.

Podczas całego pobytu tylko raz zdołałam namówić Harleya na krótką

wyprawę poza hotel. Powiedziałam sobie, że muszę zobaczyć chociaż kawałek tej wyspy, więc poty nalegałam, aż w końcu uległ moim prośbom. Wynajął limuzynę z szoferem i udaliśmy się na wycieczkę. Po moich dalszych naleganiach zgodził się nawet zjeść obiad w miejscowej restauracji rekomendowanej przez hotel jako doskonały lokal, słynący jakoby ze świetnych dań rybnych. Skończyło się to fatalnie – nazajutrz dostał wysypki. Leżał potem w łóżku przez trzy dni, narzekając bez przerwy na zawroty głowy i własną głupotę: że też dał się namówić na takie szaleństwo! Z góry przecież wiedział, jakie będą skutki! Musiałam przy nim siedzieć i słuchać jego złorzeczeń. Nie wolno mi było już nie tylko wyjść za bramę, ale nawet poleżeć przy basenie.

Wciąż jeszcze próbowałam go usprawiedliwiać: może należy do ludzi, którzy źle się czują na urlopie. Po powrocie do domu będzie lepiej. Kiedy pójdzie do pracy, będę mogła robić, co zechcę. Teraz powinnam skorzystać z tego, że jesteśmy razem, i postarać się go lepiej poznać. Przede wszystkim dużo z nim rozmawiać.

Próbowałam rozmawiać, ale każda nasza konwersacja już po paru minutach przekształcała się w dyskurs na temat zdrowia lub urody. Po trzykrotnym omówieniu jego diety i programu ćwiczeń fizycznych Harley zamilkł – jakby nie miał już nic do powiedzenia.

Pomyślałam, że pora na mnie – trzeba przejąć inicjatywę.

– Co lubisz czytać? – spytałam. – Wiem, że cenisz Dickensa, ale powiedz, co sądzisz o takich autorach, jak Jane Austen czy Anthony Trollope? A może wolisz Amerykanów? Podobał ci się „Huckleberry Finn”?

Może lepiej byłoby nie pytać, przekonałam się bowiem z przykrością, że wszystkie te „cenne”, oprawne w skórę foliały, które z taką dumą pokazywał mi w swojej „bibliotece”, stoją tam tylko na pokaz. Przeraziła mnie jego ignorancja. Jak można przejść przez życie, nie czytając Szekspira? Nie mając pojęcia, że George Eliot to nie mężczyzna? I jak można chodzić do łóżka z człowiekiem, który nawet nie słyszał o „Buszującym w zbożu”?

No cóż, powiedziałam sobie, zdarza się. Ale ja to naprawię. Zajmę się jego edukacją. Postanowiłam przedstawić mu w skrócie historię literatury angielskiej i amerykańskiej, streszczając przy okazji wątki fabularne ważniejszych pozycji. Po powrocie do domu zamierzałam podsunąć mu tę lekturę. Słuchał cierpliwie przez kilka minut, po czym przerwał mi niezbyt grzecznie:

– Daj spokój, Cindy, nie musisz tego robić.

– Jak to? – spytałam trochę za głośno, zapominając, że na razie postanowiłam

się z nim nie kłócić. – Każdy kulturalny człowiek musi znać podstawowy kanon literacki i zamierzam wbić ci go do głowy, czy tego chcesz, czy nie! Ignorancja to rzecz niewybaczalna!

– Ależ Cindy, nigdy ci nie zarzucałem ignorancji! Na miłość boską, co on bredzi?

– Wiem, z jakiego pochodzisz środowiska... To nie twoja wina, że brakuje ci wykształcenia i naprawdę nie musisz zadziwiać mnie w taki sposób... plotąc te uczone bzdury. Niepotrzebnie udajesz intelektualistkę. Kocham cię taką, jaka jesteś.

– Ale ja nie jestem taka, jak myślisz! – wrzasnęłam w skrajnej desperacji. – Ty mnie w ogóle nie słuchasz! Jestem osobą wykształconą, a to, o czym mówię, to nie żadne bzdury! To bardzo istotne sprawy i mnie one interesują! Ciebie też powinny!

– No, no, nie warto się tak unosić – uśmiechnął się ojcowsko. – Miło z twojej strony, kochanie, że zadajesz sobie tyle trudu, aby przedstawić mi się w jak najlepszym świetle, zwracam ci jednak uwagę, że ty mnie również nie słuchasz. Próbuję ci przecież powiedzieć, że twoje wykształcenie nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Daj spokój! Takie śliczne stworzenie jak ty nie musi nabijać sobie główki całą tą bzdurną sieczką. Lepiej chodź tu do mnie i pocałuj.

No nie, to niesłychane! A ja miałam nadzieję, że potrafię go czegoś nauczyć! Jaka przyszłość czeka mnie z człowiekiem, który mnie tak lekceważy? Moje słowa to dla niego bzdury!

– Idź do diabła! – mruknęłam wściekle.

– A to co? – Spojrzał na mnie z głębokim wyrzutem.

– Naprawdę nie masz powodu się dąsać. Ja się na ciebie nie gniewam.

Jak on śmie tak cię traktować! odezwało się moje drugie „ja”. Tym razem znacznie donośniej.

– Poza tym – oznajmił – nie rozumiem, dlaczego się denerwujesz. Mówimy przecież o książkach, prawda? Czy jest sens się kłócić o jakieś zmyślane historie?

Czyżby ten człowiek nie miał krzty wyobraźni?

Trochę później, gdy w końcu wyżebrał sobie moje wybaczenie (dość niechętnie) – inaczej musiałby odstąpić od bicia rekordów seksualnych – okazało się jednak, że wyobraźnię to on ma, tyle że szalenie jednostronną, ograniczała się bowiem wyłącznie do moich kontaktów z mężczyznami. Po serii sapnięć, chrząknięć i pomruków oznaczających, że dotarł zwycięsko do szczytu, zażądał nagle:

– Opowiedz mi o innych.

– O jakich innych? – udałam, że nie rozumiem. Przypomniała mi się Tessa, bohaterka filmu Polańskiego, i jej niefortunne wyznania.

– Wiesz doskonale, kogo mam na myśli – odrzekł surowo. – Moich poprzedników.

I co ja mu miałam powiedzieć? Wymyślić listę sercowych podbojów Cindy czy opisać incydent w furgonetce Barry’ego Thompsona? Bardzo chętnie wyznałabym prawdę, gdybym tylko wiedziała, co tu właściwie jest prawdą.

– Kocham cię, Harleyu – bąknęłam bez przekonania.

– Jakie znaczenie ma przeszłość?

– To samo powiedziałaś temu Woodcockowi?

– Komu? – Krew nagle zastygła mi w żyłach. Skąd on wie o Chucku? – Ależ to tylko instruktor aerobiku!

– Doprawdy? – Głos Harleya nabrał nieprzyjemnych tonów. – Myślisz, że jestem idiotą? Że nie wiem, co się dzieje na takich kursach?

– Ten człowiek nic dla mnie nie znaczy. Zapytaj o niego Trish. To ona się z nim przyjaźni. – Co ta głupia suka mu naplotła?

– A ja słyszałem co innego. Ktoś poinformował mnie podczas przyjęcia, że to twoja dawna miłość! – powiedział czy raczej zapiał. Twarz mu poczerwieniała, a oczy omal nie wyszły z orbit. – Chciałbym wiedzieć, co on robił na naszym weselu! A ty? Ty nagle sobie znikasz, prawda? Wystarczy dodać jedno do drugiego i sprawa staje się jasna! Byłaś z nim! Wymknęłaś się na szybki numer, a ze mnie zrobiłaś kompletnego durnia! Stara miłość nie rdzewieje, co?

– Nie, to nieprawda! – W oczach stanęły mi łzy. Jak on może! Jakież to niesprawiedliwe! – Dlaczego mi nie ufasz? Wolisz wierzyć plotkarzom niż mnie?

Chwycił mnie za ramiona i potrząsnął.

– Nie urodziłem się wczoraj! Dziewczyna tak piękna jak ty musiała mieć wielu kochanków. Powiedz mi prawdę: ilu ich było?

– Ja... hm...

– Mój Boże! Miałaś ich tylu, że nie umiesz zliczyć?!

– Nie, nie o to chodzi...

– Dosyć! Nic nie mów! – Odrzucił kołdrę i wyskoczył z łóżka. – To ponad moje siły! Jak pomyślę o tych facetach...!

– Posłuchaj...

– Przestań! Nie chcę nic słyszeć! – Szttywnym krokiem podszedł do okna. – Jak możesz tak mnie dręczyć? – rzucił bolesciwym szeptem.

Naciągnęłam koldrę na głowę, żeby stłumić zarówno łzy, jak i gniew. Cóż za fatalne nieporozumienie! I jak to teraz wyprostować?

Harley milczał. Po chwili coś szcęknięło – w pokoju powiało chłodem. Huknęły drzwi balkonowe.

– Harley?

Odpowiedzi nie było. Wygramoliłam się z łóżka i zerknęłam przez szybę na balkon. Stał nieruchomo jak posąg ubrany tylko w cienki błękitny szlafrok. Zacisnąwszy drżące ręce na poręczy, ponuro wpatrywał się w ciemność. Pomyślałam, że teraz dla odmiany gotów się przeziębici. Otworzyłam drzwi.

– Co ty wyprawiasz?

Odwrócił się do mnie z miną męczennika.

– Nie bądź idiotą – powiedziałam miękko. – Wyobrażasz sobie niestworzone rzeczy. Chodź do łóżka.

– Idiotą? – powtórzył zimno, cofając się przed moją wyciągniętą ręką. – Doprowadzasz mnie do rozpacz, a potem nazywasz idiotą? – Zburzył sobie włosy i potrząsnął głową. – Nie wiem, naprawdę nie wiem, co mam myśleć.

– No chodźże! – Z wolna traciłam cierpliwość. – Nie masz powodu się dąsać.

– Ja się nigdy nie dąsam. – Skrzyżował ręce na piersiach i odwrócił się do mnie tyłem.

Wycofałam się do pokoju. Przejdzie mu. Poczekam. Ale mijały minuty, a on nadal tkwił na balkonie. Teraz już zaczęła wzbierać we mnie złość. Jak on śmie mnie posądzać, że sypiam z Chuckiem Woodcockiem? Z takim potworem! Traktuje mnie jak kurwę! No właśnie! Tym się kończą rzewne opowiadki o wyśnionej dziewczynie a la „Pretty Woman”! Ciekawe, co by zrobił, gdybym rzeczywiście była prostytutką jak bohaterka z filmu? Zaczęłam się zastanawiać – przedtem nigdy nie przyszło mi to na myśl – jak w prawdziwym życiu wyglądałby ciąg dalszy tej filmowej story? Wyobraziłam sobie postarzałą Julię Roberts, jak układa do łóżek gromadę wrzeszczących dzieciaków, handrycząc się zarazem z mężem. Richard Gere akurat czyści zęby, odwraca się więc od lustra i rzuca jej w twarz: „Jak możesz tak na mnie ujadać? Tyle dla ciebie zrobiłem! Gdyby nie ja, pracowałabyś nadal na ulicy.” Z Harleyem byłoby tak samo.

Policzyłam powoli do setki, zamknęłam drzwi balkonowe i zgasłam światło.

– Też cię pieprzę – powiedziałam głośno. Rozległo się nerwowe pukanie w okno.

– Nie wygłupiaj się, Cindy! Wpuść mnie!

Wróciłam do łóżka i zatkałam uszy. Po tygodniu zaspokajania seksualnych

ambicji Harleya byłem tak wyczerpana, że od razu zasnąłem jak zabita.

Nazajutrz był pełen skruchy.

– Nie mam pojęcia, co mnie napadło – bąknął podnosząc się sztywno z nasiąkniętego rosą trzcinowego fotela, w którym przyszło mu spędzić noc. – Przepraszam cię, Cindy, zachowałem się jak głupi dupek.

Zęby szczękały mu z zimna, a na ramionach i nogach miał pełno czerwonych cętek. Zaczął gorączkowo szperać wśród stłoczonych na toalecie produktów swojej sławnej firmy.

– Coś mnie pogryzło – stwierdził niespokojnie. – Nie mamy tu czegoś bakteriobójczego?

Kiedy trochę później weszłam do pokoju, szlochał głośno, skulony na sofie z przyciśniętą do brzucha poduszką. Wyglądało to na ciężką chorobę albo lekki obłąd.

– Co ci jest? – wyrwał mi się okrzyk.

Wydał z siebie przeciągłe wycie, po czym usiadł i spytał z uśmiechem:

– Co? Co mówiłaś?

Wybałuszyłam oczy – czyżby naprawdę zwariował?

– Och, bardzo cię przepraszam, to tylko ćwiczenia bioenergetyczne – wyjaśnił z pewnym zakłopotaniem. – Staram się dokopać do swych dziecięcych emocji, by uwolnić nagromadzone w sobie pokłady gniewu. Gniew to podstępne uczucie, które trzeba szybko uzewnętrznić, bo jeśli je stłumisz, potrafi gromadzić się w tobie latami, a później objawiać pod inną postacią, na przykład w formie napięcia. To, co robiłem, nie jest oczywiście jedynym sposobem rozładowywania tych napięć. Można stosować i inne metody – wymownie zerknął w stronę łóżka. – Masz ochotę?

No cóż, nie wypadalo mi nie wyjść naprzeciw jego potrzebom, jednakże od tej chwili coś się między nami zmieniło. Seks przestał być prostą czynnością fizyczną; przerodził się teraz w swoisty instrument kary i dominacji. Każdy ruch Harleya odzywał mi się w głowie litanią jego zarzutów. Inni mężczyźni... Nie potrafił podobno znieść myśli, że mógł mnie posiadać ktoś inny, jakby tylko on jeden na to zasługiwał. A czym on się różnił od tych innych mężczyzn, którzy w tak brutalny sposób próbowali mnie dopaść? Traktował moje ciało jak trofeum, jak obiekt, za którego pośrednictwem mógł dowodzić własnej męskości, a ja? Ja go nie obchodziłam. Nawet nie próbował odnaleźć osoby ukrytej w pięknym ciele Cindy. Czulałam się oszukana, splugawiona i upokorzona. I to ma być miłość? Zaczynałam mieć dość tych praktyk.

Na szczęście nazajutrz całkiem nieoczekiwanie uległy one zawieszeniu.

– O Boże, krew! – wrzasnął Harley w trakcie porannej sesji seksualnej. Gwałtownie wyskoczył z łóżka i na widok swych splamionych genitaliów pognął co sił do łazienki, skąd po paru sekundach dobiegły mnie odgłosy zacieklego szorowania.

– Nie bój się, to tylko miesiączka! – zawołałam. Pojawił się dopiero po dłuższej chwili z ręcznikiem omotanym skromnie wokół bioder.

– Och, kochanie, musisz być okropnie zawiedziona – powiedział ze współczuciem, przysiadając na brzegu łóżka. Wręczył mi paczkę chusteczek higienicznych i westchnął melancholijnie. – Dla mnie to też wielki zawód.

– Jakoś go przeżyję – odrzekłam z uśmiechem, za którym kryła się ulga: jak to dobrze! Przez najbliższy tydzień będę miała spokój!

– No ale trudno – mówił Harley. – Może w przyszłym miesiącu bardziej nam się poszczęści.

Poszczęści?

– Jest w tym jedna rzecz pocieszająca – dorzucił z lisim uśmieszkiem. – Przynajmniej będę miał pewność, że to moje dziecko – po tych słowach poklepał mnie po brzuchu.

– Mam nadzieję, że pierwszy będzie chłopiec, a ty jak myślisz?

A to dopiero! – usiadłam na łóżku.

– Ależ mój drogi... przecież jeszcze nawet nie przedyskutowaliśmy tej sprawy... Nie uważasz, że hm... powinniśmy trochę poczekać, zanim... zanim postanowimy założyć rodzinę?

– A na co tu czekać?

Przed oczami stanęło mi nagle całe stado małych Harlejatek w identycznych jasnoblękitnych ubrankach. No tak, pilno mu spłodzić spadkobierców swojego imperium, ale ja... ja nie jestem jeszcze gotowa wziąć na siebie obowiązków rodzicielskich. Muszę wpierw uporządkować własne życie.

– Posłuchaj, ja...

– Nic się nie martw – przerwał mi z uśmiechem – będziesz cudowną mamusią.

W tej sytuacji postanowiłam rzecz jasna nie wspominać słówkiem o pigułkach, które nabyłam przed ślubem. Po pewnym czasie Harley nabierze podejrzeń, ale jakoś sobie z tym poradzę. Coś wymyślę. Na razie będę musiała pamiętać o tych pigułkach. Jeden dzień przerwy – i mógłby się zdarzyć wypadek. O nie – zrobię wszystko, by do tego nie dopuścić.



Pod koniec miesiąca miodowego byłam już kompletnie wyczerpana. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak strasznie meczące może stać się czyjeś towarzystwo. Harley nie spuszczał mnie z oka; śledził dosłownie każdy mój ruch, zwłaszcza gdy w pobliżu znajdowali się jacyś mężczyźni. Czułam się jak więzień.

Mimo to nadal próbowałam sobie wmawiać, że będzie lepiej. Przecież to dopiero początek, pierwsze koty za płoty. Kiedy przywykniemy do wspólnego życia, kiedy ja zainstaluję się na dobre w jego świecie, a Harley lepiej mnie pozna, zmieni swój stosunek do mnie. Zacznie szanować mnie jako człowieka. Będzie kosztowało mnie to trochę trudu, ale warto podjąć ten wysiłek.

Na lotnisku w Los Angeles czekał na nas Jose. Wracaliśmy do Beverly Hills nie znaną mi trasą, tak że zorientowałam się, gdzie jesteśmy, dopiero na skrzyżowaniu z Bulwarem Zachodzącego Słońca. W tej właśnie chwili Harley westchnął i trącił mnie łokciem.

– Popatrz! Spójrz w górę!

Spojrzałam i dech mi zaparło na widok własnej twarzy na zawieszanej nad jezdnią wielkiej tablicy reklamowej. To naprawdę ja? Wargi miałam lekko rozchylone, a oczy... oczy patrzyły w przestrzeń z jakąś dziwną zadumą. „Lapinique – głosił napis. – Bądź twarzą w tłumie”.

– Wyglądasz cudownie. Jestem z ciebie dumny – szepnął zachwycony Harley.

Próbowałam sobie przypomnieć, o czym myślałam w chwili utrwalonej na fotografii. Czyżbym wspominała dawną siebie? Jakąż daleką drogę przebyłam od czasów biednej, zaniedbanej Harriet, pomyślałam z uczuciem nagłej satysfakcji. Co by powiedzieli starzy znajomi z Guildfordu, gdyby mogli mnie teraz zobaczyć?

Moja podobizna widniała nie tylko na Sunset – pełno ich było w całym mieście. Mniejsze wersje plakatu pojawiły się również na stronach reklamowych wszystkich tygodników poświęconych modzie i urodzie oraz na stoiskach Lapinique we wszystkich wielkich domach towarowych.

Harley wziął mnie z sobą na specjalną promocję swych nowych produktów, zorganizowaną w centrum handlowym Neimana Marcusa, gdzie ku memu zdumieniu otoczyło mnie mnóstwo eleganckich kobiet w średnim wieku, domagając się autografów na świeżo zakupionych flakonikach perfum.

– Nie martw się – mruknął Harley, wsuwając mi do ręki pisak. – Zastosujemy standardową technikę postępowania. Zrób im przyjemność i podpisz parę buteleczek, a ja zawołam ochronę. Zaczną działać, gdy zobaczą, że chcemy już wyjść.

Och, chętnie podpisałabym wszystkie. Byłam strasznie podekscytowana tym,

że skupiam na sobie tyle zainteresowania – Harriet nigdy się to nie zdarzało. Zaczęłam myśleć, że dobrze byłoby spotkać się teraz z całym wytwornym towarzystwem poznanym u Crystal Kelly. Miałam wielką ochotę pokazać tym snobom, że popełnili karygodny błąd, traktując mnie jak idiotkę.

Obiecałam sobie, że gdy sama zacznę wydawać przyjęcia, będę na nie zapraszać wyłącznie interesujących i dobrze wychowanych ludzi. Reszta musi obejść się smakiem. Wyobrażałam już sobie, co się będzie działo: z jaką determinacją owa zgraja pieczeniarzy będzie walczyć o zaproszenia, zabiegać o moje łaski, ale nic z tego! Będą u mnie bywać tylko ci, których sama wybiorę. W tym mieście muszą być przecież jacyś kulturalni ludzie.

Okazało się, że niekoniecznie, a przekonałam się o tym już po kilku imprezach towarzyskich, w których wzięłam udział jako gość. Teraz kiedy byłam panią Brightman i do tego twarzą Lapinique, wszyscy traktowali mnie uprzejmie, ale z nikim nie udało mi się nawiązać prawdziwej rozmowy. Nie chodziło tu o żadną osobistą niechęć – ci ludzie byli dotknięci szczególnym rodzajem kalectwa: potrafili skupić się jedynie na tym, co mogło poprawić ich status, materialny czy towarzyski. Byłam zaszokowana płytkością ich zainteresowań i tak namiętym plotkarstwem, że graniczyło z obsesją. Mefisto wynalazł mi chyba jedyne miejsce na świecie, gdzie szare komórki uległy trwałej dysfunkcji.

Mimo przedślubnych nauk Eleanor zupełnie nie mogłam zrozumieć tutejszego systemu wartości. Co na przykład sprawia, że bogaci i wpływowi ludzie tak bardzo liczą się z opinią różnych szmatławych pismaków – autorów plotkarskich rubryk towarzyskich? Boją się im narazić? Dlaczego? Dlaczego przy ocenie mężczyzn i kobiet bierze się pod uwagę tak różne kryteria? W przypadku mężczyzny tym kryterium są wyłącznie jego osiągnięcia (lub ich brak), kobieta natomiast podlega krytyce z tysiąca powodów, takich jak wiek, kształt biustu czy choćby styl ubierania. Dlaczego wszyscy mają tu takiego kręćka na punkcie etykietek, i to nie tylko na odzieży? I dlaczego tutejsi panowie uważają, że wolno im pchać łapy pod spódnice, choć podobno szanują kobiety?

Miałam dość niewybrednych umizgów tych różnych Warrenów i Arniech, wulgarnych aluzji i insynuacji, od których roilo się w każdym ich zdaniu i które w tych sferach uchodziły widocznie za dowcip. Uganiali się za mną jak za zwierzyną – teraz nawet z większym zacięciem niż wtedy gdy byłam nikim. Ustrzelenie jakiejś Cindy Brown mogło, owszem, sprawić satysfakcję, ale cóż znaczyło w porównaniu ze zdobyciem takiego trofeum jak małżonka Harleya Brightmana! To dopiero było wyzwanie! Bez przerwy nęcano mnie propozycjami

– wspólnego lunchu, intymnej kolacji, ha, byli nawet tacy, którzy mieli czelność proponować mi spotkanie na parkingu.

Harley nie dostrzegł tych jawnych zamachów na moją małżeńską cnotę – zanadto absorbowwały go moje urojone zdrady. Widział je wszędzie. Jeżeli zdarzyło mi się zapomnieć o jego obsesji – cóż za karygodna lekkomyślność! – i dłużej niż dwie minuty rozmawiać z jakimś mniej irytującym, bo niezbyt natrętnym osobnikiem, natychmiast robił się nerwowy i zarządzał powrót do domu.

– Nie podobało mi się twoje zachowanie – mawiał potem cierpko. – Wdzięczyłaś się do tego faceta!

– Co ty mówisz? Staralam się tylko być miła. Ten pan spytał mnie o nasz pobyt na Barbados i czy mi się tam podobało. Była to zwykła towarzyska pogawędka.

– Nie powinnaś opowiadać obcym o swoim życiu prywatnym. Tak, Cindy, musisz się nauczyć jeszcze wielu rzeczy. Nie rozumiesz, że jedno nieopatrzne słowo może ci zepsuć reputację?

Zaczął wynajdywać dziesiątki powodów, żeby nie wychodzić z domu.

– Te przyjęcia są takie nudne! Teraz gdy mamy siebie, nie wolisz posiedzieć w domu? Po co wciąż gdzieś się szwendać?

Kiedy już decydował się wyjść, po godzinie zaczynał ziewać i ostentacyjnie zerkać na zegarek.

– Chodźmy już, Cindy, nie wolno nadużywać cudzej gościnności – powtarzał za każdym razem, przerywając mi rozmowę i ciągnąc do samochodu. – Poza tym powinnaś się wyspać; wiesz, jak ważny dla urody jest sen. Nie utrzymasz się w dobrej formie, jeśli będziesz wciąż zarywać noce.

Miał idee fixe na punkcie dobrej kondycji, co w jego pojęciu wymagało mnóstwa ograniczeń, szczególnie w jedzeniu. Uważał, że kawałek pieczonej kurzej piersi skropionej sokiem z limony i szklaneczka białego wytrawnego wina to wystarczający posiłek. Pół życia wypełniał mu problem, co wrzucić do brzucha, a drugie pół, jak to wydalić. Starał się nakłonić do tego i mnie, przekonując, że irygacja jelit to niezbędny warunek zdrowia.

– Koniecznie powinnaś tego spróbować. To najmniej bolesny i najskuteczniejszy sposób usuwania toksyn z organizmu.

Możliwe, mój problem polegał jednak nie na nadmiarze toksyn, lecz na ich stałym niedoborze. Cierpiałam nie tylko z braku alkoholu – byłam po prostu wciąż głodna. Marzyłam o czasach, gdy bez śladu poczucia winy mogłam raczyć się podwójną porcją specjalnego dania Marty'ego – po zjedzeniu pierwszej

dostawało się drugą za darmo. Ach, ten Harley! Nie dość że zaraz po ślubie narzucił mi drakońską dietę – minimum kalorii, minimum tłuszczu, minimum wszelkich składników odżywczych – to teraz każe mi jeszcze wyplukiwać z siebie te ich śladowe ilości? Przecież to czyste wariactwo.

Co mogłam robić, gdy Harley w trosce o swe cenne zdrowie udawał się na masaż do bioterapeuty lub na zabieg woskowania nozdrzy? Znudzona do granic rozpaczy snułam się godzinami po przeładowanych ozdobami salach tej dziwacznej rezydencji, martwej jak zapomniane przez wszystkich muzeum. Każde wyjście na zewnątrz – choćby nawet tylko do ogrodu – wymagało niezwyklej ostrożności: system alarmowy był tak czuły, że mógł go uruchomić nawet pies sąsiada, gdyby na mój widok zaczął szczekać.

Z braku lepszego zajęcia zaczęłam obserwować postępy Josego w sztuce formowania krzewów. Najlepiej było to widać z okien oranżerii, gdzie jadał się zwykle śniadania. Po mniej więcej dwóch tygodniach wierzchołki wysokich kielbaskowatych krzaków zaczęły nabierać niezwyklej konturów, ja jednak wciąż jeszcze nie wyczułam bluesa. Dopiero gdy nasz artysta przywiózł ze szklarni dwa kuliste drzewka laurowe i ustawił je po bokach swojej kompozycji, zrozumiałam, co przedstawia całość!

– Co ci jest, Cindy? – zaniepokoił się Harley, gdy zaczęłam krztusić się ze śmiechu nad talerzem płatków śniadaniowych, smętnej mieszaniny otrąb i suszonych śliwek. – Wpadło ci coś do tchawicy? Może zastosować chwyt Heimlicha?

Odważyłam się w końcu powiedzieć, że jestem potwornie znudzona. Przez chwilę wpatrywał się we mnie z takim wyrazem twarzy, jakby nie mógł pojąć, o czym mówię.

– Znudzona? – powtórzył jak echo, drapiąc się po głowie. – Ale jak możesz... Wiem! – rozpromienił się nagle. – Wiem, skarbie, o co tu chodzi! Twój zegar biologiczny tyka coraz głośniej!

Zegar? Tykanie? Co on wygaduje? Czy ja jestem jakąś cholerną bombą zegarową?

– Musimy jeszcze troszeczkę poczekać, ale jak tylko zrobimy tę reklamę telewizyjną, będziesz już mogła się zająć urządzaniem pokoju dla dziecka, zaczniesz kupować zabawki...

– O jakiej reklamie ty mówisz?

– Teraz żałuję, że się na to zgodziłem – odrzekł z lekkim westchnieniem – ale David tak się zapalił do tego pomysłu! Gdy zobaczył, jak rewelacyjnie poradziłaś

sobie podczas tej sesji zdjęciowej, doszedł do wniosku, że warto by nakręcić reklamówkę. Chce ją zrobić we Włoszech. Znalazł podobno idealne miejsce.

Mam się na to zgodzić? Znowu nikt nie pytał mnie o zdanie! I tak ma być zawsze?

No cóż, zacisnęłam zęby – wciąż jeszcze nie chciałam kłócić się z Harleyem, czułam jednak, że moja cierpliwość zaczyna się wyczerpywać, że prędzej czy później któreś z nas nie wytrzyma. Będziemy musieli powiedzieć głośno, że źle się między nami dzieje.

Od zewnątrz moje życie wyglądało idealnie. Pławiłam się w luksusie. Miałam dosłownie wszystko, czego może zapragnąć kobieta, i do tego przystojnego męża, który gotów był kochać się ze mną o każdej porze dnia i nocy. Czy można pragnąć czegoś więcej? zadawałam sobie pytanie. Czy nie powinnam być wdzięczna losowi, że okazał się dla mnie tak hojny? I czego właściwie ja pragnę?

Miłości. Harley wciąż powtarzał, że mnie kocha, ale co dla niego znaczyło to słowo?

– Ty mnie nie rozumiesz – powiedziałam łzawo pewnej nocy.

– Och, kochanie, rozumiem cię doskonale – odrzekł czule. – Przestań płakać, najdroższa, szkoda twoich oczu. A wiesz, jak bardzo łyzy szkodzą cerze?

– Ty mnie w ogóle nie znasz!

– Wiem, jaka jesteś piękna, nic więcej nie muszę wiedzieć. Kocham cię, Cindy.

Tak, tyle że dla niego słowo „miłość” oznaczało posiadanie, a dla mnie szacunek, bliskość i wzajemną ufność. Czy słusznie? A może po prostu się mylę? Może taka miłość istnieje tylko w powieściach? Może dałam się uwieść romantycznym mrzonkom – i oto skutek: przez całe życie uganiam się za ułudą?

Końcowa diagnoza sytuacji nie budziła jednak wątpliwości: moje wyśnione małżeństwo zaczyna przeradzać się w koszmar. Bo na cóż to zamieniłam swą wolność i niezależność? Kim stałam się w tym małżeństwie? Obiektem zabójczej eksploatacji seksualnej, skazanym na lata beznadziejnej nudy. Tak, Harriet, powiedziałam sobie, popełniłaś fatalny błąd, za który nie możesz już winić Mefista. Sama napytałaś sobie biedy, więc radź sobie teraz sama.

## ROZDZIAŁ 13

Postanowiłam skończyć z uległością i wywalczyć sobie niezależność. Podjąwszy tę decyzję, odczekałam, aż Harley uda się na cotygodniową sesję aromaterapii, i zaczęłam działać. Włożyłam wielki, opadający na oczy kapelusz, do tego ciemne okulary, wezwałam taksówkę i kazałam kierowcy jechać do Wenecji – tej tutejszej. Dzień był wprost idealny na spacer po plaży.

Odprawivszy taksówkę, zaczęłam wędrować drewnianym chodnikiem, przyglądając się stoiskom z różnościami i otaczającym mnie ludziom – kulturystom, wrotkarzom, prorokom New Age'u i innym mniej lub bardziej ekscentrycznym dziwakom, których pełno jest w każdym mieście, chociaż nie zawsze ich widać; kiedy jednak zaświeci słońce, tłumnie wychodzą z ukrycia. W przypiływie pewności siebie nabyłam paczuszkę pachnących świeczek oraz parę kolczyków w kształcie desek do surfingu, obejrzałam występy kilkorga artystów – żonglera, połykacza ognia, tancerki limbo – i syta tych wrażeń zasiadłam w ogródku plażowej kawiarenki, delektując się mocnym, dobrze schłodzonym piwem. Była to prawdziwa ulga poczuć się znów kimś zwyczajnym – niewidoczną częścią anonimowego tłumu.

Myślałam o tej włoskiej reklamówce, o której napomknął mi Harley. Gdyby podróż ta doszła do skutku, to z Włoch już nie tak daleko do Anglii... Może udałoby mi się odwiedzić Guildford? Odkąd ocknęłam się jako Cindy, nękało mnie wciąż pytanie, co stało się z ciałem Harriet...?

Z rozmyślań wyrwał mnie widok przechodzącej obok pary młodych ludzi. Tak czule trzymali się za ręce, że nagle zrobiło mi się smutno. Zazdrościłam im tego, że mogą po prostu tak iść, cieszyć się sobą, tym pięknym dniem i wszystkim, co ich otacza. Harley by nigdy tu ze mną nie przyszedł. Powiedziałaby pewnie, że to strasznie wulgarne miejsce. Jako Harriet nie miałam z kim dzielić takich drobnych codziennych przyjemności i teraz znów jest tak samo...

Poczułam, że ktoś mnie ciągnie za rękaw. Był to kilkuletni chłopiec z buzią umorusaną resztkami różnokolorowych lodów.

– Mamusia mówi, że ty jesteś Cindy Brightman i że jak nam nie dasz autografu, to powiemy wszystkim, że to ty – oświadczył rezolutnie, wyjmując z kieszonki długopis.

Rozejrzawszy się chyłkiem po sąsiednich stolikach, zobaczyłam jakieś dwie panie machające do mnie rękami. Uśmiechały się przy tym od ucha do ucha.

Podpisałam się na serwetce i wręczyłam ją chłopcu.

– Proszę, tylko pamiętaj, nikomu ani słówka! To będzie nasz sekret, dobrze?

Mały stał bez ruchu z rozdziawioną buzią, gapiąc się w serwetkę.

– No zmykaj! Już! – szepnęłam. – Uciekaj, do licha!

– Mamooo! – rozdarł się na całe gardło. – Miałaś rację, to ona! Tu jest napisane „Cindy Brightman”!

Wszystkie głowy jak na komendę obróciły się w moją stronę.

– Ojej, to pani! – zawołała kobieta przy sąsiednim stoliku, która dotąd uparcie strząsała mi na nogę popiół z papierosa. – Podpisze mi pani menu? Będę dozgonnie wdzięczna!

W tej samej chwili jakiś podstarzały jegomość w bermudach położył przede mną cały stos serwetek.

– Byłaby pani uprzejma...? – wyciągnął plastikowe pióro. – Zrobiłbym wspaniałą niespodziankę wnuczkom...

– Hej, Wilbur, skocz no do wozu po aparat! – rozległ się czyjś okrzyk. Przy stoliku tymczasem zdążył już zebrać się tłum.

– Bardzo proszę... dla każdej osobno – poprosił dziadek w bermudach. – Będę podawał pani ich imiona.

– Niech mi pani daruje kosmyk swoich włosów – zagruchała mi nad uchem pulchna dama w różowym owerolu.

Zobaczyłam w jej ręku nożyczki do paznokci i ogarnął mnie popłoch. Zaczęłam desperacko rozglądać się za telefonem.

– Bardzo państwa przepraszam, ale muszę już iść.

– Co?! – Dookoła wybuchła wrzawa. – Teraz? Nie ma mowy! Byłam następna!

– Akurat! Ja pierwsza ją zobaczyłam!

Jakaś dziewczyna na wrotkach zaatakowała mnie z furją.

– Ty nadęta suko! Co ty sobie myślisz? Że jesteś księżną Dianą?

To wystarczyło, aby bomba pękła. Ktoś szarpnął mnie za ubranie, oderwał kawałek spódnicy i zaczął z triumfem potrząsać swoim trofeum. Rzuciłam się do ucieczki.

– Hej, daj kawałek! – zawołał ktoś do szczęśliwca.

– Mnie też! – zawtórowały mu inne głosy. Przystanąłam na moment, żeby zdjąć pantofle – ciężko jest biec po piasku. Tamci ruszyli za mną. Poderwałam się z miejsca i co sił w nogach popędziłam w kierunku głównej ulicy. Była już niedaleko, ale moi prześladowcy również. Z desperacji cisnęłam w nich butami. Rozległ się dziki wrzask. Dobięłam wreszcie do ulicy i popatrzyłam za siebie.

Tłum rzucił się na te buty niczym stado wygłodniałych wilków.

– Odwal się! Kto je spostrzegł? Ja!

– Puszczaj! Ten jest mój!

– Wszystko w porządku, proszę pani? – Znienacka pojawił się przy mnie policjant. – Ach! – Oczy mu nagle zabłysły. – Czy pani nie jest tą sławną modelką...? Hm... nie pamiętam nazwiska...

– Cindy Brightman – powiedziałam ze znużeniem.

– Dam panu autograf, tylko niech mi pan pomoże stąd uciec.

Kosztowało mnie to znacznie więcej. Pojechaliśmy wpierw do komendy, gdzie musiałam pozować do zdjęć w otoczeniu chyba połowy sił policyjnych Los Angeles, a potem podpisać kij do bejsbola na doroczną wentę dobroczynną. Dopiero wtedy zgodzili się mnie wypuścić.

Harley z ponurą miną wysłuchał mojej relacji.

– Co ci strzeliło do głowy, żeby akurat tam jechać?

– spytał z najwyższym niesmakiem. – Nie wyobrażam sobie już gorszego miejsca.

– No i nikt cię nie prosił, żebyś tam ze mną jechał!

– Nawet mi nie powiedziałaś, dokąd się wybierasz!

– żołądkował się dalej. – Zachowałeś się nieodpowiedzialnie. A gdyby ci się coś stało?

– Nie wiedziałam, że mam obowiązek prosić cię o przepustkę, kiedy zamierzam gdzieś wyjść. I że spacer po plaży to przestępstwo.

Następnego dnia w porannym wydaniu „Los Angeles Times” ukazały się moje zdjęcia z tej niedozwolonej wyprawy.

– Chcesz mi zepsuć reputację? – syknął Harley, trzaskając gazetą o stół. – Czyś ty kompletnie zgłupiała?

– Te zdjęcia to nie moja wina – odrzekłam w miarę spokojnie. – I wciąż nie rozumiem, dlaczego traktujesz mnie jak przestępczynię.

– Ty zupełnie nie zdajesz sobie sprawy, jaka jesteś sławna! – rzucił z hamowaną złością. – I że wszystko, co robisz, odbija się na wizerunku Lapinique.

Rzeczywiście nie zdawałam sobie z tego sprawy. Ani z korzyści, jakich przysparzam tej firmie. Okazało się bowiem, że ostatnia kampania reklamowa chwyciła bardziej niż inne, do czego przyczyniła się pewnie historia biednego Kopciuszka, który stał się nagle twarzą Lapinique. David zaczął już właśnie negocjować umowę z pewnym znanym projektantem odzieży sportowej, który



chciał tym rzeczom nadać moje imię; mówiło się również o nowym sosie do sałatek polecanym przez Cindy Brightman.

– Będzie oczywiście niskokaloryczny – poinformował mnie Harley. – I bez żadnych chemikaliów.

Ale co ja mam z tego? pomyślałam cierpko. Ten szum wokół mojej osoby pozbawił mnie wszystkich drobnych przyjemności, o których marzyłam jako Harriet. Nie wolno mi było teraz nawet przejść się ulicą, kupić sobie sukni, zawrzeć żadnej nowej znajomości. Nie miałam prawa korzystać z życia jak inni – ci brzydcy czy pospolici – ponieważ byłam zbyt piękna! Jakby ta piękna cielesna powłoka mogła doznać przez to uszczerbku. A było akurat odwrotnie: to ja ponosiłam straty, bo krępowała mi ruchy jak zbyt ciasna suknia. Stałam się jej więźniem.

Gdziekolwiek się pojawiałam, pokazywano mnie sobie palcami. Nie miałam spokoju nawet w toalecie. U „Wagnera” tam właśnie dopadły mnie dwie szalone łowczynie autografów, które przedostały się do środka po zewnętrznych schodach ewakuacyjnych. Gdy uciekłam do kabiny, wsunęły pod drzwi zeszyt i zagroziły, że jeśli nie spełnię ich żądań, włączą urządzenia alarmowe, które noszą przy sobie na wypadek gwałtu. Cóż miałam począć? Zrobiłam, co chciały.

Pewnego wieczoru, gdy samotnie oglądałam telewizję – wybrałam w tym celu bawialnię w stylu regencji – w drzwiach nieoczekiwanie pojawiła się Eleanor.

– Harley jest w sali ćwiczeń – powiedziałam, nie patrząc jej w oczy. Odkąd się przekonałam, co o mnie myśli, zamieniłam z nią zaledwie parę słów.

– Wiem. – Bez pytania, czy może, usiadła obok na szezlongu. – Już się z nim widziałam. To on mi zasugerował, że powinnam z tobą pogawędzić.

Demonstracyjnie odsunęłam się od niej na sam brzeg szezlonga.

– O czym? Chcesz mnie przeprosić za tę „zwykłą naciągaczkę” i „małą pindzię”?

– Och, moja droga, skąd ci przyszło na myśl, że ja bym tak mogła powiedzieć?

– Słyszałam na własne uszy. Podczas wesela. Nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi.

Zatrzepotała powiekami, po czym wzięła pilota i spokojnie wyłączyła telewizor.

– Och, podczas wesela... Na nic, co mówię w tych okolicznościach, nie warto zwracać uwagi. – Starannie umieściła pilota na stole, uważając, by leżał równiutko z pudełkiem chusteczek higienicznych i zwiniętym kolorowym tygodnikiem. – Wszystkie wesela wywołują u mnie nadmierne emocje. Według

mego psychoanalityka powodem są jakieś głębokie urazy z dzieciństwa. Twierdzi, że w takich momentach uruchamia się we mnie nieświadomy mechanizm obronny: próbuję dokonać sublimacji uczuć, mówiąc zupełnie co innego niż to, co czuję. – Zerknęła na mnie ukradkiem, po czym pozwoliła sobie zachichotać: – Wiem, że brzmi to głupio, ale taka jest prawda. Żeby ją poznać, musiałam przez dwa lata płacić memu terapeutce po dwieście dolarów za godzinę, rozumiesz więc chyba, że nie mogę się z nim nie zgodzić.

Ależ ona ma tupet! pomyślałam nie bez podziwu. Tym gadaniem potrafiłaby skołować nawet diabła. Wmówiłaby mu, że jest święty, gdyby miała w tym swój interes.

– Pogadajmy otwarcie, Cindy – gładko zmieniła temat. – Harley trochę się o ciebie martwi... Chodzi o pewne sprawy, o których być może trudno byłoby ci mówić z mężczyzną. Dlatego poprosił mnie. Byłaś ostatnio u ginekologa?

– Po co?

Przewróciła oczami, wzdychając ciężko.

– Tak myślałam. Więc nie masz wykresu cyklu miesięcznego z oznaczeniem dni płodnych ani żadnej kontroli nad jego długością?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. Otworzyła torebkę i wyjęła z niej wizytówkę.

– Proszę, oto nazwisko i adres mojego ginekologa. Radzę ci jak najszybciej umówić się na wizytę. Weź z sobą kalendarzyk. Powinnaś kontrolować swój okres; po prostu tak go planować, żeby ci nie kolidował z terminem filmowania czy innymi obowiązkami. Współczesna kobieta może sama o tym decydować, rozumiesz? Lekarze mają dziś do dyspozycji tyle doskonałych środków! Nie musisz się już martwić, że suknia źle leży, bo wskutek zatrzymania wody w organizmie powiększył ci się brzuch, albo że podczas ważnej kolacji przydarzy ci się nagle katastrofa. Co do reszty – stwierdziła, zerknawszy chyłkiem na drzwi – wiem, moja droga, że Harleyowi się spieszy, nie pozwól mu się jednak popędzać. Te sprawy trzeba dobrze zaplanować. Zdając się na łaskę przypadku, narażasz się na przykre niespodzianki, takie jak nadmiar niepożądanych genów, niewłaściwy kolor oczu czy nieodpowiednia płć.

– Nieodpowiednia płć?

– No tak. Przypuszczam, że chcesz mieć chłopca i dziewczynkę, jak wszyscy. Wiedz, że istnieje specjalna dieta, dzięki której możesz rodzić dzieci w takiej kolejności, jaka ci odpowiada. Osobiście uważam, że lepiej zacząć od chłopca. Przy chłopcach można sobie pozwolić na parę błędów, są na nie bardziej odporni. Poza tym wychowując syna, nabierasz doświadczeń, tak że kiedy z kolei urodzi się

twoja prześliczna kruszynka, będziesz już wiedziała, co robić. – W oczach Eleanor pojawił się w tym momencie dziwnie tęskny wyraz. – A jest o czym myśleć. Dzieci to mnóstwo problemów. Jakie szkoły im wybrać, jaki wpoić system wartości... Wiąże się z tym kwestia codziennej opieki. Nie wolno powierzać dzieci byle komu, komuś jak ta wasza Meksykanin.

– Ja nie chcę mieć dzieci.

– Nonsens! Oczywiście że chcesz! Wszyscy dziś chcą mieć dzieci. Jeśli nie będziesz ich miała, ludzie uznają cię za nienormalną. Dzieci to twoje aktywa, pod warunkiem że właściwie zaplanujesz ich narodziny. Pomyśl, ile znaczy dobre planowanie! Nim dojdiesz do czterdziestki, chłopaka możesz już mieć z głowy, zaczniesz sam na siebie zarabiać, a twoja córeczka będzie jeszcze na tyle mała, zwłaszcza jeśli odpowiednio zadbasz o jej ubiór, że będziesz mogła śmiało uchodzić za młodą matkę. A kiedy Harley zacznie romansować, mała tak już podrośnie, że będziesz miała przynajmniej do kogo otworzyć usta. Parsknęłam śmiechem.

– Harley i romanse! – Rozbawiła mnie ta myśl, choć nie bardzo wiedziałam czemu.

– Będzie je miał, zobaczysz – westchnęła Eleanor.

– Oni wszyscy to robią. Taki jest ten świat.

– A ty masz dzieci? – Jakoś nigdy jej o to nie pytałam.

– Tylko jedno, syna – odrzekła smętnie. – Arnie jest moim drugim mężem, no i wiesz... na drugie dziecko było już za późno. A tak pragnęłam mieć córkę...

Jeśli sobie uroiłaś, że ja ci posłużę za namiastkę córki, to się grubo mylisz, pomyślałam. Prędkiej zjem diabła.

– Jaki on jest? – spytałam głośno. – Twój syn. Eleanor wyjęła puderniczkę i zaczęła przeglądać się w lusterku.

– Ostatnio rzadko go widuję – wyznała niechętnie.

– Ma własne życie... – Oderwała na chwilę wzrok od lusterka i spojrzała na mnie z miną ciężko skrzywdzonej osoby. – On łysieje, wyobrażasz sobie? Co można pomyśleć o mnie, kiedy widzi się nas razem? Że mam sto lat! A jego to nic nie obchodzi! Nie chce nawet włożyć kapelusza!

Drżącymi rękami odkręciła szminkę i zaczęła poprawiać sobie usta. Widać było, że to wyznanie kosztowało ją sporo nerwów, mnie natomiast sprawiło cichą satysfakcję. Dobrze wiedzieć, że i ona ma jakąś słabość, że w jej świetnie zorganizowanym życiu nie wszystko jest doskonałe.

– Ale cóż to ja słyszę? – gwałtownie zmieniła temat. Był to jej wypróbowany

sposób zamykania spraw niewygodnych lub pomijania tego, co nie leżało w jej planach.

– Podobno urządziłaś sobie wycieczkę na jakąś brudną publiczną plażę? Zapomniałaś o moich przestrożach?

– Nie wolno mi już nawet wyjść samej? – rzuciłam zaczepnie. – Nie mogę od czasu do czasu zachować się jak zwykły człowiek?

– Nie, moja droga, bo nie jesteś kimś zwykłym, już ci to zresztą mówiłam. Jesteś twarzą Lapinique i żoną Harleya Brightmana, co nakłada na ciebie pewne obowiązki. Masz swoją publiczność, której nie wolno ci zawieść.

– Zawieść? W jaki sposób?

– Widzę, że wciąż nie rozumiesz, jak działa mechanizm reklamowy – stwierdziła z westchnieniem. – Myślisz, że klientki płaciłyby takie pieniądze za produkty firmy Lapinique, gdyby reklamowała je osoba, na którą można się natknąć w kolejce do autobusu? Ktoś taki sam jak one?

Zaczęłam się śmiać.

– Co za różnica, kto je reklamuje? Produkt się przez to nie zmienia, a za co się płaci? Za produkt.

– I tu się grubo mylisz, moja droga. Jakość produktu to rzecz najmniej ważna. Wiesz, co kupują wasze klientki? Twój wizerunek. Z każdym flakonem perfum czy słoiczkiem kremu te kobiety kupują kawaleczek ciebie, stawiają go na toaletce i karmią nim swoje marzenia. Mówią sobie, że jeśli spośród setek innych wybiorą kosmetyk Lapinique, poszczęści im się tak samo jak tobie. Obudzą się pewnego dnia piękne jak księżniczki z bajki albo zdobędą bogactwo i sławę, bo pokocha je prawdziwy książę. Tak jak to było z tobą.

Zaczerpnęła oddechu i mówiła dalej.

– A wiesz, co się stanie, kiedy zaczniesz włączyć się po plaży, ubierać i zachowywać jak zwykła dziewczyna? Zniszczysz ich marzenia, rozumiesz? Twój wizerunek stanie się, przestanie być inspiracją! – wykrzyknęła gniewnie. Wydawała się tak poruszona, jakby moja lekkomyślność zagrażała jej samej. A może... może mi zazdrości – tego, że jestem sławna, w dodatku młoda i piękna?

– I jeszcze jedno! – Eleonor zapalała się coraz bardziej. – Jeśli będziesz się tak zachowywać, zaszkożysz przez to nam wszystkim. Gdy przeciętny obywatel tego kraju zacznie myśleć, że nie jesteśmy od niego lepsi, że każdy może być bogaty i mieszkać w Beverly Hills, wiesz, co się z nami stanie?

Utracimy nasz wysoki status. Zawali się cały porządek społeczny!

Drżąc ze wzburzenia, podniosła się z miejsca.

– Bogactwo! – krzyknęła z nutą hysterii w głosie.

– Wiesz, jaką budzi zazdrość? Nie ma go tyle na świecie, żeby starczyło dla wszystkich! Chcesz dzielić się tym, co mamy, z tysiącami innych?

– Nikt ci nie chce niczego odbierać – powiedziałam uspokajająco, odprowadzając ją do drzwi.

– Nie byłabym tego taka pewna – odrzekła ponuro.

– Ludzie są coraz gorsi. Nie dalej niż wczoraj jakiś włóczęga grzebał w naszych śmieciach. Był tak bezczelny, że wyniósł się dopiero wtedy, gdy kazałam Arniemu poszczuć go psami.

Trish także dała znać o sobie. Zaczęła nękać mnie telefonami i czynić gorzkie wyrzuty, że nie dotrzymuję słowa. Przyrzekłam przecież nie zrywać starych przyjaźni – i co? O, ale ona wiedziała! Od razu wiedziała, że tak się to skończy! Głupio mi było przyznawać jej rację, więc chcąc nie chcąc musiałam ją wreszcie zaprosić.

Kiedy się zjawiała, Harleya nie było w domu. Czyniąc zadość swej manii zdrowotnej, powiększył ostatnio liczbę niezbędnych zabiegów o akupunkturę i właśnie pojechał do jakiegoś mistrza od igieł.

– O, jasna cholera! – wyszeptwała Trish, gdy oprowadziłam ją po domu. – Ale chata! Ty to masz szczęście!

Zabrałam ją do oranżerii i starannie zamknęłam drzwi.

– Mylisz się, Trish – powiedziałam przyciszonym głosem. – Nie jest tu tak wspaniale, jak by się mogło wydawać. Inaczej to sobie wyobrażałam.

– Ja cię kręcę! – mruknęła, nie zważając na moje słowa. Chyba już nawet ogłuchła z zazdrości.

– Posłuchaj – nie dawałam za wygraną – naprawdę nie jest tak wspaniale. Mówię o moim współżyciu z Harleyem... Nie o tym marzyłam. Nie jestem szczęśliwa, rozumiesz?

Teraz dopiero szeroko otworzyła oczy.

– Ale jesteś sławna, prawda? Jak możesz być nieszczęśliwa? A to? – Pomacała obicie sofy, tak wiernej repliki stylowego mebla, że wyglądała jak antyk. – To się dla ciebie nie liczy? Twój mąż ma forsy jak lodu! I na co tu można narzekać?

– Oj, Trish, pieniądze i sława to nie wszystko.

Jej spojrzenie powiedziało mi jasno, że jest zgoła innego zdania, a ja mam chyba źle w głowie.

– No to o co chodzi? – spytała po chwili namysłu.

– Kiepski jest w łóżku? Powoli pokręciłam głową.

– Nie, nie w tym rzecz... Puściła to mimo uszu.

– Nie można mieć wszystkiego, Cin! – trajkotała dalej.

– Trudno się spodziewać, żeby facet w wieku Harleya był w takiej kondycji jak Chuck Woodcock, prawda? Chociaż co ja mogę o tym wiedzieć? – dodała z głębokim westchnieniem. – Znów mi się wymknął. Poszedł do łóżka z tą zdziwą Sharleen, wyobrażasz sobie? Zaraz po twoim weselu. A już myślałam, że go mam.

– Nie zrozumiałaś mnie, Trish. Tu nie chodzi o seks. Tego mam aż za dużo. Harley... On po prostu nie daje mi spokoju.

Wyraźnie ją to zaskoczyło.

– Nie daje ci spokoju? Jak często? – W jej głosie słychać było zazdrość.

– Tak często, że mnie to wykańcza. Co noc dwa lub trzy razy. Jestem przez to stale niewyspana. Ale to jeszcze nic. Najgorsze, że...

– Słodki Jezu! – Trish wzniosła oczy ku niebu i zaczęła drapać się po udzie. – Ja bym nie miała nic przeciwko temu.

– Najgorsze jest to, że go nie kocham.

– Miłość? – parsknęła szyderczo. – Ale masz zachcianki! I czego byś jeszcze chciała? Gwiazdki z nieba? Na jakim świecie ty żyjesz? Od czasu tego wypadku wciąż nachodzą cię jakieś zwariowane myśli. Przestań bujać w obłokach i zejźdź na ziemię.

– Jak? – spytałam posępnie. – Jak mam to zrobić?

– Wiem, czego ci trzeba – powiedziała uspokajająco.

– Powinnaś zająć w ciąży. Ile to już czasu minęło od ślubu?

– Na chwilę zamilkła, aby dokonać obliczeń. – Zobaczysz, jak wszystko się zmieni, kiedy zaczną tu dreptać malutkie nóżki.

– Ale ja nie chcę mieć dzieci!

– Oczywiście że chcesz, ty głupia! Dopiero gdy urodzisz dzieci, będziesz naprawdę bezpieczna. Będziesz mogła robić, co ci się podoba! Zafundujesz sobie kochanka albo nawet kilku, a kiedy Harley zechce się z tobą rozwieść, zgarniesz całą jego forszę. On to wie i dlatego woli być ostrożny, ale z tym można sobie poradzić. Wystarczy przekłuć mu prezerwatywy.

– Ale...

– Do sądu cię przecież nie poda! Ludzie po to się żenią, żeby mieć dzieci, a ty jesteś jego żoną! Nic nie ryzykujesz! I lepiej zrób to szybko, póki nie spodoba mu się jakaś inna.

– Cicho! – Z holu doszły mnie czyjeś głosy. Zaraz potem w drzwiach stanął Harley.

– Cóż to ja słyszę? George mówi, że była tu ta twoja straszna przyjaciółka... – Na widok Trish urwał gwałtownie i spłonął krwistym rumieńcem. – Przepraszam – bąknął niewyraźnie – nie wiedziałem, że jeszcze tu jesteś...

– Cześć, Harley – rzuciła przymilnie Trish, wcale nie zmieszana takim powitaniem. – Właśnie o tobie mówimy.

– Przestań, do diabła! – syknęłam kącikiem ust, kopiąc ją w kostkę. – Zamknij się!

– Wiesz, jaki masz problem? – paplała dalej, nie zrażona moją interwencją. – Twoja Cindy strasznie chce mieć dzieci. Opowiadałam jej właśnie przed chwilą, jakich to ślicznych bobasków dochowała się moja bratowa, i wiesz co ona na to? Robi się smutna i zaczyna wzdychać: „Ja to się chyba nigdy nie doczekam”.

– To nie twoja sprawa! – burknął Harley, po czym nagle wybałuszył na nią oczy. – Co powiedziałaś?

– Och – zachichotała perliście – nie udawaj, że nie słyszałeś!

– Naprawdę, kochanie? – Rozpromieniony ruszył w moją stronę.

– Może i masz rację, że to nie mój interes – zaczęła trajkotać znów Trish – ale u mnie co w sercu, to na języku. Musiałam ci to powiedzieć, bo wiem, że Cindy byłaby wspaniałą matką!

– Ja też jej to mówię.

– I co? Teraz już chyba nie powiesz, że nigdy ci nie pomogłam – szepnęła z triumfem, po czym z olśniewającym uśmiechem zwróciła się do Harleya. – Skoro już wreszcie się znamy, zrób mi przyjemność i opowiedz o swojej firmie, o nowych kosmetykach i w ogóle. Wiesz, Lapinique to moja ulubiona marka.

– Doprawdy? – Widać było, że mu to pochlebia. – Więc używasz naszych kosmetyków. Do jakiego rodzaju cery?

Już po chwili tak ich pochłonęła dyskusja o kremach, perfumach i mleczkach, że zupełnie o mnie zapomnieli.

– Fantastycznie znasz się na rzeczy! – wykrzyknął po godzinie zachwycony Harley. – Taka opinia to pierwszorzędny materiał dla naszych ekspertów!

Zaczynałam już wątpić, czy Trish kiedykolwiek sobie pójdzie, w końcu jednak podniosła się z sofy.

– Powinnam już lecieć – oznajmiła, mrugając do mnie porozumiewawczo. – No to pa! Zostawiam was samych, gołąbeczki!

Już przy drzwiach wydobyła coś z torebki. Okazało się, że są to kserokopie starego zdjęcia, przedstawiającego ją samą i Cindy – tę prawdziwą – przed wejściem do knajpy Marty’ego.

– Mogłabyś mi je podpisać? Wiesz, Marty wciąż ma to stoisko... Można by spuścić te fotki po dziesięć kawałków za sztukę.

– Zostaw mi to – mruknęłam, wciskając rulonik do pierwszej z brzegu szuflady. – Zobaczą, co da się zrobić.

– Wiesz, Cindy, chyba się myliłem co do twojej przyjaciółki – stwierdził przy kolacji Harley. – Wydaje się całkiem miłą, kiedy się ją lepiej pozna. To bardzo rozsądna dziewczyna. Może powinnaś zapraszać ją częściej?

– David zamieszka tu na jakiś czas – oznajmił mi przed południem następnego dnia.

– Po co? – Zdumiała mnie ta wiadomość. – Przecież... Wydawało mi się, że mieszka niedaleko.

– A czy musi mieć jakiś szczególny powód? – Włożył dużą brązową kopertę do elektrycznego otwieracza i włączył przycisk. – Po prostu lubi czasem zmienić otoczenie, zresztą jak każdy, a poza tym jest pewna sprawa, którą musimy omówić. Wiem, że za nim nie przepadasz – powiedział z wyrzutem – ale to mój brat. Spróbuj tym razem być dla niego miła.

Stojący na stole gadżet zawarczał i zaczął ciąć kopertę na wążutkie paski.

– A niech to diabli! – zaklął Harley, próbując wyrwać mu z gardła dokument. – Ktoś widocznie musiał się tym bawić!

– Czy to coś ważnego? – spytałam, gdy udało mu się wreszcie odebrać maszynie smętne resztki jakiegoś sprawozdania. Zdołał je z trudem odczytać, lecz sądząc po wyrazie twarzy, treść korespondencji nie sprawiła mu przyjemności.

– Och, chodzi o tych oszustów z Lapinette – odrzekł z roztargnieniem. – To taka firma produkująca podróbki naszych kosmetyków. Sprzedają je później za dziesiątą część naszych cen. Kazałem wykonać analizę ich kremu do twarzy i właśnie przysłano mi raport. Okazuje się, że ich produkt zawiera dokładnie te same składniki co nasz! – W zamyśleniu zanurzył rękę we włosy i zaczął skręcać je w palcach. – Chciałbym wiedzieć, skąd mają naszą formułę!

Serce zabiło mi żywiej – Harley nigdy dotąd nie tylko nie dyskutował ze mną o działalności swej firmy, ale nawet nie wspominał o tych sprawach. Czyżby wreszcie zaczął traktować mnie serio? Jak równego partnera?

– Czy to jakaś bardzo szczególna formuła? Na czym polega działanie tego kremu?

– Co? – Odrzucił włosy z czoła i wziął się do otwierania następnego listu. – Och, to zbyt skomplikowane. Nie zrozumiałabyś.

Jego ręczny zegarek zaczął nagle dzwonić.



– Czas na twój trening, skarbie – oznajmił rzuciwszy okiem na tarczę. – Biegnij do siłowni.

Och, ty draniu! pomyślałam z wściekłością. Traktujesz mnie jak głupie dziecko!

Już miałam trzasnąć drzwiami, gdy dobiegł mnie jego głos.

– Hej, Cindy, dzisiaj nie będziemy oszukiwać, prawda? Nie warto tego robić, kochanie. Wyrządzasz tylko krzywdę samej sobie.

Wściekałam się przez godzinę, łażąc po pokojach, nim doszłam do wniosku, że ostatecznie mogę to robić wszędzie, choćby w tej głupiej siłowni. Mogę tam nawet trochę poćwiczyć, a jeśli mi się nie zechce, zawsze mam w odwodzie mechaniczny deptak. Wystarczy pomajstrować przy liczniku kilometrów, żeby zatkać Harleyowi gębę...

Przechodząc obok otwartego okna, pod którym znajdował się taras, usłyszałam czyjeś przytłumione głosy, więc ostrożnie wyjrzałam na zewnątrz. Aha, David już jest. Siedział w niedbalej pozie na leżaku przy otwartych drzwiach przebieralni. Harley podłączony do aparatury kontrolującej poziom cholesterolu we krwi leżał nieopodal pod markizą na specjalnym rozkładanym krześle. Wokół obu przegubów wiły mu się druty. Miałam już iść dalej, kiedy usłyszałam, że gadają o mnie.

– Nie, Davidzie, nie wiem, czy Cindy będzie w ogóle jeszcze coś robić – usłyszałem cierpki głos Harleya. – Miała ci wystarczyć tylko jedna sesja zdjęciowa, a tu proszę! Wciąż masz jakieś nowe pomysły. Kiedy się zgodziłem na tę włoską reklamówkę, ty od razu wymyśliłeś drugą! Potem będzie następna, a po niej jeszcze jedna i tak bez końca! Nie! To mi nie odpowiada!

– Nie śledziłeś wyników sprzedaży? Chyba mi nie powiesz, że nie umiesz już czytać bilansów?

Harley coś wymamrotał, ale tak niewyraźnie, że nie zrozumiałam.

– Dochód ze sprzedaży samych tylko perfum pobił wszystkie nasze rekordy – ciągnął David. – Nigdy jeszcze promocja nowych wyrobów nie przyniosła tak wielkich zysków. A przeprowadzone sondaże wykazują, słuchaj dobrze, bo to wręcz niewiarygodne, że prawie osiemdziesiąt procent badanych dokonało zakupów pod wpływem ostatniej kampanii reklamowej. Masz! Zobacz sam! – Podsunął Harleyowi pod nos całą stertę dokumentów. – Ta dziewczyna to żyła złota! Możemy zbić na niej fortunę!

– Do diabła! Ona jest moją żoną! – parsknął Harley. Oderwał druty od nadgarstków i zaczął zmagać się z krzesłem, usiłując usiąść. – Nie chcę, żeby

gapiły się na nią tysiące podnieconych samców! Nie pozwolę!

– Zastanów się jeszcze, nim podejmiesz taką decyzję – wycedził David. – Przypomnij sobie, ile kosztuje utrzymanie tego wszystkiego – zatoczył dłonią dookoła. – A pieniądze, braciszku, nie spadają z nieba. Myślę, że zwłaszcza teraz przydałoby ci się coś ekstra. Ciekaw jestem, co powiesz, gdy zobaczysz rachunki za wesele.

Harley otworzył już usta, by zaprotestować, przeszkodziło mu w tym jednak krzesło, które wbrew wszelkim jego wysiłkom spróbowało znów się złożyć.

Dobrze ci tak! pomyślałam mściwie, bo ogarnęła mnie wściekłość. Z hukiem zatrasnęłam okno i pobiegłam na dół. Co oni sobie myślą? Mówią o mnie jak o towarze, jak o swojej własności, którą można korzystnie sprzedać! A ja? A moje uczucia? Druga reklamówka! A kto mnie pytał, czy mam ochotę ją robić?

W chwili gdy znalazłam się przy drzwiach na taras, moja furia sięgnęła szczytu. Przecież to zwykły wyzysk! Nie pozwolę się wykorzystywać! Nie jestem waszą niewolnicą! Jeśli mam wam nabijać kabzę, to mi za to płacie!

Wybiegłam na taras w szczególnym momencie: krzesło Harleya właśnie się zapadło, a on runął na ziemię jak toból.

– Śmiesz mówić o mnie jak o rzeczy? – wrzasnęłam na całe gardło. – To ja będę decydować, czy wystąpię w reklamie czy nie! Za kogo ty się uważasz? Kim ty jesteś?

– Twoim mężem – odparł z głęboką urazą. Pozbierał się już po tym twardym lądowaniu.

– Ja też cię kocham, siostrzyczko! – rzucił David z gryzącym sarkazmem.

– Tak? Więc przyjmij do wiadomości, że jeśli mam brać udział w twoich cholernych reklamówkach i być waszą „żyłą złotą”, jak to wytwornie ująłeś, to będziesz mnie musiał traktować jak wszystkie inne modelki. Masz mi za to płacić, rozumiesz? I nie rób takiej miny, do cholery! Słyszałeś chyba, że istnieje coś takiego jak płaca minimalna? Mam prawo żądać przynajmniej tyle!

– Ja to załatwię, Davidzie – włączył się Harley. – Zostaw nas samych.

Jego brat niespiesznie podniósł się z leżaka.

– Proszę bardzo! Mam akurat coś do zrobienia – odrzekł nonszalancko, zgarniając swoje dokumenty. Spojrzał na mnie i spytał złośliwie: – O co ci chodzi, siostrzyczko? Forsa Harleya już ci nie wystarcza? Musisz mieć jeszcze coś ekstra? Chcesz się zabezpieczyć na wypadek, gdyby ktoś ci pomieszał szyki i twój chytry planik nie wypalił?

– Łajdak! Podły wyzyskiwacz! – syknęłam w stronę jego oddalających się

pleców.

– Na miłość boską, Cindy, co ty wyprawiasz? – Harley zrobił się krwistoczerwony. – Czy naprawdę nie umiesz zachować się przyzwoicie? Prosiłem cię o to, a ty obrażasz mojego brata!

– Nie słyszałeś, co on o mnie mówił? Ty zresztą też nie jesteś lepszy! Jak ty mnie traktujesz? Uważasz, że masz prawo wypożyczać mnie swoim krewnym i znajomym jak jakiś mebel? Nie jestem twoją własnością!

– Nie mam pojęcia, dlaczego się na mnie złościś. Źle mnie zrozumiałaś, Cindy. Powiedziałem Davidowi, że nie chcę, abyś brała udział w reklamach. O co ci chodzi, kochanie? Jestem przecież po twojej stronie!

Zacząłam coś mówić, ale dałam spokój. Nie ma sensu, pomyślałam z cichą desperacją. On nie rozumie, w czym rzecz, i nigdy tego nie pojmie. Ale przecież nie mogę tańczyć jak on zagra. Nie jestem słodką idiotką.

– Wiesz co? – powiedziałam po chwili milczenia.

– Powinnam chyba poszukać sobie agenta, żeby zajął się moją karierą. Potrzebny mi doradca.

– Agent? Kariera? – Złapał się za głowę i popatrzył na mnie dzikim wzrokiem.

– Co cię napadło? Chcesz szukać doradcy? A ja? Nie wystarczają ci już moje rady?

– A gdyby ktoś inny zaproponował mi pracę? Ktoś spoza Lapinique? – spytałam niewinnym tonem. – Czy nie powstałby konflikt interesów, gdybyś ty był moim agentem?

– Nie wierzę własnym uszom. Chcesz pracować dla kogoś innego? I w dodatku wyobrażasz sobie, że ja bym na to pozwolił?

– A tobie się zdaje, że będę cię prosić o pozwolenie?

– odparłam wyzywająco. – Jestem człowiekiem, a nie martwym sprzętem, i mam takie same prawa jak ty. Jeśli zechcę pracować jako modelka, to będę, czy ci się to podoba, czy nie!

Teraz już zrobił się purpurowy.

– Nie pozwolę ci na to! Nie pozwolę!

– Wypchaj się, Harley! Nie masz tu nic do gadania!

– Jak śmiesz tak do mnie mówić, ty... ty mała jędzo!

– Chwyciwszy leżący najbliżej przedmiot, przypadkiem był to telefon komórkowy, z rozmachem posłał go w powietrze. Telefon zatoczył krąg i z pluskiem zatonął w basenie.

Bez słowa ruszyłam w stronę domu – byłam tak wściekła, że wolałam nie otwierać ust. Pognał za mną i stanął w drzwiach, nie pozwalając mi wejść.

– Cindy! Poczekaj! Dokąd idziesz?

– Odczep się ode mnie! – Przepchnęłam się obok niego i pobiegłam do sali ćwiczeń.

Zza doniczki z kaktusem wyjęłam śrubokręt i kilkoma wprawnymi ruchami podbiłam licznik deptaka o piętnaście mil, a potem włączyłam komputer nadzorujący cały program ćwiczeń fizycznych Harleya i z dziką satysfakcją skasowałam wszystkie jego wyniki z ostatnich czterech tygodni.

Maszyna pisnęła ostrzegawczo – i na ekranie ukazał się czerwony napis: „Uwaga, niebezpieczeństwo! Zagrożenie zdrowia! System opracowuje plan awaryjny...”

Pozostawiwszy komputer w stanie głębokiego szoku, zamknęłam się w jednej z nie używanych na co dzień łazienek (przeznaczone były dla gości) – jedynym miejscu pozwalającym mi skryć się przed okiem Harleya. Na wypadek sytuacji takich jak dzisiejsza miałam tam butelkę wódki i kilka tomów Dickensa starannie ukrytych w szafce na ręczniki.

Zanim wódka zaczęła działać, byłam już w połowie „Ciężkich czasów”, a na dworze zrobiło się ciemno. Kiedy trochę chwiejnie opuściłam swoją kryjówkę, potknęłam się nagle o coś leżącego na podłodze. Harley. Zbudził się i usiadł, przecierając oczy.

– Cindy, to ty? Och, kochanie, nareszcie do mnie wróciłaś! – zawołał, wyciągając ręce. – Nie bój się, skarbie, już ci wybaczyłem. Wiem, że mówiłaś to wszystko w gniewie. Wcale tak nie myślisz, prawda?

Akurat! Mówiłam, co myślę, i nie zmieniałabym w tym ani słowa. On mi wybaczył! To ty powinieneś prosić mnie o wybaczenie!

– Idę do łóżka – oznajmiłam krótko.

– Ależ Cindy... – Popędził za mną do sypialni. – Nie słyszałaś, co powiedziałem? Wszystko wybaczone i zapomniane. Możemy znów być przyjaciółmi.

Wsunęłam się do łóżka.

– Jestem bardzo zmęczona.

– Ale chyba nie aż tak, żeby... Wiesz, co mam na myśli – rzucił z błyskiem w oku.

Nie, pomyślałam, mam tego dosyć. Nie będę twoją zabawką, ty przerośnięty chłopczyku. Kup sobie gumowego manekina. Pragniesz tylko zaspokoić swą piekielną próżność, a do tego wystarczy ci lalka. Ja wypisuję się z tych zawodów, rozumiesz? Przestałam już się łudzić, że ten człowiek kiedykolwiek zobaczy we

mnie coś więcej niż tylko piękną powierzchnię, że potrafi nawiązać kontakt z moim prawdziwym "Ja".

– Odpieprz się, Harley! – burknęłam niegrzecznie. – Nie jestem w nastroju.

Obrzucił mnie wzrokiem pełnym bolesnej urazy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że już ci nie odpowiadam?

Przewróciłam się na bok i zamknęłam oczy. Może da mi spokój. Nic z tego. Zaczął brutalnie szarpać mnie za ramię.

– Może ty mi czegoś nie mówisz? Masz kogoś?

Tej nocy prawie nie zmrużyłam oka. Awanturował się aż do świtu, żądając wyjaśnień, co mi się stało. Z jakiego powodu odmawiam mu nagle jego praw?

– Źle się między nami dzieje! – wykrzyknął w końcu i wypadł z sypialni, głośno trzaskając drzwiami. Była to pierwsza sensowna uwaga, jaką wygłosił tej nocy. Czyżby zaczęło mu wreszcie coś świtać? Z tą nadzieją zasnęłam.

Niestety, nic się nie zmieniło. Przez większość następnego dnia zazdrośnie śledził każdy mój ruch, łażąc za mną po całym domu; coraz większą podejrzliwość budziły w nim zwłaszcza moje częste wyprawy do łazienki.

– Co ty tam robisz? – wykrzykiwał, szarpiąc za klamkę.

– A jak myślisz? Dzwonię do kochanka! – odwrzasnęłam za którymś razem. Zakorkowałam butelkę i schowałam do szafki, pod stertę błękitnych ręczników. Do licha, jak długo to jeszcze wytrzymam? Muszę coś zrobić, wypłatać się jakoś z tej matni.

*Przekonasz się wkrótce, jak fatalny popełniłaś błąd, zabrzmiały mi w uszach słowa Mefista i jego szyderczy śmiech. Będziesz błagać mnie o ratunek, zobaczysz...*

– O nie, nie sprawię ci tej satysfakcji – powiedziałam głośno.

– Cindy? – Harley zaczął tłuc pięścią w drzwi. – Słyszę jakieś głosy! Kto tam jest z tobą?

Aby zejść mu z oczu, od rana krążyłam po domu, snując się po pustych korytarzach niczym duch pani Rochester. Czy i mnie przyjdzie tak skończyć jak tej szalonej kobiecie, zamkniętej przez męża na strychu? Gdybyż ten Harley miał przynajmniej normalną pracę, gdyby nie było go w domu chociaż przez kilka godzin! Niestety. Bez przerwy siedział mi na karku.

Ten wieczór akurat mieliśmy wyjątkowo spędzić poza domem, na przyjęciu u Nancy van Aspern. Była to postać budząca tak wielki respekt w hollywoodzkich kręgach towarzyskich, że nawet Harley nie mógł zlekceważyć jej zaproszenia – jak to miał ostatnio w zwyczaju. W związku z tym uznał za stosowne udzielić mi

ostrzych instrukcji: żadnych złośliwości i dąsów. Mamy sprawiać wrażenie zakochanej pary. Swe żądania przekazał mi przez drzwi – nadal bowiem siedziałam w łazience.

Gdyby to przyjęcie wydawał ktoś inny, posłałabym go do diabła, ale dla Nancy van Aspern zrobiłabym wszystko. Przed laty czciłam ją jak bóstwo, a każdy jej film był dla mnie prawdziwym świętem. Grali w nich zawsze najwspanialszy amanci Hollywoodu, a ona sama była oszalamiająco piękna! Na jej widok zaczynałam sobie wyobrażać, jak by mogło wyglądać moje życie, gdybym była taka jak ona. Ciekawe, jak wygląda dzisiaj. Ma już chyba z siedemdziesiąt lat... Czy pozostała tą samą cudowną gwiazdą, którą uwielbiałam jako dziecko?

W drodze do Topanga Canyon Harley zaczął paplać o jakichś domowych błahostkach. Aha, wprawia się w rolę szczęśliwego męża.

– Jaka ona jest? Nancy van Aspern? – spytałam, by zmienić temat. – Bardzo chcę ją poznać.

– Nie obiecuj sobie zbyt wiele, kochanie. Stała się takim odludkiem, że nawet na własnych przyjęciach pojawia się bardzo rzadko.

– Więc dlaczego je wydaje? – Na myśl, że mogę nie zobaczyć Nancy, ogarnęło mnie rozczarowanie.

– Pewnie z przyzwyczajenia – rzucił lekceważąco. – Podobno unika ludzi, bo wstydzi się swego wyglądu. Trudno jej się dziwić! Była kiedyś tak piękna, a teraz ma trzy podbródki i twarz jak suszona śliwka! – zakończył z nieprzyjemnym śmiechem.

– A tobie się zdaje, że gdy dożyjesz jej wieku, będziesz wyglądał jak model z „Playboya”? Bez jednej zmarszczki i grama zbędnego tłuszczu?

Drgnął jak ukłuty.

– Tego nie mówiłem. Chciałem tylko powiedzieć...

– Że kobieta w pewnym wieku powinna siedzieć w domu, żeby wam, panom świata, nie psuć krajobrazu? Że to ciężka zbrodnia być starą czy nie daj Boże wyglądać na swoje lata? – Zdawałam sobie sprawę, że zaczynam mówić coraz głośniej, ale miałam to gdzieś. – Coś ci powiem, Harley. Ciało masz niezłe, szkoda tylko, że z głową nie jest tak dobrze, bo gdyby twój rozum dorównywał mięśniom, musiałyby przyjść ci na myśl, że i ty się kiedyś zestarzejesz!

– Ciszej, Cindy! – syknął z irytacją. – Co George sobie o nas pomyśli? – Gwałtownie przegarnął włosy i obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem. – Przypisujesz mi rzeczy, których nie mówiłem. Dziwię się po prostu niektórym kobietom. Jak można tak się zaniedbać, gdy istnieje tyle doskonałych metod,

takich jak odpowiedni tryb życia, dieta, ćwiczenia fizyczne, kosmetyki czy nawet chirurgia plastyczna, pozwalających każdemu zachować urodę i młodość. Trzeba tylko włożyć w to trochę wysiłku. Tym paniom jednak się nie chce, i właśnie to mam im za złe.

– A ja uważam, że to niegodziwość krytykować ludzi za wygląd. Nie każdy rodzi się piękny, i co? Czy to jego wina? Co może na to poradzić? Nie wszystkich w tym kraju stać na operacje plastyczne czy luksusowe kosmetyki! – Tak mnie zirytował tym głupim gadaniem, że miałam ochotę wygarnąć mu prawdę. Ciekawe, czyby dopisał pakt z diabłem do tej swojej listy cudownych remediów? Ale nie. Doszłam do wniosku, że to nie ma sensu. Nigdy by mi nie uwierzył. Uznałby mnie pewnie za wariatkę.

Po przybyciu na miejsce udałam się prosto do baru. Spodziewałam się dłuższych pertraktacji z barmanem, zanim uda mi się go przekonać, żeby sięgnął do swoich prywatnych zapasów i podał mi coś mocniejszego, tymczasem ku swemu zdziwieniu zobaczyłam na półce cały rząd butelek z bardzo przyzwoitą zawartością.

– Proszę nalać mi tego – wskazałam palcem bourbona – i niech pan nie żałuje. Niech to będzie porządna porcja.

Barman wyraźnie się zawahał.

– Z tej butelki...? – zapytał przeciągle. – Bardzo przepraszam, ale... czy pani wie, co to jest?

– Oczywiście, młody człowieku! – zachnęłam się z irytacją. – Gdybym nie wiedziała, tobym nie prosiła. Piłabym tę głupią wodę z bąbelkami, jak wszyscy.

Otoczające mnie towarzystwo na moment zamilkło, a potem wszyscy naraz zaczęli mówić jak najęci. O, niech to szlag, jak mogłam palnąć taką gafę? „Młody człowieku!” Przecież ten barman wygląda poważniej ode mnie!

– Przepraszam panią – powtórzył pokornie. Z pośpiechem zdjął z półki butelkę i zaczął nalewać mi whisky, po czym rozejrzawszy się dookoła, poinformował mnie szeptem: – W tym towarzystwie muszę być bardzo ostrożny. Miałem wielkie nieprzyjemności, kiedy na życzenie pewnej pani, małżonki słynnego producenta, nalałem jej pełną szklankę margarity. Była przekonana, że to coś w rodzaju coca-coli, i tak też zaczęła to pić. O, trzeba było widzieć jej minę!

Wzięłam swój trunek i wyszłam na taras poszukać jakiegoś ustronnego miejsca. Nie z powodu strachu przed Harleyem – po dzisiejszej awanturze przestałam się nim przejmować – po prostu nie miałam ochoty słuchać jego tyrad. Niestety, nie dane mi było napić się w spokoju. Załedwie usiadłam

w osłoniętym kącie tarasu, już wyrosła przede mną Eleanor.

– Nie myśl, że nie widziałam, jak się tu wymykasz. O co pokłóciłaś się z Harleyem?

– O nic. – Zdążyłam ukryć szklankę w długiej donicy z kwiatami. – Co on ci naopowiadał?

– Och, nie musiał nic mówić, wystarczyło mi na niego spojrzeć. Znam się na takich sprawach, moja droga.

Popatrzyłam na nią z namysłem: powiedzieć jej prawdę? A co tam, spróbuję.

– Nie jestem szczęśliwa – zaczęłam ostrożnie. – Harley mnie nie rozumie.

Spojrzała na mnie jak na wariatkę.

– Dziewczyno! Masz wszystko, co można sobie wymarzyć, urodę, pieniądze, sławę, i to cię nie zadowala? Chcesz być w dodatku szczęśliwa? Daj spokój! A któż z nas dziś jest szczęśliwy?

– Mnie nie chodziło o cały ten luksus...

– Doprawdy? – spytała drwiąco. – Jakoś nie zauważyłam, żebyś chciała wracać do tej obskurnej knajpy i okropnych przyjaciółek. Do ołtarza też cię nikt nie ciągnął. No dobrze, zastanówmy się, co jest na rzeczy – rzuciła z niechętnym uśmiechem. – „W bogactwie i w biedzie”? Nie wątpię, że składając tę przysięgę, miałaś na myśli wyłącznie część pierwszą, ale tu na razie nie widzę problemu. „Wyrzec się wszystkich innych”? Czyżby tu był pies pogrzebany?

– Nie rozumiem, co masz na myśli!

– Oj, dziewczyno, dziewczyno, musisz się nauczyć jeszcze wielu rzeczy. – Eleanor westchnęła cicho. – Ty chyba nie masz pojęcia, czym naprawdę jest większość hollywoodzkich małżeństw. Te związki to po prostu obustronnie korzystna wspólnota interesów, oparta na pieniądzach, umiejętnościach, pozycji i powierzchowności. Miłość, jeśli to jej ci brakuje, nie wchodzi w skład tej mieszanki. No więc? – Skrzyżowawszy ręce na piersiach, spojrzała na mnie wyczekująco. – Kim on jest?

– Kto?

– Twój kochanek. Tylko tym da się wytłumaczyć twoje zachowanie. Innego powodu nie widzę.

Zamilkłam z oburzenia.

– W porządku – westchnęła Eleanor. – Nie spodziewałam się, że mi powiesz. Zachowaj dla siebie swój słodki sekrecik, ale teraz posłuchaj mojej rady. W tym mieście nie jest zbrodnią to, co robisz; staje się nią dopiero wtedy, gdy jesteś na tyle nieostrożna, że dajesz się na tym przyłapać. Już ci mówiłam, że osobie z twoją



pozycją absolutnie nie wolno ryzykować, a kochanek to zawsze olbrzymie ryzyko. Przypomnij sobie, czym się to skończyło dla April de Vincy.

– Mówisz o żonie Teda de Vincy’ego, tego podstarzałego gwiazdora rocka? – Widziałam go przed chwilą w okolicach baru w towarzystwie skąpo odzianej nastolatki.

Eleanor posepnie skinęła głową.

– Tak. April niestety dała się przyłapać z pewnym czyścicielem basenów. Pamiętasz chyba tę aferę? W „LA Enquirer” ukazały się nawet ich zdjęcia. Dostyć kompromitujące. A wszystko przez to, że była na tyle głupia, aby zwierzyć się z tego romansu swej manikiurzystce! – Pokręciła powoli głową, prychając z głębokim niesmakiem. – Cóż za bezmyślność!

Rozejrzawszy się dookoła, czy nikt nas nie podsłuchuje, podjęła zniżonym głosem:

– Swoją drogą miała fatalnego pecha. Okazało się, wyobraź sobie, że ta manikiurzystka była narzeczoną jej kochanka, a sama miała romans z pewnym fotoreporterem. To on zrobił zdjęcia i sprzedał je prasie. I to był koniec April de Vincy. Natychmiast wyleciała ze wszystkich list, nie wyłączając spisu absolwentów swojego liceum, i płaci teraz ciężkie pieniądze prawnikom, żeby wyrwać od Teda jakieś alimenty. On tymczasem bywa w towarzystwie, polując na nowy model, i nikt mu nie czyni wstrętów, chociaż wszyscy doskonale wiedzą, w co się zabawiał z meksykańską służącą tuż pod nosem April.

Znowu smętnie pokiwała głową.

– W tego rodzaju sytuacjach zawsze przegrywa kobieta. Bardzo to niesprawiedliwe, ale takie są reguły tej gry. Jeśli więc nie umiesz opanować chętki na pozamałżeńską przekąskę, musisz ogromnie uważać!

– Ale ja nie...

– Bardzo ostrożnie wybieraj sobie kochanków. – Eleanor zlekceważyła mój protest. – Jest tu mnóstwo kowbojów, którzy będą próbowali cię ustrzelić, licząc, że dzięki temu zgarną dużą pulę. Wiedz, że to straszni oportuniści, więcej niż chętni postawić na szantaż. Naczytali się powieści Jackie Collins.

– Ależ ja wcale nie zamierzam wdawać się w romanse!

– Teraz tak mówisz, moja droga – w jej głosie zabrzmiało znużenie osoby zmuszonej zbyt często oglądać takie przypadki – przekonasz się jednak, że do tego dojdzie, jeśli nie dziś, to jutro. Czytam to w twoich oczach. Pozwól, że udzielę ci kilku ostrzeżeń, które pozostaną aktualne nawet za dwadzieścia lat, i weź je sobie do serca. Bądź bardzo, ale to bardzo dyskretna. Nie zwierzaj się nikomu,

a zwłaszcza najbliższej przyjaciółce. Uważaj na służbę. Nawet nie myśl o pisaniu pamiętnika czy listów. I nigdy, pamiętaj, nigdy nie sypiaj z mężczyzną, który w razie wpadki miałby mniej do stracenia niż ty. – Podniosła się z krzesła, wydobyła z donicy ukrytą tam szklankę i wcisnęła mi do ręki. – To pewnie twoje, moja droga. Pójdę już sobie, a ty pomyśl o tym, co ci powiedziałam.

Do licha, ależ ona ma oko! Pozostałam w swojej kryjówce, sącząc powoli bourbona. Mogłam stąd obserwować – sama niewidoczna – główną część tarasu, gdzie zapalono właśnie kolorowe światła i gdzie zaczęło się zbierać całe towarzystwo. Ze szklanych drzwi domu wyszedł akurat Harley pogrążony w żywej dyskusji z Crystal Kelly. Ach, jaki dumny, jaki ważny! Ted de Vincy czym prędzej chwycił pod ramię swą półrozebraną nimfetkę i pociągnął ją w stronę tych dwojga. Aha, pewnie testuje swój najnowszy model. Rzeczywiście nowy – ta dziewczyna mogłaby być jego wnuczką. W tłumie gości spostrzegłam też Sylvie z Warrenem, była narzeczoną Harleya i jej koszmarnych rodziców, no i oczywiście Eleanor z mężem. Karnie stawiała się tu cała hollywoodzka śmietanka towarzyska.

Kobiety sprawiały wrażenie chorobliwie kruchych. Wszystkie ścisnęły w dłoniach szklaneczki z wodą mineralną, a ich niebotycznie wysokie obcasy, klekoczące jak werble po płytkach posadzki, wzmagaly jeszcze to wrażenie ptasiej kruchości. Nosily najdroższe suknie od najlepszych projektantów – Armaniego, Chanel, Versacego – ale były tak strasznie, tak rozpaczliwie chude! Ich oczy przypominały puste oczodoły. Niewiele trzeba było wyobraźni, by pod grubą warstwą makijażu zobaczyć uśmiechniętą głowę kościotrupa. Skąd do licha wzięła się ta moda na sylwetkę i twarz głodomora?

Włączono muzykę i Crystal Kelly porwała do tańca Amiego. I on, i ona byli dobrze po pięćdziesiątce, a może nawet starsi, więc pod wpływem niedawnych uwag Harleya zaczęłam analizować ich wygląd. O, Crystal Kelly na pewno nie należała do tych starych „zaniedbanych kobiet”, budzących w nim taką odrazę. Jej obcisła sukieneczka na wąskich ramiączkach nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do tego, że była gwiazda nie ma na kościach ani grama tłuszczu, ale jej ostre rysy, cera, jaskrawy makijaż, a zwłaszcza cienka, wysuszona skóra na ramionach i szyi sprawiały, że efekt ogólny był, oględnie mówiąc, nie najlepszy. Patrząc na nią, czułam się zażenowana. Czy ona musi się tak ubierać? To dobre dla dwudziestolatki, a nie kobiety w jej wieku.

Gdy spojrzałam na jej nogi o napiętych z wysiłku mięśniach – przez te absurdalne szpilki – przypomniała mi się moja babcia. Ona w tym wieku chodziła w miękkich papuciach z rozcięciami przy dużych palcach, aby nie urażać

bolesnych guzów, które porobiły jej się w tych miejscach. Była pod każdym względem skrajnym przeciwieństwem Crystal, co nie znaczy, że bardziej godnym akceptacji. Gdyby mi kazano porównać te dwa stereotypy i powiedzieć, co gorsze: być powłóczącą nogami staruszką czy ośmieszać się jak Crystal, nie umiałabym się zdecydować. Czy nie ma tu żadnego złotego środka? Jakiegoś sensownego sposobu, aby starzejąca się kobieta nie musiała tracić godności?

– Smutne, co? – Podskoczyłam na krześle. – Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć – powiedziała nieznajoma, która niepostrzeżenie zajęła sąsiednie krzesło. Była to starsza osoba w adidasach i czarnym sportowym dresie.

– Skąd pani... Nic nie słyszałam... – bąknęłam zdumiona. Przyjrzałam się jej twarzy i nagle zapało mi dech! Podobieństwo było niewątpliwe. – Czy pani jest...

– Nancy van Aspern – odrzekła, wyciągając rękę.

– Ty musisz być Cindy Brightman. – Lekko uniosła brwi.

– Więc to ty jesteś twarzą Lapinique?

– Uhm... tak... rzeczywiście. – Z emocji plątał mi się język. No cóż, nie codziennie spotykamy idoli swojego dzieciństwa. Z ciekawością przyjrzałam się jej twarzy. Zmarszczek rzeczywiście miała sporo, ale była to twarz z charakterem. Sympatyczna i nadal ładna. Jej głos był zdecydowany i zarazem miękki – jak kamyczek oblepiony miodem.

– Muszę ci się przyznać – powiedziała – że kiedy cię zobaczyłam, wydałaś mi się taka sama jak całe to stado pustogłowych gęsi, od których dosłownie roi się w tym mieście, ale później zmieniłam zdanie. Wiesz kiedy? Kiedy powiedziałaś memu barmanowi, że lubisz bourbona. Oho, pomyślałam, warto ją poznać. Ma dobry gust.

– Hm... dziękuję...

– Przyniosłam ci dolewkę – zaśmiała się cicho, wkładając mi do ręki prawie pełną szklankę. – Napij się ze mną? Na złość tym żalonym stworzeniom. Niech diabli wezmą ich diety i ten głupi policyjny reżim.

– Chętnie się za to napiję. – Zaczynałam odzyskiwać rezon.

Muzyka nabrała tempa; Crystal Kelly ambitnie podjęła wyzwanie, demonstrując nową serię wygibasów, podskoków i piruetów.

– Jak już powiedziałam, robi mi się smutno, kiedy na to patrzę – odezwała się Nancy po chwili milczenia. – Dlaczego ci ludzie nie umieją pogodzić się z upływem czasu? Spójrz na nią: zachowuje się jak nastolatka! Trudno uwierzyć, że jesteśmy w tym samym wieku.

Szybko dokonałam korekt w swoich obliczeniach dotyczących wieku obu pań.

Mocno się pomyliłam.

– Nie mam absolutnie nic przeciwko temu, żeby się dobrze bawić – stwierdziła Nancy, zapalając cygaro – ale nienawidzę udawania. Na miłość boską, czy to zbrodnia mieć sześćdziesiąt pięć lat? Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Większość społeczeństwa dożywa takiego wieku, więc mądrzej byłoby się z tym pogodzić, zwłaszcza że nie da się tego zmienić. Też nie rozumiem, dlaczego tak nie jest.

– Spójrz na nią – powtórzyła Nancy. – Myślisz, że ona wierzy w tę swoją fałszywą młodość i urodę? Nic podobnego. Nie wierzy tak samo jak my, dlatego więc myśli, że potrafi oszukać innych? Dziś nawet młode i ładne kobiety zamartwiają się wciąż o swój wygląd – dodała po pauzie. – A ty? Ty też uważasz, że to takie ważne?

– Ja... cóż... gdybym była brzydka, pewnie sprzedałabym duszę, żeby wyglądać tak jak teraz... Ale... ma pani rację. Uroda powoduje, że człowiek przez dobre pół życia wciąż tylko myśli, jak jej nie stracić. Należałoby zadać sobie pytanie, czy opłaca się skórka za wyprawkę. – Uśmiechnęłam się niepewnie do swej rozmówczyni, myśląc jednocześnie: Och, gdybyż ona wiedziała, jak wiele z tego, co mówię, wynika z moich doświadczeń!

– Wiesz, skąd się bierze cały ten obłąd? Ktoś zaczyna lansować taki ideał urody, którego nie da się osiągnąć w żaden ludzki sposób, a potem wbija wszystkim do głowy, że tak, to całkiem możliwe! Każdy może być piękny, jeśli tylko się o to postara. Wystarczy codziennie wykonać pewną liczbę pompek czy czegoś, co teraz jest w modzie, a na śniadanie zjeść tylko tyle, żeby nie paść z głodu. A potem taki macher od produkcji złudzeń zaciera ręce i śmieje się w kułak, widząc, jak tysiące ogłupiałych nieszczęśników wypruwają z siebie żyły w beznadziejnej pogoni za mirażem.

Zaciągnęła się dymem z cygara, po czym wypuściła go w taki sposób, że utworzył idealne kółko.

– Całe to draństwo to po prostu męski spisek wymierzony przeciwko kobietom. Chcą utrzymać nas w przekonaniu, że jesteśmy niewiele warte, bo nie dorastamy do ich wymagań. Obie dobrze to znamy, prawda?

– Niewiele warte, niepewne siebie i przez to zupełnie bezradne – powiedziałam cicho. Klótnia z Harleyem nasunęła mi te same myśli, ale teraz dopiero udało mi się wyrazić je precyzyjnie. Dzięki Nancy.

– Właśnie tego chcą te sukinsyny! Jeśli jesteś kobietą, nie liczą się żadne twoje sukcesy bez względu na to, co osiągnęłaś i jaki wykonujesz zawód. Ważne

jest tylko jedno: czy twoje ciało odpowiada jakimś absurdalnym normom narzuconym przez męskich szowinistów.

– Miło byłoby zrewanżować im się tym samym – zauważyłam z uśmiechem. – Chciałabym widzieć tych bezwzględnych sędziów, gdyby to ich wykluczono z towarzystwa czy odmówiono im pracy z powodu paru zmarszczek lub dlatego, że ich cenne organy nie sterczą pod właściwym kątem.

– O tak! – zachichotała Nancy. – Chętnie bym zobaczyła, jak ta zgraja spasionych bossów filmowych próbuje dochrapać się roli przez łóżko! Niedaleko by zaszli, gdyby to ode mnie zależało!

Na chwilę zamilkła, a gdy znowu zaczęła mówić, w jej głosie pojawił się smutek.

– Szkoda, że my, kobiety, nie mamy odwagi przeciwstawić się tej chorej sytuacji. Zdobywamy się na to dopiero wtedy, kiedy jest już za późno, gdy jesteśmy tak stare i brzydkie jak ja.

– Pani nadal jest piękna – powiedziałam nieśmiało. – A pani filmy... wprost je uwielbiałam. Była pani taką wspaniałą aktorką...

– Och, moja droga, wieki temu. Ciebie jeszcze wtedy nie było na świecie – rzuciła lekceważąco, starając się ukryć przyjemność, jaką sprawił jej mój komplement.

– Czy nie weźmie mi pani za złe, jeśli spytam, dlaczego nie bywa pani na własnych przyjęciach? Nie lubi pani towarzystwa? Jeśli tak, to po co je pani wydaje?

Roześmiała się głośno.

– Chętnie ci to wyjaśnię! Przyjęcia urządzam po to, żeby sobie przypomnieć, jak dobrze mi bez nich! Zapominam po prostu od czasu do czasu, jak koszmarni potrafią być ludzie. Mówię sobie wtedy, że powinnam być bardziej towarzyska, że zamykanie się w czterech ścianach to dziwactwo i tak dalej. Gdy mnie to nachodzi, wiem, że pora urządzić doroczne przyjęcie i że kiedy to zrobię, będę miała spokój przez następnych dwanaście miesięcy. I rzeczywiście. Wystarczy mi zwykle mniej więcej pięć minut, żeby wyzbyć się wszelkich ciągłot towarzyskich. Znikam wtedy z oczu moim gościom i zaczynam snuć się po kątach, z dala od tego zgiełku. Wiesz – poklepała mnie po rękę – czasami się to opłaca. Zdarza mi się w ten sposób poznać nieraz kogoś bardziej interesującego niż te zagłodzone damy.

– Hej, Duane, chodź tu zaraz! Ktoś tutaj pali! – rozległ się czyjś ostry głos. Z ciemności wyłoniła się nagle tleniona blondynka w niezwykle skąpej sukience

i na widok Nancy krzyknęła rozkazująco: – Zgaś to natychmiast! Nie wiesz, że dzisiaj nikt już nie pali? O Boże! – pisnęła histerycznie po dalszych dwóch krokach. – Ona pali cygaro!

– Spływaj stąd, mała idiotko – sucho rzuciła Nancy.

– Co?! Jak śmiesz tak do mnie mówić! Kim ty jesteś?

– Panią tego domu. Miło mi cię gościć. Przypadkiem nazywam się Nancy van Aspern.

– Ha, ha, bardzo śmieszne! – prychnęła blondynka. – Takaś mądra, a nie wiesz, że ta stara wariatka nie bywa na swoich przyjęciach...? – Urwała nagle i wlepiała we mnie szeroko otwarte oczy. – Jasna cholera, a niech mnie! Duane, chodź tu, do diabła! Wiesz, kogo tutaj znalazłam? Cindy Brightman!

Nancy podniosła się z krzesła.

– Myślę, że na mnie już pora. Wydaje mi się również, że teraz spokojnie wytrzymam dwa lata bez przyjęć.

– Prędeż, Duane! – wrzasnęła znowu blondynka.

– Co ty tam robisz?

– Cieszę się, że cię poznałam, moja droga – miękko odezwała się do mnie Nancy. – Dzięki tobie to przyjęcie nabrało sensu. Gdybym nie była taką starą mizantropką, powiedziałabym pewnie, że znalazłam w tobie bratnią duszę. Muszę przyznać, że jak na swój wiek masz zadziwiająco dojrzałe poglądy. No, muszę już iść. Zaczynam się obawiać, że za chwilę mogę zrobić coś zupełnie nie w stylu Nancy van Aspern, na przykład zaprosić cię na lunch.

Bezszelestnie zniknęła w ciemnościach, skąd po chwili dobiegł mnie cichy odgłos zamykanych drzwi. Zaraz potem rozległ się głośny tętent czyichś kroków. Domyślając się, że **my** to pewnie Duane przychodzi w sukurs tej aroganckiej blondynce, postanowiłam dać jej nauczkę.

– Harley! – wrzasnęłam na całe gardło. – Chodź tu zaraz! Ktoś mnie tu obraża!

– Cindy? – usłyszałam żalospny głos. – Gdzie jesteś? Szukam cię cały wieczór!

## ROZDZIAŁ 14

Nazajutrz miałam kaca, toteż ponad godzinę spędziłam w łazience, szukając czegoś na ból głowy w osobistej apteczce Harleya, zajmującej całą okazałą szafkę. Znalazłam w niej mnóstwo witamin i naturalnych środków wzmacniających oraz taką ilość leków homeopatycznych, że byłyby w stanie zaspokoić potrzeby całej komuny New Age'u – i ani tabletki aspiryny! Czyżby były tuczające albo źle wpływały na potencję? A może Harley ma tak końskie zdrowie, że nie musi używać aspiryny? Istniała też inna możliwość – taka, że był tu przede mną i zużył wszystkie tabletki, gdyż po wczorajszym przyjęciu on też ma ciężkiego kaca. Nie bardzo pamiętałam, co się działo po odejściu Nancy, zaczynałam jednak podejrzewać, że nawet mój dbały o zdrowie małżonek mógł pęknąć i urznąć się w trupa na widok moich wyczynów... Czyżbym naprawdę tańczyła na stole z tym sympatycznym barmanem?

Nie byłam w stanie rozstrzygnąć tej wątpliwości, postanowiłam więc odszukać George'a – może on ma trochę aspiryny? Traf chciał, że przechodząc pod drzwiami któregoś z pokoi gościnnych, usłyszałam głos Davida. Rozmawiał przez telefon.

– Jak to nie znasz terminu dostawy? Dwa dni temu wysłałem ci zawiadomienie! Jak byk było napisane, że towar nadejdzie jutro!

Wielki macho w garniturze od Armaniego! Wyobraziłam go sobie, jak przechadza się tam i z powrotem ze słuchawką w ręku, wyżywając się na jakimś nieszczęsnym podwładnym. Wstrętny drań!

– Mnie pytasz, co się stało? – rzucił agresywnie. – Ty mi to wyjaśnij! Posłałem ci je e-mailem na internetowy adres Lapinette. Sam mi go podałeś!

Co? Lapinette? Usłyszawszy tę nazwę, stanęłam w pół kroku. Przecież to ci „oszuści”, na których narzekał Harley. Co łączy z nimi Davida? Podsunęłam się cichcem do drzwi i zaczęłam słuchać uważnie.

– Mogę ci podać szczegóły... mam je akurat pod ręką... poczekaj chwilę... – rozległ się szelest papierów. – Co takiego? Chcesz to mieć czarno na białym? Czyżbyś mi nie ufał? Nie, do diabła, teraz nie mogę! Jestem u brata!

Na chwilę zapadła cisza przerywana jedynie odgłosem niecierpliwego bębnienia po stole.

– Tak... tak... No dobrze! – Zniecierpliwiony czymś David wydał tak przesadne westchnienie, że usłyszałam je nawet przez drzwi. – W porządku, skoro

ci to potrzebne do szczęścia! Znajdę tu jakiś komputer.

Znowu zapadła cisza – tym razem chyba na minutę.

– Już ci mówiłem, że więcej nie mogę! W każdym razie nie za tę cenę. Ktoś zaczyna węszyć... Myślę, że trzeba zawiesić sprawę może na miesiąc czy dwa.

– Okej! – usłyszałam po kolejnej pauzie. – Dostaniesz to za godzinę. Tylko nie spieprz znów czegoś z przelewem. Aktualne jest moje konto na Kajmanach, okej? Tutejsze odpada. Nie chcę, żeby fiskus siadł mi na pieniądzech tak jak ostatnim razem.

Słyszając kliknięcie słuchawki, a po nim zbliżający się odgłos kroków, czym prędzej dałam nura w sąsiednie drzwi – i wpadłam do schowka na szczotki. Zaledwie zdążyłam pomyśleć, że wpadanie do schowków to chyba moja specjalność – w mieszkaniu Trish też tak było – a już kroki Davida zadudniły po korytarzu.

No proszę! Kochający braciszek Harleya! Teraz już wiedziałam, jakim sposobem formuła Lapinique trafiła w ręce konkurencji. Więc to on macza w tym palce. Mogłam nie znać się na interesach, ale nie trzeba być znawcą, aby wiedzieć, czym jest sprzedaż firmowych receptur. Działaniem na szkodę firmy, a w tym wypadku również na szkodę własnego brata.

Wyplątawszy się z kłębowiska rozmaitych szczotek i mopów, ostrożnie wyrzalam na korytarz. Był pusty, poszłam więc poszukać George'a. Obiecał rozejrzeć się za aspiryną.

W sprawie Davida ułożyłam już sobie plan działania. Jedyne znany mi komputer z podłączeniem do sieci stał w gabinecie Harleya i tam niewątpliwie musiał się udać mój szwagier. Gdy tylko prześle tę swoją wiadomość, spróbuję zdobyć jej kopię.

Ani jemu, ani Harleyowi nigdy nie przyszło na myśl, że ktoś taki jak ich głupia Cindy może znać się na komputerach. Bo i skąd by to mogli wiedzieć? Czy ktokolwiek mógłby przypuszczać, że za słynną twarzą Lapinique kryje się wykwalifikowana bibliotekarka z doskonałą znajomością już nie tylko skomputeryzowanego systemu klasyfikacji dziesiętnej Deweya, lecz i wszelkich możliwych funkcji komputera.

W bibliotece było podobnie – też mnie nie doceniano. Kierownictwo nigdy nie dało mi szansy pełnego wykorzystania moich możliwości. Kiedy ta spryciara Annette Baker po powrocie z trzydniowego kursu zaczęła się rozwodzić nad dobrodziejstwami nowoczesnej techniki, nie dość że natychmiast kupiono jej komputer osobisty, to jeszcze oddano do dyspozycji nielimitowany fundusz na



instalację wewnętrznej sieci komputerów. Jej wystarczył ten trzydniowy kursik, by uzyskać status eksperta. O tym, że ja ukończyłam kilka kursów wieczorowych z zakresu informatyki i że wciąż uzupełniam swoje wiadomości, wygodniej było zapomnieć.

I tak oto panna Baker została obwołana najwyższym komputerowym guru, a mnie kazano się przymknąć. Siedz cicho i nie narzekaj. Bo nie miałam nóg do samej szyi ani cycków jak arbuzy. Młody umysł, orzekło kierownictwo, lepiej sobie radzi z problemami współczesnej nauki i techniki. Akurat! Wystarczyło mi kiedyś zajrzeć przez ramię tej laluni, aby się przekonać, jaki to z niej ekspert. Jeszcze nawet nie wyszła z przedszkola.

Zobaczmy, jak to jest ze mną, czy nadal potrafię to co kiedyś, myślałam, wślizgując się do gabinetu krótko po wyjściu Davida. Krzesło przy komputerze było jeszcze ciepłe. Nie zaglądałam tu od dnia swojej pierwszej wizyty w tym domu, dobrze pamiętałam jednak zarówno to wnętrze, jak i swoje ówczesne myśli. Jakże byłam naiwna, wyobrażając sobie, że małżeństwo z Harleyem zapewni mi niezależność! Nigdy w życiu nie byłam tak zniewolona jak teraz.

Włączywszy komputer, szybko uruchomiłam program pocztowy i zaczęłam szukać dzisiejszych przesyłek. Nic, ani śladu. To samo w programie faksu. Tak jak przypuszczałam, David skasował wiadomość od razu po jej nadaniu.

Nie szkodzi. Wystarczyło przeszukać kosz, by odnaleźć dokument sprzed niespełna trzydziestu minut. Odzyskanie go było kwestią paru chwil. Gdy ukazał się na ekranie, wszystko stało się jasne. Miałam przed sobą niezbity dowód, że David systematycznie sprzedaje rywalom gotowe produkty Lapinique. W przesłanym dopiero co piśmie zobowiązywał się dostarczyć dużą ilość nowego kremu – tego z formułą B – na jakiś adres na peryferiach Los Angeles, w zamian za okrągłą sumę, którą kontrahent miał wpłacić na jego konto osobiste we wskazanym banku na Kajmanach.

Wyciągnęłam już rękę, by włączyć drukarkę, gdy zza pleców dobiegło mnie ciche kasznięcie. Z dziko bijącym sercem błyskawicznie zamknęłam komputer, błagając wszystkich możliwych bogów, aby to nie był David.

– Udało mi się znaleźć aspirynę dopiero w apteczce bentleya – usłyszałam afektowany głos George'a. – Na brytyjskich producentach zawsze można polegać – oznajmił, potrząsając fiolką. – Oni umieją przewidzieć wszelkie potrzeby klienta.

– Och... Bardzo ci dziękuję, George... – Próbując uzasadnić swą obecność w gabinecie, chwyciłam chusteczkę i zaczęłam wymachiwać nią nad klawiaturą.

Może uwierzy, że postanowiłam tu trochę poodkurzać... Zdawałam sobie sprawę, że to głupie, ale nic innego nie przyszło mi na myśl.

– Napis na fiolce jest trochę zatarty, trudno więc o pewność, czy zawartość nie jest przeterminowana – ciągnął, nie zdradzając ochoty do odejścia. – Jednak pieczęć woskowa wydaje się nienaruszona.

Pieczęć? Co on bredzi? Czyżby się ze mnie nabijał? Zerknęłam na niego z ukosa, ale twarz miał nieprzeniknioną. Uświadomiłam sobie nagle, że w jego oczach muszę wyglądać jak idiotka z tą kretyńską chusteczką w ręku. Odkurzenie to przecież obowiązek George'a. Och, nic głupszego nie mogłam już chyba wymyślić.

Pochodziłam chwilę po tarasie, utwierdzając się w przekonaniu, że nie powinnam zwlekać z ujawnieniem swojego odkrycia. Po co? Mam czekać, aż zbiorę więcej informacji o Davidzie i jego machlojkach? Tyle, co wiem, wystarczy. Przestałam też być już osobą, która dla świętego spokoju woli nie otwierać ust. Nie, nie ma się nad czym zastanawiać. Trzeba natychmiast powiadomić o wszystkim Harleya. Zobaczymy, co teraz powie o swym kochanym braciszku.

Zastałam go w środku tej głupiej maszyny pływackiej – właśnie dopinał pasy.

– Och, Cindy, co ty znów wymyśliłaś! – wykrzyknął z niezadowoleniem, kiedy zaczęłam nalegać, żeby mi poświęcił kilka minut. – Czy to aż takie ważne? Mam akurat w programie próbę pokonania Hellespontu!

– Bardzo ważne. I musisz zobaczyć to na własne oczy, bo inaczej mi nie uwierzysz. Chcesz wiedzieć, w jaki sposób konkurencja zdobywa wasze receptury? Mogę ci to pokazać.

Narzekał jeszcze przez chwilę, ale w końcu wygramolił się na zewnątrz.

– No więc? Gdzie masz te swoje rewelacje? Chwyciłam go za rękę i zawlokłam do gabinetu.

– Przygotuj się na przykrą niespodziankę – powiedziałam, włączając komputer.

Podskoczył, jakby go coś ugryzło.

– Co ty robisz? Zostaw to! Jeszcze naciśniesz niewłaściwy klawisz!

– Uspokój się, Harley, zaraz sobie pójdę. – Nie zważając na jego protest, rozwinęłam wykaz plików i zaczęłam szukać ostatniej przesyłki. – Pokażę ci tylko pewną wiadomość. Sam zdecydujesz, co z tym dalej robić. – Przeleciałam listę do końca: wiadomości nie było. Nie wierząc własnym oczom, sprawdziłam spis po raz drugi; z tym samym skutkiem. – Nie do wiary – mruknęłam zdławionym głosem – zniknęła! Ktoś ją skasował! Godzinę temu jeszcze tu była!

– Skasował? O czym ty mówisz? Kto niby miał coś skasować?

George. On to musiał zrobić. Zbliżyłam kursor do kosza, ale Harley schwycił mnie za rękę.

– Dość tych głupich zabaw! Zabroniłem ci dotykać komputera! Rozmawialiśmy o tym, prawda?

– Posłuchaj...

– Komputery to skomplikowane urządzenia! – Zepchnął mnie z krzesła i sam zajął miejsce przy klawiaturze.

– Nie powinnaś się tym bawić, bo narobisz mi tu strasznych szkód. Ale skoro tak cię to interesuje, dobrze, pokażę ci coś ciekawego – powiedział z łaskawym uśmiechem. – Spójrz.

– Chwycił mysz i po kilku przymiarkach kliknął jakąś ikonę. – Hop! Jesteśmy na miejscu.

Komputer zmienił program i przy dźwiękach jarmarcznej muzyczki wyświetlił rozłożoną talię kart.

– No i cóż to takiego? – spytałam z jawną ironią.

– Pasjans – wyjaśnił jak głupiemu dziecku. Wziął moją rękę i ostrożnie umieścił ją na myszy. – Pokażę ci, jak się to robi. Trzymasz myszkę w ten sposób i przesuwasz tę malutką strzałkę. Kiedy znajdzie się ona nad wybraną kartą, naciskasz, o tak! i widzisz, co się dzieje? Karta zmienia położenie jak w prawdziwym pasjansie. No, spróbuj teraz sama.

Nigdy nie przestanie uważać mnie za kretynkę, pomyślałam z rezygnacją, choćbym na jego oczach rozebrała ten komputer na części, a potem złożyła na nowo. Nie chciałam jednak wszczynać kłótni – ważniejsza była sprawa Davida – więc posłusznie przesunęłam kilka kart.

– Posłuchaj, Harley – zaczęłam spokojnie – ktoś skasował ten dokument, który ci chciałam pokazać, muszę ci więc opowiedzieć, co w nim było. Chodzi o Davida. Przypadkiem usłyszałam, jak rozmawiał przez telefon o czymś, co...

– Co takiego? – przerwał mi ze wzburzeniem. – Podśluchiwałaś pod drzwiami? Szpiegujesz mojego brata? Jak ci nie wstyd! Jest naszym gościem!

– Wcale nie zamierzałam podśluchiwać... – spróbowałam się usprawiedliwić, widząc jednak, że znów chce mi przerwać, postanowiłam przejść prosto do rzeczy. – Zrozum, Harley, to David współpracuje z twymi konkurentami z Lapinette. Właśnie sprzedaje im dużą partię waszego nowego kremu, którą oni sprzedadzą później jako własny produkt.

Przez moment gapił się na mnie z otwartymi ustami.

– Niesłychane! – wyjąkał wreszcie. – To... to odrażające...

– Tak, to naprawdę nieprzyjemna sprawa. Nigdy bym nie przypuszczała, że można w ten sposób oszukiwać własnego brata.

– Co?! – Oczy omal nie wyszły mu z orbit. – Odrażające jest to, co mówisz! – wrzasnął na całe gardło. – Jak możesz oskarżać go o oszustwo! Ty chyba jesteś nienormalna! – Zerwał się z krzesła i zaczął biegać po pokoju. – Nie rozumiem, co się z tobą dzieje! Powinnaś iść do lekarza! Albo do psychiatry! Tak! Umówię cię z moim psychoanalitykiem! – zdecydował, sięgając po telefon.

– Nie!! – krzyknęłam tak głośno, że samą mnie to zdziwiło. – Nie pójdę do żadnego psychiatry! – Wyrwałam mu z ręki słuchawkę, rzuciłam na widełki i jak szalona wypadłam z pokoju. Psychiatra! Wszystko, tylko nie to, myślałam że zgrozą, pędząc przed siebie na oślep. Nikt się nie może dowiedzieć, co dzieje się w mojej głowie! Gdyby ktokolwiek odkrył ten dziwaczny konglomerat dwóch różnych osobowości, którym się teraz stałam, resztę życia spędziłabym w domu bez klamek!

Wybiegłam na taras – i z impetem wpadłam na Davida. Chwycił mnie za ramię i przytrzymał.

– Dokąd ci tak spieszo, siostrzyczko? – zapytał z fałszywą troską. – Czyżbyś znów zdenerwowała mojego drogiego brata? Mam nadzieję, że nie.

– Bo tak go kochasz, co? – Wyrwałam się z jego uścisku i nie zważając już na nic, wyrabiałam mu prosto w oczy: – A wyobrażasz sobie, jak by się zdenerwował, gdyby się dowiedział, że go okradasz? Sprzedając formułę Lapinique konkurentom?

– Skąd do diabła... – wybąkał, patrząc na mnie ze śmiercią w oczach – ...przyszło ci to do głowy? – Szybko odzyskał drań zimną krew. – Powiedziałaś: „formułę”?

– Tak, dobrze słyszałeś. Roześmiał się ironicznie.

– Myślisz, że ten nasz krem ma jakąś specjalną recepturę? Że to coś więcej niż zwykły *cold cream* z dodatkiem paru substancji zapachowych? No, jest tam jeszcze trochę nieszkodliwych wyciągów warzywnych, żeby zadowolić zwariowanych makrobiotyków, ale na tym koniec.

– Cokolwiek to jest – odparowałam – nie wolno ci tym handlować bez wiedzy Harleja, i to jeszcze z jego konkurencją!

– Myślałem, że jesteś bystrzejsza – wycedził z politowaniem. – Lapinette to żaden nasz rywal. Ci ludzie to grupka kowbojów działających na samych peryferiach rynku. Nic nam z ich strony nie grozi.

– A Harley mówił... – urwałam w pół zdania pod wpływem nagłej wątpliwości. Czyżbym się myliła? Może go źle zrozumiałam?

– Mniejsza o to, co mówi Harley – burknął David.

– Jeżeli chcesz się wtrącać w nasze interesy, powinnaś coś o nich wiedzieć, a ty, jak widzę, nie znasz nawet podstawowych zasad rządzących współczesnym handlem. Sprzedaż nadmiernych zapasów to znana praktyka. Wszyscy tak robią, aby zmniejszyć straty.

– Mnie to nadal wygląda na kradzież.

– Co świadczy jedynie o tym, że nic nie rozumiesz – odrzekł z przesadnym westchnieniem. – Nie muszę ci się tłumaczyć, ale skoro tak bardzo interesujesz się moją działalnością, to ci powiem, że nie tylko nie szkodzi ona firmie, lecz oszczędza jej mnóstwo pieniędzy. Czy masz pojęcie, ile by zdarł z nas fiskus pod koniec każdego roku, gdybyśmy nie próbowali temu przeciwdziałać? Ten twój urojony „spisek” to nic innego jak tylko przemieszczenie części kapitału, by uniknąć nadmiernych podatków. Wszyscy dokonują takich operacji. Są legalne, rozumiesz? – zakończył beztroskim tonem.

Uwierzył pewnie, że dałam się nabrać. Nie przyszło mu na myśl, że mogę coś wiedzieć o prywatnym koncie na Kajmanach. Obaj mnie nie doceniacie, stwierdziłam w duchu, ty i twój brat. Mogę się nie orientować, na czym i w jaki sposób firma zarabia pieniądze, wiem za to bardzo dokładnie, którędy wyciekają z niej znaczne sumy i dokąd później wędrują.

– Nim następnym razem oskarżysz mnie o malwersacje – butnie kontynuował David – zastanów się najpierw, kto ci zapewnia ten ekstrawagancki styl życia, który tak ci przypadł do gustu. O, przyswoiłaś go sobie z niezwykłą łatwością! Pomyśl, dzięki komu masz kosztowne ciuchy, egzotyczne wakacje, luksusowe drobiazgi, i powiedz, czy to ładnie gryźć rękę, która cię karmi? Tak, Cindy, teraz ty także nazywasz się „Brightman”, nie zapominaj o tym.

Kiwnęłam głową – niech myśli, że mnie przekonał.

– Mam nadzieję, że nie naplotłaś tych bzdur Harleyowi – zakończył z nutą groźby w głosie. – Chyba nie chcesz, żeby się dowiedział, jaka jesteś głupia.

Ponownie skinęłam głową, udając zmieszanie i skruchę. A więc naprawdę uwierzył, że kupiłam te jego kłamstwa! No i dobrze, powiedziałam sobie. Widząc we mnie zagrożenie dla swych interesów, mógłby paskudnie utrudnić mi życie, a i bez tego mam dość problemów.

Poszłam do łazienki strzelić sobie klina i pozbierać myśli. Przez tę aferę z Davidem zapomniałam na chwilę o znacznie ważniejszej sprawie – swoich

stosunkach z Harleyem. O tym, że traktuje mnie jak głupie dziecko, nie słucha, co mówię, nie pozwala mi o sobie decydować. Dłużej tak być nie może. Ulegając mu nadal we wszystkim, byłabym tak samo godna pogardy jak ta sfera nędznych służalców, którzy w zamian za takie czy inne korzyści gotowi są lizać mu buty.

Harley musi zrozumieć, że nie akceptuję ani zasad moralnych wyznawanych w jego środowisku, ani jego stosunku do mnie, a ponieważ wszystkie dotychczasowe próby powiadomienia go o tym nie odniosły żadnego skutku, pozostaje mi już tylko ostra konfrontacja. Tak, nie ma innego sposobu. Muszę twardo bronić swego stanowiska, zamiast kłaść uszy po sobie przy pierwszych oznakach sprzeciwu. Im dłużej myślałam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że jedynym lekarstwem na nasze kłopoty jest długa i szcera rozmowa.

Tym razem nie stchórzę, obiecałam sobie, pociągając następny łyk wódki. Najpierw wytłumaczę mu szczegółowo, dlaczego nie jestem szczęśliwa i jakie popełnił błędy, a potem wyłuszcze, co powinien robić, aby ich już nie powtarzać. Na koniec postawię mu swoje warunki. Powiem, że nasze współżycie musi być oparte na partnerstwie i wzajemnym zaufaniu i że aby to osiągnąć, potrzebny będzie wspólny wysiłek. Oboje musimy się o to postarać.

Czyż nie od tego zależy udany związek? Wszyscy doświadczeni ludzie utrzymują, że dobre współżycie wymaga mnóstwa zachodu i starań. Po kolejnej wódce tak mi przybyło odwagi, że postanowiłam natychmiast wprowadzić w czyn swe zamysły. Wymaszerowałam z łazienki gotowa wziąć byka za rogi. Trzeba odnaleźć Harleya.

Nie musiałam daleko szukać. Za ledwie zesłam ze schodów, pojawił się w drzwiach oranżerii.

– Mogłabyś wejść na chwileczkę? Chcę z tobą pomówić.

– Świetnie, jaz tobą również. – Przyszło mi na myśl, że może przewidział moje ultimatum. Może nareszcie zrozumiał, że nie wolno mnie lekceważyć, i chce mnie za to przeprosić? Przecież i jemu musi zależeć na dobrych stosunkach.

– Doszliśmy właśnie do wniosku – mówił dalej – że pewne sprawy wymykają nam się spod kontroli...

– Wiem – przytaknęłam żywo – myślałam dokładnie o tym samym. Ale zaraz... Powiedziałaś: „my”?

– Tak, ja i David – wyjaśnił. Niepotrzebnie. W drugim końcu oranżerii zobaczyłam już swego szwagra rozwalonego na krześle.

Oni doszli do wniosku! Do diabła! Znów to samo! Dyskutują sobie o mnie,

jakbym była ich wspólną własnością!

– Doszliśmy do wniosku – powtórzył Harley – że ostatnio jesteś w wielkim stresie. Potrzebne ci są wakacje.

Wakacje? Też mi pomysł! Jechać na wakacje, gdy dzieli nas tyle problemów! Trzeba najpierw się z nimi uporać. Czy Harley tego nie rozumie?

– I wiesz cośmy uradzili? Jedziemy do Włoch! – oznajmił, wyraźnie zachwycony swym „świetnym” pomysłem.

– Mówiłem ci o nowej reklamówce, prawda? W tym całym zamieszaniu zapomniałem tylko powiedzieć, że zdjęcia zaczynają się w przyszłym tygodniu. David wynajął już dom. Możemy pojechać tam wcześniej i trochę odpocząć...

– Westchnął i obrzucił mnie tęsknym spojrzeniem. – Spodoba ci się tam, zobaczysz. Portofino to takie romantyczne miejsce!

– Chwileczkę. Mam w przyszłym tygodniu rozpocząć zdjęcia, a ty nie uznałeś za stosowne mnie o tym uprzedzić? Nie przyszło ci na myśl, że mogę mieć inne plany?

Roześmiał się pobłaźliwie.

– Och, nie wygłupiaj się, Cindy! Cóż takiego mogłabyś robić?

Omal mnie szlag nie trafił. Otworzyłam już usta, żeby mu wygarnąć, co myślę o męskim szowinizmie w ogóle, a o jego postawie w szczególności, gdy dorzucił niedbałym tonem:

– Pomyślałem, że po drodze moglibyśmy wpaść do Londynu. Tyle razy mówiłaś, że chciałybyś zwiedzić Anglię...

Momentalnie zamknęłam usta. Londyn! A tuż obok Guildford! Mogłabym się chyba wymknąć na jednodniową wycieczkę! Coraz wyraźniej czułam, że dopóki nie załatwię tam paru spraw, nie będę mogła tak naprawdę przystosować się do życia tutaj. Ten wyjazd to może jedyna szansa, żeby się tam dostać!

Bez żalu, a nawet z ulgą zaniechałam planowanej konfrontacji; dyskusja o naszych stosunkach może jeszcze trochę poczekać, powiedziałam sobie, a kłótnia z Harleyem byłaby w tej chwili dosyć ryzykowna – mógłby się jeszcze rozmyślić.

Z pewnym trudem zdobyłam się na uśmiech.

– Miła propozycja. Bardzo chętnie pojedę do Londynu.

– A widzisz, Davidzie! – triumfalnie roześmiał się Harley. – Mówiłem ci, że się zgodzi, trzeba tylko ją ładnie poprosić!

Tej nocy zaczął się do mnie dobierać.

– Pragnę cię, Cindy – mamrotał ochryple. Próbowałam udawać, że śpię, on

jednak tak długo nie dawał za wygraną, że w końcu machnęłam ręką – no dobrze, jakoś to wytrzymam.

Byłam w błędzie. Coś we mnie pękło. Nie potrafiłam już dłużej udawać przed sobą, że go kocham. Czułam się jak ofiara brutalnej przemocy, i to nie tylko fizycznej. Jakby ofiarą tej napaści stało się nie tylko ciało Cindy, lecz i jakaś istotna część mojego, ja”. Do tej pory wydawało mi się, że zależy mi na Harleyu, teraz zrozumiałam, że to nieprawda, że wszystko to sobie wmówiłam. To, co brałam za miłość, było w rzeczywistości czymś zupełnie innym – krótkotrwałym uczuciem triumfu z powodu fizycznej bliskości z mężczyzną. Nie musiał to wcale być Harley... Teraz już wiedziałam, że pozostalibyśmy sobie obcy, gdybym nawet przeżyła z nim pięćdziesiąt lat. Uświadomiłam sobie, że nie tylko wcale go nie kocham, ale wręcz nim gardzę. Zarówno za to, że okazał się próżnym, pustogłowym playboyem, pozwalającym prowadzić się na sznurku bezwzględnemu bratu, jak i za to, że związał się z Cindy. Jak można zakochać się w takiej dziewczynie? Wystawił tym sobie świadectwo kompletnego braku głębszych potrzeb.

– Cindy, najdroższa! – sapnął namiętnie, miotając się we mnie coraz szybciej.

– Znów jesteś moja!

O nie, odpowiedziałam mu w duchu, wzdychając, żeby już skończył. Nie jestem ani twoją, ani żadną Cindy. Ale kim ja właściwie jestem? zadałam sobie pytanie. Ile pozostało we mnie z Harriet? Muszę pojechać do Anglii, żeby się o tym przekonać. Jak to dobrze, że jutro będę już w Londynie.

Dopiero przed samym wyjazdem dowiedziałam się ze zdumieniem, że podróżujemy w czwórkę – z Davidem i George’em. Na lotnisko odwoził nas Jose, wyraźnie uradowany perspektywą pozbycia się rywala przynajmniej na parę tygodni, widać też było, że mierzi go widok George’a siedzącego z nami z tyłu limuzyny.

Atmosfera była dość napięta, toteż przez dobrych kilkanaście minut panowała grobowa cisza.

– Wiesz, George – odezwał się w końcu Harley przesadnie jowialnym tonem – doskonale się stało, że brat podsunął mi pomysł zabrania i ciebie w tę podróż. Będziesz mógł odwiedzić stare kąty.

– Muszę przyznać, sir, że bardzo mnie to cieszy – odrzekł sztywno kamerdyner. – Miło będzie zobaczyć znów Kempton Park i Windsor. Chętnie też odwiedzę znajomych. Ciekawe, jak im się żyje.

– Nie ma to jak stara wiara, co, George? Powiedz mi, co to za nazwy, te, które



wymieniłeś? Tam właśnie mieszkałeś przed przyjazdem do Stanów?

– Och, można tak powiedzieć, sir. – Na twarzy George’a pojawił się tęskny uśmiezek. – W tych czasach lubiłem podróżować, bywało się więc tu i ówdzie... Bath, Newbury, Ascot, Sandown. Proszę wymienić jakąkolwiek nazwę, a okaże się, że tam byłem.

– Lingfield? – rzuciłam zniechęta. – Goodwood? Fontwell?

George’owi opadła szczęka.

– O, miss Cindy, doskonale zna pani...

– Całe południe Anglii? Rzeczywiście. Wieczorem obejrzałam sobie mapę – wyjaśniłam, zerkając na Harleya.

Mijając mój billboard na Bulwarze Zachodzącego Słońca, zaczęłam mimo woli wpatrywać się w tłum na chodniku, nie bardzo zdając sobie sprawę, kogo właściwie tam szukam, dopóki nie wpadła mi w oko ta stara kobieta podobna do Harriet. Nie miała już wózka, z którym widziałam ją ostatnim razem, a z jej przygarbionej postaci było jeszcze większe przygnębienie.

Nasz wóz akurat się z nią zrównał, kiedy nieoczekiwanie wkroczyła na jezdnię, między wolno jadące samochody, i zaczęła mozolnie brnąć na drugą stronę. Rozległy się ostre dźwięki klaksonów.

– O Chryste! – sarknął David. – Kiedy wreszcie te nasze władze oczyszczą ulice z takich pasożytów!

– Kiedy znajdą im jakieś miejsce do życia! – krzyknęłam z furją. – To nie jej wina, że wylądowała na ulicy! To tacy chciwi dranie jak ty spychają ludzi na margines!

Och! Krew nagle zastygła mi w żyłach. Kobieta potrącona burtą jadącego obok cadillaca, którego kierowca myślał pewnie tak samo jak David, odbiła się z hukiem o przód naszego wozu. Jose na szczęście zdążył zahamować, inaczej wpadłaby prosto pod koła.

– Czekaaj! – krzyknęłam, chwytając za klamkę. – Muszę zobaczyć, czy nie jest ranna!

– Trzeba było przejechać tę starą wiedźmę! – syknął David. – Sama się o to prosiła.

– Co robisz, Cindy! – gorączkował się Harley. – Ona może mieć broń! Chcesz dać się zabić?

George uniósł brwi, Jose bezradnie rozłożył ręce – i zdjął nogę z gazu.

Kobieta leżała na jezdni z głową tuż pod przednim kołem. Brakowało dosłownie paru centymetrów.

– Nie chciałam zrobić nic złego – wyjąkała ochryple na mój widok – tylko... tylko przejść przez jezdnię... Proszę nie wołać glin... ja nie zrobiłam nic złego. – Widać było, że jest przerażona.

– Wiem – szepnęłam uspokajająco. – Możesz wstać? Skuliła się ze strachu, kiedy wyciągnęłam rękę.

– Spróbuj się podnieść. – Naprawdę miała w sobie coś z Harriet. Co sprawia, że wszystkie stare kobiety zaczynają wyglądać podobnie?

Dookoła robiło się coraz głośniejsze.

– Niech ktoś przepędzi te cholerne baby! – rozległ się okrzyk.

Cokolwiek to jest, pomyślałam, powoduje, że cała reszta społeczeństwa odnosi się do nich z równą niechęcią. Jakby się wszyscy zmówili. Jest coś takiego w starej kobiecie, co chyba przeraża ludzi, a już najbardziej mężczyzn.

Poszkodowana podniosła się z wolna na nogi, spoglądając na mnie podejrzliwie. Ludziom skrzywdzonym przez los trudno uwierzyć w życzliwość. Pod wpływem nagłego impulsu wyjęłam z torebki gruby zwitek studolarówek – Harley nalegał, żebym wzięła je „na wszelki wypadek”

– Wyłuskałam jeden banknot i wcisnęłam go w rękę kobiecie, uważając, by tego nie spostrzegł żaden z dwóch Brightmanów.

– Masz. Nie bój się. Cofnęła się gwałtownie.

– Chce mnie pani wystawić glinom? – spytała nieufnie.

– Że niby to pani ukradłam?

– Nie! Proszę cię, weź. Kup sobie jedzenie albo coś potrzebnego.

– Wracaj do wozu, Cindy! – ryknął Harley. Opuścił szybę i wychylił się na zewnątrz. – Nie życzę sobie, żeby moja żona szwendała się po ulicy z włóczęgami!

Och ty! Czy ty nie masz w sobie ludzkich uczuć? pomyślałam z głęboką odrazą. Żadnego współczucia dla ludzi, którym powiodło się gorzej niż tobie?

– Poczekaj! – szepnęłam do kobiety, która szykowała się już do odejścia. Chwyciłam ją za ramię i wcisnęłam do kieszeni całą resztę pieniędzy, jakieś dwa tysiące. – Masz! Choć raz sobie użyj!

Szybko obmacała kieszeń i spojrzała na mnie ze skrajnym niedowierzaniem.

– Jak się ze mną drażnisz, paniusiu – powiedziała w końcu – to lepiej uważaj, bo jak ci się urwę, to już nie zobaczysz tych swoich zielonych. – I jakby nagle przybyło jej siły, pędem wskoczyła pomiędzy stłoczone wozy. Po chwili zniknęła mi z oczu.

A co tam, pomyślałam, wracając do limuzyny. Harley ma tyle pieniędzy! Może to już pora, żeby oddał ich trochę ludziom takim jak ta biedaczka. Im potrzebne

są one o wiele bardziej niż jemu.

Nie miałam ochoty rozmawiać z Harleyem, więc przez większą część lotu do Anglii udawałam, że śpię, obserwując go jednak spod przymkniętych powiek. Dla zabicia czasu robił to co zwykle – wertował nabytą na lotnisku stertę kolorowych tygodników w poszukiwaniu reklam swojej firmy. W pewnej chwili spostrzegłam, że przygląda mi się ukradkiem, a potem przenosi wzrok na tygodnik, jakby mnie porównywał z reklamowym zdjęciem. Czyżby uważał, że z twarzą Lapinique stało się coś dziwnego? Może się zastanawia, jakim cudem ta uosobiona niewinność o dziecięcych oczach tak szybko dorosła?

„Obudziłam się” dopiero nad Heathrow. W chwili gdy samolot dotknął kołami płyty, doznałam tak wielkiej ulgi, że trudno to ująć w słowa. Anglia! Obszar otaczający lotnisko nie należy do najpiękniejszych miejsc na kuli ziemskiej, ale ja gotowa byłam przyznać mu wszystkie możliwe walory. Dopiero na widok tego tak bliskiego sercu krajobrazu uświadomiłam sobie, jak serdecznie nie cierpię Ameryki. Nareszcie jestem u siebie – tu gdzie moje miejsce!

Taksówkarz wiozący nas do Londynu mówił jak postać z serialu „Eastenders”.

– Ciekawe – szepnął mi Harley. – Podobno żeby tak mówić, trzeba się urodzić przy dźwiękach Bow bells.

Bow bells? W jakimże to głupim przewodniku naczytał się takich rzeczy? Pewnie myśli, że Londyn to miasto halabardników, straganiarzy obwieszonych perłami i czerwonych budek telefonicznych. Może jeszcze mi powie, że tutejsze ulice brukowane są złotem!

Od razu po przybyciu do hotelu „Dorchester” podeszłam do okna i zaczęłam wspominać swoje dawne wyprawy do Londynu. Pewnego razu przeczłapałam połowę Park Lane z torbami pełnymi zakupów, zanim zdałam sobie sprawę, że coś mi się pomyliło i że idę w niewłaściwą stronę. Traf chciał, że zatrzymałam się właśnie przed wejściem do tego hotelu, aby rzucić okiem na plan miasta. Pamiętałam, z jaką fascynacją przyglądałam się wtedy wytwornie ubranym ludziom wchodzącym do foyer. Wydawali mi się niemal odrębną rasą. Może bogactwo rzeczywiście tak bardzo zmienia człowieka, że od zwykłych śmiertelników zaczyna go dzielić przepaść?

Formalnie należałam teraz i ja do tego bractwa bogatych i możnych, czułam jednak, że nigdy nie uznam za własny ich aroganckiego stosunku do świata i ludzi. Aby postrzegać ten świat tak jak oni – jako ogromny magazyn wszelkich dóbr służących zaspokajaniu wyłącznie ich potrzeb – trzeba się z tym urodzić. Ja nie urodziłam się bogata ani jako Harriet, ani jako Cindy i może właśnie dlatego

nie umiałam porozumieć się z Harleyem.

Myśl o Harleyu przypomniała mi o moich planach. Czym upozorować wyprawę do Guildfordu? Udać, że mam w tym mieście jakichś nieznanych krewnych? Nie byłoby to w końcu takie dalekie od prawdy. A może po prostu powiedzieć, że chcę odbyć samotną wycieczkę po Londynie?

Coś ostrzegło mnie jednak, że Harley się na to nie zgodzi i że najlepiej będzie postawić go przed faktem dokonanym. Na samą myśl, że mógłby mnie teraz zatrzymać – teraz gdy jestem już tak blisko domu! – zrobiło mi się gorąco. Nie, nic mu nie powiem. Później wymyślę jakieś wyjaśnienie.

Kiedy następnego ranka udał się do łazienki – zawsze bardzo długo czyścił zęby – wymknęłam się cichcem z pokoju, zostawiwszy mu na poduszce dość lakoniczny bilecik: „Wysłałam powłóczyć się po mieście. Nie martw się o mnie. Wrócę późno. Całuję, Cindy”.

Całuję! Trudno mi było napisać to słowo, musiałam to jednak zrobić, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Pojechałam taksówką na dworzec Waterloo, gdzie zastałam już pociąg do Guildfordu – na tym peronie co zwykle. Obserwując z okna znajome widoki – gmach parlamentu, Big Bena, nową siedzibę M16 – zaczęłam sobie uświadamiać, że chociaż ta moja „podróż do źródeł” podjęta została wyłącznie z potrzeby odnalezienia samej siebie, to poza tym czysto duchowym aspektem może mieć ona również znaczenie praktyczne. Nie powzięłam w tym momencie żadnych postanowień, ale jedno wiedziałam na pewno: nie spieszy mi się do Stanów.

Najchętniej nie wróciłabym tam już nigdy, czy jednak mogłabym pozostać w Anglii? Z czego bym tu żyła? Opuszczając Harleya, musiałabym pożegnać się z jego pieniędzmi. Istniały też inne trudności, jak choćby ta, że w obecnym wcieleniu nie byłam obywatelką Wielkiej Brytanii. Choć nigdy nie badałam tego szczegółowo – bo i po co? – wiedziałam, że niezbyt chętnie widzi się tu cudzoziemców ubiegających się o zezwolenie na stały pobyt. Zaraz jednak przyszło mi na myśl, że ten akurat problem dałoby się rozwiązać – pod warunkiem że jeszcze nie uznano Harriet za zmarłą. Dysponując jej dokumentami, mogłabym chyba stworzyć sobie nową tożsamość. Z tym wprawdzie także byłyby pewne trudności, takie jak różnica wieku i zupełnie inna powierzchowność, ale wydawało mi się, że i na to znalazłby się sposób...

Gdy po czterdziestu minutach wysiadłam z pociągu, doznałam nagłego ataku melancholii. Poczułam się całkiem jak wtedy, gdy jako zgorzkniała stara panna wracałam z samotnych zakupów lub wizyty w teatrze do swego beznadziejnie

pustego mieszkania. Teraz byłam młodą bogatą mężatką, ale czy moje życie nabrało przez to większego sensu?

Po wyjściu z dworca skierowałam się od razu w stronę domu. Wybrałam dobrze znaną trasę przez High Street, po której jak zwykle o tej porze przewalały się tłumy – zakupy! – i zaczęłam wspinać się na wzgórze. Nowe reklamy Lapinique nie dotarły jeszcze do Anglii – pytałam o to Harleya – mogłam więc poruszać się bez obaw, że mnie ktoś rozpozna. Sama bacznie przyglądałam się przechodniom, wypatrując znajomych twarzy. Jak by to było natknąć się nagle na Sally czy Andrew?

Dotarłam wreszcie do domu. Zapasowy klucz leżał tam, gdzie go zostawiłam – w niewielkim zagłębieniu kamiennego murku, nieopodal wejścia do ogródka. Ostrożnie wśliznęłam się do holu i zaczęłam na palcach wspinać się po schodach – starsza pani z parteru miała dobre ucho. Drżącymi rękami otworzyłam drzwi.

W przedpokoju jak zwykle leżała sterta reklam i innego śmiecia; przekroczyłam ją i weszłam do salonu. Zniknęłam stąd przed ponad trzema miesiącami, a wydawało mi się, że było to wczoraj. Na widok znajomego bałaganu – stosu książek na stole, brudnych kubków po kawie, pustej butelki po whisky – zalała mnie fala wspomnień. Było tak, jakby Harriet wracała do życia. Kiedy kątem oka złowiłam swe odbicie w lustrze, przebiegł mnie dreszcz: to ja? Patrzyłam w to lustro tysiące razy i zawsze widziałam tam inną twarz...

Z głośno bijącym sercem otworzyłam drzwi do sypialni. Prawie się spodziewałam, że zobaczę tam na wpół rozłożone zwłoki, ale nie, pokój był pusty. Szczegółowo zbadalam nie posłane łóżko w poszukiwaniu jakichś śladów tego, co się tu stało, i też nic, nie było żadnych. Na wszelki wypadek przeszukałam pozostałe pomieszczenia – kuchnię, komórkę, łazienkę – zajrzałam do szafy i w końcu pod łóżko, lecz i tam nie znalazłam swej dawnej cielesnej powłoki ani żadnych podejrzanych śladów.

Upewniwszy się co do tego, że w mieszkaniu nie ma trupa Harriet, wyjęłam z szuflady jej kartę kredytową, paszport, książeczkę czekową oraz parę innych dokumentów, które mogły mi być potrzebne, i włożyłam to wszystko do torebki. Czynnosc za mieszkanie zapłaciłam z góry – następny termin wypadał dopiero za parę tygodni. Do tego czasu zdecyduję, co dalej, pomyślałam, a na razie mam się gdzie ukryć, gdyby zaszła taka potrzeba – pod warunkiem oczywiście że nie wpadnę w oko czujnej sąsiadce z dołu.

Przejrzawszy pobieżnie to, co leżało pod drzwiami, doszłam do wniosku, że rachunki mogą sobie poczekać – dawniej też tak było. Już miałam wychodzić, gdy

spozstrzegłam brązową kopertę opatrzoną znajomym sloganem: „Chcesz przeczytać dobrą książkę? Skorzystaj z usług swojej biblioteki.”

W środku znalazłam czek opiewający na nazwisko Harriet. Odprawa emerytalna! Zupełnie o tym zapomniałam. Nie była to żadna fortuna, ale kilka miesięcy dałoby się za to przeżyć.

Ostrożnie zamknęłam drzwi i udałam się z powrotem na High Street, gdzie w moim dawnym banku zdeponowałam czek Harriet na jej konto, a po wyjściu stamtąd skierowałam się w stronę North Street. Uznałam, że pora odwiedzić bibliotekę.

W foyer panował tłok. Przepchnąwszy się z trudem do głównej sali, doznałam lekkiego szoku na widok znajomych twarzy po drugiej stronie kontuaru. Cynthia Hoskins, jedna z nielicznych życzliwych mi osób, spostrzegłszy, że na nią patrzę, odpowiedziała mi wrogim spojrzeniem, Simon Dawson natomiast, zastępca szefa, błysnął w moją stronę niedwuznacznie lubieżnym uśmiechem.

– Czym mogę służyć?

Widząc, jak jego oczy wędrują po moim ciele, omal nie pękłam ze śmiechu. No proszę! Kiedy rugał mnie za spóźnienia, nigdy tak na mnie nie patrzył!

– Czy byłby pan łaskaw – spytałam ze słodkim uśmiechem – wskazać mi drogę do działu „Życie i nauka”?

– Trzeba pójść do końca tej sali i... Och, najlepiej zaprowadzę panią! – Ochoczo poderwał się z krzesła.

– Tylko nie zawierusz się gdzieś po drodze – złośliwie rzuciła Cynthia. Bardzo głośno szcęknęła zszywaczem, w którym tkwiło kilka kartek, i dodała z gryzącym szyderstwem: – Co bym powiedziała twojej żonie, gdyby przyszła cię zabrać na lunch?

Dział „Życie i nauka” zajmował ogromną powierzchnię, wypełnioną dawniej mnóstwem regałów z książkami. Teraz stały tu niskie stoliki i wyściełane krzeselka z chromowanym oparciem, a pomiędzy nimi ozdobne rośliny doniczkowe.

Książkom przydzielono tu niewiele miejsca. Ustawione tytułem do przodu, jak w witrynie księgarskiej, mieściły się na kilku zaledwie regałach zajmujących dwie sąsiednie ściany. Ach tak, trochę nowości wystawiono jeszcze na dwóch obrotowych stojakach. Pod trzecią ścianą ciągnął się rząd komputerów, pod czwartą zaś rezydowała Annette Baker, obstawiona półkami z prasą codzienną, czasopismami oraz całą kolekcją wideofilmów.

Mnie przypominało to bardziej halę odlotów na jakimś mniejszym lotnisku

aniżeli bibliotekę – wprost miałam ochotę spytać, czy to już czas wyjść na płytę. Coś jednak ucieszyło mnie niewymownie: mimo tłoku w foyer to pomieszczenie świeciło pustkami. Wyglądało na to, że rewelacyjny pomysł panny Baker okazał się niewypałem.

Przyszłam tu w pewnym celu, zasiadłam więc przy jednym z terminali przeznaczonych dla czytelników i poszperawszy chwilę w katalogu, znalazłam odpowiedni tytuł...

Annette Baker podejrzliwie lypnęła na mnie okiem, gdy zbliżyłam się do jej biurka.

– Czy ma pani rzecz pod tytułem „Mity plemienne – studium grup społecznych w wioskach Afryki Zachodniej”? – spytałam niewinnym tonem.

– Będę musiała sprawdzić – odrzekła z lekką irytacją. Gdy odwróciła się do komputera, mogłam jej się dobrze przyjrzeć. Wyglądała na zmęczoną; wydała mi się starsza i mniej olśniewająca niż kiedyś. Jej „elegancki” kostiumik – ten sam, w którym ją widziałam ostatnio – prezentował się dosyć marnie w porównaniu z moim kosztownym okryciem.

– Książka, o którą pani chodzi, znajduje się niestety w zbiorze rezerwowym – oznajmiła po paru minutach tonem oznaczającym, że to koniec sprawy. O, ale nie ze mną! Wiedziałam doskonale, gdzie się znajduje ta książka, i właśnie dlatego ją wybrałam.

– Czy mogłabym ją obejrzeć?

– Będę musiała zejść do piwnicy – powiedziała z rozdrażnieniem. – Trochę to potrwa.

Uśmiechnęłam się rozbrajająco.

– Nie szkodzi. Mogę poczekać.

Gdy tylko Annette Baker zniknęła z horyzontu, usiadłam przy jej komputerze i rozejrzawszy się chyłkiem, czy nikt mnie nie obserwuje, zaczęłam wprowadzać w życie swój plan. Hasło. Z tym poradziłam sobie gładko. Uruchomienie procedur dostępu do programu głównego też nie sprawiło mi większych trudności. Teraz wystarczyło już tylko wystukać kilka poleceń.

„Uwaga! – odpowiedział komputer. – Czy na pewno chcesz skasować wszystkie pliki w dziale »Życie i nauka«?”

Z uczuciem głębokiej satysfakcji kliknęłam słowo „tak” i na wszelki wypadek potwierdziłam to kilka razy. Co uczyniwszy, dokładnie opróżniłam kosz. Już po chwili byłam znów na North Street, ściągając na siebie ciekawe spojrzenia przechodniów, zaintrygowanych pewnie moim pełnym triumfu uśmiechem. O tak,

zemsta jest słodka.

Nie mogłam wyjechać z Guildfordu, nie próbując zobaczyć – przynajmniej z daleka – dwojga swych przyjaciół. Musiałam się upewnić, że istnieją, że są tutaj nadal. Ha, tylko jak to zrobić? Łaziłam jakiś czas po ulicach, łamiąc sobie nad tym głowę, aż wreszcie zaświtał mi pewien pomysł. Poszłam do budki telefonicznej i zadzwoniłam do Sally.

– Nazywam się Cindy... Brightwater – oznajmiłam w odpowiedzi na jej „halo”.  
– Zarekomendowano mi panią jako znakomitą projektantkę wnętrz. Mam wielki dom w Los Angeles, który... hm... wymaga zupełnie nowej aranżacji.

– W Los Angeles? – spytała z zaskoczeniem. – Nigdy nie pracowałam w Stanach, ale czemu nie? Byłoby to dla mnie nowe doświadczenie. Rozpoczęłam akurat działalność na własną rękę, nie widzę więc przeszkód... Czy zechciałaby pani wobec tego podać mi trochę szczegółów?

– Tak się składa, że akurat jestem tu przejazdem, mogłabym więc wpaść do pani... Chętnie obejrzałabym pani projekty. Można?

– Ależ oczywiście! Kiedy byłoby pani wygodnie?

– Jak coś robić, to zaraz – rzuciłam żartobliwie.

– Znalazłaby pani trochę czasu?

Byłam bardzo blisko jej domu, odczekałam zatem pół godziny w pubie; nie byłoby dobrze, gdyby Sally odniosła wrażenie, że zbyt mi się spieszy. W ostatniej chwili zdążyłam też sobie przypomnieć, że dla zachowania pozorów powinnam zapytać o drogę. Tak też zrobiłam.

Pierwsze pytanie Sally brzmiało:

– Czy mogę wiedzieć, kto podał pani moje personalia? Pytam „kto”, bo nie zamieszczałam żadnych ogłoszeń, poza tym wciąż jeszcze najczęściej zajmuję się tylko doradztwem.

– Sądzę, że wspólna znajoma – skłamałam gładko, siadając przy kuchennym stole z uczuciem przypominającym déjà vu. – Poznałam na Barbados pewną panią, która z wielkim uznaniem wyrażała się o pani osiągnięciach.

– Jak się nazywała?

– Ach, z tym będzie kłopot. Nazwisko wypadło mi z głowy... – Zaczęłam zdejmować płaszcz, który Sally natychmiast wyjęła mi z ręki i z szacunkiem przewiesiła przez oparcie krzesła.

– Napije się pani kawy? A może herbaty?

Czułam się winna, oszukując w ten sposób przyjaciółkę, ale co miałam zrobić? Powiedzieć prawdę? Nigdy by mi nie uwierzyła.



– Chwileczkę – mruknęłam, udając głęboki namysł – zaczynam sobie przypominać... Ta pani, o której wspomniałam, miała chyba na imię Harriet.

– Harriet? – Sally szeroko otworzyła oczy. – Na Barbados? A cóż ona tam robiła?

– Jeśli mnie pamięć nie myli, wspominała o rejsie dookoła świata...

– O rany! Więc jednak się na to zdobyła! Stara poczciwa Harriet! Proszę mi o niej opowiedzieć! Jak się czuła? Była zadowolona z tej wyprawy?

– O tak – odrzekłam cicho. Sally, wołałam w myślach, to ja, Harriet! Nie poznajesz mnie? Bałam się tego spotkania, nie przypuszczałam jednak, że okaże się aż tak bolesne.

Z przesadnym zapalem zaczęłam trajkotać o swych rzekomych zamiarach dotyczących domu w Los Angeles – aby jak najszybciej skończyć z tym oszustwem.

– W Stanach – oznajmiłam – nastąpiła teraz moda na brytyjskich projektantów wnętrz. Istny szal. Powinna pani nawiązać tam trochę kontaktów. Byłaby pani rozchwytywana.

Jeżeli zdecyduję się wrócić do Stanów, myślałam, dam jej tę pracę. Wytłumaczę Harleyowi, że musi coś zrobić z tym domem, zanim zyska on sławę międzynarodowego muzeum złego gustu.

– Na razie jestem jeszcze w trakcie rozmów z kilkoma czołowymi projektantami – powiedziałam głośno; pragnęłam oszczędzić jej rozczarowania na wypadek, gdyby jednak nic z tego nie wyszło. – Dopiero za tydzień czy dwa będę mogła podjąć decyzję.

Sally skinęła głową. Na jej twarzy odbiło się nagle tak wielkie znużenie, że żal było na nią patrzeć.

– Źle się pani czuje? – spytałam niespokojnie. – Ta nasza znajoma... Harriet... martwiła się trochę o panią... Ogromnie jej zależało, żebym panią odwiedziła, kiedy będę w Anglii.

– Doprawdy? No cóż, jestem ostatnio w dosyć kiepskiej kondycji psychicznej – powiedziała z ciężkim westchnieniem. – Rozstanie z Duncanem...

– Niemożliwe! – wyrwało mi się, więc czym prędzej spróbowałam zatuszować gafę: – A kto to jest Duncan?

– Mój mąż. Wkrótce już eks. Tydzień temu wyrzuciłam go z domu.

– Och! Cóż się stało?

Spojrzała na mnie z lekkim zdziwieniem.

– Naprawdę to panią interesuje? Nie chciałabym pani obciążać swymi

kłopotami... Byłoby to trochę... nieprofesjonalne, prawda? Czemu zresztą ktoś taki jak pani, kobieta sukcesu, miałby wysłuchiwać moich narzekań? Zwłaszcza w sytuacji gdy rozważa pani kwestię mego zatrudnienia...

– O pracę proszę się nie martwić, już ją pani ma – impulsywnie weszłam jej w słowo, nie bacząc na to, co mówiłam wcześniej. – Poza tym nie jestem kobietą sukcesu, to mój mąż ma pieniądze. – A co tam, pomyślałam, przekonam Harleya, żeby ją zatrudnił bez względu na to, czy wróćę do Stanów, czy nie.

– No cóż... – westchnęła – konflikt z moim mężem zaczął się od tego, że któregoś dnia przyjechał do domu nowym bmw...

Chyba nabrała do mnie zaufania, bo pomału pozbyła się rezerwy i w końcu opowiedziała mi wszystko. Po dwóch godzinach i butelce wina znałam już całą prawdę o jej „cudownym” małżeństwie. Dowiedziałam się, że to Duncan chciał, by robiła karierę, zmuszając do przyjmowania nieciekawych, acz intratnych zleceń, że sam przesiadywał w pracy do wieczora, zwalając na nią całą opiekę nad dziećmi, których sama nigdy szczególnie nie pragnęła, że naprawdę zależało mu tylko na pieniądzach i prestiżu. Opowiedziała mi także, jak okropnie ją nużył narzucony przez niego styl życia – to ciągłe wydawanie przyjęć i wyrzucanie pieniędzy na głupstwa. Tylko po to, by zaimponować kilku snobom. Ona miała całkiem odmienne pragnienia – marzyła o odrobinie spokoju i ciszy, o tym, żeby robić to, co lubi, a nie to, co musi, o tym, żeby wreszcie poznać samą siebie, przekonać się, na co ją stać.

– Harriet miała rację – wyznała z głębokim smutkiem.

– Była taka niezależna... Jej nie był potrzebny mężczyzna, żeby się dowartościować. Żałuję, że nie brałam z niej przykładu.

– Bardzo mnie prosiła – powiedziałam miękko – żebym przekazała pani serdeczności.

Wyszłam od Sally ze łzami w oczach. Jakaż byłam ślepa! Jak błędnie oceniłam zarówno jej sytuację, jak i ją samą! Gdybym była lepszą przyjaciółką, dawno dowiedziałabym się prawdy i mogłabym jakoś jej pomóc...

Pozostała mi do załatwienia jeszcze jedna sprawa. Poczulałam w pewnym momencie, że nie mogę wrócić do Londynu, dopóki nie spotkam się z Andrew. Wtedy dopiero, powiedziałam sobie, rozmówię się wreszcie z Harleym.

## ROZDZIAŁ 15

Postanowiłam upolować Andrew na uczelni; podczas wizyty u Sally przypomniałam sobie, że w tym dniu tygodnia prowadzi wieczorowe kursy pisarskie. Z wejściem na salę nie powinno być chyba trudności.

Dość długo błąkałam się po kampusie, szukając siedziby kursów. Kiedy ją wreszcie znalazłam, gorliwa pracownica sekretariatu najpierw przez kilka minut namawiała mnie na zajęcia z garncarstwa i wyrobów z rafii, a później wskazała niewłaściwą salę, gdzie trafiłam na wykład z fizyki kwantowej – o nie!

Wracając do sekretariatu po dalsze wskazówki, skręciłam w pewnej chwili za róg korytarza – i wpadłam prosto na Andrew. Sterta papierów, które niósł pod pachą, rozsypała się po podłodze. Schyliłam się szybko, żeby je pozbierać, on również.

– Och, bardzo pana przepraszam! Ja zaraz...

– Nic się nie stało – mruknął, gmerając przy moich butach. – A zresztą to moja wina. Powinienem patrzeć, gdzie idę.

– Nie, to przeze mnie – powiedziałam z ubolewaniem. – Trochę się tutaj zgubiłam. Czy nie wie pan przypadkiem, w której sali odbywa się kurs literacki?

– O tak, właśnie tam idę. – Wydobył zza grzejnika ostatnią zabłąkaną kartkę, otrzepał spodnie i po raz pierwszy spojrzął mi w twarz. – Tak się składa, że... – urwał nagle i zmarszczył brwi. – Pani chyba jest nowa, prawda?

Patrzył na mnie z takim namysłem, jakby szukał czegoś w pamięci. Czyżby coś w moich ruchach lub mimice wydało mu się znajome? A może głos?

– Czy nowa... Można tak powiedzieć – odrzekłam z przesadnie amerykańskim akcentem. – Jestem tu z wizytą, no i pomyślałam sobie, że warto byłoby wpaść na taki kurs, zobaczyć, jak w Anglii prowadzi się tego rodzaju zajęcia.

– Z tym może być kłopot... Kurs jest bardzo oblegany... Właściwie nie mamy już miejsc.

– Och, czy to znaczy, że to pan jest wykładowcą? Cóż za zbieg okoliczności! Więc wszystko zależy od pana! – zawołałam z figlarnym uśmiechem.

– Hm... – Wydawał się zadowolony, że tak cenię jego autorytet. – Sądzę, że hm... mogę raz zrobić wyjątek... Nic złego się przez to nie stanie – powiedział z taką miną, jakby popełniał grube wykroczenie. Aha, święty regulamin! – Lepiej się jednak pospieszmy – dodał, rzuciwszy okiem na zegarek. – Jestem spóźniony już dziesięć minut. Moje studentki gotowe mnie zbojkotować.

Większość obecnych na sali stanowiły kobiety w średnim wieku. Na widok pana profesora hałaśliwa paplanina natychmiast ucichła i wszystkie oczy zwróciły się ku niemu z wyrazem głębokiego uwielbienia.

– Witam panie. Mamy dziś nową studentkę – oznajmił Andrew, posyłając mi konspiracyjny uśmiech, który sprawił, że kilka par oczu spojrzało na mnie z niechęcią. – Przedstawiam paniom... – zawahał się chwilę – przepraszam, jak ci na imię?

– Cindy. – Uwodzicielsko zatrzepotałam rzęsami.

– Myślałam, że nie ma już miejsc – odezwała się pulchna niebieskowłosa osoba w rogowych okularach.

– Moja przyjaciółka Janice od tygodni czeka na przyjęcie!

– Cindy jest u nas przejazdem – wyjaśnił Andrew, przerzucając swoje papiery.

– Nieładnie byłoby odprawiać ją z kwitkiem, skoro przyjechała z tak daleka... Skąd właściwie jesteś, Cindy?

– Z Los Angeles, a ściślej mówiąc, z Beverly Hills – odrzekłam zadowolona, że mogę utrzymać nosa tym wyfiokowanym i pewnym siebie matronom. W czasach Harriet właśnie takie baby traktowały mnie zawsze jak wielbłądzie łajno. – W sąsiedztwie mieszka kilku znanych pisarzy, których często spotykam na przyjęciach – dorzuciłam tonem Eleanor.

– Znasz Jackie Collins? – spytała z ożywieniem któraś z kursantek.

– A Quentina Tarantino? – zachichotała inna.

– No, no, moje panie – zachnął się Andrew – nie peszmy naszego gościa. Proponuję rozpocząć zajęcia. Kto ma ochotę przeczytać nam swoją pracę?

Odzyskawszy kontrolę nad salą, zaczął pławić się znowu w ciepłe ogólne uwielbienie. Wysłuchałam w milczeniu około tuzina próbek literackich o niezwykle różnorodnej tematyce: od dramatycznej historii pękniętego stanika do zawiłych rozważań o celu i sensie życia. Andrew opatrywał je czasem jakimś komentarzem, co natychmiast wywoływało bardzo burzliwą dyskusję; wszystkie panie, jedna przez drugą, starały się go zadziwić umiejętnością krytycznej analizy dzieła.

– Niezupełnie przekonuje mnie sposób, w jaki Rosie przedstawiła reakcję swojej bohaterki, gdy ta przyłapała męża na zdradzie – skrzywiła się jedna z recenzentek po kolejnym wypracowaniu.

– Opisałam wszystko, jak było – posepnie mruknęła autorka.

– Mam pomysł! A gdyby nadać tej scenie formę retrospekcji albo nawet snu bohaterki? – odezwała się następna dyskutantka.

– Uważam, że lepszy byłby tutaj dialog – orzekła przyjaciółka Janice.

– A może warto byłoby przedstawić sprawę z punktu widzenia męża? – padła wyraźnie zjadliwa sugestia.

– Posługując się materiałem autobiograficznym, trzeba zachować szczególną ostrożność – stwierdził dyplomatycznie Andrew. – Ma on tę właściwość, że skłania autora do zbyt dosłownego przedstawiania przebiegu wydarzeń. Ulegając takiej pokusie, tracimy z pola widzenia podstawowe zadanie autora, którym jest konstrukcja możliwie interesującej fabuły. Coś podobnego właśnie przytrafiło się Rosie. Odczytała nam w rezultacie szesnastostronicowy zbiór inwektyw pod adresem kochanki męża, które oddają być może prawdziwe uczucia... hm... bohaterki opowiadania, odwracają jednak uwagę czytelnika od tego, co najistotniejsze, od hm... niewątpliwie dramatycznej sytuacji.

– Ale przecież dzieło literackie ma być odbiciem rzeczywistości, czyż nie powinniśmy zatem wiernie przedstawiać tego, co dzieje się w prawdziwym życiu? – zaprotestowała przyjaciółka Janice.

– Owszem, aczkolwiek tylko do pewnego stopnia. Literatura to coś więcej niż wierny zapis naszej codzienności. Dla czytelnika byłby on zresztą zbyt nudny, nie sądzisz? Większość z nas wie bardzo nieciekawe życie – zauważył Andrew. – A co ty o tym myślisz, Cindy? – spytał, podchwyciwszy moje spojrzenie.

Natychmiast poczułam na sobie dziesiątki złośliwych oczu.

– Nie wiem, czy ma pan całkowitą rację. Osobiście zgadzam się z tym, kto powiedział, że prawda bywa dziwniejsza od fikcji. W życiu zdarzają się takie rzeczy, że gdyby je opisać, nikt by w to nie uwierzył.

– Cindy prowadzi widać o niebo ciekawsze życie niż my w tym małym i nudnym mieście – uśmiechnął się Andrew. Cała sala wybuchnęła śmiechem.

– A może Cindy przeczytałaby nam coś swojego? – ironicznie rzuciła Rosie. – Chętnie skorzystamy z jej doświadczeń... pisarskich i innych.

– Ja... hm...

– Oho, już dziewiąta! Uratował cię dzwonek! – figlarnie wykrzyknął Andrew.

Rozległ się rumor odsuwanych krzeseł. Notatniki poznikały w torbach.

– Wybiera się ktoś do pubu? – spytał niedbale profesor.

Nastąpiło małe zamieszanie; kilka pań szykujących się już do wyjścia zaczęło na gwałt zmieniać plany.

– Derek ma mnie zabrać na kolację, ale mogę do niego zadzwonić... Powiem, że trochę się spóźnię...

– Muszę nagrać synkowi ulubiony program o zwierzętach, ale kilka minut

jeszcze mam...

– Ja chyba nie powinnam... przyjechałam dziś autem. Wypróbuję właśnie nowe bmw... Ach, jakąś colę mogę przecież wypić!

– Przyłączysz się do nas, Cindy? – zagadnął mnie Andrew. – Chętnie posłuchamy twoich uwag o życiu literackim Los Angeles.

Skwapliwie skorzystałam z zaproszenia. Gdy w towarzystwie kilku kursantek wylądowaliśmy po chwili w pobliskim pubie, Andrew zamówił mi podwójną whisky i szarmancko poprowadził do stolika. Jego studentki tymczasem zbiły się w grupkę przy barze, sprzecząc się zażarcie o to, która ma dzisiaj postawić mu drinka.

– Podobało ci się nasze seminarium? Powiedz, dużo piszesz?

– Ja... hm... właściwie jeszcze nie zaczęłam – odrzekłam wymijająco. – Na razie obmyślam sobie różne rzeczy...

Andrew natychmiast wdał się w swój dobrze mi znany wywód o zbawiennym działaniu procesu twórczego na psychikę, o tym, jak bardzo pomaga rozładowywać napięcia i tak dalej. Patrzyłam na niego szklanym wzrokiem, przypominając sobie owe chwile, kiedy to wygłaszał mi ten sam monolog. Gdybyś ty wiedział, kogo masz przed sobą! Czy też byś przemawiał z takim entuzjazmem?

Studentki wróciły z baru z tacami pełnymi drinków. Spór o to, kto funduje, nie został chyba rozstrzygnięty, gdyż postawiono przed Andrew kilka kufli piwa.

– Ojej! – wybuchnął śmiechem. – I ja mam to wszystko wypić? Żeby żadnej z was nie wyróżniać?

– Kupiłam ci chrupki – powiedziała Rosie, kładąc na stole paczuszkę i pieszczotliwie stukając w nią palcem. – Kwaśnoślone. Takie lubisz najbardziej, prawda?

Przyjrzałam jej się uważniej. Była elegancką osobą w wieku Harriet, trochę może zbyt konwencjonalną; miałam wrażenie, że należy do tego gatunku kobiet, dla których pójdzie do pubu graniczy niemal z ekscesem. Twarz miała jednak atrakcyjną i do tego bardzo miły uśmiech. Czyżby to ona rywalizowała z Harriet o względy Andrew? Kiedy znowu na niego spojrzałam, poczułam takie samo ukłucie zazdrości jak dawniej. Dlaczego on nie chciał dostrzec, co do niego czuję? I dlaczego, do licha, tak mi na nim zależy – nawet teraz?!

Zaczęła się rozmowa na te same tematy co na seminarium. Andrew był w swoim żywiole. Popisywał się erudycją, punktuując raz po raz swoje wypowiedzi ukrytymi cytatami z Szekspira. U jego studentek budziło to zachwyt, ja jednak znałam te chwytły – ćwiczył je przecież na mnie podczas naszych placuszkowo-

herbacianych sesji. Kiedy po bezbłędnym rozpoznaniu sześciu kolejnych cytatów odpowiedziałam mu tymi, które zachował sobie na później, w jego oczach odbiło się niedowierzanie i podziw.

– Doskonale znasz Szekspira, Cindy! Studiowałaś historię literatury?

– Tylko w bibliotece – odrzekłam ze śmiechem. Panie po kolei zaczęły się ulatniać, wylewnie żegnając Andrew; ja zostałam zignorowana z chłodną ostentacją. Jako ostatnia odeszła Rosie – z ociąganiem i widocznym smutkiem.

Ostatni pociąg do Londynu odchodził za pół godziny, zaczęłam się więc zastanawiać, co by zrobił Harley, gdybym nie wróciła na noc, i nagle stwierdziłam, że wcale mnie to nie obchodzi. Nie załatwiłam jeszcze sprawy z Andrew – i to było najważniejsze. Pragnęłam dać mu nauczkę. Niech przekona się na własnej skórze, jak to miło być tym słabszym z dwojga, z uwodziciela stać się uwiedzionym.

Przy barze zamawiano już ostatnie drinki. Andrew dopił piąte piwo i dołączył opróżniony kufel do całej baterii pustych naczyń stojących przed nami na stole.

– Strzemiennego? – zaproponowałam.

– Ja przyniosę! – zerwał się z krzesła i sięgnął po portfel. – To samo?

Kiwnęłam głową i z kokieteryjnym uśmiechem wręczyłam mu swoją szklankę. Kiedy wrócił z baru, przysunęłam się do niego tak blisko, że gdy położyłam rękę na stole, stykaliśmy się prawie dłońmi.

– Uwielbiam Anglików, są tacy mężczyźni! – mruknęłam z seksownym przydechem, patrząc mu głęboko w oczy. – Podobno pod tą słynną angielską rezerwą kryją się wulkany namiętności.

– Doprawdy? – spytał ze zdziwieniem. – Muszę ci powiedzieć, że masz zaskakująco oryginalne sądy. Dzięki tobie dzisiejsze seminarium stało się niezwykle interesujące. Wniosłaś w nie świeżego powietrza. Uświadomiłem sobie, że hm... zaczynamy za bardzo popadać w rutynę, że... brakuje nam dopływu nowej krwi.

– Och, jesteś świetnym nauczycielem, Andrew. – Powolutku końcem palca nakreśliłam niewidoczną linię na grzbiecie jego dłoni. – Mógłbyś mnie pouczyć trochę dłużej...

– Bardzo bym chciał – odrzekł z zadowoleniem. – Nie wiem, na jak długo przyjechałaś, gdybyś jednak została do przyszłego tygodnia, wpadnij znów na zajęcia...

– Po co czekać aż do przyszłego tygodnia? – spytałam namiętnym szeptem. Sięgnęłam pod stół i położyłam mu rękę na kroczu.

Szeroko otworzył oczy, ale mówił dalej, jakby nic się nie działo, po chwili

jednak poczułam jego rękę na kolanie. Chwyciłam ją mocno i włożyłam sobie pod spódnicę.

– Miałabyś ochotę wpaść do mnie na kawę? – Teraz już nie umiał ukryć podniecenia.

O to mi chodziło. Nareszcie! Nareszcie otrzymałam takie zaproszenie, o jakim marzyłam przez lata. Och, Andrew, ależ z ciebie gnojek, pomyślałam z gniewem i goryczą. Nic o mnie nie wiesz, a już jesteś gotów iść ze mną do łóżka. Wystarczyło ci parę kawałków Szekspira i jedna bezczelna macanka. Ilu studentkom pozwoliłeś się zaliczyć tą metodą?

Jechałam do niego pełna mściwych myśli, powtarzając w duchu, że należy mu się nauka, nie doceniłam jednak siły wspomnień. Kiedy poszedł do kuchni parzyć kawę, a ja usiadłam na sofie i nagle przypomniałam sobie swą ostatnią bytność w tym salonie, moja pewność siebie zaczęła się szybko ulatniać. Aby się zupełnie nie rozkleić, musiałam powiedzieć sobie twardo, że nie jestem już przecież tą samą osobą co wtedy. Poczulałam się znowu górami, gdy zauważyłam, jak piekielnie zdenerwowany jest Andrew.

– Nie wstydz się – mruknęłam jak kotka, widząc, że krąży niezdecydowanie pomiędzy fotelem a sofą. – Chodź tutaj – poklepałam miejsce obok siebie, a gdy usadowił się przy mnie, wyrecytowałam mu szeptem to, co powiedział mi kiedyś Mefisto: „Czasami rzeczą najcenniejszą są nasze nierozważne czyny”.

Andrew drgnął i popatrzył na mnie badawczo.

– To „Faust”, prawda? Marlowe czy Goethe? Nie pamiętam – westchnął, pocierając czoło. – Dziwne, że wybrałaś akurat coś z „Fausta”...

– Dlaczego?

Zamrugnął powiekami jak człowiek zbudzony ze snu.

– Nieważne. Po prostu... coś sobie przypomniałem. Coś czy kogoś? Ach, mniejsza o to. Objęłam go za szyję i mocno pocałowałam w usta. Tak jak tyle razy całowałam go kiedyś w marzeniach.

Oddał mi pocałunek, ale tak ostrożnie, jakby się obawiał, że go odepchnę, gdy jednak poczuł, że mu to nie grozi, ogarnęło go uniesienie. Słyszałam jego przyspieszony oddech. Dotknął moich piersi i zaczął je pieścić przez cienki materiał bluzki.

– Mmmm... – mruknęłam, biorąc go za rękę – chodźmy do sypialni. Które to drzwi?

Chciałam go upokorzyć, doprowadzić do punktu, z którego nie ma powrotu, i wtedy szorstko odepchnąć, udając zmieszanie i niesmak. Zamierzałam odegrać



wielką scenę – za dużo wypiłam, nie mam pojęcia, co mnie napadło, nigdy nie gustowałam w starszych panach, a on, Andrew, mógłby przecież być moim ojcem. Och, doprawdy, chyba mi odbiło! Po wygłoszeniu tego monologu miałam wybiec z mieszkania, zostawiając go w stanie skrajnej frustracji. Niech nie myśli, że może mieć każdą!

Okazało się to jednak dość trudne. Gdy po długich pocałunkach zaczął mnie rozbierać, powinnam go była powstrzymać, ale zamiast to zrobić, powtarzałam sobie: za chwilę, jeszcze nie teraz – i brnęłam dalej, przekonana, że powoduje mną tylko ciekawość.

Za czasów Harriet godzinami „reżyserowałam” tę scenę, obmyślając coraz to nowe warianty – inne otoczenie, inny dialog – momentami jednak zawodziła mnie wyobraźnia, pojawiały się natomiast wątpliwości. Czy nagi Andrew wyda mi się pociągający? Nie jest już przecież młodzieńcem. I co pomyśli sobie o mnie, widząc moje brzydko zwiotczałe uda i obwisłe piersi? Czy jakikolwiek mężczyzna mógłby pokochać taką kobietę?

Teraz wszystko działo się naprawdę. Dokonała tego Cindy, lecz w chwili gdy opadły z nas resztki ubrań i Andrew wziął mnie w ramiona, Cindy gdzieś znikła, a ja na powrót stałam się Harriet. Porzucając wszelką myśl o zemście, przyciągnęłam go do siebie i zaczęłam pieścić z taką czułością i oddaniem, jakie zawsze pragnęłam mu okazać.

Tak jak przypuszczałam, jego ciało nosiło na sobie ślady wieku – tu i ówdzie było go za dużo, gdzie indziej zaczynało już troszkę obwisać, a na skórze rysowały się zmarszczki, ale dla mnie nie miało to znaczenia. Uwielbiałam każdy centymetr tego ciała. Uświadomiłam sobie wtedy, że go nadal kocham.

Pragnęłam mu to powiedzieć, ale wyznawać miłość komuś, kogo zna się ledwie kilka godzin? Dla niego byłoby to dziwnie i na pewno by mi nie uwierzył. Mogłam tylko dziękować losowi, że dał mi tę chwilę, i cieszyć się tym, co mam.

Andrew okazał się bardziej namiętny, niż się spodziewałam, chociaż chwilami też trochę niezręczny.

– Och, przepraszam! – wyjąkał spłoszony, gdy w pewnym momencie zderzyliśmy się nosami. – Najmocniej przepraszam! – powtórzył, kiedy przydarzyło się to naszym zębom.

Ach, gdybyż wiedział, jak wzrusza mnie jego niezręczność!

– Zapomniałem o czymś – powiedział nagle z głową w okolicach mego pępka.  
– Nie mam prezerwatyw.

Dziwne, pomyślałam, taki stary kobieciarz powinien mieć całą kolekcję.

– Nie szkodzi, coś się chyba znajdzie. – Poszperawszy w torebce, wydobyłam paczuszkę odziedziczoną po Cindy. Zachowałam ją sobie na wszelki wypadek, czy mogłam jednak przypuszczać, że skorzysta z niej akurat Andrew?

Z pewnym powątpiewaniem zerknął na pakiecik, a potem rozerwał go zębami i rąco przystąpił do dzieła. Pod koniec westchnął głęboko – Harley w takich chwilach wydawał dzikie okrzyki – a potem wzdrygnął się nagle i gwałtownie sięgnął po koszulę.

– Co ci jest, Andrew?

– Przepraszam cię, Cindy... To, co między nami zaszło, nie powinno się było wydarzyć. Paskudnie cię wykorzystałem.

– Nic podobnego – powiedziałam miękko. – Nie masz pojęcia, jak mi było dobrze.

– Chodzi o to... chodzi o to, że...

– Wszystko w porządku. – Przytuliłam się do niego z całej siły. Tak bardzo pragnęłam przedłużyć tę krótką chwilę bliskości!

– Przecież ja cię w ogóle nie znam! – wybuchnął, odsuwając się ode mnie. Wskoczył z łóżka i zaczął się szybko ubierać. – Nigdy jeszcze tak nie zrobiłem... Nie rozumiem, jak mogłem... tak się dać ponieść emocjom!

Skończył się ubierać i nie patrząc na mnie wyszedł wielkimi krokami z pokoju. Usiadłam na łóżku, zastanawiając się smętnie, gdzie popełniłam błąd? W końcu ubrałam się także i poszłam go szukać.

Siedział w ulubionym fotelu przy kominku, markotnie obracając w palcach drewniany widelec.

– Chcesz porozmawiać? – spytałam. Westchnął.

– I tak byś nie zrozumiała... Jesteś zbyt młoda, masz całe życie przed sobą...

– Może jednak bym zrozumiała.

– Jeszcze raz cię przepraszam za moje zachowanie. Widzisz... mam wiele młodych studentek, choć nie tak pięknych jak ty... a ich widok sprawia... No cóż, mówiąc bez ogródek, mężczyzna w moim wieku nie jest w stanie oprzeć się pewnym fantazjom, nie myśleć o tym, co by było, gdyby... no wiesz. Ale ja nigdy przedtem nie wyszedłem poza te fantazje... Kiedy mnie dotknęłaś tam, w pubie, coś się ze mną stało, po prostu nie wytrzymałem, choć wydawało się to zbyt piękne, aby było prawdziwe. Nie byłem jednak aż tak szalony, żeby nie wiedzieć, co robię... Powinienem był pomyśleć o konsekwencjach...

– Jakie konsekwencje? Wcale nie musi ich być.

– Och, dla ciebie nie, moja droga, wiem o tym doskonale. – W jego głosie

zabrzmiało nagle znużenie. – Pociągi mijające się nocą i tak dalej. U ludzi w moim wieku jest inaczej. Emocje czasami płatają im figle, a ja na dodatek mam jeszcze pewien bardzo szczególny problem... Chodzi o to, że przypominasz mi kogoś, kogo znałem. Zwłaszcza twój głos wydaje mi się podobny, chociaż to bardzo dziwne, bo osoba, o której mówię, nie jest Amerykanką. A może przypomniało mi ją coś, co powiedziałaś?... Sam nie wiem. Tak czy inaczej myślę teraz o niej i czuję się strasznie winny.

Serce zabiło mi mocniej.

– Kochałeś ją?

– Tak – odrzekł ze smutkiem – tylko że za późno to zrozumiałem. – Wyjechała i nigdy jej już pewnie nie zobaczę, a mimo to... – Obrócił się i spojrzał mi w oczy. – Przepraszam cię za to, co powiem, bo na pewno tego nie zrozumiesz... a mimo to czuję się winny, zupełnie jakbym ją zdradził.

Och, Andrew, chciałam zawołać, jakież z ciebie głupek! Wystarczyło trochę pomyśleć! Gdybyś powiedział choć słówko czy winny sposób dał mi do zrozumienia, że ci na mnie zależy, już ja bym zadbała o resztę! Mefisto mógłby się wypchać. Nie byłoby Los Angeles ani Harleya, a my bylibyśmy razem. A teraz wszystko przepadło. Teraz już na to za późno.

– Posłuchaj, Andrew – powiedziałam po chwili ciszy – jeśli już koniecznie musisz kogoś winić, to winń mnie. To ja cię uwiodłam.

– Dlaczego? Co ty we mnie widzisz, na litość boską?

Zawahałam się lekko.

– Nie zawsze da się wytłumaczyć takie rzeczy. Po prostu tak się czasem zdarza.

– Jesteś bardzo wyrozumiała. Nie zasługuję na to. Czy zobaczymy się jeszcze? Chciałbym choć trochę zrehabilitować się w twoich oczach.

– Nie, Andrew, to nie ma sensu. Oboje wiemy, że nic by z tego nie wyszło. Teraz już nie.

Co robisz? jęknęło coś we mnie. Odrzucasz człowieka, którego kochasz? Tak, powiedziałam sobie, zaciskając zęby. Taki związek nie dałby szczęścia ani jemu, ani mnie. Pomijając już nawet drastyczną różnicę wieku, Andrew by mnie teraz nie pokochał, a jeżeli nawet, to niestety z niewłaściwych przyczyn.

– Wiesz, Andrew – dodałam po chwili – możesz jednak coś dla mnie zrobić. Mam do ciebie dwie prośby.

– Jakie?

– Mogłabym u ciebie przenocować? Będę spać na sofie.

– Ostatni pociąg do Londynu odszedł godzinę temu, a do mieszkania Harriet nie miałam ochoty wracać.

– Oczywiście że możesz. A ta druga prośba?

– Powiedz mi, jak ma na imię ta kobieta... ta, którą kochałeś.

– Na Boga, czemu chcesz to wiedzieć?

– Proszę cię, powiedz! – Tak bardzo chciałam usłyszeć to imię.

– Harriet – wyszeptał, bardziej do siebie niż do mnie.

– Może kiedyś wróci?

– Kto wie? Może wróci. – Nie chciałam odbierać mu nadziei.

Gdybyż znał prawdę!

Długo nie mogłam zasnąć. Leżałam w ubraniu na sofie, wpatrzona w wygasły kominek, z którym wiązało się tyle wspomnień. Stały się teraz tak cenne, choć pamiętałam przecież – o, aż nazbyt dobrze! – jaka byłam wtedy nieszczęśliwa. A mogło być całkiem inaczej... Myślałam o tym z uczuciem straszliwego smutku. Wszystko, co osiągnęłam jako Cindy – małżeństwo, pieniądze, sława – wydawało się teraz tak niewiele warte w porównaniu z tym, co utraciłam – ze szczęściem, które mógł mi dać Andrew.

Rano wymknęłam się bez pożegnania, kiedy jeszcze spał. O Harleyu pomyślałam dopiero w pociągu. Co powie, gdy mnie zobaczy? Jak mam mu wyjaśnić swoją całonocną nieobecność? Czy potrafię dalej z nim żyć? Mam wrócić do Ameryki? Nawet ten monotony podmiejski krajobraz przesuwany się teraz za oknem był mi sto razy droższy niż wszelkie uroki Beverly Hills. Nigdy nie poczuje się swojsko w tamtych dziwacznych fortecach, mój dom jest tutaj.

Po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że Mefisto nie bez powodu zaproponował swój pakt właśnie mnie. Miał rację, mówiąc, że łatwo dam się przekupić. Tak było. Gotowa byłam poświęcić najwyższe wartości – miłość, prawdę i przyjaźń – byle tylko zdobyć to wszystko, co mógł mi ofiarować Harley. Nie wystarczyła mi sama uroda i młodość, chciałam jeszcze pieniędzy i sławy. Dla ich fałszywego blasku potrafiłam nawet wmówić sobie, że go kocham, pomylić pragnienie miłości z nią samą.

Wszystko to uświadomiłam sobie jasno dopiero teraz – po wizycie w moim rodzinnym mieście i spotkaniu z Andrew. Zrozumiałam, że nie mogę wrócić do Harleya. Nie chcę żyć wśród ludzi, dla których jestem tylko „zwykłą naciągaczką”, tanią, zachłanną kurewką czyhającą na jego pieniądze. Nie jestem taka, pomyślałam z gniewem. Nie chcę pieniędzy Harleya ani swojej wątpliwej sławy – już dawno przestało mnie to bawić – chcę być po prostu szczęśliwa, żyć jak

normalna kobieta.

Nie miałam pojęcia, co mnie dalej czeka, bo czy można przewidzieć przyszłość? – ale jedno wiedziałam na pewno: jeśli chcę znaleźć miłość, tę prawdziwą, głębszą niż zwykła fascynacja moim ciałem, muszę opuścić Harleya, odzyskać niezależność, wziąć pełną odpowiedzialność za siebie i własne losy.

Podjąwszy tę decyzję, zaczęłam rozważać swoje możliwości. W Anglii na razie nikt mnie nie rozpozna. Dzięki dokumentom Harriet i jej pieniądzom mogę przetrwać do czasu, aż obmyślę sobie dalsze plany – zdecyduję, gdzie się osiedlić, jaką znaleźć pracę, jak obejść przepisy imigracyjne. Zanim dotrą tu reklamy Lapinique, zdążę już na tyle zmienić powierzchowność, że nikt nie skojarzy mnie z twarzą ze zdjęcia.

Czy mam szansę znaleźć mężczyznę zdolnego pokochać mnie naprawdę, kogoś, z kim będę się mogła zestarzyć? Wiedziałam już teraz, że taka uroda jak moja utrudnia prawidłowe stosunki z ludźmi. Mężczyźni uganiają się za mną jak za zwierzyną, kobiety mnie nienawidzą, nikt nie próbuje nawiązać kontaktu z samotną osobą tkwiącą w tej pięknej pułapce. Ale może jednak... Póki życia, poty nadziei.

Po powrocie do hotelu spróbowałam wśliznąć się niepostrzeżenie do naszego apartamentu, aby jeszcze trochę odwlec moment nieuchronnej konfrontacji, niestety – Harley już stał w drzwiach sypialni.

– Cindy! Gdzieś ty była, do diabła?! Umierałem ze strachu! – Rzeczywiście wyglądał kiepsko; jakby w ogóle nie spał tej nocy.

– Ja... hm... spóźniłam się na pociąg – bąknęłam.

– Przepraszam, powinnam była zadzwonić. – Pochłonięta dotąd czym innym, nie zastanowiłam się nad tym, jak zareaguje Harley, gdy oznajmię mu, że odchodzę. Teraz widać było, że czeka mnie ciężka przeprawa. – Posłuchaj – zaczęłam po krótkiej pauzie – nie bardzo nam się układa, prawda? Musimy poważnie porozmawiać.

Tę ostatnią uwagę puścił swoim zwyczajem mimo uszu.

– Ach tak, uciekł ci pociąg! Gdzież więc spędziłaś noc? A może powinienem spytać: z kim? Byłaś z jakimś mężczyzną?

Pokręciłam głową przecząco, uświadamiając sobie zarazem, że tej nocy popełniłam cudzołóstwo, i to według wszelkich zasad sztuki.

– Przenocowałam w hotelu. Posłuchaj – powtórzyłam – musimy rozstać się na jakiś czas. Nie jestem szczęśliwa i ty też nie...

– W hotelu?! – wybuchnął. – Chcesz powiedzieć, że poślubiłem dwudolarową

dziwkę, która włóczy się po hotelach?! – Zaczął biegać po pokoju i walić pięściami w ścianę.

Po kilku nawrotach stanął przede mną i wrzasnął: – Kim jest ten facet?! Mów! Poderwałaś go na ulicy?

– Nikogo nie poderwałam. I nie mam żadnego kochanka – powiedziałam dobitnie, patrząc mu w oczy. – Muszę po prostu pobyć trochę sama.

– Jak to? – Coś chyba wreszcie do niego dotarło. – Co to znaczy „pobyć trochę sama”?

Usiadłam na sofie i wzięłam głęboki oddech.

– Spróbuj zrozumieć. Chodzi o to, że...

– Jak ty możesz mówić, że nie jesteś szczęśliwa? – przerwał mi z oburzeniem. – Troszczyłem się o ciebie, miałaś wszystko, czego tylko chciałaś! – Zaczął znowu maszerować po pokoju, tyle że teraz w kółko. – Jak możesz być tak niewdzięczna! – krzyknął z głęboką urazą.

– Jestem ci bardzo wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Ja po prostu...

– Nie zrobisz tego! Nie pozwolę! – przerwał mi znowu, stając przed sofą. – Nigdzie nie pójdziesz! Nie mam pojęcia, skąd ci się wzięły te dzikie pomysły, ale wybij je sobie z głowy! Jesteś moją żoną! Tu jest twoje miejsce! Zostaniesz ze mną!

– Ciekawe, w jaki sposób mnie do tego zmusisz. Popatrzył na mnie ze zdumieniem.

– Nie słyszałaś, co powiedziałem? Nie pozwolę ci odejść. – Wyciągnął rękę i poklepał mnie po ramieniu. – A teraz przestań pleść głupstwa i idź się położyć, jesteś przemęczona. Odpoczniesz sobie trochę i będziemy udawać, że nic się nie stało. Nie było żadnej rozmowy.

Co z niego za człowiek? Jak można tak lekceważyć wszystko i wszystkich? Strząsnęłam jego rękę i wstałam.

– To nie takie proste. Nie kocham ciebie ani ty mnie, więc po co to udawanie?

– Nonsens. Oczywiście że się kochamy! Czy nie świadczą o tym nasze noce? – Wielkimi krokami podszedł do okna, zrobił w tył zwrot i krzyknął: – Chcesz powiedzieć, że nie sprawdzam się w łóżku? Ze cię nie zadowalam? Znalazłaś sobie lepszego!

– Już ci mówiłam, że nikogo nie mam. – Z rezygnacją opadłam na sofę.

– A ja ci nie wierzę! – krzyknął jeszcze głośniejszym głosem, łapiąc się za głowę. Wyglądał jak szaleniec. – Jak inaczej można wytłumaczyć twoje wariackie wybryki?

– Można, tylko ty nie chcesz słuchać...

– Co ty sobie myślisz, do jasnej cholery! Że urodziłem się wczoraj? Znam takie głupie dziwki jak ty! – Wściekle pogroził mi pięścią. – Myślałem, że jesteś inna! Akurat! Już mnie zdradziłaś! Po trzech miesiącach!

– Zrozum...

Chwycił mnie za ramiona i brutalnie postawił na nogi.

– Mów prawdę! Nie pozwolę robić z siebie durnia! Kiedy otworzyłam usta, chcąc zaprotestować, pchnął mnie z powrotem na sofę.

– Nie, nie! Nic nie mów! Tego już bym nie zniósł!! Sama myśl, że zadajesz się z jakimś typem... O nie, to ponad moje siły! – jęknął i pognął do drzwi jak szalony.

– Przez myśl mi nie przeszło, że do tego dojdzie! – Gwałtownie szarpnął za klamkę – i do pokoju wpadł George.

Harley na moment oniemiał, po czym szorstko odsunął go na bok.

– No tak, jeszcze i to! Otaczają mnie sami zdrajcy! Nikomu nie mogę już ufać!

– Wydawszy z siebie jeszcze jeden rozdzierający okrzyk, wybiegł na korytarz.

George, który zdążył już odzyskać godność, obrzucił mnie złym spojrzeniem i pospieszył za swym chlebobdawcą.

– Proszę poczekać, sir! Mister Harley, proszę wrócić! Podniosłam się z sofy, rozcierając obolałe ramię. Harley nie wyrządził mi wprawdzie zbyt wielkiej krzywdy fizycznej, zaskoczyła mnie jednak jego gwałtowność. Nigdy bym nie przypuszczała, że potrafi być taki brutalny. No cóż, w pewnym sensie zasłużyłam sobie na to, pomyślałam melancholijnie. Oszukałam go przecież, udając uczucie, które nie istniało, które tylko sobie wmówiłam. Całe nasze małżeństwo oparte było na fałszu. Czuję się za to winna, choć trudno było rozstrzygnąć, kogo oszukałam bardziej – jego czy siebie...

Dumałam nad tym dłuższą chwilę, siedząc na łóżku w sypialni, ale wynik tych rozważań potwierdził jedynie moją wcześniejszą decyzję. Wyjęłam walizki, wybrałam jedną i szybko upchnęłam do niej większość rzeczy. Najlepiej odejść natychmiast, dopóki nie ma Harleya. Żegnać się z nim nie ma sensu – sprawilibyśmy sobie tylko więcej bólu.

Gotowa do wyjścia, miałam właśnie otworzyć drzwi, kiedy z korytarza dobiegły mnie przyciszone głosy. Do diabła! Harley i George już wrócili, w dodatku był z nimi David.

– Okej, pozwalam ci działać – usłyszałam głos Harleya. Co dziwne, brzmiał znacznie spokojniej niż jeszcze parę minut temu. – Skoro ręczysz za skutek, załatw to po swojemu.

– Wolałbym, George, żeby te twoje kontakty okazały się tak niezawodne, jak mówisz – dodał David. – I pamiętaj: nie chcemy rozgłosu. Zła prasa mogłaby nam bardzo zaszkodzić, zwłaszcza teraz, tuż przed kampanią.

George mruknął coś w odpowiedzi. Nic więcej nie usłyszałam – weszli pewnie do pokoju Davida.

Po raz drugi szykowałam się do wyjścia i znów mi się nie udało. Z korytarza ponownie dobiegł mnie głos Harleya.

– Zaraz wrócę, tylko do niej zajrzę. Zobaczę, jak się czuje.

Do licha! W ostatniej chwili zdążyłam wsunąć walizkę pod łóżko.

– Przepraszam cię, skarbie – powiedział ze skruchą.

– Nie chciałem być tak nieprzyjemny. Wybaczysz mi? Czemuż nie wyszłam parę minut wcześniej? jęknęłam w duchu, udało mi się jednak wymusić na sobie coś na kształt uśmiechu. Nie chciałam wywoływać następnej sceny, czułam zresztą, że poszedłby za mną, gdybym spróbowała teraz wyjść. Lepiej wymknąć się chyłkiem, gdy nie będzie się tego spodziewał. Postanowiłam więc zacisnąć zęby i udawać, że wszystko w porządku.

– Myślałem nad tym, co mi powiedziałaś – oznajmił.

– Może to moja wina, że nie jesteś szczęśliwa. Podczas ostatniej sesji mój bioterapeuta miał pewne trudności z uzyskaniem ode mnie właściwych reakcji, co świadczy o jakiejś blokadzie psychicznej, którą należy usunąć. Jak myślisz, moglibyśmy wspólnie poddać się terapii? Podobno potrafi zdziałać cuda, jeśli obie strony starają się dotrzeć do źródeł swoich konfliktów, czyli nagromadzonych w dzieciństwie pokładów gniewu i poczucia krzywdy, a potem uwolnić się od nich poprzez specjalne techniki. Widziałaś kiedyś, jak to wygląda.

Mówi serio? Niemożliwe.

– W Los Angeles wszyscy jeszcze śpią – stwierdził, zerknąwszy na zegarek – ale jak tylko otworzą klinikę, mogę tam zadzwonić i powiedzieć dyrektorowi, żeby przysłał nam specjalistę. Potrzebny będzie jeszcze dźwiękoszczelny pokój, ale jestem pewien, że kierownictwo hotelu pójdzie nam na rękę.

O nie, na mnie nie licz. Jak można serio traktować te bzdury wymyślone przez jakichś stukniętych wyznawców New Age'u? To, że jako dziesięcioletka pogniewałam się na ojca, bo nie kupił mi nowego roweru, miałoby wpływać na moje obecne uczucia? Nie pokocham Harleya, gdybym nawet zdarła sobie gardło wykrzykując, że tatuś był sknerą. Żeby jednak nie wzbudzać podejrzeń, powiedziałam ze słodkim uśmiechem:

– Skoro sobie tego życzysz... – Proszę bardzo, dodałam w duchu. Nim zdążysz



sprowadzić tu tego szamana, będę już daleko.

– A na razie, kochanie, zapraszam cię na kolację. Myślę, że chyba ostatnio poświęcałem ci za mało czasu. Znadto zaabsorbowały mnie interesy, obiecuję ci jednak, że to się zmieni.

Interesy? Nie zauważyłam ostatnio większych odstępstw od jego codziennej rutyny. Zajmował się jak zwykle głupstwami, a nie żadną pracą.

– Będzie dobrze, skarbie, zobaczysz – dodał z ojcowskim uśmiechem. – Wierzę, że we dwoje potrafimy pokonać wszystkie problemy. Musimy tylko popracować nad naszym małżeństwem.

Kto do licha nakładł mu do głowy tyle durnych teorii?

Przez resztę dnia zachowywał się bardzo poprawnie, miałam jednak wrażenie, że chyba coś knuje. Nie chciało mi się wierzyć, żeby mógł już wrócić do normy po takim ataku furii. Żadna wymyślna terapia nie uleczy w tym tempie zranionej męskiej ambicji. To zwykły kamuflaż. Szykuje mi pewnie jakąś niespodziankę.

Obudziłam się nazajutrz bladym świtem i od razu sięgnęłam po walizkę. Wcale nie byłam ciekawa, co takiego uknuł dla mnie Harley na spółkę z Davidem i George'em. Nim się obudzicie, myślałam, będę już w drodze do Guildfordu – i szukajcie sobie wiatru w polu.

## ROZDZIAŁ 16

W pokoju panowała cisza. Zerknąwszy po raz ostatni na śpiącego Harleya, bezszelestnie wymknęłam się z sypialni. Zegnaj, Harleyu!

Zadowolona, że poszło mi to znacznie łatwiej, niż się spodziewałam – po tylu wahaniach i rozterkach! – złapałam przed hotelem taksówkę i kazałam kierowcy zawieźć się na dworzec Waterloo. Po godzinie byłam już w Guildfordzie. Stało się, myślałam, wysiadając z pociągu. Mogę teraz rozpocząć nowe życie. Trzeba tylko rozsądnie je zorganizować.

Dłuższy pobyt w dawnym mieszkaniu nie wchodził w rachubę – właściciel i sąsiedzi mogliby mnie wziąć za złodziejkę czy inną podejrzaną postać – trzeba więc było czym prędzej poszukać nowego lokum. No i pracy. Odprawa emerytalna nie wystarczy mi do końca życia. Postanowiłam zająć się tym od razu. Zostawiwszy walizkę w przechowalni, ruszyłam na High Street, gdzie mieścił się lokalny urząd zatrudnienia.

Już po pobieżnej lekturze wywieszonych na ścianach ofert stało się dla mnie jasne, że jeśli chcę mieć się lepiej niż w początkach swej kariery jako Cindy, potrzebne mi będą konkretne umiejętności, poparte właściwym dokumentem. Nie chciałam już być modelką, ale to, co oferowano osobom bez kwalifikacji, było jeszcze mniej zachęcające. Sprzątaczką na pół etatu. Pomoc kuchenna. Dozorczyń parkingu. Nie były to zajęcia, które można by uznać za odpowiedni punkt wyjścia do jakiegokolwiek kariery. „Pomocnica sprzedawcy w barze szybkiej obsługi w stylu amerykańskim”... Za bardzo przypominało to knajpę Marty’ego, a proponowane wynagrodzenie pozwalało jedynie utrzymać się z trudem przy życiu. Rząd ciemno ubranych urzędników siedzących za kontuarem pozbawił mnie resztek otuchy – a jeśli zakwestionują mą nową tożsamość? Postanowiłam poczekać parę dni – może uda mi się najpierw sprawdzić ją gdzie indziej. Opuściwszy urząd, kupiłam dziennik, aby przestudiować rubrykę ogłoszeń.

Usadowiona przy oknie w przytulnej kafejce na North Street, zaczęłam przeglądać gazetę, rozkoszując się poczuciem odzyskanej niezależności. Filiżanka parującej kawy wydatnie poprawiła mi nastrój. Nareszcie jestem wolna, mogę żyć po swojemu. Rozpocznę wszystko od nowa – nowi ludzie, nowe przyjaźnie. Przy odrobinie szczęścia może uda mi się poznać kogoś szczególnego, kto obroni mnie przed samotnością i poprawi moje widoki na przyszłość.

Propozycje pracy w rubryce ogłoszeń okazały się niewiele lepsze od ofert

urzędu zatrudnienia. Trudno, od czegoś trzeba zacząć. Później poszukam wieczorowych kursów, gdzie można by się nauczyć czegoś bardziej praktycznego niż pisanie kiepskich opowiadań. Najlepiej zająć się czymś, co już znam. Umieję obsługiwać komputer, więc może powinnam pójść w tym kierunku, zwłaszcza że interesuje mnie ta dziedzina. Zazaczyłam kilka mniej odstrasających ofert i zaczęłam przeglądać kolumnę nieruchomości. Może z tym powie mi się lepiej.

Zerknąwszy przypadkiem przez okno, zauważyłam, że z przeciwległego chodnika gapi się na mnie krępy łysiejący osobnik o czerwonej gębie i szerokich barach. Mimo przenikliwego chłodu ubrany był tylko w dżinsy i bawełnianą koszulkę. Musiało mu być zimno, bo przestępował z nogi na nogę i zamazyście wywijał rękami. Wydał mi się dziwnie znajomy, jakbym go już gdzieś widziała, zaczęłam więc dyskretnie obserwować go zza gazety. Gdy w pewnej chwili wyjął z kieszeni telefon, nagle mnie olśniło: widziałam go dziś rano na dworcu Waterloo. Z telefonem przy uchu stał obok wejścia na peron. No tak, przyjechaliśmy pewnie tym samym pociągiem.

Powróciłam do studiowania kolumny wolnych mieszkań, lecz gdy znowu podniosłam głowę, dziwny osobnik tkwił w tym samym miejscu. Nie patrzył już w okno kawiarni, lecz gwałtownie gestykulował, jakby starał się kogoś przywołać. Z czystej ciekawości spojrzałam w tę stronę i rzeczywiście, szybkimi krokami zbliżał się ku niemu starszawy mężczyzna w zbyt obszernym płaszczu. Zamieniwszy z sobą kilka słów, obrócili się obaj twarzami do okna – a mnie pociemniało w oczach – to George!

Czym prędzej zasłoniłam się gazetą, choć niewiele mogło mi to pomóc. Wiedzą, że tu jestem! Ten z czerwoną gębą musiał śledzić mnie od chwili, gdy wyszłam z hotelu. Pewnie miał za zadanie informować George'a o wszystkich moich posunięciach. Przypomniałam sobie teraz wczorajsze słowa Harleya: „Okej! Załatw to po swojemu.” Czyżby chciał mnie przyłapać z rzekomym kochankiem? A może postanowił zatrzymać mnie siłą? Tak czy inaczej jedno było pewne: nie zamierza dawać za wygraną.

Błyskawicznie oceniwszy swoje położenie, doszłam do wniosku, że nie jestem bez szans w tej rozgrywce. Całe szczęście, że nie poszłam prosto do mieszkania; dzięki temu nadal mam kryjówkę, jeśli oczywiście uda mi się urwać tym drabom. Widząc, że grupa rozgadanych kobiet – pewnie przyjaciółki – zbiera się do wyjścia, wmieszałam się chyłkiem w ten tłumek, zostawiwszy na stole pieniądze za kawę. Gdyby mi się udało stąd wymknąć, zanim George i ten drugi zorientują

się, że ich spostrzegłam, spróbowałabym zniknąć im z oczu w którejś z bocznych uliczek. Tworzyły tu istny labirynt, łatwo więc byłoby ich zgubić...

Po krótkim przystanku w szatni – po odbiór płaszczy i pękatych toreb – rozgadane panie, nieświadome, że stanowią moją „ochronę”, wysypały się na ulicę, a ja za nimi. Z nisko pochyloną głową starałam się trzymać możliwie blisko ich pleców. Jedna z nich odwróciła się nagle i pozdrowiła mnie z lekko niepewnym uśmiechem.

– O, cześć! – odrzekłam z udanym ożywieniem. – Ładną mamy pogodę jak na tę porę roku, prawda?

Zbite w ciasną grupkę przeszliśmy przez jezdnię tuż pod nosem George’a, po czym babski oddział skierował się na wschód – w stronę wzgórza.

– Przypomnij mi, moja droga, gdzieśmy się poznały? Jesteś tu na urlopie? – zagadnęła mnie ta sama pani.

Próbowałam właśnie sfabrykować jakąś w miarę sensowną odpowiedź, gdy jej towarzyszki zatrzymały się nagle przed tylnym wejściem do wielkiego sklepu Marynarki i Wojsk Lądowych, gdzie po dłuższej wymianie pożegnalnych pocałunków grupka zaczęła się rozpraszać. Uznałam, że pora zmykać, zanim zrobi się pusto, ale moja rozmówczyni chwyciła mnie za ramię.

– Poczekaj chwileczkę. Jesteś Amerykanką, prawda? Mam w Stanach siostrę, mieszka na Florydzie, a ty? Z której części Stanów pochodzisz? Bardzo bym chciała odwiedzić kiedyś ten kraj!

Co robi George? Zerknąwszy ukradkiem do tyłu, zobaczyłam, że z gniewną miną rozgląda się po ulicy i nagle – co za pech! – spojrzeliśmy sobie w oczy.

– Przepraszam, muszę już lecieć – bąknęłam niewyraźnie i dałam nura do sklepu.

– Jest tam! – rozległ się okrzyk George’a. – Łap ją! Pokonawszy sprintem dział walizek, wbiegłam na schody prowadzące do frontowej części magazynu i znalazłam się w dziale kosmetycznym, gdzie tak mocno zderzyłam się z jakąś dziewczyną w białym kitlu z błękitną szarfą, że omal nie zbiłam jej z nóg.

– Przepraszam – sapnęłam, przystając na moment, aby złapać oddech.

Zaśmiała się lekko, lustrując mnie z góry na dół.

– Nic nie szkodzi, i tak zamierzałam panią zatrzymać. Po to tu stoję. Czy mogę zaoferować pani darmową próbkę? Mamy w tym tygodniu specjalną promocję nowych produktów firmy...

Lapinique! jęknęłam w duchu. Teraz dopiero wpadło mi w oko znajome logo na jej szarfie. O, niech to diabli! Tu też?

– Nie chcę tego świństwa, odczep się ode mnie! – Pchnęłam osłupiałą dziewczynę prosto w wielką piramidę jasnoblękitnych flakonów i rzuciłam się znów do ucieczki. Rozległ się dźwięczny łoskot toczącego się szkła, który zabrzmiał mi w uszach jak muzyka. Żalowałam, że nie mogę napaść oczu tym drobnym aktem zemsty na Harleyu, ale na to nie było już czasu.

Zaledwie zdążyłam wybiec frontowym wyjściem na High Street, a już usłyszałam za sobą ciężkie kroki George'a. Wyteńczywszy wszystkie siły, pognałam w dół wzgórza i po kilkunastu metrach gwałtownie skręciłam w prawo. Cholera! Z naprzeciwna nadchodziły dwie kobiety z wózkami pełnymi butelek z mlekiem, dokładnie blokując całą wąziutką uliczkę. Desperacko rozejrzawszy się na wszystkie strony, spostrzegłam tuż obok lekko uchylone drzwi, pomalowane tak jaskrawą farbą, że mogła to być jakaś spelunka. Trudno. Nabrałam oddechu i weszłam do środka.

Buchnęły mi w twarz takie kłęby dymu, że dopiero po chwili zaczęłam dostrzegać otoczenie. Przed rzędem włączonych telewizorów stało kilku niechlujnie ubranych mężczyzn, którzy jak na komendę odwrócili głowy w moją stronę. Uśmiechnęłam się lekko, widząc, gdzie trafiłam: punkt przyjmowania „końskich” zakładów. Tutaj na pewno nie będą mnie szukać.

– Jak się masz, kochanie? – spytał któryś z graczy, szczerząc zęby w obleśnym uśmiechu.

– Wiesz, co ci powiem, Frank? Dużo bym postawił na tę śliczną klaczkę!

Rzuciłam im harde spojrzenie: mam prawo być tutaj tak samo jak wy. Z dumnie podniesioną głową przemaszerowałam przez salę i zaczęłam studiować rozpięte na ścianie stronicę lokalnej gazety. Po kilku burkliwych komentarzach zainteresowanie moją osobą osłabło, ustępując miejsca innemu rodzajowi emocjom – wystartował kolejny wyścig. Postanowiłam poczekać ze dwadzieścia minut, a potem przemknąć się któryms z pasaży w stronę ruin zamku.

Stamtąd, klucząc bocznymi uliczkami, przedostanę się do mieszkania.

Lektura wywieszonych na ścianie kolumn okazała się dosyć nudna. Była to po prostu długa lista koni biorących udział w popołudniowych gonitwach. Pod każdym końskim imieniem widniały informacje, które mi nic nie mówiły. Zainteresowało mnie jednak imię pewnego konia – Diabelski Tancerz; miał biec o 15.30 na torze Newmarket. Gdybym miała pojęcie, jak się to robi, postawiłabym na niego parę funtów. Czułam, że może wygrać.

Nagle poruszenie wśród obecnych kazało mi spojrzeć na salę. Zobaczyłam, że wszyscy mężczyźni gapią się na osobnika z telefonem w rękę, który właśnie

pojawił się w drzwiach.

– Jeszcze nic – mruknął w odpowiedzi na ich pytające spojrzenia. – Mamy czekać na telefon szefa.

– Cholera! – sarknął któryś z mężczyzn. – Długo jeszcze będziemy się tu pętać? Po południu musimy być w Kempton Parku!

– Mówiłem ci, że nie podoba mi się ta robota – zgryźliwie stwierdził jego towarzysz. – To nie nasza działka. A już zrywać nas z łóżek po ciemku...

– Przestań truć! – warknął nowo przybyły. – Co z samochodem?

– Jest. Pete jeździ nim w kółko, jak kazałeś – odrzekł ten, który mnie zaczepił.  
– Wyjeździ całą benzynę, zanim się coś zacznie. I wiesz, co ci powiem? Będzie z tego jeden wielki szajs.

Zauważył, że mu się przyglądam, i uśmiechnął się do mnie tak samo bezczelnie jak przedtem, więc czym prędzej odwróciłam głowę. Czy to jakaś bandycka szajka? Chcą obrabować bank? W co ja wdepnęłam?

– Jeszcze nigdy nikogo nie porwałem – mruknął przyciszonym głosem osobnik, któremu nie podobała się „ta robota”. – Za duże ryzyko.

Porwanie? Nawiedziło mnie okropne podejrzenie.

– Zamknij japę, tępaku! – zirytował się ten z telefonem. – Mówiłem ci przecież, że to legalna robota, a nie żadne porwanie. Odwiezie się ją tylko do męża i niech siedzi na tyłku, gdzie jej miejsce. Jak mi nie wierzysz, to spytaj Wilkiego.

– A co to za jeden?

– Jasny gwint, człowieku! Nie znasz Wilkiego? W lesie żeś się chował czy co?  
– zagrzemiał tamten. – Wilkie to sławny gość – powiedział z mgiełką w oczach. – W latach osiemdziesiątych wszyscy go tu znali. Nikt nie robił takich numerów jak on! Ale potem wyjechał do Ameryki, no i słuch o nim zaginął. Aż tu nagle wczoraj telefon! Ho, ho, za tę dzisiejszą robótkę zapowiada się niezły szmal. Dobrze to były czasy – westchnął melancholijnie – gdyśmy razem działali w Newbury, stary George Wilkins i ja.

Zrobiło mi się słabo. Uciekać, póki jeszcze mnie nie rozpoznali! Swoją drogą cóż to za fatalny zbieg okoliczności! Trzeba mieć naprawdę cholernego pecha, żeby uciec George’owi i natychmiast wpaść w łapy wynajętych przez niego opryszków!

Nim zdążyłam się ruszyć, zadzwonił telefon.

– To on – oznajmił totumfacki George’a. Przyłożył do ucha komórkę i na chwilę zamilkł. Sądząc po jego minie, wieści musiały być kiepskie. – Zaraz tu będzie – poinformował kompanów. – Chyba ją zgubili.

Zaczęłam krok po kroczku przesuwać się w stronę tylnego wyjścia.

– Chcesz nas opuścić, laleczko? – zarechotał znów któryś z tych zbirów.

Nie zważając już na nic, podbiegłam truchtem do drzwi, które otworzyły się nagle, i stanął w nich George w towarzystwie tego w koszulce. Na mój widok opadły im szczęki. Zawróciłam w miejscu i co sił w nogach pognałam do drugiego wyjścia. Kątem oka spostrzegłam, że cała zaskoczona banda stoi z opuszczonymi rękami, wciąż jeszcze nie rozumiejąc, o co tu chodzi.

– Łapcie ją, idioci! – wrzasnęła George. – To ona, to jej szukamy!

Trzymałam już rękę na klamce, kiedy mnie dopadli. Broniłam się jak mogłam, kopiąc, tłukąc i gryząc, było ich jednak zbyt wielu. Przyszpiliwszy mi ręce do boków, wyprowadzili mnie na uliczkę, ustawili pod ścianą i przycisnęli do muru. Kiedy chciałam krzyknąć, zatkali mi usta.

– Może by się z nią trochę zabawić? – spytał któryś z nadzieją w głosie.

– Zamknij się, do cholery! – zgromił go przywódca. – Pete, gdzie jesteś, ty sukinsynu? – ryknął do telefonu.

Otoczono mnie ciasnym kręgiem, aby ukryć przed wzrokiem nielicznych przechodniów. Chwile oczekiwania skracano sobie macaniem i głaskaniem różnych partii mojej anatomii. Po paru minutach u wylotu uliczki pojawił się wreszcie ów Pete z ogromnym kartonem opatrzonym etykietą McDonalda.

– O co chodzi, szefie? – spytał flegmatycznie.

– Otwórz wóz, barani łbie! – wściekł się zaufany George'a. – Prędeż! – Potężnym ciosem pięści wytrącił przybyłemu karton, z którego posypały się frytki.

– Pozbieraj to, młody człowieku! Nie wolno śmiecić na ulicy! – zgromiła go z oburzeniem mijająca nas właśnie damulka.

Wydałam z siebie głuchoe buczenie – może zauważy, że dzieje się tu coś niedobrego, ale gdzie tam! Całą jej uwagę pochłaniały te cholerne frytki.

Pół wlokąc, pół popychając, zaciągnięto mnie do samochodu; dwóch zbirów zostało w uliczce, żeby uprzątnąć bałagan. Pilnowała ich ta damulka. George usiadł obok kierowcy i zatrzaskał drzwiczki.

– Ruszaj, na co czekasz? Tamci dwaj sobie poradzą. Samochód ostro odbił od krawężnika i po kilku metrach utknął w korku.

– A niech to szlag! – zaklął kierowca, zapalając papierosa. Po chwili w kabinie zrobiło się sino od dymu.

Wciśnięta między dwóch zbirów, mogłam tylko bezradnie patrzeć na pozostające powoli w tyle znajome domy i ulice. Robiło mi się niedobrze od tych kłębow śmierdzącego dymu, i jakby tego było nie dość, drab z prawej strony

zaczął dłubać w nosie. Z najwyższym zainteresowaniem przyglądał się efektom swoich poszukiwań, by następnie rozsmarować je po tapicerce.

George wydobyl z kieszeni telefon, wystukał kilka cyfr i gwałtownie wcisnął mi go w rękę.

– Do pani, miss Cindy – oznajmił z szyderczą galanterią. – Zdaje się, że małżonek bardzo za panią tęskni.

Ostrożnie przyłożyłam telefon do ucha.

– Harley?

– Cindy! Chwała Bogu, że jesteś bezpieczna! – Słabo go było słyhać, głos co chwila zanikał wśród szumu i trzasków. – Co ty wyprawiasz, na litość boską? Jak mogłaś tak uciec? Co ty sobie myślisz?

– A ty? Co ty sobie myślisz? Jak mogłeś na mnie nasłać tę zgraję bandziorów?

– Bandziorów? Źle cię słyszę... Słuchaj, Cindy...

– Nie pozwolę tak się traktować, rozumiesz?! Każ im natychmiast mnie puścić! – Nastąpiła przerwa w połączeniu, usłyszałam więc tylko fragment odpowiedzi.

– ...dla twego dobra. Ostatnio nie jesteś sobą, chyba nawet nie wiesz, co robisz. Potrzebny ci jest wypoczynek. Nie udało mi się dodzwonić do Los Angeles, ale znalazłem tutaj lekarza i...

– Nie pójdę do żadnego pieprzonego szamana!

– Co? Co mówisz? Strasznie coś trzeszczy... Syknęłam głośno przez zęby, imitując zakłócenia.

– Przepraszam cię, Harley... – powiedziałam urywanym głosem. – Sygnał zanika... Nic nie słyszę.

A żeby go pokręciło! W przypiływie frustracji i bezsilnej złości z całej siły rzuciłam telefonem o szybę. Odbił się w stronę kierowcy, który uchylając się przed uderzeniem, omal nie wjechał na chodnik. George odwrócił się do mnie z takim gestem, jakby mi chciał przyłożyć.

– Ty złośliwa jędzo!

– Uspokoić ją, szefie? – spytał oprych z lewej, demonstracyjnie zaciskając pięści.

– Słuchaj no, George, po powrocie do Stanów nadal będziemy żyć pod jednym dachem – powiedziałam lodowatym tonem. – Pewno jeszcze nie wiesz, że jestem lunaticzką i że często mi się zdarza wędrować po domu z nożycami w rękę. Jeśli nie chcesz obudzić się któregoś ranka z własnymi jajami w uszach, to każ z łaski swojej tym drabom trzymać łapy przy sobie. Niech się ode mnie odchrzanią.



– Zamknijcie się, do diabła! – ryknął George w odpowiedzi na lekko niespokojny rechot, którym jego podwładni skwitowali moją zapowiedź. Odwrócił się do mnie plecami i zaczął pilnie przyglądać się szybie, szukając śladów niedawnego zamachu na jej całość. Pozostała część drogi do Londynu upłynęła już bez incydentów.

Harley czekał przed wejściem do hotelu. Ze zmarszczonym czołem popatrzył na mnie przez szybę i zakomenderował:

– Idź na górę. Powinnaś się zaraz położyć. Podwładni George’a na jego rozkaz wprowadzili mnie siłą do recepcji.

– Ratunku! – krzyknęłam. – Zostałam porwana! – Kilka osób podniosło głowy, i tyle. Nikt nawet nie kiwnął palcem.

– Mam nadzieję, że pańska żona wkrótce poczuje się lepiej – współczująco szepnął do Harleya uprzejmy recepcjonista. Otworzył windę i dodał: – Kiedy tylko zjawi się lekarz, skieruję go zaraz do państwa.

Po przybyciu do apartamentu bezceremonialnie wepchnięto mnie do sypialni. Słyszając zgrzyt klucza w zamku, padłam na łóżko i zaczęłam płakać ze złości.

Z salonu dobiegał szmer rozmów – Harley rozliczał się z George’em i jego bandą. Po chwili zjawił się tam David. Próbowałam podsłuchiwać, ale mówili zbyt cicho. O, niech to szlag! Zaczęłam łomotać w drzwi.

– Harley! Wypuść mnie, słyszysz?! Chcę z tobą porozmawiać! – Odpowiedziała mi cisza. Czyżby wszyscy wyszli? Z bezsilnej złości zaczęłam pastwić się nad drzwiami. – Wypuść mnie, draniu! Jak śmiesz mnie zamykać?!

Minęła godzina, nim wreszcie raczył się zjawić. Wszedł do sypialni, przekręcił klucz w zamku i schował go do kieszeni. Rzuciłam się na niego z pięściami.

– Ty podły łajdaku!

Unieruchomił mnie błyskawicznie – nie posądzałam go o tyle siły.

– Uspokój się, kochanie, zaraz przyjdzie doktor. Da ci lekarstwo i od razu poczujesz się lepiej.

– Nie chcę żadnych lekarzy! Nic mi nie jest! Dlaczego nie pozwalasz mi odejść?

– No, no, wszystko będzie dobrze. – Trzymając mnie za nadgarstki, posadził na łóżku i sam usiadł obok.

Widząc jego boleściwą minę, uświadomiłam sobie nagle, że ten biedny dureń naprawdę się o mnie martwi. Najwyraźniej zdołał sobie wmówić, że straciłam rozum. Po prostu nie był w stanie wyobrazić sobie żadnego innego powodu, dla którego ktoś chciałby od niego uciec.

– Rozmawialiśmy właśnie o tobie z Davidem i doszliśmy do wniosku, że potrzebna ci jest zmiana otoczenia – powiedział po chwili – postanowiliśmy zatem skrócić pobyt w Anglii i jak najszybciej lecieć do Włoch. Przez pierwszy tydzień nie będziesz jeszcze potrzebna na planie. Ekipa sfilmuje w tym czasie tło i detale, a ty będziesz mogła sobie odpocząć. Pomyśl: wakacje w Portofino!

Ogarnęła mnie rezygnacja – niech mu będzie. Bo czy miałam w tej chwili inne wyjście?

– Dobrze, ale pod jednym warunkiem: żadnych lekarzy.

– Och, to wspaniale, kochanie! Tak się cieszę! Wiedziałem, że potrafię cię przekonać. Pójdę powiedzieć Davidowi, żeby wymienił bilety. Będzie uszczęśliwiony, że czujesz się lepiej. Martwił się o ciebie. Wyjedziemy jutro, jeśli tylko będą wolne miejsca.

Wychodząc z pokoju, nie zapomniał zamknąć drzwi na klucz. Po dziesięciu minutach przyniósł mi herbatę.

– Wypij to, kochanie – poprosił z miłym uśmiechem – herbata dobrze ci zrobi. Później jeszcze sobie pogadamy.

Zaraz potem urwał mi się film. Kiedy oprzytomniałam, przez kotary sączyło się poranne słońce, a Harley szarpał mnie za ramię.

– Zbudź się, Cindy, musisz się spakować. Pamiętasz, lecimy dzisiaj do Włoch.

– Co się stało...? – spytałam półpryтомnie i nagle zrozumiałam. – To ta herbata... Co w niej było?

– Och, nic wielkiego. Nieszkodliwa pigułka nasenna – odrzekł uspokajająco. – Lekarz uznał, że... w tych warunkach tak będzie najlepiej. Po powrocie do domu poddamy cię badaniom.

– Ale ja...

– Żadnych „ale”. Zaufaj mi, kochanie, wszystko będzie dobrze. I lepiej się pośpiesz, bo spóźnimy się na samolot.

Pakowanie się pod jego okiem wymagało trochę sprytu, zważywszy, że większość moich rzeczy znajdowała się obecnie w guildfordzkiej przechowalni dworcowej. To, co mi zostało, zmieściło się w jednej walizce. Z westchnieniem zadałam sobie pytanie, jak długo będę musiała uprawiać te żałosne gierki, zanim Harley uwierzy, że wrócił mi rozum i nie trzeba mnie już pilnować. Wtedy ci ucieknę, pomyślałam z determinacją. Znajdę jakiś sposób.

Kiedy poszedł do łazienki, zaczęłam niespokojnie szperać w torebce, bo przyszło mi na myśl, że podczas tej wczorajszej szarpaniny mogło coś z niej wypaść – ale nie, paszport Harriet i jej książeczka czekowa były nadal w bocznej

kieszonce. Wyjęłam oba paszporty, rozłożyłam je na toalecie – zdjęcie przy zdjęciu – i po raz pierwszy spróbowałam przyjrzeć się obu twarzom w miarę obiektywnym okiem.

Harriet nie wydała mi się wcale tak stara i brzydka, jak myślałam; Cindy dla odmiany, jakkolwiek niewątpliwie piękna, wydawała się dziwnie bezduszną. Sprawiała wrażenie istoty kompletnie pozbawionej charakteru. Oglądać siebie w dwóch różnych wersjach to strasznie dziwne uczucie, ale jeszcze dziwniejsze było co innego: zrozumiałam nagle, że nie jestem żadną z tych kobiet.

Wystarczyło popatrzeć w lustro, aby dostrzec różnice pomiędzy obecną a dawną Cindy. Wyglądałam teraz na starszą i poważniejszą, twarz miałam bardziej myślącą; zniknął z niej prawie zupełnie ów wyraz wiecznego zdziwienia utrwalony w tysiącach egzemplarzy na moim reklamowym zdjęciu. Wewnętrznie zmieniłam się również – moja postawa życiowa i nastrój nie przypominały już Harriet.

Dawniej towarzyszyło mi wciąż poczucie, że cokolwiek spróbuję zrobić czy osiągnąć, na pewno mi się nie uda, nie warto więc podejmować jakichkolwiek działań. Byłam ponura, zgorzkniała i nieszczęśliwa. Teraz było inaczej. Choć i teraz nie czułam się szczęśliwa, to jednak chciałam walczyć z losem, wierzyłam, że potrafię zmienić swe życie na lepsze.

Skoro jednak różnię się tak znacznie zarówno od Harriet, jak i od Cindy, to kim ja u diabła jestem? Czyżby Mefisto niechęcący stworzył całkiem nową osobę? Całość, która jest czymś więcej niż tylko sumą dwóch części?

Wcisnęłam paszporty do torebki, bo nagle chwyciły mnie mdłości – to ta cholerna herbata! Jak burza wpadłam do łazienki, płosząc urzędującego tam Harleya, który z opuszczonymi spodniami zerwał się z sedesu, a potem stojąc jak słup soli, patrzył z najwyższym niesmakiem, jak wyrzucam całą zawartość żołądka na łazienkowy dywanik. Dobrze ci tak, pomyślałam. Nie trzeba było mnie truć.

Podczas lotu do Genui nadal czułam mdłości. Poprzysięgłam sobie, że będę odtąd bardzo uważać na wszystko, co jem i piję. Jeśli tym draniom się zdaje, że zmuszą mnie do posłuszeństwa za pomocą narkotyków, to się mylą. Niedoczekanie. Obserwują teraz każdy mój ruch, będę więc musiała sprytniej kłamać. Prędzej czy później nadarzy się okazja do ucieczki. O, tym razem obmyślę sobie bardzo precyzyjny plan. Nie będzie żadnych wpadek.

Siedzący obok mnie Harley też nie był w najlepszej formie. Twarz miał ponurą, oczy podkrążone. Zaraz po starcie zasnął.

Po kilku minutach pojawił się David.

– Jak się masz, siostrzyczko? – rzucił szyderczo, przysiadając na poręczy mojego fotela. – Szkoda, że nie siedzimy razem, co?

Skwitowałam to posępnym spojrzeniem.

– Przestań się dąsać. – Zażyłym gestem położył mi rękę na ramieniu. – Czeka nas przyjemny urlop we troje. Mam niepłonną nadzieję, że spędzimy ten czas bez zgrzytów.

Strząsnęłam z ramienia jego rękę.

– Jeśli będziesz się trzymał ode mnie z daleka.

– Och, Cindy, liczyłem, że zostaniemy przyjaciółmi – powiedział zniżonym głosem. – Mamy więcej wspólnego, niż myślisz, ale skoro chcesz nadal prowadzić ze mną wojnę – syknął z ustami przy moim uchu – to radzę ci się pilnować. Pamiętaj, co ci mówiłem? Jeśli rozwiedziesz się z Harleyem, nie dostaniesz ani centa, obiecuję ci to solennie.

– A może ja nie chcę jego pieniędzy?

– Doprawdy? Po co w takim razie za niego wyszłaś? Tylko mi nie wciskaj tego miłosnego kitu. Gołym okiem widać, że nie możesz na niego patrzeć.

Z lekkim zmieszaniem odwróciłam głowę – naprawdę aż tak to widać? Kiedy znów spojrzałam w jego stronę, miejsce Davida zajął już ktoś inny.

– Pamiętaj mnie? – zapytał.

Zdumienie zaparło mi dech – Mefisto. Miał na sobie elegancki czarny dres i najmodniejsze sportowe buty z mnóstwem sznurówek i zwisających "Języków". Na podbródku sterczały mu starannie wymodelowane kępki czarnego zarostu; całości dopełniały wiszące na szyi słuchawki, z których wydobywała się cicha rytmiczna muzyka.

– Czego chcesz? – wyjąkałam.

– Może mi raczysz wyjaśnić, w co ty grasz, do wszystkich diabłów! – odrzekł gniewnie. – Zaczynasz pomagać ubogim staruszkom, uciekasz od swego bogatego męża, zamiast go obrać do nitki, co to za numery, Harriet?

– Odczep się ode mnie! – Rozejrzałam się chyłkiem dookoła: inni też go widzą? Chyba nie. Nikt nie patrzył w tę stronę, Harley cicho chrapał. – Nie twój interes, co robię.

– O, i tu się mylisz! – Zabrzmiało to groźnie. – Właśnie że mój. Aby zawrzeć ten pakt, musiałem rzucić na szalę całą swoją reputację, rozumiesz? Ze nie wspomnę już o zakładzie. Tu także chodzi o dużą stawkę. Liczę na ciebie, Harriet!

Rozległ się trzask i światła w kabinie przygasły, gdy jedna ze stewardes przeszła nagle przez niego, jakby był powietrzem. Skóra mi ścierpła ze strachu,

kiedy mimo woli pomyślałam o tych kilku kilometrach pustki pomiędzy nami a ziemią. A jeśli Mefisto coś knuje?

– Jak mam udowodnić, że jesteś zepsuta, skoro raptem zachciało ci się bawić w dobrą samarytankę? – mówił dalej z rosnącą irytacją. – Twoje postęпки zaczynają zwracać uwagę. Zachowujesz się zbyt etycznie jak na kogoś, kto dokonał wiadomej transakcji.

– Etycznie? Puknij się w głowę! Popeliłam przecież cudzołóstwo. Czyż nie jest to wystarczający dowód zepsucia? Myślałam, że się ucieszysz.

– O tak, byłem zachwycony – odparł z gryzącą ironią – zwłaszcza gdy mi powiedziano, że to się nie liczy. Twój grzeszek z Andrew to nie żaden dowód, bo wciąż go kochasz!

– Z niesmakiem wykrzywił usta. – Jakież to żalosne! Ten człowiek mógłby być twoim ojcem.

– To wcale nie było żalosne... ale zaraz... kto ci powiedział, że to się nie liczy?

– Moi przełożeni – odrzekł cierpko. – Te nędzne parodie prawdziwych diabłów, które kłamstwami i oszustwem dochrapały się wyższych pozycji. Żaden nie umiałby pewnie nawet strzelić na wiwat podczas nabożeństwa. Potrafią tylko krytykować, a przez te twoje wybryki coraz bardziej patrzą mi na palce. Cokolwiek powiesz czy zrobisz, od razu brane jest pod lupę, rozumiesz? Traktują nasz pakt jak jakąś operę mydlaną! Nie mogą się wprost doczekać następnego odcinka! Znaleźli sobie rozrywkę! I tacy dziś nami rządzą! Co za upadek obyczajów!

Staralam się przybrać współczujący wyraz twarzy, cóż, kiedy w żaden sposób nie mogłam powstrzymać uśmiechu: a więc ten butny Mefisto musi kłaniać się swoim zwierzchnikom! Chciałabym to zobaczyć.

– Tu nie ma się z czego śmiać! Zagrozili, że jeśli w najbliższym czasie nie przedstawię wiarygodnego dowodu twojej demoralizacji, pozbawią mnie nadprzyrodzonej mocy! Na litość boską, Harriet! Przestań się wygłupiać! Nie możesz wreszcie popełnić jakiegoś naprawdę niemoralnego uczynku? Nic ci się przez to nie stanie, a mnie ułatwiłoby sytuację.

– Skąd wiesz, że mi to nie zaszkodzi? Westchnął niecierpliwie.

– Nie mam czasu wdawać się w szczegóły. Jeśli nie chcesz współpracować, trudno, będę musiał poczekać. W końcu nabierzesz rozumu. Nie wierzysz? No to zobaczysz! Będiesz wtedy więcej niż chętna spełnić każde moje życzenie.

– Nie obiecuj sobie zbyt wiele, bo możesz się zawieść.

– Niech cię o to głowa nie boli. Poczekam sobie spokojnie, dopóki mnie nie zawołasz. A zrobisz to na pewno.

Spłynął z poręczy i postąpił dwa kroki w stronę ogona samolotu, ale raptem przystanął, jakby coś przyszło mu na myśl.

– Skoro jesteś taka pewna siebie, czemuż to nie zaufałaś swoim wczorajszym przeczuciom? Przekonałabyś się przy okazji, że na mnie zawsze możesz liczyć.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– O koniu imieniem Diabelski Tancerz, Newmarket, trzecia trzydzieści. Czyżbyś naprawdę nie wiedziała, że to ja ustawiłem tę gonitwę? Zrobiłem to dla ciebie. Ten koń wygrał wyścig, a wiesz, jak go typowano? Trzydzieści trzy do jednego. Mogłaś nieźle zarobić.

Rzuciwszy mi cierpkie spojrzenie, odwrócił się i odszedł. Poruszał się jak kosmonauci w stanie nieważkości, których kiedyś widziałam w telewizji. I nagle zniknął. Wtopił się w ścianę kabiny. Światła znów mocno przygasły, a mnie po raz drugi dreszcz przeszedł po grzbiecie.

– Psiakrew! – mruknęła stewardesa, która w tym momencie oblała kawą siedzącego przede mną dżentelmena. Obsypawszy go przeprosinami, przesunęła się z wózkiem o kilka centymetrów naprzód i widząc moją minę, spytała z niepokojem: – Źle się pani czuje? Podać coś do picia?

– Podwójną szkocką – zadysponowałam, upewniwszy się, że Harley wciąż śpi.  
– Bez lodu.

Na lotnisku w Genui czekał na nas samochód z kierowcą i dopiero wtedy spostrzegłam, że nie ma George'a.

– Został w Londynie – wyjaśnił Harley, gdy go zapytałam, gdzie się podział jego wierny sługa. – Chciał odwiedzić starych przyjaciół w jakimś Pentonville. – W więzieniu, pomyślałam. – Później wróci do Los Angeles pilnować domu. I Josego – dodał z szerokim uśmiechem. Opuściwszy Genuę, pojechaliśmy dalej wzdłuż wybrzeża niezwykle malowniczą drogą, wijącą się pośród urwistych skał. Siedziałam pomiędzy dwoma Brightmanami, dumając smętnie nad dziwną ironią losu: kiedyś marzyłam o takich podróżach, a teraz muszę je odbywać wbrew woli. Otaczający nas pejzaż przypominał reklamę luksusowego biura podróży: w dole bajecznie błękitne morze, na zboczach skalistych pagórków uroczę gaje oliwne. Brakowało tylko napisu: „Poznaj zapierające dech w piersiach piękno słonecznej Ligurii”. W swoim poprzednim życiu widziałam wiele filmów, których akcja rozgrywała się właśnie tutaj albo w bardzo podobnej scenerii. Sean Connery, Michael Caine, Cary Grant, każdy za kierownicą wspaniałego krążownika szos, mknęli takimi drogami ku swym tajemniczym przeznaczeniom. Jakże im zazdrościłam! Oglądają takie piękne kraje, prowadzą tak ekscytujące życie, a ja

muszę siedzieć w Anglii, wśród trwającej całe wieki zimy, bez pieniędzy, bez miłości, bez cienia nadziei na jakąkolwiek odmianę. Teraz znalazłam się w miejscu, o którym śniłam po nocach – i wszystko było nie tak. Czy każde spełnione marzenie przynosi rozczarowanie?

– Spodoba ci się nasz dom – odezwał się David do Harleya – jest doprawdy bardzo romantyczny. Stoi na samym szczycie skały. A te widoki z okien! Niesamowite! No i bardzo trudno się tam dostać – dodał na mój użytek, bezczelnie przyciskając kolanem moje udo.

Po mniej więcej trzydziestu minutach jazdy zatrzymaliśmy się w niewielkiej zatoczce na poboczu drogi.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił David tonem uczniaka, który spletał swoim starym figla. – No, Harley, na co czekasz? Wsiadaj!

Harley wyskoczył z wozu i z widocznym zdumieniem potoczył dookoła wzrokiem.

– Ale gdzie...

– Chodźcie za mną – zakomenderował jego brat, prowadząc nas do bramy. Znajdowała się w murze tak podobnym do sąsiadujących z nim skał, że trudno je było odróżnić. – Zostawcie bagaże, Giorgjo zajmie się nimi później.

Wcisnął kilka guzików na osadzonej w murze tablicy i drzwi otworzyły się cicho. Kilkanaście metrów za bramą wznosiło się wysokie strome wzgórze porośnięte gęstą roślinnością, wśród której biegł wykuty w skale wąski trakt. U jego podnóża stało coś w rodzaju szklanego pudełka na kołach.

– Kolejka linowa – dumnie poinformował nas David. – Wsiadajcie. Jest absolutnie bezpieczna. Można powiedzieć, że to frontowe wejście do naszego domu.

Włączył znów kilka przycisków i klatka z łagodnym szumem ruszyła pod górę. Zrobiło mi się zimno. Wydawało się wprost niemożliwe, żeby pojazd pełznący po takiej stromiźnie mógł nie ulec prawu grawitacji. Gdy po chwili to straszne pudełko wyniosło nas ponad poziom muru, zobaczyłam sięgające po horyzont morze i duży odcinek krętej nadbrzeżnej trasy. Prowadziła tu tylko ta jedna droga.

– Fantastyczne, co? – uśmiechnął się David. – Teraz uważajcie, w tym miejscu zmienia się gradient.

Klatka nagle zwolniła; przerażona, że zaraz runiemy w przepaść, uczepliłam się Harleya i zamknęłam oczy. Lepiej tego nie widzieć. Kiedy odważyłam się znów spojrzeć, okazało się, że nadal jedziemy w górę, a otaczających nas zewsząd widoków wprost niepodobna opisać.

– Automatyczna korekcja – zaśmiał się David, widząc nasze przerażone twarze. – Dokonują jej specjalne urządzenia zainstalowane u podstawy osi, na której obraca się lina. Najnowocześniejsza technologia!

– Zupełnie jak w filmach z Jamesem Bondem – zauważył Harley, zerkając z niepokojem w górę. – Daleko jeszcze?

Akurat w tym momencie ukazała się nasza siedziba; był to niepozorny budynek przytulony do zbocza u końca trasy kolejki.

– Nie daj się zwieść pozorom, jest większy, niż się wydaje – odezwał się znowu David. – Jego właściciel to bardzo bogaty Ormianin, wspominałem ci o nim, pamiętasz?

Chce od nas kupić koncesję na formułę B. Ta posiadłość to jego domek letniskowy, zaprojektowany przez jakiegoś sławnego architekta. W zeszłym roku byłem tu z wizytą. Nasz gospodarz oczywiście nie ma zwyczaju wynajmować tego domu, ale dla mnie zrobił wyjątek. Sam spędza teraz urlop na jachcie.

Dom rzeczywiście okazał się przestronny i przyjemnie chłodny, aczkolwiek układ pomieszczeń mógł wydawać się trochę dziwaczny. Architekt w taki sposób dopasował go do rzeźby wzgórze, że trudno było nieraz powiedzieć, czy jest się na parterze czy na piętrze. Mój pokój, połączony drzwiami z pokojem Harleya, mieścił się w części osadzonej na stromym zboczu. Wystarczyło wyjrzeć przez okno, aby się pożegnać z myślą o ucieczce. Przynajmniej w tę stronę.

Zjedliśmy wczesną kolację w oszklonej z trzech stron jadalni z przepięknym widokiem na morze. Jedzenie serwowane przez starą Włoszkę było wyśmienite. Na przystawkę oliwki z oliwą i czosnkiem, tak soczyste, że rozplływały się wprost na języku, później pieczona ryba garniowana kilkoma rodzajami Aromatycznych śródziemnomorskich sosów i do tego cierpkie miejscowe wino w pięknym glinianym dzbanie. Wszystko doprawdy było fantastyczne – dokładnie takie, jak opisywano to w dodatkach do niedzielnych gazet, które czytywałam w Anglii. Pisano o tym takim tonem, jakby te włoskie specjały były powszechnie dostępne, wyrażając zarazem pogląd, że trudno się uważać za człowieka o pewnej kulturze, jeśli nie zna się tego cudownego kraju i jego kuchni. Ja o urlopie we Włoszech mogłam sobie tylko pomarzyć. Teraz po latach tych marzeń nareszcie się tu znalazłam – i efekt był taki, że ponad wszystko w świecie pragnęłam tylko jednego: znaleźć się w swoim mieszkaniu w Anglii. Tam byłam wolna. Tego nie zastąpi smaczne jedzenie ani dobre wino.

Po kolacji wyszliśmy na balkon, towarzysząc Davidowi, który pragnął zakończyć tę ucztę cygarem. Po porośniętym oliwkami zboczem zjeżdżała akurat



kolejka, w której spostrzegłam tę starą Włoszkę i jakichś trzech młodych ludzi.

– Gospodyni, kucharz, ogrodnik oraz chłopak do wszystkiego – wyjaśnił David. – Na noc wracają do wioski.

– A Giorgio? – spytał Harley.

– Och, Giorgio jest tu prawie cały czas, w nocy również – odrzekł jego brat. – Ale nie dzisiaj – roześmiał się słysząc warkot silnika. – Dziś pewnie ma randkę z jakąś młodą piękną w Santa Margherita.

– Można tu wjechać samochodem? – zdziwił się Harley. – Myślałem, że ta kolejka to jedyny środek lokomocji.

– Tylko Giorgio jest na tyle szalony, żeby ryzykować jazdę tą dróżką za domem. Widziałeś, jaka jest stroma? Któregoś dnia źle się to dla niego skończy, zwłaszcza że za kołnierz nie wylewa. W pewnym miejscu jest zakręt typu „agrafka”, strasznie ostry. Od samego patrzenia może zawrócić się w głowie. Nie mam pojęcia, dlaczego ten chłopak uparł się jeździć po takim piekielnym trakcie. Wszyscy inni parkują na dole, w tej zatoczce.

Około dziesiątej Harley odprowadził mnie do pokoju i pocałował w policzek.

– Wiem, kochanie, że musisz być strasznie zmęczona po podróży. Będę dziś spał u siebie, żebyś mogła porządnie wypocząć.

Po tych słowach wycofał się z sypialni, zamykając za sobą drzwi. Usłyszawszy po chwili zgrzyt klucza, podbiegłam do drzwi na korytarz, lecz i one zostały zamknięte od zewnątrz. No tak, nadal jestem więźniem!

Byłam zanadto zmęczona, żeby się teraz tym martwić. O ucieczce pomyślę później, powiedziałam sobie, gdy dokładnie zbadam już teren. Rozkoszując się myślą, że nie muszę z nikim dzielić łóżka – rzadko trafiał mi się taki luksus! – ułożyłam się wygodnie w pachnącej świeżością pościeli i natychmiast zasnęłam jak kamień.

## ROZDZIAŁ 17

Nazajutrz zaraz po śniadaniu Harley i David zamknęli się w gabinecie, aby przedyskutować plan zdjęć.

– Mogę wyjść z domu? – spytałam, wtykając tam głowę. – Chciałabym łyknąć trochę powietrza.

– Rób, co chcesz – odrzekł David z łaskawym uśmiechem. – Nic się nie bój – szepną] do Harleya – daleko nie zajdzie. Cała posiadłość jest ogrodzona.

Miałam się wkrótce przekonać, że szanse ucieczki z tej fortecy są rzeczywiście znikome.

Wzdłuż zwróconej ku morzu części domu biegło kilka niewielkich tarasów połączonych krótkimi schodkami – i na tym kończył się obszar, po którym można było chodzić. Tuż za najniższym tarasem zaczynało się urwisko opadające pionową niemal ścianą aż do szosy. Dostać się na dół z tej strony można było tylko kolejką. Gdyby nawet jakimś cudem mnie to udało, była tam jeszcze brama. Bez pytania wiedziałam, że będzie zamknięta. Tędy im się nie wymknę.

Okrążywszy dom wąską ścieżką, znalazłam się na wysypanym żwirze, zamkniętym z trzech stron dziedzińcu. Było tu bardzo przyjemnie – w ustawionych pod ścianą terakotowych donicach rosły zioła, z otwartych drzwi kuchni niósł się aromat świeżo parzonej kawy. Ostrożnie zerknęłam do środka. Gospodyni, pochylona nad klockiem do rąbania mięsa, dzieliła na porcje wielki kawał udźca. Zrecznie manipulując ogromnym rzeźnickim nożem, mruczała coś cicho po włosku. Wycofałam się niepostrzeżenie w niewidoczną dla niej część podwórza. Tam gdzie przechodziło ono w otwartą przestrzeń, zobaczyłam wąziutką dróżkę z odcisniętymi śladami opon. Po względnie prostym odcinku biegnącym wśród kęp zarośli widać było zakręt, za którym ów trakt zniknął z oczu.

Upewniwszy się, że nikt mnie nie śledzi, zaczęłam powoli wędrować w dół. Za zakrętem zaczynała się pochyłość przechodząca w wąską i krętą rozpadlinę o tak skośnych ścianach, że miejscami przypominała tunel. David przedstawiał tę drogę jako wyjątkowo niebezpieczną, na razie jednak nie wydała mi się zbyt groźna w porównaniu chociażby z wczorajszą trasą z Genui. Może chciał mnie po prostu nastraszyć? Po dziesięciu minutach wędrówki tym mrocznym wąwozem wychyłam znowu na otwartą przestrzeń. Przez chwilę bezradnie mrugałam oczami, tak oślepiło mnie słońce, a potem zobaczyłam morze. Widziałam je przed sobą, co oznaczało, że znalazłam się znowu po „frontowej” stronie wzgórza. Droga

skręcała tutaj rzykancką agrafką przy samym brzegu skalnego nawisu. Nie było barier ani żadnych innych zabezpieczeń. Zerknąwszy ostrożnie za krawędź, zobaczyłam fragment nadmorskiej szosy, biegnący po niebezpiecznie wąskiej półce skalnej, a pod nią kolejny ostry uskoki, u którego podnóża fale rozbijały się z hukiem o ponure, poszarpane skały. Zakręciło mi się w głowie. Chyba tylko doświadczony alpinista mógłby zaryzykować zejście tą ścianą na szosę.

Postanowiłam pójść jeszcze kawałek „drogą Giorgia”. Minęłam zakręt i po kilkunastu metrach napotkałam wąską ścieżkę prowadzącą w górę skalistego zbocza, trochę na skos od drogi. Po krótkiej wspinaczce znalazłam się w punkcie, z którego widać było całe otoczenie.

Stałam na wysokiej grani pomiędzy domem a drogą. Dom miałam po prawej stronie, trochę poniżej mego punktu obserwacyjnego; widoczność była tak dobra, że w siedzących na pierwszym tarasie postaciach bez trudu rozpoznałam swojego męża i szwagra. Po lewej stronie widać było ostatni odcinek drogi. Kończył się przy wielkiej, chyba metalowej bramie łączącej się z wysokim drucianym ogrodzeniem. Przyjrzawszy mu się baczniej, stwierdziłam, że biegnie ono falistą Unią wokół całej podstawy wzgórza. David niestety mówił prawdę – cała ta posiadłość przypominała obóz koncentracyjny; brakowało jedynie wieżyczek strzelniczych. Jej właściciel musiał być chyba lekko stuknięty na punkcie swego bezpieczeństwa.

Słyszając warkot silnika, spojrzałam znów w stronę bramy – była otwarta. Zobaczyłam mocno pokiereszowany samochód, który zaraz za bramą runął do przodu jak pocisk. Widząc, że zbliża się ku mnie w niebywałym tempie, nie bacząc na ostre zakręty, zaczęłam schodzić ze ścieżki. Wrota tymczasem zamknęły się same – wszędzie tu najwyraźniej działał system zdalnego sterowania. Akurat w chwili gdy znalazłam się tuż przy drodze, wóz minął mnie z wściekłym rykiem silnika. Skulony za kierownicą Giorgio gnał przed siebie z obłędem w oku; wyglądało na to, że spóźnił się dziś do pracy.

Gdy po kilku minutach wróciłam na dziedziniec, w żwirze widniały głębokie ślady opon biegnące pijanym łukiem aż pod same drzwi kuchni, gdzie zaparkowany na bakier stał samochód Giorgia. Z przegrzanej chłodnicy wciąż jeszcze wydobywały się delikatne obłoczki pary, a kiedy zajrzałam do środka, zobaczyłam w stacyjce dyndające kluczyki...

– Nawet o tym nie myśl – rozległ się głos Davida. Odskokczywszy gwałtownie od wozu, spostrzegłam, że stoi w drzwiach. Że też pozwoliłam mu się tak przyłapać!

– Daleko byś nie ujechała – dodał z satysfakcją. – Ta brama jest z takiej stali, że nie sforsowałabyś jej nawet czołgiem. Mocno zresztą wątpię, czy w ogóle byś tam dotarła, więc lepiej tego nie próbuj, chyba że masz ochotę wylądować w morzu.

Mniej więcej po godzinie pojechaliśmy do Portofino obejrzeć miejsce zdjęć. Giorgio, teraz już wyświeżony i elegancki, nadzwyczaj statecznie prowadził wynajęty wóz. Gdy tylko ruszyliśmy, Harley zaczął z entuzjazmem zachwalać mi uroki Portofino.

– Spodoba ci się, zobaczysz. To naprawdę prześliczne miasteczko, nieskażone cywilizacją. Dla mnie to najpiękniejsze miejsce na świecie.

Ano zobaczymy, pomyślałam. Za ostrym zakrętem włączyliśmy się w tasiecową kolumnę pojazdów pełznących z prędkością kilku centymetrów na minutę.

– Co to? Jakiś wypadek? – spytałam, widząc migające światła.

– Nie, nie, to tylko system kontroli ruchu – spiesznie uspokoił mnie Harley. – Do Portofino przyjeżdża mnóstwo turystów, a ta droga jest ślepa. Bez kontroli pojazdów miasto już po godzinie byłoby tak zakorkowane, że nikt by z niego nie wyjechał.

Nad migającymi światłami widniał napis w kilku językach: „Witamy w Portofino. Czas oczekiwania na wjazd do miasta: 10 minut”. Liczba miarowo zapalała się i gasła, wreszcie znikła i na jej miejscu ukazało się zero; kolumna ruszyła naprzód. Po dalszych kilku minutach dotarliśmy do centrum, gdzie umundurowany funkcjonariusz skierował nas na pochylnię prowadzącą na podziemny parking.

I to ma być miasto nieskażone cywilizacją? Mnie jak na razie kojarzyło się raczej z Disneylandem. Gdy po dłuższych perturbacjach udało nam się w końcu załatwić bilet parkingowy, ruszyliśmy w trójkę na zwiedzanie. Giorgio dostał wolne. Po krótkiej wędrówce wąską uliczką, gdzie po obu stronach ciągnęły się wyłącznie sklepy pamiątkarskie, doszliśmy do portu. Tutaj dla odmiany zobaczyłam same restauracje z ogródkami na starych, brukowanych kamieniem chodnikach, a przy brzegu mnóstwo kosztownych łodzi i jachtów. Na nabrzeżu kłębiły się tłumy turystów; jedni namiętnie uwieczniali się na zdjęciach, inni studiowali jadłospisy poszczególnych restauracji wypisane na wielkich tablicach przed wejściem.

Owszem, musiałam przyznać, że to całkiem ładne miasteczko, tyle że po obejściu portu, co zajęło nam mniej niż pięć minut, atrakcje się skończyły.

Disneyland przynajmniej oferował gościom jakieś rozrywki, a tu? Co tu można robić?

Można było zjeść lunch, co też uczyniliśmy. Jedzenie w wybranej przez nas restauracji z grubsza odpowiadało temu, co w Anglii serwują ruchome bary, z tą różnicą że porcje były znacznie mniejsze. Ugrzeczniony kelner od razu rozpoznał w nas ludzi z większą ilością pieniędzy niż oleju w głowie, uznał więc za stosowne zamęczać nas w trakcie posiłku opisywaniem najdroższych „specjalności kuchni”, jak również propozycjami kosztownych przejażdżek łodzią. Poprosiłam o *pastę alpomodoro*, która okazała się w praktyce ociekającym wodą kopczykiem rozgotowanego spaghetti z łyżką zimnej pasty pomidorowej markotnie tkwiącej na czubku. Czy mogłam mieć jednak pretensje? Dostałam dokładnie to, co zamówiłam.

Po lunchu wybraliśmy się do kościoła usytuowanego bardzo malowniczo na zboczu stromego pagórka wznoszącego się naprzeciw portu. Płynął tam niekończący się strumień turystów – wycieczkowiczów z plecakami i całych rodzin z wrzeszczącymi dziećmi. Co chwila trzeba było usuwać się z drogi tej samej liczbie powracających, z czego łatwo było wywnioskować, że i ta ścieżka jest ślepa. Ciekawe, kiedy i tutaj zacznie obowiązywać system kontroli ruchu, pomyślałam nie bez zgryźliwości.

Przed kościołem słychać było niemilkący szum kamer pomieszany z trzaskiem migawek, co jednak nie wytrąciło Harleya z romantycznego nastroju.

– Spójrz na ten widok – szepnął z zachwytem. – Czyż nie jest to skończona doskonałość?

Nie dla mnie, pomyślałam, obrzuciwszy jednym spojrzeniem widoczne w dole miasteczko. Owszem, pastelowe domki z pięknymi sztukateriami na ścianach, białe żagle w porcie, tłumy przelewające się przez nabrzeże, wszystko to rzeczywiście tworzyło idealną kompozycję, tyle że jak dla mnie trochę zbyt idealną. Jakby tę bezbłędną scenerię wymyślił i zrealizował zespół wyrafinowanych pięknoduchów. Wszystko tu było fałszywe. Przystań służącą niegdyś zwyczajnym łodziom rybackim wypełniały teraz luksusowe jachty, domy, w których dawniej żyli ludzie, przekształcono w hotele i restauracje obliczone wyłącznie na zysk. To nie żywe miasto, tylko jego piękna atrapa. Czy tu w ogóle ktoś mieszka? Czy da się żyć w takim mieście, gdzie w sklepach można kupić jedynie pamiątki, a tłumy turystów nie pozwalają nawet przejść się ulicami?

Słowo „ulice” też nie najlepiej pasowało do tego obrazka. Tuż za budynkami zwróconymi frontem do morza wznosiła się ściana wzgórza, tak że

z wychodzących na tę stronę okien niewiele chyba było widać. W pewnym momencie przyszło mi na myśl, że to miasto przypomina barwną wycinankę – całe jego piękno to tylko naskórek, który można by zdrapać paznokciem. Harley nie mógł doprawdy znaleźć lepszej lokalizacji dla reklamy swoich kosmetyków. Były takim samym oszustwem jak to miejsce.

Umieszczone przy ścieżce znaki wskazywały drogę do starej latarni morskiej, podjęliśmy więc dalszą wspinaczkę, omijając kościół. Ludzi było tu mniej; szlak z każdą chwilą stawał się coraz węższy i coraz trudniejszy. Kurczowo trzymając się wątlej poręczy, pomyślałam nagle, jak łatwo byłoby posłać stąd kogoś w przepaść... Jedno mocniejsze pchniecie i po wszystkim. Wyobrażenia natychmiast podsunęła mi obraz obu Brightmanów wpadających z pluskiem do morza. Idący tuż za mną David chwycił mnie raptem za ramię.

– Miła przechadzka, co? – rzucił takim tonem, jakby czytał mi w myślach. – Na tej ścieżce lepiej byłoby mieć koło siebie przyjaciół, nie uważasz?

Harley tymczasem zatrzymał się nagle i zaczął nerwowo klepać się po kieszeniach.

– A niech to! Moje pigułki na niestrawność zostały w samochodzie. Czuję, że łapie mnie zgaga – wyjaśnił z bolesnym grymasem. – To ten lunch...

Po krótkiej naradzie z Davidem postanowił zawrócić. Sądząc po szybkości, z jaką się oddalił, sprawa musiała być pilna.

– No cóż, dziecinko, zostaliśmy sami – zakpił David, biorąc mnie za rękę. – Proponuję zrezygnować z tej latarni. Chodźmy obejrzeć kościół.

Niech mu będzie – mnie było wszystko jedno. Gdy jednak po kilku minutach znaleźliśmy się znów przy kościele, zdziwiłam się trochę, że zamiast skierować się do środka, prowadzi mnie w stronę ciągnącego się w pobliżu muru. Otworzył jakieś małe drzwiczki i zachęcił mnie gestem do wejścia. Zobaczyłam rzędy kamiennych nagrobków. Cmentarz. Poza nami nie było tu nikogo.

Nie miałam ochoty rozmawiać z Davidem, zaczęłam więc z udanym zainteresowaniem oglądać stare nagrobki. Umieszczone na wielu z nich zdjęcia – w Anglii nie ma takiego zwyczaju – sprawiały dziwne wrażenie; trochę to niesamowite *znaleźć* się raptem w otoczeniu samych nieboszczyków. Na niektórych płytach, tam gdzie spoczywali małżonkowie, widniały po dwie fotografie. Żony w przeważającej większości były znacznie starsze od mężów – musiały ich przeżyć o wiele lat. Gdy nagle przyszło mi na myśl, ile sama naprawdę mam lat, a potem wyobraziłam sobie fotografię Harriet tuż obok zdjęcia Harleya, po grzbiecie przeszły mi ciarki: co by powiedzieli ludzie, widząc taką parę? A jego

znajomi? Ci dopiero doznaliby szoku!

– O czym tak myślisz, siostrzyczko? – zabrzmiał mi nad uchem głos Davida. Znienacka objął mnie w pól.

Z irytacją trzepnęłam go po rękę.

– Puść mnie!

– Och, przestań udawać, Cindy! Wiesz równie dobrze jak ja, że nie jesteśmy sobie obojętni – mówiąc to, chwycił mnie mocniej i przyciągnął do siebie. – Skoro nie układa ci się z Harleyem, może spróbujesz teraz z następnym członkiem rodziny? Co ty na to?

– Idź do diabła, zboczeńcu! Puść, bo opowiem wszystko Harleyowi! – Zaczęłam mu się wrywać, niestety bez powodzenia, bo przyparł mnie do nagrobka. Kiedy wsadził mi łapę pod spódnicę, coś, co musiało być członkiem, tyle że nie rodziny, zaczęło gwałtownie rosnać.

– Uspokój się – wydyszał – wiem, że tego chcesz. Znam cię, jesteśmy z tej samej gliny. Pomyśl, jak wspaniałe byłby z nas duet. We dwójkę dokonilibyśmy wielkich rzeczy... O Harleya się nie martw, niczego się nie domyśli.

Rozejrzałam się za czymś, czym mogłabym zdzielić go w łeb, nic takiego jednak nie było pod ręką. Metody wypróbowanej na Chucku Woodcocku też nie byłam w stanie zastosować – jego nogi zbyt ściśle przylegały do moich. Zaczął się o mnie ocierać, sapiąc urywanym głosem:

– Och, Cindy... jakie cudowne masz ciało...

– Przestań w tej chwili – powiedziałam lodowatym szeptem – bo jak nie, Urząd Podatkowy dowie się o twoich konszachtach z Lapinette i o prywatnym koncercie na Kajmanach.

Odskoczył ode mnie – podziałało.

– Wygadujesz głupstwa! Mówiłem ci przecież, że to całkiem legalna transakcja.

– A ja ci powtarzam: zostaw mnie w spokoju. Jeszcze jedna taka napaść i złożę na ciebie donos. Harleyowi też powiem, jakiego to ma braciszka! Nie dość, że kradniesz jego pieniądze, to jeszcze chcesz mu uwieść żonę.

– Ty suko! – wycedził, zaciskając pięści. – Niczego mi nie udowodnisz. Myślisz, że ktoś ci uwierzy?

– Owszem, mam na to dowody.

– Jakie dowody?

Nie może wiedzieć, że ich nie mam, pomyślałam. Gdyby George był z nim w zмовie i dlatego skasował wiadomość, już by mu o tym powiedział...

– Poczekaj, to się przekonasz!

– Gówno prawda!

– A jeżeli się mylisz? Chcesz zaryzykować? Mogę ci obiecać, że dopóki będziesz trzymał łapy przy sobie, nie musisz się mnie obawiać. Nikt się niczego nie dowie.

– Pożałujesz tego! – warknął przez zęby.

– Daj spokój, braciszku – powiedziałam, biorąc go pod ramię. – Pora chyba poszukać Harleya, nie sądzisz?

Zaraz po kolacji David bez słowa wyszedł z domu i wszedł do kolejki.

– Dokąd on idzie? – spytałam Harleya z czystej ciekawości. Stał obok mnie przy drzwiach, masując sobie żołądek.

– Nie wiem – odrzekł z bolesną miną – czasami trudno go rozgryźć. Jest trochę nieprzewidywalny. – Czknął cicho i dodał z zakłopotaniem: – Po tym lunchu fatalnie się czuję... Muszę... uch... pójść do łazienki...

– Dobrze ci tak – mruknęłam, gdy zniknął w najbliższej wygodce. – Nie trzeba było opychać się ostrygami... – Kolejka z Davidem też już zniknęła mi z oczu, choć sądząc po cichym szumie maszynerii, musiała nadal być w ruchu. Wiedziałam, że jazda na dół trwa około czterech minut, łatwo więc było obliczyć, że teraz akurat pojazd pokonuje najgorszy odcinek zbrocza. Zaczęłam szukać przycisku „stop” na tablicy kontrolnej przy drzwiach. Nie było go tu niestety. Wielka szkoda. Chętnie bym zafundowała małą niespodziankę temu podłemu draniowi. Niechby sobie powisiał godzinkę czy dwie na tej pionowej ścianie. Spróbowałam pomaniulować przyciskami „dół” i „góra” w kilku rozmaitych kombinacjach, nic się jednak nie stało – w dalszym ciągu słyszałam miarowy szmer maszynerii. Po chwili nad tablicą włączył się monitor kontrolny, przekazując obraz z działającej na dole kamery: klatka dotarła do celu. Mimo zapadającego zmierzchu widziałam wyraźnie sylwetkę Davida zmierzającego ku bramie.

Z nadzieją wlepiłam oczy w monitor: może uda mi się dostrzec cyfry kodu otwierającego te cholerne wrota – niestety, obraz był niezbyt wyraźny, David poza tym ustawił się w taki sposób, że zasłonił sobą klawiaturę. Musiał się domyślić, że go obserwuję, bo zerknął przedtem w obiektyw.

– Drań – syknęłam ze złością.

Z wygodki tymczasem dobiegły mnie dziwne, gulgocące dźwięki, zdecydowałam się zatem podejść do drzwi.

– Co z tobą, Harley? Źle się czujesz?

– To ty, Cindy? – szepnął wstydliwie. – Czy mogłabyś... hm... przynieść mi



rolkę...

– Papieru toaletowego?

– Ciszej!! – Chyba zapomniał, że jesteśmy sami. Czwooro służby udało się już do domu, a Giorgio pojechał coś załatwić. – Tak, bardzo proszę – bąknął z zakłopotaniem. – Wiedziałem, że nie powinienem jeść tych ostryg... Musiały być nieświeże...

– Poczekaj chwilkę – powiedziałam litościwie – zaraz ci przyniosę.

Papier toaletowy... Zgodnie z logiką należało go szukać w jakimś schowku. Coś takiego znajdowało się chyba obok kuchni. W przyległym do niej małym korytarzu widziałam drzwi prowadzące do dwóch pomieszczeń, których nie zdążyłam dotąd spenetrować.

Pierwsze okazało się spiżarnią; z wielkich haków w suficie zwisały parmeńskie szynki, a na ustawionych pod ścianami półkach piętrzył się cały asortyment produktów żywnościowych i wszelkiego rodzaju przypraw, napełniając powietrze słodkawą, lekko stęchłą wonią.

W tym drugim pomieszczeniu zwykle przesiadywał Giorgio... Ciekawe, co on tam robi...? Widząc, że drzwi są uchylone, postanowiłam skorzystać z okazji...

W małym pokoiku, gdzie za całe umeblowanie służyły krzesło i biurko, zobaczyłam długą konsolę z mnóstwem przycisków, przełączników i monitorów. Nietrudno było odgadnąć, co to takiego: centrum zdalnego sterowania całym systemem elektronicznych zamków i innych urządzeń działających w tej posiadłości. Mogłam się teraz dowiedzieć, jak się otwiera bramę!

Poczułam się prawie jak dziewczyna Bonda, której udało się wśliznąć do jaskini wroga. Cała różnica polegała na tym, że taka postać zawsze skądś wiedziała, co i ile razy trzeba wcisnąć, by wyprawić wroga w zaświaty za pomocą jego własnej technologii, ja natomiast nie miałam bladego pojęcia, który to może być guzik. Spróbowałam na chybił trafił, co nie dało żadnych rezultatów. Wtedy dopiero wpadła mi w oko klawiatura numeryczna w samym rogu konsoli, a obok niewielki ekran z napisem: „Podaj kod użytkownika”.

Do diabła! Bez kodu nie da się nawet włączyć tej aparatury! A szczęście było tak blisko... Istniała jeszcze możliwość, że Giorgjo albo ktoś inny zapisał sobie ten numer. Może leży w którejś z tych szuflad... Biurko miało ich trzy.

W górnej znalazłam same śmieci – pióra bez zakrętek, bandaże elastyczne, ogarki świec, stare baterie, pękniętą rolkę po taśmie klejącej, czyli wszystko to, co gromadzi się po pewnym czasie w każdym najporządniej nawet prowadzonym domu. Było też kilka skrawków papieru zagryzmołonych po włosku, nic z tego

jednak nie przypominało kodu.

Następna szuflada zawierała bogatą kolekcję pism pornograficznych, przykrytych dla niepoznaki starą lokalną gazetą. Więc tak się zabawia Giorgio podczas nocy spędzanych w domu!

Dolna stawiała opór – jakby długo nikt jej nie otwierał. Znalazłam tu drugą stertę zakurzonych pornosów, pod którymi leżało coś miękkiego w plastikowym worku. Co to może być? Odpięłam zaciski i ciekawie zerknęłam do środka: była tam damska peruka z blond włosów w odcieniu bardzo podobnym do moich. Sięgnęłam do worka, by obejrzeć to trochę dziwne znalezisko i och! momentalnie wypuściłam je z ręki. Włosy połączone były z czymś wiotkim, cielistym, podobnym do ludzkiej skóry!

Makabryczna wizja ludzkich szczątków rozsianych po całym domu wprowadziła mnie w ślepią panikę, po chwili jednak wzięłam się w garść: spokojnie, tutaj morderca mógłby łatwo pozbyć się zwłok... Gdy na tyle nabrałam odwagi, aby zerknąć na swe znalezisko, zobaczyłam, że to tylko wielka gumowa lalka, z której spuszczone powietrze. Rozłożywszy na podłodze tę smętną karykaturę kobiety, pokiwałam głową nad zadziwiającą zaiste wspólnotą męskich gustów w tym, co dotyczy wyglądu i proporcji kobiecego ciała. „Odrobiono” je nadzwyczaj realistycznie, poczynając od włosów, kończąc zaś na... mniejsza o to. Pewnych partii nie badałam zbyt dokładnie – mogły być niedawno używane.

I wtedy znienacka zaświtał mi pewien pomysł. Zapominając o bramie, wpakowałam lalkę do worka i zaniósłam do swego pokoju, gdzie starannie ukryłam ją w szafie. Czułam, że owa szczególna zabawka może stać się ważnym elementem moich planów...

Zamyśliłam się nad tym tak głęboko, że dopiero po dłuższej chwili dotarł do mnie płaczliwy głos z dołu. Harley! Przypomniałam sobie nagle, że ciągle czeka na papier.

Następnego ranka oświadczył, że czuje się całkiem dobrze i że we trójkę z Davidem jedziemy do Portofino zobaczyć, co robi ekipa filmowa, która jest już na miejscu i powinna instalować sprzęt.

– Mam okropną migrenę – jęknęłam. – Nie mogłabym dziś zostać w domu?

– Och nie, kochanie – odrzekł, przeciągając palcami po włosach i zerkając chyłkiem na zegarek. – Musisz z nami jechać. Czeka cię tam miła niespodzianka.

– A cóż to takiego? – Nie miałam ochoty na żadne niespodzianki, chyba że byłby to bilet do Anglii, poparty gwarancją, że nikt nie będzie mnie ścigał.

– Zobaczysz – uśmiechnął się tajemniczo. – Jedno ci mogę powiedzieć: na

pewno cię to ucieszy. Liczę, że wkrótce będziesz znów taka jak dawniej.

Zza domu tymczasem wyłonił się David w towarzystwie Giorgia i obrzuciwszy mnie brzydkim spojrzeniem, otworzył drzwi do kolejki.

– Wsiadaj, ty głupia dziwko – syknął mi do ucha. Giorgio też łypnął na mnie spode łba, po czym coś mruknął po włosku. Czyżby zauważył brak swej przytulanki? Odpowiedzi Davida nie słyszałam, bo Harley w tej samej chwili znacząco trącił mnie łokciem.

– Idę o zakład, że wiem, o czym mówią – wyszeptał, parszcząc śmiechem. – Giorgio zorganizował Davidowi randkę, to znaczy naraił mu jakąś dziewczynę, i chce się dowiedzieć, jak poszło.

– Pewnie ją przeleciał – mruknęłam na widok obscenicznego gestu, jakim braciszek Harleya zakończył rozmowę z Giorgiem. Współczułam temu biednemu stworzeniu, kimkolwiek było. Po wczorajszych doświadczeniach na cmentarzu mogłam sobie łatwo wyobrazić, jak wyglądała ta randka.

– Chciałbym, żeby David ustatkował się wreszcie – westchnął Harley. – Powinien znaleźć sobie żonę i skończyć z tymi babami. – Ha, nie był zadowolony z poczynań młodszego braciszka.

Nie zamierzałam jednak podejmować tego tematu – zajęta byłam czym innym. Chciałam raz jeszcze sprawdzić, w jakim czasie kolejka pokonuje zbież. Sekundnik mojego zegarka odmierzył równe cztery minuty, co oznaczało, że od startu klatki musi minąć co najmniej osiem minut, zanim pojazd wróci na górę. W ciągu ośmiu minut wiele się może wydarzyć. Teraz potrzebne mi było już tylko hasło dostępu do tej piekielnej konsoli.

Wyglądało na to, że ekipa filmowa pracuje na pełnych obrotach. Spory fragment nabrzeża ogrodzono linami; stało tam teraz mnóstwo furgonetek i przyczep mieszkalnych, z których wyładowywano sprzęt. Dookoła tłoczyli się turyści, gorliwie fotografując człowieka z megafonem upraszającego ich w kilku językach, żeby zechcieli się cofnąć. Nikt rzecz jasna się tym nie przejmował.

Kiedy po dłuższych zmaganiach przepchnęliśmy się do środka, obu Brightmanów obiegało natychmiast kilkunastu ludzi; każda grupa specjalistów miała sprawę niecierpiącą zwłoki i każda była równie ważna. David od razu poczuł się szefem. Przechodząc od grupy do grupy z telefonem w ręku, zaczął z miejsca wydawać rozkazy zgromadzonym ludziom i niewidocznym rozmówcom. Harley niezdecydowanie stał z boku, trzymając mnie mocno za rękę, wyczuwałam jednak, że jest w rozterce: chciałby wkroczyć do akcji, a nie wie, co zrobić ze mną.

– Mógłbym na parę minut pozostawić cię samą? – spytał niespokojnie. –

Muszę porozmawiać z producentem.

Kiedy zapewniłam go, że oczywiście, posadził mnie przy stoliku poza linami, a sam z pośpiechem przyłączył się do Davida.

Było mi to bardzo na rękę, a jednak jakaś częśćka mojego jestestwa poczuła się dotknięta, że nie zgotowano mi tu żadnej owacji. Ośrodkiem ogólnego zainteresowania stali się dwaj Brightmanowie, a przecież to ja mam być gwiazdą! Zgromiwszy się w duchu za próżność, zaczęłam rozważać szanse ucieczki: a gdyby, korzystając z chwili zamieszania, niepostrzeżenie wśliznąć się w tłum? Odpada, daleko bym nie uciekła. Nadal mi nie ufają. Trzeba trochę poczekać – niech uwierzą, że przestałam myśleć o ucieczce. Z braku lepszego zajęcia oddałam się obserwacji bezładnej krzątanimy na planie: co właściwie robią ci ludzie? Kiedy wreszcie zacznie się coś dziać?

Chyba nieprędko, uznałam po chwili. Cały ten ruch i harmider sprawiały wrażenie beznadziejnego chaosu. Jacyś ludzie z plakietkami w klapach wciąż tylko biegali jak szaleni, przepędzając znudzonych techników z miejsca na miejsce, kamerę raz montowano tu, potem znów gdzie indziej, i tak w kółko. Podczas każdej z tych operacji pracowało najwyżej dwóch ludzi, reszta stała obok z założonymi rękami.

Zdążyłam dojść właśnie do wniosku, że zdjęć dziś chyba nie będzie, gdy na plac wjechała taksówka i zaczęła mozolnie przepychać się przez ludzką ciżbę. Tłum zafalował w oczekiwaniu nowej atrakcji.

– Hej, Cindy! – Rozpromieniony Harley sadził ku mnie wielkimi susami. – Pamiętasz, mówiłem ci o niespodziance! Oto i ona! – Chwycił mnie za rękę i pociągnął w stronę taksówki. – Pomyślałem, że może ci być trochę nudno, kiedy my z Davidem zajmujemy się pracą, sprowadziłem więc kogoś! Będiesz teraz miała towarzystwo!

– Niespodzianka! – ćwierknął znany głos. Z taksówki wyłoniła się Trish obładowana jak wielbłąd pękatymi torbami. Wykupiła chyba pół sklepu wolnoćowego. Ślizgając się niebezpiecznie po nierównym bruku na swych wysokich obcasach, ruszyła mi na spotkanie.

– O, Cin, idę o zakład, żeś się mnie tu nie spodziewała! – pisnęła, dusząc mnie w uścisku jak utraconą kochankę.

Odwzajemniłam jej uścisk raczej bez entuzjazmu.

– Witaj, Trish. – Mocno pachniała dżinem.

– O rany! – Oczy jej zabłysły, gdy rozejrzała się po otoczeniu. – Przecież to plan filmowy! Jest tu ktoś sławny? Poza tobą oczywiście?

Zaciągnęłam ją do stolika i zaczęłam tłumaczyć, że to tylko reklamówka, ale Trish oczywiście nie słuchała, co się do niej mówi. Jak zwykle. Przysłoniwszy ręką oczy, zaczęła przyglądać się ludziom na planie.

– Co to za facet, ten z telefonem? – spytała z nagłym ożywieniem. – Jest trochę podobny do Richarda Gere’a.

– To brat Harleya, David, ale Trish... Na twoim miejscu trzymałabym się od niego z daleka. Wierz mi, to bardzo niemiły typ.

– Oj, przestań! I nie bądź taka zachłanna! Chcesz połknąć dwa takie smakowite kaski? To nie fair!

– Tylko mi potem nie mów, że cię nie ostrzegłam.

– Och, Cin, dlaczego ty jesteś wciąż taka skwaśniała?

– parsknęła Trish z rozdrażnieniem. – Nic, tylko narzekasz. A teraz ja ci coś powiem: nie chcę słyszeć złego słowa o Harleyu. Nie po tym wszystkim, co dla mnie zrobił.

– Twarz jej przybrała dziwnie marzycielski wyraz.

– To znaczy? Cóż takiego zrobił?

– Wszystko, co trzeba – westchnęła. – Zafundował mi urlop, do tego lot pierwszą klasą plus kieszonkowe. To całkiem jak wygrana na loterii.

– Hm... słuchaj, Trish... jak długo zamierzasz tu zostać?

– Właśnie ci to miałam powiedzieć! – odrzekła radośnie. – Ten twój Harley to naprawdę przyzwoity facet. Wyobraź sobie, że mogę tu siedzieć, jak długo mi się spodoba.

Do diabła! Nie posądzałam go o tyle sprytu. Nikt lepiej od Trish nie potrafiłby mnie pilnować. Okazała się w tej roli skuteczniejsza niż dziesięciu wynajętych zbirów. Łaziła za mną krok w krok, a jej nieustanna paplanina nie pozwalała mi nawet zebrać myśli. Jak w tych warunkach układać plany ucieczki? Dzień włókł się niemiłosiernie; z każdą chwilą bardziej przypominał koszmar, z którego nie sposób się wyrwać.

Przez kilka godzin włóczyła mnie po sklepach, wyrzucając swoje „kieszonkowe” na same tandetne błyskotki. Po spenetrowaniu kilku sklepów następowała przerwa i powrót na plan – Trish musiała sprawdzić, czy nie pojawili się tam nowi ludzie. Nie wiadomo czemu uczepliła się myśli, że przyjedzie tu Richard Gere, i w żaden rozsądny sposób nie można było wybić jej tego z głowy.

Kiedy zabrakło już sklepów, zaczęły się restauracje. Po kilku drinkach spróbowałam jej wyjaśnić swoje położenie.

– Posłuchaj, Trish, zarzucasz mi, że jestem niezadowolona; to prawda, ale

mam powody. Chcę odejść od Harleya, a on mnie nie puszcza. Jestem tu więźniem!

– Więźniem? – Jej ręka z łyżką bitej śmietany zawisała w połowie drogi do ust.

– Pomożesz mi, Trish? – spytałam błagalnie. – Pomożesz mi uciec?

– Zwariowałaś? – powiedziała ze zgrozą. – Chcesz uciec od tego wszystkiego? – Zatoczyła łyżką wielki krąg, ochlapując śmietaną siedzących w pobliżu ludzi. – Masz wszystko, czego dusza zapagnie, a Harley to przecież fantastyczny gość! – Powoli pokręciła głową z wyrazem niedowierzania i skrajnej dezaprobaty. – Powiem ci, na czym polega twój problem: ty po prostu nie wiesz, czego chcesz.

– Nie jestem szczęśliwa, zrozum...

– Teraz ty mnie posłuchaj, Cindy. Nie jesteś sobą, tak, moja droga. Potrzebujesz przyjaciółki, która wie bez pudła, co jest dla ciebie najlepsze. Będę odtąd mieć na ciebie oko, rozumiesz? Nie pozwolę ci robić głupstw, których później byś żałowała. Ktoś musi cię bronić przed samą sobą.

– Ale ja...

– Wiem, co sobie myślisz – weszła mi w słowo, przełknąwszy hałaśliwie kolejną łyżkę śmietany. – Uważasz, że cię nie rozumiem, że jestem zbyt twarda, ale jeszcze mi za to podziękujesz. Nie chcę słyszeć więcej tych bzdur! Jestem na urlopie i zamierzam się dobrze zabawić!

Wkrótce się przekonałam, jak w jej pojęciu wygląda dobra zabawa. Przy kolacji, do której przebrała się w suknię naszywaną cekinami, wypila niebezpieczną ilość wina, skandalicznie kokietując przy tym Davida, który spoglądał na nią z coraz to większym niesmakiem. Zaraz po deserze wstał od stołu, przepaszając, że nie może dotrzymać nam towarzystwa, i czym prędzej pojechał na dół.

– Wróci – poinformowała mnie Trish głośnym szeptem. – Znam ten gatunek mężczyzn. Udają, że im nie zależy, a w środku każdy aż piszczy, taką ma na to ochotę. Dobrze widziałam, jak na mnie patrzy!

– Uważaj – ostrzegłam ją cicho – możesz dostać więcej, niż byś chciała.

– No to co robimy, moje panie? – jowialnie zawołał Harley. – Ale mi się trafiło! Mam dla siebie dwie wspaniałe damy!

Skończyło się na oglądaniu filmu. Właściciel domu dysponował bogatą wideoteką, ale Harley uparł się na „Pretty Woman”.

– Jakaż to romantyczna historia! – rozmarzyła się Trish. – Żeby to mnie przydarzyło się coś takiego!

– Nigdy nie wiadomo, kiedy los się do nas uśmiechnie – zauważył Harley,

dyskretnie ocierając łzę, która kapnęła mu z oka. – Może kiedyś spotka to i ciebie.

– O, gdyby pojawił się tu Richard Gere, już ja bym się postarała, żeby mnie zauważył – mruknęła z tęskną zadumą. – Gdybym miała na sobie tę nową różową sukienkę, na pewno bym wpadła mu w oko...

– Robi się późno, kochanie – stwierdził Harley, zerknąwszy na zegarek. – Może by pójść już do łóżka?

Trish, która tymczasem zaczęła grzebać w pudłach z kasetami, puściła to mimo uszu.

– Nie widzę tu innych filmów z Richardem Gere’em – oznajmiła z niezadowoleniem – ale jest jeszcze jeden z Julią Roberts. Pewnie też o miłości. – Podniósłszy kasetę do oczu, obejrzała ją z obu stron, jakby te szczegółowe oględziny mogły jej ujawnić treść filmu.

– Cindy? – Harley podniósł się z sofy. Spojrzenie, którym mnie obrzucił, mówiło wyraźnie, jakie myśli chodzą mu po głowie. No tak, „Pretty Woman”. Nic z tego, panie Brightman, nie będzie namiętnych pojednań ani dziś, ani nigdy.

– Przyjdę do ciebie później – powiedziałam z miną niewiniątka. – Trish chce obejrzeć jeszcze jeden film, więc dotrzymam jej towarzystwa.

Zaśmiałam się w duchu, widząc jego rozczarowanie.

– Mógłbym zamienić z tobą słówko? – zwrócił się do Trish. – Musimy omówić parę szczegółów, gdzie będziesz spała i tak dalej...

Poszeptali trochę między sobą, po czym wyszli oboje z pokoju. Trish wróciła po kilku minutach, dzierżąc w garści butelkę stregi, popularnego włoskiego likieru.

– Patrz, co znalazłam w kuchni! – oznajmiła z triumfem. Napełniwszy po brzegi nasze puste kieliszki po winie, wcisnęła do odtwarzacza kasetę z Julią Roberts i z głośnym westchnieniem opadła na sofę. – Całkiem jak za dawnych czasów, co, Cindy? Tylko ty i ja. Wypijmy za przyjaźń zadecydowała, pociągając potężny haust jadowicie żółtego trunku.

– Co ci powiedział Harley?

– Faj! A cóż to za świństwo! Pachnie jak pierdniecie skunksa!

– Co on ci powiedział, Trish, kiedy z nim wyszłaś z pokoju?

Wytarła usta wierzchem dłoni i ostrożnie wypła znów łyżeczek.

– Och, nic wielkiego... Powiedział tylko, żeby na noc zamykać drzwi – odrzekła wymijająco. Szybkim ruchem włączyła telewizor, pragnąc najwidoczniej zakończyć kłopotliwy temat.

– Ach tak! Kazał ci mnie pilnować, żebym mu przypadkiem nie uciekła? Ile ci

za to płaci?

– Oj, Cin, nie zaczynaj znów od początku. Myślałam, że obejrzymy sobie fajny film, a ty...

Wyrwałam jej z ręki pilota i zgasłam telewizor.

– Co ja? Masz mnie zamknąć w pokoju, tak? Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką!

Obróciła się do mnie, mrugając niepewnie oczami.

– Oczywiście że jestem... a to zamykanie... to dla twojego dobra. Chcę ci pomóc, po to tu jestem.

– W czym chcesz mi pomóc?

– Żebyś wyzdrowiała.

– Wyzdrowiała? Nic mi nie dolega.

– O rany, Cin, miałam udawać, że nic nie wiem, ale... ale Harley powiedział mi wszystko. No wiesz... o twojej chorobie. Że zachowujesz się po wariacku i mówisz straszne rzeczy, chociaż tak wcale nie myślisz... – Ze smutkiem pokiwała głową. – Według mnie to się zaczęło już wcześniej, zanim jeszcze poznałaś Harleya. Wszystko przez ten wypadek.

Opróżniła pękaty kielich i nalała znów sobie do pełna.

– Wiesz, to się często zdarza, słyszałam o takich rzeczach. Ludzie po urazie głowy wychodzą ze szpitala niby całkiem zdrowi i nagle puszczają im śrubki. Łapią uzi, lecą do McDonalda i kładą trupem kilkadziesiąt osób albo idą sobie ulicą i raptem padają martwi.

Patrzyłam na nią w milczeniu, bo co miałam mówić?

– Daj spokój, Cin – westchnęła. – Uśmiechnij się, bo wyglądasz, jakby kot ci naszczał na ścieżkę. Jak skończysz z tym wariactwem, to nikt cię nie będzie zamykał. Będziemy sobie balować, zamiast siedzieć kołkiem w tym domu. Jak myślisz, kiedy wróci David?

Z czystej desperacji włączyłam wideo. Film nosił tytuł „Sypiając z wrogiem” i jak na ironię okazał się opowieścią o kobiecie, która chce uciec od męża. Trish już po paru minutach zaczęła krytykować bohaterkę.

– Nie rozumiem, o co jej chodzi. Dlaczego po prostu nie rzuci tego typu?

– Może nie chce jej puścić. – Coraz bardziej intrygował mnie ten film.

– O, popatrz, on ją leje! – pisnęła po chwili Trish. – A Harley? – spytała ciekawie. – Czy on cię kiedyś uderzył?

Pokręciłam głową przecząco, błagając ją w duchu, żeby zamilkła. Akurat.

– Dlaczego ona to znosi? Na jej miejscu już dawno wezwałabym gliny. Spójrz,



co to za dom, jaki wielki i jak urządzony! Po rozwodzie połowa byłaby jej. Na co ona liczy?

Zdążyłam się już zorientować, że bohaterka filmu musiała sobie wymyślić jakiś sprytny scenariusz ucieczki od męża, czekałam więc z zapartym tchem na konkrety.

– I w co ta głupia się bawi? W życiu nie widziałam tak durnego filmu! – wykrzyknęła rozdrażniona Trish. Porwała pilota, zmieniła kanał i zaczęła oglądać jakiś włoski zespół popowy.

– Hej, Trish, ja chcę zobaczyć ten film! Ignorując kompletnie mój okrzyk, dołała sobie stregi.

– Jak się człowiek przyzwyczai, to nie jest to nawet takie złe – stwierdziła trochę bełkotliwie, stukając nogą w takt muzyki. – Wielka szkoda, że musimy tu siedzieć. Chętnie poszłabym w miasto.

– W tym stanie daleko byś nie zaszła.

– Co ty gadasz? – Oczy też jej zmętniały. – Wcale nie jestem pijana.

Zacisnęłam zęby – jakoś to wytrzymam. Przez następne trzydzieści minut cierpliwie słuchałam jej bezmyślnej paplaniny i tej okropnej muzyki. Język coraz bardziej jej się plątał i nagle, co za ulga, nareszcie zapadła cisza. Zasnęła.

Niełatwo było wyłuskać pilota z jej kurczowo zaciśniętych palców – na szczęście spała twardo. Mogłam teraz spokojnie zobaczyć, jaką sztuczkę wymyśliła bohaterka. Wyjęłam potem kasetę i schowałam do torebki – wolałam, żeby nikt z domowników nie oglądał teraz tego filmu. Nasunął mi pewien pomysł...

Kiedy miałam już wyjść z pokoju, Trish nagle ożyła.

– Hej, Cin, gdzie idziesz? Noc jeszcze młoda... Pójdziemy poszaleć?... – Macając ręką na oślep, odnalazła butelkę i paroma łykami wychłęptała resztę likieru.

– Dobranoc, Trish.

Odpowiedzi nie było. Już znowu spała; z kącika półotwartych ust ciekła jej strużka jasnożółtej śliny. Po chwili zaczęła chrapać. Możesz spać, pomyślałam, dziś jeszcze wam nie ucieknę.

## ROZDZIAŁ 18

Długo leżałam z otwartymi oczami, analizując pomysł bohaterki filmu. Sama idea była dobra – diabeł jak zwykle tkwił w szczegółach. Dokonawszy kilku innowacji, zasnęłam zadowolona: powinno się udać. Następnego ranka wcześniej zerwałam się z łóżka i od razu poszłam do salonu zobaczyć, jak się ma Trish.

Zastałam ją na sofie, w tej samej mniej więcej pozycji, w jakiej ją zostawiłam. Nie był to ładny widok. Na twarzy miała smugi od tuszu i szminki, a ubranie w takim nieładzie, jakby próbowała się rozebrać i nagle zasnęła. Cały pokój przesiąknięty był odorem alkoholu uchodzącego z niej wszystkimi porami skóry. Kiedy pochyliłam się nad nią, drgnęła gwałtownie, otworzyła oczy i szybko usiadła.

– Gdzie David? – Z przestachem spojrzała po sobie i widząc swoje gołe uda, zaczęła obciągać suknię.

– David? A cóż on cię obchodzi?

– Och, Cin – szepnęła, łapiąc mnie za ramię – nie masz pojęcia, co się wczoraj stało. Kiedy poszłaś spać, wrócił David i...

No tak. Zaczynałam rozumieć, czemu tak wygląda.

– Chcesz powiedzieć, że wy... to znaczy ty z nim...? Och, Trish!

– Nie bardzo pamiętam... – wyznała ze szczerym zmartwieniem. – Nie wiem, czy... ale zaraz, chwileczkę!

– Gorączkowym ruchem zaczęła obmacywać sofę.

– Czego tam szukasz?

– Musi tu gdzieś być... A może tutaj – mruknęła sięgnawszy pod suknię. – Aha, tu coś chyba jest... Tak!

Cofnęłam się z obrzydzeniem, gdy podniosła do góry zużytą prezerwatywę.

– No i co teraz powiesz? – uśmiechnęła się triumfalnie.

– Jednak go zaliczyłam. – Na chwilę popadła w zadumę, po czym spytała z nagłym podnieceniem: – Jak myślisz, czy David mógłby się ze mną ożenić? No wiesz, tak jak Harley z tobą?

Odpowiedź wyczytała pewnie z mojej twarzy.

– Dobra, nie musisz tak patrzeć – mruknęła posepnie.

– Tak tylko spytałam.

Poczułam, że od tych wyziewów zaczyna mi być niedobrze, wyszłam więc na taras, gdzie natychmiast natknęłam się na swego szwagra.

– Ty świnió! – zaatakowałam go z furią. – Jak mogłeś zrobić coś takiego!

Uśmiechnął się bezczelnie.

– Rzeczywiście nie było to łatwe. Musiałem cały czas wstrzymywać oddech, bo inaczej pewnie bym zemdlał. Ta dziwka wlała w siebie całą butelkę stregi!

– Ty wstrętny bydlaku! Wykorzystałeś pijaną kobietę.

– Sama się o to prosiła. Ma, czego chciała! Ciebie też to spotka, jak nie przestaniesz mieszać się w nie swoje sprawy.

– Musiałbyś najpierw mnie zabić – syknęłam ze śmiercią w oczach. – Tylko spróbuj mnie dotknąć...

– Co tu się dzieje? – Na tarasie pojawił się Harley.

– Ależ cudowny ranek – westchnął z zachwytem, mrużąc oczy przed słońcem.

– Wszyscy gotowi do wyjazdu? Zaczynamy dziś kręcić tła.

Trish miała na to wielką ochotę, lecz gdy tylko wyszła na powietrze, zrobiła się szarozielona i z jękiem opadła na leżak.

– O mój Boże, nie mogę, źle się czuję... – szepnęła, patrząc żalonym wzrokiem na Davida.

Jej nocny kowboj ostentacyjnie pokazał, że nic go to nie obchodzi: odwrócił się od niej i odszedł.

– Zostanę z tobą – powiedziałam litościwie. – Nie martw się, Trish, szybko ci to przejdzie, a kiedy poczujesz się lepiej, wyskoczmy sobie na zakupy. Zgadzasz się, kochanie? – zwróciłam się do Harleya. – Wiesz, że potrzebuję trochę nowych rzeczy. Gdybyś nam odesłał Giorgja, pojechałybyśmy po południu do Santa Margherita połączyć sobie po sklepach.

– Hm... sam nie wiem – bąknął z powątpiewaniem.

– Nie wiem, czy mogę zostawić cię samą...

– Nie bój się, najdroższy – szepnęłam czule. – Chcę ci pokazać, że można mi ufać. Przyrzekam, że nie ucieknę.

Widać było, że trudno mu podjąć decyzję. Zaczął spacerować po tarasie, kręcić głową i mierzwić sobie włosy, no ale w końcu się zgodził.

– Chyba rzeczywiście muszę ci zaufać – oznajmił po dłuższej chwili – zwłaszcza że faktycznie potrzebna ci nowa suknia. Jutro będziemy mieć gości. Miałem ci to właśnie powiedzieć.

– Przyjęcie? – Trish natychmiast przestała pojękiwać.

– Kto przyjdzie?

– Och, kilka osób z ekipy. To tylko skromna kolacja – odrzekł, obrzucając mnie czułym spojrzeniem. – Pomyślałem, kochanie, że dobrze ci zrobi trochę

towarzystwa. Może znowu zaczniesz się uśmiechać.

Kiedy obaj z Davidem wsiedli do kolejki, Trish pociągnęła mnie za rękaw:

– Hej, Cindy, a gdyby tak jutro pojawił się Richard Gere? Tylko mi nie mów, że to niemożliwe. Wszystko jest możliwe, trzeba tylko mocno w to wierzyć.

Poradziłam Trish odespać kaca, a sama wybrałam się na przechadzkę w bliższe i dalsze okolice domu; musiałam zweryfikować niektóre szczegóły mego planu.

Wszystkie koncepcje, które brałam dotąd pod uwagę, miały jedną podstawową słabość: brakowało mi pomysłu, gdzie po udanej ucieczce ukryć się przed Harleyem, i to tak, żeby mnie nie znalazł. Przy jego pieniądzach i wpływach wydawało się to wręcz niemożliwe. Prędzej czy później jego psy gończe wpadłyby na mój trop. Dzięki filmowi „Sypiając z wrogiem” udało mi się rozwiązać ten problem: dla Harleya muszę umrzeć – tylko wtedy nie będzie mnie szukał.

Bohaterka filmu, grana przez Julię Roberts, tak właśnie uciekła od męża sadysty, jednakże sposób, w jaki zaaranżowała swe rzekome zejście z tego świata, nie bardzo mi odpowiadał. Był zbyt niebezpieczny. Gdyby coś źle poszło, mogła naprawdę utonąć. Nie zamierzałam aż tak ryzykować, zwłaszcza że Cindy nie umiała pływać, a na naukę nie było już czasu. Wpadłam zresztą na lepszy pomysł. Musiałam jeszcze tylko obmyślić parę szczegółów, lecz generalnie rzecz biorąc, plan wydawał się niezawodny.

Giorgio zgodnie z umową pojawił się w porze lunchu i zawiózł nas do Santa Margherita. Tam zostawiłam Trish w jednym z luksusowych butików, pozwalając jej szaleć na mój koszt, sama zaś poszłam do miasta po całkiem inne sprawunki.

Z większością poszło mi łatwo: już po chwili znalazłam granatowe dzinsy i taki sam sweter, lekką torbę podróżną z długim paskiem, włóczkową czapkę typu pończocha i parę solidnych butów. Gorzej było z liną, gdyż w „rozmówkach” angielsko-włoskich nie uwzględniono tego artykułu. Gdy na migi próbowałam pokazać, o co chodzi, proponowano mi kłębki sznurka, szpulki bawełnianych nici, a nawet łańcuszki do spłuczek; kupiłam, co trzeba, dopiero w sklepie ze sprzętem żeglarskim, którego właściciel mówił na szczęście trochę po angielsku.

Po powrocie do butiku zastałam Trish w sukni a la Scarlett O’Hara. Właśnie podziwiała się w lustrze.

– Uważasz, że jest zbyt strojna jak na popołudnie?

– spytała, widząc moją minę. – Mnie się wydaje, że mogłabym pójść w niej na plan... Nie musiałabym się przebierać. To jak?

– Dziś nie idziemy na plan – oświadczyłam twardo.

– Na twoim miejscu zostawiłabym tę suknię na jutro.

– Ale Cin...

– Zdejmuj ją! – Widząc, że się ociąga, użyłam najcięższego argumentu: – Mogę jeszcze zmienić zdanie w sprawie korzystania z mojej karty... – Był to paskudny szantaż, ale nie miałam wyjścia.

Gdy nareszcie zniknęła w przebieralni, błyskawicznie przymierzyłam trzy suknie, wybrałam jedną i zadysponowałam po włosku, zerkając w „rozmówki”.

– *Due diquesti, per favore.*

– *Due?* – zdumiała się sprzedawczyni.

– *Si. Due.*

Wzruszyła ramionami, ale poszła na zaplecze, skąd przyniosła drugą identyczną suknię. Pakując je nieznośnie wolno, popatrywała na mnie jak na głupią: kto to widział kupować dwie takie same kiecki? Niecierpliwie czekałam, aż skończy, bębniąc palcami w kontuar: *prędey!* Jeśli Trish zobaczy te suknie, będę miała kłopot... Pojawiła się na szczęście dopiero w chwili, gdy ekspedientka wkładała pakunki do torby, lecz oczywiście nie omieszkała zapytać:

– Jak to? Kupiłaś dwie rzeczy? A ja mam tylko jedną!

– Ta druga to niespodzianka – powiedziałam tajemniczo, odpisując z karty kredytowej sporo aktywów Harleya.

– Poczekaj do jutra, to zobaczysz. – Do wieczora, dodałam w myślach.

Przez resztę dnia czas przeraźliwie mi się dłużył. Musiałam jeszcze zrobić to i owo, lecz gdy ukończyłam te zajęcia, pozostało mi już tylko czekanie. Kiedy Harley wrócił z Portofino i zobaczył, że mu nie uciekłam, ogarnęła go euforia. Jego radość była tak wielka, że nie tylko zabrał nas do restauracji, ale nawet zamówił alkohol, co w jego wypadku było bezprecedensową wręcz ekstrawagancją.

– Wiedziałem, kochanie, że zmiana otoczenia dobrze ci zrobi – oznajmił radośnie, podnosząc kieliszek z tanim musującym winem, na które namówił go sprytny kelner, twierdząc, że to specjalny niskokaloryczny szampan. – Zaczynamy pokonywać nasze problemy, prawda?

Kiwnęłam głową, ha, zmusiłam się nawet do uśmiechu. Siedząca naprzeciw Trish, ubrana w nową suknię a la Scarlett, spojrzała na mnie tak groźnie, że nie mogłam zrobić nic innego. Wyjeżdżając z domu, była w świetnym nastroju, który jednak skończył się z chwilą, gdy David przed wejściem do lokalu wymówił się od udziału we wspólnej kolacji, wsiadł do samochodu i odjechał gdzieś z Giorgiem. Miała teraz minę jak świeżo owdowiała cesarzowa.

– No to bawmy się, moje panie – mrugnął do niej Harley. – Wznoszę toast za dwie wspaniałe damy mego serca.

Ciesz się, póki możesz, pomyślałam cierpko z ustami pełnymi równie cierpkiego trunku. Jutro wieczorem pozostanie ci już tylko jedna. Byłam pewna, że w nocy złoży mi wizytę, i tak też się stało.

– Wejź – powiedziałam zbolalym głosem, kiedy zapukał do drzwi.

Uchylił je bardzo ostrożnie i niepewnie wsunął się do środka. Miał na sobie jedynie swój jasnobłękitny szlafrok.

– Cindy... – wyszeptał, zbliżając się z wolna do łóżka – pomyślałem, że teraz... gdy lepiej nam się układa...

– Urwał i po chwili wyrzucił z siebie z widoczną determinacją: – Czy ty mnie jeszcze kochasz?

Tego w żaden sposób nie umiałabym udać, zwłaszcza teraz, na dzień przed ucieczką. Wymagałoby to sporo aktorskiego kunsztu, a ja aż taką aktorką nie byłam. Przygotowałam sobie jednak małą scenkę: chwyciłam się za żołądek i wydałam z siebie głuchy jęk.

– Nie czuję się dobrze... – sapnęłam, zwijając się w kłębek z udanego bólu. – To ta dzisiejsza kolacja... Jedzenie musiało być chyba nieświeże...

– Och, kochanie! – Podbiegł do łóżka i wziął mnie za rękę. – Wezwać lekarza?

– Nie trzeba, myślę, że mi to przejdzie... Organizm sam się oczyści. Jutro powinnam być zdrowa. – Czknęłam głośno, udając, że zbiera mi się na torsje.

Czym prędzej odskoczył od łóżka.

– Przynieść ci miednicę?

– Nie fatyguj się, kochanie, w razie czego pójdę do łazienki – odrzekłam z płochliwym uśmiechem. – Teraz widzę, że miałeś rację, ostrzegając mnie przed jedzeniem w tych wymyślnych zagranicznych knajpach. Wciąż mi to powtarzałeś, a ja nie chciałam cię słuchać, uważając, że chyba przesadzasz.

– Sam powinienem był o tym pamiętać – powiedział z głęboką skruchą. – Jak mogłem być tak nieostrożny!

– Nie martw się, skarbie – uśmiechnęłam się słodko – do jutra na pewno mi przejdzie. Proszę cię o jeszcze trochę cierpliwości. Jutro po przyjęciu zrobię wszystko, aby ci udowodnić, że nie przestałam cię kochać.

Udało mi się w końcu go spławić, długo jednak nie mogłam zasnąć. Zaczęły mnie ogarniać wątpliwości: czy aby na pewno postępuję słusznie? A jeśli coś się stanie i mój plan weźmie w łeb? Jeszcze gorsza była inna wątpliwość: jeśli nawet powiedzie mi się ta ucieczka, czy naprawdę potrafię żyć sama?

Jest przecież tylu ludzi nieszczęśliwych w małżeństwie... Może taka jest reguła... może tak po prostu musi być... Mnie w dodatku nie dzieje się krzywda. Ktoś taki jak Trish dałby odciąć sobie prawą rękę, żeby znaleźć się na moim miejscu... Może powinnam pogodzić się z sytuacją i zostać z Harleyem? Korzystać z jego fortuny i wpływów? Czy to nie bezczelność wyobrazić sobie, że należy mi się coś więcej?

Ha, ale wszystkie romantyczne powieści, którymi karmiłam się przez całe życie, kończyły się zawsze szczęśliwym małżeństwem, a ja mimo swych lat i doświadczeń ciągle naiwnie wierzyłam, że gdzieś na świecie żyje ten jedyny, moja wielka prawdziwa miłość. Żyje i czeka na mnie. W moim poprzednim wcieleniu takim mężczyzną był Andrew. Och, lepiej o tym nie myśleć – zaprzepaściłam tę szansę. Czy jako Cindy potrafię odnaleźć swe szczęście?

A jeśli wraz ze śmiercią prawdziwej Cindy przestała też istnieć jej „druga połowa”? Czy będę umiała żyć w pojedynkę? Też pytanie! Zachnęłam się sama na sobie. Tylu jest ludzi samotnych i jakoś żyją. Ale ty, odezwało się coś we mnie, nie jesteś zwyczajną osobą – nie każdy sprzedaje duszę diabłu. Do licha! Tak pochłonęły mnie plany ucieczki, że zupełnie o tym zapomniałam. A Mefisto słucha teraz pewnie moich myśli i zaciera ręce z uciechy... Zrozumiałam w tym momencie, że uciec od Harleya to jeszcze nie wszystko, że jeśli chcę znaleźć prawdziwe szczęście, muszę pozbyć się również Mefista. Jakoś mu się wywinąć... Ha, tylko jak?

Im bliżej było wieczoru, tym większe ogarniało mnie zdenerwowanie. Byłam prawie pewna, że lada chwila pojawi się Mefisto i uniemożliwi mi ucieczkę.

Ubrałam się grubo przed czasem w jedną z dwóch identycznych sukien i kiedy skończyłam makijaż – poprawiając go kilka razy, ale jak długo można? – nie pozostało mi już nic do roboty. Aby się oderwać od złowróżbnych myśli, postanowiłam zajrzeć do Trish.

– Cóż to cię dzisiaj tak nosi? – spytała podejrzliwie, gdy pomogłam jej wbić się w suknię. Dziś także uznała za stosowne zrobić się na Scarlett. – Czyżby miał się tu zjawić ktoś sławny? Może zapomniałaś mi o tym powiedzieć? Jesteś pewna, że nie?

Pierwszy przybył Bill Bellman, angielski producent reklamówki, ze swą żoną Beryl. Miał twarz łasicy, na głowie modnego jeża i akcent jak Michael Caine.

– Ładnie sobie mieszkasz, Harl – zauważył, wysiadając z kolejki. Zatarł ręce, rozejrzał się dookoła, po czym zwrócił się do mnie z pełnym uznania uśmiechem: – Ogromnie się cieszę, że wreszcie mam zaszczyt poznać słynną twarz Lapinique!

– Uścisknąwszy mi rękę, przetrzymał ją w swojej trochę dłużej, niż wypadało. – Twoja fotografia nie kłamie, moja droga. Wyglądasz równie uroczo jak na zdjęciu.

– Bill, czy to już? – Z kolejki niepewnie wyjrzała jego żona. – Od tej jazdy dostałam gęziej skórki. Powiedz mi, mam wysiąść? Czy to na pewno bezpieczne?

– Przestań, Beryl, nie bądź głupią krową – roześmiał się jej mąż, niechętnie wypuszczając ją rękę z uścisku. Wziął lampkę szampana z tacy podsunętej mu przez Giorgia i mrugnawszy do mnie ironicznie, rzucił do stojącego obok Davida: – Ona tak zawsze. Trzeba ją było widzieć na wyciągu w Gstaad!

– Ja w tym roku byłem w Sankt Moritz – odrzekł David i natychmiast zaczął się przechwalać, jakie pozawierał znajomości. Sami ludzie z pierwszych stron gazet! Pani Bellman wciąż bała się wysiąść, co widząc Harley poczuł się zobowiązany ruszyć jej z pomocą.

– A niech mnie! – sapnęła, chwytając jego wyciągniętą rękę. – Czuję się jak w filmie o przygodach Bonda!

– Wstrząśnięta, ale nie zmieszana, co? – parsknął rubasznie jej mąż.

Trish zachichotała nerwowo.

– Przecież wiesz, że nie lubię wysokości. – Beryl wyjęła puderniczkę, poprawiła nieskazitelną fryzurę i z pewnym niepokojem przyjrzała się swemu odbiciu. Pierścionki miała chyba na wszystkich palcach. Dopiero teraz spostrzegła Trish i na widok jej sukni wydała płaczliwy okrzyk: – O mój Boże! Znow się źle ubrałam! Czemu mi nie powiedziałeś, że idziemy na bal kostiumowy?

Donośny brzęczyk zapowiedział przybycie kolejnych gości; David mruknął coś do interkomu i posłał wagonik na dół.

– To pewnie Richard – stwierdził Bill. Wręczył żonie kieliszek szampana i wziął sobie drugi. – Wydawało mi się, żeśmy go minęli za przedostatnim zakrętem.

– Słyszałaś? – szepnęła Trish. – To może być on. Nigdy nie wiadomo...

Ku wielkiemu jej rozczerowaniu Richard okazał się drobnym łysiejącym człowieczkiem w ciemnych okularach i czarnej skórzanej marynarce.

– Witajcie, kochani! – zaśpiewał falsetem, po czym wszystkich po kolei panów wycałował w oba policzki. – Co za podróż! Fantastyczna ta wasza kolejka! Wprost uwielbiam takie urządzenia! Poczulem się zupełnie jak...

– James Bond – wtrącili unisono Bill, Harley i Trish.

– Chciałem powiedzieć, że jak Pussy Galore – zachichotał nowo przybyły, zmierzając ku tacy z trunkami drobnym tanecznym kroczkiem.



Bill na ten widok przewrócił oczami i westchnął.

– O rany, nasz Richard jest znowu wolny! Słyszysz, Giuseppe? – Trącił łokciem Giorgia i puścił do niego oko. – Lepiej trzymaj się dzisiaj plecami przy ścianie. *Comprendez?* On gustuje w takich młodzieńcach jak ty.

– Richard to nasz reżyser i zarazem kierownik artystyczny – szeptem wyjaśnił mi Harley. – Bardzo utalentowany człowiek. Robi tak doskonale reklamy, że trzeba mu wybaczyć te drobne ekstrawagancje.

Jeśli zaliczasz do nich i to, że nie uznał za stosowne nawet mi się przedstawić, to gratuluję ci tolerancji, a jemu kindersztuby, pomyślałam zgryźliwie. Ciekawe, czy w ten sam sposób traktuje wszystkich, z którymi raczy pracować. Pan reżyser tymczasem obrzucił mnie z lekka znudzonym spojrzeniem i zaczął coś szeptać po włosku do Giorgia.

Następny pojawił się zażywny biznesmen po pięćdziesiątce w towarzystwie szalowej blondynki, mniej więcej szesnastoletniej. Wymieniwszy uścisk dłoni z Billem, Davidem i Harleyem, stanął wraz z nimi w kącie salonu, gdzie natychmiast zaczęli rozprawiać o akcjach, udziałach i giełdzie. Beryl tymczasem wdała się w cichą konwersację z Trish, ignorując młodą blondynkę, która stała samotnie, nie wiedząc, co z sobą począć. Zrobiło mi się jej żal.

– Witaj, jestem Cindy.

– Och, doprawdy! Twarz Lapinique! Wilbur mówił, że będę cię mogła poznać! Mam nadzieję – uśmiechnęła się współczująco – że nie za bardzo się nudzisz, siedząc cały czas w tym więzieniu!

W pokoju zapadła cisza. Wszyscy popatrzyli w naszą stronę.

– Powiedziałam coś złego? – spytała blondynka swego mocno zmieszanego towarzysza. – Och, kochanie, mówiłeś przecież, że jej małżeństwo wisi na włosku, że chciała uciec od męża razem z jego pieniędzmi i że wszyscy o tym wiedzą!

– Pozwól się czymś poczęstować – przerwałam tej małej idiotce. Wetknąwszy jej w prawą rękę kieliszek, a w lewą talerzyk malutkich kanapek, nabrałam ich pełną garść i jednym ruchem wepchnęłam jej to wszystko w buzię.

– Zwłaszcza te są podobno wyjątkowo smaczne, nieprawdaż?

– Mmmf! – Cofnęła się gwałtownie, oblewając szampanem swoją białą suknię.

– Ojej – jęknęłam z ubolewaniem – trzeba to zaraz sczyścić! Chodź ze mną. – Wyprowadziwszy z pokoju dokładnie zatkaną blondynkę, wskazałam jej drogę do najdalszej łazienki w tym domu, po czym dorzuciłam jadowitym szeptem: – Nie musisz się spieszyć, panienko, damy sobie radę bez ciebie. Nic się nie martw,

konwersacja przez to nie ucierpi.

Gdy po chwili kolejka przywiozła ostatnich gości, zdumienie zaparło mi dech: Eleanor! Z okrzykiem „Cindy, moja droga!” puściła ramię Arniego, podbiegła do mnie i zaczęła ścisnąć.

– Wyglądasz bosko! Wprost rewelacyjnie! Miałam rację, mówiąc Harleyowi, że potrzebna ci zmiana klimatu!

– Skąd wy tutaj? – spytałam słabym głosem.

– Och, podróżujemy z Arniem naszym jachtem – odrzekła niedbale. – Dziś właśnie zatrzymaliśmy się w Portofino.

Przyjrzałam się jej twarzy – wyglądała jakoś dziwnie. Co ona z sobą zrobiła?

– Byłam we Francji, w tamtejszej klinice piękności – wyjaśniła, widząc, że jej się przyglądam. – Odbylam tam nową rewelacyjną kurację: chemiczne złuszczenie naskórka. Polega na tym, że usuwa się całą starą skórę, dzięki czemu pod spodem może powstać nowa. Zaczynam dostrzegać już skutki, a ty?

O tak. Skóra odpadała jej płatami, pomiędzy którymi mimo grubej warstwy makijażu widać było czerwone placki i strupy. Wyglądała okropnie. To niesamowite, pomyślałam, co gotowa jest znieść ta kobieta, byle tylko poprawić swój wygląd!

– Uhm, tak... – bąknęłam z wahaniem. – Coś już widać.

– Z początku oczywiście strasznie się to łuszczy – stwierdziła, Eleanor przeciągając palcem po policzku – za to późniejsze efekty są podobno zdumiewające. Zobaczysz. Już niedługo będę wyglądała o dziesięć lat młodziej.

Mam nadzieję, że już tego nie zobaczę, odpowiedziałam jej w duchu.

Zamilkłyśmy obie, słysząc gromki wybuch śmiechu, którym Bill Bellman skwitował jakieś pytanie Harleya.

– A to dobre! Daj spokój, Harl, ja nic nie wiem! Kto ci to powiedział? Co za gnojek chce mi spięprzyć reputację?

Richard natychmiast przerwał szeptaną konferencję z Giorgiem.

– Czy ja dobrze słyszę? Ktoś tu użył słówka na „p”? Hej, Billy, czy to propozycja?

Eleanor skrzywiła się z niesmakiem.

– Powiedz mi, moja droga, kim są ci okropni ludzie? Nie zdążyłam odpowiedzieć, gdyż w tej samej chwili wyrosła obok nas Trish.

– Słuchaj, Cm, czy to już wszyscy? – spytała z najwyższym rozczarowaniem. – Nikogo więcej już się nie spodziewasz?

Eleanor zmiażdżyła ją wzrokiem zdolnym zgładzić kobrę i odwróciwszy się na

pięcie, odplynęła w stronę Harleya. Trish nie pozostała jej dłużna.

– Co ta stara prukwa tu robi? – zaatakowała mnie z furją. – Ty też jesteś dobra! Czemuż to nie zaprosiłaś mi kogoś do pary? Nie będę siedzieć koło tego pedzia!

Przestałaś już liczyć na Davida? Dobrze i to, pomyślałam.

– Nie złość się, Trish, następnym razem spróbujemy zaprosić Richarda Gere'a.

Gdy po przejściu do jadalni goście zaczęli zajmować miejsca, ona jedna trzymała się z boku, rozważając widocznie swe szanse z każdym z obecnych tu mężczyzn. Mało brakowało, aby zakończyło się to dla niej klęską.

Wilbur, nadal mruczący coś o finansach, usadowił się obok Davida; miejsce po drugiej jego stronie zajęła blondynka, która właśnie wróciła z łazienki, przy niej zaś z błyskiem w oku klapnął zaraz Arnie. Richard wybrał sobie krzesło po przeciwnej stronie stołu, aby usiąść jak najbliżej Giorgia, który przy stojącym obok pomocniku dekorował półmiski z *hors d'oeuvres*. Eleanor wsunęła się w lukę pomiędzy Beryl a Billem, dla Trish pozostało zatem już tylko miejsce obok Richarda. Widząc, że nie ma innego wyjścia, zamierzała to właśnie uczynić, gdy Giorgio podskoczył nagle jak ukłuty i czerwony z oburzenia galopem wypadł z pokoju.

– A nie mówiłem! – ryknął Bill, szturchając Eleanor łokciem.

– Słucham? – rzuciła lodowato, na co rozbawiony sąsiad zaczął jej udzielać dalszych informacji. – Arnie – krzyknęła, zrywając się z krzesła – zamień się ze mną miejscami! To światło jest tak rażące!

Arnie posłusznie, acz niezbyt chętnie odstąpił jej swoje krzesło, nim jednak zdążył przejść na miejsce żony, zajęła je zdesperowana Trish. Wywołało to ogólne zamieszanie: wszyscy jednocześnie wstali z krzesel, proponując Arniemu swoje miejsca. Upłynęło dobrych kilka minut, nim całe towarzystwo ulokowało się wreszcie przy stole. My z Harleyem naprzeciw siebie – przy obu jego końcach.

– No to możemy zaczynać – oznajmił mój mąż, starając się nakłonić gestem stojącego za progiem Giorgia, aby zechciał wrócić do jadalni.

Ja również doszłam do wniosku, że pora rozpocząć akcję.

– Przepraszam – powiedziałam z ubolewaniem – ale muszę wyjść do łazienki. Och, bardzo proszę, zacznijcie beze mnie – dodałam, gdy rozległ się jęk zawodu – za chwilę będę z powrotem.

Zamknąwszy za sobą drzwi, wymknęłam się chyłkiem przed dom. Kolejka stała na górze z otwartymi drzwiami.

Było już całkiem ciemno, tylko lampy umieszczone wzdłuż szlaku oświetlały środkową część zbocza. Upewniwszy się, że z okien nie będę widoczna, przemknęłam się na niższy taras, gdzie rozpościerała się kępa zarośli, w której ukryłam wczoraj parę rzeczy. Z drżeniem serca zanurzyłam tam rękę – w porządku, były na miejscu.

Wywlokłam z krzaków wypchaną torbę podróżną i starając się iść jak najciszej, przekradłam się na podwórze. Z otwartych drzwi kuchni buchały kłęby pary, słychać było szcęk naczyń i jakieś niesamowite odgłosy – chroboty i dziwne piski. To, co zobaczyłam, zerknąwszy do środka, wyglądało też bardzo dziwnie: stara gospodyni uciekała w popłochu od płyty, przeskakując z nogi na nogę w sposób przypominający rytualny taniec. W jednym ręku ścisnęła ciężką pokrywę od garnka, w drugim wałek do ciasta, którym nie wiadomo czemu wywijiała dziko nad głową. Dziwne gwizdy czy piski wydobywały się z wielkiego kotła bulgocącego na piecu.

Nie miałam czasu zastanawiać się nad tym, co się tu dzieje. Samochód Giorgia na szczęście stał tam gdzie zwykle – z kluczykami w stacyjce. Szybko wrzuciłam torbę na siedzenie i pobiegłam z powrotem na taras.

Musiałam wydobyć z krzaków jeszcze jedną rzecz, którą ukryłam tam wczoraj wraz z torbą. Nie była zbyt ciężka, ale duża i dość nieporęczna. Staralam się bardzo uważać, by nie narobić hałasu, taszcząc tę rzecz do kolejki. Umieściwszy ją w szklanym pudełku, z satysfakcją przyjrzałam się swojemu dziełu: doskonale! Będzie dobrze widoczna, gdy wagonik ruszy w dół zbocza. Teraz już wszystko było gotowe – mogłam powrócić do gości. Przed drzwiami jadalni wzięłam głęboki oddech – spokojnie... strach to zły doradca.

Powitały mnie salwy śmiechu. Sądząc, że to moja osoba wprawia wszystkich w taką wesołość, zaczerwieniłam się po same uszy, po chwili zorientowałam się jednak, że nie chodzi o mnie. Bill opowiadał właśnie jakiś dowcip. Usłyszałam jedynie końcówkę, która wcale nie wydała mi się śmieszna.

– I wtedy – mówił, parszcząc śliną z uciechy – Pakistańczyk powiada do Irlandczyka: A teraz uważaj. Zobaczysz, jak małpa spróbuje wsadzić ten korek na miejsce!

– O! – pisnął Richard. – Polubiłbym chyba tę małpkę!

– Ha, ha! – ryknął Wilbur. – I gównem trafiło w wentylator!

O czym oni mówią, na litość boską? I to ma być dowcip?

– Poznałam kiedyś faceta, co wpadł do cysterny asenizacyjnej... – zaczęła Trish, zamilkła jednak widząc, że nikt jej nie słucha.

– Ale po co oni to zrobili? – spytała blondynka. – Po co wtykać świni korek w takie miejsce?

– Z tego samego powodu, dla którego tobie trzeba by go wetknąć w usta – wyjaśniła jej Eleanor swym najbardziej lodowatym tonem.

Udało mi się niepostrzeżenie powrócić na miejsce. Oby dalej szło mi równie gładko... Ledwie to pomyślałam, obleciał mnie strach: zobaczyłam, że Giorgio idzie do kuchni. A jeśli przypadkiem zajrzy do kolejki...? Obiecałam sobie, że gdy tylko wróci z głównym daniem i nie narobi alarmu, wykonam następny ruch.

Na szczęście nic nie zauważył. Widząc dymiącą górę homarów na kolosalnym półmisku, zrozumiałam dziwne zachowanie gospodyni: ugotować żywcem tyle tych nieszczęsnych skorupiaków! Mogło ją to rozstroić.

– Uważaj, ten największy zaraz cię uszczypnie – zachichotał Richard, gdy Giorgio z pośpiechem prześliznął się za jego krzesłem.

– Najdelikatniejsze mięsko ma odwłok, tylko trudno się do niego dobrać – zarechotał Bill Bellman, łypiąc bezczelnie na siedzącą naprzeciw blondynkę.

– Na co się tak gapisz! – zdenerwowała się Beryl, wymierzając mu pod stołem tęgiego kopniaka. Odebrała go siedząca między nimi Trish.

– Au! – zawyła, chwytając się za nogę. – Nie daruję ci tego, wstrętna dziwko!

Ależ rozpętało się piekło! Chciałam właśnie wywołać awanturę, aby pod tym pretekstem wyjść z pokoju, ale teraz byłam bez szans – nikt by na mnie nie zwrócił uwagi.

– Ratunku! Ona mnie zabije! – piszczała Beryl, oganiając się przed Trish, która zamierzyła się na nią widelcem.

– Siadaj, ty idiotko! – syknęła Eleanor. – Nie widzisz, jakie robisz z siebie widowisko?

– No, no, dziewczyny! – wtrącił się Harley. – Dajcie spokój!

– A czy ja robię coś złego? – zaświergotał Richard, gładząc Arniego po kolanie.

– Nie dotykaj mnie, ty cioto! – huknął Arnie, zrywając się na równe nogi.

– Zaraz go uspokoję – złowieszco oświadczył Wilbur. Wstał z krzesła i zaczął podwijać rękawy.

– Nie rób tego! – jęknęła blondynka. Uczepiła się jego ramienia, próbując zapobiec bójce. – To ci może zaszkodzić! Pamiętaj o swoim sercu!

Teraz, pomyślałam.

– Zamknijcie się wszyscy! – krzyknęłam na całe gardło, fingując atak hysterii. Dobrze to zagrałam – w pokoju zrobiło się cicho. – Mam tego dosyć! – ciągnęłam

łamiącym się głosem. – Co z was za ludzie! To nie kolacja, to jakiś koszmar! Nie zniosę tego ani chwili dłużej! Wychodzę!

– Ależ kochanie... – wyjąkał przerażony Harley – nie możesz przecież...

– A kto mi zabroni? Ty? – Chwyciłam leżącego przed sobą homara i cisnęłam nim w swego męża. – Do widzenia, Harley!

Homar niestety chybił celu, lecz i tak narobił sporo zamieszania. Wylądował z trzaskiem pośrodku długiego stołu, sprawiedliwie ochlapując wszystkich sosem. Korzystając z ogólnego osłupienia, głośno trzasnęłam drzwiami i co sił w nogach pognałam do tablicy kontrolnej przy wejściu. Wcisnąwszy guzik „na dół”, zrzuciłam pantofle i w samych pończochach przebiegłam przez hol w stronę kuchni. Klatka ruszyła – dał się słyszeć równy szum silnika.

Przystanąwszy na moment w holu, usłyszałam głośny gwar rozmów – szok minął, całe towarzystwo wybiegło z jadalni.

– Patrzcie! – ktoś krzyknął. – Jest tam! Jedzie na dół kolejką!

– Daleko nie zajedzie – dobiegł mnie głos Davida.

– Jak tylko klatka się zatrzyma, wciągnę ją zaraz na górę. Nie zdąży nawet wysiąść.

Co robi gospodyni? Siedziała skulona przy stole – wykończyły ją chyba te homary. Nawet nie podniosła głowy, gdy ostrożnie zamknęłam drzwi. Teraz do samochodu.

Ręce trochę mi drżały, kiedy spróbowałam go uruchomić – nigdy nie jeździłam takim wozem. Za drugim podejściem silnik zaskoczył. Ściskając kurczowo kierownicę, wyjechałam z podwórza tak cicho, jak tylko to było możliwe. Masz na wszystko osiem minut, powtarzałam sobie, zmierzając w stronę wąwozu. Za osiem minut powróci kolejka i Harley zobaczy gumową kobietę Giorgia w takiej samej sukni jak moja...

## ROZDZIAŁ 19

Wynurzywszy się z rozpadliny, zobaczyłam, że świeci księżyc i że cała droga tonie w jego blasku. Agrafka była już blisko. Zwolniłam do minimum i ostatnie sto metrów przejechałam z nogą nad hamulcem. Każdy błąd mógł się tu skończyć fatalnie.

Gdy ogląda się takie sceny w kinie czy telewizji, wszystko wydaje się proste. Wystarczy zatrzymać się nad przepaścią, wyskoczyć, zwalniając ręczny hamulec, i sprawa załatwiona – pochyłość i siła bezwładu dokonają reszty, sprawca zaś, stojąc z boku, może podziwiać efekty. Nie byłam na tyle naiwna, aby sądzić, że w praktyce okaże się to takie łatwe. Niepokoiło mnie zwłaszcza to wyskakiwanie. A jeśli zatną się drzwi albo nogi zaplączą mi się w pasach? Mogłam też zahaczyć ubraniem o klamkę – i do widzenia! Wyobrażałam już sobie, jak ta śmiertelna pułapka wlecze mnie do przepaści... Widziałam wiele filmów, w których sprawcy takich katastrof, działający zazwyczaj z chęci zysku lub innych niecznych pobudek, sami tracili w nich życie, jakby za te niegodziwe plany dosięgła ich ręka losu.

Nie wierzyłam w taką sprawiedliwość; kiedy ma się do czynienia z ludźmi pokroju Davida, można co najwyżej dojść do wniosku, że działa ona bardzo nieskutecznie, moje plany też w końcu nie były tak niegodziwe, żeby aż wzbudzać gniew bogów – po co jednak niepotrzebnie ryzykować? Wysiadłam z samochodu, odrzuciłam torbę w bezpieczne miejsce i uważając, by przypadkiem nie zahaczyć o coś swoją wieczorową suknią, zwolniłam ręczny hamulec. Odskokczywszy czym prędzej do tyłu, tak gwałtownie, że zanosło mnie aż pod skałę, wstrzymałam oddech: teraz!

Nic się nie stało – samochód nawet nie drgnął. Spróbowałam popchnąć go od tyłu – bez skutku; był za ciężki jak na moje siły. O co tu chodzi, do licha? Droga w tym miejscu opadała tak stromo, że powinien był ruszyć. Hamulec? Zwolniłam go przecież! Czyżby się zaciął? Już miałam sięgnąć do środka, kiedy coś szcęknęło i wóz z suchym chrzęstem opon zaczął się toczyć po żwirze. Teraz już nic go nie mogło zatrzymać, z każdą sekundą nabierał rozpędu. Widząc, jak znika za krawędzią skały, poczułam lekkie współczucie dla Giorgia. Wprawdzie był mimowolnym uczestnikiem spisku przeciwko mojej osobie, nie zrobił mi jednak nic złego, a ja mu zniszczyłam samochód!

Huk eksplozji poderwał mnie z miejsca. Zerknąwszy za krawędź skalnego nawisu, ujrzałam płomienie buchające z wraka. Na szczęście ominął szosę i osiadł

na przybrzeżnych skałach. Fale zaczynały już gasić jego płonące szczątki.

Od strony domu dały się słyszeć głosy – tak szybko? Chwyciwszy torbę, puściłam się pędem ku bramie. W jej najbliższym sąsiedztwie upatrzyłam sobie kryjówkę – niewielkie zagłębienie w zboczu, przesłonięte gęstą kępą krzaków. Byłam tam już wcześniej, wiedziałam więc, że z drogi nie będę widoczna, sama natomiast będę mieć w polu widzenia cały jej końcowy fragment – od zakrętu aż do samej bramy.

W kryjówce zrzuciłam suknię i ubrałam się w sportowe rzeczy zakupione w Santa Margherita. Linę już rano zostawiłam w upatrzonym miejscu. Widziałam ją stąd wyraźnie: zwisała z ogrodzenia, nieopodal wyjścia.

Gwar rozmów stał się donośniejszy; po chwili dobiegł mnie też odgłos szybkich kroków – ktoś był już blisko agrafki. Zaraz potem zza zakrętu wyłonił się zdyszany Harley.

– Zupełnie tego nie rozumiem... – rzucił urywanym głosem. – Skąd w wagoniku wzięła się ta lalka?... I gdzie podziała się Cindy? Wyskoczyła w biegu?... Czy to możliwe?

– Nie bądź idiotą! – zachnął się biegnący za nim David. – Ona tam w ogóle nie wsiadła, a tą lalką chciała nas zmylić. Pospiesz się, zamiast bredzić! Teraz jest już pewnie przy bramie!

Po kilku sekundach zza zakrętu wyskoczył Giorgio, bełkocząc z rozpaczą:

– *Al ladro! Mi harmo rubato!*

Reszta towarzystwa nadciągnęła dopiero po chwili i bez zbytniego pośpiechu. Z uczuciem lekkiej urazy odnotowałam fakt, że brakuje Wilbura i jego blondynki. Nie raczyli się pofatygować, a przecież moment był dość szczególny: nie codziennie zdarzają się przyjęcia, podczas których żona gospodarza dostaje raptem amoku. Zależało mi na tym, aby jak najwięcej osób było świadkami mej śmierci. Każdy pragnie mieć swoje pięć minut.

– Hej, Cindy, przestań się wygłupiać! – rozległ się ostry głos Trish. – Kolacja nam całkiem wystygnie!

– Ciszej! – zgromiła ją Eleanor. – Ludzie usłyszą. Chcesz wywołać skandal?

– A kto mnie tu może usłyszeć?

– W zatoce cumują jachty kilkorga naszych przyjaciół. Nie rozumiem doprawdy, co w tę dziewczynę wstąpiło? Jak mogła się tak zachować? Jakież to żenujące!

– Hu, hu, Georgie, gdzie jesteś? – Zza ich pleców chwiejnie wyłonił się Richard, wywijając butelką wina. – Ach, co za wieczór! Uwielbiam takie



przygody!

– Przestań jęczeć, Beryl! – Aha, to Bill. Oparty plecami o skałę, starannie wytrząsał żwir z butów. – Cindy nic się nie stało, to tylko zabawa. Mówiłem ci przecież, że ludzie z tej sfery lubią urządzać takie happeningi.

– Ale tu tak wysoko... Spójrz na tę bramę... Harley, David i Giorgio zdążyli już właśnie tam dotrzeć.

– Cindy! – krzyknął Harley, chwytając za kraty. – Gdzie jesteś?

– Na zewnątrz nie wyszła. Chyba widzisz, że brama jest zamknięta!

– No tak... ale och! Spójrz tam! Co to jest?

– Wygląda na linę – stwierdził niechętnie David. Widząc, że wdrapuje się na podmurówkę, przypadłam płasko do ziemi.

– *Mia machina!* – jął zawodzić Giorgio.

– Tędy na pewno nie uciekła! – David ze śmiechem ściągnął linę z siatki. – Sam zobacz! Nawet jej porządnie nie przywiązała.

– Co on mówi? – spytał Harley, wskazując zrozpaczonego Giorgia. – Nad czym tak lamentuje?

David puścił to mimo uszu.

– Zawsze uważałem, że twoja żona jest bezdennie głupia – wycedził z pogardą.

– *Mia machina!* – jęknął znów Giorgio i teraz dotarło to do mego szwagra.

– Zaraz... Faktycznie! Czy ktoś widział jego samochód?

– Boże miłosierny! – krzyknął Bill, który w tym momencie przypadkiem zerknął za krawędź agrałki. – Chodźcie tutaj!

Giorgio ruszył sprintem w jego stronę i w tej samej chwili zawyły syreny policyjne. Wychyliwszy się ze swej kryjówki, zobaczyłam na szosie błyskające niebieskie światła.

– Jasna cholera! To Cindy! – przeraźliwie wrzasnęła Trish. – Tam w dole! Spadła ze skały!

Harley, który dobiegł już do zakrętu, skoczył naprzód tak desperacko, jakby sam chciał się rzucić w przepaść.

– Cindy! – zaczął zawodzić jak dziecko. – Wróć do mnie, Cindy!

– Uspokój się, Harl. – Bill schwycił go za ramię i odciągnął od brzegu urwiska.

– Puść mnie! Ona może jeszcze żyje! Muszę iść po nią!

– Nie ludź się, mój drogi. Musiałaby być z gumy, żeby przeżyć taki upadek.

– Co tu się dzieje? – Z mroku wychynął David. – Kto wezwał gliny?

– Nie żyje! – zaszlochał Harley, padając na ziemię jak kupka nieszczęścia. –

Moja Cindy nie żyje!

Przepełniło mnie nagłe uczucie ulgi: nareszcie uwolniłam się od Cindy, oddając zarazem przysługę i jej. Nie żyje przecież od dawna, a nikt nie uronił nad nią jednej łzy. Harley będzie mógł teraz pożegnać ją jak należy. I nigdy się nie domyśli, że jego ukochana Cindy od początku była nieboszczką. Biedaczka. On sam nie budził we mnie współczucia, bo czyż wszystko to nie stało się z jego winy? Gdyby wtedy, przed kilkoma miesiącami, nie spowodował kraksy na szosie do Pasadeny, prawdziwa Cindy nadal by żyła.

– Czegoś tu nie rozumiem – odezwał się Bill. – Po co Cindy tak szaleńczo gnała do bramy, skoro jak mówicie, jest ona zawsze zamknięta? Musiała przecież o tym wiedzieć.

– Chciała pewnie zostawić samochód i przejść górą przez ogrodzenie – odrzekł David, pokazując mu linę.

– Kretynka. Nie wiem, skąd to wzięła, ale nie jest to z pewnością lina do wspinaczki. Już z tego widać, że rozsądne myślenie nie było jej mocną stroną. Powiedzmy, że przeszłaby nawet przez płot i co dalej? Zostałaby złapana już po piętnastu minutach.

– Ale czemu ona chciała uciec, i to jeszcze tak desperacko? – włączył się Richard, o dziwo, całkiem sensownie.

– Musieliście nieźle jej dopiec! – dorzucił złośliwie, machając nie dojeżdżonym homarem zawiniętym starannie w serwetkę.

– Patrz swego nosa! – odciął się David.

– Tak, zamknij się, stara cioto! – poparła go Trish.

– Co ty o niej wiesz? Ja jestem jej przyjaciółką... Byłam – sprostowała po chwili innym tonem. Wydawało mi się nawet, że w jej głosie zabrzmiał szczerzy smutek.

Harley nadal leżał nieruchomo, ściskając rekami głowę. Wyglądał jak posąg rozpaczy.

– Tylko ja jedna wiem, jak się czujesz... – chlipnęła Trish, ciągnąc go za rękaw. – Było już przecież tak dobrze! Zaczynało jej się poprawiać i nagle masz ci los! – Teraz już wybuchnęła rozpaczliwym płaczem. – Jakie to niesprawiedliwe! Tak jej pilnowałam! Zrobiłam wszystko, co ci przyrzekłam, i wszystko na nic! Odeślesz mnie teraz do domu, i koniec!

– Słuchajcie, musimy zachowywać się rozsądnie – oświadczyła Eleanor. – Oboje z Arniem uważamy oczywiście, że to okropna tragedia, ale co komu pomoże, jeśli wszyscy dostaniemy zapalenia płuc? Robi się zimno. Proponuję

wrócić do domu i poczekać tam na policję.

– My właściwie powinniśmy wracać na jacht – bąknął Arnie. – Spodziewam się dzisiaj ważnego faksu ze Stanów.

– Oho, policja już jest! – wykrzyknął Bill. Za bramą pojawiły się niebieskie światła.

– Strasznie im się spieszy – mruknął David. Podszedł do Giorgia wpatzonego ponuro w żalosne resztki swego wozu, poszeptał z nim chwilę po włosku, po czym zakomenderował: – No to chodźmy. Giorgio wyjaśni wszystko policji, a my zaczekamy na nich w domu. Ja i tak bym musiał tam pójść, bo tylko stamtąd można otworzyć tę bramę.

Oto mój kondukt żałobny, pomyślałam pół kpiąco, pół melancholijnie, kiedy grupa ruszyła pod górę. Na czele szedł David, poprzedzając Arniego i Beryl, za nimi zaś wsparty na ramionach Eleanor i Trish chwiejnie postępował Harley, który dopiero po dłuższych perswazjach zgodził się podnieść z ziemi. Ariergardę pochodu stanowili Richard i Bill. Szli dosyć wolno, przystając co parę kroków, by pociągnąć sobie z butelki.

– Strasznie kruche jest to nasze życie! – paplał Richard. – Świeczka na wietrze, jak to mówią. Wystarczy byle podmuch, i koniec. Śmierć tej Cindy daje do myślenia, nie uważasz?

– Mnie nie – odrzekł jego towarzysz, sięgając znów po butelkę, i nagle przyspieszył kroku. – O do diabła, lalka!

Trzeba ją usunąć, zanim zjawią się policjanci! Pospiesz się, Richard! Ładnie będziemy wyglądać, jak zobaczą to dmuchane dziwo! Gotowi pomyśleć, że z nas banda zboczeńców!

Kiedy pochód zniknął za zakrętem, ostrożnie wypełzłam z kryjówki i zaczęłam skradać się ku bramie. Giorgio zajęty rozmową z policjantami nie mógł zauważyć, że ktoś przykucnął pod płotem ledwie kilka metrów od niego.

Po chwili coś brzęknęło i wrota zaczęły się rozsuwać. Wóz policyjny podjechał do przodu, przystanął na moment, aby zabrać Giorgia, a potem powoli ruszył pod górę. Wciąż jeszcze czekałam, choć wszystko we mnie rwało się do biegu. Teraz! W ostatniej chwili dosłownie udało mi się prześliznąć przez zwięzającą się lukę. Chwała Bogu! Wreszcie byłam wolna.

Niedaleko za bramą, w stronę Portofino, widać było wozy policyjne z włączonymi światłami i ludzi przeszukujących szosę nad wrakiem. Stała tam też sanitarka, przysłana pewnie po zwłoki. Nikt nie zauważył milczącej postaci przemykającej się chyłkiem w przeciwnym kierunku. Od Santa Margherita

dzieliły mnie niecałe trzy kilometry; Uczylaam, że dotrę tam w ciągu godziny.

Okazało się to znacznie trudniejsze, niż sobie wyobrażałam. Droga była bardzo wąska, a panował na niej taki ruch, że co chwila musiałam umykać pod skały. Bardzo powoli posuwałam się naprzód, pozwalając swobodnie biec myślom. To, co przeżyłam w ostatnich miesiącach, wydawało mi się teraz wprost niewiarygodne. Jak ja to mogłam wytrzymać? Pewnie przez te myśli nie zauważyłam wielkiej ciężarówki, która nagle wypadła zza zakrętu. Ledwo zdążyłam uskoczyć spod kół; potknęłam się przy tym o jakąś nierówność i runęłam jak kłoda do płytkiego rowu. W tej samej chwili rozpędzona masa przemknęła z hukiem obok mojej głowy. Mało brakowało!... Spróbowałam stanąć na nogi i dopiero wtedy poczułam potworny ból w kostce.

Zdołałam się jakoś pozbierać, ale przy każdym kroku świeceki stawały mi w oczach. Teraz nie byłam już w stanie myśleć o niczym innym jak tylko o bólu i o tym, że muszę zdążyć na pociąg do Mediolanu. Jeśli się spóźnię... utknę do jutra w Santa Margherita...

Wlokłam się tam kilka godzin. Parę razy na widok błyszczących w oddali świateł zaczynałam nabierać otuchy, że to wreszcie koniec udręki – tylko po to, aby się przekonać, że mam przed sobą następny zakręt i że posunęłam się naprzód najwyżej o kilka metrów. A czas mijał nieubłaganie. Ilekroć spojrzałam na zegarek, wskazówki jakoś zawsze zdążyły przesunąć się dalej, niż sobie wyobrażałam. Gdy do odejścia pociągu pozostało już tylko dwadzieścia minut, byłam dopiero na obrzeżach miasta. Musiałam skapitulować. Nie było nawet co marzyć, abym mogła zdążyć na ten pociąg.

Nie wiedziałam, czy po nim są jakieś następne, a iść na dworzec nie miałam już siły. Ból w kostce nie ustawał, postanowiłam zatem przenocować w Santa Margherita, najlepiej w jakimś małym, nie rzucającym się w oczy hotelu. Nikt mnie tu nie zna, myślałam, rozważając ewentualne ryzyko. Podam fałszywe nazwisko, a za nocleg zapłacę gotówką. Miałam na szczęście w torebce mnóstwo lirów. Podczas ostatniej bytności w tym mieście zdążyłam skoczyć do banku.

Przy końcu nadmorskiego bulwaru znalazłam odpowiedni hotel. W recepcji siedziała niebrzydka dziewczyna około dwudziestki, zajęta lakierowaniem paznokci. Spojrzała na mnie jak na intruza.

– *Dica?* – To także zabrzmiało niezachęcająco.

– *Una camera singola?* – wydukałam niepewnie. – *Per una notte?*

– *Il passaporto, per favore* – zażądała, dmuchając sobie na paznokcie. Na jej nagim ramieniu spostrzegłam brzydkiego siniaka.

– *Passaporto?* – Miałam aż dwa paszporty, nie chciałam ich jednak ujawniać.

– *Ah si, domani* – rzuciła z irytacją.

– *Domani?*

– Chce pani zostać do jutra, więc paszport niepotrzebny – stwierdziła po angielsku. Wygrzebała z szuflady blankiet rejestracyjny i niecierpliwym ruchem popchnęła go w moją stronę. – *La sua firma qua.* – Widząc, że nie łapię, o co chodzi, z przesadnym westchnieniem wetknęła mi w rękę pióro. – Proszę to podpisać.

Po sekundzie wahania nagryzmoilałam niewyraźnie: „Annette Baker”. Nie mając pojęcia o cenach tutejszych hoteli, wyjęłam z torebki całą garść banknotów i wręczyłam je recepcjonistce.

– *Quant’el* Przeliczywszy je z chytrym uśmiechem, skasowała wszystkie z wyjątkiem jednego o najniższym chyba nominale i rzuciła mi go wraz z kluczem.

– *Terzo piano.*

Sędziwa winda dość długo stawiała mi opór, lecz gdy wreszcie zdecydowała się ruszyć, postanowiła widocznie zademonstrować całą gamę swoich możliwości. Zanim dowiozła mnie na trzecie piętro, zwiedziłam czwarte, a potem pozostałe łącznie z piwnicą.

Pokój był standardowy, ale wyposażony we wszystko, co w tej chwili było mi potrzebne. Najważniejsze, że miał łazienkę. Zanurzony w gorącej wodzie, zaczęłam masować opuchniętą kostkę: oby to było tylko zwichnięcie! Po kąpieli, owinięta w ciepły ręcznik, stanęłam przy oknie.

Patrząc w stronę Portofino, dostrzegłam migocące światełka śmigłowca; krążył nad morzem, tam gdzie fałszywa Cindy zakończyła swój fałszywy żywot. W tym momencie akurat zegar kościelny zaczął wybijać jedenastą, a mnie przypomniał się nagle ten dwuwiersz z Marlowe’a cytowany kiedyś przez Andrew:

„Z wolna się toczą gwiazdy, czas ucieka,

Zegar uderzy, szatan się pojawi.

I Faust potępion.”

Zrobiło mi się jakoś nieprzyjemnie. Aby się z tego otrząsnąć, zaczęłam obserwować promenadę. Po szerokich chodnikach przechadzali się zakochani, w ogródkach czynnych jeszcze barów widać było grupki młodych mężczyzn. Typowe scenki rodzajowe z nocnego życia włoskiego kurortu. Wszystko wyglądało tak normalnie, tchnęło takim spokojem... Dlaczego przyszedł mi na myśl Mefisto?

Chyba nie zamierza mnie tu nękać?

Odgłos nadjeżdżającego samochodu przerwał mi te rozmyślenia – ktoś zatrzymał się przed hotelem. Pasażer otworzył drzwiczki... a ja zdrętwiałam ze zgrozy. To David! Co on robi w Santa Margherita? Czym prędzej cofnęłam się od okna.

Gdy odważyłam się znowu wyrzeć na ulicę, moje przerażenie wzrosło: zobaczyłam tę dziewczynę z recepcji w bardzo czulej pozie z moim szwagrem. Przytulona do niego miłośnie, pocałowała go w usta, a potem chichocząc jak dziecko, wymknęła się z jego uścisku, podbiegła do samochodu i zaczęła rozmawiać z kierowcą.

Czy ja śnię? Jakież to złośliwe fatum kazało mi wybrać akurat ten hotel? W tym mieście są takich dziesiątki! Jakie istniało prawdopodobieństwo, że pierwszą osobą, z którą się tu zetknę, będzie tajemnicza kochanka Davida? Ależ z niego monstrum! pomyślałam gniewnie. Bratowa ginie śmiercią tragiczną, a ten już po paru godzinach wymyka się do swojej flamy!

Samochód odjechał; kochankowie wzięli się za ręce i wolnym krokiem ruszyli na deptak. I co dalej? Mają gdzieś w mieście gniazdko miłosne czy uwili je sobie w hotelu? David może opowiedzieć tej dziewczynie o tym, co się dzisiaj stało... A jeśli ona opowie mu o mnie? Samotne cudzoziemki zapewne nieczęsto pojawiają się w tym hotelu, w dodatku o tak późnej porze. Czy nie nasunie mu to jakichś podejrzeń? Zwłok przecież nie znaleziono, a on nie jest głupi.

Może lepiej byłoby się stąd wynieść? Bijąc się z myślami, spojrzałam w stronę tych dwojga – przystanęli. Wyglądało na to, że wybuchła między nimi bardzo gwałtowna sprzeczka... I nagle oboje zawrócili. David wyraźnie się spieszył. Gdy dziewczyna próbowała trochę zwolnić tempo, szorstko odtrącił jej rękę i zaczął biec. Do licha, chyba się domyślił! Muszę coś zrobić! Muszę uciekać, i to szybko! Ale dokąd, na miłość boską?

Nie miałam czasu porządnie się ubrać. Włożyłam tylko bieliznę, na którą narzuciłam płaszcz, i wcisnąwszy bezładnie resztę dobytku do torby, pokuśtykałam do windy. Już miałam nacisnąć guzik, gdy przyszło mi na myśl, że to ryzykowne – ten grat jest zbyt chimeryczny.

Na schodach i w dolnym holu panował półmrok, drzwi do recepcji były zamknięte. Ostrożnie zerknąwszy przez szybę, stwierdziłam, że w środku nie ma nikogo, nim jednak ośmieliłam się wyjść na ulicę, tamci dwoje wrócili. Ledwie zdążyłam uskoczyć pod schody.

– Mówiłaś, że który to pokój? – spytał niecierpliwie David. – *Che camera?*

Mamrocząc coś po włosku, dziewczyna sięgnęła po klucze do stojących za biurkiem przegródek i gestem dała znak kochankowi, że ma iść za nią. Przywołała mu windę, sama jednak nie miała ochoty z nim jechać.

– Wsiadaj, głupia krowo! – Bezceremonialnie wepchnął ją do środka. Winda ruszyła.

Teraz albo nigdy – jednym kulawym skokiem dopadłam drzwi. Niestety – były zamknięte, coś blokowało klamkę! Zobaczyłam pod nią nieznane urządzenie zabezpieczające, zaopatrzone w rząd malutkich dźwigni. Spróbowałam przyjrzeć im się bliżej i w tym momencie winda zjechała na parter!

– Co się dzieje z tym draństwem?! – Drzwi otworzyły się z trzaskiem i sądząc po krokach, wyszedł z nich David. – Będziemy musieli – powiedział jeszcze i nagle urwał. Bez patrzenia wiedziałam, że mnie zobaczył. Nagły strach spętał mi ruchy.

– No proszę! Wszak to moja droga siostrzyczka! Cudowne zmartwychwstanie, co?

Odwróciłam się bardzo powoli.

– Proszę cię, Davidzie, pozwól mi odejść.

– Wiedziałem, że coś tu nie gra! Żadnej krwi, żadnych szczątków! Za schludnie to wyglądało jak na prawdziwą śmierć.

– Błagam cię, Davidzie! Nic od was nie chcę, chcę tylko być wolna!

– Wolna? Więc uważasz, że małżeństwo to niewola, tak? Czemuż to wcześniej tak nie myślałaś? Powiem ci dlaczego: wołałaś myśleć o forsie Harleya!

– Wiesz, że to nieprawda. – Na tyle już zdążyłam opanować nerwy, że sięgnęłam chyłkiem za siebie i zaczęłam manipulować lewarkami.

– Akurat! Ach, ty kłamliwa dziwko! Teraz pewnie jeszcze mi powiesz, że nie próbowałaś mnie szantażować! – rzucił szyderczo. Postąpił kilka kroków naprzód i zatrzymał się tuż przede mną. – Mam cię puścić wolno, a ty mnie zaczniesz oczerniać, trąbiąc wszystkim dookoła o moich rzekomych oszustwach! Wyobrażasz sobie, że jestem aż takim durniem?

– Nic mnie nie obchodzą twoje machinacje. – Któraś z malutkich dźwigni nareszcie wskoczyła na miejsce: poczułam, że zamek puścił.

– Zostaw to! – Brutalnie odciągnął mnie od drzwi i znów je zatrasnął. – Nigdzie nie pójdziesz!

– Puść mnie, łajdaku! – Zaczęłam mu się wrywać; niestety, bez powodzenia.

– Milcz! – Tak mocno uderzył mnie w twarz, że zobaczyłam wszystkie barwy tęczy, a przez całe ciało, aż do rwącej kostki, przetoczył mi się strumień

gwałtownego bólu, odbierając nędzne resztki sił. Osunęłam się na podłogę.

Dziewczyna zaczęła krzyżeć. Korzystając z tego, że odwrócił się do niej, trajkocząc coś szybko po włosku, udałam zemdlenie, by uniknąć dalszej konfrontacji, och, ale w środku wszystko gotowało się we mnie z furii i upokorzenia. Że też pozwoliłam się tak głupio złapać, i to w chwili gdy byłam już pewna zwycięstwa! Co za łajdak z tego Davida! Oszust i damski bokser! Zaczęłam sobie wyobrażać, co by na moim miejscu zrobiła bohaterka sensacyjnej powieści czy filmu. Ona nie leżałaby bezradnie u stóp takiego drania. W tej chwili pewnie sięgałaby po rewolwer.

„Sprytny jesteś – powiedziała by z uśmiechem – mierząc mu prosto w serce, przeoczyłaś jednak pewien drobiazg.” Czemu o tym nie pomyślałam? O, gdybym miała teraz taki drobiazg! Wystarczyłoby lekko pociągnąć za spust i mój wredny szwagier potoczyłby się na ścianę, gapiąc się z niedowierzaniem na strugę krwi tryskającą mu spomiędzy palców. Jeden mały ruch i po kłopotcie. Byłabym wolna.

Nie bądź naiwna, powiedziałam sobie po chwili, tak dzieje się tylko w filmach. Widziałas na własne oczy, że tutejsza policja działa dosyć szybko, a być oskarżoną o morderstwo, zwłaszcza w obcym kraju, to średnia przyjemność. To nawet lepiej, że w kieszeni masz tylko napoczętą paczuszkę miętówek i niezbyt czystą chusteczkę... Przynajmniej nie zrobisz głupstwa.

David i jego dziewczyna przestali tymczasem kłócić się po włosku, aby wspólnym wysiłkiem zawlec mnie do windy, która w ramach rehabilitacji za swoje poprzednie szusy tym razem w iście ekspresowym tempie dotarła na trzecie piętro, obwieszczając ten wyczyn serią radosnych dzwonków.

W pokoju zmuszona byłam się „ocknąć”. Ten bandyta rzucił mnie na krzesło, zerwał prześcieradło z łóżka i zaczął drzeć je na pasy. Wzbudziło to gwałtowny protest dziewczyny, więc brutalnie wypchnął ją z pokoju.

– Wynoś się stąd, głupia dziwko!

Z hukiem zatrzasnął drzwi i zaczął skręcać linę z oddartych kawałków płótna. Postanowiłam ponowić próbę perswazji – za pomocą nieco innych argumentów.

– Proszę cię, Davidzie, pozwól mi odejść, zrobię wszystko, czego zażadasz. – Powoli rozpięłam płaszcz i zsunęłam go z ramion, aby mu pokazać, że jestem tylko w bieliźnie. – Wierzę, że dojdziemy do porozumienia – szepnęłam zalotnie, przybierając kusicielską pozę.

Roześmiał się pogardliwie.

– Sprytnie, przeoczyłaś jednak pewien drobiazg.

– Jaki?



– Że jeśli cię puszczę, będziesz uchodzić za zmarłą, a jako nieboszczka nie przedstawiasz dla mnie najmniejszej wartości. Nie zrobiłbym nawet tej reklamówki – syknął, chwytając mnie za rękę. – Tak więc, jak sama widzisz, żadna to dla mnie korzyść.

Spróbowałam wyrwać mu rękę, ale trzymał ją jak w imadle.

– Ty naprawdę myślałaś, że tam, na cmentarzu, chodziło mi o twoje ciało? Widzę, że tak! Och, to doprawdy żalosne! Takiego towaru to ja mam na kopy! Chciałem zawrzeć z tobą układ, rozumiesz, służący obopólnym interesom, ale teraz już na to za późno. Teraz wiem, że nie można ci ufać.

Związał mi ręce – mój opór nie zdał się na nic.

– Ale mówiłeś...

– Owszem, czemu nie, byłby to miły dodatek – odrzekł, wzruszając ramionami. – Dobrze byłoby przekonać się namacalnie, że słodka żoneczka Harleya, jego bezcenna Cindy, to zwykła tania kurewka, ale wszystko to błędnie w porównaniu z przyjemnością, jaka czeka mnie teraz, kiedy go tu przyprowadzę. Wyobrażam już sobie jego minę!

Próbowałam coś powiedzieć, ale zakneblował mnie kawałkiem płótna, wciskając mi je między zęby.

– Coś mi mówi – dodał złośliwie – że mój drogi braciszek nie będzie już teraz tak wyrozumiały. Niech no tylko zobaczy, jak go okpiłaś!

Skończył wiązać mi knebel i z ogromną satysfakcją przyjrzał się swojemu dziełu.

– Niedługo wrócę – oświadczył. – Lepiej nie próbuj uciekać.

Oczywiście natychmiast zaczęłam próbować. Gdyby nie knebel, mogłabym przegryźć więzy na rękach, ten drań jednak założył go w taki sposób, że każdy ruch szczęką sprawiał mi ból. W poszukiwaniu czegoś ostrego – kantu czy szorstkiej powierzchni, o które dałoby się może trochę nadwerżyć linę – spróbowałam przemieścić się razem z krzesłem, lecz gdy omal nie skończyło się to upadkiem, musiałam porzucić ten pomysł. Inne również okazały się niewykonalne. Cóż za beznadziejna sytuacja!

W dodatku zrobiło mi się zimno w samym staniku i majtkach. Gdyby chociaż pozwolił mi włożyć płaszcz... Z gniewu i bezsilności zaczęłam płakać, co nie tylko nie przyniosło mi ulgi, ale jeszcze pogorszyło sytuację, gdyż kompletnie zatkało mi nos. Weź się w garść, nakazałam sobie, przestań ryczeć i myśleć. Na pewno istnieje jakiś sposób wydobycia się z tej pułapki, musisz go tylko znaleźć.

Dzwon kościelny tymczasem wybił wpół do dwunastej. Mefisto... Musiałam

przyznać, acz z wielką niechęcią, że pozostał mi już tylko on.

Wiedziałam, że czeka na moje wezwanie, nie przypuszczałam jednak, że aż tak niecierpliwie. Zaledwie zdążyłam wypowiedzieć w myślach jego imię, już stał przede mną! Po prostu wynurzył się nagle z powietrza, wzniecając przed sobą deszcz iskier. Roztarł ręce jak człowiek, który zdrętwiał po długim bezruchu, i rzucił zgryźliwym tonem:

– Właśnie się zastanawiałem, jak długo jeszcze będę musiał czekać, nim sobie przypomnisz o moim istnieniu! Uważasz, że to zabawne kazać mi tyle czasu siedzieć z założonymi rękami?

Tym razem miał na sobie czarne skórzane ubranie z mnóstwem srebrnych ćwieków, suwaków i łańcuchów; wyglądał w tym rynsztunku jak coś pośredniego pomiędzy punkiem a motocyklistą rozwożącym pilne przesyłki.

– Mmm! – Tylko tyle zdołałam powiedzieć. Wyjmij mi z ust tę szmatę!

Bez nadmiernego pośpiechu zaczął rozwiązywać knebel, przy okazji gładząc mnie po szyi. Uf! Czym prędzej wyplułam to mokre świństwo i aż zamrugałam oczami, tak zaboląła mnie szczęka.

– A teraz rozwiąż mi ręce – poprosiłam ochryple.

– Nie tak szybko. Z jakiej racji mam ci pomagać? Czy ty kiedykolwiek coś dla mnie zrobiłaś?

– Proszę! Zrobię wszystko, czego so... – urwałam nagle w pół słowa.

– *Pardon?* Nie dosłyszałem.

– ...czego sobie życzysz – dokończyłam markotnie, zła na siebie, że ładuję się prosto w zastawione sidła.

– Czas najwyższy! Masz pojęcie, ile narobiłaś mi kłopotów?

W milczeniu pokręciłam głową. Bałam się, że lada chwila pojawią się dwaj Brightmanowie. Jeśli tak się stanie, nie pozwolą mi już nigdy uciec. I co dalej? Mam żyć do śmierci z Harleyem? To byłoby straszne!

– Wydawało ci się, że pozjadałaś wszystkie rozumy – pieklil się Mefisto – że tak sprytnie zaplanowałaś ucieczkę, nowe życie i tak dalej! Ale czy choć przez chwilę pomyślałaś o mnie, o tym, jak cholernie psujesz mi karierę? Tak, moja Harriet, wpakowałaś mnie w niezłe szambo!

Z coraz większym wzburzeniem zaczął spacerować tam i z powrotem.

– Kiedy dla pieniędzy poślubiłaś tego nadętego durnia, byłem pewien, że sprawy przybrały właściwy obrót. Wydawałaś się wprost stworzona do stylu życia tych żalonych dekadentów z Beverly Hills. Bardzo dobrze, mówiłem sobie, jeszcze trochę i moja Harriet stanie się taka jak oni. Zacznie kłamać, oszukiwać,

pławić się w rozpuście, jednym słowem, dostarczy mi wkrótce dowodów ostatecznej demoralizacji. Och, ale nie, ty przecież jesteś inna! – rzucił z gryzącym sarkazmem, godząc we mnie palcem w czarnej rękawicy.

– Ty musiałaś zafundować sobie wątpliwości, jak typowa baba, w dodatku zarozumiała! Na jakiej podstawie wyobrażasz sobie, że ty akurat jesteś jakimś szlachetnym wyjątkiem, wolnym od wszelkich ludzkich ułomności?

– Ja wcale...

– Nie przerywaj mi! Musiałaś wszystko zepsuć, prawda? Dobre uczynki, stara miłość i jeszcze te bzdurne mrzonki o prawdziwym szczęściu! – Wprost wypluł to słowo, krzywiąc się przy tym ze skrajnym niesmakiem. – Myślałem, że uwięzienie w tej skalnej fortecy trochę cię wyprostuje, ale gdzie tam! Zamiast nabrać rozumu, zgłupiałaś do reszty! Czy ty zdajesz sobie sprawę, jaki numer mi wycięłaś tą swoją ucieczką? To już kompletne dno!

– Cóż moja ucieczka ma wspólnego z tobą? Co ci to szkodzi?

– Zapomniałaś, co ci mówiłem? Obserwują cię moi zwierzchnicy! Stałaś się bohaterką najpopularniejszej opery mydlanej! Wszystkich tak pasjonują te twoje błazeństwa, że nikt nie wykonuje swoich obowiązków! W zeszłym tygodniu na przykład nie dopilnowano popełnienia tylu różnych grzechów, że nawet w żadnym z waszych ministerstw nie zdarzają się takie zaniedbania!

Wyjął metalową piersiówkę z którejś ze swych licznych kieszeni i odkręcił ją nerwowym ruchem.

– A ja muszę siedzieć i słuchać, jak moi przełożeni dyskutują o tobie, wymądrzając się przy tym na temat fair play. – Przerwał, by pociągnąć wielki łyk z butelki. – Domorośli filozofowie! Przez ciebie ukuli sobie teorię, że dobre uczynki równoważą popełnione grzechy, a w twoim wypadku zaczynają je nawet przewyższać. Posunęli się w końcu do tego, aby mi sugerować, że powinienem przyznać się do porażki i zwrócić ci wolność. O, w dawnych czasach coś takiego byłoby nie do pomyślenia! Wolność! Marsz do piekła, i koniec! Wtedy i grzesznicy byli inni. Każdy wiedział, że czeka go ogień i siarka i że nikt się nad nim nie będzie rozczulał. I tak być powinno. Och, ten dzisiejszy ekliwy liberalizm! Mdło mi się od tego robi!

– Czy to znaczy, że mógłbyś zwrócić mi wolność? Naprawdę? – spytałam z nadzieją.

– Zamknij się! – wrzasnął. – Nie wiesz jeszcze wszystkiego. Narobiłaś tyle zamętu, że nawet jakiś ramol z działu personalnego, który chrapał sobie przy biurku przez ostatnie dwa tysiące lat, teraz nagle się ocknął i zaczął opowiadać

bdzury, że nie miałem prawa zawierać z tobą tego paktu, że nadużyłem władzy i tak dalej. Powoływał się przy tym na stary, powszechnie ponoć znany regulamin. Jaki regulamin? Kto go widział? Ale moi przeciwnicy od razu zwęszyli okazję. Zaczęto grzebać w archiwach, no i wygrzebano przedwieczną ustawę zabraniającą zawierania z kobietami paktu zwanego faustowskim. A czy ktoś mi o tym mówił? Nigdy, a teraz okazuje się nagle, że popełniłem przestępstwo, za które grożą najsurowsze sankcje. A wiesz jakie? Ze zostanę pozbawiony całej swojej mocy! Chcą mnie zdegradować, zrobić ze mnie zwykłego demona! – krzyknął, nie posiadając się z oburzenia. – Co ta banda biurokratów sobie myśli!! Ja miałbym przez całą wieczność kusić starsze panie, żeby pchały się pod autobusy, albo zaganiać koty na drzewa i nie pozwalać im zejść? O nie! Ja nie jestem jakimś tam podrzędnym diabłem! Jestem Mefisto...

– ...arcymonarcha i pan wszystkich duchów! – dopowiedziałam, tłumiąc wesołość.

– Za chwilę przestaniesz się śmiać, ty idiotko – powiedział nagle bardzo serio.

– Masz, lepiej się napij, nim usłyszysz, czym tobie to grozi.

– Musisz najpierw rozwiązać mi ręce.

Postawił flaszkę na stole i zaczął mozolnie rozsupływać węzeł.

– Cholera – wymamrotał, zerknąwszy na mój zegarek – niewiele zostało nam czasu.

– Na co? Westchnął ciężko.

– Ty nadal nic nie rozumiesz? Jeśli stracę nadprzyrodzone moce, czar pryśnie i oboje wrócimy do swego prawdziwego wieku. – Rozwiązał w końcu ten węzeł i wcisnął mi do ręki flaszkę. – To oznacza, Harriet, że staniesz się znowu tą starą kobietą, którą byłaś przed swoją cudowną przemianą.

– Jak to...?

– Aha, wreszcie się obudziłaś – stwierdził posepnie.

– Wiedziałem, że cię to ruszy.

Poczułam, że oczy zachodzą mi łzami. Po tym wszystkim, co przeszłam, mam wrócić do punktu wyjścia, i to akurat teraz, gdy udało mi się uciec od Harleya? Tyle trudu – i wszystko na nic? To niesprawiedliwe!

– I co? Czy nic się już nie da zrobić? – spytałam po chwili milczenia.

– Owszem, jest pewien sposób, tym razem jednak wszystko zależy od ciebie. Teraz ty musisz zrobić coś dla mnie – odrzekł enigmatycznie, wyraźnie rozkoszując się tą chwilą. – Chyba nie wycofasz się z tego, co mi zadeklarowałaś parę minut temu?

– Co mam zrobić?

– Jeszcze się nie domyśliłaś? Dano mi czas do północy na udowodnienie, że nasz pakt nie był czystą stratą sił i środków. Muszę przekonać moich przełożonych, że mimo takich czy innych odchyłek jesteś totalnie zepsuta, zaprzędana piekłu duszą i ciałem, rozumiesz?

Do północy? Obróciłam się do tyłu, aby spojrzeć na zegar ścienny – i omal nie spadłam z krzesła: zapomniałam, że nadal mam związane nogi. Pięć minut. Do północy zostało zaledwie pięć minut.

Słyszając trzask opuszczanego suwaka, spojrzałam znów na Mefista: drżącymi rękami kończył rozpinać spodnie. Twarz miał czerwoną, na szyi gwałtownie pulsowały mu nabrzmiące żyły.

– Tylko tak mogę to udowodnić – oświadczył z determinacją. – Na nic innego nie ma już czasu. – Z pośpiechem rozgarnął spodnie, z których wychynęło coś obłego i wielkiego jak zeppelin.

– Nie chcę! – wrzasnęłam dziko.

– Nie masz wyboru. Lada chwila zjawi się tu Harley. Beze mnie się go nie pozbędziesz.

– Poczekaj! – Obronnym gestem wyciągnęłam ręce, aby go odepchnąć, gdyby próbował się zbliżyć. Jaką mam gwarancję, pomyślałam, że pomożesz mi uciec, gdy przystanę na twoje warunki? Czy powrót do postaci Harriet naprawdę byłby gorszy od pożycia z Harleyem Brightmanem? Może wcale nie byłoby to takie straszne?

– Na miłość boską, Harriet! Proszę cię! – wydyszał Mefisto, padając przede mną na kolana. – Nie możesz mnie tak pogrążyć...

Wskazówki zegara powoli pełzły naprzód.

„Stańcie ruchome sfery niebios! Czas niechaj stanie, by nie przyszła północ”, zadźwięczały mi w uszach słowa Fausta.

Tak, ale Faust Marlowe'a nie miał żadnego wyboru. On od początku skazany był na potępienie, ja natomiast zrozumiałam w tym momencie, że oto dano mi szansę uwolnienia się od Harleya – pod warunkiem że starczy mi na to odwagi. Bo cena była wysoka: młodość i uroda w zamian za wolność. Czy potrafię się zdobyć na taką wymianę? Życ znów życiem Harriet, teraz gdy wiem już przecież, jak smakuje bogactwo i sława? Bałam się tego, co mnie czeka, ale na wahania nie było już czasu.

– Nie przyjmuję twojej propozycji – powiedziałam cicho, lecz dobitnie.

– Co?! – Widać było, że mi nie uwierzył. – Nie możesz się nie zgodzić!

– Ależ mogę! – Skrzyżowawszy ręce na piersiach, wyzywająco spojrzałam mu w oczy. – To ty nie możesz nic zrobić. Siłą mnie nie weźmiesz. Gwałt by się nie liczył, prawda?

Sekundy płynęły – miałam wrażenie, że słyszę, jak odchodzą w niebyt.

– Ty suko! – Z wściekłością rzucił się naprzód, jakby mnie chciał uśmiercić, lecz właśnie w tej chwili zegar na wieży kościelnej zaczął wybijać północ. Rozległ się suchy trzask, w powietrzu zawirował deszcz iskier, a Mefisto... Mefisto raptem znieruchomiał. Jakby coś osadziło go w miejscu tuż przed moim krzesłem. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu, słuchając uderzeń zegara odmierzającego powoli, acz nieubłaganie ostatnie sekundy mijającej doby: dziesięć, jedenaście, dwanaście!

Nieruchoma postać wydała zdławiony okrzyk i runęła ciężko na podłogę. W pokoju zapachniało siarką. Spojrzałam na leżącego u mych stóp Mefista i ogarnęła mnie zgroza. Zaczęły nim targać straszliwe konwulsje. Ciało na rękach i twarzy poruszało się w taki sposób, jakby pod skórą roily mu się setki owadów, głowa gwałtownie przetaczała się z boku na bok. Skurcze po chwili ustały i teraz ja z kolei wydałam przeraźliwy okrzyk: zamiast młodej urodziwej twarzy zobaczyłam oblicze zgrzybiałego starca. Z trudem otworzył bezzębne usta, z których pociekły mu strumyczki śliny.

– Niech cię szlag... – wymamrotał drżącym głosem. – Widzisz, co zrobiłaś?

Czując w całym ciele dziwne łaskotanie, spojrzałam teraz po sobie. Mefisto mówił prawdę: czar przestał działać. On wrócił do swego prawdziwego wieku – i ja również. Tyle że ja na widok znajomych kształtów – tu i ówdzie trochę obwisłych, ale jakże swojskich! – wydałam westchnienie ulgi. Nareszcie koniec koszmaru. Dobrze być znowu Harriet!

Jeszcze nie zdążyłam oswoić się z sytuacją, gdy klucz zgrzytnął w zamku i ktoś z rozmachem otworzył drzwi.

– Jest tutaj! Teraz mi wierzysz? – krzyknął David, wpadając do środka, i nagle stanął jak wryty.

– Mój Boże! – wychrypiał Harley, rozglądając się po pokoju. – Czyś ty zwariował? Przecież to jakiś burdel! Po co mnie tu przywlokłeś? Czy to jakiś obłąkany dowcip?

– Przepraszam – mruknął David, wycofując się na korytarz – musiałem pomylić pokoje.

Po krótkiej, acz gwałtownej sprzeczce z Harleyem ponownie otworzył drzwi.

– Jeszcze raz przepraszam za najście – powiedział z ubolewaniem,

spostrzegłam jednak, że myszkuje wzrokiem po kątach. Przez moment przyglądał mi się podejrzliwie, po czym z wolna pokręcił głową. – Absolutnie tego nie rozumiem. To jakaś sztuczka. Ktoś tu chce mi zrobić wodę z mózgu...

– Twoja chora wyobraźnia! – histerycznie krzyknął jego brat, z hukiem zamykając drzwi. – Czy ty nie masz serca? Nie rozumiesz, co ja dziś przeżyłem? – mówił z coraz większym oburzeniem. – Moja żona leży martwa na dnie morza, a ty mi opowiadasz wyssaną z palca historyjkę, że ona żyje! Powinieneś zbadać sobie głowę! Wiesz, kto ty jesteś? Gówniarz!

– Nie mów tak do mnie! Wypraszam sobie takie epitety!

– A mnie to gówno obchodzi! Za długo pozwalałem ci na wszystko! Robiłeś ze mną, co chciałeś, ale z tym już koniec! Od dzisiaj będzie inaczej...

Odczekałam, aż sobie pójdą, i trochę nerwowo podeszłam do lustra. Niepotrzebnie się denerwowałam. Widok znajomej twarzy wzbudził we mnie takie uczucia, jakbym po długiej rozłące odnalazła kogoś bliskiego.

– Cześć, Harriet – powiedziałam do swego odbicia. – No, no, nie rób takiej miny, przyrzekam, że tym razem będę traktować cię o wiele lepiej.

Zaczęłam się ubierać, badając przy okazji poszczególne fragmenty swego ciała. Zdumiewające, że odtworzono je tak dokładnie... Wszystko było na swoim miejscu – każda plamka, każda najmniejsza zmarszczka. Dziwiłam się teraz sama sobie: z jakiego powodu tak chciałam się pozbyć tej swojej cielesnej powłoki? Nie była doskonała, ale przecież służyła mi wiernie przez długie pięćdziesiąt lat. Nigdy mnie nie zawiodła, a ja, niewdzięczna, wymieniłam ją na nowszy model.

Podchodząc do szafy po resztę rzeczy, uświadomiłam sobie z przyjemnością, że kostka już mnie nie boli i że czuję się naprawdę doskonale. Tak krzepko i zdrowo jak nigdy w ciągu ostatnich miesięcy.

Mefisto nadal leżał na podłodze. Z rozpiętego rozporoka żałośnie wyzierały smętne resztki dumnego zeppelinu. Kiedy pociągnęłam go za rękaw, by sprawdzić, czy żyje, jęknął cicho.

– Wstawaj, dziadku. – Litościwie pomogłam mu usiąść. – Masz, pokrzep się trochę i oporządź – powiedziałam, wtykając mu w rękę piersiówkę. – Musimy się stąd ulotnić, jeśli chcemy uniknąć kłopotliwych pytań. Chyba już nie umiesz przenikać przez mury, będziesz więc musiał doczłapać do windy. Mam ci pomóc?

## ROZDZIAŁ 20

Zabrałam Mefista do baru przy promenadzie, gdzie zamówiłam dwie duże grappy.

– Nie zostawiaj mnie tutaj – wychrypiał, ściskając kurczowo szklanekę w pomarszczonych palcach. Ledwie starczało mu siły, żeby ją podnieść do ust. – Nie umiem nawet... – Resztę wymamrotał tak słabym szeptem, że nie dosłyszałam.

– Czego nie umiesz? – Pochyliwszy się naprzód, poczułam, że bije od niego niemiły odór zgnilizny. Jakby już się zaczynał rozkładać.

– ...nawet mówić po włosku – wydyszał. Powoli sięgnął ręką do swej chudej szyi i niespokojnie obmacał obwisłe fałdy pomarszczonej skóry. Z każdą chwilą wydawał się starszy.

– Powinieneś był pomyśleć o tym wcześniej. Na naukę miałeś dosyć czasu – odrzekłam, podnosząc szklanekę.

– Na zdrowie!

– Ależ Harriet...

– Muszę już iść – powiedziałam twardo, kładąc na stole garść monet. – Tyle powinno wystarczyć za drinki. Przykro mi, Mefisto, ale teraz już musisz radzić sobie sam.

Zaczął wywijać rękami, rozpaczliwie usiłując mnie zatrzymać, nie potrafił już jednak nawet sam się podnieść. Wyczerpany swą chybioną akcją osunął się ciężko na krzesło, łapiąc powietrze jak ryba.

– Poczekaj... – wydyszał gniewnie.

– Bywaj, dziadku – rzuciłam z uśmiechem. – I lepiej się nie nadwerężaj!

Idąc promenadą na postój taksówek, stwierdziłam z ulgą, że mężczyźni przestali się za mną oglądać. Nikt już nie zwracał na mnie uwagi. Byłam teraz zwykłą kobietą w średnim wieku, anonimową i tak pospolitą, że aż niewidzialną.

Znalazłam kierowcę znajomego na tyle angielski, że mogłam się z nim potargować o stawkę za kurs do Genui. Kiedy dobiliśmy targu, pozostało mi jeszcze akurat tyle pieniędzy, że starczyło na bilet lotniczy do Anglii. Jako Cindy nie miałabym odwagi lecieć samolotem; okazując jej paszport, zostawiłabym po sobie zbyt wyraźne ślady. Zamierzałam przejechać pociągiem całą trasę z Genui do kanału La Manche, licząc, że po drodze zdołam jakoś rozwiązać kłopotliwy problem: w jaki sposób dostać się do Anglii bez paszportu? Teraz nie musiałam



się tym martwić – jako Harriet mogłam podróżować dowolnym środkiem lokomocji.

Wolałam siedzieć do rana na genueńskim lotnisku, niż spędzić resztę nocy w Santa Margherita. Chciałam jak najprędzej wyruszyć do domu – pierwszym porannym lotem do Londynu.

Przejeżdżając obok baru, spostrzegłam w ogródku skuloną postać Mefista. Siedział nieruchomo w tej samej pozycji, w której go zostawiłam. Gdyby był człowiekiem, pomyślałabym, że już nie żyje, ale on przecież był diabłem...

Dzień później wczesnym popołudniem byłam już w domu. Odebrałam z przechowalni walizkę z nieodpowiednimi teraz dla mnie rzeczami Cindy i rażnym krokiem ruszyłam na wzgórze. Na High Street jak zwykle o tej porze roilo się od ludzi objuczonych torbami pełnymi zakupów. Wszystko wyglądało tak swojsko! Ciepłe promienie słońca odbijające się w szybach wystawowych i gładkich kamieniach bruku niosły zapowiedź bliskiego już lata. Mimo zmęczenia poczułam przypływ optymizmu; nikt mnie nie ściga, jestem wolna, mogę znów decydować o sobie i swoim życiu. Gdybym pozostała w skórze Cindy, byłoby to niemożliwe. Podjęłam właściwą decyzję!

W mieszkaniu nic się nie zmieniło od mojej ostatniej wizyty – na wycieracze pojawiła się tylko nowa kupka brązowych kopert. Elektrownia, gazownia, wodociągi, zakład oczyszczania miasta domagały się zapłaty za swoje usługi, grożąc rychłym ich zawieszeniem w razie niedopełnienia tego obowiązku. Gospodarz żądał uiszczenia czynszu. Wrzuciłam to wszystko za stertę książek i poszłam prosto do łóżka. Rachunki mogą poczekać – mam ważniejsze rzeczy do zrobienia. Nie wpada się w panikę z powodu pisma z gazowni, kiedy człowiek wyrwał się ze szponów samego diabła.

Spałam jak suseł od popołudnia do rana, a potem długo moczyłam się w wannie, wyobrażając sobie, że razem z wodą i mydłem spływają ze mnie wszystkie przeżycia ostatnich miesięcy. Ukończywszy ten swoisty rytuał oczyszczający, zaczęłam wałęsać się nago po mieszkaniu, rozkoszując się jakże wspaniałym uczuciem, że mogę znów robić wszystko, co mi się żywnie podoba! Samotność, której kiedyś tak nienawidziłam, wydawała mi się teraz istnym darem niebios.

Gdy już się tym nacieszyłam, uznałam, że pora stawić czoło światu – i poszłam odwiedzić Sally.

– Harriet! Wróciłaś! – wykrzyknęła radośnie, rzucając mi się na szyję. – A już myślałam, że nigdy cię nie zobaczę!

– Ja również – mruknęłam pod nosem.

– Ależ wspaniale wyglądasz! Ten urlop dokonał cudu! Ubyło ci dziesięć lat!

Sally trochę przesadziła, ale rzeczywiście wyglądałam lepiej niż dawna Harriet. Miałam teraz znacznie zdrowszą cerę i zupełnie inny wyraz twarzy. Zniknęło z niej wieczne zniechęcenie i gorycz. Nic dziwnego – chciało mi się żyć.

– Och, Harriet, mam ci tyle do powiedzenia! Po twoim wyjeździe trochę się tutaj zmieniło – powiadomiła mnie Sally, gdy zasiadłyśmy do pogawędki.

Po raz wtóry wysłuchałam opowieści o burzliwym rozstaniu z Duncanem, tym razem jednak mogłam we właściwy sposób reagować na jej wyznania.

– Och nie, nie musisz mi aż tak współczuć – zaprotestowała ze śmiechem. – Z początku faktycznie było mi ciężko, ale najgorsze mam już za sobą i wiesz, co ci powiem? Nie tylko za nim nie tęsknię, ale zaczynam czuć się szczęśliwsza niż kiedykolwiek!

– Dlaczego nic mi nie mówiłaś? Byłam pewna, że jesteś z nim szczęśliwa. Sprawialiście wrażenie idealnej pary.

– Wiesz, jak to jest... Nikt nie lubi przyznawać się do porażki.

– Nie masz pojęcia, jak ci zazdrościłam – powiedziałam impulsywnie.

– Ależ Harriet – Sally zrobiła wielkie oczy – to ja zazdrościłam tobie! Byłaś taka niezależna, a ja... Ja tkwiłam w tym rozpadającym się małżeństwie, uczepiona rękami i nogami takiego gnojka jak Duncan, bo... wstyd mi to teraz przyznać, bałam się zostać sama... – Zamilkła bezradnie, prosząc mnie wzrokiem o wsparcie.

– Och, Sally, nie ma się czego wstydzić.

– Wiesz, gdyby nie ty, chyba bym nie miała odwagi go rzucić. Zrobiłam to tylko dzięki temu, że byłaś dla mnie przykładem. Chciałam być panią siebie, decydować o swoim losie, zamiast wciąż liczyć na to, że ktoś inny rozwiąże moje problemy. Byłam pewna, że tobie nikt taki nie jest potrzebny i że jest ci z tym bardzo dobrze. No i popatrz – westchnęła – po tym, co mi powiedziałaś, widzę, że się myliłam. Przez myśl mi nie przeszło, że możesz być nieszczęśliwa. Nadal tak jest?

– Teraz już nie – odrzekłam z uśmiechem. – Ten wyjazd pomógł mi zrozumieć wiele rzeczy... Nauczyłam się inaczej patrzeć na życie.

– Czekał, zapomniałam ci o czymś powiedzieć! Ta Amerykanka, którą poznałaś na Barbados, pani Brightwater czy jakoś tak, była niedawno u mnie i wyobraź sobie, obiecała mi robotę! Na razie nic jeszcze z tego nie wyszło, ale kto wie... Och, Harriet, to strasznie miło z twojej strony, że zechciałaś mnie polecić tej

pani! Możesz mi zdradzić, co takiego jej powiedziałaś, że wybrała akurat mnie? Musiało to zrobić na niej wrażenie!

– Och, nic wielkiego, powiedziałam jedynie prawdę. – Poczułam się winna, że nie załatwiłam tej sprawy z Harleyem. Szkoda. Sally będzie zawiedziona. – A co do rekomendacji... Jestem pewna, że ty na moim miejscu zrobiłabyś dla mnie to samo.

– Czy Andrew wie, że wróciłaś? – spytała Sally, spoglądając na mnie znacząco. – Wyobrażam sobie, jaki będzie uszczęśliwiony, kiedy cię zobaczy!

– Nie, jeszcze nie wie, ale wkrótce się dowie – teraz ja uśmiechnęłam się znacząco. – Chcę mu zrobić niespodziankę.

Najpierw jednak musiałam odwiedzić bibliotekę. Z tym miejscem wiązało się tyle wspomnień. Czulałam, że muszę się z nimi zmierzyć.

– Harriet! – usłyszałam radosny okrzyk, gdy następnego ranka ostrożnie zajrzałam do wypożyczalni.

Podekscytowana Cynthia Hoskins czym prędzej podniosła klapę kontuaru i wetknąwszy swój datownik w rękę pomocnicy, wybiegła mi na spotkanie.

– Gdzieś ty była? Wszyscy zachodziliśmy w głowę, co się z tobą stało!

– Nie wiedziałam, że pracownik wysłany na emeryturę ma obowiązek spowiadać się ze swych poczynań – odrzekłam oschle.

Cynthia spłonęła rumieńcem.

– Och, moja droga, to był straszny błąd. Nie masz pojęcia, jak wszyscy za tobą tęsknimy! Wiedzieliśmy od początku, że ta panna „gorące majtki” tak nadaje się do tej roboty jak ja do baletu i oczywiście mieliśmy rację...

– Panna „gorące majtki”?

– No, ta mała zołza, Annette Baker – zachichotała Cynthia. – Pamiętasz, jak kręciła tyłkiem? Wszyscy po cichu tak ją nazywali. A kiedy ten skandal trafił do gazet...

– Jaki skandal?

– Musiałaś przecież o tym czytać! „Advertiser” wywalił artykuł na całą pierwszą stronę! Och – zająknęła się nagle, widząc moją minę – chcesz powiedzieć, że ty nic nie wiesz?

– O czym? – spytałam, tłumiąc niecierpliwość. – Zapomniałaś, że mnie tu nie było? „Surrey Advertiser” nie dociera jeszcze do LA.

– LA? Byłaś w Los Angeles? – Cynthia szeroko otworzyła oczy. – Och, Harriet, musisz wszystko mi opowiedzieć!

– Najpierw ty mnie. – Jeśli cokolwiek się tu zmieniło, to na pewno nie

Cynthia Hoskins. Nigdy nie umiała przejść prosto do rzeczy.

– Och, no dobrze. Więc tak: dział „Życie i nauka” został zlikwidowany. Chodźmy, zaraz ci pokażę! – zawołała, biorąc mnie pod ramię. – Ach, gdzie ja mam głowę, ty przecież nie widziałas, jak to wyglądało za rządów tej Baker, więc nie zauważysz różnicy... Wszystko wróciło do takiego stanu, jaki istniał przed twoim odejściem.

Rzeczywiście. Cały obszar dawnego królestwa panny Baker zajmowały znów półki z książkami, a jedynym śladem jej działalności były sfatygowane rośliny doniczkowe, ustawione w dodatku tak niefortunnie, że nieuważny czytelnik mógł łatwo się o nie potknąć.

– Nie mieliśmy serca ich wyrzucić – wyjaśniła Cynthia tonem usprawiedliwienia – a nowy kierownik lubi rośliny, więc niech sobie stoją.

Nowy kierownik? Kosztowało mnie to trochę trudu, ale w końcu wyciągnęłam z mej wszystkie szczegóły. Miałam racje co do tej małej zdziury! Ona i były kierownik zostali przyłapani *in flagranti* przez żonę pana kierownika, którą dosyć szybko zaczęły niepokoić jego późne powroty z pracy. Okazało się, że sofa w dziale „Życie i nauka” służy bynajmniej nie służbowym celom. Kiedy miejscowa gazeta ujawniła te gorszące fakty, oburzeni obywatele Guildfordu zażądali natychmiastowej kontroli całej działalności biblioteki. Wtedy to wyszło na jaw, że w sieci komputerowej panuje totalny bałagan. Praktycznie rzecz biorąc, system przestał funkcjonować.

– Okazało się, że to ona narobiła takiego bigosu. A taka była mądra! – pogardliwie stwierdziła Cynthia. – Zniknęła połowa głównego katalogu, wyobrażasz sobie? Znaczna część kartoteki czytelników również. Musieliśmy wrócić do ręcznego wypełniania kart, co mnie osobiście nawet odpowiada. Ja tam wolę starą pocziwą kartę od tych wymyślnych nowinek.

Poczułam się cholernie winna. Nie przypuszczałam, że kasując parę plików panny Baker, narobię aż takich szkód. Swoją drogą jak się to mogło stać?

– No więc mamy tu teraz istne urwanie głowy! – kontynuowała Cynthia. – Kierownik wciąż jeszcze nie znalazł nikogo na miejsce Baker, a sam jest taki zajęty porządkowaniem sieci, że nie ma nawet czasu tak zaplanować dyżurów, żeby człowiek wiedział, na czym stoi. Mówię ci, nikt teraz nie wie, od której do której pracuje!

– Poczekaj, więc Annette Baker odeszła?

– Tak, z miejsca ją wywalono – odrzekła Cynthia nie bez satysfakcji – i nikt tutaj za nią nie płacze.

– A ja myślałam... – że wszyscy ją lubią. Nie powiedziałam tego głośno, bo zaczęłam zdawać sobie sprawę, że moje dawne sądy o świecie i ludziach nie zawsze chyba były trafne. Gdybym nie była taka zgorzkniała, tak pełna żalu nad sobą, na wiele rzeczy patrzyłabym pewnie inaczej. Może by się nawet okazało, że nie wszyscy są mi nieżyczliwi.

– Och, Harriet, właśnie coś przyszło mi na myśl! Przecież ty byś mogła do nas wrócić! Tak świetnie radzisz sobie z komputerem, znasz cały system i w ogóle... Ty byś umiała dojść z tym do ładu! To praca w sam raz dla ciebie!

– Myślisz, że to możliwe? – Prawda, że potrzebowałam pracy, ale o powrocie do biblioteki nie śmiałam nawet marzyć.

– Ależ tak! Ten nowy kierownik to bardzo przyzwoity człowiek! – żarliwie zapewniła mnie Cynthia. – Chodźmy do niego! Co ci szkodzi spytać...?

Wychodząc po godzinie na ulicę, mogłam sobie powiedzieć, że mój pobyt w szeregach bezrobotnych niebawem dobiegnie końca. Gdy tylko zarząd biblioteki zatwierdzi mą kandydaturę, co zdaniem nowego szefa było czystą formalnością, zostanę przywrócona do pracy, i to na jakich warunkach! Przedtem byłam tylko szeregową bibliotekarką, a teraz miałam objąć nowo utworzone stanowisko głównej specjalistki do spraw informatyki, z pensją znacznie przewyższającą moje poprzednie zarobki, co – nie ukrywam! – jeszcze bardziej poprawiło mi nastrój.

Zadzwoiłam do Andrew, lecz kiedy podniósł słuchawkę, natychmiast odwiesiłam swoją. Chciałam się tylko upewnić, że jest w domu, i od razu złożyć mu wizytę, bez czekania na zaproszenie. Tak było kiedyś. Teraz nie zamierzałam tracić na to czasu.

– Dobry Boże, Harriet! Myślałem, że już nie wrócisz! – wykrzyknął na mój widok, po czym zamilkł na dłuższą chwilę. Patrzył tylko na mnie takim wzrokiem, jakby nagle zobaczył ducha.

Poczułam, że opuszcza mnie pewność siebie. Może przyszedłam nie w porę, może nie jest sam...?

– Mogę przyjść kiedy indziej, jeśli jesteś zajęty...

– Och nie, skądże! Proszę cię, wejdź! – Z pośpiechem odstąpił na bok, aby mnie wpuścić do holu. – Ja po prostu... Po prostu mnie zaskoczyłaś. Tyle czasu nie dawałaś znaku życia... Gdzieś ty była, na litość boską?

– Och, trochę podróżowałam... Los Angeles, Barbados i tak dalej.

– Barbados? – powtórzył z osłupieniem. – O nieba, aż tam cię zaniósł? Nie wiedziałem, że masz w sobie tyle fantazji... No, no, musiała to być ogromna

odmiana po starym i nudnym Guildfordzie.

– Rzeczywiście – rzuciłam z uśmiechem.

– Świetnie ci to zrobiło. W pierwszej chwili prawie cię nie poznałem... wyglądasz o dziesięć lat młodziej – dodał z pewnym zakłopotaniem.

Nie przybyło mi od tego pewności siebie, przeciwnie, przyszło mi na myśl, że gdy ostatnio oglądałam ten pokój, byłam młodą i piękną dziewczyną, a teraz... teraz jestem znowu starą platoniczną przyjaciółką Andrew. I co dalej? Powrócimy do dawnych stosunków – pieczenia placuszków i rozmów o literaturze – a ja nadal nie będę umiała tego zmienić? A już mi się wydawało, że stałam się inną Harriet, która nie popadnie w swoje dawne błędy, myślałam, błędząc wzrokiem po zimnym kominku i wielkim drewnianym widelcu leżącym na palenisku. Poczułam, że go nie lubię; był nieodłącznym elementem naszych rytuałów towarzyskich, które tylko niepotrzebnie zaprzętały Andrew, utrudniając nam przez to prawdziwe porozumienie. Zamiast zająć się sobą, piekliśmy placuszki.

– Napijesz się herbaty? – spytał Andrew, nerwowo skubiąc wyrośniętą brodę. Dawno jej już chyba nie przycinał.

– Czy na pewno ci nie przeszkadzam? – Spojrzałam wymownie na stertę papierów piętrzącą się na stoliku.

– Och, nie! To może poczekać – odrzekł ze śmiechem, w którym jednak wyczułam odrobinę zakłopotania. Czyżby coś sobie przypomniał? Te wieczory, kiedy dawał mi do zrozumienia, że powinnam już sobie iść?

Widząc, jak ustawia na stole swe herbaciane przybory, pomyślałam ze szczyptą ironii, że nie ma w tym nic z preludium do powieściowej sceny miłosnej, zaś on sam, zaniedbany, starzejący się mężczyzna po uszy zagrzebany w książkach, w niczym nie przypomina romantycznego amanta – a jednak ogarnęła mnie ogromna czułość. Jak bardzo ten staroświecki, niedbale ubrany Andrew różnił się od Harleya! Dla niego liczyły się nie etykiety z nazwiskami słynnych projektantów – pewnie by nawet nie wiedział, co to za ludzie – ale rzeczy nieporównanie ważniejsze, takie, o jakich Harley nie miał bladego pojęcia. No, choćby książki. Książki Andrew miały sfatygowane okładki, mnóstwo luźnych kart i oślich uszu, ale on by nie mógł bez nich istnieć, a jaką wartość przedstawiały dla Harleya te nieskazitelnie czyste, kosztownie oprawne tomy, leżące grzecznie na półkach? Wyłącznie merkantylną.

Mój Andrew... Przez całą drogę z Genui wyobrażałam sobie, jak to będzie, kiedy się spotkamy. Myślałam o tym z nadzieją, lecz i pewną dozą niepokoju. To, co powiedział Cindy, dodawało mi otuchy, jednakże cały ten incydent przyprawiał

mnie o sprzeczne uczucia. Tym starannie próbowałam przygotować się na to spotkanie. „Wyreżyserowałam” je w myślach, powtarzając po wielokroć wszystko, co mu powiem, co on powie mnie i czym się to skończy. Każde z tych zakończeń wyglądało trochę inaczej, ale wszystkie były szczęśliwe, a teraz gdy naprawdę byliśmy już bliscy szczęśliwego finału, sprawa nagle utknęła w martwym punkcie. On krzątał się nerwowo koło stołu z tym śmiesznym czajnikiem w ręku, a ja patrzyłam na niego – i nie mogłam wykrztusić słowa! Dlaczego on nic nie mówi? Może to, co wyjawiał Cindy, przestało być aktualne? Od tego czasu mógł przecież związać się z inną kobietą. Może wróciłam za późno?

Przypadkiem spojrzałam znów na ten widelec i nagle uświadomiłam sobie, że zaczynam wpadać w stare koleiny. Wahania, wątpliwości, obawy! Czyż nie one stały się przyczyną moich niepowodzeń? Do Ucha, jeśli nic nie powiem, wszystko pozostanie po staremu, a ja będę nadal dawną zakompleksioną Harriet! Trzeba coś zrobić.

– Andrew – powiedziałam miękko, biorąc go za rękę – zostaw tę herbatę. Mam ochotę na coś innego. Łagodnie objęłam go wpół, przyciągnęłam do siebie i pocałowałam w usta. Na moment zeszytniał; trwało to może sekundę, ale ja w tym czasie zdążyłam już prawie wpaść w rozpacz: cóż ze mnie za idiotka! Uroiłam sobie, że mnie kocha, zrujnowałam naszą przyjaźń, to koniec! I wtedy nagle oddał mi pocałunek.

– Harriet – szepnął, oplatając mnie ramionami – moja najdroższa Harriet.

Zatoczyliśmy się na stolik, strącając z tacy filiżankę, którą jednak w ostatniej chwili udało mi się uratować. Wyjął mi ją z ręki i wrzucił do kosza na śmieci.

– Do diabła z herbatą! A ze mnie skończony cymbał! Tyle lat parzyłem tę głupią herbatę, zamiast robić całkiem co innego!

Kochaliśmy się na sofie – z tak zdumiewającym brakiem skrępowania i wszelkiej troski o nieromantyczne szczegóły, że nawet nie przyszło mi na myśl zastanawiać się nad tym, czy mój ukochany zdjął skarpetki.

– Kocham cię, Harriet – wyszeptał.

– Ja ciebie też. – Tak, to była prawdziwa miłość, coś zupełnie innego niż związek z Harleyem, niż te fałszywe uczucia, które swoimi sztuczkami wyzwała we mnie Mefisto. Nareszcie byłam szczęśliwa. Ktoś w końcu docenił mnie z właściwych przyczyn, ktoś, kto naprawdę wiedział, jaka jestem. Mój Andrew.

Pozwoliłam mu później zaparzyć świeżą herbatę.

– Wyjdiesz za mnie? – zapytał, podając mi filiżankę.

– Nie.

– Jak to...? – Widać było, że sprawiłam mu przykrość.

– Kocham cię, Andrew, ale może spróbujemy pożyć z sobą najpierw bez tych formalności? Zobaczmy, jak nam pójdzie. Chyba nie myślisz, mój drogi – dodałam żartobliwie – że przez wszystkie te lata marzyłam jedynie o praniu twoich skarpetek?

Może tylko tak mi się zdawało, ale miałam wrażenie, że przyjął to z wyraźną ulgą.

– Oboje potrzebujemy własnej przestrzeni życiowej – powiedziałam już serio.

– Wiesz, ta podróż nauczyła mnie wielu rzeczy.

– Cóż, może rzeczywiście byłaby to dla nas zbyt radykalna zmiana trybu życia i przyzwyczajzeń. Czy wobec tego pozwolisz zaprosić się na kolację?

Oczywiście że pozwoliłam. Wspólne kolacje zdarzały nam się i dawniej, ta jednak była całkiem inna. Bliskość fizyczna sprawiła, że stopniała cała rezerwa, która zawsze dotąd zamykała usta zarówno mnie, jak i jemu. W ciągu tego jednego wieczoru dowiedziałam się o Andrew znacznie więcej niż przez dziesięć lat naszej przyjaźni. Zrozumiałam, że swoim zwyczajem wyposażałam go w typowo powieściowe cechy. Widziałam w nim przystojnego, z lekką ekscentrycznego profesora uniwersytetu, który zna odpowiedzi na wszystkie możliwe pytania. Wierzyłam przy tym naiwnie, że gdy nawiążę z nim bliższe stosunki, natychmiast w czarodziejski sposób uzyskam dostęp do jakiejś tajemnej skarbnicy, z której Andrew czerpie mądrość życiową, i że od tej chwili stanę się tak silna, samowystarczalna i pewna siebie jak on. O tym, że byłam w błędzie, przekonała mnie dopiero ta kolacja. Okazało się, że Andrew czuje się równie samotny jak ja, że nękają go te same lęki, że tak naprawdę wcale się od siebie nie różnimy. Zrozumiałam, że nasz związek nie stanie się cudownym remedium na moje życiowe kłopoty, czułam jednak, że u boku Andrew łatwiej mi będzie je znieść.

Na zmartwienia już wkrótce zabrakło mi czasu. Przyjęto mnie do biblioteki, gdzie od razu wpadłam w wir pracy. Zadanie, które mi powierzono, było wystarczająco trudne, aby zmobilizować całą mą ambicję, i pewnie dlatego zaczęło mi sprawiać wielką satysfakcję. Po raz pierwszy w życiu autentycznie cieszyło mnie to, co robię. Odkąd udowodniłam, że znam się na rzeczy, zaczęto traktować mnie całkiem inaczej niż dawniej. Zyskałam ogólny szacunek.

Przekonałam się z ulgą, że nie ja jedna ponoszę winę za tę fatalną awarię. Skasowanie kilkunastu plików było zupełnym drobiazgiem w porównaniu ze szkodami, których narobiła Annette Baker, próbując nieudolnie ukryć ich



zniknięcie. Odbudowa całego systemu wymagała wiedzy i umiejętności, których nie uczono mnie na żadnych kursach; do wszystkiego musiałam dojść sama, studiując w wolnym czasie wszelkie dostępne podręczniki, lecz o dziwo, okazało się to znacznie łatwiejsze, niż mogłam przypuszczać na podstawie tego, co mi mówili koledzy.

– To doprawdy zadziwiające, że tak szybko zorientowała się pani, co tu trzeba zrobić – stwierdził z podziwem nowy kierownik. – Sam próbowałem trochę w tym podłubać – dodał, zerknąwszy na ekran zapisany szeregiem poleceń – muszę jednak uczciwie przyznać, że te urządzenia to dla mnie tak naprawdę wciąż czarna magia.

Był sympatycznym mężczyzną po trzydziestce o świeżej twarzy naiwnego chłopca. Z tego, co wiedziałam od kolegów, miał dwie życiowe pasje: botanikę i archeologię.

– Nie mam pojęcia, jak to pani robi! – Starsi członkowie naszego zespołu na ogół dość niechętnie odnoszą się do nowych technologii, nie lubią też zmieniać metod pracy. Często cytują mi znane przysłowie, że starego psa nie da się nauczyć nowych sztuczek.

– Proszę w to nie wierzyć. Ludzie się zmieniają. Na pana miejscu nie dyskwalifikowałabym ich tak szybko. Jestem pewna, że bardzo by się pan zdziwił, do jakiego stopnia potrafiliby się zmienić pańscy pracownicy, gdyby rzeczywiście tego chcieli. Wszystko jest kwestią nastawienia.

Tak, ale zmienić nastawienie wcale nie jest łatwo – mój szef w zasadzie miał rację. Ileż to lat ja sama byłam wciąż na „nie”. Musiałam dopiero spotkać się z diabłem, żeby wyrwać się z zakłętego kręgu czarnowidztwa i beznadziei. Współczułam teraz kobietom podobnym do dawnej Harriet. Och, gdybym mogła podzielić się z nimi swoimi doświadczeniami! Powiedziałabym tym smutnym istotom, że mają przed sobą mnóstwo możliwości, trzeba je tylko dostrzec. Pragnęłam je przekonać, że to mało ważne, jaką się ma powierzchowność, bo liczy się tylko prawdziwe piękno, to, które płynie z wnętrza.

Ja miałam szczęście – mogłam przekonać się o tym w najlepszy z możliwych sposobów, po prostu na własnej skórze. To, że przez chwilę żyłam życiem garstki bogatych i możnych, niewolniczo hołdujących współczesnym kanonom urody, pozwoliło mi zrozumieć, jak bardzo myliłam się przez całe lata. Myślałam, że młodość i uroda automatycznie gwarantują szczęście. Tam, w owym świecie pozorów, zobaczyłam, że wcale tak nie jest.

Mefisto, zapewne niechcący, wyświadczył mi jeszcze jedną przysługę.

Z obawy, że dwukrotna transformacja mogła pozostawić po sobie jakieś negatywne skutki fizyczne, poddałam się gruntownym badaniom lekarskim, które jednak ku wielkiej mej uldze nie wykazały nic złego. Znajoma lekarka, osoba po pięćdziesiątce, radziła mi tylko jak zwykle trochę przyhamować z picciem.

– Jest pani w znakomitej formie jak na swój wiek. Nie widzę też nic takiego, co by mogło w najbliższym czasie wywołać jakieś kłopoty – stwierdziła, przeglądając raz jeszcze wszystkie moje wyniki na ekranie komputera. – Powiem nawet, że ma pani znacznie więcej szczęścia niż przeważająca część kobiet. Żadnych problemów z menopauzą! Przebyła ją pani w rekordowym tempie.

Popatrzyłam na nią ze zdumieniem.

– Menopauza? Nie miałam żadnych objawów...

– Chciałabym być na pani miejscu – odrzekła smętnie. – Och, gdyby pani wiedziała, jak dokuczliwe są te nagłe uderzenia krwi, te bóle głowy, to uczucie, że człowiek nosi w sobie bombę, która lada chwila eksploduje! Ale panią to szczęśliwie ominęło. Proszę mi wierzyć, kobieta, która ma to za sobą, może teraz dopiero naprawdę cieszyć się życiem. Życzę powodzenia!

Pewnego dnia zadzwoniła Sally, tak podekscytowana jak chyba nigdy.

– Pamiętasz tę Amerykankę, o której ci opowiadałam? No tę, którą poznałaś na Barbados!

Przytaknęłam trochę nerwowo: czyżby miały mnie dopaść jakieś reperkusje mojego małżeństwa z Harleyem? Nie, to chyba niemożliwe.

– Och, Harriet, ja dopiero teraz skojarzyłam sobie, kim ona była! – wykrzyknęła Sally. – To przecież ta słynna modelka, co parę miesięcy temu tragicznie zginęła w wypadku, no wiesz, twarz Lapinique! Nie od razu przyszło mi to na myśl, bo źle zapamiętałam nazwisko. Nazywała się Brightman, a nie Brightwater. Ale ty, Harriet, musiałaś przecież to wiedzieć! Czemu mi nie powiedziałaś?

– Sama nie wiem... – skłamałam nieudolnie. – Jakoś... wypadło mi to z głowy.

– Och, Harriet, jesteś beznadziejna! – Sally parsknęła śmiechem. – I za to cię kocham. Ale wracając do pani Brightman. Jej mężem był Harley Brightman, ten milioner, właściciel firmy Lapinique. Wszystkie gazety rozpisywały się o tym, jak zakochał się w zwykłej kelnerce, a później ją poślubił i zrobił z niej supermodelkę. Zupełnie filmowa historia! Podobna do...

– „Pretty Woman”? – podrzuciłam z uśmiechem. Nie miałam pojęcia, że Sally tak pilnie śledziła moją karierę.

– Skąd wiedziałaś, że mam na myśli akurat ten film? Aha, dałaś się przyłapać!

Teraz mi chyba nie powiesz, że nie znasz historii Cindy Brightman? – zawołała. – Wiem, że zaraz zaczniesz się tego wypierać, ale idę o zakład, że ukradkiem pochłaniasz rubryki towarzyskie tak samo namiętnie jak wszyscy!

– Może faktycznie jakaś wzmianka wpadła mi w oko... Ale czemu opowiadasz mi to wszystko? Coś się stało?

– Tak! Nie zgadniesz, kto do mnie zadzwonił! Harley Brightman! Wyobrażasz sobie? Chce całkiem od nowa urządzić swój dom w Beverly Hills i wiesz, kogo zaangażował? Mnie! Pewnie to prawda, co mówiła jego żona, że angielscy wnętrzarze są tam teraz w modzie. Podobno przeglądając rzeczy zmarłej, natrafił na moją wizytówkę.

Mimo woli poczułam się winna na myśl o Harleyu blakającym się samotnie po wielkim dziwnym domu. Czy dlatego postanowił odmienić to wnętrze, że zbyt boleśnie przypominało mu Cindy?

– Lecę tam w przyszłym tygodniu zobaczyć, jak to wygląda – oświadczyła Sally. – Wszystkie koszty oczywiście pokrywa mój zleceniodawca. Och, Harriet, nie masz pojęcia, jaka jestem podekscytowana! Tak długo próbowałam wystartować o własnych siłach i jakoś mi nie szło, a teraz nagle taka szansa! Nareszcie dopisało mi szczęście!

– Ogromnie się cieszę. – Była to szczerza prawda.

– Wiesz, dziwni są ci bogacze. Na grobie tej Cindy jeszcze trawa dobrze nie wyrosła, a on już się ożenił. Ta nowa pani Brightman, nawiasem mówiąc, ma dość prostackie pomysły, jeśli chodzi o urządzenie domu. Wszędzie chce mieć złocenia, czerwone aksamity i inne tandetne ozdóbki. No cóż, jej sprawa, nie mogę się tylko nadziwić, dlaczego ci milionerzy mają zawsze taki kiepski gust.

Harley się ożenił? Z kim? Na moment zamilkłam ze zdumienia, ale już po sekundzie byłam prawie pewna, że wiem, kto został nową panią Brightman. W grę mogła wchodzić wyłącznie jedna osoba.

– Słuchaj, Sally... ta nowa żona... Nie wiesz przypadkiem, jak ma na imię?

– Czemu cię to interesuje? Zaraz, poczekaj, chyba gdzieś to sobie zapisałam... Muszę poszukać. – W słuchawce zapadła cisza, po czym dał się słyszeć szelest przerzucanych kartek. – Hej, Harriet, znalazłam – oznajmiła po chwili Sally. – Ma na imię Patricia. Pani Patricia Brightman. Och, wyobrażam ją sobie! To pewnie dziedziczka jakiejś bajecznej fortuny, no wiesz, dobrze urodzona.

Patricia? Parsknęłam śmiechem. Trish nie zasypiała gruszek w popiele! Musiała ostro zabrać się do rzeczy!

– Co cię tak rozbawiło? – Nie byłam w stanie odpowiedzieć, bo ze śmiechu

omal nie dostałam czkawki. – Ej, Harriet, co się z tobą dzieje? – zaniepokoiła się Sally. – Czy aby dobrze się czujesz?

Następnego ranka bardzo owocnie spędziłam godzinę, myszkując w międzynarodowych archiwach prasowych poprzez świeżo zainstalowane łącze Internetu. Do tej pory powstrzymywały mnie przed tym jakieś zabobonne lęki, teraz jednak czułam się na tyle silna, że mogłam spokojnie zapoznać się z reakcją opinii publicznej na śmierć Cindy Brightman.

Nagłówki brzmiały dramatycznie: „Śmiertelny wypadek słynnej modelki Lapinique”. „Tragiczny koniec małżeństwa z bajki”. „Prawdziwa Pretty Woman ginie w katastrofie”.

Opisy samego zdarzenia były niezwykle oszczędne. Jadąc niebezpieczną górską drogą, Cindy Brightman straciła w pewnej chwili kontrolę nad wozem i niestety runęła w przepaść. To wszystko. Nigdzie nie znalazłam najdrobniejszej wzmianki o przyjęciu i gumowej lalce ani żadnych spekulacji na temat pewnej kobiety, dziwnie podobnej do Cindy, którą tej samej nocy musiało przecież widzieć kilku mieszkańców Santa Margherita. Wyglądało na to, że ktoś zadał sobie sporo trudu, aby informację o śmierci małżonki Harleya Brightmana wypreparować ze wszystkiego, co mogłoby trącić sensacją.

„Zwłok Cindy Brightman wciąż jeszcze nie odnaleziono”. „Narodziny legendy: tragiczna historia słynnej modelki”. „Wielbiciele zmarłej odbywają pielgrzymki do miejsca katastrofy”, pisano w następnych dniach. Była to nader ciekawa lektura.

Z ostatniego z owych artykułów dowiedziałam się na przykład, że rodzinnym domem Cindy Brightman była nędzna przyczepa kempingowa, a jej samej groziło zejście na złą drogę, przed czym uratowała ją wszakże serdeczna przyjaciółka z dzieciństwa, imieniem Patricia. Wśród tekstu zamieszczono zdjęcie kilkunastu kobiet w średnim wieku, składających owinięte w celofan wiązanki przed bramą włoskiej rezydencji, w której zmarła spędziła swe ostatnie dni.

„Tak wiele dla nas znaczyła – wyznała reporterowi jedna z tych kobiet. – Miała w sobie duchowe piękno, trafiające do serc zwykłych ludzi. Dlatego tu przychodzimy. Tutaj wydaje nam się, że wciąż jest z nami.”

Z następnej publikacji dowiedziałam się jeszcze ciekawszych rzeczy: dzięki rosnącej liczbie pielgrzymek w okolicach Santa Margherita odnotowano znaczne ożywienie gospodarcze. Na przydrożnych stoiskach pojawiły się lalki przedstawiające Cindy Brightman oraz podróbki kremów Lapinique, a właściciele okolicznych hoteli zainicjowali „interesującą formę działalności” w postaci „weekendowych kuracji odmładzających”. O rany! Rozeszły się nawet pogłoski

o cudach! Jakaś gospodyni domowa z Bakersfield miała rzekomo powiedzieć, że po umyciu twarzy morską wodą z miejsca katastrofy zniknęły jej wszystkie zmarszczki – zupełnie jak po liftingu!

Po kilku tygodniach ukazał się inny wielki tytuł: „Harley Brightman żeni się po raz wtóry. Czy będzie to nowa twarz Lapinique?” Pod dość niewyraźną fotografią Trish – wyglądała na tak zmęczoną, jakby znów nachlapała się stregi – zamieszczono wypowiedzi czytelników oburzonych tak szybkim ślubem świeżo owdowiałego milionera. Było tego kilka bitych kolumn. Ślub – relacjonowano – był niezwykle skromny, a miesiąc miodowy nowożeńcy spędzili w domu. Tak zdecydował pan młody przez pamięć swej pierwszej małżonki. Biedna Trish, zachichotałam w duchu, przypominając sobie jej ślubne pomysły. Ciężko to pewnie przeżyła.

Ostatnia informacja, jaką znalazłam pod hasłem „Brightman”, nie miała już nic wspólnego z weselem ani moją eks-przyjaciółką. Był to obszerny artykuł zamieszczony na stronach poświęconych sprawom gospodarczym: „David Brightman oskarżony o malwersacje i uchylanie się od podatków”.

Więc jednak! Urząd Podatkowy dopadł go w końcu za machlojki z firmą Lapinette. Informacji na ten temat, pisał autor artykułu, udzielił prasie były lokaj Harleya Brightmana, niejaki George Wilkins, dziś już emeryt, zamieszkały obecnie w Wielkiej Brytanii, w Surrey.

Ha, więc George również miał Brightmanów powyżej uszu! No proszę! Nigdy bym nie przypuszczała, że coś nas łączy! Ciekawe, ile też sobie zażyczył za te rewelacje? Pewnie tyle, że będzie mógł znowu żyć na takiej stopie jak w swych złotych latach, o których z takim sentymentem mówił jego kumpel... Kto wie, pomyślałam z uśmiechem, może któregoś dnia spotkamy się w Kempton Parku?

Sally bez żadnych skrupułów przyjęła zlecenie Harleya.

– Wiem, jak to wygląda: że się sprzedałam, sprzeniewierzyłam sztuce i tak dalej. Wiem, że ten projekt sławy mi nie przyniesie, ale nie zamierzam się przejmować. Wystarczy mi forsa.

Po „telekonferencji” z drugą panią Brightman pozwoliła już sobie znacznie ostrzej sformułować swój pogląd na temat zlecenia, jak również samej klientki.

– Do licha! Za te robotę powinni mi zapłacić dwa razy tyle! Czy ty masz pojęcie, co to za straszna kobieta?

Cóż miałam mówić? Coś tam mruknęłam.

– Wiesz, czego ona sobie życzy? Żeby wszystko w tym domu, łącznie z muszlą klozetową, miało złote brzegi! – poinformowała mnie tonem zarezerwowanym dla

najgorszych przypadków złego gustu. – A w sypialni we wszystkich możliwych miejscach mam ponalepiać różowe serduszka. Atlasowe – zakończyła słabym szeptem. – Możesz w to uwierzyć?

Wręczyłam jej filiżankę kawy, starając się ukryć uśmiech. Błękitny emblemat Lapinique ma wreszcie godnego rywala! Ciekawe, kto będzie górą?

– Mimo to cieszę się na wyjazd do LA – oznajmiła Sally, odzyskując nagle dobry humor. – Duncan zielenieje z zazdrości! Wiem to od dzieci. Od dawna chciał tam pojechać, ale teraz odkąd musi płacić alimenty, może sobie pojeździć najwyżej palcem po mapie! – Zamieszała kawę i spojrzała na mnie spod oka. – Ty byłaś w Los Angeles, prawda, Harriet? Musisz mi powiedzieć, dokąd mam pójść i co tam warto zobaczyć. Chcę wykorzystać ten pobyt do maksimum.

Znalazłam się w niezręcznej sytuacji. Do tej pory starałam się unikać szczegółowych opowieści o mojej „podróży dookoła świata”. Musiałabym mocno zmyślać, a wtedy łatwo o wpadkę.

Sally zauważyła chyba, że się waham.

– Powiedz mi, Harriet – spytała ciekawie – czy podczas pobytu w Kalifornii nie zawadziłaś przypadkiem o jakąś klinikę piękności? Pytam dlatego, że naprawdę odmłodziłaś o dziesięć lat.

– Och, chyba trochę przesadzasz... Nie, nie byłam w żadnej klinice. Myślę, że po prostu potrzebny był mi urlop.

– Wiesz co? Gdyby ta moja podróż mogła choć w połowie tak mnie odmłodzić jak ciebie twój urlop, chętnie sprzedałabym diabłu wszystkie swe zasady artystyczne! O tak! – zaśmiała się głośno. – Warto by było!

– Nie byłabym tego taka pewna! – zaprotestowałam żywo. Przeraziła mnie myśl, że Sally tak łatwo byłoby przekupić. Zupełnie tak samo jak kiedyś mnie. Och, i czy tylko ją! Ileż jest takich kobiet! – Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz. Na twoim miejscu byłabym ostrożniejsza. Są życzenia, których lepiej nie wypowiadać.

Sally wybuchnęła śmiechem.

– Coś takiego! Ty zaczynasz mi prawić morały? – spytała przekornie. – Myślałam, że jesteś ostatnią osobą, która by chciała to robić! A skoro mowa o moralności: kiedy ty i Andrew zamierzacie się pobrać?

– Raczej na to nie licz.

– Daj spokój! Dlaczego? Jesteście dla siebie stworzeni.

– Myślę, że nie nadaję się do małżeństwa, a poza tym... Spójrz na statystyki. Nie są zachęcające, prawda?

– Pewnie masz na myśli mój przykład, który rzeczywiście nie jest zachęcający, ale to przecież nie dowód, że każde małżeństwo musi być złe. Osobiście nic nie mam przeciwko samej instytucji, po prostu źle wybrałam męża. Duncan to naprawdę wyjątkowa szuja.

– Kiedyś też uważałam, że ludzie, którzy się kochają, powinni żyć razem, ale teraz wydaje mi się, że pewien dystans wcale nie szkodzi uczuciom. Może to nawet najlepsza recepta na udany związek? No bo pomyśl: do jakiego stopnia można tak naprawdę się przed kimś odsłonić? I czy warto? Czy ty na przykład wyjawiałaś Duncanowi wszystkie swoje tajemnice?

– Tak, i bardzo tego żałuję – odrzekła pośepnie. – On nigdy nie zdradził mi swoich. Wielka szkoda, bo gdybym wiedziała, jaki jest naprawdę, już dawno bym go rzuciła!

Po wyjściu Sally wzięłam głęboki oddech. Jak zwykle podczas naszych spotkań, tak i tym razem nawiedziła mnie straszna pokusa, żeby opowiedzieć jej wszystko o sobie. Ale czy mogłam to zrobić?

Czy mogłam powiedzieć o tym komukolwiek? Na pewno nie Andrew. Nigdy by mi nie uwierzył, a zresztą on też miał swoje sekrety, których nie zamierzał mi zdradzić. Mimo usilnych starań nie udało mi się wydobyć z niego ani słówka o tym, że przespał się z Cindy.

Nie miał pojęcia, że dziewczyna, której dał się uwieść, była słynną modelką, nie wiedział nawet, że istnieje firma Lapinique. Któregoś dnia naszła mnie znów pokusa, aby go skłonić do zwierzeń, postanowiłam więc urządzić małą prowokację. Posłużył mi do tego stary kobiecy tygodnik z moim reklamowym zdjęciem, który zachowałam sobie na pamiątkę. Udając, że bardzo pilnie studiuję jakąś rubrykę, rozłożyłam go w taki sposób, żeby Andrew zobaczył to zdjęcie.

Zauważyłam po chwili, że wciąż na nie zerka.

– Coś cię zainteresowało? – spytałam niewinnie. – Masz ochotę przejrzeć to pismo?

– Nie, nie, po prostu zobaczyłem zdjęcie, które... Ta osoba przypomina mi kogoś...

– Kogo? – Z udanym namysłem zaczęłam studiować twarz Cindy. – Którąś z twoich studentek? A może dawną sympatię?

Nic na to nie odrzekł.

Na gwiazdkę kupił mi flakonik perfum Lapinique. Był to najwspanialszy prezent w moim życiu.

Rozważywszy wszystkie „za” i „przeciw”, postanowiłam nic mu nie mówić

o swojej transakcji z Mefistem. Nikomu innemu również. Staram się o tym nie myśleć. Mefisto nie ma już chyba prawa upominać się o moją duszę. Ja dotrzymałam warunków umowy, to on ją złamał, zatajając przede mną kilka istotnych punktów. Tak uważam, a jednak miewam czasami koszmary, w których nagle się zjawia i mówi, że przyszedł po swoją własność.

Dawniej nie przejmowałam się śmiercią, ale teraz często o niej myślę. Pewnie dlatego że jestem szczęśliwa. Człowiek szczęśliwy nie chce umierać – zbyt wiele ma do stracenia. Faust Goethego rozstał się z życiem właśnie w takiej chwili, gdy powiedział, że jest szczęśliwy, ale on mógł się tego spodziewać. Taki był warunek umowy, którą zawarł z Mefistofeilesem:

*Jeśli przed jakąś złudą myśli moje klękną [powiedzq: trwaj chwilo! Chwilo, jesteś piękna, Wtedy twój będę i weź mnie w niewolę Na jakąkolwiek najstraszliwszą dolę.*

Ja nie składałam na szczęście tak nierozważnych obietnic. Teraz gdy wreszcie nauczyłam się cenić życie, pragnę cieszyć się nim jak najdłużej.

Nie wiem, czy naprawdę przechytryłam Mefista czy też ma on wciąż jeszcze do mnie jakieś prawa... Nie wiem również i nigdy się pewnie nie dowiem, ile właściwie mam lat – czy zyskałam ich kilka czy może straciłam – ale w końcu cóż to za różnica? Nikt przecież nie wie, co mu jest pisane.

Nie ma sensu tracić czasu na zadreczanie się myślą o śmierci, kiedy można wykorzystać go znacznie ciekawiej – czerpiąc z życia pełnymi garściami. Taką właśnie podjęłam decyzję. Co było, minęło, niech żyje przyszłość, powiedziałam sobie, wychylając duszkiem dużą porcję whisky. Za nowe życie.